

Richard Morgan

Siły rynku

*Siły Rynku dedykuję, z wyrazami miłości, mojej pierwszej fance,
siostrze Caroline - bo czekała już dość długo.*

Dedykuję je także wszystkim tym, których życie zrujnowały
lub pozbawiły kolorów Wielki Neoliberalny Sen
oraz Bezlitosna Globalizacja.

PODZIĘKOWANIA

Siły Rynku przeszły długą i zmienną drogę od niesprecyzowanego pomysłu przez opowiadanie i scenariusz, aż do powieści, którą trzymacie teraz w rękach. Po drodze, wraz z autorem, dorobiły się kilku długów. A więc w porządku chronologicznym, jeśli dobrze pamiętam:

Dzięki Simonowi Edkinsowi za pierwsze, prowokujące do namysłu parsknięcie: *Myślą, że żyją w dżungli, co?* i Gavinowi Burgessowi, który podzielił się ze mną wiedzą o bardziej drapieżnych aspektach procedur szkolenia biznesowego. Dziękuję Sarah Lane za to, że dostrzegła potencjał w przykurzonym, nieopublikowanym opowiadaniu i zachęciła mnie, bym stworzył z niego scenariusz, oraz za jej nieograniczony entuzjazm i ciężką pracę, którą wykonała po drodze - tacy właśnie są wielcy producenci filmowi, a przynajmniej tacy być powinni. Dziękuję także Alanowi Youngowi za inspirację płynącą z jego anegdot i za to, że przejrzał szkic utworu surowym okiem konsultanta ekonomicznego. Jak zwykle, podziękowania należą się mojej agentce Carolyn Whitaker i redaktorowi Simonowi Spantonowi, którzy konsekwentnie mnie zmuszali, bym nie zapominał o szczegółach. Dziękuję wszystkim z zespołu Gollanca, że zamienili piąte piętro w cudowne miejsce. I na końcu największe podziękowania składam mojej niedawno poślubionej żonie Virginii Cottinelli za cierpliwość, z jaką dzieliła swój czas między mną a Rozwojowym Programem Magisterskim Uniwersytetu Glasgow, ukończenie którego kosztowało ją więcej wysiłku, niż powinien znosić jakikolwiek student.

Lista książek, które inspirowały mnie podczas pisania *Sił Rynku*, została zamieszczona na końcu powieści, na wypadek gdyby czytelnik był nimi zainteresowany. Jest ich zbyt wiele, by tutaj je wymienić czy omówić, ale są zbyt ważne, by w ogóle o nich nie wspomnieć. W swobodniejszej tonacji, *Siły Rynku* zawdzięczają też wiele fantastycznym filmom *Mad Max* i *Rollerball*, które wywarły na mnie potężny wpływ w wieku, w jakim nie powinienem był ich jeszcze oglądać.

*Wiem - kanibale noszą garnitury i krawaty
I wiem - siłują się na ołtarzu
I mówię - nie zostawiaj serca na wierzchu
Midnight Oil, Sometimes*

*Skoro (zapytam) komercyjne banki, oficjalni wierzyciele, Bank, MFW, TNC, dyrektorzy finansowi i globalne elity są zadowolone, kto dał nam prawo narzekać?
Susan George - Raport Lugano*

Fragment Sometimes wykorzystano za zgodą Midnight Oil. Copyright © 1986 Midnight Oil

Fragment The Lugano Report wykorzystano za zgodą Susan George. Copyright © 1999 Pluto Press and Susan George

PROLOG

Kasa.

Przez czytnik przesuwają się błyszczący czarny plastik.

Nic.

Maszyna trzeszczy w swoim owadziim języku, a ekran błyska, jakby oburzony tym, czym go nakarmiono. Kasjerka podnosi wzrok na kobietę, która wręczyła jej kartę, i uśmiecha się odrobinę za szeroko. Uśmiech ma w sobie tyle szczerych emocji, ile prawdziwych owoców zawiera karton D-Lish Pięć Owoców.

- Jest pani pewna, że to właściwa karta?

Kobieta z torbami pełnymi zakupów sadza dwulatka, którego dotąd trzymała w ramionach, na blacie kasy i ogląda się na męża, wypakowującego z wózka ostatnie kolorowe puszki i torby.

- Martin?

- Tak? Co jest? - Głos zdradzający irytację zakończonym właśnie zadaniem.

- Karta się nie...

- Nie co? - Patrzy jej w oczy i odczytuje w nich niepokój, po czym przenosi spojrzenie na kasjerkę. - Proszę ją puścić jeszcze raz. Coś musiało nawalić. - W głosie brzmi napięcie.

Dziewczyna wzrusza ramionami i znów przeciąga kartę. Ekran błyska z taką samą pogardą.

TRANSAKCJA ODRZUCONA.

Dziewczyna wyciąga kartę i wręcza ją kobiecie. Wokół nich tworzy się mała oaza ciszy, która rozprzestrzenia się przez pas podajnika aż do chłopaka przy sąsiedniej kasie i trzech klientów czekających za Martinem. Za kilka sekund rozpadnie się w gniewnych szeptach.

- Proszę spróbować innej karty.

- To niedorzeczne - wybucha Martin. - Od pierwszego na tym koncie są pieniądze. Właśnie mi zapłacono.

- Mogę przejechać kartą jeszcze raz - z wystudiowaną obojętnością oferuje dziewczyna.

- Nie. - Palce kobiety zbieleły wokół małego kawałka czarnego plastiku. - Martin, spróbuj intexa.

- Helen, na tym koncie są pienią...

- Jakiś problem? - pyta mężczyzna za nim, stukając znacząco kartą w stertę zakupów, umieszczonych tak blisko separatora „Następny klient”, że za chwilę zsuną się na rzeczy Martina.

- Nie ma problemu.

Podaje niebieską kartę Intexu i przygląda się przesuwającej ją przez czytnik kasjerce z taką samą uwagą, jak ludzie za nim.

Maszyna przeżuwa kartę przez kilka chwil...

I wypluwa ją.

Dziewczyna oddaje kartę i potrząsa głową. Jej gładka, plastikowa uprzejmość zaczyna pękać.

- Karta została zablokowana - mówi niedbałe. - Audyt końcowy.

- Co?

- *Audyt końcowy. Muszę państwa poprosić, żebyście przenieśli zakupy na drugą stronę lady i opuścili sklep.*

- *Proszę jeszcze raz przejechać kartą.*

Dziewczyna wzdycha.

- *Proszę pana, nie muszę tego robić. Mam tu wszystkie potrzebne dane. Pańskie konto zostało zablokowane.*

- *Martin. - Helena przysuwa się do męża. - Zostaw, wrócimy, kiedy wyjaśnimy te...*

- *Nie, do cholery. - Martin odtrąca ją i nachyla się nad ladą, mówiąc prosto w twarz kasjerki. - Na tym koncie są pieniądze. Niech pani jeszcze raz przejedzie kartą.*

- *Lepiej rób, co mówi - odzywa się arogancki klient za jego plecami.*

Martin odwraca się do niego, najeżony.

- *A tobie co do tego?*

- *Czekam.*

- *To poczekaj jeszcze trochę. - Strzela palcami tuż przed twarzą mężczyzny, a tamten odruchowo odskakuje w tył. Martin odwraca się z powrotem do kasjerki. - Niech pani...*

Pałka uderza go w bok jak kuksaniec. Drgnięcie serca później prąd odrzuca go od lady w nagle opustoszałą przestrzeń. Upada na podłogę, czując smród przypalanej tkaniny.

Słyszy krzyk Helen. Patrzy zmieszany z poziomu podłogi. Widzi przed sobą buty i słyszy głos, brzmiały jak rozdzierany gdzieś wysoko karton.

- *Myślę, że powinien pan opuścić sklep, sir.*

Ochroniarz podnosi go z podłogi i opiera o blat. Potężny mężczyzna, osadlony w talii, ale czujny i z twardym spojrzeniem. Robi to od dawna, pewnie zanim tu trafił, zjadł zęby w klubach wydzielonych stref. Porażał już ludzi prądem, a Martin o szesnastej trzydziści w środowe popołudnie nie ma na sobie biurowego garnituru, tylko wytarte jeansy i stary sweter, po którym nie widać, ile kiedyś kosztował. Ochroniarz myśli, że dobrze go ocenił. Nie wie, nie może wiedzieć.

Martin odpycha się od lady.

Uderzenie podstawą dłoni miażdży strażnikowi nos. Kolano trafia w krocze. Upadającego Martin wali jeszcze pięścią w podstawę czaszki.

Ochroniarz pada na podłogę, martwy.

- *Nie ruszaj się!*

Martin odwraca się i staje przed znacznie mniejszą partnerką ochroniarza, która właśnie wyszarpnęła z kabury pistolet. Nadal oszołomiony od porażenia prądem zatacza się w niewłaściwą stronę, ku niej, a ona rozpryskuje jego mózg po jego żonie, synu i lśniących opakowaniach na podajniku kasy.

TECZKA #1

INWESTYCJA POCZĄTKOWA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Pobudka.

Cały zlany potem.

Strzępy snu tłumią oddech w krtani i wciskają twarz w poduszkę, umysł zatacza się w ciemnym pokoju...

Rzeczywistość spadła na niego jak świeża pościel. Był w domu.

Westchnął ciężko i sięgnął po stojącą przy łóżku szklankę wody. We śnie spadał na kafelki posadzki supermarketu - a potem jeszcze przez nie.

Z drugiej strony łóżka poruszyła się Carla, wyciągając ku niemu rękę.

- Chris?

- Już w porządku. To tylko sen. - Napił się ze szklanki. - Zły sen, to wszystko.

- Znów Murcheson?

Przez chwilę nie odpowiadał, nie mając ochoty wyprowadzać jej z błędu. Nie śnił już o wrzeszczącej śmierci Murchesona. Zadygotał lekko. Carla westchnęła i przysunęła się bliżej. Ujęła jego dłoń i przycisnęła do swojej pełnej piersi.

- Mojemu tacie bardzo by się to podobało. Dręczą cię wyrzuty sumienia. Zawsze powtarzał, że go nie masz.

- Racja. - Chris podniósł budzik i skoncentrował wzrok na tarczy. Trzecia dwadzieścia. Wspaniale. Wiedział, że trochę potrwa, zanim uda mu się zasnąć. *Cholernie cudownie*. Odstawił zegarek i opadł na poduszkę. - Twój tata ma wygodną amnezję, gdy przychodzi do płacenia czynszu.

- Pieniądz dużo może. Jak myślisz, czemu za ciebie wysłałam?

Obrócił głowę i stuknął ją lekko w nos.

- Chcesz mnie wkurzyć?

Zamiast odpowiedzieć, sięgnęła do jego penisa i przesunęła po nim palcami.

- Nie. Podkręcam cię - wyszeptwała.

Kiedy się zbliżyła, poczuł, jak ognista fala pożądania rozwiewa sen, ale i tak wolno twarzą w jej dłoni. Do końca odpuścił dopiero w końcowym stadium orgazmu.

Spadanie.

* * *

Kiedy zadzwonił budzik, padało. Cichy szelest zza otwartego okna, jak nienastrojony telewizor na niskiej głośności. Klepnął wyłącznik i leżał przez chwilę, wsłuchując się w deszcz, po czym wysunął się z łóżka, nie budząc Carli.

W kuchni nastawił ekspres do kawy, wskoczył pod prysznic i wyszedł na czas, by ubić parą mleko na cappuccino dla Carli. Postawił je przy łóżku, obudził żonę pocałunkiem i wskazał filiżankę. Prawdopodobnie Carla znów zapadnie w sen i wypije je zimne, gdy się w końcu dobudzi. Z szafy wyciągnął ubranie - prostą białą koszulę, jeden z ciemnych włoskich garniturów, buty z argentyńskiej skóry. Zabrał to wszystko na dół.

W ubraniu, ale bez krawata, zaniósł własne podwójne espresso razem z tostem do bawialni, by obejrzeć wiadomości o siódmej. Jak zwykle było w nich sporo szczegółowych komentarzy dotyczących sytuacji zagranicznej i musiał zbierać się do wyjścia, gdy wreszcie

pojawiła się czołówka Awansów i Stanowisk. Wzruszył ramionami, wyłączył TV i przypomniał sobie o krawacie dopiero, gdy spojrzął na siebie w wysokim lustrze. Carla zaczęła już hałasować na górze, gdy przeszedł przez próg i wyłączył alarm w saabie.

Przez chwilę stał w deszczu, patrząc na wóz. Na zimnym szarym metalu błyszczały wielkie krople wody. W końcu się uśmiechnął.

- Inwestycje Konfliktowe, nadchodzimy - mruknął do siebie i wszedł.

Włączył dziennik w radiu. Awanse i Stanowiska zaczęły się, gdy dotarł do rampy skrzyżowania Elsenham. Chropawy ton Liz Linshaw, ze śladem akcentu wydzielonych stref, by wyostrzyć poza tym kulturalny głos. W TV ubierała się jak skrzyżowanie rządowego sędziego z egzotyczną tancerką na przyjęcia, i przez ostatnie dwa lata zaliczyła okładki wszystkich magazynów dla mężczyzn. Mokry sen każdego wymagającego dyrektora i, zgodnie z popularnymi sondażami AM, królowa państwa.

- ...w tym tygodniu bardzo niewiele wyzwań na drodze - powiedziała mu ciepło. - Rozgrywka o kontrakt w Kongo, na którą wszyscy czekaliśmy, została przełożona na przyszły tydzień. Możecie za to winić prognozy pogody, choć z mojego okna wygląda na to, że ci faceci znów wszystko spieprzyli. Pada mniej niż przy Sanudersie/Nakamurze. Nadal brak szczegółów o wyzwaniu, jakie bezfirmowiec rzucił Mike'owi Bryantowi z Shorn Associates. Nie wiem, gdzie jesteś, Mike, ale jeśli mnie słyszysz, chcielibyśmy dostać od ciebie jakieś informacje. Pora na nowe stanowiska w tym tygodniu - Jeremy Tealby zostaje partnerem w Collister Maclean. Myślę, że wszyscy już od dawna się tego spodziewaliśmy. Carol Dexter awansuje na starszego inspektora rynku w Mariner Sketch po zeszytygodniowym spektakularnym starciu z Rogerem Inglisem. A teraz wracamy do Shorn, by powiedzieć parę słów o znaczącym nabytku w oddziale Inwestycji Konfliktowych...

Spojrzenie Chrisa przeskoczyło z drogi na radio. Podciągnął trochę głośność.

- ...Christopherze Faluknerze, przejętym od giganta inwestycyjnego Hammett McColl, gdzie zdobył już nazwisko w Rynkach Rozwijających się. Nasi stali słuchacze zapewne pamiętają fantastyczne pasmo sukcesów Chrisa w Hammett McColl, rozpoczęte błyskawiczną eliminacją rywala, Edwarda Quaina, który był wtedy dyrektorem starszym od niego o dwadzieścia lat. Dobrze się sprawił, co szybko się potwierdziło, gdy... - W jej głosie pojawiło się nagłe podniecenie. - Och, właśnie dostaliśmy wiadomość od naszej ekipy w helikopterze. Bezfirmowe wyzwanie dla Mike'a Bryanta zostało rozstrzygnięte. Dwóch wyzywających unieruchomiono przy skrzyżowaniu dwadzieścia dwa, trzeci zasygnalizował rezygnację. Pojazd Bryanta najwyraźniej doznał minimalnych uszkodzeń i w tej chwili jest w drodze do nas. W porze lunchu przedstawimy państwu wywiad na zasadach wyłączności i szczegółową relację. Dla Shorn Associates wygląda to na początek dobrego tygodnia. Obawiam się, że to wszystko, na co mamy czas dziś rano, wracamy więc do aktualności. Paul.

Chris wyłączył radio, lekko poirytowany, że przepychanka Bryanta z jakimś bezfirmowcem zdjęła jego nazwisko ze szkarłatnych ust Liz. Deszcz ustał i wycieraczki zaczęły zgrzytać. Wyłączył je i zerknął na zegar. Jeszcze miał czas.

Zawył alarm zbliżeniowy.

Dostrzegł przyspieszający kształt w poza tym pustym wstecznym lusterku i automatycznie odbił w prawo. Przejechał na sąsiedni pas i przyhamował. Odprężył się, gdy drugi pojazd się z nim zrównał. Samochód był poobijany i pomalowany w brązowe łąty -

podobnie jak jego wóz, został wykonany na zamówienie, ale nie przez kogoś, kto miałby chociaż cień pojęcia o walkach drogowych. Z przedniego zderzaka sterczały masywne stalowe kolce, a przednie koła osłaniał ciężki stalowy pancerz, sięgający aż do drzwi. Tylne koła miały szerokie opony, by zapewnić większą stabilność przy manewrach, ale ze sposobu, w jaki poruszał się pojazd, jasno wynikało, że jest zdecydowanie za ciężki.

Bezfirmowiec.

Podobnie jak piętnastoletni bandyci z wydzielonych stref, tacy byli często najgroźniejsi, bo mieli najmniej do stracenia i chcieli jak najwięcej udowodnić. Kierowca krył się za listwami bocznego okna, ale Chris dostrzegł ruch. Wydawało mu się, że zauważył jasną skórę. Na boku samochodu świecąca żółta farbą wymalowano numer kierowcy. Westchnął i sięgnął do nadajnika.

- Kontrola ruchu - odpowiedział anonimowy męski głos.

- Tu Chris Faulkner z Shorn Associates, prawo jazdy numer 260B354R, na M11 w stronę Londynu, za skrzyżowaniem dziesięć. Możliwe, że mam tu wyzwanie bezfirmowca numer X23657.

- Sprawdzam. Proszę poczekać.

Chris zaczął powoli przyspieszać, żeby bezfirmowiec podążał za nim, nie przechodząc w tryb walki. Zanim kontroler odpowiedział, pędzili już obok siebie z prędkością stu czterdziestu kilometrów na godzinę.

- Potwierdzone, Faulkner. Wyzywający to Simon Fletcher, niezależny analityk prawny.

Chris prychnął. *Prawnik bez pracy.*

- Wyzwanie zgłoszone o 8.04. Na wolnym pasie jedzie zautomatyzowana ciężarówka transportowa, minęła skrzyżowanie osiem. Pełny ładunek. Poza tym żadnego ruchu. Może pan ruszać.

Chris wcisnął gaz do dechy.

Wyprzedził Fletchera o pełną długość samochodu i zajechał mu drogę, zmuszając do błyskawicznej decyzji: taranować albo hamować. Samochód odpadł i Chris uśmiechnął się lekko. Instynktowną reakcją było hamowanie. Żeby zareagować inaczej, trzeba było wbić w siebie inny zestaw reakcji. W końcu Fletcher powinien *chcieć* go staranować. Na tym polegała standardowa taktyka pojedynków. Zamiast tego zwyciężył instynkt.

To nie potrwa długo.

Prawnik znów przyspieszył, zbliżając się. Chris pozwolił mu podjechać na jakiś metr od tylnego zderzaka, a potem skręcił i wdepnął hamulec. Drugi samochód wystrzelił do przodu, a Chris został z tyłu i wsunął się za niego.

Przemknęli przez skrzyżowanie numer osiem. Wjechali w londyńską obwodnicę, prawie w strefy. Chris wyliczył odległość do tunelu, przesunął się do przodu i stuknął tył samochodu Fletchera. Prawnik odskoczył od zvarcia. Chris sprawdził prędkość i jeszcze ją zwiększył. Kolejne stuknięcie, kolejny odskok. Automatyczny transportowiec pojawił się jak gigantyczna metalowa gaśienica uwiązana do skrajnego pasa, po czym równie szybko zniknął. W polu widzenia zamajaczył tunel. Beton pożółkły ze starości, oznaczony wyblakłym graffiti starszym od pięciometrowego płotu. Ogrodzenie wystawało nad dachem, owinięte kłębami drutu kolczastego. Podobno w drutach płynął zabójczy prąd.

Chris jeszcze raz popchnął Fletchera, a potem zwolnił, pozwalając mu uciec do tunelu

jak spłoszonemu królikowi. Kilka sekund łagodnego hamowania, a potem ponowne przyspieszenie, i za nim.

Czas kończyć.

Pod osłoną sklepienia tunelu wszystko wyglądało inaczej. W górze dwa rzędy żółtych świateł, ciągnących się jak pociski smugowe. Przy ścianach w równych odstępach upiornie białe znaki wyjść awaryjnych. Żadnego pasa awaryjnego, tylko wytarta i poprzerywana krecha oddzielająca drogę od betonowej ścieżki dla pracowników technicznych. Nagłe przejście do gry zręcznościowej z widokiem w pierwszej osobie. Zwiększone odczucie prędkości, strach przed zderzeniem ze ścianami i ciemnością.

Chris znalazł Fletchera i zmniejszył dystans. Prawnik się bał - świadczył o tym nerwowy sposób, w jaki prowadził samochód. Chris wykonał szeroki skręt, znikając mu z lusterka wstecznego, i wyrównał tuż obok niego. Licznik znów wskazał sto czterdzieści, a tunel miał tylko osiem kilometrów. *Zrób to szybko.* Chris zmniejszył odległość między samochodami o metr, włączył wewnętrzne oświetlenie i nachylając się do okna pasażera, wyciągnął rękę w pożegnalnym geście. Przy włączonym świetle Fletcher nie mógł tego nie zauważyć. Utrzymał pozę przez dłuższą chwilę, po czym zacisnął dłoń w pięść z kciukiem w dół. Równocześnie drugą ręką wykręcił kierownicą w oddzielającą ich przestrzeń.

Efekt był satysfakcjonujący.

Fletcher musiał się przyglądać gestowi pożegnania, a nie drodze przed sobą, i zapomniał, gdzie jest. Odskoczył samochodem w bok, pociągnął za daleko i z fontanną iskier otarł się bokiem o ścianę. Wymalowany samochód zatańczył dziko, jeszcze raz wykrzesał z betonu iskry i z piskiem opon odbił na pas Chrisa. Chris widział we wstecznym lusterku, jak prawnik zatrzymuje samochód w poprzek drogi. Uśmiechnął się szeroko i zwolnił do około pięćdziesiątki, czekając, by sprawdzić, czy Fletcher jeszcze raz podejmie wyzwanie. Drugi samochód ani drgnął. Wciąż stał w miejscu, gdy Chris dojechał do wzniesienia przy drugim końcu tunelu i wreszcie stracił go z oczu.

- Mądry człowiek - wymamrotał do siebie.

Wyłonił się z tunelu w niespodziewany blask słońca. Droga wznosiła się, wspinając w długi zakręt przechodzący nad strefami i opadający pod kątem w stronę grupy wież w sercu miasta. Światło słońca padało w dół słupami blasku. Wieże błyszczały.

Chris przyspieszył na zakręcie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Światło w ubikacji było przytłumione, przefiltrowane przez wysokie okna osadzone w skośnym dachu. Chris umył dłonie w onyksowej umywalce i przyjrzał się swojemu odbiciu w dużym, okrągłym lustrze. Patrząc na niego szare jak saab oczy były czyste i pewne. Tatuże z kodem kreskowym na policzkach odbijały ciemną barwę, dorzucając do niej ślad jaśniejszego błękitu. Niżej kolor niebieski powtarzał się w tkaninie garnituru i na fantazyjnych wzorach krawata Susany Ingram. Koszula świeciła bielą kontrastującą z jego opalenizną, a kiedy się uśmiechnął, srebrny ząb odbił światło pomieszczenia w niemal słyszalny sposób.

Może być.

Wciąż dobiegał go dźwięk lejącej się wody, więc zamknął kran. Zerknął w bok i zobaczył innego mężczyznę myjącego ręce dwie umywalki dalej. Nowo przybyły był duży, miał długie kończyny i potężny tors w idealnie wymodelowanym garniturze, a długie, gęste włosy ściągnął w koński ogon. Wiking w garniturze od Armaniego. Chris omal się nie rozejrzał w poszukiwaniu topora bojowego, który powinien stać oparty o umywalkę po drugiej stronie mężczyzny.

Zamiast tego z umywalki wyłoniła się jedna z dłoni i Chris z nagłym szokiem zauważył, że była pokryta krwią. Mężczyzna podniósł wzrok i spojrzał mu w oczy.

- Mogę w czymś pomóc?

Chris potrząsnął głową i odwrócił się do suszarki do rąk na ścianie. Za sobą usłyszał, jak woda przestaje lecieć z kranu, i mężczyzna dołączył do niego przy suszarce. Chris przesunął się trochę, robiąc mu miejsce i ścierając z dłoni resztki wilgoci. Suszarka pracowała dalej. Mężczyzna przyjrzał mu się uważnie.

- Hej, ty pewnie jesteś ten nowy.

Strzelił mokrymi palcami. Chris zauważył, że wciąż były na nich ślady krwi, podobnie jak w zagłębieniu dłoni.

- Chris Cośtam, prawda?

- Faulkner.

- Faktycznie, Faulkner. - Wsunął dłonie pod strumień powietrza. - Właśnie przeszedłeś z Hammett McColl?

- Zgadza się.

- Mike Bryant. - Wyciągnął dłoń. Chris zawahał się na moment, patrząc na krew. Bryant zauważył jego spojrzenie. - Och, tak. Przepraszam. Właśnie miałem starcie z bezfirmowcem, a wytyczne Shorn wymagają odzyskania ich plastiku jako dowodu śmierci. Czasem można się pobrudzić.

- Też zaliczyłem dziś rano bezfirmowca - odruchowo stwierdził Chris.

- Tak? Gdzie to było?

- M11, w okolicach skrzyżowania numer osiem.

- Tunel. Tam go załatwiłeś?

Chris kiwnął głową pod wpływem impulsu decydując się nie wspominać o nieostatecznym zakończeniu starcia.

- Miło. Wiesz, bezfirmowcy nie są wiele warci, ale i tak poprawiają reputację.

- Pewnie tak.

- Idziesz do Inwestycji Konfliktowych, prawda? Sekcja Louise Hewitt. Ja też siedzę na pięćdziesiątym trzecim. Mielila twój życiorys przed paroma tygodniami. To, co robiłeś w Hammett McColl jakiś czas temu, to naprawdę grubsze sprawy. Witaj na pokładzie.

- Dzięki.

- Odprowadzę cię na górę, jeśli chcesz. Też się tam wybieram.

- Świetnie.

Wyszli na szeroką krzywizną korytarza i rozciągający się za szklaną ścianą z wysokości dwudziestego piętra widok na dystrykt finansowy. Wydawało się, że Bryant się nim napawał, zanim skręcił w korytarz, nadal próbując zetrzeć z dłoni upartą plamkę krwi.

- Dali ci już samochód?

- Mam własny. Przerobiony. Moja żona jest mechanikiem.

Bryant się zatrzymał i obejrzał na niego.

- Poważnie?

- Poważnie. - Chris podniósł lewą dłoń i pokazał noszoną na palcu matową obrączkę z metalu. Bryant przyjrzał się jej z zainteresowaniem.

- Co to, stal? - Załapał nagle i uśmiechnął się szeroko. - Z silnika, prawda? Czytałem o tych rzeczach.

- Tytan. Wyciągnęła to z komory odpowietrznika starego saaba. Musiała dopasować wielkość, ale poza tym...

- Tak, zgadza się. - Mężczyzna emanował prawie dziecięcym entuzjazmem. - Zrobiliście to nad silnikiem, jak tamten facet z Mediolanu w zeszłym roku? - Znów strzelił palcami. - Jak on się nazywał, Bonocello czy jakoś tak?

- Bonicelli. Tak, praktycznie w ten sam sposób. - Chris próbował nie zdradzić głosem irytacji. Jego ślub na ołtarzu z bloku silnika odbył się dobre pięć lat wcześniej niż włoskiego kierowcy, ale w prasie samochodowej przeszedł prawie niezauważony. O Bonicellim pisano przez całe tygodnie, w pełnym kolorze. Może miało to jakiś związek z faktem, że Silvio Bonicelli był dobrze zapowiadającym się młodszym synem dużej florenckiej rodziny kierowców, a może z tym, że nie żenił się z mechanikiem, a była aktorką porno i promowaną na wschodzącą gwiazdę piosenkarką pop. Może liczyło się i to, że Chris i Carla pobrali się z minimum rozgłosu na tyłach Autonapraw Mela, a Silvio Bonicelli zaprosił koronowane głowy korporacyjnej Europy na ceremonię odbywającą się w uprzątniętym warsztacie obok nowej fabryki Lancii w Mediolanie. Na tym polegał trik z arystokracją korporacyjną dwudziestego pierwszego wieku. Kontakty rodzinne.

- Ożenić się ze swoim mechanikiem. - Bryant znów się uśmiechał. - Człowieku, rozumiem, że to praktyczne rozwiązanie, ale muszę powiedzieć, że podziwiam twoją odwagę.

- Tu naprawdę nie chodziło o odwagę - odpowiedział spokojnie Chris. - Byłem zakochany. Jesteś żonaty?

- Tak. - Zauważył, że Chris patrzy na jego obrączkę. - Och. Platyna. Suki handluje obligacjami dla Costermana. Ostatnio przeważnie pracuje w domu i pewnie zrezygnuje, jeśli dorobimy się następnego dzieciaka.

- Masz dzieci?

- Tak, tylko jedno. Arianę. - Dotarli do końca korytarza i rzędu wind. Kiedy czekali, Bryant wygrzebał z kieszeni portfel. Otworzył go, ukazując imponującą kolekcję kart kredytowych i zdjęcie atrakcyjnej kobiety o kasztanowych włosach trzymającej w ramionach dziecko o twarzy elfa. - Zobacz. Zrobiliśmy je na jej urodzinach. Miała roczek. Prawie rok temu. Dzieci szybko rosną. Masz jakieś?

- Nie, jeszcze nie.

- Cóż, mogę ci tylko poradzić, żebyś nie czekał za długo. - Bryant zamknął portfel w chwili przybycia windy. Pojechali na górę w życzliwym milczeniu. Winda konwersacyjnym tonem informowała o każdym mijanym piętrze, opisując w zarysie aktualne projekty Shorn. Po chwili Chris się odezwał, bardziej by zagłuszyć windę, niż z potrzeby rozmowy.

- Macie tu własne lekcje walki?

- Co, bez broni? - Bryant wyszczerzył zęby. - Spójrz na ten numer, Chris. Czterdzieści jeden. Tu w górze nie walczysz o awans rękami. Louise Hewitt uważa to za szczyt złęgo smaku.

Chris wzruszył ramionami.

- Tak, ale nigdy nie wiadomo. Kiedyś uratowało mi to życie.

- Hej, żartuję. - Bryant poklepał go po ramieniu. - Oczywiście, w sali gimnastycznej mają kilku korporacyjnych instruktorów. O ile dobrze pamiętam szotokan i tekwondo. Sam ćwiczę czasami szotokan, żeby utrzymać się w formie, no i nigdy nie wiadomo, kiedy się trafi do wydzielonych stref. - Mrugnął. - Wiesz, o czym mówię. W każdym razie, jak mawia jeden z moich instruktorów, studiowanie sztuki walki nie nauczy cię, jak się bić. Chcesz opanować tę umiejętność, idź na ulicę i walcz. Tylko tak uda ci się to załapać. - Uśmiech. - Przynajmniej tak właśnie mówił.

Winda znieruchomiała.

- Piętro pięćdziesiąte trzecie - oznajmiła lekko. - Oddział Inwestycji Konfliktowych. Proszę się upewnić, że dysponują państwo siódmym poziomem dostępu. Życzę miłego dnia.

Wyszli do niedużej poczekalni, gdzie elegancki oficer ochrony ukłonił się Bryantowi i poprosił Chrisa o dokumenty. Chris wyciągnął plakietkę z kodem kreskowym wręczoną mu w recepcji na poziomie ziemi i poczekał na jej przeskanowanie.

- Słuchaj, Chris, muszę lecieć. - Bryant kiwnął głową w stronę korytarza po prawej. - Jakiś śliski dyktatorzyna łączy się o dziesiątej na przegląd budżetu, a ja wciąż nie mogę zapamiętać nazwiska jego ministra obrony. Wiesz, jak to jest. Zobaczymy się na przeglądzie kwartalnym w piątek. Później zazwyczaj gdzieś razem wychodzimy.

- Jasne. Do zobaczenia.

Chris przyglądał się odchodzącemu z pozorną swobodą jednak kryła się pod nią ta sama ostrożność, z jaką potraktował tego ranka wyzwanie bezfirmowca. Bryant wydawał się przyjazny, ale w odpowiednich warunkach takie wrażenie sprawiali niemal wszyscy. Nawet ojciec Carli pozował czasami na rozsądnego. A ktoś, kto zmywał krew z dłoni w taki sposób jak Mike Bryant, nie był osobą którą Chris chciałby mieć za plecami.

Ochroniarz oddał mu przepustkę i wskazał podwójne drzwi z przodu.

- Sala konferencyjna - powiedział. - Czekają na pana.

* * *

Twarzą w twarz ze starszym partnerem Chris spotkał się ostatnio w Hammett McColl,

gdy składał rezygnację. Vincent McColl zajmował gabinet o wysokich oknach, wyłożony ciemnym drewnem, z jedną ścianą zastawioną regałami pełnymi książek, które wyglądały na przynajmniej stuletnie. Na ścianach wisiały portrety znamienitych partnerów z osiemdziesięcioletniej historii firmy, a na biurku stało w ramce zdjęcie ojca McColla ściskającego dłoń Margaret Thatcher. Podłoga wyłożona była woskowanymi klepkami osłoniętymi dwustuletnim tureckim dywanem. Sam McColl miał siwe włosy, ubierał się w garnitury niemodne od pokoleń i nie pozwalał zainstalować w swoim biurze videofonu. Miejsce to stanowiło kaplicę uświęconej tradycji, co było dziwne jak na człowieka, którego główne zadanie polegało na kierowaniu Oddziałem Rynków Rozwijających się.

Jack Notley, najwyższy rangą przedstawiciel Shorn Associates w Inwestycjach Konfliktowych nie mógł stanowić większego przeciwieństwa McColla, nawet gdyby przybył wprost z odwróconego wszechświata równoległego. Był masywnym i potężnie zbudowanym mężczyzną z krótko i niezbyt starannie przyciętymi czarnymi włosami, które zaczynały dopiero lekko siwieć. Dłonie miał czerwonawe, z grubymi palcami. Ubrany był w oryginalny garnitur Susany Ingram, który kosztował pewnie tyle co nieprzerabiany saab, ale osłonięte nim ciało pasowałoby doskonale do ringu bokserskiego. Miał grubo ciosane rysy twarzy, pod prawym okiem długą nierówną bliznę, oczy o przenikliwym i bystrym spojrzeniu. Tylko drobna sieć zmarszczek wokół nich wskazywała na jego czterdzieści siedem lat. Idąc przez pełen światła i pastelowych barw pokój Chris pomyślał, że Notley wygląda jak troll na wakacjach w krainie elfów.

Jak mógł się spodziewać, uścisk dłoni Notley także miał potężny.

- Chris. Świetnie, że wreszcie do nas dołączyłeś. Wejdz. Chciałbym, żebyś poznał parę osób.

Chris uwolnił palce i poszedł za szerokimi plecami trolla przez pokój do miejsca, gdzie w centralnym wgłębieniu mieścił się szeroki stolik do kawy, para wygiętych pod kątem prostym sof i podejrzenie samotny fotel przewodniczącego zebraniu. Na obu końcach sof siedzieli mężczyzna i kobieta, oboje młodszy od Notleya. Spojrzenie Chrisa automatycznie skupiło się na kobiecie na sekundę przed tym, nim Notley się odezwał i wskazał na nią.

- To Louise Hewitt, kierownik oddziału i partner wykonawczy. To ona jest prawdziwym mózgiem naszych poczynań.

Hewitt podniosła się z sof i wyciągnęła się, by podać mu dłoń. Była atrakcyjną, zmysłową kobietą, która bardzo się starała nie zdradzić, że skończyła już trzydziestkę. Jej strój wyglądał na projekt Daisuke Todoroki - głęboko rozcięta czarna spódnica do kostek i bluza o prostym kroju, płaskie buty. Włosy miała proste i czarne, związane z tyłu w sposób eksponujący bladą twarz z minimalnym makijażem. Niczego nie próbowała dowodzić uściskiem dłoni.

- A to Philip Hamilton, młodszy partner w oddziale.

Chris odwrócił się do siedzącego na drugim końcu sof mężczyzny o zwodniczo miękkim wyglądzie. Hamilton miał słabo zarysowany podbródek i tłuste ciało, przez które wyglądał niechlujnie nawet w czarnym jak węgiel ingramie, ale jego bladobłękitnym oczom nic nie umykało. Nie podniósł się z miejsca, ale wyciągnął wilgotną dłoń i wymamrotał powitanie. Chris pomyślał, że w jego głosie kryła się hamowana niechęć.

- No dobrze - odezwał się jowialnie Notley. - Jestem tu co najwyżej figurantem, więc

chwilowo oddam inicjatywę Louise. Usiądźmy i... napijesz się czegoś?

- Zielonej herbaty, jeśli macie.

- Oczywiście. Myślę, że możemy zamówić dzbanek. Może być plantacja Jiang?

Chris pod wrażeniem kiwnął głową. Notley podszedł do dużego biurka pod jednym z okien i stuknął w telefon. Louise Hewitt usiadła w nieskazitelnej pozie i spojrzała na Chrisa.

- Dużo o tobie słyszałam, Faulkner - powiedziała neutralnie.

- To dobrze.

Wciąż neutralnie.

- Tak się składa, że nie wyłącznie dobrze. Jest jedna czy dwie sprawy, które chciałabym wyjaśnić, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Chris rozłożył ręce.

- Proszę bardzo. Teraz tu pracuję.

- Tak. - Wąski uśmiech zdradził mu, że zauważyła oddany cios. - Cóż, może moglibyśmy zacząć od twojego pojazdu. Rozumiem, że odrzuciłaś ofertę firmowego wozu. Masz coś przeciw BMW?

- No cóż, myślę że przesadzają z pancernym. Poza tym, nie. To była bardzo hojna oferta. Ale mam własny pojazd i wolałbym raczej trzymać się tego, co znam, jeśli wam to nie przeszkadza. Czuję się z nim pewniej.

- Przerabiany - odezwał się Hamilton, jakby wymieniał nazwę choroby psychicznej.

- O czym mowa? - Notley wrócił, siadając w fotelu. - Ach, twoje cztery kółka, Chris. Tak, słyszałem, że ożeniłeś się z kobietą, która ci je złożyła. To prawda, tak?

- Zgadza się. - Chris powiódł wzrokiem po twarzach otaczających go osób. Z twarzy Notleya wyczytał dobrotliwą tolerancję, u Hamiltona niesmak, a u Louise Hewitt absolutnie nic.

- To musi was mocno wiązać - powiedział w zamyśleniu Notley, jakby do siebie.

- Och, tak. Zgadza się.

- Chciałabym porozmawiać o incydencie z Bennett - powiedziała głośno Louise.

Na ułamek sekundy Chris spojrzał jej w oczy, a potem westchnął.

- Szczegóły wyglądają w zasadzie tak, jak je przedstawiłem. Pewnie wtedy o tym czytaliście. Bennet startowała do tego samego stanowiska analityka co ja. Walka trwała do podniesionej części M40. Zepchnąłem ją z drogi na zakręcie i utknęła na krawędzi. Ciężar samochodu prędzej czy później i tak by ją ściągnął, jechała podkręconym jagiem mentorem.

Notley burknął coś w stylu też-takim-jeździłem.

- W każdym razie zatrzymałem się i zdołałem ją wyciągnąć. Samochód zleciał kilka minut później. Kiedy dowiozłem ją do szpitala, była półprzytomna. Myślę, że uderzyła głową w kierownicę.

- Szpital? - Głos Hamiltona wyrażał uprzejmą niewiarę. - Przepraszam. Zawiozłeś ją do szpitala?

Chris na niego popatrzył.

- Tak. Zawiozłem ją do *szpitala*. To jakiś problem?

- Cóż - Hamilton się roześmiał. - Powiedzmy, że ludzie tutaj mogą to tak odbierać.

- A co by było, gdyby Bennet zdecydowała się jeszcze raz walczyć o miejsce? - zapytała ponuro Hewitt, równoważąc rozbawienie młodszego partnera. Chris pomyślał, że

brzmi to jak przygotowany tekst. Wzruszył ramionami.

- Jak? Z połamanymi żebrami, prawym ramieniem i urazami głowy? O ile pamiętam, sama mogła co najwyżej ciężko oddychać.

- Ale doszła do siebie, prawda? - nieśmiało zapytał Hamilton. - Wciąż pracuje, i to dalej w Londynie.

- W Hammett McColl - potwierdziła Hewitt, nadal bez zaangażowania. Chris zrozumiał, że cios zada Hamilton.

- Dlatego odszedłeś, Chris? - zaatakował młodszy partner głosem zabarwionym drwiną.
- Nie miałeś jaj, by dokończyć sprawę?

- Myślę, że Louise i Philip próbują powiedzieć - wtrącił się Notley tonem wujka na przyjęciu urodzinowym - że nie *rozwiązałeś* sprawy. Czy nie do tego się to sprowadza, Louise?

Hewitt ukloniła się uprzejmie.

- To prawda.

- Zostałem w HM jeszcze dwa lata po Bennett - powiedział Chris, trzymając nerwy na wodzy. Nie spodziewał się tego tak wcześnie. - Tak jak się spodziewałem, uznała swoją klęskę. Sprawa została rozwiązana w sposób satysfakcjonujący i mnie, i firmę.

Notley uspokajająco zamachał rękami.

- Tak, tak. Może w takim razie jest to bardziej kwestia kultury korporacyjnej niż winy. Tu w Shorn cenimy, jak by to ująć? Cóż, tak. Stanowczość, będzie chyba najlepszym słowem. Nie lubimy niezakończonych spraw. Mogą się później obrócić przeciw tobie i nam. Jak możesz się sam przekonać, widząc zakłopotanie, jakie wywołuje w nas sprawa Bennett. Znaleźliśmy się, jak by to po powiedzieć, w dwuznacznej sytuacji. To by się nie zdarzyło, gdybyś rozwiązał tamtą sprawę w sposób ostateczny. W Shorn Associates staramy się unikać tego rodzaju dwuznaczności. Nie pasuje do naszego obrazu, zwłaszcza w dziedzinie tak ostrej konkurencji, jak inwestycje konfliktowe. Z pewnością to rozumiesz.

Chris rozejrzał się po twarzach, licząc przyjaciół i wrogów, których najwyraźniej już się dorobił. Wykrzywił twarz w uśmiechu.

- Oczywiście - powiedział. - Nikt nie lubi dwuznaczności.

ROZDZIAŁ TRZECI

Pistolet leżał niedwuznacznie na środku biurka, prosząc, by wziąć go do ręki. Chris wsadził dłoń do kieszeni i patrzył na niego z pełną niechęcią i nieufnością.

- To moje?

- Heckler i Koch nemezis dziesięć. - Hewitt przeszła obok niego i zważyła w dłoni wyłożoną czarną gumą rękojeść. - Nemex. Półautomatyczny, mechanizm samonapinający z opóźnionym działaniem, bez potrzeby bezpiecznika. Po prostu wyciągasz i zaczynasz strzelać. Standardowy sprzęt Shorn. Do tego kabura pod pachę, więc możesz go nosić pod garniturem. Nigdy nie wiesz, kiedy będziesz musiał wykonać *coup de grace*.

Stłumił uśmiech. Może to zauważyła.

- Tak załatwiamy tu takie sprawy, Faulkner. Jeśli kogoś wyzywasz, nie zabierasz go potem do szpitala. Idziesz i kończysz sprawę. Tym, jeśli trzeba. - Wycelowała pistolet w terminal wbudowany w biurko. Rozległo się metaliczne uderzenie, gdy pociągnęła za spust. - Jeśli się da, przynosisz plastik. A właśnie. - Wolną ręką sięgnęła do kieszeni bluzy i wyciągnęła mały szary prostokąt. Światło odbiło się od splecionych S i A holograficznego logo Shorn Associates. Rzuciła kartę na stół i położyła pistolet obok niej. - Proszę bardzo. Nie daj sobie odebrać żadnego z nich. Nigdy nie wiesz, kiedy przyda się broń.

Chris podniósł kartę i postukał nią w zamyśleniu o blat biurka. Pistoletu nie dotknął.

- Magazynek są w górnej szufladzie biurka. Pociski w płaszczach, powinny się przebić przez silnik ciężarówki. Prowadziłeś kiedyś takie, prawda? W Mobile Arbitrage czy coś takiego.

- Tak. - Chris wyciągnął portfel i schował do niego kartę. Podniósł wzrok i pytająco spojrzął na Hewitt. - I?

- Nie, nic. - Hewitt przeszła obok niego do okna i wyjrzała. - Myślę, że sprzedaż towarów z ruchomej platformy to był dobry pomysł, Ale to niezupełnie to samo co jazda dla banku inwestycyjnego, co?

Chris uśmiechnął się lekko i usiadł na brzegu biurka, plecami do okna i nowej szefowej.

- Niezbyt mnie lubisz, Hewitt, prawda?

- Tu nie chodzi o sympatię, Faulkner. Sądzę po prostu, że tu nie pasujesz.

- Cóż, ktoś ewidentnie uważa inaczej.

Usłyszał, jak podchodzi do biurka, i niedbale odwrócił się do niej, gdy się zbliżyła. Zauważył nagle, że puste biuro wygląda bardzo ponuro.

- No proszę, proszę - powiedziała cicho. - Odciałeś mi się, co? Do takich gier przywykłeś? Tu ci to nie wystarczy, Faulkner. Widziałam twój życiorys. Zabójstwo osiem lat temu z Quainem i od tamtej pory nic. Miałeś szczęście, to wszystko.

Chris zachował spokojny ton.

- Podobnie jak Hammett McColl. Kiedy załatwiłem Quaina, zaoszczędzili około piętnaście milionów na samych premiach. A ja od tego czasu *nie musiałem* zabijać. Czasem wystarczy dobrze pracować. Nie trzeba cały czas dowodzić swojej wartości.

- Tutaj trzeba. Sam się przekonasz.

- Doprawdy? - Chris otworzył górną szufladę i spojrzął na jej zawartość, jakby

interesowała go bardziej niż stojąca przed nim kobieta. - Masz kochasia, który tylko czeka, żeby wyzwać mnie o to biuro?

Przez jedną chwilę ją dopadł. Świadczył o tym sposób, w jaki jej ciało zeszytywniało na granicy pola widzenia. Potem głęboko wciągnęła powietrze, jakby Chris był nowym kwiatkiem, którego zapachem chce się nasycić. Gdy podniósł wzrok, uśmiechała się.

- Urocze - powiedziała. - Och, jesteś uroczy. Notley cię lubi, wiesz o tym? Dlatego tu jesteś. Przypominasz mu jego samego z czasów, gdy był młody. Wyszedł znikąd jak ty, jadąc na jednym dużym strzale. I miał tatuaż, jak ty. Strumień symboli walut, lecących jak łyż z jednego oka. Z klasą. - Wydeła wargę. - Nawet przez jakieś pięć lat spotykał się ze swoim mechanikiem. Małą dziewczynką ze stref, z plamą smaru na nosie. Mówią, że kiedyś nawet przyszła z tym smarem na kwartalną kolację. Tak, Notley cię lubi, ale zauważyłeś tatuaż? Zniknął. Tak samo jak dziewczyneczka ze strefy. Widzisz, Notley ma czasem napady sentymentalizmu, ale jest profesjonalistą i nie pozwoli, by mu to przeszkadzało w pracy. Pamiętaj o tym, bo bardzo go rozczarujesz, Faulkner. Nie masz jaj.

- Witaj w ekipie.

Hewitt popatrzyła na niego tępo. Chris machnął otwartą dłonią.

- Pomyślałem, że jedno z nas powinno to powiedzieć.

- Hej. - Wzruszyła ramionami i odwróciła się do wyjścia. - Udowodnij, że nie mam racji.

Chris z nieruchomą twarzą przyglądał się, jak odchodzi. Kiedy zamknęły się drzwi, skierował wzrok na matowoczarne nemeksa leżącego na biurku i drwiąco wykrzywił wargi.

- Pieprzeni kowboje.

Szerokim gestem zepchnął pistolet do szuflady z magazynkami i zatrzasnął ją.

W terminalu czekała na niego lista sugestii: nazwiska ludzi, do których powinien zadzwonić, kiedy to zrobić i gdzie można ich znaleźć. Procedury wprowadzenia, najlepsze godziny dostępu określonych obszarów banku danych Shorn właściwe dla każdej z nich. Przegląd spraw na następne dwa miesiące, ze znacznikami wskazującymi, którymi powinien zająć się najpierw. Pakiet osobistego asystenta ułożył wszystko w sugerowanej kolejności działań, która miała umożliwić maksymalnie efektywne wykonanie pracy, i powiedział mu, że najwygodniej będzie mu wrócić do domu około dwudziestej trzydzieści.

Przez chwilę Chris bawił się pomysłem, żeby załadować nemeksa pociskami przeciwpancernymi i powtórzyć zabawę Hewitt ze strzelaniem do celu.

Zamiast tego włączył telefon.

- Carla, tu Chris. Wróć dziś późno, więc nie czekaj na mnie. W lodówce jest trochę chilli, ale spróbuj nie zjeść wszystkiego, bo ci zaszkodzi, a ja też chciałbym trochę, jak wróć. Och, a przy okazji, kocham cię.

Odłożył słuchawkę i spojrzął na ekran terminala. Po dłuższej chwili dźgnął jasnopomarańczowy trójkąt podpisany „Inwestycje Konfliktowe” i obserwował, jak obraz rozwija się niczym rozkwitający kwiat.

Ekran rozświetlił mu twarz.

* * *

Dotarł do domu dopiero po jedenastej. Zgasił światła na pierwszym zakręcie przy podjeździe, choć wiedział, że odgłos kół na żwirze prawdopodobnie obudzi Carlę równie

niezawodnie, jak jasne światło reflektorów padające na front domu. Czasami wydawało mu się, że dzięki swojej intuicji Carla zawsze wie, gdzie akurat znajduje się jej mąż. Zaparkował obok poobijanego i połatanego landrovera, którym jeździła, wyłączył silnik i ziewnął. Przez chwilę siedział nieruchomo w ciemności, wsłuchując się w trzeszczenie stygnącego silnika.

Dom na sześć godzin snu. Czemu, u diabła, wyprowadziliśmy się tak daleko?

Ale znał odpowiedź na to pytanie.

To miejsce niczym się nie różni od HM. Mieszkaj w pracy, śpij w domu, zapomnij, że kiedyś żyłeś w związku. To samo łajno, tylko inne logo.

Cóż, stąd się biorą pieniądze.

Wszedł do domu najciszej, jak potrafił, i znalazł Carłę w salonie, wpatrującą się w ekran telewizora świecącego łagodnym niebieskim światłem pustego kanału. Łód zastukał w jej szklance, gdy uniosła ją do ust.

- Nie śpisz - powiedział, a potem zobaczył, ile wypła z butelki. - Jesteś pijana.

- Czy to nie powinien być mój tekst?

- Nie, nie dzisiaj. Siedziałem w pieprzonym banku danych do za piętnaście dziesiąta. - Schylił się, by ją pocałować. - Ciężki dzień?

- Właściwie nie. To samo łajno.

- Taaak. U mnie też. - Opadł na fotel obok niej. Podała mu szklankę whisky na ułamek sekundy przed tym, jak wyciągnął po nią rękę. - Co oglądasz?

- Dexa i Seta, zanim dopadło ich zagłuszenie.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Przez ciebie nas aresztują.

- Nie w tej okolicy.

- Och, tak. - Zerknął w stronę telefonu. - Dostaliśmy coś dzisiaj?

- Jakie coś?

- Jakaś pocztę?

- Rachunki. Zeszła kolejna rata hipoteki.

- Już? Dopiero co ją brali.

- Nie, to było miesiąc temu. Przekroczyliśmy też limit na kilku kartach kredytowych.

Chris napił się trochę torfowatej whisky z Islay, cmokając z oburzeniem na świętokradztwo: łód w szklaneczce single malta. Carla rzuciła mu mordercze spojrzenie. Oddał jej szkło i wbił wzrok w ekran telewizora.

- Jak nam się to udało?

- Wydajemy pieniądze, Chris.

- Cóż. - Wyciągnął przed siebie nogi w spodniach od garnituru i znów ziewnął. - Pewnie po to właśnie je zarabiamy. W jakim to starym łajnie dzisiaj grzebałaś?

- Wraki. Jakaś firma handlująca bronią, która właśnie przeprowadziła się na północne pogranicze, straciła przez wandalów tuzin nowiuteńskich mercedesów ramjetów. Całe stadko spisane na straty.

Chris wyprostował się w fotelu.

- *Tuzin?* Co z nimi zrobili, zaparkowali na ulicy?

- Nie. Ktoś przez kanały wentylacyjne wrzucił im do garażu dyrektorskiego kilka domowej roboty bomb odłamkowych. Bum! Środki korodujące i odłamki metalu latają we

wszystkie strony. Mel dostał kontrakt na ocenę uszkodzeń i odholowanie gratis każdego spisanego. Zapłacił za posprzątanie, za to może zatrzymać wszystko, co uda mu się odzyskać z wraków. A teraz najlepsze. Niektóre z merców są ledwie zadrapane. Mel wciąż świętuje. Mówi, że jeśli korporacyjni będą się upierać przy tych bzdetach z miejską regeneracją, będziemy mieli jeszcze mnóstwo takiej roboty. Dziś wieczór pewnie wciągnął do nosa dobry metr proszku z MGP.

- Bomby odłamkowe, co?

- Tak. Fajne rzeczy dzieciaki potrafią teraz poskładać z odpadków. Nie wiem, może Mel nawet ich do tego namówił. Ma jakieś znajomości w strefach. Ochrona, prochy. Gangsterskie sprawy.

- Popaprańcy - skomentował ogólnikowo Chris.

- Tak, cóż. - W głosie Carli pojawiło się napięcie. - Zdumiewające, na co można się porwać, jeśli nie ma się nic do stracenia. I nic do roboty, tylko stać przy drucie kolczastym i patrzeć, jak po drugiej stronie przejeżdżają bogacze.

Chris westchnął.

- Carla, proszę, czy możemy przełożyć tę kłótnię na kiedy indziej? Bo od jakiegoś czasu nie powtarzałem sobie argumentów.

- Masz coś ciekawszego do roboty?

- No cóż, moglibyśmy się pieprzyć przy świetle telewizora.

- Moglibyśmy - zgodziła się poważnie. - Tylko że ja zawsze kończę na wierzchu, a wciąż mam na kolanach odciski od dywanu z ostatniego razu, gdy wpadłeś na ten genialny pomysł. Chcesz się pieprzyć, to zanieś mnie do łóżka.

- Stoi.

Później, gdy leżeli przytuleni do siebie w rozrzuconej pościeli, Carla przeturlała się za jego plecy i wyszeptła mu do ucha.

- A przy okazji, kocham cię.

- Ja ciebie też. - Odchylił się do tyłu i potarł tyłem głowy o jej piersi. Zadrżała pod wpływem dotyku krótko przyciętych włosów i instynktownie sięgnęła do jego skurczonego penisa. Uśmiechnął się i klapssem przegnał jej dłoń.

- Hej, już dość. Idź spać, nimfomanko.

- Aha! Chciałeś mnie tylko przelecieć i zostawić, tak?

- Ja - powiedział Chris, zapadając już w sen - nigdzie się nie wybieram.

- Wykorzystałeś mnie, a teraz idziesz spać. Rozmawiaj ze mną ty draniu.

Burknięcie.

- Nie powiedziałaś mi, jak ci minął dzień.

Głośny oddech. Carla podniosła się na łokciu i dźgnęła go w żołądek.

- Mówię poważnie. Jak wyglądają Inwestycje Konfliktowe?

Chris wziął ją za rękę, owinął dźgający go palec wokół własnego i przytulił się do niej plecami.

- Inwestycje Konfliktowe to krok do przodu na poziomie globalnym - powiedział.

- To prawda?

- Tak napisali w banku danych Shorn.

- Och, więc to musi być prawda.

Uśmiechnął się odruchowo, słysząc pogardę w jej głosie, i znów zaczął odpływać w sen. Zanim usnął, Carli wydało się, że znów coś mówi. Podniosła głowę.

- Co?

Nie odpowiedział, więc uświadomiła sobie, że mamrocze przez sen. Nachyliła się nad nim, próbując coś zrozumieć. Po kilku minutach zrezygnowała. Jedyne, co udało się jej wyłapać z mamrotania, to pojedyncze, wielokrotnie powtarzane słowo.

Kasa

Nim zasnęła, minęło znacznie więcej czasu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Inwestycje konfliktowe to droga postępu!

Głośny aplauz uderzył w szkło dachu jak skrzydła gołębi z przestrachem zrywających się z miejsca. W całej sali kobiety i mężczyźni zerwali się z miejsc, klaszcząc energicznie. Zebrali się tu cały oddział IK Shorn Associates. Chris zauważył, że najmłodszy wykazywali najczęściej entuzjazmu. Ich twarze wręcz nim emanowały, a oczy i zęby błyszcząły w późnopopołudniowym świetle słońca wpadającym przez dach i duże okno. Wyglądali na gotowych bić brawo, aż ich ręce zaleją się krwią. Porozrzucani w tym polu czystego entuzjazmu starsi koledzy klaskali wolniej, w spokojniejszym rytmie, nachylając się ku sobie i wymieniając komentarze pomimo hałasu. Louise Hewitt urwała i oparła się o mównicę, czekając, aż wrzawa ucichnie.

Chris zasłonił dłonią usta i ziewnął potężnie.

- Tak, tak. - Hewitt uspokajająco pomachała rękami. Sala się uspokoiła. - Mówią, że to ryzykowne, nazywają je niepraktycznymi i niemoralnymi. Słyszeliśmy już to zrzęczenie, które ekonomia wolnorynkowa ciągnie za sobą niczym kulę u nogi od chwili poczęcia. Ale nauczyliśmy się ignorować te głosy. Nauczyliśmy się, i wciąż się uczymy, dodając wizje i odnosząc sukces za sukcesem. A każdy z nich utwierdza nas w prostej prawdzie: Kto ma pieniądze - dramatyczna pauza, szczupła ręka w czarnym rękawie wyciągnięta z zaciśniętą pięścią - ma władzę.

Chris stłumił kolejne ziewnięcie.

- Ludzie toczą wojny od zarania dziejów. Tkwią one w naszej naturze i naszych genach. W ciągu ostatniej połowy stulecia ruchy pokojowe i rządy tego świata nie zakończyły wojen. Po prostu nimi zarządzały i robiły to *źle*. Nie zastanawiając się nad opłacalnością pompowały pieniądze w konflikty i armie partyzanckie w innych krajach, a potem w zawile procesy pokojowe, które najczęściej wcale nie poprawiały sytuacji. Robiły to partyzancko, dogmatycznie i nieskutecznie. Miliardy stracono na źle ocenionych wojnach, na które żaden rozsądny inwestor nawet by nie spojrział. Olbrzymie, niepraktyczne armie narodowe i niezgrabne międzynarodowe sojusze. Krótko mówiąc, potężne dziury pochłaniające fundusze naszych systemów ekonomicznych. Setki tysięcy młodych ludzi zabitych w różnych częściach świata, których nazw nie potrafili nawet właściwie wymówić. Decyzje podejmowane wyłącznie na podstawie dogmatów politycznych i doktryn. Ten model już się skończył.

Hewitt znów przerwała. Tym razem zapadła pełna emocji cisza, wypełniona gotowością do braw, tak samo jak fala upału niesie ze sobą obietnicę burzy. Zbliżając się do końca przemówienia, głos Hewitt opadł prawie do normalnego tonu. Jej słowa zwolniły i zabarwiła je zaduma.

- Na całym świecie ludzie wciąż odkrywają, że istnieją rzeczy, za które warto ginąć i zabijać. A kimże jesteśmy, by z nimi dyskutować? Czy znaleźliśmy się na ich miejscu? Czuliśmy to co oni? Nie. Nie nam mówić, że nie mają racji. W Inwestycjach Konfliktowych Shorn interesują nas tylko dwie rzeczy. Czy wygrają? I czy będą wypłacalni? Podobnie jak w innych dziedzinach, Shorn zainwestuje powierzony kapitał tylko tam, gdzie będzie mieć

pewność zysku. Nie sądzimy. Nie moralizujemy. Nie marnujemy. Zamiast tego oceniamy i inwestujemy. I zarabiamy. *To* właśnie znaczy być częścią Inwestycji Konfliktowych Shorn.

Sala jeszcze raz rozbrzmiała brawami.

* * *

- Dobre przemówienie - skomentował Notley, wprawną ręką nalewając szampana do ustawionych w rzędzie kieliszków. - Podobnie jak info prasowe, dzięki obecnemu tu Philipowi. Powinno ładnie nas ustawić na przegląd licencji osiemnastego.

- Cieszę się, że ci się podobało. - Hewitt podniosła pełen kieliszek i rozejrzała się po zgromadzonych partnerach. Nie licząc stojącego przy niej Philipa Hamiltona, pięciu przyglądających się jej mężczyźni i trzy kobiety składało się na pięćdziesiąt siedem procent kapitału Shorn Associates. Każde z nich mogło sobie pozwolić na zakup jachtu, poświęcając temu mniej uwagi niż ona kupieniu butów. Nie istniał wytwarzany na ziemi przedmiot, którego ktoś z tej ósemki nie mógł sobie kupić. Prawie czuła to bogactwo, tuż poza zasięgiem ręki, jak bekon smażący się w kuchni sąsiada. Bogactwo, którego pożądała jak seksu. Pragnęła z intensywnością ściskającą w żołądku.

Notley zakończył rozlewanie i podniósł własny kieliszek.

- No cóż, za wojny lokalne na całym świecie. Niech wciąż się tłą. I gratulacje z powodu świetnych wyników kwartalnych, Louise. Za wojny lokalne.

- Za wojny lokalne!

- Za wojny lokalne - powtórzyła toast Hewitt i napiła się z kieliszka. Prześliznęła się przez uprzejmą rozmowę na autopilocie, a udziałowcy zaczęli się stopniowo oddalać w głąb sali, szukając własnych oddziałowych akolitów. Hamilton zauważył jej spojrzenie i prawie niezauważalnie skinął głową. Wymamrotał jakąś wymówkę i odszedł, zostawiając ją z Notleyem.

- Wiesz - powiedziała cicho - dobrze byłoby nie mieć w pierwszym rzędzie usypiającego Faulknera. Ma zbyt wysokie mniemanie o sobie, Jack.

- Oczywiście. Nigdy nie byłaś w jego wieku?

- Jest tylko pięć lat młodszy ode mnie. Zresztą, zawsze miałam to. - Hewitt odstawiła swój kieliszek na gzyms i dłońmi podniosła piersi, jakby je oferując. - Nic tak nie redukuje profesjonalnego szacunku jak para cycków.

Notley z zakłopotaniem odwrócił wzrok.

- Och, daj spokój, Louise. Nie wciskaj mi znów tego starego feministycznego...

- W tym interesie fakt, że jest się kobietą, zmusza do brutalności, Jack. - Hewitt opuściła ręce. - Wiesz, że to prawda. Musiałam wywalczyć sobie każdy centymetr drogi do partnerstwa. W porównaniu ze mną, Faulkner dostał wszystko na tacy. Jeden duży strzał, trafił w wyobraźnię Przydziałów i Awansów, i jest ustawiony. Tylko spójrz na niego. Nawet się dzisiaj nie ogolił.

Wskazała w stronę baru, gdzie Chris pogrążony był w rozmowie z grupą kobiet i mężczyzn w jego wieku. Nawet z tej odległości widać było meszek zarostu na jego twarzy. Kiedy mu się przyglądali, osłonił kieliszkiem kolejne ziewnięcie.

- Daj mu spokój, Louise. - Notley ujął ją za ramię i odwrócił. - Jeśli może robić dla nas to, co dla Hammett McColl, wybaczę mu, jeśli od czasu do czasu się nie ogoli.

- A jeśli nie?

Notley wzruszył ramionami i napił się szampana.

- Wtedy nie zostanie tu długo, prawda?

Odstawił kieliszek, poklepał ją po ramieniu i odszedł w stronę grupy ludzi w garniturach. Hewitt została w miejscu, a po chwili przy jej boku bezgłośnie pojawił się Hamilton.

- I co? - zagał.

- Nie pytaj.

* * *

Po drugiej stronie sali Chris pogrążony był tymczasem po same uszy w klasycznym koszmarze imprezowym. Zakotwiczył na brzegu grupy luźno zaprzyjaźnionych ludzi, słuchając uprzejmie, choć bez śladu zainteresowania, ich rozmów o nieznanym sobie ludziach i miejscach. Szczęki bolały go od powstrzymywanego ziewania i jedyne czego pragnął, to urwać się cicho i wrócić do domu.

Piątego dnia w nowej pracy? Nie sądzę, stary.

Z nudów podszedł do baru po nowego drinka, na którego wcale nie miał ochoty. Kiedy stał, czekając na szklanekę, ktoś go szturchnął. Obejrzał się. Mike Bryant z szerokim uśmiechem, klonem Liz Linshaw u boku i tacą pełną drinków w rękach.

- Hej, Chris. - Bryant musiał krzyczeć, żeby przebić się przez odgłos tłumu. - Jak ci się podoba Hewitt? Mówi porywająco, co?

Chris bez zaangażowania pokiwał głową.

- Tak, bardzo inspirujące.

- Nie żartuj. Naprawdę bierze człowieka. Kiedy pierwszy raz usłyszałem, jak przemawia, pomyślałem, że zostałem osobiście wybrany, by przeprowadzić całej pieprzonej krucjacie dla inwestycji globalnych. Simeon Sands sektora finansowego. - Mike wykonał znośną imitację okrzyku znanego z satelitów demagoga: - *Alleluja, wierzę! Mam wiarę! A poważnie, to przyjrzyj się wykresom produktywności po każdym jej kwartalnym przemówieniu. Skaczą pod sufit, stary.*

- Dobra.

- Hej, może się przyłączysz? Siedzimy tam, pod oknem, widzisz? Zebrałem przy tych stołach paru najędźniejszych analityków pod słońcem. Prawda, Liz?

Stojąca przy Bryancie kobieta się roześmiała. Rzucając jej spojrzenie, Chris uświadomił sobie nagle, że to nie klon.

- Och tak, przepraszam. Liz Linshaw, Chris Faulkner. Chris, pewnie znasz Liz. No chyba że nie masz telewizora.

- Panno Linshaw. - Chris wyciągnął dłoń.

Liz Linshaw roześmiała się i ucałowała go w oba policzki.

- Mów mi Liz - powiedziała. - Już cię poznaję. Z akt Przydziałów i Awansów z tego tygodnia. To ty załatwiłeś Edwarda Quaina w '41, prawda?

- Och, tak.

- W tamtych czasach byłem tylko niezależną dziennikarką kanału z pirackiego satelity. Niezły strzał. Nie sądzę, żeby coś podobnej klasy zdarzyło się przez ostatnie osiem lat.

- Przestań, zaczynam się czuć stary.

- Może byście tak przestali flirtować i wzięli parę drinków - zażądał Bryant. - Mam tam

da napojenia tuzin spragnionych bydlaków. Czego się napijesz, Chris?

- Och... Laphroaig. Bez lodu.

- Jasne.

We trójkę zanieśli szkło do stolików i rozstawili je. Bryant rozpychał się i przesuwiał ludzi, żartując i rzucając groźbami, aż udało mu się wywalczyć miejsce przy swoim stole dla Chrisa i Liz. Podniósł kieliszek.

- Za wojny lokalne - powiedział. - Niech nigdy nie wygasną.

Odpowiedział mu chór potwierdzeń.

Chris wylądował obok wysokiego, szczupłego dyrektora w okularach o stalowych oprawkach, wyglądającego jak naukowiec, który przygląda się wszystkiemu przez mikroskop. Chris poczuł falę irytacji. Pretensjonalne okulary zawsze stanowiły dyżurny obiekt ataków Carli. *Pieprzona elegancja biedaków*, wybuchała na widok reklam. *Cholerna sztuczna ludzka niedoskonałość. Za chwilę modne będzie rozbijanie się wszędzie w pieprzonym wózku. To cholernie obraźliwe.* Chris w zasadzie się z nią zgadzał. Jasne, na wewnętrzną stronę szkielec można było wyświetlić obraz z terminala, ale nie o to chodziło. Carla miała rację, to kwestia smaku. A czemu, u diabła, udawać, że nie stać człowieka na operację korekcyjną skoro wszystko, co nosi, dowodzi bogactwa?

- Nick Makin - powiedziała wąska twarz zza okularów, wyciągając w bok długą rękę. Uścisk przeczył wątej sylwetce. - Ty jesteś Faulkneh, prawda?

- Zgadza się.

Mike Bryant nachylił się nad stołem w ich stronę.

- Nick był w zeszłym roku naszym najlepszym analitykiem handlowym. Przewidział letni przewrót w Gwatemali, i to wbrew wszelkim naszym modelom walk partyzanckich. To był prawdziwy wyczyn.

- Gratulacje - powiedział Chris.

- Ach. - Makin machnął ręką. - To było w zeszłym sezonie. Nie mogę bez końca na tym jechać. Jest już nowy kwartał. Czas na świeże mięso. Kolejne podejście. A skoro o tym mowa, Chris, czy to nie ty jesteś tym gościem, który w zeszłym roku w Hammett McColl zwolnił z haczyka konkurentkę do awansu?

Może to tylko złudzenie, ale nagle wszyscy zebrani przy stole zaczęli słuchać z uwagą tego młodzieńca o wygładzie rekina ze starannie maskowaną wadą wymowy. Prawdopodobnie. Chris zerknął na Bryanta. Potężny blondyn też im się przyglądał.

- Słyszałeś o tym, co?

- Tak. - Makin się uśmiechnął. - Wydawało się to... dziwne, wiesz?

- Cóż. - Chris wykrzywił się w sztucznym uśmiechu. - Nie było cię tam.

- Nie. Na szczęście dla Elysi Bennett, powiedziałbym. Wciąż gdzieś się tam khęci?

- Tak przypuszczam. Wiesz, Nick, zazwyczaj nie przejmuję się zbytnio przeszłością. Jak powiedziałeś, to nowy kwartał. Bennett była dwa lata temu.

- Mimo wszystko. - Makin rozejrzał się wokół stołu, najwyraźniej zbierając poparcie. - Takie podejście musi phowokować dużo wyzwania. Choleha, sam bym pojechał przeciw tobie po phostu dla doświadczenia, gdybym uznał, że później też najdą cię takie sentymenty. Znaczą się, gdybym przegwał.

Chris uświadomił sobie nagle, że Makin jest pijany, i napompowana alkoholem agresja

czeka tylko na sygnał. Spojrzał na swoją szklaneczkę na stole.

- Przegrałbyś - powiedział cicho.

Teraz nie była to już wyobraźnia. Zgiełk rozmów wyraźnie przycichał, w miarę jak dyrektorzy tracili zainteresowanie dyskusjami i stawali się widzami.

- Wielkie słowa. - Makin przestał się uśmiechać. - Jak na kogoś, kto nie załatwił nikogo od phawie czterech lat.

Chris wzruszył ramionami, kątem oka pilnując spoczywającej na stole lewej ręki Makina. Skatalogował opcje. Sięgnąć i przytrzymać rękę. Wyrwać mu mały palec i zabrać na pamiątkę.

- Prawdę mówiąc - powiedział chropawy głos - myślę, że to dość skromne słowa jak na kogoś, kto załatwił Edwarda Quaina.

Uwaga wszystkich przeskoczyła na drugą stronę stołu. Liz Linshaw siedziała, opierając głowę ze zmierzwionymi blond włosami na ręce o długich palcach. Machnęła trzymanym w drugiej dłoni papierosem.

- To - mówiła dalej - był ojciec wszystkich wzorcowych strażów. Nikt nie oczekiwał, że Eddie Quain wróci do pracy. No, chyba że w formie oleju.

Ktoś roześmiał się nerwowo. Ktoś inny podjął śmiech z większą pewnością i wesołość nabrała siły wokół stołu. Dołączył się Bryant. Chwila minęła. Chris rzucił Makinowi jeszcze jedno ostre spojrzenie, a potem sam zaczął się śmiać.

Udzieliła mu się atmosfera wieczoru.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Nieokreślony czas później stał, oddając mocz do poobijanego porcelanowego pisuaru, który śmierdział, jakby nie czyszczono go od tygodnia. Otaczały go ściany pokryte żółtym tynkiem, w którym wydrapano ponure i brutalne graffiti.

GANGSTERZY Z PLAISTOW W ZUPIE
PASUJĄ IM TWOJE ŁACHY
PIEPRZYĆ DZIWKĘ MARKEYA
PIENIĄDZE ZASRAJĄ ŚWIAT
EMMA MI TU SSAŁA
SAM GO SOBIE SSAŁEŚ
DYRKI GÓWNO WEZWAĆ INSPEKTORÓW
PIEPRZYĆ ONZ
LAŁ CI W MORDEĘ
BOGACI DO GAZU

Nie wszędzie było jasne, gdzie kończyła się jedna wiadomość, a zaczynała następna. A może po prostu był bardzo pijany.

Był bardzo pijany.

Kiedy przyjęcie zaczęło dogorywać, Bryant wpadł na pomysł, żeby przenieść imprezę do wydzielonej strefy.

- Może i są biedni - głos się rozmył, gdy Mike pochylił się nad stołem - ale przynajmniej potrafią się bawić. Znam tam kilka miejsc, gdzie można kupić spod lady wszelkiego rodzaju interesujące substancje, i mają tam takie pokazy, że nie uwierzycie.

Liz Linshaw skrzywiła swoje rzeźbione oblicze.

- Wygląda mi to na zabawę dla chłopców - stwierdziła. - Jeśli panowie mi wybaczą, poszukam taksówki.

Pocałowała Bryanta w usta, wywołując małą salwę okrzyków i gwizdów, po czym wyszła, rzucając Chrisowi uśmiech. Zaraz po niej z grupy odeszło jeszcze kilka kobiet, i ekspedycja Mike'a zaczęła wyglądać na zagrożoną.

- Och, dajcie spokój, nie bądźcie *mięczakami* - wymamrotał. - Czego się boicie? Mamy broń. - Wyciągnął swojego nemeksa i zaczął nim wymachiwać. - Mamy pieniądze, trzymamy to miasto za jaja. Co to za cholerne życie: jesteśmy właścicielami cholernych ulic, po których chodzą, i ich pieprzonych domów, ale i tak boimy się tam iść. Powinniśmy *rządzić* tym społeczeństwem, a nie kryć się przed nim.

Nie była to mowa kalibru Louise Hewitt, ale Mike zdołał zebrać przy stole pół tuzina młodszych mężczyzn i parę ostrzej pijących kobiet. Dziesięć minut później Chris znalazł się na fotelu pasażerskim BMW Bryanta i zaczął się przyglądać przemykającym ulicom dystryktu finansowego. Na tylnym siedzeniu siedzieli bezimienny młody dyrektor i starsza kobieta, Julie Pinion, przerzucając się agresywnymi hasłami marketingowymi. W bocznym lusterku widział światła dwóch jadących za nimi samochodów. Shorn najeżdżało wydzielone

strefy większą grupą.

- Dobra, wy tam, przyciszcie się - rzucił przez ramię Bryant, gdy skręcili za kolejny róg. Niebo przed nimi rozświetlały reflektory bramy strefy. - Nie wpuszczają nas tam, jeśli uznają, że możemy sprawiać kłopoty.

Zdumiewająco gładko zatrzymał swoje BMW przed barierką i wychylił się do podchodzącego strażnika. Chris zauważył, że Bryant żuje gumę, by ukryć wydychany alkohol.

- Jedziemy tylko do *Falklandu* - zawołał radośnie, wymachując plastikiem Shorn Associates. - Chcemy zobaczyć nocny show.

Strażnik miał po pięćdziesiątce, wyraźny brzuszek pod szarym mundurem i czerwone żyłki na nosie i policzkach. Chris zauważył chmurkę pary powstałą, gdy westchnął.

- Muszę to przeskanować, sir.

- Oczywiście. - Bryant podał kartę i odczekał, aż strażnik przesunie ją przez swój ręczny czytnik i odda z powrotem. Skaner zadźwięczał melodyjnie, a strażnik skinął głową. Wyglądał na zmęczonego.

- Jesteście uzbrojeni?

Bryant odwrócił się do wnętrza wozu.

- Pokażcie panu wasze pacyfikatory.

Chris wyciągnął z kabury nemeksa i pokazał go. Usłyszał, że dyskutujący za nimi zrobili to samo. Strażnik błysnął latarką po oknach i wolno kiwnął głową.

- Proszę uważać, sir - powiedział Bryantowi. - W tym tygodniu były zwolnienia w Pattons i Greengauge. Wielu wściekłych ludzi się dzisiaj upija.

- Cóż, nie będziemy się nigdzie pchać - gładko zapewnił go Bryant. - Nie chcemy kłopotów. Chcemy tylko zobaczyć przedstawienie.

- Dobra, w porządku. - Strażnik wrócił do budki i machnął do kogoś siedzącego w środku. Szlaban zaczął się podnosić. - Muszę sprawdzić też pańskich przyjaciół. Zaparkuje pan tam za bramką, zanim ich przepuścimy?

- Z przyjemnością. - Mike posłał mu uśmiech i przejechał swoim BMW.

Drugi samochód dotarł na drugą stronę dość szybko, ale z trzecim były problemy. Spojrzeli do tyłu i zobaczyli strażnika potrząsającego głową, podczas gdy z okien samochodu wychyliły się gestykulujące postacie w garniturach.

- Co się tam, u diaska, dzieje? - wymamrotała Julie Pinion. - Nie mogli udawać trzeźwych choć przez kilka minut?

- Zostańcie tu - rzucił Bryant i wyszedł z samochodu. Przyglądali się, jak idzie do trzeciego wozu, nachyla się i mówi coś do wystających ze środka. Głowy zniknęły w samochodzie, jakby pociągnięte za sznurek. Bryant położył rękę na ramieniu strażnika i sięgnął do kieszeni. Coś mu podał. Strażnik powiedział coś do kierowcy, a ze środka dobiegł wyraźny okrzyk zadowolenia. Bryant wrócił z uśmiechem na twarzy.

- Drobna łapówka - wyjaśnił, wsiadając do samochodu. - Przy tym, co im tu płacą, powinna być obowiązkowa.

- Ile mu dałeś? - zapytała Pinion.

- Stówę.

- Stówę! Jezu.

- Och, daj spokój, Julie. Dawałem większe napiwki kelnerkom. A jeśli ta imprezka pójdzie nie tak, jak trzeba, będzie miał znacznie więcej problemów niż kelnerka.

Mały konwój wjechał w wydzieloną strefę.

Przejsie było bardzo ostre. W dystrykcie finansowym ulice oświetlały strumienie halogenowych latarni, rozpraszających wszelkie cienie. Tutaj lampy uliczne były niczym samotni strażnicy i co dwadzieścia metrów rozlewały u swych stóp skromne plamy światła. W niektórych miejscach nie działały, bo miały przepalone bądź stłuczone żarówki. Gdzie indziej zniszczono je bardziej zdecydowanie, zmieniając latarnie w poszarpane betonowe słupy, wciąż połączone z podstawami płataniną kabli i stalowego zbrojenia.

- Patrzcie na to - odezwała się zde gustowana Pinion. - Co za banda pieprzonych bydlaków. Nic dziwnego, że nikt nie chce wydawać pieniędzy na porządkowanie tych okolic. Za chwilę wszystko znów by zniszczyli.

Zmieniła się nawet nawierzchnia ulicy pod kołami. Po stu metrach od bramki zrobiło się nierówno i Bryant musiał zwolnić, mijając wypełnione wodą wgłębienia wielkości małych stawów ogrodowych. Po obu stronach ulicy tłoczyły się domy. Tu i ówdzie, bez żadnej widocznej przyczyny, któryś został zniszczony, a dziurę po nim wypełniły gruzy i sterty śmieci. Na ulicy nie było żadnych innych samochodów, ani jadących, ani zaparkowanych. Po chodnikach poruszały się nieliczne postacie, ale nieruchomiały, spoglądając na toczące się wolno opancerzone salonki w kolorze zmierzchu z logo Shorn Associates. Większość podnosiła kołnierze albo wtapiała się w cień.

- Ciarki przechodzą - odezwał się młody dyrektor siedzący za Chrisem. - Wiedziałem, że tu jest paskudnie, ale...

- Paskudnie? - Julie Pinion roześmiała mu się w twarz. - Myślisz, że to wygląda paskudnie? Mike, pamiętasz przedmieścia na tym zadupiu, gdzie wysłali nas w zeszłym roku na Boże Narodzenie?

- Tak, Muong Khong. - Bryan spojrział w lusterko wsteczne. - Takie miejsca sprawiają, że człowiek zupełnie inaczej patrzy na ubóstwo. Byłeś kiedyś w delegacji, Chris? Na rynkach rozwijających się?

- Tak, parę razy.

- Dość paskudne, co?

Chris przypomniał sobie nawoływanie muezina rozchodzące się w ciepłym, wieczornym powietrzu, zapachy gotowania i małe dziecko zaganiające do domu trzy kozy. Później, gdy przechodził koło domu z kamieni i słomy, wyszła z niego chyba czternastoletnia dziewczyna i zaoferowała mu owoc z kolacji, ponieważ był gościem w ich wiosce. Niespodziewana uprzejmość ze śladami starożytnej i obcej kultury wycisnęła mu z oczu łzy.

Nigdy o tym nikomu nie powiedział.

- Nie są to miejsca, gdzie chciałbym żyć - stwierdził.

Pinion parsknęła.

- Jasne - zgodziła się.

Falkland okazał się przysadzistym budynkiem z cegły na skrzyżowaniu dwóch ulic z malowniczo porzrzuconymi wrakami samochodów. Pojazdy wyglądały na dostatecznie stare, by w czasach swojej świetności jeździć na ołowiowej benzynie. Mały konwój Mike'a Bryanta zatrzymał się lekceważąco i wypuł postaci w garniturach.

- Nie ma tu żadnych samochodów - odezwał się zatroskanym głosem młodzieniec z ich pojazdu. - Dopiero teraz zauważyłem.

- Oczywiście, że nie ma - stwierdziła Pinion, zerkając w stronę Chrisa. - Kto poza bandytami może tu sobie, twoim zdaniem, pozwolić na zbiornik paliwa? Albo na prawo jazdy, jeśli już o tym mowa?

- Cena zielonej polityki - powiedział Mike, uzbrajając alarm wozu. - Idziecie czy nie?

Drzwi *Falklanda* wykonane były z powygniataanej stali. Przed nimi stało dwóch mężczyzn w kombinezonach. Jeden trzymał w lewej dłoni obrzyn, a drugi, starszy, obserwował ulicę z rękami założonymi niedbale na piersiach. Kiedy zauważył Mike'a Bryanta, rozłożył ramiona, a na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Przechodząc przez ulicę, Mike uniósł dłoń w geście powitania.

- Cześć, Troy. Co ty robisz przy cholernych drzwiach, stary?

- Pilnuję interesu. - Ciężki jamajski akcent. - Daję się oglądać. A to więcej, niż mogę powiedzieć o tobie, Mike. Cholernie dawno cię nie widziałem. Co jest, Suki już cię nie wypuszcza na zabawę?

- Zgadza się. - Mike mrugnął. - Odcięła go i zamknęła w szafce przy łóżku. W ten sposób może go wyjmować i zabawiać się, jak siedzę w pracy. Co, swoją drogą, trwa cały pieprzony czas.

- Cholerna prawda. - Spojrzał na grupę, którą Bryant ściągnął do baru. - Twoi kumple?

- Tak. Julie, Chris. Poznajcie Troya Morrisa. Jest właścicielem tej speluny. Między innymi. Troy, Julie Pinion, Chris Faulkner. Pozostałych nie pamiętam. - Bryant machnął w stronę reszty przyjezdnych. - Po prostu pochlebcy. Wiesz, jak to jest, kiedy jest się kimś ważnym.

Jamajczyk roześmiał się głośno.

- Faulkner - powiedział po chwili. - Żadnych związków z Williamem, co?

Chris zamrugał, nie rozumiejąc. Zanim zdążył zapytać, znów wtrącił się Mike Bryant.

- Wszyscy coś mają Troy. Swojego zostawiłem w samochodzie, ale oni są nowi i nie znają zasad. Wybacz im. Masz torbę na sprzęt?

Weszli do środka dopiero, kiedy zdeponowali około tuzina pistoletów w natłuszczonej torbie, wyraźnie przeznaczonej do tego celu. W wypełnionym dymem barze zapadła nagle cisza. Nawet dziewczyna na scenie znieruchomiała w pół obrotu, zaciskając w dłoniach odurzonego narkotykami boa. Muzyka grzmiała dalej, chwilowo nietłumiona przez rozmowy. Mike kiwnął głową, podszedł do stołka przy środku baru i wspiął się na niego.

- Jak może zauważyliście - powiedział głośno, by przebić się przez muzykę - jesteśmy dyrkami. Wiem, że możecie to tu uznawać za zbrodnię, ale nie chcemy kłopotów. Chcemy tylko postawić drinka wszystkim w sali i też wypić sobie parę. Jeśli komuś to nie odpowiada, niech przyjdzie porozmawiać ze mną albo moim przyjacielem Troyem Morrisem, a jakoś rozwiążemy ten problem. Jeśli nie, to przez najbliższe dziesięć minut bar jest otwarty, a drinki idą na mój rachunek. - Odwrócił się do dziewczyny na scenie. - Proszę. Zabawa musi trwać. Wygląda na to, że przyszliliśmy na czas.

Zszedł ze stołka i poszedł porozmawiać z barmanem. Z wolna odżyły rozmowy. Tancerka trochę sztywno wróciła do tego, co robiła z wężami. Ludzie zaczęli podchodzić do baru, najpierw kilku, a potem wszyscy obecni. Wydawało się, że Bryant zna paru z nich.

Chris został przedstawiony, natychmiast pozapominał nazwiska i przyduśił Mike'a.

- O co chodziło Troyowi, gdy pytał o pokrewieństwo z Williamem?

Bryant wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Troy zna mnóstwo ludzi. Co pijesz?

I tak się to toczyło, w noc wypełnioną przez jakiś czas hałasem i wesołością, a potem ponownym dobieraniem się w pary, w miarę jak ludzie wychodzili. Szalony nastrój Chrisa przeszedł w coś bardziej refleksyjnego. Julie Pinion wróciła do domu taksówką, ciągnąc za sobą na holu młodego menedżera, z którym nieustannie się kłóciła. Około trzeciej nad ranem kierowca jednego z pozostałych samochodów ogłosił swoje odejście i większość ludzi z Shorn odjechała razem z nim. O czwartej impreza ograniczyła się już do jednego stolika - Chrisa, Mike'a, Troya Morrisa i paru tancerek, już ubranych i pozbawionych większości jaskrawego makijażu. Jedna przedstawiła się jako Emma, i wracając z ubikacji, Chris zastanawiał się, czy była bohaterką jednego z napisów wydłubanych między komentarzami politycznymi.

Kiedy wrócił do stołu, Emma zniknęła, a Troy odchodził z jej koleżanką. Torba z bronią z warty przy drzwiach leżała na stole, a obrzyn i nemex Bryanta spoczywały obok siebie na materiale. Chris dołączył do pożegnań i mnóstwa pijanych obietnic podtrzymywania znajomości.

- Tak - stwierdził Troy, wskazując na Chrisa. - Powinieneś pisać. Odszedł, rechocząc głośno, ze strzelbą przewieszoną przez ramię, drugą ręką obejmując talię tancerki. W tej chwili Chris poczuł przemożną chęć, żeby być Troyem Morrisem wychodzącym z *Falklanda* na zdecydowanie prostszy i, sądząc po śmiechu Murzyna, znacznie radośniejszy świat.

Opadł na krzesło naprzeciw Bryanta.

- Zdecydowanie - powiedział starannie - za dużo wypilem.

- Cóż, jest piątek. - Uwaga Bryanta skupiona była na rozpalanej właśnie zapalniczką szklanej fajce. - Zmień konia, spróbuj tego.

Chris skupił wzrok na tym, co robił Bryant.

- Czy to...

Bryant rzucił mu znad fajki spojrzenie zwięzłych irytacją oczu.

- Ach, daj spokój, stary. Rozluźnij się. Tylko trochę na lepszą jazdę.

Zawartość fajki zadymiała i Mike spazmatycznie wciągnął powietrze. Jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Jęknął, a gdy oddawał fajkę, jego głos brzmiał skrzekliwie.

- No. I jak ci się podoba?

Chris zmarszczył się, zmieszany.

- Co?

- Inwestycje Konfliktowe po tygodniu. Nie, nie, bierz jeszcze. Jakie wrażenia?

Chris gestem odmówił fajki.

- Nie, dzięki.

- Mięczak. - Bryant uśmiechnął się, łagodząc obelgę, i postukał niecierpliwie w stół. -

No powiedz mi. Jakie wrażenia?

- Co?

- Jebane Inwestycje Konfliktowe!

- Och. - Chris zebrał przymulone myśli. - Interesujące.

- Ta? - Bryant wyglądał na rozczarowanego. - To wszystko?

- Nie różnią się specjalnie od Rynków Rozwijających się, Mike. - Próba myślenia oznaczała ciężką pracę. Chris zaczął się zastanawiać, czy powinien był przyjmować fajkę. - Bardziej długoterminowe działanie, ale zasadniczo to samo. Tak, podoba mi się. Poza tą suką Hewitt.

- Ach. Zastanawiałem się, jak się wam układa. Poprzykaliście się, co?

- Można tak powiedzieć.

Bryant wzruszył ramionami.

- Hej, nie pozwól się zniechęcić. Hewitt jest taka, od kiedy pamiętam. Na tym polu kobiecie zawsze było trudniej coś osiągnąć, więc są dwa razy twardsze. Muszą. Widzisz, ostatnio Hewitt praktycznie *stanowi* Inwestycje Konfliktowe. Duża reorganizacja z pięć lat temu, drastyczne cięcia oszczędnościowe. Oddział został ograniczony do minimum. Jest duże parcie na dobre wyniki, a większość tego nacisku łąduje prosto na Hewitt.

- Notley jest starszym partnerem.

- Notley? - Bryant pociągnął z fajki. - Nie, firma na początku była jak jego dziecko, ale kiedy został starszym, zrzucił wszystko na Hewitt i Hamiltona. Był jeszcze jeden facet, Page, ale Hewitt wyzwała go tuż przed zeszłorocznym podziałem zysków. Zepchnęła go prosto z Gullet. Uwierzysz?

- Gullet?

- Tak, no wiesz. Ostatnia sekcja M11, kiedy jedziesz nad strefami. Tam, gdzie się zwęża do dwóch pasów i gdzie załatwiłeś tego bezfirmowca, tylko już za tunelem. Na podjeździe w górę. Hewitt pozwoliła się tam wyprzedzić Page'owi, wiedziała, że będzie musiał zwolnić albo zawrócić. To już nie te dni, gdy wystarczyło przyjechać do pracy jako pierwszy, teraz trzeba się zjawić z krwią na kołach albo wcale. Więc tak... Pozwoliła mu jechać, czeka, on nie jest dość dobry, by zrobić zwrot o 180 stopni na tak wąskiej drodze, więc zwalnia i próbuje jechać z boku na bok, ale ona mu nie pozwala i taranuje go na zakręcie. Barn! - Bryant przytrzymał fajkę zębami i trzasnął pięścią w otwartą dłoń. - Page przelatuje przez barierkę, spada z drogi i przebija się przez siedem pięter domu w strefie, jakby był z papieru. Gdzieś po drodze rozwaliło mu zbiornik z paliwem. Buuum. *Adios muchachos*, wszyscy na czarno.

- Jezu.

- Ta, całkiem, kuźwa, imponujące. - Mike zmarszczył się na fajkę i znów spróbował użyć zapalniczki. - Widzisz, to co zrobiła Hewitt, jest w porządku, ale teraz musi dowieść, że nie potrzebuje dwóch młodszych partnerów do pomocy w kierowaniu IK. Jeśli nie da rady, to znaczy, że podjęła złą decyzję. Wyzwanie z czystej chciwości. Nikt tutaj nie ma nic przeciwko chciwości, o ile tylko służy to też firmie. Jeśli Hewitt podoła, oszczędzi Shorn wydatków na młodszego partnera i razem z Hamiltonem dostanie większe udziały. To kompromis wolnorynkowy. Coś dla nas, coś dla nich. Ale jeśli jej się nie uda, pójdzie na dno, i wie o tym.

- Cóż, pani Inwestycje Konfliktowe nie darzy mnie zbyt wielkim zaufaniem - stwierdził ponuro Chris. - Najwyraźniej nie jestem dla niej dość krwiożerczy.

- Tak ci powiedziała? - Bryant potrząsnął głową. - Cholera, po tym, co zrobiłeś z Quainem? To nie ma sensu.

- No cóż, powiedzmy, że nie wszystkie moje wyzwania zakończyły się tak

bezkompromisowo. Te historie z zabij albo zgin są tylko dla filmowców. To bzdety, stary. *Nie* zawsze musisz zabić. *To* jest bzdety. - Chris nachylił się z nowo rozbudzonym entuzjazmem. - Widziałeś kiedyś któryś z tych starych filmów samurajskich?

- Bruce Lee? Takie rzeczy?

- Nie, nie te. Te starsze. Bardziej subtelne. Widzisz, jest dwóch facetów i mają się pojedynkować. Więc stają naprzeciw siebie z wyciągniętymi mieczami. - Chris uderza wyobrażonym mieczem, a Bryant odruchowo odskakuje. Oczy natychmiast mu się zwięzają a potem wybucha śmiechem.

- Oops. Wystraszyłeś mnie.

- Przepraszam. Niechcący. No i tak, stoją tak naprzeciw i patrzą sobie w oczy.

Wbił spojrzenie w oczy Bryanta, który znów wybuchnął śmiechem.

- Tylko patrz. Bo obaj wiedzą że ten, który pierwszy mrugnie albo odwróci wzrok, będzie tym, który musi przegrać walkę.

Śmiech Bryanta umilkł. Odłożył fajkę na bok. Obaj mężczyźni nachylali się teraz nad stołem, wbijając wzrok w oczy drugiego z chemicznie modyfikowanym skupieniem. Bezruch chwili się przeciągał. Dźwięki baru opadły w tło, szum morza na odległej plaży. Czas pędził jak pociąg, na który obaj się spóźnili. Na porysowanym drewnianym stole spokojnie dymiła fajka. Ich spojrzenia zablokowały się przez smużkę dymu, oko w oko. Ich wewnętrzna cisza zaczęła się z wolna udzielać światu.

Mike Bryant mrugnął.

Mike Bryant się roześmiał i odwrócił wzrok.

Chwila odleciała jak jesienny liść i Chris opadł na oparcie krzesła z malującym się na twarzy wyrazem podkręconej alkoholem satysfakcji. Bryant uśmiechnął się trochę za szeroko. Chris był zbyt pijany, by zauważyć podwyższone napięcie. Bryant złożył palce w pistolet i wycelował Chrisowi w twarz.

- *Bum!*

Znów wybuchnęli śmiechem, tym razem obaj. Bryant wydał odgłos przypominający skrzyżowanie parsknięcia i jęku.

- No i proszę. Zwyciężyłeś.

Chris kiwnął głową.

- Ale ja ci odstrzeliłem tę pieprzoną głowę.

- Jasne. - Chris nachylił się nad stołem. Zachwycony. Nieświadomy jadu kryjącego się w głosie drugiego mężczyzny. - Ale widzisz, nie było potrzeby. Już ustaliliśmy zwycięzcę. Zamrugaleś. To ja bym wygrał.

- Bzdura. Może miałem rżęsę w oku. Może wszyscy ci samurajowie uciekali przed walkami, które mogliby wygrać, tylko dlatego że drał im tego dnia mięsień? Zresztą, gdzie wyczytałeś te bzdury?

- Nie rozumiesz, Mike. Tu chodzi o całkowite opanowanie. To pojedynek między dwoma ludźmi, nie dwoma zestawami umiejętności. Moglibyśmy walczyć na pięści i mógłbyś przyjść z pistoletem. Moglibyśmy do siebie strzelać, a ty przyjechałbyś opancerzonym samochodem z miotaczem ognia. Nie o to chodzi w pojedynku.

Bryant ponownie podniósł fajkę.

- W pojedynku chodzi o zwycięstwo, Chris - powiedział.

Chris go nie słuchał.

- Pomyśl o Chinach kilka stuleci temu. Zdarzały się przypadki, że dwóch dowódców siadało na polu bitwy i grali w szachy, żeby zdecydować o wyniku bitwy. Szachy, Michael. Żadnej śmierci, mordowania, tylko gra w szachy. I stosowali się do wyniku.

Bryant spojrział na niego sceptycznie.

- Szachy?

- Po prostu gra w szachy. - Chris wpatrywał się w róg sali. - Wyobrażasz to sobie?

- Nie, nie wyobrażam. - Bryant wcisnął fajkę do kieszeni i zaczął się podnosić. - Ale przyznaję, że to niezła historia. No dobra, może dopchamy się do samochodu i zabierzemy się stąd, zanim wstanie świt? Bo Suki rozerwie mnie na kawałeczki, jeśli wkrótce nie wrócę. A ona nie grywa w szachy.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Przez boczne drzwi wyszli z *Falklanda* na inną ulicę. Zimne powietrze uderzyło jak policzek i przez chwilę Chris się zataczał. Zaczął się zastanawiać, jak Bryant radzi sobie z fajkowym hajem.

- Gdzie ten cholerny samochód?

- Tędy.

Bryant złapał go za ramię, wyciągnął za róg i ruszył przez opuszczoną ulicę. W połowie drogi zatrzymał się gwałtownie.

- Ups - powiedział cicho.

BMW stało po drugiej stronie ulicy pod jedną z nielicznych działających latarni. Na samochodzie siedziało czterech mężczyzn i kobieta, wszyscy ubrani w poplamione smarem dżinsy i kurtki. Brud był mundurem, a blade milczące twarze stanowiły do niego stylowy dodatek. Głowy ogolone i pokryte tatuażami, stopy w ciężkich butach. Dłonie pełne różnych metalowych narzędzi.

Żadne z nich nie wyglądało na więcej niż osiemnaście lat.

Popatrzyli na dwóch mężczyzn w garniturach stojących po drugiej stronie ulicy i nie ruszyli się z samochodu.

- Musisz dać do naprawy swój ogłuszacz kontaktowy, Mike - zachichotał wciąż pijany Chris. - Zobacz, jakie gówno się przylepia, jeśli go nie włączasz.

- Zaniknij się, do cholery - wyszczał Bryant.

Kobieta z grupy porywaczy samochodów z wdziękiem opuściła się z dachu.

- Ładny samochód, mister Dyrek - powiedziała poważnie. - Masz kluczyki?

Bryant automatycznie sięgnął do kieszeni. Oczy kobiety wychwyciły ruch. Z satysfakcją kiwnęła głową.

- Złaźcie z mojego pieprzonego samochodu! - wrzasnął Bryant.

Pozostała czwórka podniosła się jednym ruchem, wyciągając przy tym ręce z prowizoryczną bronią. Chris zerknął na towarzysza.

- Zły ruch, Mike. Masz broń?

Bryant prawie niezauważalnie potrząsnął głową.

- Zostawiłem w samochodzie. A ty?

- Tak. - Chris urwał, zakłopotany. - Ale nie jest naładowana.

- Co?

- Nie lubię broni.

- Widzicie, jest tak. - Głos kobiety sprawił, że Chris oderwał wzrok od pełnego niedowierzania spojrzenia Bryanta. - Albo dacie nam kluczyki, portfele i zegarki, albo wam je zabierzemy. To nasza najlepsza oferta.

Złożyła dłoń, wyciągając kciuk i mały palec, po czym przyłożyła ją do twarzy jak dziecięcy telefon.

- Sprzedaj, sprzedaj, sprzedaj.

Bryant wymamrotał coś kątem ust.

- Co? - odpowiedział w ten sam sposób Chris.

- *Powiedziałem: wracamy, skąd przyszlismy, i spierdalamy!!!*

I już przepadł, pędząc sprintem za róg, zza którego się przed chwilą wyłonili. Chris pobiegł za nim, niezdolny utrzymać pionu w butach z argentyńskiej skóry. Za sobą słyszał motywację - krzyki i dźwięki pościgu. Dogonił Bryanta i ze zdumieniem stwierdził, że tamten się uśmiecha.

- Nie ma to jak noc w strefie - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Spróbuj utrzymać tempo.

Za nimi ktoś przesunął metalowy pręt po betonowej ścianie. Odgłos kojarzył się z olbrzymią wiertarką dentystyczną.

Spojrzeni na siebie i przyspieszyli.

Trzy przecznice od *Falklanda* okolica zmieniła się ze zniszczonej na kompletnie zrujnowaną. Domy stały się nagle wrakami, które wyglądały pozbawionymi szyb dziurami okien na ulicę i maleńkie, zaśmiecone ogródki. Chris, którego napompowany adrenaliną mózg zaczął wreszcie pracować, chwycił Bryanta i ściągnął go w bok, do jednego z ogródków. Przeskoczyli nad stertami śmieci i przebiegli przez drzwi, które ktoś wyważył już dawno temu. Powstały w ten sposób otwór do połowy wysokości zarósł chwastami. W głębi czekał wąski i ciemny korytarzyk biegnący równolegle do schodów, z których wyrwano połowę słupków poręczy. Na końcu korytarza wyłożony drewnem pokój śmierdzał zgnilizną i chorobą.

Chris podszedł ostrożnie do schodów i nasłuchiwał krzyków bandziorów przebiegających obok ulicą.

Bryant złożył się wpół, oparł dłonie na kolanach i dyszał ciężko.

- Zechciałbyś mi powiedzieć - zdołał po chwili wydyszeć - *czemu* nosisz przy sobie nienaładowany pistolet?

- Powiedziałem ci. Nie lubię broni. I nie podoba mi się, że Louise Hewitt dyktuje mi, co mam robić.

- Stary, masz kiepskie nastawienie po pięciu dniach. Na twoim miejscu nikomu bym tego nie mówił.

- Czemu nie? Tobie powiedziałem, prawda?

Bryant się wyprostował i spojrzał na niego ostro.

- Zresztą, gdzie jest twoja splanowa, kowboju?

- Przynajmniej jest *nabita*.

- Dobra, przypomnę stare przysłowie pszczoł. - Chris zdołał wreszcie opanować oddech. - Pistolet w ręku wart jest więcej niż *pieprzone pół miliona zamkniętych w samochodzie*.

- Tak, tu masz rację. - Uśmiech Bryanta rozświetlił mrok. - Ale nie spodziewałem się tego rodzaju problemów. Jesteśmy ledwie kilka klików w głąb strefy. Ci faceci wyszli poza swój teren.

- Myślisz, że o tym wiedzą? - Chris kiwnął głową w stronę ulicy, gdzie znów rozległy się głosy wracających. Przynajmniej część gangu szła po ich śladach. Dźgnął palcem do góry i Bryant wspiął się w mrok po trzeszczących schodach. Chris zapadł w cienie wzdłuż korytarza i schował się w pokoju na jego końcu. Podłoga pod nogami była śliska. Próbował nie oddychać.

Chwilę później dwóch zbirów stanęło dokładnie w miejscu, gdzie jeszcze niedawno stał z Bryantem. Obaj uzbrojeni byli w łomy.

- Nie rozumiem, po co nam w ogóle te kluczyki. Czemu nie rozwalimy po prostu szyby.

- Ponieważ, kretynie, to BMW serii Omega. - Drugi ze ścigających rzucił pełne powątpiewania spojrzenie w górę schodów. – Najwyższej kuźwa klasy korporacyjny sprzęt. Te sukinsyny mają alarmy, blokady silnika i nadajniki lokalizacyjne. Nie przejechałbyś nawet stu metrów, a już by cię pierdziele dorwali.

- I tak moglibyśmy go rozwalić. Wyrwać wszystko.

- Ruf, masz zero ambicji, stary. Gdyby nie Molly, rozwalabyś budki telefoniczne i rzucał kamieniami w taksówki. Musisz sięgać wyżej. No chodź. Tu ich nie ma. Za duże ryzyko, że pobrudzą sobie garniturki. Chodź...

Chrisowi pośliznęła się noga. Uderzył w coś, co potoczyło się po kafelkowanej podłodze. Zgrzyt szkła. Chris zacisnął zęby i sięgnął dłonią do rękojeści nienaładowanego pistoletu. Dwaj bandyci znieruchomieli przy drzwiach.

- Słyszałeś to? - zapytał ambitniejszy z dwójki. W słabym świetle padającym od drzwi Chris zobaczył zarys uniesionego łomu. - Dobra, mister Dyrek. Gra skończona. Wylaź i oddaj nam te cholerne kluczyki, a może zostawimy ci parę zębów.

Dwaj bandyci ruszyli korytarzem. Byli mniej więcej w połowie, gdy Mike Bryant wypadł z góry przez szczelinę między poręczami. Stopami wylądował na głowie idącego z tyłu zbira i obaj padli na podłogę. Słyszając hałas, idący z przodu bandzior odwrócił się do tyłu, a Chris wyskoczył z ukrycia. Uderzył z całej siły, celując wysoko w twarz i nisko w żołądek. Bandyta odwrócił się za późno. Wysoki cios Chrisa złamał mu nos, a kiedy złożył się wpół, prawy sierpowy wylądował mu na przeponie. Chris złapał przeciwnika za ramiona i walnął jego głową o ścianę. Z przodu zobaczył Bryanta dzwigającego się na nogi i walącego mocno w odsłonięty brzuch zbira. Mięśniak jęknął i zwinął się w kłębek. Bryant kopnął go jeszcze raz, w głowę.

- *Sukinsynu!* Będziesz ruszał mój samochód, ty pieprzona kupo *gnoju?!*

Chris złapał go za ramię. Bryant zawirował w miejscu.

- Hej, już po wszystkim. - Chris cofnął się, unosząc dłonie. - Gra skończona, Mike. Chodź. Zostało ich już tylko troje. Spróbujmy wrócić do samochodu.

Z twarzy Bryanta znikła furia.

- Tak, dobrze. Zróbmy to.

Ulica na zewnątrz była cicha. Rozejrzeli się, potem wysliznęli się z kryjówki i ruszyli z powrotem w stronę *Falklanda*. Bryant wskazywał drogę. Po niecałych pięciu minutach dotarli do rogu pubu; BMW stało, błyszcząc nieskazitelnie w świetle latarni, jakby nic się nie stało.

Ostrożnie obeszlili pojazd. Nic.

Bryant wyciągnął kluczyki i nacisnął guzik. Alarm wyłączył się z przytłumionym skrzekiem. Już miał otworzyć drzwiczki, gdy z zacienionych drzwi w odległości niecałych pięciu metrów wyłoniła się ogolona dziewczyna ze stalowym prętem uniesionym w ironicznym pozdrowieniu. Wsadziła palce do ust i przeraźliwie głośno zagwizdała. Z cienia po drugiej stronie wozu wychynął się kolejny bandzior, podobnie uzbrojony, i ruszył w ich stronę. Kobieta uśmiechnęła się do Bryanta.

- Pomyślałam, że wróćcie. To jak, rzucisz mi te kluczyki?

Kiedy skupiła wzrok na Bryancie, Chris wyciągnął pusty pistolet i skierował go w jej stronę.

- Dobra, już wystarczy - warknął. - Cofnij się.

Drugi bandyta zrobił krok do przodu, a Chris przesunął broń w jego kierunku, modląc się, by mu uwierzono.

- Ty też. Cofnij się albo zginiesz. Michael, wsiadaj do wozu.

Bryant otworzył drzwiczki. Chris zaczął macać za klamkę z drugiej strony, gdy kobieta się odezwała.

- Ten pistolet chyba nie jest naładowany.

Zrobiła krok do przodu, kolega poszedł w jej ślady. Chris machnął nemecksem.

- Powiedziałem, cofnąć się.

- Nie, już byś nas zastrzelił. Błefujesz, mister Dyrek. Podniosła swój pręt i zrobiła kolejny krok. W tej samej chwili z samochodu wyłonił się Mike Bryant z nemecksem w dłoni.

- Ja nie błefuję - powiedział spokojnie i strzelił jej trzy razy w żołądek i pierś.

Bum, bum, bum.

Huk pistoletu na cichej ulicy. Echa odbite od domów.

Chris zobaczył to i usłyszał w strzępach.

Kobietę odrzuciło o dwa metry, zanim padła. Pręt wyleciał jej z dłoni i spadł z brzękiem na ulicę, staczając się głośno do kanalizacji.

Drugi zbir wycofał się z pojednawczo podniesionymi rękami.

Z nieruchomą twarzą Bryant wystrzelił w niego trzy kolejne pociski.

Bum, bum, bum.

Bandzior okręcił się i podskoczył jak marionetka, uderzył w ścianę i zsunął się po niej, zostawiając na ceglach wnętrzości i krew.

- Mike...

Dźwięk pędzących stóp.

Ostatni członek gangu, przywołany przez strzały, pędził przez ulicę w stronę ciał. Wydawało się, że nie zwraca uwagi na dwóch mężczyzn w garniturach. Opadł na kolana obok kobiety, pełen niedowierzania.

- Molly! *Molly!*

Chris spojrział na Bryanta.

- Mike, daj...

Bryant uciszył go machnięciem ręki i wycelował niżej.

Bum, BUM.

Kłęczący chłopak podskoczył jak porażony prądem, po czym pochylił się wolno nad kobietą i padł na ziemię. Krew pociekła po ulicy i zaczęła się wlewać do studzienki obok łomu.

Echa przetoczyły się w mroku przedświtów jak niechętna brawa.

* * *

Do bramki jechali w milczeniu. Chris pogrążony był w pełnym otępieniu niedowierzaniu. Strażnik ich przepuścił, rzuciwszy ledwie okiem. Jeśli wyczuł kordyt z pistoletu Mike'a, nic nie powiedział. Bryant życzliwie pomachał mu na dobranoc i wdepnął gaz, rozpędzając duży wóz w dobrze oświetlonych kanionach dystryktu finansowego. Nucił

cicho pod nosem.

Gdy zbliżyli się do biurowca Shorn, rzucił spojrzeniem na Chrisa.

- Chcesz się u mnie przespać? Mam mnóstwo miejsca.

Nagle nie do zniesienia stała się myśl o godzinnej jeździe do domu. Chris zmusił do działania ochryple gardło.

- Tak, dzięki.

- Dobra. - Bryant przyspieszył i skręcił na zachód.

Chris patrzył na przeredzające się wokół nich drapacze chmur. Gdy BMW wyjechało na główną drogę prowadzącą do obwodnicy Londynu, obrócił się lekko w fotelu w stronę Bryanta.

- Nie musiałeś ich wszystkich zabijać, Mike.

- Tak, musiałem. - W głosie Bryanta nie było wrogości. - Co innego miałem zrobić? Oddać strzały ostrzegawcze? Te gówna o symbolizmie walki nie działają z takimi ludźmi. To śmieci z gangów, Chris. Nie wiedzą, jak się poddać z wdziękiem.

- Oni już przegrali. I to były dzieciaki. Uciekliby.

- Tak, tak. Do następnego razu. Słuchaj, Chris, tacy ludzie nie trzymają się cywilizowanych reguł. Rozumieją tylko przemoc.

Na zewnątrz pędzącego samochodu niebo na wschodzie zaczynało jaśnieć. Chrisa rozboleła głowa.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Chris obudził się przerażony, z przekonaniem, że zdradził Carlę. Obok niego na łóżku siedziała Liz Linshaw, smarując tosta masłem i wycierając niedbale nóż o pościel.

- Śniadanie w łóżku - oświadczyła autorytarnie - jest *takie* sexy.

Chris spojrział na pozostawiane przez nią plamy i poczuł w gardle gulę smutku i żalu. Nie było mowy, żeby zdołał to ukryć przed Carlą.

Gwałtownie otworzył oczy. Światło słońca przeświecało przez perkalowe zasłony tuż nad jego głową. Przez chwilę perkal zagłuszył sen. Carla serdecznie go nienawidziła. To znaczy, że naprawdę wrócił do domu z Liz Linshaw. Obrócił się na bok z wciąż tkwiącymi w gardle łzami i...

Leżał w pojedynczym łóżku.

Podniósł się, nic nie rozumiejąc. Pasujące do siebie perkalowa narzuta i pokrycia na poduszki oraz potężny kac. Zaraz po obrazach zaatakowały go wspomnienia wczorajszej nocy. Ulica. Bandyci. Pistolet Bryanta w ciszy nocy. Ulga sprawiła, że na kilka chwil zapomniał o bólu głowy. Liz Linshaw była tylko snem.

Dźwignął rękę i spojrział na zegarek, którego najwyraźniej nie zdołał zdjąć wczorajszej nocy. Kwadrans po dwunastej. Zauważył swoje ubranie wiszące na drzwiach małego pokoju gościnnego i wstał z łóżka, sięgając w jego stronę. Drzwi były lekko uchylone - słyszał dochodzące zza nich odgłosy kuchenne. Dobiegł go zapach kawy i tostów.

Ubrał się pospiesznie, wcisnął krawat do kieszeni marynarki i podniósł buty. Po wyjściu z pokoju gościnnego trafił na pomalowany na biało korytarz obwieszony przesłodzonymi krajobrazami, prowadzący do szerokich schodów. W pół drogi na dół natknął się na wchodzącą do góry kobietę. Kasztanowe włosy, jasne oczy. Dopasował obraz do zdjęcia z portfela Michaela. Suki.

Suki niosła w dłoni filiżankę kawy na spodeczku, a na jej idealnie umalowanej twarzy malował się tolerancyjny uśmiech.

- Dzień dobry. Masz na imię Chris, prawda? Jestem Suki. - Wyciągnęła do niego szczupłe ramię z bransoletkami. - Miło cię wreszcie poznać. Właśnie niosłam ci to na górę. Michael powiedział, że wolałbyś, żeby cię obudzić. Jest w kuchni, chyba rozmawia z pracą.

Chris przyjął kawę, balansując nią niezdarnie wolną ręką. Głowa zaczynała mu niespokojnie pulsować.

- Dzięki. Och... dzięki.

Uśmiech Suki się poszerzył. Chris miał niepokojące wrażenie, że jego twarz i dłonie mogłyby być całe umazane krwią a ona uśmiechnęłaby się dokładnie w ten sam sposób.

- Zabawiliście się zeszłej nocy, prawda? - zapytała zyczliwie.

- Och, coś w tym rodzaju. Mogę przeprosić?

Prześlizgnął się obok niej i zszedł w dół do kuchni. Było to duże, wygodne pomieszczenie z drewnianymi meblami i wysokimi oknami na jednej ze ścian, wpuszczającymi światło słońca. Wypolerowany drewniany stół przygotowany był dla trzech osób i zastawiony różnymi artykułami śniadaniowymi. Na jego drugim końcu w wysokim krzeselku siedziało dwuletnie dziecko, atakując plastikową łyżeczką talerz nieokreślonej

papki. Pod oknem, zdecydowanie poza zasięgiem rozbryzgów, stał Mike Bryant. Przyglądał się dziecku z czułością i popijał z kubka kawę. Ramieniem przytrzymał sobie przy uchu telefon komórkowy i uważnie słuchał dobiegającego z głośniczka głosu. Na widok Chrisa kiwnął głową i pomachał.

- Bez wątpienia tak było. Co, myśli pan, że to sobie zmyśliłem? Kto tak powiedział? Dobrze, proszę mi go dać.

Bryant osłonił dłonią mikrofon.

- Chris, zadzwoń do żony do pracy. Wydziera się na centralkę Shorn od ósmej rano. Dobrze spałeś?

Wskazał wideofon wiszący na ścianie obok drzwi. Chris odstawił kawę, podniósł słuchawkę i wystukał numer z pamięci. Pomachał Arianie, która przez chwilę przyglądała mu się w ciszy, a potem uśmiechnęła się i znów zaczęła rozchlapywać śniadanie. Bryant wrócił do swojej rozmowy.

- Tak, tu Michael Bryant. Nie, nie jestem, jestem w domu, gdzie zapewne zostanę do czasu, aż obiecacie mi trochę bezpieczeństwa na ulicach. Nie obchodzi mnie to, nie płacimy wam za stanie po kątach i drapanie się po jajach. Byliśmy nie więcej niż trzy, proszę na mnie nie krzyczyć, detektywie, nie dalej niż trzy kilometry w głąb strefy. Tak, ma pan cholerną rację, że ich zastrzeliłem.

Ekran przed Chrisem rozjarzył się ponurą twarzą żującą gumę.

- Tak, tu Autonaprawy Mela. - Zobaczył minę Chrisa. - Potrzebuje pan holowania?

- Nie. - Chris odchrząknął. - Mógłbym rozmawiać z Carlą Nyquist?

- Jasne. Chwileczkę.

Za nim Bryant kontynuował swoją tyradę.

- Właśnie zamierzali posiekać mnie i mojego kolegę maczetami. Co? Cóż, wcale mnie to nie dziwi. Pewnie zabrał je sobie ktoś w nocy. Niech pan posłucha, było ich pięcioro, a nas dwóch. Bandziory z gangów. Jeśli pańskim zdaniem nie można tego uznać za samoobronę, to...

Pojawiła się Carla, rozcierając na nosie kroplę smaru. Pod ciemnymi plamami widać było dość oczywisty grymas niezadowolenia.

- No, więc co ci się stało?

- Och, przenocowałem u Mike'a. Mieliśmy trochę, eee... - Zerknął na Bryanta, który z zachmurzoną twarzą słuchał swojego rozmówcy. - Kłopotów.

- Kłopotów? Nic ci...?

- Nie, nic mi nie jest. - Chris zmusił się do uśmiechu. - Tylko ból głowy.

- No dobrze, ale czemu do mnie nie zadzwoniłeś? Cholernie się martwiłam.

- Nie chciałem cię straszyć. Było późno i zamierzałem zadzwonić z samego rana, a potem zasnęłam. Słuchaj... - Odwrócił się do Bryanta. - Mike, jedziesz dzisiaj do Shorn?

Bryant ponuro kiwnął głową, znów zasłaniając mikrofon dłonią.

- Na to wygląda. Zapowiada się, że muszę wypełnić pół setki formularzy. Za godzinę?

Chris odwrócił się do czekającej Carli.

- Mniej więcej za godzinę pojedę z Mikiem zabrać samochód. Odbiorę cię z warsztatu i wtedy ci wszystko opowiem. Dobrze?

- Dobrze - zgodziła się niechętnie. - Ale lepiej, żeby to była cholernie dobra historia.

- Stoi. A przy okazji, kocham cię.

Mike Bryant rzucił mu przez kuchnię dziwne spojrzenie.

Carla na ekranie się rozchmurzyła.

- Tak, tak. Ja też. Do zobaczenia o czwartej. I nie spóźnij się.

Sięgnęła do telefonu i obraz zgasł. Chris odwrócił się na czas, by usłyszeć końcówkę rozmowy Bryanta.

- Tak, zdaję sobie z tego sprawę, detektywie. Cóż, kiedy następnym razem zostanę zaatakowany na ulicy, na pewno będę o tym pamiętał. Do widzenia.

Gniewnie zatrzasnął telefon.

- *Dupek*. Rozumiesz, korporacyjna policja, *nasza* korporacyjna policja, chce przeprowadzić śledztwo, czy aby nie było to nadużycie broni. No wiesz. - Wykonał bezradny gest, jakby brak mu było słów. - Bronisz się i nagle się okazuje, że naruszasz pieprzone prawo. A w tym czasie jakiś gówniany gnojek z gangu łamie sobie w ciemnej uliczce paznokiec i zwalają ci się na kark wrzeszczący obrońcy praw obywatelskich. A co z nami, obywatelami? Kto się nami zajmie? Co z *naszymi* prawami?

- Michael! - W drzwiach kuchni pojawiła się Suki z dwiema filiżankami kawy w dłoniach. - Ile razy ci mówiłam, żebyś nie używał takich słów w obecności Ariany? Powtarza je potem w grupie i inne matki dziwnie na mnie patrzą. - Postawiła filiżanki na stole i zajęła się czyszczeniem nadmiaru jedzenia wokół ust córki. Ariana protestowała trochę bez przekonania, cały czas zerkając nieśmiało na Chrisa. - Tak jest, nie słuchaj tatusia, kiedy mówi takie rzeczy. - Zwróciła część swojej podzielnej uwagi w tę samą stronę, co córka. - Nie przejmuj się, Chris. Zawsze narzeka na prawa obywatelskie. Już drugi raz ma kłopoty... *tutaj*, tak znacznie lepiej, kochanie... już drugi raz ma w tym roku kłopoty z policją. Nieuzasadnione stosowanie przemocy... tak, i kto jest czystą dziewczynką?... Myślę, że on po prostu lubi ryzyko.

Bryant wydał z siebie odgłos zdegustowania. Suki podeszła do niego, objęła w pasie i pocałowała w policzek.

- Może to właśnie w nim widzę. Jesteś żonaty, Chris, prawda? To ona była na ekranie?

- Tak. - Dla Chrisa jego własny głos brzmiał defensywnie. - Jest mechanikiem. Pracuje w większość sobót.

Napił się kawy i czekał na reakcję, ale Suki albo to nie obchodziło, albo nauczyła się ukrywać własne opinie. Uśmiechnęła się i wyciągnęła Ariane z wysokiego krzeselka.

- Tak, Michael mi mówił. Wiesz, jeden z partnerów Shorn miał dziewczynę, która też pracowała w jakiejś firmie samochodowej. Jak on się nazywał? - Strzeliła palcami. - Spotkałam go na imprezie bożonarodzeniowej.

- Notley - podsunął Bryant.

- O właśnie, Notley. Jack Notley. Cóż, musicie kiedyś wpaść na kolację, Chris. Jak ma na imię twoja żona?

- Carla.

- Carla. Urocze imię. Jak ta włoska gwiazdka holoporno, która tak podnieca Mike'a. - Zasłoniła Bryantowi usta, gdy próbował protestować. - Tak, zaproś ją do nas. A może wpadlibyście dziś wieczór? Nie mamy żadnych planów, prawda, Mike? Bryant potrząsnął głową.

- No i dobrze. Ugotuję sukijaki. Nie jesteście wegetarianami, prawda?
- Nie. - Chris się zawahał. Zamierzali odwiedzić dzisiaj ojca Carli, a w zamieszaniu upływającego właśnie tygodnia nie był pewien, czy ten plan się utrzymał. - Och, nie jestem pewien, czy...

- Ja bym nie odpuścił tego sukijaki - rzucił Michael, dopijając kawę i odstawiając kubek. - Wołowina prosto ze stad Sutherland Croft Association. Hej, myślisz, że Carla chciałaby przyjrzeć się BMW? Biorąc pod uwagę, że jest mechanikiem... Pod maską siedzi nowa seria wtrysków Omegi. Najwyższa klasa, nie wypuścili go jeszcze nigdzie poza Niemcami. Założę się, że chętnie by obejrzała, jak startuje.

Chris, świadom nagle do głębi, jak bardzo nie ma ochoty odwiedzać teścia, podjął decyzję.

- Tak, myślę, że chętnie by go zobaczyła - stwierdził.

- Dobrze, to ustalone - powiedziała lekko Suki. - Po południu kupię wołowinę. Co powiecie na ósmą trzydzieści?

* * *

Mike uparł się, żeby wysadzić Chrisa dokładnie przy samochodzie. Podziemny garaż Shorn był niemal opustoszały, i na poziomie, na którym zaparkował Chris, stały tylko trzy inne auta. Bryant zatrzymał się naprzeciw saaba, wyłączył silnik i wysiadł.

- To wózek Hewitt - powiedział, wskazując najbliższy pojazd. - Audi zbudowało go dla niej pod specyfikację, gdy dochrapała się partnera. Chciałbyś go zobaczyć w lusterku wstecznym?

Chris przyjrzał się samochodowi. Szeroka przyciemniana szyba, masywne rury wzmacniające sterujące z końca pochyłej osłony silnika.

- Niezbyt - przyznał. - Ale myślałem, że Hewitt jest fanką BMW.

Mike prychnął.

- Hewitt jest fanką pieniędzy. Kiedy dochrapała się partnera, Shorn miał umowę z Audi. Dostarczali wszystkie firmowe wozy i sprzęt, a partnerzy otrzymywali darmo wozy bojowe specjalnej serii. Dwa lata temu Shorn dostał lepszą ofertę od BMW i się przerzucił. Jako partner Hewitt może zażądać dowolnego samochodu, ale kiedy spiszą albo zastąpią to cacko, założę się, że weźmie po prostu omegę z najwyższej półki ze wszystkimi opcjami opancerzenia, darmo dla partnerów klientów BMW. Dla niej wszystko polega na analizie kosztów i zysków.

- A co o tym wszystkim myśli Notley?

- Notley to patriota. - Mike wyszczerzył zęby - No wiesz, taki prawdziwy, w czystym znaczeniu tego słowa. Ostatni zatwardziały antyeuropejczyk. Zresztą również antyamerykanin. On naprawdę wierzy w kulturalną wyższość Anglii nad innymi narodami i inne tego rodzaju bzdury. No wiesz, można by pomyśleć, że z pięćdziesiątego piętra powinien lepiej widzieć. W każdym razie, kiedy on dorobił się partnera, nie chciał nawet słyszeć o niemieckich firmach. Zamówił sobie u Landrovera indywidualny wóz, zbudowany od zera. I po dziesięciu latach wciąż nim jeździ. Wygląda to cholerstwo jak czołg, ale może wyciągnąć prawie dwieście kilometrów na godzinę. Tylko że on nie używa metrycznych, więc to by było... ja wiem?... jakieś sto dwadzieścia coś mil na godzinę? Wszystko jedno. Taki ma limit na prędkościomierzu.

- Aha, dobra.

- Nie, naprawdę. Kazał im wstawić imperialny prędkościomierz. W milach na godzinę. Poproś go kiedyś, żeby pozwolił ci spojrzeć na tablicę rozdzielczą.

- Nie ma go tu dzisiaj?

- Nie ma mowy. W weekendy nie złapiesz Notleya na pracy. Przepracowywanie całego czasu danego przez Boga nazywa amerykańską chorobą. - Spojrzenie Bryanta powędrowało w przestrzeń. - Pamiętam, jak wpadłem na niego w kiblu po jednym ze spotkań kwartalnych. Obaj byliśmy wściekli i zapytałem go, czy fakt, że jest się partnerem, wart jest tego dodatkowego łąjna, pracy w weekendy i nieprzespanych nocy, a on spojrzał na mnie, jakby mi odbiło. A potem powiedział, wciąż traktując mnie jak czubka i bardzo powoli wymawiając słowa: *Mike, jeśli dorobisz się partnera i wciąż będziesz pracował w weekendy, to będzie bardzo źle. Zostajesz partnerem właśnie po to, żeby nie musieć tego robić. W innym przypadku jaki miałoby to sens?* Dasz wiarę?

- Wygląda to na rozsądną filozofię.

- Tak, nie jak reszta tych pieprzonych naśladowców. - Mike machnął ręką wokół. Podszedł niedbale do wozu Chrisa. - I co my tu mamy? Coś skandynawskiego.

- Tak. - Chris gestem właściciela poklepał wóz po boku. - Podwozie bojowe saaba. Rodzina Carli to Norwegowie, ale ona praktykowała w Sztokholmie. Całe życie kręciła się przy saabach i volvo. Mówi, że Szwedzi budowali wozy do walk na wiele dekad przed tym, zanim ktoś w ogóle o nich pomyślał.

Bryant kiwnął głową.

- Wygląda dość paskudnie. Ale myślę, że ma gorszą prędkość niż omega.

- Jest szybszy, niż się zdaje, Mike. Duża jego część to pancerz warstwowy. Mocowany na rozporach. Nie jest lity i ma rurowe kanały aerodynamiczne na zewnętrznych brzegach dla stabilizacji, ale Chryste, wiedziałbyś, że cię walnął. Volvo robiło testy zderzeniowe rozpór przy prędkościach lotniczych i wytrzymywały.

- Pancerz warstwowy, co? - Przez chwilę Bryant wyglądał na zamyślonego i Chrisa naszło niepokojące wrażenie, że zdradził dużemu mężczyźnie coś ważnego. Potem wyrachowane spojrzenie zastąpił kolejny szeroki uśmiech. Bryant klepnął Chrisa po ramieniu.

- Przypomnij mi, żebym się rozwiódł z Suki i znalazł sobie jakąś Szwedkę mechanika.

Na parkingu rozległ się cichy dzwonek, a głos windy Shorn oznajmił, że minęła właśnie godzina druga. Mike odruchowo zerknął na zegarek.

- Pora na mnie - powiedział kwaśno. - Słuchaj, Chris, lepiej pójde. Korporacyjna policja może być naprawdę upierdliwa, jeśli zdecydują się robić coś zgodnie z przepisami. Zobaczmy się wieczorem, dobra?

- Jasne. - Chris przyglądał mu się, jak idzie w stronę podwójnych drzwi prowadzących w górę wieży Shorn. - Hej, Mike.

- Yo.

- Powodzenia.

Bryant podniósł rękę i pomachał nią na boki.

- Ach, nie martw się tym. Łatwizna. Wyjdę stąd o trzeciej. Do wieczora.

* * *

- Co powiedział?

Carla znieruchomiła w trakcie przypinania jednego z kolczyków i z niedowierzaniem wpatrywała się w Chrisa w lustrze. Chris spojrzał na nią zmieszany.

- Powiedział, że to łatwizna i...

- Nie, wcześniej. To o rozwodzie z Suki.

- Powiedział, żebym mu przypomniał, że ma się rozwieść z Suki, żeby mógł się związać z jakąś mechaniczką ze Szwecji. - Chris dostrzegł wyraz jej twarzy i westchnął, czując wzbierającą awanturę. - On tylko próbuje być miły, Carla. Wiesz, to rodzaj komplementu.

- To kupa seksistowskiego łajna, nie komplement. Zresztą... - Carla zapięła kolczyk i odwróciła się od lustra. - Nie w tym rzecz.

- Nie? W takim razie o co chodzi, Carla?

Tym razem to Carla westchnęła.

- Chodzi o to - powiedziała ciężko - że nie jestem jakąś ciekawostką, którą możesz się chwalić. To moja żona, a przy okazji, jest mechanikiem. Na pewno fajnie się to mówi. Ten szok. Spojrzenia, które ci rzucają. Wiem, że cię kusi, żeby zabierać mnie na te wasze spotkania korpo, pokazywać wszystkim, jakim jesteś buntownikiem.

Chris na nią popatrzył.

- Nie. Chwalę się tobą, bo cię kocham.

- Ja... - Zamierzała podnieść głos. Coś się w niej załamało. - Chris, wiem o tym. *Wiem*. Tylko że nie musisz tego przez cały czas dowodzić przeciw wszystkim. To nie jakaś bitwa czy misja, tylko po prostu życie. - Zobaczyła przemykający przez jego twarz wyraz bólu i podeszła bliżej. Jej dłonie natarte aromatycznym olejkiem ujęły jego twarz i uniosły tak, że musiał na nią spojrzeć. - Wiem, że mnie kochasz, ale nie jestem tu tylko po to, żeby być kochaną. Nie możesz wykorzystywać mnie jako symbolu tego, jaki masz stosunek do wszystkiego i jak jesteś lojalny.

Spróbował odwrócić głowę. Przytrzymała ją w miejscu.

- Spójrz na mnie, Chris. Jestem twoją żoną. Mechanika to tylko praca, znak gorszego statusu finansowego. Nie pozwalam, by mnie to definiowało, i nie chcę, żebyś robił to za moimi plecami. Jesteśmy czymś więcej niż tylko tym, co robimy dla pieniędzy.

- Mówisz jak twój ojciec.

Urwała na chwilę, a potem kiwnęła głową i puściła go.

- Tak, masz rację. - Dotknęła swojego gardła. - Powinnam mieć cholerny mikrofon, co? Co mi przypomina... Przrzekłeś, że odwiedzimy go w ten weekend. I co się stało z tą obietnicą?

- Nie sądziłem, że...

- Och, zapomnij. I tak wcale nie miałam ochoty jechać. Nie czuję się na siłach was rozsądzać. Jak tylko skoczycie sobie do gardeł... - Znów westchnęła. - Słuchaj, Chris, a co do tej sprawy z mechaniką... Jak by ci się podobało, gdybym ciągała cię na spotkania z Melem i Jessem, mówiąc, że na pewno chciałbyś spojrzeć na ich rozliczenia podatkowe?

Oczy Chrisa rozszerzyły się ze złości.

- Nie jestem pieprzonym księgowym.

Carla uśmiechnęła się i przyjęła obronną pozycję bokserką.

- Założymy się? Chcesz się o to pobić?

Akcja zakończyła się piskiem, gdy Chris rzucił się na nią i zaciągnął ją na łóżko. Krótka

bójka dobiegła końca, gdy Chris unieruchomił ciało Carli i z wysiłkiem przytrzymał jej rękę. Czuł, jak siła opuszcza go wraz z narastającym chichotem.

- Ciii, ciii, przestań, dość, zachowuj się. Wychodzimy.

- Puść mnie, ty cholerny sukinsynu. - Ona też się śmiała, bez tchu. - Wydrapię ci pieprzone oczy.

- Carla - powiedział cierpliwie Chris. - To wcale nie jest zachęta. Musisz się nauczyć subtelnej sztuki negocjacji. Teraz...

Bezkształtny kwik. Carla go zepchnęła. Rzucili się na siebie na łóżku.

ROZDZIAŁ ÓSMY

W gasnącym świetle wieczoru jechali przez Hawkspur Green, a Carla próbowała zrobić coś ze swoimi potarganymi włosami. Seks zabrał im pół godziny i wciąż zostały po nim ślady w uśmiechu, czającym się w kącikach jej ust.

- Spóźnimy się - stwierdził poważnie Chris.

- Ach, szlag. - Carla dała spokój włosom i ograniczyła się do ich upięcia. - I tak nie wiem, czemu to robimy. Jechać na kolację z facetem, którego za kilka lat i tak załatwisz. Tak naprawdę nie ma to chyba sensu?

Chris na nią zerknął, czując ciepło na myśl, że tak bardzo ufa jego możliwościom. Rozmowy prowadzone w trakcie jazdy samochodem zawsze były bardziej intymne, może dzięki pewności, że wóz jest czysty. Carla regularnie sprawdzała go w poszukiwaniu podsłuchu, a jej znajomość saaba znaczyła, że mogli być pewni prywatności w stopniu, jakiego nigdy nie osiągnęli w domu.

- Wiesz, może wcale do tego nie dojdzie - powiedział Chris, analizując własne myśli. - Nie musimy startować do tych samych awansów.

- Nie, ale będziecie. Jak w Hammett McColl. To zawsze się tak kończy.

- Nie wiem, Carla. To dziwne. On jakby po prostu zdecydował, że będzie moim przyjacielem, i już. No wiesz, jest w nim sporo rzeczy, które mi się nie podobają. To, co zrobił w strefie, było dość ekstremalne...

- Nie mów. Dla mnie facet wygląda jak cholerny popieprzony psychol, Chris. Bez względu na to, co mi jeszcze powiesz.

Nie uciekając się do kłamstwa w żadnym konkretnym szczególe, Chris zdołał jakoś pominąć egzekucyjny styl, w jakim Bryant pozbył się Molly i jej kolegów. Tak jak to przedstawił, faktycznie wyglądało to na samoobronę przed uzbrojonymi i agresywnymi napastnikami. Teraz Chris prawie sam już zaczynał w to wierzyć. Bandyci mieli solidne łomy. Nie było wątpliwości, że użyliby ich, gdyby nienaładowana broń Chrisa dała im szansę. Carla jednak nie wyglądała na przekonaną.

- Jest po prostu jak inni faceci w Shorn...

- Cóż, w to zdecydowanie mogę uwierzyć.

Chris rzucił jej poirytowane spojrzenie.

- Ciężko pracował na to, co ma, Carla. Zdenerwował się, bo ktoś próbował mu to odebrać. To chyba naturalna reakcja, prawda? Jak myślisz, co zrobiłby Mel, gdyby ktoś się u niego pojawił i zaczął rozwaląć warsztat?

- Mel nie zarabia pieniędzy w taki sposób, jak wy - wymamrotała Carla.

- Co?

- Nic. Zapomnij.

- Mel nie zarabia pieniędzy, jak ja i Mike Bryant?

- Powiedziałam, żebyś o tym zapomniał.

- To prawda, nie robi tego, nie? Mel nie robi tego, co my. On po prostu zarabia na życie, naprawiając nasze pieprzone samochody, żebyśmy mogli znów się zabijać. Jezu, kurwa, Chryste, Carla, nie wbijaj się w tą moralną wyższość, bo...

- *Dobrze*. - Głos się jej trochę rwał. - Prosiłam, żebyś zapomniał. Przykro mi, że to powiedziałam, więc po prostu daj spokój.

Powietrze między przednimi siedzeniami zmroziła cisza. W końcu Chris sięgnął przez chłód i wziął Carłę za rękę.

- Słuchaj - powiedział zmęczonym głosem. - W pierwszej wojnie światowej piloci przepijali do siebie szampanem, a potem startowali w niebo i próbowali się z niego zestrzelić. Wiedziałaś o tym? A później zwycięzcy zrzucali wieńce na lotniska przeciwnika, żeby uhonorować zabitych właśnie ludzi. Czy to ma dla ciebie jakiś sens? A to było niecałe sto pięćdziesiąt lat temu.

- To była wojna.

- Jasne. - Chris zmusił się do zachowania spokoju. - A o co? O linie narysowane na mapie. Czy możesz z pełnym przekonaniem stwierdzić, że ci ludzie walczyli o coś, co miało jakiś sens? Coś ważniejszego niż oferta przetargowa albo pojedynki o awans?

- Nie mieli wyboru, Chris. Jeśli zrzucali wieńce, to dlatego że nie znosili tego, co robili. Na tym polega różnica.

Poczuł, jak jego gniew miota się niczym ryba w sieci: tym razem stłumienie go wymagało sporego wysiłku. Wyglądało na to, że Carla zamierza odstawić swoją ulubioną sztukę, i staną przed drzwiami Bryanta w kruchej ciszy przerywanej kłótni.

- Myślisz, że mamy większy wybór niż oni? Naprawdę myślisz, że lubię sposób, w jaki zarabiam na życie?

- Nie wydaje mi się, żebyś brzydził się tym tak bardzo, jak mówisz. - Carla grzebała w torebce za papierosami, co stanowiło zły znak na barometrze kłótni. - A jeśli tak, to są inne zajęcia. Inne firmy. Dzięki temu, co wiesz, Chris, mógłbyś pracować dla cholernych *inspektorów międzynarodowych*. Wzięliby cię. KHENZ albo któraś z pozostałych. Organom nadzorczym brak ludzi z doświadczeniem w komercji.

- Świetnie. Myślisz, że mógłbym zostać cholernym biurokrata. Bawić się w międzynarodową demokrację socjalną z pieprzonymi plakatami i pensją na poziomie strefy.

- Inspektorzy zarabiają duże pieniądze, Chris.

- Niby skąd wiesz?

- Moja matka zna paru facetów z KHENZ w Oslo. Ich agenci operacyjni zarabiają prawie dwieście tysięcy rocznie.

Chris prychnął.

- Nieźle, jak na pieprzonych socjalistów.

- *Dobrze*, Chris. - Powiedziała to zimno i spokojnie, a tego rodzaju jej złości nie lubił nawet bardziej niż krzyków. - Zapomnij o cholernych inspektorach. Mógłbyś dostać pracę w każdej innej firmie inwestycyjnej w mieście.

- Już nie. - Zgiął się, mówiąc to. - Masz pojęcie, ile Shorn zapłacił, żeby wyciągnąć mnie z Hammett McColl? Pomyśl, na co są gotowi, żeby chronić swoją inwestycję?

- Co, połamię ci nogi?

Przytyk bolał, tym bardziej, że brzmiało to jak coś, co Mel mógł powiedzieć w warsztacie. Obudziła się w nim zazdrość. Ukrył ją i przywołał spokój.

- Nie moje. Ale informacja pójdzie w świat, Carla. Każda firma w Londynie szukająca dyrektorów zostanie o mnie ostrzeżona. A jeśli ktoś postanowi to zignorować, wylądaje pod

mostem Blackfriars.

Wydmuchnęła dym z papierosa.

- Nie przesadzaj.

- Nie? To znaczy, że już nie pamiętasz Justina Graya?

- To była mafia paliwowa.

- Tak, jasne. Konsultant agencji rekrutacyjnej z mieszkaniem w Knighstbridge i domem w St Albans miałby się zadawać z takimi błaznami. *Wszyscy* w to wierzyli.

- Garnitur nie robi z ciebie geniusza, Chris. Tylko pazernego idiotę.

- Dziękuję.

- Nie to miałam na myśli, i dobrze o tym wiesz.

- Słuchaj. Dwa tygodnie przed śmiercią Gray przygotował przejście dwóch starszych dyrektorów od zaawansowanych technologii z Shorn do Caldersa UK. Powiedział policji, że przez cały czas przygotowywania transferu otrzymywał pogróżki, ale ta jakoś niczego nie odkryła.

- Myślę, że mówisz o barowym dramatyzmie i czystym przypadku, Chris.

- Jak sobie chcesz. Gray nie jest jedyny. Pamiętasz faceta, którego w zeszłym roku znaleźli pływającego we własnym basenie w Barritz? Kilka lat wcześniej gość w zmiążdżonym samochodzie. Powiedzieli, że było to mylne wyzwanie pojedynkowe, jakby *takie* rzeczy zdarzały się na co dzień. Obaj polowali na ludzi z Shorn. Przypadek? Nie sądzę, Carla. Przez ostatnie pięć lat zebrałyby się przynajmniej tuzin takich łowców, którzy zginęli albo na jakiś czas wypadli z obiegu *przypadkiem* akurat wtedy, gdy próbowali wyciągnąć kandydatów do pracy z Shorn.

- Więc czemu zgodziłeś się dla nich pracować? - zapytała ostro.

Chris wzruszył ramionami.

- Dali mnóstwo pieniędzy. Pamiętasz?

- Nie potrzebowaliśmy ich.

- Nie potrzebowaliśmy ich *od razu*. W tych czasach to nic nie znaczy. Nawet nie da się za dużo odłożyć. Zresztą, Shorn nie jest jedyną firmą, która tak postępuje z łowcami. - Stwierdził, że lekko się uśmiecha. - Po prostu są w tym lepsi od innych. Chętniej wychodzą na asfalt i szybciej schodzą do parteru. Ostrzejsza ekipa, to wszystko.

- Tak, i właśnie w tym rzecz, prawda, Chris? - Jej głos mroził lodem. - Zauważyła jego uśmiech. - Nie chodziło o pieniądze, tylko o reputację. Nie mogłeś się doczekać, żeby jeździć w ostrzejszej ekipie. Chciałeś się z nimi sprawdzić.

- Skoro mówisz o wyborach, musisz być świadoma faktów. Bądź realistką. Tak *realnie*, jaki mam wybór?

- Zawsze masz wybór, Chris. Jak każdy.

- Tak? - W końcu nie potrafił już opanować złości. - Czy ty, do cholery, słuchałaś tego, co mówiłem, Carla? Jaki mam pieprzony wybór?

- Mógłbyś zrezygnować.

- Och, *światny* pomysł. - Tym razem w jego głosie zabrzmiała niemaskowana rezygnacja. - A potem moglibyśmy zamieszkać w strefach. A kiedy twojemu ojcu znów zagrozą eksmisją, to zamiast spłacać jego długi, będziemy na to patrzeć, biedni i bezradni, i może nawet pomożemy mu zebrać z ulicy jego rzeczy. Może to by ci się bardziej podobało.

Carla strzepnęła popiół z papierosa i zapatrzyła się w widok za bocznym oknem.

- Wolałabym to, niż czekać na widok tego wozu w płomieniach w wiadomościach o szóstej.

- Do tego nie dojdzie. - Powiedział to automatycznie.

- Doprawdy? - Teraz słyszał wzbierające w jej gardle łyzy. Mocno zaciągnęła się papierosem. - Doprawdy? A to czemu, Chris?

Cisza. I odgłos silnika saaba.

* * *

Mike się uśmiechnął. Salwa śmiechu wokół stołu.

Dwie godziny wcześniej Chris był gotów się założyć, że przez cały weekend nie usłyszy śmiechu, własnego ani Carli. I proszę, siedział przy świecach, przyglądając się nad zastawionym jedzeniem stołem swojej żonie wybuchającej śmiechem szczerego rozbawienia. Wbrew wszelkim przewidywaniom wieczór u Bryantów potoczył się rewelacyjnie.

- Nie, naprawdę. - Suki zdołała opanować chichot. - Dokładnie tak powiedział. Uwierzysz w to? Wyszłabyś z mężczyzną który powiedział ci coś takiego?

- Nie, nie zrobiłabym tego. - Carla wciąż się śmiała, ale odpowiedziała absolutnie poważnie.

- Och. - Suki sięgnęła przez stół do ręki męża. - Jestem okropna, prawda? Carla, powiedz nam, jak poznałaś Chrisa.

Carla wzruszyła ramionami.

- Przyszedł naprawić samochód.

Nowa salwa śmiechu. Chris nachylił się nad stołem.

- Nie, to prawda. Wiecie, stała tam w T-shircie. - Obiema rękami zarysował kobiece kształty. - Z kluczem francuskim w ręku i smarem na nosie. I mówi: *Mogę ci zapewnić najlepszą przyczepność w całej Europie*. I już było po wszystkim. Wpadłem. Zakochałem się.

Carla straciła trochę ze swojego rozbawienia.

- Tak, ale nie powiedział wam, że był właśnie po jakimś idiotycznym pojedynku o kontrakt. I *faktycznie* padał. Ledwie trzymał się na nogach. Podarty garnitur, krew na dłoniach. I na twarzy. I bardzo się starał mnie przekonać, że nic mu nie jest.

- Mmm. - Suki się uśmiechnęła. - Cudownie.

Uśmiech Carli zbladł lekko.

- Niezbyt.

- Och, daj spokój, Carla. Założę się, że ty też się w nim wtedy zakochałaś. Szlachetny brutal i wszystkie te jaskiniowe bzdury... Jak w filmie Tony'ego Carpentera, w którym walczy z gangiem motocyklowym. Jaki to miało tytuł, Michael? Nigdy nie potrafię spamiętać tytułów.

- *Nabór absolwentów* - podsunął Mike Bryant ze wzrokiem utkwionym w twarzy Carli.

Chris kiwnął głową.

- Widziałem go. Świetny film.

- Nie podniecają mnie takie bzdury dla macho - stwierdziła płasko Carla. - Pracując przy wrakach, za dużo widzę efektów ich zabawy. Kiedy tam docieramy, nie zawsze jeszcze zdążą wyciągnąć ciała.

- Szef Carli spędza sporo czasu, oddzielając przegranych od ich wozów - rzucił Chris,

układając palce w parę szczypców do metalu. - Dosłownie.

- Chris! - Suki znów się roześmiała, po czym przysłoniła usta starannie polakierowanymi paznokciami w udanym geście zawstydy, jakby właśnie uświadomiła sobie, z czego się śmieje. - Proszę.

- Dobra, kawał. - Chris zignorował spojrzenie, jakie rzuciła mu Carla. - Kim są najniżej opłacani łowcy głów w mieście?

- Och, słyszałam to. - Suki pogroziła mu palcem. - Nie mów mi, nie mów. Opowiadali to ludzie w Costermanie kilka miesięcy temu. Oooch, nie pamiętam, Chris. No dobrze, mów.

- Ekipy pogotowia na obwodnicy po noworocznych barażach.

Suki zmarszczyła brwi w udawanym bólu.

- Och, to okropne. - Zachichotała, przechodząc do śmiechu. - To *koszmarne*.

- Dokładnie, nieprawdaż? - powiedziała poważnie Carla, wpatrując się w męża.

Mike Bryant odkaslnął.

- Ach, Carla, miałabyś ochotę zobaczyć teraz tę omegę? Wystarczy przejść przez kuchnię do garażu. Jeśli chcesz, możesz zabrać kieliszek.

Wstał i rzucił spojrzenie Suki, która zrozumiała aluzję.

- Dobrze, idźcie. Posprzątam tu.

- Pomogę ci - zaferował Chris, automatycznie wstając.

- Nie, muszę tylko załadować maszynę. Później możesz mi pomóc robić kawę. Idź, zupełnie nie znam się na silnikach. Michael nie mógł się doczekać, żeby pochwalić się komuś, kto rozumie, o czym mówi. - Suki odchyliła się i ucałowała Bryanta. - Prawda, kochanie?

- Cóż, jeśli jesteś pewna... - Chris urwał, gdy Carla pociągnęła go za rękaw, i we trójkę wyszli z Bryantem na czele, zostawiając Suki przy stole. Przeszli przez kuchnię i Bryant otworzył drzwi, wpuszczając falę chłodnego powietrza. Zajrzeli do szerokiego garażu z betonową podłogą. BMW stało, błyszcząc w świetle z sufitowych neonówek. Przeszli przez drzwi i stanęli wokół przedniej części wozu, a Mike Bryant sięgnął do środka i odblokował klapę. Potem odstawił na półkę swój kieliszek z winem i podniósł maskę. W komorze silnika włączyło się oświetlenie serwisowe i wtrysk omegi ukazał się w całej swojej matowej wspaniałości.

- Czyż to nie cudowny widok? - powiedział Bryant, parodiując nieudolnie amerykański akcent.

- Miły. - Carla obeszła samochód dookoła, zaglądając w odsłoniętą przestrzeń po drugiej stronie. Jedną ręką mocno nacisnęła silnik i pokiwała do siebie głową. Podniosła wzrok na Bryanta. - Zawieszenie na wspornikach?

- Dokładnie.

- Wygląda na to, że tym razem środek ciężkości przesunęli mocno do tyłu.

- Tak, cóż, pewnie pamiętasz gammy. - Bryant podszedł i nachylił się nad silnikiem obok niej, zostawiając Chrisa z nagłym poczuciem izolacji. - Sam nigdy żadnej nie prowadziłem, ale mocno na to narzekano, prawda? Na opancerzenie przodu i silnik.

Carla burknęła coś na potwierdzenie, zaglądając gdzieś w dolne części silnika.

- Tak. Prowadził się jak świnia. Przypuszczam, że ten jest lepszy.

Bryant się rozpromienił.

- Chcesz się nim przejechać, Carla? Sprawdzić, jak jeździ?
- Cóż, ja... - Carla była wyraźnie zaskoczona. Od odpowiedzi uratowała ją Suki, która pojawiła się w drzwiach ze swoim uśmiechem hostessy i paczką ze srebrnej folii w dłoni.
- Kto chce kawę?
- Zostaw, Suki. - Bryant podszedł do niej i zabrał paczkę.- Wybierzemy się na przejażdżkę.
- Och nie, Michael. - Po raz pierwszy Chrisowi udało się dostrzec pęknięcie w pancerzu uprzejmości Suki. - Za dużo wypieś i tylko kogoś zabijesz.
- Nie, Carla będzie prowadzić.
- Och, uwierzę, jak zobaczę. Carla, szczerze mówiąc, mnóstwo razy wpuszczał mnie za kierownicę, a potem wyganiał z za niej przy pierwszym poważnym znaku...
- Nie słuchaj jej, Carla. Suki, jest weekend i prawie północ, drogi są puste. Pojedziemy tylko na obwodnicę, do rozjazdu na M11. Carla jedzie tam, ja prowadzę z powrotem. No chodź, zabawimy się.

* * *

Zgodnie z przewidywaniami Mike'a, obwodnica była pusta. Na oświetlonej sodowymi lampami nawierzchni nie poruszało się nic większego od przeganianych wiatrem papierów. Nie docierał do nich żaden dźwięk oprócz odgłosu opon na asfalcie i przyjemnego pomruku silnika omegi. Carla prowadziła z nabożnym skupieniem na twarzy, utrzymując równo sto pięćdziesiąt na liczniku, i od czasu do czasu przeskakiwała z pasa na pas, omijając nierówności. Na dużą owalną szybę padał drobny deszczyk, ścierany skrupulatnie przez szerokie wycieraczki.

- Gąsienica - odezwał się Mike Bryant z miejsca pasażera, gdy na drodze przed nimi pojawiły się tylne światła transportera. - Wygląda na zautomatyzowany. Tylko maszyna jedzie na skrajnym pasie, mając dla siebie całą drogę. Przejedź blisko, zobaczymy, czy uda się uruchomić alarm zblirzeniowy.

Siedząca obok Chrisa na tylnym siedzeniu Suki westchnęła.

- Jesteś *taki* dziecinny, Michael. Zignoruj go, Carla.

BMW przemknęło w sporej odległości od transportera. Mike westchnął i wzruszył ramionami. Przed nimi światła rozjazdu błyszcząły jak lądowisko UFO. Potężny metalowy znak informował o zjeździe na M11. Carla skręciła na pas techniczny i zdjęła nogę z gazu, pozwalając prędkości wygasnąć wolno na podjeździe. Zatrzymali się łagodnie na szczybie, tuż przed rondem. Carla siedziała przez chwilę, wsłuchując się w dźwięk silnika, a potem kiwnęła głową.

- Bardzo gładko - powiedziała, prawie do siebie.

- Prawda? - Mike Bryant otworzył swoje drzwi. - Zamieńmy się. Chciałbym ci pokazać parę rzeczy.

Carla na chwilę spojrzała w lusterku wstecznym w oczy Chrisa, a potem wysiadła i przeszła przed maską wozu, mijając w połowie drogi Bryanta. Ten przybił jej piątkę, zajął miejsce za kierownicą i z szerokim uśmiechem zapiął pas bezpieczeństwa. Odczekał, aż Carla również się zapnie, a potem wrzucił bieg i mocno zwiększył obroty silnika mimo zaciągniętego hamulca. Chris słyszał przez chwilę pisk opon stojącego w miejscu BMW, a potem Bryant zwolnił hamulec i skoczył do przodu.

- Zawsze o tym zapominam - krzyknął przez ryk silnika i wyszczerzył się do lusterka.

Samochód popędził rampą z drugiej strony, nabierając prędkości, i wyskoczył na główny pas obwodnicy z szybkością prawie stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Bryant przejechał jakieś pół kilometra, a potem klepnął się w czoło.

- Chwila! Nie tędy do domu! - Znów się wyszczerzył, a potem wykręcił kierownicę. Chris usłyszał, jak jego stopy uderzają równocześnie o pedały, ale było już za późno, by przytrzymać siebie i Suki, gdy BMW wykonało idealną nawrotkę z poślizgiem, zatrzymując się na środku drogi.

- Michael - odezwała się ostro Suki. - Przestań.

- Spróbujmy jeszcze raz - powiedział Bryant i znów wystartował z piskiem opon. Przemknęli obok rozjazdu, na lekkim podejździe pod mostem skręcając na pas wolnego ruchu. Bryant się odwrócił, spoglądając na Chrisa i Suki. - Wiecie co...

Oboje równocześnie na niego wrzasnęli:

- Michael!

- Patrz na cholerną dro...

- Nie odwraca...

W czasie, jaki zajęło im mówienie, Bryant wrócił do bardziej konwencjonalnej pozycji kierowcy, a samochód przemknął pod mostem i wspiął się na wzniesienie po drugiej stronie.

- Cholera, przepraszam - powiedział. - Chciałem zapytać, czy pamiętacie tę ciężarówkę, obok której przejechaliśmy kilka klików stąd...

Kabinę samochodu zalały światła reflektorów automatycznego transportera, który właśnie wspiął się na grzbiet wzniesienia i ruszył w dół prosto na nich. Chris, Suki i Carla jak na komendę wydobyli z siebie kolejny krzyk, ale tym razem Bryant wrzasnął z nimi, choć jeszcze głośniejszy. Komputerowy mózdzek transportera ryknął na nich wściekłą syreną alarmu zbliżeniowego, a na kabinie rozbłysły pasy pomarańczowych świateł ostrzegawczych. Mike znów zaczął naśladować akcent Sandsa, przybierając minę wielkookiego, pozbawionego tchu psychola.

- Przepraszam, kochanie. Chyba. Nie powinienem był. Brać tych wszystkich prochów.

Zaśmiał się szaleńczo i w ostatniej chwili wykręcił kierownicę, a BMW ostro skoczyło w lewo. Zjechali z drogi nadjeżdżającego kolosa i przemknęli obok wysokiej burty transportowca tak blisko, że Chris widział przez okno rysy na metalowej powierzchni naczepy. Usłyszał wypełniające noc gwałtowne syczenie hamulców i zrozumiał, że Bryant zrobił właśnie to, o co wcześniej poprosił Carlę. Celowo uaktywnił systemy przeciwwderzeniowe transportera. Grał na nerwy z reakcjami maszyny. Dla zabawy.

* * *

Znacznie później, z powrotem we własnym samochodzie, przyglądał się znów tej samej drodze, podczas gdy Carla wiozła ich do domu. Gdyby był nieco bardziej świadom najbliższego otoczenia, zauważyłby, że kilkakrotnie otworzyła usta, by coś powiedzieć, zanim w końcu się zdecydowała.

- Przepraszam, to moja wina. Nie zrobiłam...

- Nie, wcale nie.

- Nie myślałam, że wymusi to jak...

- On po prostu chciał wyjaśnić sytuację - rzucił nieobecny głos Chris.

Jechali w ciszy.

- Dobry jest, prawda? - zapytała po chwili Carla.

Chris bez słowa kiwnął głową.

- Nawet pijany, nawet w takim stanie, jest najlepszym kierowcą, jakiego widziałam. -
Zaśmiała się bez humoru. - I pomyśleć, że chwilę wcześniej powiedziałam, że za kilka lat go
skasujesz. Jezu, ironia...

- Carla, naprawdę wolałbym o tym w tej chwili nie mówić.

Carla spojrzała na niego ze zwężonymi oczami, ale jeśli planowała się rozzłościć, to co
zobaczyła na jego twarzy, odessało z niej cały gniew. Zamiast tego sięgnęła i ujęła jego dłoń.

- Jasne - powiedziała cichutko.

Chris mocno ścisnął jej palce. Na jego ustach pojawił się delikatny uśmiezek, ale oczy
ani na chwilę nie opuściły drogi przed nimi.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W architektonicznym odbiciu teorii piramidy usług biurowiec Shorn wynajął dwa dolne poziomy serie sklepów i lokali gastronomicznych, które razem tworzyły centrum nazwane *Baza*. Zgodnie z przeczytaną przez Chrisa ulotką promocyjną Shorn, *Baza* dawała zatrudnienie ponad sześciuset ludziom i razem z należącymi do Shorn, a mieszczącymi się w podziemiach warsztatami samochodowymi stanowiła działający przykład idącej z góry kumulacji kapitału. Dobrobyt rozchodził się od podstaw budynku Shorn jak roślinność od źródła wody, pisano ciepło w ulotce, choć metafora, która przyszła do głowy Chrisowi, wiązała się raczej z wodą przeciekającą ze starej, pękniętej donicy. W jego przeświadczeniu bogactwo nie było czymś, czemu dysponujący nim ludzie mieli ochotę pozwolić na wyciek.

Po drugiej stronie ulicy dobrobyt rozkwitł - lub wyciekł - w formie małej narożnej knajpki o nazwie *U Louie Louie*. Założona w zeszłym stuleciu, by obsługiwać rynek rzeźniczy w miejscu zajmowanym obecnie przez kompleks Shorn, została na krótko zamknięta podczas recesji dominowych, a potem otwarta pod nowym kierownictwem; teraz oferowała kawę i przekąski pracownikom *Bazy*, którzy napłynęli tu wraz z nakreconą koniunkturą. Chris dowiedział się tego od Mike'a Bryanta, gdy któregoś rana wyskoczyli tam na kawę. Odniósł wówczas wrażenie, że lokal nigdy się nie zamyka, a nie wiadomo, kierowani snobizmem czy pragnieniem jakości, pracownicy wieży Shorn przedkładają *U Louie Louie* nad inne knajpki z jedzeniem w okolicy.

Chris musiał przyznać, że kawę serwowali najlepszą w całej Wielkiej Brytanii, i czerpał niedorzecznie dziecinną satysfakcję z faktu, że może ją sączyć z wysokiego, styropianowego kubka, stojąc przy oknie własnego biura i patrząc z wysokości pięćdziesięciu dwóch pięter na słabo oświetlony front miejsca, gdzie ją przyrządzono. Właśnie temu się oddawał, próbując się przebić przez połączenie głosowe z lokalnym agentem w Panamie, gdy do jego biura wszedł Mike Bryant.

- No to powiedz El Commandante, że jeśli chce, by jego Pantery Sprawiedliwości dostały bandażę i mobilną łączność na najbliższy miesiąc, niech lepiej przemyśli swoje stanowisko. Wszystkie telefony...

Urwał, gdy ktoś walnął w uchylone drzwi. Odwracając się od okna, zobaczył Bryanta, który z trudem przeciskał się przez wejście. Potężny mężczyzna trzymał w ramionach dwa pakunki, zawinięte w wyszukany, czarno-złoty papier. Dolna paczka była szeroka i płaska, szerokości mniej więcej ramion Bryanta, a górna zbliżona wielkością do dwóch starych papierowych słowników. Obie wyglądały na ciężkie.

- Oddzwonię - powiedział pośpiesznie Chris i rozłączył się.

- Cześć, Chris. - Bryant uśmiechnął się szeroko. - Mam coś dla ciebie. Gdzie to postawić?

- Tutaj. - Chris wskazał na mały stolik w rogu wciąż minimalistycznie umeblowanego biura. - Co to?

- Zaraz zobaczysz.

Bryant postawił paczki i zerwał papier z płaskiego pakunka, odsłaniając kraciastą powierzchnię marmurowej szachownicy. Znów uśmiechnął się do Chrisa, zdjął papier do

końca i ustawił ją na stoliku.

- Szachy? - zapytał z niedowierzaniem Chris.

- Szachy - zgodził się Bryant, zrywając papier z drugiego pudełka. Przechylił paczkę, wysypując na szachownicę rzeźbione figury z onyksu. - Wiesz, jak to ustawić?

- Jasne. - Chris podszedł do stolika i podniósł kilka figur, ważąc je w dłoniach. - Dobra jakość. Gdzie to kupiłeś?

- W sklepiku w *Bazie*. Mieli wyprzedaż. Dwie w cenie jednej. Drugą zostawiłem w swoim biurze. Daj mi białe, ty ustaw czarne. Z kim rozmawiałeś przez telefon?

- Z pieprzonym Harrisem w Panamie. Znow mam problemy z nikaraguańskimi powstańcami, a cholerny Harris oczywiście nie podejmie samodzielnie żadnej decyzji, bo siedzi pięćset kilometrów od walk. Nie jest pewien obrazu sytuacji.

Bryant znieruchomiał.

- Tak powiedział?

- Mniej więcej.

- I zadzwonił do kogoś, kto jest pięć tysięcy kilometrów dalej, żeby zdecydował za niego? Powinieneś zażądać audytu tego gościa. Zresztą ile on dostaje, trzy procent brutto?

- Coś koło tego.

- Zweryfikuj sukinsyna. Nie, lepiej ogłoś przetarg. Zobaczmy, jak walczy o swoje cholerne trzy procent. Chris wzruszył ramionami.

- Wiesz, jak tam wygląda.

- Co, lepszy znany śmierdziel?

- Dokładnie. - Chris ustawił na miejscu ostatni czarny pionek i wyprostował się. - Bardzo ładne. Co teraz?

Bryant sięgnął do rzędu białych.

- No cóż, nie wiem za dużo o tej grze, ale podobno to całkiem dobry sposób na początek.

Przesunął białego pionka o dwa pola i znów błysnął zębami.

- Twój ruch.

- Muszę to robić od razu?

Bryant potrząsnął głową.

- Zadzwon do mnie. Taki jest plan. Och, i słuchaj. Odnośnie Harrisa. Miałem z nim dokładnie takie samo łajno w zeszłym roku w związku z Hondurasem. Żałuję, że już wtedy nie ogłosiłem konkursu, ale to była delikatna sytuacja. Czy to delikatna sytuacja?

Chris zastanowił się nad tym przez chwilę.

- Nie. Przywarowali gdzieś w dżungli, nic się nie będzie działo do czasu, aż przestanie padać.

Bryant kiwnął głową.

- Ogłoś przetarg - powiedział, ustawiając dłonie w pistolet skierowany w dół, jak przy egzekucji. - Ja bym tak zrobił. Albo matkojebca zginie, albo zaczniesz dobrze dla siebie pracować. Byłeś kiedyś w Panamie?

- Nie. Rynki Rozwijające się leżą bardziej na południe. Hammett McColl prowadził interesy w Wenezueli, MGP i częściowo w Brazylii.

- Tak, dobra, powiem ci coś o Panamie. - Bryant znów poczęstował go uśmiechem. -

Dla twojej informacji. Mają tam pełno agentów, którzy odstawią pracę Harrisa dwa razy lepiej za połowę pieniędzy. Dasz im jeden, może dwa procent umowy, a wyrwą mu cholerne serce i zjedzą je żywcem. Tam walczą o kontrakty na osłoniętych ringach, jak gladiatorzy. - Znów przeszedł na parodię amerykańskiego akcentu. - *Bardzo* ostro walczą.

- Cudownie - wymamrotał Chris.

- Pieprz go, Chris, zasługuje na to. - Bryant zmarszczył brwi z irytacją. Wyciągnął rękę. - On pieprzy nasze inwestycje. Jeśli sobie z nimi nie radzi, znajdź kogoś, kto to potrafi. Zresztą, to nie moje konto i nie moja decyzja. A skoro o tym mowa, muszę wykonać kilka telefonów. Wyjdiesz się dzisiaj zabawić? Co powiesz na *Falklanda*?

Chris potrząsnął głową.

- Obiecałem Carli, że zjemy u nas w wiosce. Może innym razem.

- Dobra. A co powiesz na to, żeby wcześniej skończyć pracę i zejść na strzelnicę? Tylko na jakąś godzinę, zanim wrócisz do domu. Zapoznaj się z nemeckiem, na wypadek gdybyś zdecydował się wsadzić do niego pociski.

Chris uśmiechnął się z przymusem.

- To nie fair. Przynajmniej miałem go ze sobą. No dobra, dobra. Zejdę z tobą i przez godzinę pobawię się w strzelanie. Ale to wszystko. Później spadam. W takim razie do zobaczenia o szóstej.

- Dobra. - Bryant strzelił do niego z palców ułożonych w pistolet i wyszedł.

Chris stał i przez chwilę przyglądał się szachownicy, a potem z wahaniem przesunął własnego pionka o dwa pola, tak że stanął naprzeciw swego białego odpowiednika. Zmarszczył się na ten ruch, przesunął pionek z powrotem o jedno pole, znów się zawahał, po czym ze zirytowaną miną znów postawił pionek tam, gdzie na początku. Wrócił do biurka i ostrymi uderzeniami palców wywołał w pamięci numer telefonu.

- Panamski Urząd Handlu i Inwestycji - powiedział po angielsku kobiecy głos z hiszpańskim akcentem. Obraz na ekranie wyostrzył się i rozmówczyni go rozpoznała. - W czym mogę pomóc, señor Faulkner?

- Proszę mnie połączyć z Przetargami - rzucił Chris.

* * *

- Nie wiem - powiedział tego wieczora do Carli nad margeritami i fajitami w knajpie meksykańskiej w ich wiosce. - Po tym numerze na obwodnicy w zeszłym tygodniu myślałem, że wyrysował plan bitwy. Czułem się jak cholerny idiota z powodu wszystkiego, co ci mówiłem o tym, jak to zostaniemy przyjaciółmi. Ale miałem rację. On *chce* się zaprzyjaźnić.

- Albo się ciebie boi.

- Bez różnicy. Chyba ktoś mi kiedyś powiedział, że nawiązywanie przyjaźni w ramach tej samej płci to tylko sposób na negowanie współzawodnictwa. Kto to mógł być?

- Ja tego nie powiedziałam. Stwierdziłam tylko, że tak myśli Mel. Nie dodałam, że się z nim zgadzam.

Chris się uśmiechnął.

- Cóż, pewnie zna się na przyjaźniach w ramach jednej płci. Z bardzo dogłębnej perspektywy.

- Nie bądź palantem, Chris.

- Hej, daj spokój. To był żart. - Chris nadal się uśmiechał, ale gdzieś w środku poczuł

rozczarowanie. Były czasy, gdy Carla potrafiła go lepiej zrozumieć. - Wiesz, że nie mam nic przeciw Melowi i Jessowi. W HM pracowałem z wieloma gejami. Jezu, Carla, zanim cię poznałem, *mieszkałem* z dwoma gejami.

- Tak, i ciągle się z nich nabijałeś.

- Ja... - Ale narastało w nim poczucie niesprawiedliwości, jak zimne błoto, mroząc mu nastrój i ścierając z twarzy uśmiech. - Carla, oni też ze mnie żartowali. Do diaska, nazywali mnie domowym hetero. To był taki styl. Nie jestem homofobem. Wiesz o tym.

Carla spojrzała na jedzenie, potem na niego.

- Tak, wiem. - Uśmiechnęła się lekko. - Przepraszam. Jestem zmęczona.

- A kto, do cholery, nie jest? - Chris pociągnął spory łyk margerity i przez chwilę się nie odzywał.

Fajitas nie jest daniem, które należy spożywać w ciężkim milczeniu, toteż żadne z nich nie paliło się do jedzenia. Kelner wyczuł emanujący od stolika nastrój i bez słowa zabrał stygnące talerze.

- Jakiś deser? - zapytał ostrożnie po powrocie.

Carla bez słowa potrząsnęła głową. Chris głęboko wciągnął powietrze.

- Nie, dzięki. - Nagle podjął decyzję. - Ale może mi pan przynieść jeszcze jedną margeritę. Albo nawet cały dzbanek.

- Ja już więcej nie chcę, Chris - powiedziała ostro Carla.

Spojrzał na nią pusto, wiedząc, że ją to zaboli.

- A ktoś cię pytał? Dzbanek jest dla mnie. - Kiwnął na kelnera, który wycofał się z wyraźną ulgą. Carla przybrała pogardliwy wyraz twarzy.

- Zamierzasz się upić?

- No cóż, jeśli przyjrzeć się logistyce, na to wygląda. Tak.

- Nie przyszłam tu, żeby się upić.

- Nie prosiłem cię o to.

- Chris...

Czekał, nie korzystając z szansy, jaką dał mu ton rozpaczony w jej głosie. Przygarbiła ramiona.

- Wracam do domu - oświadczyła.

- Dobrze. Mają ci wezwać taksówkę?

- Pójdę pieszo - powiedziała zimno. - To nie fair.

- Dobra. - Kiedy wstawała, zajął się szklanką margerity. Przez chwilę jeszcze się wahała, nachylając się lekko w jego stronę, a potem coś ją usztywniło i odeszła od stołu. Chris bardzo starannie unikał patrzenia za nią, gdy odchodziła. Kiedy minęła okno restauracji, znów zajął się drinkiem. Kątem oka zauważył, że nawet na niego nie spojrzała.

Przez chwilę martwił się tym, że wraca do domu sama, ale potem przestał, rozpoznając poczucie winy z powodu kłótni. Hawkspur Green była wioską, której dobrobyt wzrósł absurdalnie przez napływ profesjonalnych kierowców oraz ich rodzin. Poziom przestępczości przypominał przedszkole, nie zdarzało się tu nic poza okazjonalnymi aktami wandalizmu, sprowadzającymi się głównie do mazania graffiti. Carla potrafiła się obronić, zaś dojście do domu nie zabierze jej więcej jak kwadrans. Po prostu szukał wymówki, żeby za nią pójść.

Pieprzyć to.

Przyniesiono dzbanek.

Wypił go do dna.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Strefa południowo-zachodnia. Brundtland.

Kruszejące betonowe kości budynku kurczyły się w mroku. Kilka nierozbitych lamp rzuciło na chodniki i klatki schodowe okazjonalne plamy sodowego pomarańcza. Mroczną masę budynku znaczyły w czarno-żółty kod pojedyncze okna z zapalonym światłem. Gdy Carla parkowała landrovera, przed reflektorami wozu uciekły cienie wielkości dzieci. Kiedy znalazła się poza osłoną samochodu, zrobiło się gorzej. Czowała na sobie spojrzenie profesjonalistów przyglądających się, jak uaktywnia systemy przeciwwłamaniowe, i miała świadomość, że podsłuchują ją doświadczony uszy wychytujące cichy jęk ogłuszacza ładującego się z baterii. Ruszyła przed siebie możliwie jak najszybciej, nie okazując strachu. Weszła do holu.

O dziwo, wyglądało na to, że windy funkcjonują.

Dźgnęła w klawisz, bardziej by wyładować frustrację, niż przywołać dźwig, i prawie się przestraszyła, gdy światła nad poobijanymi metalowymi drzwiami zamigotały, włączając strzałkę skierowaną w dół. Zamrugęła kilka razy, gwałtownie starła łzę, która wypłynęła jej spod powieki, i czekała na przyjazd windy. W prawej dłoni ścisnęła ogłuszacz, prezent od Chrisa, a w lewej puszkę gazu łzawiącego. Hol za jej plecami, oświetlony zimnym światłem halogenów, ukrytych za metalowymi kratkami, był całkowicie pusty, ale drzwi ze zbrojonego szkła, przez które tu weszła, pokrywały rysy i wygniecenia na wysokości sugerującej, że powstały na skutek kopnięcia; uszkodzenia wyglądały na świeże.

PIEPRZYĆ DYRKOWSKIE CIPY głosił napis po lewej, wymazany czerwonymi literami. Bezsensowna furia. Żaden szanujący się dyrektor nie pojawiłby się w Brundtlandzie.

Przyjechała winda, ale kiedy otworzyły się drzwi, w jej nozdrza uderzył tak intensywny smród moczu, że aż ją odrzuciło. Zastanawiała się przez chwilę, po czym zacisnęła usta i ruszyła w stronę słabo oświetlonych schodów po lewej. Trzymając gaz łzawiący w wyciągniętej ręce i kryjąc ogłuszacz za plecami, wspięła się na piąte piętro i pomaszerowała korytarzem w sposób mający przekonać nasłuchujących, że czuje się w tej śmierdzącej dziurze jak w domu.

Zatrzymała się przed numerem pięćdziesiątym siódmym i zastukała do drzwi puszką gazu. Ze środka dobiegł ją odgłos powolnych, chwiejnych kroków, a pod drzwiami pojawiło się światło.

- Kto tam?

- Tato, to ja, Carla. - Próbowała mówić spokojnie, częściowo by nie okazać słabości, ale przede wszystkim po to, żeby go nie przestraszyć. Ojciec powiedział jej, że zaledwie rok temu jeden z lokalnych gangów skłonił starszą kobietę do otwarcia drzwi, przykładając pistolet do głowy stojącej przed jej drzwiami córki. Kiedy bandyci znaleźli się w środku, obrabowali mieszkanie i zgwałcili córkę, zmuszając matkę, by się temu przyglądała, a potem pobili kobiety do nieprzytomności. Najwyraźniej nie zawracali sobie głowy zabijaniem ofiar. Wiedzieli, że nie było takiej potrzeby. W strefach policja wyznawała jedną zasadę: trzeba pilnować jej granic, a nie utrzymywać wewnątrz prawo. Rajdy zdarzały się rzadko i bez związku z aktualnie popełnionymi przestępstwami. Budynkiem rządzili gangsterzy. Gwałty i

włamania nie były uznawane za naruszenie prawa.

- Carla?

Rozległ się trzask otwieranych zamków i solidne tąpnięcie, gdy odskoczył system bolców, zainstalowanych za pieniądze jej i Chrisa, a potem drzwi się otworzyły. W drzwiach stał jej ojciec, trzymając w gotowości kij bilardowy.

- Carla, co ty tu robisz o tej porze? - przeszedł na norweski. - I gdzie jest Chris? Nie przyjechałaś tu sama, prawda? Na miłość boską, dziecko.

- Cześć, tato - zdołała powiedzieć.

Wciągnął ją do środka, zatrzasnął drzwi i z powrotem zablokował zamki. Dopiero wtedy puścił kij, wrzucając go do stojaka na parasole przy drzwiach, i otworzył ramiona, by ją objąć.

- Dobrze cię widzieć, Carla. Nawet jeśli jest po północy. Co się, u diabła, stało? Och, nie mów mi. - Głową wskazał łzy, które zaczęły już płynąć spod jej zaciśniętych powiek, a ona zadygotała w jego objęciach. - Znow się pokłóciliście? Jest na dole?

Potrząsnęła przyciśniętą do jego ramienia głową.

- Dobrze. Czyli nie muszę się zachowywać jak dyplomata. - Erik Nyquist odsunął się trochę od córki i ujął ją za brodę. - Może wejdiesz i napijesz się ze mną kawy z whisky, a potem obsobaczmy go za jego plecami?

Zaśmiała się przez łzy. Odpowiedział jej łagodnym uśmiechem.

- Tak lepiej - powiedział.

* * *

Usiedli więc w salonie przed wiekowym elektrycznym kominkiem, z dymiącymi kubkami taniej kawy i jeszcze tańszej whisky w dłoniach, a Erik wpatrywał się w czerwony blask grzejnika, podczas gdy jego córka mówiła. Opanowała już łzy i jej głos brzmiał spokojnie - analityczne narzędzie przesuwające się przez nawarstwione osady. Najpierw z ostatnich kilku godzin, potem tygodni, a w końcu lat.

- Po prostu - powiedziała. - Jestem pewna, że nie zawsze się tyle kłóciliśmy. Prawda? Przecież pamiętasz.

- Cóż, nigdy nie przejechałaś sama przez wydzieloną strefę w środku nocy z powodu kłótni - przyznał Erik. - Przynajmniej to pierwszy raz. Ale mam być szczerzy? Myślę, że kłóciliście się mniej więcej od czasu, kiedy tylko choć trochę głębiej poznałaś Chrisa. Z pewnością od kiedy się pobraliście. Nie potrafię powiedzieć, czy teraz więcej niż kiedyś, ale nie o to chodzi.

Carla podniosła wzrok, zaskoczona.

- Nie?

- Nie. Carla, małżeństwo to stan sztuczny. Wymyślony przez patriarchat, by zapewnić ojcom wiedzę, które dzieci sami spłodzili. Fakt, że trwa to już od tysiącleci, wcale nie sprawia, że stało się bardziej naturalne. Istoty ludzkie nigdy nie były stworzone do takiego życia.

- Myślę, tato, że już to gdzieś czytałam.

- Fakt, że napisała to twoja matka - powiedział poważnie Erik - nie umniejsza wagi tego argumentu. Jesteśmy istotami plemiennymi, nie monogamicznymi.

- Tak, tak. Zobaczmy, czy pamiętam, jak to szło. Podstawową ludzką jednostką

społeczną powinno być matriarchalne plemię: kobieta, wychowująca dzieci i przechowująca wiedzę w centrum, otoczona przez straż wojowników-samców. Och, jak to było... dzieci wspólne dla całego plemienia, reprodukcja tylko przez kobiety i...

- Rzecz w tym, Carla, że pary na wyłączność są sprzeczne z naturą. Przeznaczeniem dwojga ludzi nigdy nie było ograniczać się wyłącznie do swojego grona.

- To cholernie żalosna wymówka - powiedziała i zagryzła wargę.

Erik spojrzał na nią z wyrzutem.

- Nie to miałem na myśli. Słuchaj, nawet w niedalekiej przeszłości istniały wielopokoleniowe rodziny, które mogły załagodzić napięcia. Teraz żyjemy w izolowanych parach lub elementarnych rodzinach, w których albo oboje rodzice pracują tak ciężko, że ledwie się widują, albo nie pracują wcale i rozdziera ich stres życia na granicy ubóstwa.

- To uproszczenie, tato.

- Doprawdy? - Erik objął dłońmi kubek i znów zapatrzył się w czerwony blask grzejnika. - Zobacz, gdzie żyjesz, Carla. Wioska, której rok temu nie znaliście nawet z nazwy. Żadnych mieszkających w pobliżu przyjaciół, żadnej rodziny, nawet życia towarzyskiego w pracy, o ile nie jesteś gotowa jechać potem półtorej godziny do domu. Wszystko to bardzo was obciąża, a kłótnie są tego efektem. Naturalnym skutkiem. Nie byłoby naturalne, gdybyś się nie kłóciła z kimś, z kim dzielisz sen i życie na jawie. To zdrowe, umożliwia odreagowanie i jeśli nie chowasz urazów, nie powinno szkodzić związkowi.

Carla zadygotała pomimo ciepła grzejnika.

- To nas niszczy.

Erik westchnął.

- Wiesz, co powiedziała mi twoja matka, zanim wróciła do Tromso?

- Pieprzę ciebie i tę angielską dziwkę? - Pożałowała tego, gdy tylko słowa opuściły jej usta, zaskoczona, że po dwóch dekadach nadal nie potrafiła przebaczyć. Ale Erik tylko uśmiechnął się cierpko, a jeśli poczuł ból, nie pokazał tego po sobie. Sięgnęła do niego ręką. - Przepraszam.

- Nie szkodzi. - Mimo wszystko zachował na twarzy uśmiech. - Masz rację, faktycznie tak powiedziała. Nie raz. Ale powiedziała też, że już najwyższy czas i wcale nie jest zaskoczona, ponieważ już się ze sobą nie bawimy. Dokładnie tak. *Przestaliśmy się razem bawić, Erik.*

- Och, daj spokój!

- Nie, Carla, ona miała rację. - Spojrzał na nią i tym razem na jego twarzy pojawiło się cierpienie. - Twoja matka zazwyczaj miała w tych sprawach rację. Zawsze byłem zbyt zajęty działalnością polityczną by zauważyć emocjonalne prawdy. Trafiła w dziesiątkę. Już się ze sobą nie bawiliśmy. Od lat. Dlatego w ogóle wyłądownałem z Karen. Ona dawała mi radość, a było to coś, czego z twoją matką nie zaznałem od wielu lat.

- My z Chrisem wciąż się dobrze bawimy - zapewniła szybko Carla.

Erik Nyquist popatrzył na córkę i znów westchnął.

- Więc się go trzymaj - poradził. - Bo jeśli to prawda, jeśli to najprawdziwsza prawda, to co masz, warte jest wszelkich kłótni.

Carla spojrzała na niego zaskoczona, przejęta nagłą falą emocji w jego głosie.

- Myślałam, że nie lubisz Chrisa.

Erik zachichotał.

- Nie lubię - przyznał. - Ale co to ma wspólnego ze mną? Ja z nim nie sypiam.

Uśmiechnęła się lekko i znów wbiła spojrzenie w grzejnik.

- Nie wiem, tato. To wszystko jest takie...

Czekał, aż zbierze uczucia w jakiś spójny kształt.

- Od kiedy zaczął pracować w Shorn... - Z rezygnacją potrząsnęła głową. - Tato, to wszystko nie ma sensu. Zarabia więcej niż kiedykolwiek, a nie pracuje więcej niż w Hammett McColl. Cholera, *powinniśmy* być szczęśliwi. Mamy ku temu wszelkie powody. Czemu *teraz* się to rozpada?

- Shorn Associates. I nadal siedzi w Rynkach Rozwijających się?

Potrząsnęła głową.

- Inwestycje Konfliktowe.

- Inwestycje Konfliktowe. - Erik zacisnął wargi, a potem wstał i podszedł do półki z książkami ustawionej przy ścianie naprzeciw grzejnika. Przesunął palcem po ciasno upchniętych grzbietach książek na dolnej półce, znalazł to, czego szukał, i wyciągnął wolumin. Wrócił do grzejnika, przerzucając kartki, po czym podał jej książkę.

- Przeczytaj to - powiedział. - Tę stronę.

Popatrzyła na książkę i odwróciła ją by sprawdzić tytuł. *Dziedzictwo socjalizmu*, Miguel Benito.

- Tato, nie jestem w nastroju. Tu nie chodzi o politykę.

- *We wszystkim* chodzi o politykę, Carla. Polityka *jest* wszystkim. A przynajmniej wszystkim w ludzkim społeczeństwie. Po prostu przeczytaj ten akapit.

Westchnęła i odstawiła kubek z kawą. Odchrząknęła, zaznaczyła wiersz palcem i przeczytała na głos.

- „Dwudziestowieczni rewolucjoniści zawsze byli świadomi...”?

- Tak, ten.

- „Dwudziestowieczni rewolucjoniści zawsze byli świadomi, że w celu wywołania gwałtownej zmiany politycznej...”.

- Chciałem, żebyś to sobie przeczytała.

Zignorowała go, czytając dalej ze śpiewną nutą narastającą w głosie.

- „W celu wywołania gwałtownej zmiany politycznej niezbędne jest zintensyfikowanie istniejących napięć społecznych do poziomu, na którym wszyscy musieliby wybrać strony w czymś, co tym samym zostałoby sprowadzone do uproszczonego równania walki klas. Marksści i ich ideologiczni spadkobiercy opisywali to jako wyostrzenie sprzeczności w społeczeństwie. W populistycznym ujęciu...”. Tato, czy w tych bzdurach jest jakiś sens?

- Po prostu dokończ, dobrze?

Przybrała ponurą minę.

- „W populistycznym ujęciu kryjącej się za tym prawdy, hasłem drugiej połowy ubiegłego stulecia stało się: *jeśli nie stanowisz elementu rozwiązania, to jesteś częścią problemu* ... Aaach, nowy akapit. „Każdy wyznawca późnej ideologii marksistowskiej musiałby przyznać, że w polityce dwudziestego pierwszego wieku sprzeczności są tak głęboko zamaskowane, że trzeba byłoby dekad, by je odsłonić, a co dopiero wyraźnie uwypuklić”. Trochę jak styl prozy, co? No dobrze, już prawie koniec... „Ogólnego problemu

już się nie dostrzega, w związku z czym nie szuka się też generalnego rozwiązania. Wszelkie budzące odrazę elementy w świecie porządku ekonomicznego są teraz uważane albo za kandydatów do *długoterminowego dostrajania*, albo co gorsza, za nieunikniony efekt uboczny praw ekonomii, rzekomo równie niewzruszonych, jak podstawy fizyki kwantowej. Jak długo wierzy w to przeważająca większość społeczeństwa krajów rozwiniętych, sprzeczności opisywane przez marksizm pozostaną ukryte i każdy indywidualny członek społeczeństwa będzie musiał samodzielnie radzić sobie z niewyraźnie odczuwanymi napięciami wewnętrznymi. Wszelkie próby eksternalizacji tych niepokojów zostaną zlekceważone przez panujący klimat polityczny jako skompromitowany już, utopijny socjalizm lub, jak wykazano w rozdziale trzecim, *polityka zawiści*". - Odłożyła książkę. - No i co z tego?

- Na tym polega twój problem, Carla. - Erik nie usiadł, gdy czytała. Stał plecami do grzejnika i patrzył na nią w dół, jakby była jedną z jego studentek. Nagle znów poczuła się tak, jakby miała piętnaście lat. - Tłumione sprzeczności. Chris może wciąż być mężczyzną, za którego wysłałaś, ale jest też wojownikiem nowego porządku ekonomicznego. Korporacyjnym samurajem, jeśli chcesz przyjąć ich własne ikony.

- Wiem o tym, tato. To nic nowego. Wiem, co robi, i wiem, jak działa jego świat. Gdybyś nie pamiętał, pomagam budować i naprawiać pojazdy, których używają do zabijania się. Też w tym wszystkim siedzę, tato. Co?

Potrząsał głową. Przykucnął przy niej i łagodnie objął dłońmi jej ręce.

- Carla, tu nie chodzi o ciebie i Chrisa. To prawie was nie dotyczy. Benito mówi o sprzecznościach *wewnętrznych*. Życiu, jakie prowadzicie, w takim, a nie innym społeczeństwie. W Hammett McColl Chris mógł to robić, ponieważ jego pracę okrywał cienki woal szacunku. W Shorn już go nie ma.

- Och, bzdura. Czytałeś, jacy są ci ludzie. Tato, sam kiedyś o tym pisałeś, jeszcze w czasach, gdy ktoś miał dość odwagi, by to publikować. Jedyna różnica między Inwestycjami Konfliktowymi i Rynkami Rozwijającymi się polega na poziomie ryzyka. W Rynkach Rozwijających się nie lubią konfliktów i niestabilności. Faceci w IK na nich żerują. Ale zasada jest ta sama.

- Hmm. - Erik się uśmiechnął i puścił jej dłonie. - Dla mnie wygląda to jak słowa Chrisa. I może nawet ma rację. Ale nie w tym rzecz.

- Wciąż to powtarzasz.

Erik wzruszył ramionami i znów usiadł.

- Ponieważ wciąż tego nie rozumiesz, Carla. Myślisz, że chodzi o rozłam między tobą i Chrisem, a ja ci powtarzam, że wcale nie, że chodzi o rozłam wewnętrzny Chrisa. Mówisz, że nie ma różnicy między tym, co robił wcześniej, a tym, co robi teraz, i poza kilkoma zastrzeżeniami semantycznymi to może być prawda. Ale Chris nie zmienił tylko tego, co robi. Zmienił miejsce, w którym pracuje, i ludzi, dla których działa, a to się liczy. Razem z Nakamurą i Lloydem Paulem, Shorn Associates to najagresywniejszy gracz na rynku inwestycyjnym. I dotyczy to w równym stopniu ich oddziałów Arbitrażu i Rynków Rozwijających się, co Inwestycji Konfliktowych. Archetypiczna bezwzględna firma. Żadnych pozorów, żadnych racjonalizacji moralnych. Robią, co chcą, i są w tym najlepsi. To właśnie sprzedają. Idzie się do Shorn Associates, bo to wredne sukinsyny zarobią dla człowieka

pieniądze, choćby się waliło i paliło. Pieprzyć etyczne inwestycje, po prostu dajcie mi solidny zysk i nie mówcie mi, jak go osiągnęliście.

- Wzięło cię na przemowy, tato.

Zapadła pełna napięcia cisza. Carla wpatrywała się w grzejnik, zastanawiając się, czemu tak łatwo przychodziło jej ranić ojca. Erik Nyquist zachichotał nagle i kiwnął głową.

- Masz rację, wzięło mnie - powiedział życzliwie. - Przepraszam. Tak bardzo brakuje mi możliwości publikacji, że wszystko to się we mnie kisi. I wybucha, gdy tylko mam z kim porozmawiać.

- Nic nie szkodzi - powiedziała nieobecny tonem. - Chciałabym tylko...

- Co?

Nagły, oślepiający błysk wspomnienia. Miała wtedy sześć czy siedem lat, mieszkała z dziadkami w Tromso, otoczona zimnem na zewnątrz i ciepłem wewnętrznym, które zawsze wiązało się z wizytami u pary starszuchów. Pamiętała Erika i Kristi Nyquist na nartach, opartych o siebie na wzgórzu za domem rodziców Kristi, śmiejących się do siebie. Bawiących się w sposób Nyquistów, który jak sobie w dzieciństwie wyobrażała, będzie też typowy dla jej przyszłego małżeństwa.

Wspomnienie zbladło, gasnąc w słabym, czerwonym blasku elektrycznego ognia. Sięgnęła po dłoń ojca.

- Nic.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Drinka?

Mike Bryant potrząsnął głową.

- Dzięki, Louise. Jeszcze nie uporałem się z kacem. Tylko woda, jeśli masz.

- Oczywiście. - Louise Hewitt zamknęła obite stałą drzwiczki barku i podniosła ze stolika obok niebieską dwulitrową butlę. - Usiądź, Mike. Picie... czy inne rozrywki... w środku tygodnia mogą być śmiertelnym błędem.

- Nie śmiertelnym - poprawił Bryant, masując sobie skronie i siadając na sofie. - Ale w moim wieku zdecydowanie już błędem.

- Tak, mając trzydzieści cztery lata, pewnie czujesz się jak dziadek. Jeszcze trochę to pamiętam. - Hewitt nalała wody do dwóch szklanek i usiadła na brzegu drugiej sofy. Popatrzyła na niego z namysłem. - Cóż, nie proponuję toastu wodą, ale gratulacje są chyba na miejscu. Właśnie skończyłam rozmawiać z Bangkokiem. Ten tekst o Kambodży, który przygotowałeś w trakcie swojej ostatniej wizyty, wreszcie wylądował w rękach odpowiedniego partyzanta.

Bryant wyprostował się i zapomniał o kacu.

- Kambodża? Wojna heroinowa?

Hewitt skinęła głową.

- Wojna heroinowa, jak to elegancko zdefiniowałeś. Mamy przywódcę koalicji partyzanckiej, który jest gotów rozmawiać. Khieu Sary. Brzmi znajomo?

Bryant dopił wodę ze szklanki i pokiwał głową.

- Tak, pamiętam go. Arogancki sukinsyn. Jego przodkowie należeli do Czerwonych Khmerów, czy coś takiego.

- Tak. - W głosie Hewitt dało się wyczuć ślad drwiny. - Cóż, wygląda na to, że ten Sary potrzebuje broni i gotówki, żeby utrzymać koalicję. Rząd Kambodży jest o włos od zaoferowania amnestii wszystkim rebeliantom heroinowym, którzy wrócą do domów i oddadzą broń. Jeśli do tego dojdzie, koalicja się rozpadnie, a Sary straci swoje zaplecze. Ale jeśli się utrzyma, to nasze źródła w Bangkoku uważają, że w ciągu dwóch lat pomaszeruje na Phnom Penh.

- Optymistyczne założenie.

- Lokalnym agentom nigdy nie brakuje optymizmu. Wiesz, jak to jest, robią wszystko, żebyś wszedł w interes. Ale ten gość zarabiał już pieniądze. Jestem gotowa się zgodzić, więc lepiej wygrzeb swoją kopię Reeda i Masona, bo to będzie twoje, Mike.

Jego źrenice się poszerzyły.

- Moje?

- Całkowicie. - Hewitt wzruszyła ramionami. - Ty to umożliwiłeś i masz doświadczenie, żeby to poprowadzić. Jak już mówiłam, gratuluję.

- Dzięki.

- Propozycja nie przeszła bez wyzwania - rzuciła niedbale Hewitt.

Bryant się uśmiechnął.

- Cóż za niespodzianka. Nakamura?

- Nakamura i Acropolitic. Nakamura musi mieć swoje źródła informacji u Sary'ego, oferują mu w zasadzie taką samą umowę, jaką złożyłeś w Bangkoku, a drań jest dość sprytny, by wiedzieć, że jeśli zmusi nas do przetargu, obniży cenę.

- A Acro?

- Mają mandat status quo. Oficjalni doradcy ekonomiczni kambodżańskiego reżimu. Chcą zgasić ofertę, zanim wystartuje. Wszystko przeszło już przez Handel i Finanse.

- Gdzie to ma być?

- Północ. Okno pojedynkowe ma trzysta kilometrów, kontrakty zostaną podpisane w sali konferencyjnej sześć w Centrum Tebbita. Przyjedź z krwią na kołach albo wcale. Mówi się, że Nakamura ściągnęła do tego Mitsue Jones. Leci tu przewodzić brytyjskiej ekipie. Acropolitic nie ma nikogo jej klasy, ale bez wątpienia wyślą swoich najlepszych. Możesz im przeciwstawić trzysobową ekipę, wliczając ciebie. Jakies sugestie?

- Nick Makin. Chris Faulkner. - W głosie Bryanta nie było wahania.

Hewitt nie wyglądała na przekonaną.

- Twój kumpel od szachów, co?

- Jest dobry.

- Tutaj nie pozwala się uczuciom wpływać na profesjonalne opinie, Mike. Wiesz o tym. To źle oddziałuje na interesy.

- Zgadza się, wiem o tym. I chcę Faulknera. Powiedziałaś, że to moja działka, Louise. Jeśli nie...

- Makin nie lubi Faulknera - rzuciła ostro Hewitt.

- Makin nikogo nie lubi. To jego tajemnica. Problem tutaj, Louise, polega na tym, że *ty* nie lubisz Faulknera. I to też nie jest sekret.

- Przypominam ci, że rozmawiasz z partnerem kierującym tym oddziałem. - Głos Hewitt pozostał spokojny, stał się tylko odrobinę chłodniejszy. Nalała sobie jeszcze wody. - Dla twojej informacji, Mike, osobiste uczucia nie mają tu nic do rzeczy. Nie sądzę, żeby Faulkner nadawał się do przetargu na tym poziomie. Uważam też, że pozwalasz przyjaźni wpłynąć na profesjonalną ocenę, i zamierzam to umieścić w aktach. Jeśli nie będziesz ostrożny, może się to fatalnie skończyć.

- Pójdzie jak po maśle, Louise. - Bryant uśmiechnął się drapieżnie. - Makin i Faulkner dowiedli, że na drodze są twardzi, i jeśli o mnie chodzi, to załatwia sprawę. Nie mamy nikogo lepszego, i wiesz o tym.

Zapadła cisza, w której najgłośniejszym dźwiękiem był odgłos przetykanej przez Louise Hewitt wody. W końcu wzruszyła ramionami.

- Dobrze, Mike, to twoja decyzja. Ale i tak zamierzam zarejestrować swój sprzeciw. Co powoduje, że jesteś teraz w stu procentach odpowiedzialny za Faulknera. Jeśli spieprzy...

- Jeśli spieprzy, Louise, możesz go wykopać, a ja przytrzymam ci drzwi. - Bryant znów błysnął zębami. - Albo okno.

Hewitt wyciągnęła z kieszeni dysk i rzuciła go na stół między nimi.

- Jeśli spieprzy, będziesz trupem - powiedziała krótko. - A Shorn straci średnioterminowy kontrakt IK warty miliardy. Masz to w odprawie. Zbliżenia trasy, komentarz dotyczący nawierzchni. Upewnij się, że obaj dostaną kopie. I sprawdź, czy Faulkner rozumie, czego się od niego oczekuje. Krew na kołach, Mike, albo nie będzie

umowy.

- Pamiętam czasy - Bryant pozwolił, by jego słowa zniekształcił cień amerykańskiego akcentu - kiedy wystarczyło *dojechać* jako pierwszy.

Hewitt uśmiechnęła się wbrew sobie.

- Nie ze mną te bajki. Słyszałeś tylko, jak rozmawiają o tym Notley i inni. I nawet oni ledwie pamiętają czasy, gdy było to tak miłe. A teraz wynoś się stąd i nie zawieź mnie.

- Nawet nie śmiem o tym marzyć. - Bryant podniósł dysk i wstał do wyjścia. Przy drzwiach zatrzymał się i obejrzał. - Louise?

- Tak.

- Dzięki, że mi to dałaś.

- Ależ proszę. Jak powiedziałam, nie zawieź mnie.

- Nie, nie zawiodę. - Bryant się zawahał, po czym postanowił strzelić. - Wiesz, Louise, jeśli wpiszesz do akt swój sprzeciw odnośnie Faulknera, ryzykujesz, że znajdziesz się w głupim położeniu, jeśli się sprawdzi.

Hewitt posłała mu lodowaty uśmiech partnera-dyrektora.

- Dziękuję, Michael, zaryzykuję. Chcesz mi dać jeszcze jakieś rady odnośnie kierowania moim oddziałem?

Bryant potrząsnął głową i wyszedł bez słowa.

* * *

Wstąpił do biura Chrisa i zastał go stojącego przy oknie, zapatrzonego w zadymkę. Zima trzymała się Londynu bezsensownie długo i niebo od tygodni rzucało garściami śniegu.

- Co się dzieje? - zapytał, wsuwając głowę przez drzwi.

Słyszac Bryanta, Chris wyraźnie podskoczył. Myślamy był gdzieś daleko.

Przechodząc przez biuro do okna, Bryant się wyciągnął, próbując wypatrzeć za oknem coś interesującego, ale w końcu uznał, że Chris po prostu się zamyślił.

- Mike. - Chris odwrócił się w stronę gościa. Oczy miał otoczone czerwoną obwódka i przepełnione gniewem. Bryant cofnął się o krok.

- Hej, Chris. Musisz postawić kryształową ścianę. - Trzeba przyznać, że był to tylko po części żart. Chris wyglądał koszmarnie. - Przypomnij sobie Rancida Neagana. Powiedz: *Nie, aż do weekendu*.

Chris wykrzywił wargi, honorując świetny powrót Dexa i Seta.

- Hej, ja już nie robię takich rzeczy.

- Czego, nie odpoczywasz w weekendy?

Uśmiech z oporami się poszerzył.

- Wymyśliłeś wreszcie ruch, czy co?

- Jeszcze nie. Ale bez obaw, poprawa tuż tuż.

Tym razem obaj się uśmiechnęli. Partia, aktualnie już piąta, zbliżała się do końca i jeśli wykluczyć wylew krwi do mózgu, nie było sytuacji, w której Chris mógłby przegrać. Co dało by mu cztery do jednego przeciw Bryantowi, rezultat, którym jak się wydawało, potężny mężczyzna nie przejmował się tak bardzo, jak Chris się obawiał. Bryant grał ryzykownie, skupiając się na królowej, a kiedy Chris w nieunikniony sposób brał go w dwa ognie i pozbawiał tej figury, strategia Bryanta rozpadała się w proch. Ostrożne fortyfikacje Chrisa za każdym razem umożliwiały mu obronę i Bryant wciąż na nowo ze zdumieniem odkrywał, że

jego ataki rozbijają się na zaporach z pionków, podczas gdy dwie lub trzy niewinne figury przeganiają po planszy jego króla, dając mu w końcu sromotnego mata. Ale uczył się i wyglądało na to, że jest gotów płacić cenę tej nauki w porażkach. W weekendy dzwonił już znacznie szybciej niż na początku, a Chris za każdym razem potrzebował więcej czasu na odpowiedź. Ostatni mecz, trwający ponad dwa tygodnie, ciągnął się dwukrotnie dłużej niż wcześniejsze. Chris myślał już nawet, że może nadszedł czas, by wygrzebać którąś z podniszczonych książek o strategii, jakie dostał w dzieciństwie od taty. Jeśli miał utrzymać przewagę, musiał trochę odświeżyć wiedzę.

Może w rewanżu Mike uczył go strzelać. Kilka razy w tygodniu schodzili do strzelnicy Shorn i strzelali z nemeksów do holograficznych celów, aż Chris tracił czucie w ręce od powtarzających się kopnięć potężnej broni. Ku własnemu zdziwieniu, okazało się, że ma ku temu talent. Trafiał znacznie częściej, niż pudłował, i choć nie posługiwał się jeszcze nemeksem ze swobodną precyzją Mike'a, z pewnością w grzmocie strzelnicy robił ciche postępy.

Nie był pewien, jak się z tym czuje.

- Mam coś dla ciebie - powiedział Bryant, z uśmiechem magika wyciągając z kieszeni dysk z odprawą. Trzymał go między palcem wskazującym i kciukiem. Światło padające na jasnosrebrny krążek tworzyło kolorową tęczę. Chris z zaciekawieniem przyjrzał się barwom.

- Mianowicie?

- Praca, przyjacielu. I to największy w tym sezonie strzał. Sława w telewizji i tyle fanek, ile tylko zdołasz obsłużyć.

* * *

Chris odtworzył dysk w domu.

- Obejrzyj to - powiedział mu Bryant. - Rozciągnij się na kanapie, ściągnij krawat i buty, odpręż się, nalej sobie porcję tego jodowanego drinka i pozwól temu przez siebie przepłynąć. Nie chcę od ciebie odpowiedzi wcześniej niż za czterdzieści osiem godzin.

- Czemu nie mogę tego obejrzeć od razu? - chciał wiedzieć Chris.

- Ponieważ - Bryant nachylił się bliżej, emanując aurą kogoś, kto zdradza tajemnicę sukcesu - w ten sposób naładujesz się oczekiwaniem i pozwolisz się temu wgryźć w swój umysł na głębszym poziomie. Twój mózg wciągnie to do głębi, a czterdzieści osiem godzin na odpowiedź da mu czas się przez to przegryźć i dojrzeć. I kiedy wreszcie się spotkamy, żeby to przedyskutować, będziesz pełen pomysłów. - Mrugnął konspiracyjnie. - Stary trik konsultancki z odległej przeszłości.

- Tylko ty i ja?

Bryant potrząsnął głową.

- Ekipa trójosobowa. Ty, ja i Nick Makin.

- Och.

- Masz z tym jakiś problem? - Bryant zmrużył oczy. - Coś, o czym powinienem wiedzieć?

- Nie.

Patrząc na końcowe sceny dysku, Chris odtworzył to sobie w myślach jeszcze raz i spróbował dojść, czemu uważał, że miał jakiś problem z Nickiem Makinem. Nie można powiedzieć, żeby Makin potraktował go szczególnie przyjaźnie, ale to samo można było rzec

o Hewitt czy Hamiltonie, a historię o Elysi Bennett i napadzie sentymentalizmu Chrisa Faulknera słyszało zapewne wielu pracowników Shorn.

Dysk wyświetlił obraz logo Shorn Associates wygrawerowanego na metalicznej powierzchni, po czym się wyłączył. Chris odsunął na bok myśli, podniósł drinka i poszedł szukać żony.

Przez chwilę myślał, że poszła do łóżka z książką, ale gdy przechodził obok kuchni, zobaczył otwarte drzwi prowadzące do garażu i włączone w środku światło. Prowadzony przez metaliczne odgłosy narzędzi wszedł do środka i ominął saaba, podniesionego z jednego boku na lewarze. Spod samochodu wystawały osłonięte kombinezonem roboczym nogi i biodra Carli, leżącej na płachcie obok zestawu kluczy. Kiedy się jej przyglądał, musiała gdzieś sięgnąć, bo przekreśliła biodra i zmienił się kształt jej brzucha pod kombinezonem. Poczul znajomą falę pożądania, które wciąż wzbudzały w nim jej bardziej kręte ruchy.

- Hej. - Kopnął ją w stopę. - Co robisz?

Została pod samochodem.

- A na co to wygląda? Sprawdzam ci podwozie.

- Myślałem, że poszłaś do łóżka.

Jedyną odpowiedzią był odgłos dokręcanej śruby.

- Powiedziałem, że wydawało mi się, że poszłaś do łóżka.

- Tak, słyszałam.

- Och. Po prostu uznałaś, że nie warto mi odpowiadać.

Z jej bezruchu wywnioskował, że przestała pracować. Nie usłyszał westchnienia, ale mógł je wyczuć z dokładnością do milisekundy.

- Patrzysz na moje nogi, Chris. Najwyraźniej nie poszłam do łóżka.

- Nawiazuję tylko rozmowę.

- No cóż, nie jest to najbardziej błyskotliwe rozpoczęcie, z jakim się spotkałam, Chris.

Przepraszam, że go nie podjęłam.

- Jezu! Carla, czasami potrafisz być taka... - Złość i strach przed pomysłem, że miałyby się kłócić z nogami żony, ustąpiły przed nagłym atakiem rozbawienia. Obraz był tak niedorzeczny, że nagle stwierdził, że chichocze, próbując stłumić narastający śmiech.

Usłyszała to i wysunęła się spod samochodu jak na sprężynie. Potarła dłonią nos, zostawiając na nim krechy smaru.

- Co cię tak bawi?

Z jakiegoś powodu irytacja w jej głosie połączona z nagłym wysunięciem spod samochodu i smarem na nosie wbiły ostatni gwóźdź do trumny z powagą Chrisa. Zaczął rechotać, absolutnie nad sobą nie panując. Carla usiadła i przyglądała się z zaciekawieniem, jak się śmieje, oparty o ścianę.

- Pytałam, co cię tak...

Chris z chichotem zsunął się na podłogę. Carla zrezygnowała, a na jej twarzy pojawił się niechętny uśmiech.

- Co? - zapytała łagodniej.

- To były tylko... - Chris z wysiłkiem składał słowa między napadami śmiechu. - Wiesz, tylko twoje nogi.

- W moich nogach jest coś śmiesznego?

- No, same stopy. - Chris odstawił szklaneczkę i wytarł oczy. - Ja tylko... - Potrząsnął głową i machnął nieprecyzyjnie ręką. Znów parsknął. - To... Nieważne.

Podniosła się z podłogi z typowym dla siebie ociąganiem i podeszła przykucnąć obok niego. Odwróciła dłoń i pogłaskała go po policzku jej czystym wierzchem.

- Chris...

- Chodźmy do łóżka - powiedział nagle.

Podniosła rękę.

- Muszę się umyć. Właściwie potrzeba mi prysznic.

- Pójdę z tobą.

Pod prysznicem stanął za nią i zaczął przesuwać namydlonymi dłońmi po jej piersiach, brzuchu i wżgórku między udami. Roześmiała się gardłowo i sięgnęła do jego erekcji dłońmi wciąż umazanymi smarem. Przez chwilę stali w kabinie prysznicowej spleceni w niespiesznym pocałunku, ocierając się o siebie wolno w strumieniach wody i kłębach pary. Kiedy z wodą spłynęły resztki brudu i mydła, Carla wykręciła się i oparła plecami o róg, obejmując Chrisa w taliu udami i dociskając do niego swoje biodra.

Nie było to zbyt skuteczne połączenie, więc Chris zakręcił wodę i owinięty ramionami i nogami Carli doszedł z nią do sypialni, gdzie chichocząc, opadli na łóżko i zajęli się odtwarzaniem wszystkich pozycji z podręcznika.

Później leżeli na mokrych prześcieradłach ze splecionymi kończynami i przytulonymi twarzami. Przez okno wpadało światło księżycy, bieląc pościel.

- Nie idź - powiedziała nagle.

- Iść? - Chris spojrzał na nią, nic nie rozumiejąc. Wysunął się z niej już jakiś czas temu.

- Nigdzie się nie wybieram. Zostaję z tobą w łóżku. Na zawsze.

- Na zawsze?

- No cóż, w każdym razie przynajmniej do szóstej trzydziści.

- Mówię poważnie, Chris. - Podniosła się, by spojrzeć mu w twarz. - Nie jedź na to kambodżańskie coś. Nie przeciw Nakamuraze.

- Carla. - Powiedział to prawie jak reprimendę. - Już o tym rozmawialiśmy. To moja praca. Nie mamy wyboru. Mamy dom, karty... Jak je spłacimy, jeśli nie będę jeździł?

- Wiem, Chris, że musisz jeździć, ale w Hammett McColl...

- To nie to samo, Carla. W HM już miałem reputację. W Shorn muszę ją sobie wyrobić od zera, albo jakiś usmarkany młodszy analityk mnie wyzwie, a kiedy już się to zacznie, bez końca będę musiał pilnować pleców. Jeśli pomyślą, że mięknę, spadną na mnie jak sępy. Jedyne rozwiązanie, by tego uniknąć, to uderzyć tak mocno, żeby się bali. W ten sposób dorabia się partnera, a potem to już niedzielne popołudnie. Nie mogą człowieka ruszyć. Nikt poniżej statusu partnera nie ma prawa cię wyzwać. - Ogarnął go nieokreślony niepokój, gdy przypomniał sobie, co Bryant powiedział mu o Louise Hewitt i partnerze o nazwisku Page. - A wyzwania partnerów zdarzają się bardzo rzadko. I widać, kiedy się zbliżają. Można negocjować. Na tym poziomie wszystko staje się bardziej cywilizowane.

- Cywilizowane.

- Wiesz, co mam na myśli.

Przez chwilę Carla milczała. Potem odtoczyła się od niego i przytuliła do poduszki.

- Na dysku powiedzieli, że Nakamura przyśle Mitsue Jones.

Chris przesunął się trochę i przylgnął do niej od tyłu.

- Tak, prawdopodobnie. Ale gdybyś została na resztę, dowiedziałabyś się, że Jones już od pół roku się z nikim nie pojedynkowała. I nie będzie na swoim podwórku. Jest nawet spora szansa, że z tego powodu wcale jej nie wykorzystają. Nieznajomość drogi może doprowadzić do śmierci znacznie szybciej niż jazda przeciw lepszemu kierowcy. A zresztą, jadąc w jednej ekipie z Mikiem Bryantem i tym tam... Makinem, nie mam się o co martwić. Naprawdę.

Carla zadygotała.

- Kilka lat temu widziałam program o Jones. Powiedzieli, że nigdy nie przegrała przetargu.

- Ja też nie. Podobnie jak Bryant, o ile wiem.

- Tak, ale ona jechała w dwóch tuzinach wyzwań, a ma tylko dwadzieścia osiem lat. Chris, widziałam z nią wywiad. Wyglądała przerażająco. Naprawdę strasznie.

Chris roześmiał się łagodnie wprost w kark Carli.

- To tylko praca kamery. W Stanach pozowała do rozkładówek dla Penthouse Online. Wydęte wargi, te rzeczy. To modelka, Carla. Chodząca reklama.

Przez chwilę sam w to wierzył.

- Kiedy to będzie? - zapytała cicho.

- W przyszłą środę. Start o świcie. We wtorek będę musiał spać w biurze. Przyjedziesz i zostaniesz ze mną w pokoju gościnnym?

- Nie. Pojadę do taty.

- Zawsze możesz dla odmiany zaprosić go tutaj. - Chris zmarszczył brwi i szturchnął ją nosem w kark. - Wiesz, że nie podoba mi się myśl o tym, że śpisz w tamtej norze. Martwię się o ciebie.

Carla odwróciła się twarzą do niego. Trudno było powiedzieć, czy na jej twarzy więcej jest czułości, czy rozpaczy.

- Ty się o mnie martwisz? Posłuchaj tego, co mówisz, co? W przyszłą środę wyruszasz na drogę, na pojedynek i martwisz się o to, że będę spać w gorszym mieszkaniu. Daj spokój.

- Ostatnio w budynku, w którym mieszka twój ojciec, wydarzyło się sporo aktów przemocy - stwierdził uparcie Chris. - Gdyby to ode mnie zależało...

Urwał, nie do końca pewien, co chce powiedzieć.

- Co byś zrobił?

Potrząsnął głową.

- Nieważne. Zapomnij. Myślę tylko, czemu Erik nie może dla odmiany przyjechać tutaj i zostać z nami?

- Wiesz czemu.

Chris westchnął.

- Tak, bo jestem diabelnym pasożytem w garniturze, żyjącym z ucziwie pracujących ludzi.

- Dokładnie. - Carla go pocałowała. - Daj spokój, nic mi nie będzie. Uważaj lepiej, żeby nie uszkodzić mojego pancerza warstwowego. Jeśli wrócisz z powgniatanymi bokami, jak ostatnio, to dopiero zobaczysz przemoc.

- Tak?

Dźgnęła go w żebra.

- Tak. Nie włożyłam w niego tyle pracy, żebyś dachował jak jakiś cholerny bezfirmowiec. Albo będziesz prowadził, jakby liczył się stan twojego wozu, albo będzie to ostatnie walenie, jakie zobaczysz w tym roku.

- To będę musiał iść do zwykłego dostawcy. Au!

- Pieprzony gnój! Zwykły dostawca? Z kim się jeszcze walisz, co, gnido?

- Jedzenie! Myślałem, że powiedziałaś *jedzenie!*

Ich wspólny śmiech przedostał się przez szyby i brzmiał cicho nawet w uśpionym ogrodzie. Gdyby w ciemności krył się Erik Nyquist, musiałby przyznać, że to, co słyszy, bez wątpienia świadczy o tym, że jego córka i poślubiony przez nią mężczyzna dobrze się bawią. Mógłby się nawet z tego ucieszyć.

Niestety, Erik Nyquist był prawie sto kilometrów dalej na południowy zachód i wsłuchiwał się przez cienkie niczym papier ściany, jak diler prochów bije na miazgę swoją dziewczynę. W ogrodzie jedynym świadkiem dźwięków rozbawienia Chrisa i Carli była duża płowa sowa, która przez chwilę przyglądała się oknu, a potem z powrotem zwróciła uwagę na znacznie istotniejszą kwestię pozbawienia głowy trzymanej w szponach myszy.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Najwyraźniej uświęconą tradycją Shorn było przeprowadzanie końcowych odpraw na dole, w korporacyjnych warsztatach, pośród rozbebeszonych i dźwigniętych na podnośnikach kadłubów. Chris chyba rozumiał, skąd wywodził się ten zwyczaj. Oficjalnie dawało to dyrektorom okazję tworzenia korporacyjnych więzów z mechanikami nadzorującymi ostatnie przeglądy ich pojazdów. Znacznie ważniejsze jednak było to, że błyski spawarek i zapach topionego metalu nadawały głębszego realizmu czemuś, co w innym wypadku mogłoby się wydawać bardzo odległe od klimatyzowanej uprzejmości bardziej konwencjonalnej sali odpraw. W żargonie Shorn miało to zapobiegać potencjalnym dwuznacznościom.

W tym duchu Hewitt przeprowadziła odprawę brutalnie krótko. Bądźcie ostrzy, nie spieprzcie. Wróćcie z kontraktem. Resztę zostawcie w kawałkach na drodze. Osobiście podziękowała szefowi mechaników za ciężką pracę jego zespołu.

Kiedy skończyła, Bryant poszedł po jakieś indyjskie jedzenie, a Chris usiadł w otwartych drzwiach pasażerskich saaba, przeglądając niedbale informacje o Mitsue Jones, podczas gdy dwóch mechaników w ozdobionych korporacyjnym logo kombinezonach próbowało znaleźć sobie coś do roboty przy silniku, którym zajęła się już Carla.

- Chris? - zawołał Bryant gdzieś spomiędzy brzęków i stukotu warsztatu. - Chris, gdzie jesteś?

- Tutaj.

Usłyszał odgłos potknięcia się, brzęki i przekleństwa. Chris stłumił uśmiech i nie oderwał wzroku od wydruku. Dziesięć sekund później Bryant pojawił się obok otwartej klapy saaba z kartonami jedzenia na wynos w rękach i potężnym bochenkiem chleba naan w ustach. Usiadł bezceremonialnie na stosie wytartych opon naprzeciw Chrisa i zaczął rozkładać jedzenie. Wyjął z ust naan i wskazał nim na jeden z kartonów.

- Ten jest dla ciebie. Cebulowe bhaji i dhansak. A to chutney z mango. Gdzie Makin?

Chris wzruszył ramionami.

- W kiblu? Wyglądał, jakby miał zaparcie.

- Nieee, Makin zawsze tak wygląda. Idzie w zaparte.

Na pudełka z jedzeniem padł cień i Bryant podniósł wzrok, znów wgryzając się w naan. Odezwał się z pełnymi ustami.

- Nick. Tu masz swoje tikka. Tam ryż. I łyżki.

Makin usiadł, rzucając nieufne spojrzenie na Chrisa.

- Dzięki, Michael.

Przez chwilę panowała cisza, przerywana jedynie odgłosami żucia. Bryant jadł z wilczym apetytem i skończył pierwszy. Spojrzał na pozostałych.

- Spisaliście testamenty?

- Czemu? Nie zamierzam ginąć. - Makin zerknął na Chrisa. - A ty?

Chris wzruszył ramionami i wciąż przeżuując, wytarł palce.

- Cały się trzęsę.

- Bryant parsknął śmiechem. Makin pozwolił sobie na drobny, kontrolowany uśmiech.

- Bałdzo dobrze. Dobrze jest mieć poczucie humoru. Słyszałem, że w HM są w tym

dobrzy. Musi ułatwiać przeghywanie.

- Jasne. - Chris uśmiechnął się łagodnie w odpowiedzi. - Może teń nieźle uphyjemnić wyghaną, powineneś sphóbować.

Makin się spiął. Jego okulary błyszcząły w świetle lamp łukowych.

- Bawi cię sposób, w jaki mówię?

- Niebałdzo.

- Hej, panowie - zaprotestował Bryant. - Dajcie spokój.

- Wiesz, Chłis. - Makin spojrział na swoją pustą dłoń, jakby rozważał zadanie ciosu pięścią. - Nie głam w szachy. W ogóle nie lubię gier. Och, wiem, że cenisz symbolizm. Gły. Humor. Wszystkie dobre sposoby unikania konfhontacji.

Wrzucił swój widelec w stygnący sos w kartonie Chrisa.

- Ale jutro dojdzie do konfhontacji. Nie możesz zbyć jej śmiechem ani zmienić jej w głę. Mitsue Jones nie zagła z tobą w szachy. Walnie w ciebie wszystkim, co ma, i złobi to *szybko*.

Wraz z ostatnim słowem trzasnął ostro pięścią w otwartą dłoń. Jego oczy świdrowały Chrisa zza prostokątnych osłon okularów.

- Nie będzie czasu, by zastanawiać się nad stłategią. Cały czas musisz kontholować sytuację. - Strzelił palcami. - I działać. Nic innego.

Chris kiwnął głową i przez chwilę patrzył w swoje jedzenie. Potem błyskawicznym ruchem zerwał Makinowi z nosa okulary.

- Myślę, że rozumiem, co masz na myśli - powiedział swobodnie.

- Chris. - W głosie Bryanta zabrzmiało ostrzeżenie.

Bez okularów Makin wyglądał znacznie mniej drapieźnie i ewidentnie nie wykazywał żadnej wady wzroku. Skupiona w uwadze twarz wyglądała teraz na zwyczajnie szczupłą. Kiedy się odezwał, jego głos brzmiał ciężko i bełkotliwie z wściekłości, ale nie miał nic na jej poparcie.

- Nie sądzę, Michael, żebym chciał jechać z tym błaznem.

Chris wyciągnął rękę.

- Chcesz swoje okulary? - zapytał niewinnie.

Jednak tym razem ostro odezwał się Bryant.

- Dobra, wy dwaj, dość tego. Nick, sam się o to prosiłeś, więc nie obnoś się z tą cholerną wyższością. A ty, Chris, oddaj mu okulary. Jezus, jadę przeciw Nakamurze z dwójką cholernych dzieciaków.

- Michael, nie myślę...

- Zgadza się, Nick, nie myślisz, tylko otwierasz cholerną gębę. Louise poprosiła mnie, żebym kierował tym zespołem. Kiedy poprosi o to ciebie, będziesz mógł wybierać, z kim jedziesz. Do tego czasu po prostu trzymaj się w szeregu i panuj nad sobą.

Przestrzeń między trzema mężczyznami zgęstniała od cichego napięcia. Za nimi dwaj mechanicy przeglądający saaba przestali zajmować się pracą i zaczęli kibicować. Nick Makin wciągnął powietrze, po czym bez słowa odebrał okulary i odszedł.

Bryant przez chwilę dłuwał w kartonie z jedzeniem. W końcu podniósł wzrok i spojrział w oczy Chrisowi.

- Nie zwracaj na niego uwagi. Do rana się uspokoi. - Pogrzebał w ryżu jeszcze trochę. -

Myślę, że te szachy ci szkodzą. Nie można powiedzieć, żeby symboliczne konflikty były tu popularnym konceptem.

- Co, żadnych gier? Daj spokój, nabierasz mnie.

- Nie, jasne że w coś się tu *gra*. Niektórzy znani mi goście z Shorn siedzą głęboko w grach wojennych w sieci. *Klany w Alphamesh*, takie rzeczy. Ale szachy... - Bryant potrząsnął głową. - To nie hit, stary. Makin nie jest pierwszym, który o tym mówi. Chyba nie zaraziłem nikogo swoim entuzjazmem.

Chris wziął z kartonu cebulowe bhaji i wgrzył się w nie z namysłem.

- No cóż. Zawsze tak jest, kiedy nie pasujesz do czyjegoś obrazu świata. W szachach trzeba myśleć. Większość ludzi woli tego unikać.

Bryant zmusił się do chichotu, który wyraźnie go rozluźnił.

- Tak, łącznie ze mną. Mimo wszystko, Makin powinien mieć dość rozumu. Ty byś nie ruszał tego łajna w takiej chwili.

- Jutro będzie krwawo, co?

- Słyszałeś o Jones?

- Tak, podobnie jak reszta zachodniego świata.

Bryant na niego spojrział.

- Więc znasz odpowiedź.

- Cóż. - Chris wrzucił na wół zjedzone bhaji z powrotem do kartonu. - Zawsze się zastanawiałem, za co dają tu duże premie.

- Myśl jutro o tej premii - rozpromienił się Bryant, odzyskując dobry nastrój - a wszystko będzie dobrze. Zobaczysz. Łatwa forsa.

* * *

Samochód Acropolitic wjechał czołowo w środkową barierkę, z wdziękiem wyskoczył w powietrze i wylądował na dachu z wciąż wirującymi kołami. W środku skurczyła się nieruchoma postać. Chris, który spodziewał się długiej walki z drugim wozem, krzyknął radośnie i przejeżdżając obok, wałnął pięścią w dach własnego samochodu.

- Acropolitic, dziękuję i *dobranoc!*

- Miło - powiedział Bryant przez interkom. - A teraz do szyku i trzymaj się blisko. Ci faceci byli w idealnym stanie, co mówi mi, że Nakamura nie pojawiła się na tym kawałku.

- Potwierdzam - odezwał się rażno Nick Makin. Chris prychnął, wznosił oczy ku niebu i nic nie powiedział, ustawiając się w klin za Mikiem.

Za nimi wraki zespołu Acropolitic leżały porozrzucane na trzech kilometrach autostrady, jak rozsypane zabawki dziecka z ujawniającymi się skłonnościami socjopatycznymi. Dwa z nich płonęły.

* * *

- *Potwierdzam.*

Chris nie był jedynym, którego rozbawiły pretensje Makina do słownictwa pilotów myśliwców. Trzydzieści kilometrów przed nimi Mitsue Jones uśmiechnęła się z niedowierzaniem, słysząc w radiu jego głos. Chwyliła brzeg otwartych drzwi i wysunęła się z mitsubishi kaigana. Gwałtowny podmuch wiatru zburzył jej fryzurę w szpic za dwieście dolarów od Karela Manna.

No trudno.

Twarz pod postrzępionymi włosami była idealnie piękna, opalona po miesiącu na meksykańskim wybrzeżu Pacyfiku i ukształtowana tak, by zaakcentować jej japońskie dziedzictwo. Zgodnie z tradycją pojedynkową Nakamury miała na sobie formalny strój, czarny kostium Daisuke Todoroki, którego jedynym ustępstwem na rzecz kierowania była rozkloszowana spódnica z rozcięciami. Nogi miała osłonięte gładkimi czarnymi rajstopami, a na stopy włożyła czarne, płaskie buty.

- *Dobrze wyglądasz, Mits.*

Odwróciła się w stronę źródła okrzyku. Za niskim, wydłużonym kaiganem, wzdłuż zarośniętego wzgórzka ronda z idealną precyzją zaparkowano krótsze, bardziej tępe wozy Mitsubishi jej kolegów. Dwóch kierowców Nakamury wycinało linie na krawędzi gładkiego dachu bliższego z wozów. Jeden z nich do niej pomachał.

Jones się skrzywiła i odwróciła w stronę barierki wiaduktu po drugiej stronie drogi. Za mostem zieleń krajobrazu wznosiła się w serii wyłożonych granitem, zachodzących na siebie zboczy, przesłaniających widok na drogę w odległości około pięciu kilometrów. Przeszła na drugą stronę ulicy i szturchnęła w nogę czwartego członka zespołu Nakamury, który siedział plecami do poręczy i sprawdzał magazynek naramiennej wyrzutni Vickers-Cat. Kiedy Jones go kopnęła, spojrzął do góry i uśmiechnął się przez brodę.

- Gotów do tańca. - Powiedział to z mocnym akcentem surferów. Jego angielszczyzna, podobnie jak jej, wywodziła się z zachodniego wybrzeża Ameryki. Ich znajomość trwała już kilka lat. Kiwnął głową w stronę pozostałych i rytuału z krawędzią. - Pasuje ci to?

Jones wzruszyła ramionami.

- Byle się sprawdziło. Nowy Jork mówi, że to najlepsi, jakich tu mają a oni powinni wiedzieć.

- Powinni. - Mężczyzna odłożył wyrzutnię i podniósł się z miejsca. Okazał się olbrzymem, co jeszcze podkreślała drobna sylwetka Jones. - To jakie rozkazy?

- Acropolitic wypadło z gry. - Jones oparła się o poręcz. - Jak myśleliśmy, Shorn odwaliło za nas brudną robotę. Teraz musimy tylko ich sprzątnąć.

Strzelec przysiadł obok niej.

- Jesteś pewna, że to się uda?

- W Denver się sprawdziło, prawda?

- Wtedy to była nowość.

- Po tej stronie Atlantyku jeszcze o tym nie słyszeli. Całkowita blokada do czasu, aż amerykańska Komisja Handlu i Finansów zatwierdzi precedens. - Lodowaty uśmiech. - Co, jak podały mi wiarygodne źródła w naszym dziale kontaktów rządowych, potrwa do końca roku. Raport pojawi się najwcześniej przyszłą wiosną. Ci goście nie będą wiedzieć, co ich walnęło.

- Mogą tego jeszcze zabronić.

- Nie. - Wydawało się, że całkowicie pochłania ją widok drogi na południe od nich. - Kazałam prawnikom sprawdzić zasady od samego początku. Nie wolno strzelać z broni pociskowej z ruchomego pojazdu ani doprowadzić do znaczących uszkodzeń z broni pociskowej. Skorzystamy z tej samej luki, co w Kolorado.

Z otwartych drzwi bojowego kaigana znów zatrzeszczało radio. Głosy mężczyzn, na których czekali, przystały, gdy urządzenie próbowało wyłapać i odkodować szyfrowany

kanal. Nagle sygnał nabrał wyrazistości i mocy, gdy ekipa Shorn wyjechała z za jakiejś geograficznej przeszkody na pofalowanym terenie za mostem. Mitsue Jones się wyprostowała.

- Lepiej zajmij pozycję, Mart. Czas na przedstawienie.

* * *

Mike Bryant zauważył most skrzyżowania, gdy wyjechali z za ostatniego zbrocza, i odrobinę zwolnił.

- Uważajcie na most - powiedział swobodnie. - Uważajcie na boki, gdy będziemy przejeżdżać. I trzymajcie formację.

* * *

Na zjeździe z północnej strony Mitsue Jones usłyszała go i uśmiechnęła się, wkładając okulary do jazdy. W lusterku wstecznym zobaczyła, jak Mart zajmuje pozycję strzelecką z vickersem-catem. Zwolniła hamulec i mitsubishi podskoczyło na krawężniku. Pocisk wystrzelił, ciągnąc za sobą cienki ogon dymu.

* * *

Bryant zobaczył go, gdy dojeżdżali do mostu. W przedniej szybie widział wzbijającą się ze wzgórz przed sobą kolumnę gęstego dymu. Do jego uszu dobiegł stłumiony grzmot wybuchu.

- Widzicie? - Przyhamował jeszcze trochę, zaniepokojony. - Pewnie mają tam kłopoty.

- Nie wiem, Mike. - W kabinie zatrzeszczał głos Chrisa. - Kłopoty z kim? W tym tygodniu o przetargu trąbili we wszystkich mediach. Nie będzie tam nikogo, kogo być nie powinno.

- Może wybuchł im jeden z tych dziwacznych systemów paliwowych Mitsa - zasugerował Makin.

- Możliwe. - Ton Chrisa sugerował, że uważa to za głupi pomysł, ale od kiedy ruszyli w trasę, przestali sobie z Makinem docinać. - I tak mi się to nie podoba. *W prawo!! Prawo!!!*

Krzyk zabrzmiał za późno. Przejechali pod mostem i obok rampy zjazdowej, gdy z lewej spadły na nich sunące po zielonej trawie lśniące czarne kształty, jak komandosi forsujący mur. Jadący na przedzie wóz Nakamury wpadł na autostradę z brawurową prędkością, odbił się i uderzył w BMW Bryanta.

- Kurwa!

Bryant wykręcił kierownicę, ale zbyt wolno. Drugi wóz Nakamury przemknął przez lukę tuż za nim i zaatakował od prawej flanki. Rozległ się długi, metaliczny zgrzyt, gdy dwa mitsubishi zaczęły go zgniatać. Bryant kątem oka dostrzegł błysk trzeciego wozu, dłuższego i niższego, wyskakującego do przodu, i zrozumiał, co miało się stać. Desperacko natarł na kierownicę i hamulce, ale nie zdołał się uwolnić. Skrzydłowi Nakamury chwycili go mocno.

- Moglibyście zdjąć ze mnie tych sukinsynów? - Bryant spróbował nonszalancji, ale na jego twarz wystąpił pot. Kontrowano każdą jego próbę uwolnienia się. - Ustawiają mnie na czołówkę.

Bryantem wstrząsnęło uderzenie z boku.

- Nie da rady. - Zrelacjonował wynik Chris. - Ciasno się wcieli. Musisz wypaść hamowaniem.

- Nie mogę sobie pozwolić na utratę prędkości, Chris. Wiesz o tym.

- Nie możesz sobie pozwolić na to, żeby zostać w szczękach, Mike. - Wyraźny ton opanowania w głosie Makina nadał temu prawie nadęte brzmienie. - Chłis ma łację. Odpadnij, nadłobisz później.

- W życiu.

Z przodu długi, niski wóz Mitsubishi wykręcił na piszczących oponach i ruszył z powrotem autostradą w stronę zablokowanego lidera Shorn.

- Nick. - Głos Bryanta był napięty. - Z przodu jedzie Jones. Spadaj stąd i zobacz, czy zdołasz ją wykoleić.

- Jadę. - BMW Makina błysnęło na krawędzi pola widzenia Bryanta, z dużą szybkością wyprzedzając trzy zablokowane wozy. Bryant ostro wypuścił powietrze i ustalił prędkość.

- Co ze mną?

- Trzymaj się z tyłu, Chris. Jeśli to się nie uda, będę cię potrzebował. Przed sobą widział Nicka Makina jadącego ostro na wóz, który musiał należeć do Mitsue Jones. Wnętrznosci wypełniał mu supeł pulsującej nadziei, próbujący zwalczyć lodowatą pewność, że Jones nie da się zatrzymać. Ekipa Nakamury ustawiła go z doskonałą precyzją i zostawiła mu tylko dwie opcje. Gwałtownie wyhamować i stracić całą pojedynkową inercję, co oznaczałoby, że wypadnie z walki i uzna taktyczną wyższość Nakamury. Potem musiałyby gonić ich przez następne dwieście kilometrów...

Przez umysł przemknął mu obraz szachownicy Chrisa.

Symboliczna porażka.

Albo...

Mitsubishi uskoczyło w bok i zostawiło Makina rozciągniętego w poprzek autostrady. Bryant się skrzywił i wdepnął gaz do dechy. Pojazdy Nakamury bez wysiłku dotrzymały mu kroku. Nadciągał wóz bojowy.

- Chris, będzie paskudnie - powiedział przez zęby. - Zejdz z drogi.

Na sekundy przed zderzeniem czołowym dwaj skrzydłowi Nakamury odskoczyli na boki, jakby ich samochody kierowane były przez jednego kierowcę. Bryant zauważył twarz szczerzącą się do niego z wozu po lewej i uniesioną w pożegnaniu rękę. Samochód Jones był już prawie przy nim. Zaskrzeczało do niego radio.

- Sayonara, Bryant-san.

Mitsue Jones musiała wykręcić kierownicę w ostatniej chwili. Bryant źle ją odczytał i został na linii, ale Jones podsunęła mu tył mitsubishi. BMW uderzyło w niego z całą prędkością i lewe przednie koło wyskoczyło w powietrze. Bryant wrzasnął głośno w szoku, gdy jego wóz oderwał się od drogi. Omega obróciła się leniwie w powietrzu i spadła na bok, ciągnąc po asfalcie smugę iskier. Po trzech sekundach poślizgu uderzyła w barierkę oddzielającą pasy.

Jones usłyszała krzyk, ale nie miała czasu na nic poza walką o odzyskanie kontroli nad własnym wozem. Mitsubishi odrzuciło pod wpływem zderzenia i zarzuciło na bok. Przez trzy sekundy wydawało się, że kierownica w jej dłoniach żyje własnym życiem, a potem zdołała ją opanować. Zatrzymała wóz, dymiąc oponami, przodem do kierunku, z którego przyjechała.

BMW Bryanta leżało na boku, wbite w środkową barierkę i przechylone pod ostrym kątem. Dach pojazdu skierowany był na zewnątrz, a w słabym świetle wiosennego słońca widać było siatkę pęknięć na przedniej szybie. Zza nich dostrzegła Bryanta, walczącego z

pasem bezpieczeństwa. Jones uśmiechnęła się drapieżnie i zdjęła nogę z hamulca, wrzucając bieg i mocno przyspieszając wbrew inercji wozu. Silnik kaigana zawył i samochód skoczył do przodu.

Uwięziony przez własny pas bezpieczeństwa, Mike Bryant usłyszał ten dźwięk i wykręcił się, by spojrzeć. Zanim zdołał obrócić głowę, by coś zobaczyć, mitsubishi było prawie przy nim.

Miał tylko czas, by wrzasnąć.

- Kur...

I pojazd zniknął, przemykając obok. W jego tył wciskał się tytanowoszary saab. Dwa silniki na brutalnie niskich biegach ryczące na siebie i zgrzyt poddanej naprężeniom stali.

- Chris?

W odwróconej przestrzeni kabiny rozbrzmiał lakoniczny głos Chrisa.

- Zaraz wracam.

Z boku wozu Nakamury oderwał się płat metalu, odsłaniając tylne koło po stronie kierowcy. Jones wyskrzeczwała po japońsku przekleństwo, porzucając w furii angielszczyznę. Chris już przejechał, wrzeszcząc nagłą do mikrofonu.

- Makin, gdzie jesteś?

- Z przodu. - W głosie mężczyzny brzmiał cień paniki. - Mam na ogonie obu sukinsynów. Myślę, że chcą mnie zablokować tak jak Mike'a.

- Już jadę.

Chris dostrzegł skrzydłowych Nakamury parę sekund później, tańczących po spiralach za i obok BMW Makina. Kiedy się przyglądał, wóz po lewej się przesunął i walnął w bok samochodu Shorn. Makin odskoczył na bok, a drugie mitsubishi staranowało go z tyłu. Chris miał czas, by przez mgnienie oka docenić precyzję walki zespołowej, coś, czego mogliby się nauczyć młodzi strzelcy w Shorn, choć pewnie nigdy do tego nie dojdzie. Potem spadł na samochód po lewej. Walnął w niego z całą prędkością i poczuł uderzenie aż do samych trzewi.

- Dobra - wymamrotał.

Wóz Nakamury próbował się oderwać, ale nie miał dość mocy. Chris odsunął się na dłoń, po czym wdepnął gaz do dechy i znów uderzył. Tym razem skrzydłowy próbował odskoczyć na bok, w prawo. Chris skontrolował jego ruch. Znów odsunął się na dłoń i kiedy kierowca Nakamury wykręcił w lewo, pozwolił mu na ten manewr. Powtórzył ruch, ale skręcił mocniej. Kolejne uderzenie, i wbił się w tylny zderzak, pchając drugi samochód w stronę trawnika przy barierce po lewej stronie.

Mogłoby być lepiej - na przykład mógłby trafić na spadek po drugiej stronie pasa - ale to będzie musiało wystarczyć.

Coś błysnęło na skraju jego pola widzenia, lśniąca czerń trzeciego wozu Nakamury. Drugi skrzydłowy jechał na pomoc koledze. Chris zwalczył chęć stawienia czoła nowemu zagrożeniu. Przez zaciśnięte zęby odezwał się do mikrofonu.

- Makin, załatw tego skurwiela, dobrze?

- Robi się.

BMW już tam było, ciemnoniebieski błysk walczący o pozycję z czernią. Dwa wozy odskoczyły, gdy kierowca Nakamury wybrał ucieczkę. Chris skoncentrował się na tym, by

uśmiercić człowieka przed sobą.

Gwałtowny wstrząs, gdy przekroczyli linię krawężnika, a skrzydłowy wreszcie dał się ponieść panice i gwałtownie wcisnął hamulce. Było już za późno. Chris wrzucił nadbieg i ostro wypchnął przeciwnika na pięćdziesięciostopniową krzywizną zbocza. Gdy tylko drugi pojazd całkowicie zjechał z drogi, zahamował brutalnie i odpadł. Pozbawiony mocy pchającego saaba, ulegając tylko własnym, desperacko wciśniętym hamulcom, skrzydłowy zsunął się po trawie, uderzył w powierzchnię drogi z nadmiarem energii kinetycznej i przetoczył się przez trzy pasy do bariery na środku.

Mitsubishi eksplodowało.

- Bonus - powiedział w przestrzeń Chris i wyhamował saaba, wykręcając przy tym o sto osiemdziesiąt stopni.

Kilometr dalej na autostradzie zobaczył to, czego się spodziewał. Wóz Mitsue Jones pędzący wprost na niego, z oddartą blachą z jednej strony sterczącą jak ofiara w paszczy rekina. Chris wrzucił bieg. Tylne koła zapisały na drodze, szukając przyczepności, i złapały ją. Saab skoczył w przód.

Obok żółtych płomieni i kłębow czarnego dymu rozbitego i płonącego skrzydłowego, w dół pochyłości, w stronę mostu, gdzie rozpoczął się pojedynek. Wydawało się, że głodny ryk silnika przycichł, gdy runął w stronę wozu Nakamury. Miał czas zauważyć wgniecenia drugiego wozu rosnącego przed jego zderzakiem, dostrzec grafitowe formacje chmur na niebie w tle, a nawet zarejestrować podmuchy wiatru głaskające trawę wzdłuż pobocza po prawej...

W ostatniej chwili Jones odbiła w lewo, osłaniając uszkodzenia rozdartego boku, dokładnie tak jak się spodziewał. Wbił się w jej prawy bok z brutalną precyzją. Warstwowe opancerzenie saaba wytrzymało i otworzyło olbrzymią dziurę nad tylnym kołem mitsubishi. Chris wdepnął hamulce i wykonał pełny zwrot przy stosunkowo niewielkiej prędkości. Wylądował na ogonie Jones, zanim zdążyła przejechać pięćset metrów.

Mitsubishi było okaleczone i wlokło się ledwie setką. Zrównał prędkości i spojrzał na drugi wóz. Szkło polaryzacyjne ukryło przed nim Jones.

Skończ to.

Przejechał w bok, złapał odsłoniętą tylną oponę na wystający kolec przedniego zderzaka i zahamował. Podręcznikowy manewr. Opona rozdarła się i wybuchła z przytłumionym hukiem. Poczul, że przedni zderzak oderwał się do połowy od siły uderzenia, ale reszta wytrzymała.

Tak! Carla, ty cholerny cudzie!

Kaigan podskoczył i wpadł w poślizg. Chris popracował pedałami, doładował silnik i staranował tył przemykającego przed nim mitsubishi. Poślizg nabrał mocy, wóz zaczął płynąć po drodze, a Chris wykręcił i go objechał. Kolejne ostre uderzenie w ciągnącą się z tyłu część samochodu. Drzwi po stronie kierownicy wgięły się do środka i Mitsue Jones nie miała już szansy uciec. Wóz bojowy Nakamury wyrysował poślizgiem ósemkę i uderzył w barierkę z głośnym grzmotem.

Chris zatrzymał saaba z piskiem opon, wzbijając z asfaltu chmury kauczukowego dymu, gdy sunął obok wraku Jones. Obrót o trzysta sześćdziesiąt stopni; nie dostrzegł żadnych samochodów z obu stron. Wrzucił wsteczny i ostrożnie się wycofał, by sprawdzić

swoje dzieło.

- Chris? - Głos Bryanta, zniekształcony przez radio.

- Tak, Mike, jestem. - Znow wrócił dziwny spokój, a niebo i smagany wiatrem krajobraz naciskały na jego świadomość jak kciuk na gałkę oczną. Pozbawionymi czucia wargami zgłosił raport. - Jeden skrzydłowy załatwiony, spłonął. Makin dostał drugiego. Żyjesz?

- Będę, jak tylko ktoś tu przyjdzie i wyciągnie mnie z tego pieprzonego wraku. Co z Jones?

Chris przyjrzał się zniszczonemu samochodowi. Lśniące nadwozie było rozdarte i powgniatane, opadłe na oponach, które popękały w trakcie zderzenia. Z pękniętej kratki radiatora unosiła się para jak dym, rozpraszany przez wiatr. A w środku wyglądało na to, że Jones próbuje kopniakami otworzyć boczne drzwi. Wygięty metal trząsał się, ale nie ustępował.

Skończ to.

- Jones wypadła z gry - powiedział.

Doszedł go okrzyk radości Mike'a, zniekształcony przez szumy i trzaski. Chris opuścił rękę, by chwycić dźwignię biegów, a wraz z tym ruchem poczuł w żołądku falę niepokoju. Niewielką, jakby zjadł za dużo słodczy, ale gdy dłoń dotknęła dźwigni, nagle zrobiło mu się niedobrze.

Więc skończ to!

Spal ją. Myśl wypłynęła nagle z najgłębszego gejzeru mułowych osadów jego istoty i chwyciła go jak szpony. Mdłości sprzed chwili o zwielokrotnionej sile. Niepewny dreszcz euforii kolejki górskiej, gdy w umyśle zaczął badać nowy pomysł. *Staranuj zbiornik i upiecz sukę. No dalej! Jeśli nie wybuchnie przy przebicciu, możesz podejść i zapalić ją z bliska. Jak...*

Uwolnił się od tego z drżeniem. Niemożliwe, że w ogóle się nad tym zastanawiał. W końcu co by było, gdyby zbiornik wybuchł, kiedy uderz...

Prawie nigdy się tak nie dzieje.

- Zbyt ryzykowne - usłyszał własne słowa wypowiedziane na głos do bagiennej pustki w umyśle i zabrzmiało mu to jak skomlenie. Skrzywił się i znow wrzucił wsteczny. Lepiej po prostu...

Cofnął się o kolejne dwadzieścia metrów, ustawił przód saaba, a potem gładko wdepnął pedał przyspieszenia do maksimum. Saab skoczył przez niewielką przestrzeń i uderzył w boczne drzwi kierowcy. Metal trzasnął i mitsubishi zachwiało się na resorach. Szyba bocznego okna pękła i rozsypała się na kawałki. Cofnął się i patrzył uważnie, by przekonać się, czy dostrzeże jakiś ruch.

Zrób to jeszcze raz! Skończ to!

Ona już jest skończona.

Hewitt z nemecksem w dłoni. *Przynosisz ich plastik.*

Usłyszał własny głos w sali konferencyjnej Shorn, dwa miesiące temu.

Nikt nie lubi dwuznaczności.

Jasne, a to jest cholernie dwuznaczne, Chris. Więc albo zdecydujesz się na grillowanie, albo weźmiesz pistolet z kabury i w tej chwili pójdziesz wyciągnąć ten pieprzony plastik.

- Chris, nic ci nie jest? - Bryant brzmiał na przejętego. Jego głos przebił złowieszczą

ciszę łączyła i każda sekunda pozostawiona przez Chrisa bez odpowiedzi narastała kłującą ciszą.

- Tak. Wszystko w porządku. - Odblokował i otworzył drzwi. Nemex zdążył już wylądować w jego dłoni. - Zaraz wracam.

Wyszedł z samochodu i ostrożnie podszedł do mitsubishi, wyciągając lekko drżącą rękę z bronią. Z silnika wciąż unosiła się sycząca para, ale nie czuć było benzyny. Najwyraźniej system paliwowy wozu, klasyczny słaby punkt aut bojowych Mitsubishi, nie został przebity.

Chris zatrzymał się niecały metr od rozbitego szkła polaryzacyjnego okna i zajrzał do środka nad celownikiem nemeksa. Mitsue Jones leżała, wciąż przypięta do fotela kierowcy, z zakrwawioną twarzą i prawą ręką wiszącą bezwładnie u boku. Wciąż była przytomna i gdy przez okno samochodu padł na nią błądy cień Chrisa, podniosła wzrok. Krew napłynęła do jej prawego oka, sklejjając je, ale drugie oko było desperacko wyraziste. Podniosła lewą rękę przed uwiecznionym ciałem w daremnym geście obrony.

Skończ to!

Chris osłonił ręką twarz i opuścił nemeksa ku głowie Jones.

Nikt nie lubi dwuznaczności.

Strzał odbił się pustym echem od grafitowego nieba. Na palce prysnęła mu ciepła krew.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Nie sądzisz, że ten przetarg był wyjątkowo krwawy?

Twarz Chrisa pod makijażem sprawiała wrażenie naciągniętej. Bolały go oczy od świateł studyjnych reflektorów. Siedzący obok niego Bryant nie zdradzał żadnych oznak niewygody, odchylając lekko głowę do tyłu i kołysząc się na fotelu.

- To podchwytliwe pytanie, Liz.

Urwał. Czysto teatralne bzdury, to pytanie o rozlew krwi stanowiło podstawę wszystkich wywiadów poprzetargowych dla programów z informacjami biznesowymi. Bryant miał prawie cały dzień na to, by zastanowić się nad odpowiedzią.

Liz Linshaw czekała. Skrzyżowała długie opalone nogi i poprawiła tabliczkę terminala leżącą na osłoniętych krótką spódniczką udach. Z miejsca gdzie siedział, trochę na lewo od zajmującego centrum Bryanta, Chris widział zdania z płynnego kryształu wylewające się z ekranu płytki. Następny zestaw podpowiedzi ze studia.

Ze swojego fotela widział też wybrzuszenie lewej piersi Liz Linshaw w miejscu, gdzie wydostawała się z głębokiego dekoltu jej bluzki. Zażenowany, przesunął wzrok w chwili, gdy Bryant zaczął udzielać odpowiedzi.

- Rzecz w tym, Liz, że każdy przetarg musi wiązać się z konfliktem. Gdyby tak nie było, przepadłby cały rynkowy etos tego, co robimy. A w przypadku kontraktu o takiej skali, zaangażowane w niego strony muszą grać ostro. Może to smutne, ale w nieunikniony sposób oznacza to rozlew krwi. I tak właśnie powinno być.

Liz Linshaw udała, że ją to odrzuca.

- Powinno dochodzić do rozlewu krwi? Chcesz powiedzieć, że to *pożądane*?

- Nie *pożądane*. - Bryant przywołał nauczycielski uśmiech, który wyglądał na pożyczony od Notleya. Siedząca z drugiej strony Louise Hewitt pokiwała głową w niemej akceptacji. - Ale pomyśl. Sytuacja w Kambodży jest dość ekstremalna. Ci ludzie nie stanowią elementu jakiegoś teoretycznego modelu ekonomicznego. Zaangażowali się w walkę na śmierć i życie, żeby ustalić przyszłość narodu. Nam, w Shorn, przydzielono właśnie stanowisko ich ekonomistów. Mamy wspomagać tych ludzi finansowo i doradzać im oraz, pozwolę sobie dodać, wziąć za to spory kawałek ich PKB w charakterze wynagrodzenia. Pomyśl: gdybyś była Kambodżanką, jakiego doradcy byś chciała? Odzianego w garnitur teoretyka-ekonomistę z modelami komputerowymi, które jego zdaniem opisują twój świat z drugiej półkuli? Czy wojownika, który ryzykował własnym życiem, żeby zasłużyć na miejsce u twego boku?

- Nazywasz się wojownikiem. - Liz Linshaw wykonała elegancki gest, który mógł oznaczać zgodę. - I w oczywisty sposób fakt, że twój zespół znalazł się tutaj, w Centrum Tebbita, dowodzi twoich kwalifikacji w tym zakresie. Dobrze. Ale czy koniecznie musi to oznaczać, że jesteś najlepszym ekonomistą do tego zadania? Czy dobry ekonomista musi mieć krew na rękach?

- Powiedziałbym, że praktykujący ekonomista wolnorynkowy zawsze ma krew na rękach, albo źle wykonuje swoją pracę. Taka jest natura rynku i wiążących się z nim decyzji. Trudnych wyborów, między życiem i śmiercią. Musimy dokonywać tych wyborów i robić to

dobrze. Musimy być zdeterminowani, by podejmować właściwe decyzje. Dzisiaj mamy na rękach krew naszych mniej zdeterminowanych kolegów, a to coś znaczy. Dla ciebie, Liz, dla naszej widowni, i przede wszystkim dla naszych kambodżańskich sojuszników ta krew oznacza, że kiedy przyjdzie do podejmowania trudnych decyzji, nie zawahamy się przed nimi.

- Co ty o tym myślisz, Chris? - Liz Linshaw obróciła się nagle w jego stronę. - Wyeliminowałeś dzisiaj Mitsue Jones. Czego, twoim zdaniem, brakowało grupie Nakamury, co dało wam przewagę?

Chris zamrugał. Pozwolił sobie odpuścić myślami.

- Myślę, ach. Tak, byli bardzo sprawni, ale... - Usiłował sobie przypomnieć odpowiedź, jaką wypracowali wcześniej, kiedy z producentem programu przeglądali listę pytań. - Ale, ach, wydaje się, że w sposobie, w jaki grali zespołowo, zabrakło elastyczności. Kiedy zawiodła przygotowana przez nich pułapka, reagowali dość niemrawo.

- Pierwszy raz jechałeś przeciw Nakamurze, Chris?

- Tak. No cóż, poza kilkoma nieformalnymi starciami. - Chris wreszcie zdołał się skupić. - Jechałem przeciw młodszym dyrektorom Nakamury w dwóch ofertach konsorcyjnych, kiedy pracowałem w Hammett McColl, ale to nie to samo. W ofercie konsorcyjnej ludzie mają skłonność do częstego wchodzenia sobie w drogę. Zazwyczaj brakuje im czasu na ćwiczenia. Łatwo jest rozbić grupowe kliny. Tutaj sytuacja wyglądała zupełnie inaczej.

- Tak. - Uśmiechnęła się do niego promiennie. - Czy w trakcie pojedynku była taka chwila, że baliście się przegranej z Nakamurą?

Hewitt, zjeżona, wychyliła się do przodu.

- Nie sądzę, żeby choć się do tego zbliżyli - stwierdził Bryant.

- Tak, ale przez większość pojedynku byłeś uwięziony we wraku, Michael. - W głosie Linshaw pojawił się ślad jadu. - Chris, to ty pokonałeś Jones. Czy *był* taki moment krytyczny?

- Ja... - Chris zerknął na Bryanta, który uśmiechał się dość kwaśno. Ramiona olbrzyma uniosły się w delikatnym wzruszeniu. Siedząca za nim Hewitt zdradzała tyle emocji, co granitowy głaz. - Myślę, że sztuczka z rakieta zaskoczyła nas dokładnie tak, jak planowali, a sędziowie wciąż dyskutują czy był to ruch dozwolony, czy nie, ale kiedy już kierowcy Nakamury zaatakowali, naprawdę nie było problemu.

- Rozumiem. - Liz Linshaw nachyliła się do przodu. - To dla ciebie wielka chwila, prawda, Chris? Bohater dnia. I to tak szybko po transferze. Musisz być w siódmym niebie.

- Och, tak. - Wzruszył ramionami. - To moja praca.

- Lubisz ją?

Świadom spojrzenia Hewitt, Chris przywołał uśmiech.

- Nie zajmowałbym się tym, gdybym tego nie lubił, Liz.

- Oczywiście. - Wydawało się, że Linshaw dostała to, czego chciała. Zwróciła wreszcie uwagę na Hewitt. - Louise, ty do tego wszystkiego doprowadziłaś. Jak odbierasz sposób, w jaki się to odbyło?

Chris znów odpuścił, gdy Hewitt zaczęła wypowiadać frazesy dla publiczności.

* * *

- O co w tym wszystkim chodziło?

Zadał to pytanie Bryantowi później, gdy siedzieli nad szklaneczkami whisky w barze

hotelowym Centrum Tebbita. Na zewnątrz wiatr smagał deszczem olbrzymie szklane tafle, przez które rozciągał się widok na przemoczzone i niknące w półmroku wzgórza. Makin odpadł, tłumacząc, że jutro musi wcześniej wstać. Było dość oczywiste, że obraził się na udział Chrisa w charakterze gwiazdy w wieczornym programie Liz Linshaw. Standardowa praktyka w raportach poprzetargowych polegała na tym, że przeprowadzano wywiad tylko z liderem grupy i szefem działu, ale Bryant piał na temat sprawności Chrisa, od kiedy tylko wyciągnięto go z wraku jego BMW. Makina jakoś nikt nie wspomniał.

- To? - Bryant rzucił mu cierpki uśmiech. - Cóż, powiedzmy, że w tej chwili nie jestem w najlepszych układach z panną Linshaw.

Chris zmarszczył brwi. Nerwy wciąż miał nieco napięte po pojedynku i stwierdził, że kiedy usiłował się skupiać, umysł podchodził do tego niechętnie. Równocześnie, jakby próbując zrekompensować te braki, podrzucał mu różne kawałki wspomnień. Teraz, jakby odtwarzane z taśmy, usłyszał słowa, których Liz Linshaw użyła w radiu tego pierwszego dnia, gdy jechał do nowej pracy w Shorn: *Wciąż żadnych szczegółów o wyzwaniu bezfirmowca dla Mike Bryanta z Shorn Associates. Nie wiem, gdzie jesteś, Mike, ale jeśli mnie słyszysz, chciałibyśmy coś od ciebie usłyszeć.* Spróbował sobie przypomnieć język ciał Bryanta i Linshaw w wieczór imprezy kwartalnej, ale wspomnienia były zbyt rozmyte przez alkohol, by im zaufać.

- Czy wy dwoje, och...?

Bryant wyszczerzył się i wypił połowę whisky.

- Jeśli przez delikatne *och* masz na myśli *pieprzenie*, to tak. Pieprzyliśmy się.

Chris siedział nieruchomo, pamiętając o Suki.

Bryant odezwał się, jakby czytał w jego myślach.

- To nie było nic wielkiego. Wiesz, zwykle śwędenie. Podniecają ją kierowcy, jak niektórych gości włoskie holoporno. To było w czasach, kiedy Suki była... no wiesz, nie do seksu. Zaraz po urodzeniu Ariany. - Wzruszył ramionami. - Jak mówię, nic wielkiego.

Chris usiłował wymyślić jakieś pytanie, by wypełnić ciszę. W tle, z nagłośnienia baru, wydobywały się dźwięki pozbawione wyrazu.

- Długo to trwało?

- Cóż. - Bryant znów odwrócił się do niego, czując się pewniej. - Na początkowym etapie jakieś osiem miesięcy. Mówię ci, Chris, była napalona. Oboje byliśmy. Robiła szczegółowe badania na temat Inwestycji Konfliktowych, a potem do książki *Nowi wojownicy asfaltu*. Więc często się widywaliśmy i nikogo to nie dziwiło. Przeprowadzała ze mną wywiady, a potem wychodziliśmy poza kamerę i pieprzyliśmy się jak króliki gdziekolwiek można było zamknąć drzwi. Zaczynałem już mieć erekcje, mówiąc do niej przed kamerą. Nawet kiedy już seria została zamknięta, pieprzyliśmy się dwa lub trzy razy w tygodniu w hotelach po całym mieście albo w wozie. Naprawdę to lubiła, w samochodzie. A Suki wróciła do obiegu, więc była konkurencja. Wiesz, brakowało mi Suki, a ten szał z gwiazdką i tak już zaczynał wygasać. Przez jakieś pół roku wcale się nie widywałem z Liz. - Kolejny uśmiech. - Potem zaś był niesamowity powrót. Zaprosiła mnie któregoś wieczora do studia, po tym jak wszyscy wyszli do domu. Z początku nie chciałem iść, ale wiesz, ciekawość. Stary, cieszę się, że poszedłem. - Bryant nachylił się bliżej z uśmiechem na ustach. - Waliliśmy się na biurku do wywiadów, a ona filmowała wszystko jedną z tych wielkich kamer studyjnych. A potem

wysłała mi pieprzony dysk do pracy. Uwierzysz? No wiesz, wtedy nie wiedziałem, że to robi, bo nigdy bym się nie zgodził. A potem nagle na moim biurku ląduje dysk Studia Dziesięć z napisem *Pamiętka*.

- Jezu.

Bryant pokiwał głową.

- W pierwszej chwili myślałem, że chce to wysłać Suki. Właściwie kiedy dostałem swoją kopię, podejrzewałem, że już to zrobiła. Ale kiedy do niej zadzwoniłem, zapytała tylko, jak mi się podoba i czy chcę to powtórzyć. Więc przez ostatnie sześć miesięcy powtarzamy ten spektakl kilka razy na miesiąc i wciąż jest to niesamowicie gorące.

- A Suki?

- O niczym nie wie. A wiesz, najdziwniejsze jest, że można by pomyśleć, że wracam do Suki zbyt zmęczony, by się wykazać, ale to wcale nie tak. Jestem bardziej napalony, kiedy wracam do domu z sesji z Liz, niż byłbym, gdybym nie miał seksu przez cały tydzień. To ten walony dysk, stary. Sprawia, że czuję się jak cholerna gwiazda porno.

- Więc w czym problem?

- Ach, nic wielkiego. Pokłóciliśmy się ostatnim razem, kiedy mieliśmy się pieprzyć. - Wzrok Bryanta odpłynął gdzieś w kąt baru. Blask na jego twarzy przygasł. Wyglądało na to, że nie ma ochoty mówić dalej.

- O co?

Bryant westchnął.

- Ach, do diabła. Chris, myślisz, że dobrze zrobiłem, strzelając do tych pieprzonych bandytów po nocy w *Filklandzie*?

- Tak, jasne. - Chris usłyszał, co mówi, i urwał. - To znaczy...

- Widzisz, też tak myślę.

- Oni...

- Chcieli nas posiekać, nie?

Chris machnął ręką.

- Och, tak.

- Właśnie, i tak jej powiedziałem. Tak mówi Suki, taki jest raport cholernej korporacyjnej policji. Więc o co chodzi?

- Ona tego nie kupuje?

Bryant na niego zerknął.

- Co tu kupować? Powiedziałem jej prawdę.

- Co, o maczetach?

- Maczetach? Łomach? Co za różnica. Nie pamiętam nawet, co jej powiedziałem. - Bryant przełknął trochę whisky i pomachał szklaneczką. - Nie miało znaczenia. Nazwała mnie pieprzonym bydlakiem. Rozumiesz. Ja, *ja* jestem draniem. Nie liczą się sukinsyny z łomami, *to ja* jestem bydlakiem. Rozumiesz to?

Chris stumił brzmiały w głowie głos Carli porcją whisky.

- Jej tam nie było, stary.

- Dokładnie, nie było jej. - Bryant wbił wzrok w butelki za barem. - Pieprzeni dziennikarze.

Chris strzelił palcami, a przy blacie zmaterializował się barman w liberii. Bryant nawet

na niego nie spojrzął. Chris wskazał na ich szklaneczki.

- Do pełna, proszę.

Napój popłynął strumieniem, błyszcząc w świetle.

- Mam jutro mnóstwo roboty - burknął Bryant. - Widzisz, Makin ma rację. Zanim cokolwiek podpiszą będą chcieli zobaczyć cholerne dwadzieścia pięć wersji wstępnych kontraktu. Bentick z DPH, znam sukinsyna, poleci to wszystko pięć razy sprawdzić, na wypadek gdyby jego cenny minister spotkał się z jakimiś kłopotliwymi pytaniami o ofiary cywilne czy inne tego rodzaju bzdury.

- Tym się będziesz martwić jutro. - Chris podniósł szklaneczkę. - Masz. Za wojny lokalne.

- Tak, za wojny lokalne.

Kryszał zadzwonił między nimi. Bryant wypił whisky jednym haustem i znów machnął na barmana. Przyglądał się napełnianej szklaneczce.

- *Jestem* zwierzęciem - wymamrotał z gorzkim niedowierzaniem. - *Ja* jestem cholernym bydlakiem.

* * *

Dali spokój jakąś godzinę później, gdy stało się jasne, że żadna ilość alkoholu nie wyciągnie Bryanta z nagłego ataku przygnębienia. Chris na wpół zaniósł przyjaciela do windy i korytarzem do jego pokoju, gdzie oparł go o ścianę, szukając kluczy. Kiedy już znaleźli się w środku, doholował Mike'a większość drogi do nieskazitelnej przestrzeni królewskiego łóżka i zajął się zdejmowaniem mu butów. Bryant zaczął chrapać. Chris uwolnił go z obuwia i wepchnął jego nogi wraz z resztą ciała na łóżko.

Gdy się schylił, żeby zdjąć mu krawat, mężczyzna się poruszył.

- Liz? - zapytał niewyraźnie.

- Nic z tego - odpowiedział Chris, luzując węzeł na jego krawacie.

- Och. - Bryant podniósł głowę i spróbował się skupić. - Chris. Nawet o tym nie myśl, stary. Nawet o tym nie myśl.

- Nie będę. - Chris skończył odwiązywać krawat i szarpnięciem ściągnął go z karku przyjaciela.

- Tak jest. - Głowa Bryanta opadła z powrotem na łóżko i znów zamknął oczy. - Jesteś dobrym gościem, Chris. To ty. Jesteś. Cholernie dobrym facetem.

Znów zapadł w sen. Chris zostawił go tam chrapiącego i cicho wyszedł z pokoju. Wszedł do swojego jak złodziej i zwałił się na łóżko, gdzie przez chwilę leżał przytomny, masturbując się z obrazem opalonych piersi i ud Liz Linshaw pod powiekami.

W limuzynie było teraz bardzo cicho. Ulewny deszcz z burzy zmienił się w uporczywą mżawkę, która zachlapywała szyby, ale nie dudniła już o dach. Silnik rolls roysa emitował nieco mniej hałasu niż szum opon na asfalcie. Najgłośniejszym źródłem dźwięku w tylnym przedziale limuzyny był charkot przetwarzającego dane laptopa Louise Hewitt.

* * *

Pojawiały się i znikaly mapy i wykresy, przywoływane i odsyłane przez poruszenia dłoni Hewitt. Przewidywania dla konfliktu kambodżańskiego zmieniane minimalnie w miarę uwzględniania nowych potencjalnych czynników. Nieurodzaj, *co wtedy?* Uderzenie tajfunu,

co wtedy? Federacja Hong Kongu zrywa stosunki dyplomatyczne, *co wtedy?* Wstępna praca Bryanta stanowiła przykład bardzo inspirującego modelowania, ale Hewitt wierzyła, że pracowników trzeba pilnować, i uparcie wyszukiwać ich potencjalnych słabości. Było to ćwiczenie z podstaw bezpieczeństwa. Podobnie jak z każdym tworzywem, nie znało się materiału dostatecznie, dopóki nie znalazło się sposobu na złamanie go.

Telefon komórkowy zamruczał na nią jak czerwonoooki kot. Wyłączyła opcję video telefonu i podniosła słuchawkę ze wzrokiem wciąż utkwionym na wariancie z Federacją Hong Kongu.

- Tak?

W jej uszach zabrzmiał znajomy głos. Uśmiechnęła się.

- W drodze do Edynburga. Czemu?

Trzasku trzask.

- Nie, nie sądziłam, żeby to miało sens. O ósmej umówiłam się na śniadanie z klientem w Howard, a wcześniej muszę przejrzeć kontrakty.

Trzasku trzasku STUK. Uśmiech Hewitt się poszerzył.

- Och, tak myślałeś? Cóż, przykro mi będzie cię rozczarować, ale nie przejechałabym całej drogi tylko po to. Ale doskonale wyglądałeś.

Telefon jeszcze trochę zatrzeszczał. Hewitt westchnęła i utkwiała spojrzenie w dachu. Jej głos zabrzmiał uspokajająco.

- Tak, media to potężna siła. Ale pamiętaj, że też tam siedziałam. Na twoim miejscu naprawdę bym się tym nie martwiła.

Głos w jej uchu nabrał emocji, Hewitt się zirytowała. Wyprostowała się na siedzeniu.

- Dobrze, słuchaj. Faulknera zostaw mnie. Ty go nie ruszaj.

Trzeszczenie zatrzymało się w tonie pytającym.

- Tak, wiem. Pamiętaj, byłam tam. Szczerze mówiąc, nie zaskoczyło mnie to. Słuchaj, to tylko perspektywa.

Stuk trzask. Niedowierzenie.

- Tak.

Trzask, pytanie.

- Ponieważ za to właśnie mi płacą. Nie rozpracowałam jeszcze szczegółów, ale to nie powinno być trudne.

Trzask, trzask, trzask.

- Mike Bryant zrobi to, co mu się każe. To właśnie ich różni, i musisz o tym pamiętać. Dość już o tym mówiliśmy. Pojutrze wracam do Londynu, będziemy mogli się spotkać i wtedy to przedyskutować.

Ponure *trzask.* Cisza.

Hewitt złożyła telefon i uśmiechnęła się do siebie w cichym mroku.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- Zobaczyłaś dość?

Erik Nyquist wstał i przysunął popękanego pilota bliżej ekranu. Czerwona lampka aktywności zamigotała słabo kilka razy, a napisy końcowe dalej przesuwały się po ekranie, nałożone na widok z powietrza wraku Nakamury. W końcu Erik zrezygnował z zawodnego pilota i palcem przełączył odbiornik na błękitny ekran gotowości. W jego słabym świetle odwrócił się do córki. Carla siedziała ze szklaneczką w dłoni i wpatrywała się w miejsce, gdzie wcześniej były obrazy.

- Bohater dnia - burknął Erik. - Jezu, co za ironia. Zatluc kilka istot ludzkich, by zmaksymalizować neokolonialne zyski po drugiej stronie planety, i już jest się cholernym bohaterem.

- Tato - zmęczonym głosem powiedziała Carla.

- Słyszałaś ją. *To dla ciebie wielka chwila, Chris*. I twój ukochany mąż siedzący tam i śmiejący się jak dureń. *Nie robiłbym tego, gdybym tego nie lubił, Liz*. Chryste!

- Nie miał wyboru. Kobieta po lewej to jego szefowa, a z tego co słyszałam, ona go już nie lubi. Co miał zrobić? Gdyby wyskoczył przed szereg, prawdopodobnie straciłby pracę.

- Wiem. - Erik podszedł do stołu służącego za otwarty barek i zaczął mieszać sobie kolejną wódkę z sokiem pomarańczowym. - Sam tam byłem i kupiłem koszulkę. Ale wiesz, czasem trzeba bronić swoich zasad.

- Tak, wiem - odpowiedziała ostro Carla, co samą ją zaskoczyło. - I do czego cię doprowadziło to, że trzymałeś się swoich bezcennych zasad?

- No cóż, zobaczymy. - Erik uśmiechnął się do swojej szklanki. Skoro udało mu się sprowokować córkę, odzyskał wyśmienity humor. Była to jedna z jego ulubionych zabaw pod alkohol. - Byłem aresztowany, przetrzymywany bez procesu na mocy korporacyjnego aktu komunikacyjnego, zbojkotowany przez tak zwanych przyjaciół i kolegów, wylądowałem na czarnej liście każdego wydawcy wiadomości w kraju i odmówiono mi zdolności kredytowej. Straciłem pracę, dom i nadzieje na przyszłość. Nic, z czym nie poradziłby sobie spokojnie młody człowiek kalibru Chrisa. Problem w tym, że brak mu wizji, by to zrealizować. Wbrew sobie Carla się uśmiechnęła.

- Podobało ci się to, prawda? - Erik uniósł szklankę w jej stronę. - Choć raz jest to coś, co właśnie wymyśliłem. Na zdrowie.

- Zdrowie. - Ledwie skosztowała własnego drinka. Przez cały raport zdołała obniżyć poziom płynu zaledwie o trzy palce, a teraz był już ciepły. - Tato, czemu wciąż tu mieszkasz? Czemu nie wrócisz do Tromso?

- Żeby spotykać codziennie na ulicy swoją matkę? Nie, dziękuję. I tak mam już dość poczucia winy.

- Wiesz, że nie ma jej tam przez większość czasu.

- Dobrze, widywałbym ją tylko za każdym razem, gdy wracałaby z jakiejś szczególnie udanej promocji książki bądź wykładu. - Erik potrząsnął głową. - Nie sądzę, żeby moje ego to zniosło. Zresztą po tych wszystkich latach kogo bym tam znał?

- No dobrze, mógłbyś się przenieść do Oslo. Pisać tam kolumnę.

- Carla, już to robię. - Erik wskazał na zdezelowany komputer w rogu. - Widzisz? Ma z tyłu kabelek, który idzie całą drogę aż do Norwegii. Zdumiewające, co potrafi dzisiejsza technika.

- Och, zamknij się.

- Carla. - Tym razem mówił poważnie. - Co zmienię, jeśli się tam teraz przeprowadzę? To nie jest tak, że koszty są tu nie do zniesienia. Nawet z podatkiem strefowym e-mail jest tak tani, że nie można go rozsądnie uwzględniać w liczbie tekstów, które wysyłam co miesiąc. A nawet gdyby, gdybym *osobiście* zaniósł wydawcom w Oslo moje teksty, żeby oszczędzić pieniądze, więcej wydałbym na zimowe skarpety.

- Nie przesadzaj, tam nie jest tak zimno.

- Chyba już zapomniałaś.

- Tato. - Jej głos zrobił się bardzo łagodny. - Byliśmy tam w styczniu.

- Och. - W tej pojedynczej sylabie usłyszała, jak bardzo go to zabolalo. Spojrzał jej w twarz. - Odwiedzaliście swoją matkę?

Potrząsnęła głową.

- Nie było czasu, a zresztą wydaje mi się, że była w Nowej Zelandii. Chris zabrał mnie na pokaz zimowych kół do Sztokholmu i wracając, wstąpiliśmy zobaczyć Sognefjord. Nigdy tam nie był.

- I nie było zimno? Daj spokój, Carla. Może nie stać mnie na lot w każdej chwili, ale nie upłynęło aż tyle czasu.

- Dobrze, było zimno. Tak, zimno. Ale tato, było tak... - Poddała się i wskazała wokół siebie. - Tato, spójrz na to miejsce.

- Tak, wiem. Dawno tu nie sprzątałem, ale...

- Wiesz, o co mi chodzi!

Przez chwilę Erik patrzył na nią w milczeniu. Potem podszedł do okna i odciągnął jedną z poszarpanych zasłon. Na zewnątrz coś płonęło, rzucając skaczące cienie na sufit nad miejscem, gdzie stał. Przez szkło przedarły się jakieś krzyki.

- Tak - powiedział cicho. - Wiem, o co ci chodzi. O to. Rozkład miejski, i to taki, na jaki stać tylko Brytyjczyków. I oto ja, pięćdziesięciosiedmiolatek, który siedzi w środku tego bagna.

Nie spojrzała mu w oczy.

- Tato, tam jest tak spokojnie. Nikt nie śpi na ulicach...

- I dobrze, zamarzliby na śmierć.

Zignorowała go.

- ...nikt nie umiera, bo nie stać go na opiekę medyczną nie ma starych ludzi zbyt biednych, by nie stać ich było na ogrzewanie, czy zbyt przestraszonych, by wyjść po zmroku. Tato, tam nie ma stref rządzonych przez gangi, nie ma opancerzonych wozów policyjnych, nie ma takiej izolacji jak tutaj.

- Wygląda na to, że powinnaś to mówić do Chrisa, nie do mnie. - Erik przełknął większą część swojego drinka. Był to wyraz złości, a jego głos zdradzał poszarpane echo uczuć. - Może zdołasz go namówić, żebyście się tak przenieśli, skoro aż tak ci się podoba. Choć trudno mi sobie wyobrazić, czym moglibyście zarabiać na życie, skoro nie wolno zabijać ludzi na drogach.

Drgnęła.

Zauważył to i opanował się.

- Carla...

Spojrzała na swoje kolana. Nie odpowiedziała. Westchnął.

- Carla, przepraszam. Wcale nie chciałem tego powiedzieć.

- Owszem, chciałeś.

- Nie. - Odstawił drinka, podszedł i przykucnął przed nią. - Nie, Carla, nie chciałem. Wiem, że po prostu robisz, co musisz, żeby się utrzymać. Jak my wszyscy. Nawet Chris. Wiem o tym. Ale czy nie rozumiesz? Każdy argument za tym, żebym wrócił do Norwegii, w równym stopniu dotyczy ciebie. Jak myślisz, jak *ja* się czuję, patrząc na *ciebie* tkwiącą w środku tego bagna?

Myśl podziałała na nią jak policzek. Mocno zacisnęła dłonie na jego rękach.

- Tato... - Przełknęła ślinę i zaczęła jeszcze raz. - Tato, nie o to chodzi, prawda? Nie zostajesz tu z mojego powodu?

Roześmiał się i jedną ręką podniósł jej twarz.

- Zostawać tu z twojego powodu? Zostać, żeby cię chronić zgromadzonymi przeze mnie pieniędzmi i wpływami? Tak, zgadza się.

- Powiedz *czemu*.

- Czemu. - Wstał i przez chwilę myślała, że czeka ją kolejny wykład. Zamiast tego znów stanął przy oknie, patrząc na zewnątrz. Płomienie nabrały siły i teraz barwiły jego twarz na pomarańczowo. - Pamiętasz Monikę Hansen?

- Twojego fotografa?

Erik się uśmiechnął.

- Nie jestem pewien, czy podobałby się jej ten zaimek, ale tak, Monikę fotografa. Wróciła do Oslo i robi zdjęcia mebli do jakiegoś katalogu. Carla, ona jest znudzona. Pieniądze są w porządku, ale śmiertelnie się nudzi.

- Lepiej się nudzić, niż spać na ulicy.

- Nie przesadzaj, Carla. Nie śpię na ulicy. I, nie, posłuchaj mnie przez chwilę, pomyśl o tym. Sama powiedziałaś, że tam nie ma takiej izolacji jak tutaj. O czym więc miałbym pisać? Z powrotem w komforcie i bezpieczeństwie własnego, skandynawskiego systemu socjalnego? Nie, Carla. To jest front. Tu mogę coś zmienić.

- Nikt nie chce, żebyś cokolwiek zmieniał, tato. - Podniosła się z fotela, nagle znów wściekła, i stanęła naprzeciw niego. Szarpnięciem odsunęła drugą zasłonę i wbiła gniewny wzrok w ogień w dole. - Spójrz na to.

Przekonała się, że źródłem płomieni był przewrócony fotel. Wokół leżały inne porzucane przedmioty, nierozpoznawalne w ciemności i na razie jeszcze niepodpalone. Strzaskane okno bezpośrednio nad fotelem sugerowało jego pochodzenie. Ktoś był w jednym z mieszkań na pierwszym piętrze, wyrzucając z niego całą zawartość. Wokół ognia stały postacie w workowatych dresach z kapturami, przywodząc Carli na myśl groźny negatyw disnejowskich krasnali z jakiegoś koszmaru, w którym zdecydowanie nie żyło się długo i szczęśliwie.

- Spójrz na to - wyszczała. - Myślisz, że tych ludzi obchodzi, co piszesz? Myślisz, że większość z nich potrafi w ogóle czytać? Że chcą, żebyś cokolwiek zmienił?

- Nie oceniaj ich tak pochopnie, Carla. Jak mówi Benito, nie wydawaj trójwymiarowych ocen tego, co oglądasz tylko na ekranie swojego telewizora.

- Och, na... - Jej wykrzykniki wyparowały w złości zbyt starej i głębokiej na słowa. Mocno postukała w szybę. - To nie telewizor, tato. To cholerne okno, a ty tu mieszkasz. Powiedz mi, na co patrzę, może to grill lokalnej społeczności?

Erik westchnął.

- Nie, pewnie to zemsta gangu. Ktoś ich zdaniem na nich doniósł, ktoś odezwał się niepytany. Zeszłego lata zrobili to samo pani McKenny, bo nie chciała pozwolić synowi, żeby pracował dla nich jako kurier. Oczywiście potem już musiała na to przystać, choćby po to, żeby mieć pieniądze na nowe meble. Nie można im zarzucić nieznajomości psychologii. - Odwrócił się od okna i nagle w tym ruchu dostrzegła, jaki zrobił się zmęczony Ten obraz tylko podsycił płomień jej złości. Poczwała we wnętrzościach narastające mdłości.

Wydawało się, że Erik tego nie zauważa. Znowu szykował sobie drinka, uśmiechając się ironicznie.

- Oczywiście, mogą to też być bawiące się dzieciaki. Przypadek. Mnóstwo tych mieszkań na pierwszym piętrze stoi pustych dłużej, niż tu mieszkam. Po prostu włamują się i...

Wzruszył ramionami i wypił.

- I wyrzucają rzeczy przez *okno!* - Nagle zaczęła na niego wrzeszczeć ile sił w płucach. - *Dla zabawy!* Cholerny Jezu Chryste, tato, posłuchaj tego, co mówisz. Myślisz, że to *normalne? Posrało cię?*

Retrospekcja błysnęła przed jej oczami jak magnezowa flara. Znowu miała jedenaście lat i krzyczała na ojca, gdy próbował jej wyjaśnić, co zrobił i czemu musi wybierać. Wizja szybko zgasła, zostawiając powidok odcisnięty na siatkówce i w mroku pokoju. Podniosła wzrok, zauważyła wyraz twarzy Erika, i wiedziała, że on też pamięta.

- Tato, przepraszam - wyszeptała.

Za późno.

Nie powiedział tego, ale nie musiał. Cisza osiadała wokół nich w małych czarnych strzępkach, jak przypalone pierze z przestrzelonej z bliska poduszki.

- Tato...

Przez chwilę myślała, że na nią wrzaśnie, ale nie zrobił tego. Przesunął się tylko trochę, tak jak czasem Chris, gdy złapała go nagle jakaś stara rana z pojedynku. Poruszył się i kiwnął do siebie głową jakby jej krzyk był łykiem ostrej, ale ciekawej w smaku whisky. Zobaczyła, jak się zbiera w sobie, i wiedziała już, co będzie dalej.

- Normalne? - Powiedział to słowo z ostrożną pedanterią, która prawie ukryła powracającą szorstkość głosu. - Cóż, myślę, że w kontekście rzezi, którą przed chwilą oglądałem w wykonaniu człowieka, z którym dzielisz łóżko...

- Tato, proszę...

Zdeptał ją jego głos.

- Tak, nazwałbym to normalnym. Prawdę mówiąc, uznałbym to za stosunkowo zdrowe. Spalone meble zawsze można zastąpić. Ze spalonym ciałem jest trochę gorzej.

Zmusiła się, by głęboko odetchnąć i rozluźnić napięcie w piersiach.

- Tato, słuchaj. Nie zamierzam...

- Oczywiście, zawsze można jeszcze wziąć pod uwagę hipokryzję. Jak ująłby to Mazeau, przestępstwo jest kwestią skali, a skala, która naprawdę się liczy w oczach społeczeństwa, to poziom, do jakiego przestępca ustawia się poza przeznaczoną mu klasą i statusem społecznym...

- *Bzdura*, tato!

Ale gniew już ją opuścił i teraz czuła jedynie wzbierające łzy. Trzymała drinka niezgrabnymi dłońmi jedenastoletki i przyglądała się, jak jej ojciec ucieka, pograżając się w bandażu politycznej retoryki, który miał ukryć ranę.

- Synowie i córki potężnych bezkarnie kupują i sprzedają między sobą narkotyki, ponieważ jedynie nieznacznie przekraczają swobody, do których upoważnia ich klasa, źle zrozumieli deklaracje posłuszeństwa prawom, które muszą być wygłaszane, jeśli masy mają dalej paść się w spokoju. Ale niech tylko jedno dziecko z Brundtlandu wkroczy w ich zaczarowane królestwo i zrobi to samo, spada na nie pełen ciężar prawa, ponieważ *ośmieliło się* zachować w sposób mu niedozwolony, *ośmieliło się nie znać* swojego miejsca. A na to *nie możemy* pozwolić.

- Tato - spróbowała jeszcze raz, mówiąc cicho, ale z naciskiem. - Proszę, tato, spójrz tam jeszcze raz. Nieważne, czyja to wina. Nieważne, jaka stoi za tym polityka. Myślisz, że kogokolwiek tam na dole obchodzi to, co piszesz? Myślisz, że *cokolwiek* jeszcze ich obchodzi?

- A mojego zięcia obchodzi? - Nie odwrócił się do okna, ale oczy błyszczały mu odbitymi płomieniami. - Czy Chrisa obchodzą ciała, które zostawił dzisiaj na autostradzie? Albo ciała, które za rok będą zbierać w stopy na ulicach Phnom Penh? Wiesz, czego bym chciał, Carla? Chciałbym, żebyś wyszła za jednego z tych dilerów prochów tam na dole, zamiast za to gówno w garniturze, z którym sypiasz. Dilerą mógłbym przynajmniej zrozumieć.

- Wspaniale, tato. - W końcu, kiedy obelga została rzucona na Chrisa, wrócił jej gniew. Siła, by ranić. Jej głos zabrzmiał płasko i lodowato. - W końcu pokazałeś jaja i powiedziałeś mi to w twarz. Człowiek, który płaci twój czynsz i kupił na gwiazdkę nową kuchnię, to kawał gówna. I myślę, że jasno mnie to definiuje.

Odstawiła drinka na stolik i ruszyła do drzwi. Zauważyła, jak odruchowo wyciągnął ku niej rękę, gdy przechodziła obok, ale ją odtrąciła.

- Gdzie idziesz?

- Spakować torbę, tato. A potem, jeśli nie zostaną obrabowana i zgwałcona po drodze przez twój uciskany proletariat, wracam do domu.

- Myślałem, że nie chcesz siedzieć tam sama.

Powiedział to chmurnie, ale w jego głosie pojawił się teraz ślad strachu i żalu. Z przerażeniem stwierdziła, że dokładnie to chciała usłyszeć. Czuła, że wewnątrz siebie się tym delectuje.

- Nie chciałam - odpowiedziała. - Ale wolę raczej być sama w bezpiecznym i normalnym miejscu niż z tobą w tej norze.

Nie odwróciła się, by zobaczyć jego twarz po tych słowach.

Nie musiała.

Są uszkodzenia, powiedział jej kiedyś Chris, *których nie musisz widzieć*. Wiesz, co

zrobiłaś w chwili uderzenia. Czujesz to. Wszystko, co musisz potem zrobić, to odjechać.
Poszła się spakować.

TECZKA #2
KOREKTA KONTA

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Chris wpadł na to wreszcie, czekając przy barze *U Louie Louie* na podwójne cappuccino.

Wczorajszego wieczora siedział do późna, analizując różne ewentualności, i kiedy w końcu poszedł do łóżka, Carla już spała. Coraz częściej stawało się to normą. Praca nad kambodżańskim kontraktem zatrzymywała go w Shorn na coraz dłużej. Zajęcia z samoobrony i ćwiczenia strzeleckie musiał przenieść na przerwę obiadową co jeszcze bardziej rozciągało dzień. W tygodniu Carla wracała do domu dwie do pięciu godzin przed nim, więc zrezygnowali z wszelkich pozorów wspólnego jedzenia kolacji. Pochłaniał to, co zostało z posiłku, który ugotowała dla siebie, i zdawkowo rozmawiał z nią o swoim dniu w pracy. Zazwyczaj wspólnie robili wieczorem tylko jedno: ładowali zmywarę. Później któreś z nich przeważnie wycofywało się na górę czytać, zostawiając drugie w salonie z zestawem rozrywkowym.

Ich życie otaczała teraz aura obojętnej uprzejmości. W coraz dłuższych odstępach czasu uprawiali seks i kłócili się rzadziej niż kiedykolwiek, bo rzadko mieli czas lub energię, by rozmawiać o czymś znaczącym. Wciąż planowali długi weekend gdzieś daleko, w Nowym Jorku lub Madrycie, i zamierzali wykorzystać ten czas, by doładować się energią ale jakoś nigdy im się to nie udawało. Albo Carla zapomniała zaklepać wolną sobotę u Mela, albo Chris był nagle potrzebny na weekendowym spotkaniu z kambodżańskim zespołem. Nadeszło lato, przyjemnie łagodne, ale ich codzienne życie pokrywała coraz grubsza warstwa sztuczności, i Chris zaczął się cieszyć z pogody tylko w chwilach osamotnienia, których ostatnio dziwnie nie miał ochoty dzielić z Carłą.

Leżał w łóżku obok niej, przeglądając w głowie obrazy, aż w końcu zasnął.

Jadąc tego ranka do pracy, spróbował jeszcze raz, ale był zbyt śpiący. W ciągu ostatnich kilku tygodni jego zwyczajowa ostrożność kierowcy rozluźniła się do poziomu, który w innych okolicznościach można by uznać za śmiertelnie niebezpieczny, ale teraz mógł sobie na to pozwolić. Po zwycięstwie nad Nakamurą rozeszły się wieści o groźnym nowym graczu przy stole Shorn i nikt spośród młodych bezfirmowców nie miał ochoty ruszać przeciw bardzo charakterystycznemu saabowi Chrisa Faulknera. Warstwowy pancierz pojazdu i śmierć Mitsue Jones z rąk jego właściciela obrosły równo legendą w społeczności kierowców, którzy dorzucali do historii coraz to nowe, wymyślone szczegóły, aż w końcu nawet Chris nie potrafił odcedzić faktów od otaczającej je grubej warstwy upiększeń. Zrezygnował więc z prób i zaczął żyć mitem. Zresztą i tak pewnie zrobił to jako ostatni. W całym tym szumie przynajmniej jedna rzecz została powszechnie przyjęta w londyńskim City już parę tygodni temu - istniały prostsze sposoby wyrobienia sobie nazwiska, niż wyzwanie rzucone Chrisowi Faulknerowi.

- Podwójne cappi dla Chrisa - krzyknęła dziewczyna za ladą.

W tych czasach był po imieniu z pracownikami *U Louie Louie* - wydarli okładkę GQ z tego miesiąca i przypięli ją za barem. Niechętnie złożył na niej autograf i teraz za każdym razem, gdy wchodził do środka, zza warstwy lakieru i czarnych liter uśmiechała się do niego własna twarz, starannie przygotowana do zdjęcia. Wzbudzało to w nim lekki niepokój. Sława

zalała go jak żywica, twardniejąc teraz w bursztyn, więząc go w środku i wystawiając na pokaz. Po raz pierwszy od śmierci Edwarda Quaina strony fanowskie zaczęły poświęcać mu więcej miejsca. Pracujące dziewczyny z Europy Wschodniej z nieprawdopodobnymi imionami i liniami kredytowymi słały mu stopy listów, obrzucając go sugestiami o różnym poziomie subtelności.

A ty leżysz związany, w pełnej erekcji, bez szans...

Rozwiązanie zakipiło w nim jak mleko w garnku, rozkładając się przed nim w pełni. Może to krzyżowy wzór żółtych i czarnych kafelków za barem, a może po prostu skutek myślenia dysocjacyjnego, techniki poznanej na seminarium tydzień temu. Niezależnie od źródła, osiągnął zrozumienie i zabrał je ze sobą wraz z kawą do windy Shorn.

- Zasoby kambodżańskie wciąż znajdują się w czołówce trendu wzrostowego akcji - poinformowała go winda w drodze do góry. - Z wartością zamknięcia...

Wyłączył ją. Już wiedział.

Mike Bryant mówił do maszyny. Chris usłyszał go przez drzwi, dyktującego urywanymi fragmentami tekst do terminala. Była to przeżuta wersja dokumentu dla kambodżańskich buntowników, nad którą pracowali większość wczorajszego dnia. Wschodnioazjatycka Komisja Handlu i Inwestycji naciskała na nich o zgodność z Kartą z nietypowym zapałem. Raporty szpiegów przemysłowych sugerowały, że Nakamura sypała sowitymi łapówkami.

- Nie jesteśmy zainteresowani tak zwanym... nie, skasuj to... nie wyrażamy zainteresowania obszarami wyznaczonymi przez was na strefy przesiedleń, podobnie jak nie interesujemy się tym, co się w nich dzieje. Oczywiście administracja obozu nie podlega naszej jurysdykcji pod warunkiem, że żadne jawne naruszenie praw... hm... pod warunkiem, że nie będą naruszane prawa człowieka... mmmm, nie, skasuj... nie podlegają naszej jurysdykcji... och, pod warunkiem... jeśli... do diabła z tym...

Chris wyszczerzył się i zapukał do drzwi.

- Czego? - warknął Bryant.

- Problemy?

- Chris! - Bryant znieruchomiał na środku biura z rękami na wypolerowanym kiju bejsbolowym, opartym o podstawę karku. Nadało mu to wygląd ukrzyżowanego, a do ogólnego wrażenia pasował wyraz zmęczenia na jego twarzy. - Nie uwierzysz, ale siedzę nad tym draństwem od ósmej rano. Muszę to wypuścić w południe, a wciąż dzielę włos na czworo przy tym cholernym liście wstępnym. Posłuchaj tego. - Podeszedł do biurka i odczytał na głos z wydruku, który wysunął się z drukarki. - Administracja obozów oczywiście nie podlega naszej administracji pod warunkiem, że nie dojdzie do naruszenia praw człowieka. Jeśli mu to wyślemy, Sary zaczną puszczać parę uszami. Powie, że zarzucamy mu kłamstwo w piątkowym oświadczeniu.

- Przecież tak jest, prawda?

- Proszę. - Bryant otarł kark o drewno kija. - Próbuje tu uprawiać politykę. Nie możemy sugerować, że kłamie.

- Myślałem, że zgodziliśmy się na „pod warunkiem, że nie będą naruszane prawa człowieka”.

Bryant potrząsnął głową.

- Nie przejdzie w ONZ. W Norwegii krąży już raport Amnesty i nikt nie poważy się mu zaprzeczyć na poziomie ministerialnym. Musimy to zrobić „ogólnikowo, ale stanowczo”. To cytat z Hewitt.

- Ogólnikowo, ale stanowczo. - Chris zrobił minę. - Nieźle.

- Pieprzona Amnesty.

- No cóż. Wypadki chodzą po ludziach. - Chris podszedł i stanął za ramieniem Bryanta, czytając wydruk. - A co byś powiedział na...

Wyrwał kartkę z drukarki i ją przeskanował. Bryant zdjął kij z ramienia i odstawił go w rogu.

- Dobrze, patrz. Administracja obozów bla bla bla, nie podlega naszej jurysdykcji i ufamy, że nie dochodzi w nich do naruszania praw człowieka, nie, że nie doszło do *żadnych* rzekomych naruszeń praw człowieka. - Podał z powrotem arkusz. - Co powiesz na to?

Bryant wyrwał mu papier z dłoni.

- Ty draniu. Gapiłem się na to czterdzieści pięć cholernych minut.

- Kofeina. - Chris podniósł swój kubek z *U Louie Louie*. - Chcesz trochę?

- Mam jej po uszy. Byłem tam o szóstej z Makinem, a to spadło na moje biurko godzinę temu, z góry. Notley i rada polityczna. Wymagana reakcja. Jakbym nie miał nic innego do roboty. Zobaczmy... że nie doszło do rzekomych naruszeń praw człowieka. Dobra. A co z tym? Nie możemy jednak pozwolić waszym oddziałom na blokowanie transportów paliwa i zaopatrzenia”.

- Spróbuj „siłom działającym w rejonie”. Pozbawia jadu i sprawi, że poczuje się ważniejszy. Jakbyś go prosił, żeby zaprowadził porządek w regionie, a nie tylko opanował własnych ludzi.

Bryant, mamrocząc, napisał tekst na wydruku i znów go odczytał.

- Nie możemy jednak pozwolić *siłom działającym w rejonie* na blokowanie transportu paliwa i bla bla bla. No. Genialne.

Chris wzruszył ramionami.

- Z gotowca. Uraczyłem tym samym Pantery Sprawiedliwości kilka tygodni temu i przełknęli to. Całkowicie opanowali bandytyzm. Wszystko, czego chce większość z tych partyzantów, to jakiś rodzaj szacunku. Ojcowskie uznanie ze strony patriarchalnych autorytetów. Według Lopeza wbija ich to w dumę i zaczynają ogłaszać dyrektywy policyjne w każdej wiosce.

Mike parsknął śmiechem.

- Lopez? Ten Joaquin Lopez?

- Tak.

- Czyli jednak wykopałeś Harrisa na przetarg.

- Cóż, zrobiłem, jak mi radziłeś. Pieprzył nasze inwestycje. A Lopez zapracowuje się za pół procentu mniej. I z tego, co słyszałem, posiekał Harrisa na kawałki.

- Tak, wciąż jest dość młody, by mieć napęd. Harris wypalił się wiele lat temu, po prostu nikt go nigdy nie wyzwał. Załatwiając go, oddałeś przysługę całej branży.

- To był twój pomysł. Jeśli już, to jestem ci coś winien za radę. W każdym razie, jak poszło spotkanie z Makinem o szóstej rano? Jest coś, o czym powinienem wiedzieć?

- Nie, nie sądzę... - Bryant umilkł. - Właściwie, może lepiej ci to pokazać. Pracowałeś

nad MGP, prawda? Monitorowaną Gospodarką Północnoandyrjską, kiedy jeszcze byłeś w HM?

Chris kiwnął głową.

- Tak, mocno się angażowali w MG. Jak każdy z przyzwoitym portfolio w Rynkach Rozwijających się. Czemu, coś się tam teraz dzieje?

- Ech, to znów ten pieprzony Echevarria. Pamiętasz, pierwszego dnia, gdy spotkaliśmy się w kiblu, powiedziałem, że muszę się spotkać z jakimś śliskim dyktatorem w sprawie budżetu.

- To był Hernan Echevarria? Myślałem, że umiera.

- Nic z tego. Stary drań dobija do osiemdziesiątki, w ciągu ostatniej dekady przeszedł dwie poważne operacje i wciąż się trzyma. Wierny tradycji pieprzonych właścicieli ziemskich szykuje najstarszego syna, żeby przejął po nim cały cyrk. A jak można się spodziewać w przypadku tych rodzin z hacjend, syn nadaje się jedynie do psucia powietrza. Cały czas spędza w Miami, przepuszcza forszę w kasynach, faszeruje nos prochami i rżnie lokalne *gringas*.

Chris znów wzruszył ramionami.

- Wygląda nieźle. W każdym razie łatwo go będzie kontrolować.

- Nie w tych układach. - Bryant stuknął w kilka punktów na ekranie terminala, zmieniając obraz. - Widzisz, Echevarria junior zawiera w Miami dużo znajomości. Inwestycyjnych.

- Ach.

- Tak, ach. Świeże pieniądze, w większości lokalne, ale niektóre z Tokio i Pekinu via fundusze inwestycyjne US. Zerknij na to zdjęcie. - Bryant obrócił ekran w stronę Chrisa. - Zrobione w zeszłym tygodniu na pokładzie prywatnego jachtu Haithema Al-Ratrouta. Powinieneś rozpoznać niektóre twarze.

Było to typowe ujęcie paparazzich. Zrobione w pośpiechu, nieretuszowane zdjęcie ludzi, których zazwyczaj widywano wyłącznie w światłach reflektorów. Chris rozpoznał dwie modne gwiazdki odsłaniające ciało, sekretarza stanu US wyciągającego oliwkę z martini i...

- Tam po lewej to Echevarria junior. Ten w garniturze Ingram i głupim kapeluszu. A obok niego masz Conrada Rimshawa, dyrektora wykonawczego Inwestycji Konfliktowych Lloyd Paul z Nowego Jorku. Po drugiej stronie, bardziej z tyłu, widać Martina Meldrecka z Oddziału Szybkiej Alokacji Funduszy Caldersa. Sępy już się zbierają.

- Ale ojciec jak dotąd wciąż jest nasz, prawda?

- Jak dotąd. - Bryant kiwnął głową i dotknął kolejnego miejsca na ekranie. Fotografia zwinęła się, ustępując miejsca arkuszowi kalkulacyjnemu. - Ale zapowiada się ciężka walka. To cyfry ze wspomnianego przeglądu budżetu. Te na czerwono są kwestionowane. On chce więcej, my nie możemy mu dać.

Na ekranie było mnóstwo czerwieni.

- Echevarriowie połączyli się z madryckim biurem Shorn, kiedy Hernan dokonał przewrotu w '27. Dobrzy, stali klienci. Nasz Oddział Rynków Rozwijających się wspierał ich przez całą wojnę domową i załamanie po niej. - Bryant zginał palce po jednym, wyliczając. - Paliwo i amunicja, sprzęt medyczny, helikoptery bojowe, instruktorzy kontrwywrotowi, techniki przesłuchań. Wszystko po bardzo niskich cenach i przez ponad dwadzieścia lat

doskonale się to zwróciło. Spokojni mieszkańcy, ekonomia z niskimi pensjami zorientowana na eksport. Sen neoliberalą.

- Ale z tym koniec.

- Koniec. W górach pojawiło się nowe pokolenie partyzantów domagających się reformy rolnej i wróciliśmy do punktu wyjścia. Rynki Rozwijające się straciły odwagę i zrzuciły wszystko prosto na kolana Inwestycji Konfliktowych. A Hewitt dała to Makinowi.

- Miło z jej strony.

- Tak, to było zaraz po Gwatemali, więc Makin miał dość dobrą reputację. Najlepszy analityk roku i cała reszta. Pewnie Hewitt myślała, że załatwi to małym palcem. Ale jakoś mu się nie układa, więc wciągnęli mnie do pomocy. Teraz Makin dzieli się ze mną Echevarrią i muszę stwierdzić... - Bryant podszedł do drzwi i zamknął je. Ściszył głos. - Muszę stwierdzić, że wcale sobie z tym dobrze nie radzi.

Chris oparł się o brzeg biurka Bryanta, czując emanujące od drugiego mężczyzny zaufanie i wspólną tajemnicę.

- W czym problem?

Bryant westchnął.

- W tym, że Makin nie ma pojęcia, jak traktować Echevarrię. Widzisz, przyzwyczaił się do drobnych rewolucjonistów ukrytych w dżungli, ich programów edukacji wieśniaków i myśli, że Echevarria jest taki sam, tylko trochę ugładzony.

- Ups.

- Właśnie. Powiedziałem mu to. Echevarriowie stanowią coś w rodzaju arystokracji tej części świata. Stąd ich związki z Europą. Stary Hernan wywodzi swoich przodków od pierwszych konkwistadorów Pizarra. I nigdy mu się nie nudzi powtarzanie nam tego. Oczywiście, znaczy to jedynie tyle, że pochodzi od jakiegoś biednego jak mysz kościelna młodszego syna, który załapał się na miejsce w łajbie z Hiszpanii, ale nie jest dobrze wspominać o tym na zebraniach w sprawie budżetu.

- Makin tak powiedział?

Bryant się roześmiał.

- Nie, przesadzam. Makin jest na to zbyt dobrym negocjatorem. Ale zaczyna skwierczeć za każdym razem, gdy Echevarria wsiada na konika arystokracji. Prawie widać, jak wydyma wargi. Echevarria też to widzi i budzi się w nim ta cholerna hiszpańska duma. Makin nadyma się jeszcze bardziej i proszę, mamy impas. Próbujemy ustawić go na coś długoterminowego, żeby kiedy w końcu kipnie, MGP była stabilna i co ważniejsze nasza, ale za każdym razem kiedy z nim rozmawiamy, odnosi się do nas coraz bardziej wrogo. Teraz chce dwucyfrowego procentowo przyrostu budżetu wojskowego, żeby stłumić bunty, a nie ma mowy, żebyśmy mogli sobie na to pozwolić, nie burząc spokoju kierownictwa finansowego. Problem w tym, że on traktuje to bardzo osobiście.

- Więc nie podpisze?

- Może w końcu to zrobi. - Bryant znów ujął kij bejsbolowy, zamachnął się nim w powietrzu i oparł sobie o ramię. - Jeśli zdołam go przekonać. Ale może też nie zdążyć. Nie jest już taki zdrowy. Jeśli umrze albo jego stan zbytnio się pogorszy, władzę przejmie junior, a wtedy jesteśmy skończeni. Junior nie ma iluzji staruszka o europejskich korzeniach i jest wkurzony na Makina za jego nastawienie, więc ściągnie Lloyda Paula lub Caldersa tylko po

to, żeby nam dokopać. A oni z rozkoszą nas wykupią.

Chris napił się kawy i myślał nad tym przez chwilę, podczas gdy Bryant podchodził wolno w stronę okna, odbijając kijem wyobrażone piłki. Kiedy Mike doszedł do szyby i odwrócił się w jego stronę, z wystudiowanym spokojem odstawił styropianowy kubek.

- A co z partyzantami? - zapytał.

- Partyzanci? - Bryant błagalnie rozłożył ręce. - Daj spokój. Kim, u diabła, są? Mówimy o kliencie z dwudziestoletnim stażem. Nie możesz tego spisać na straty dla jakiegoś brodatego *campesino* ukrywającego się w górach. Pewnie jest tam z pół setki różnych frakcji i frontów, a wszystkie sprzeczą się o rewolucyjne pochodzenie. Nie znamy ich, a zresztą nie mamy czasu, by ich *poznać*...

- Ja ich znam.

- Co?

- Powiedziałem, że ich znam. Rynki Rozwijające się HM zrobiły w zeszłym roku dogłębne studium frakcji radykalnych MGR - Chris machnął otwartą dłonią. - Polecieliśmy tam, Mike. Mam gdzieś w domu pliki.

Bryantowi opadła szczęka.

- Nabierasz mnie.

- Zrobię ci profil na czwartek.

- Jezu. Tak po prostu przyszedłeś by uratować mi tyłek?

- Och. - Chris podniósł swoją kawę i podszedł do niskiego stolika, na którym Mike ustawił szachownicę. Chwycił dwoma palcami skoczka i przestawił go. - Prawie zapomniałem. Szach.

Bryant wyszczerzył zęby i zamachnął się na niego kijem. Chris złapał go drugą ręką.

- *Sukinsyn*.

- Jasne. - Chris spojrział na szachownicę. - I przypuszczam, że mat w siedmiu.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Teczki z HM znalazł w garażu, upchnięte na górnej półce obok pudła ze zużytymi zębatkami z przekładni, zachowanymi przez Carlę z jakichś niepojętych przyczyn. Chris wszedł na drabinkę, żeby wyciągnąć potrzebny mu dysk, i omal nie skreślił kostki, zeskakując potem na dół.

- Szlag.

Pomyślał, że gdyby Carla tam była, roześmiałyby się. Roześmiałyby się w głos, a on przyłączyłby się do niej, udając, że jego ego nie ucierpiało, i po kilku chwilach tłumionego gniewu rzeczywiście by się rozluźnił.

Ale Carla była na wieczorowym kursie, razem z dwoma innymi mechanikami od Mela, i uczyła się o nowych technikach wirtualnego projektowania, a dom nabrzmiewał jej nieobecnością.

Wrócił do gabinetu i wpakował dysk w terminal. Na ekran wyskoczył protokół wyszukiwania.

- Monitorowana Gospodarka Północnoandyjska - powiedział do maszyny. - Hernan Echevarria, przeciwnicy polityczni.

Protokół poszukiwawczy rozplynał się, wyrzucając na ekran serię miniaturowych fotografii niczym wielobarwne bąbelki. Chris przez chwilę stał i przyglądał się, jak program zmienia wielkość kolejnych obrazków, bezskutecznie usiłując zmieścić je wszystkie na ekranie. Potem wyszedł do salonu, żeby nalać sobie whisky.

Stworzył ten plik w pokoju bezgłazdkowego hotelu z widokiem na błyszczący w nocy przybrzeże Morza Karaibskiego. Hammett McColl wysłał do MGP dwa zespoły - wizytę jednego nagłośniono, wynajmując mu pokoje w Bogota Hilton, choć pełnił w zasadzie funkcję wyłącznie reprezentacyjną. Wraz z tym zespołem wysłano tajną grupę kontrolną, która przyleciała pod przykrywką ekipy szukającej lokacji dla studia filmowego. Z początku była to niezła zabawa, przynajmniej do chwili gdy zaczęli zdobywać dane o polityce.

Chris pamiętał smoliście czarne noce, życie uliczne i latarnie zawieszane na ulicach w dole. Pot spływający z ciała i brwi, perlący się w równych proporcjach przez wilgotny upał i szczegóły więziennych kartotek. Jego palce zostawiały na klawiaturze laptopa mokre ślady. Pił rum, palił koszmarnie miejscowe papierosy i przez większość czasu udawało mu się zachować perspektywę. Tylko czasami przerywał i odrywał palce od klawiatury, jakby coś usłyszał, bo nawet rum nie potrafił zablokować instynktownej wiedzy, że do opisywanych przez niego aktów brutalności dochodziło w tym samym czasie na posterunkach policji w całym mieście.

Nigdy nie słyszał krzyków, powtarzał sobie wtedy i później. Przemawiały do niego raporty, działając na wyobraźnię jak nieudolny dentysta na uszkodzony ząb. To wszystko. Niczego nie słyszał.

Zadzwoił telefon.

Podskoczył, obracając się, z dłonią zaciśniętą na szyjce butelki whisky, i spojrzał w stronę salonu. To domowy telefon, z nieekranowaną linią. Wszedł z biura i stanął w drzwiach, patrząc na mały niebieski ekran. Symbol połączenia pulsował na nim zielenią w

rytmie dzwonka.

Kto...

To nie może być Carla. Zerknął na zegarek. Do końca seminarium pozostało pół godziny, zresztą myśl ta naszała go, zanim sprawdził godzinę. W miarę jak nakrywające się godziny pracy zjadały coraz więcej czasu spędzanego kiedyś razem, zrezygnowali ze zwyczaju kontaktowania się ze sobą poza absolutną koniecznością.

Telefon dzwonił.

Patrzył na niego głupio z whisky w dłoni i pustką w głowie.

Połączenie z pracy przyszłooby przez terminal. Zwyczajowo i zgodnie z instrukcją. Wytyczne Shorn zabraniały omawiania pracy na nieekranowanych liniach.

Telefon dzwonił.

Może to Erik, żeby wycofać się z absurdalnych fochów, które opisała mu Carla, gdy Chris wrócił z północy. Skrzywił się. Czyżby ten wiking? Mało prawdopodobne.

Na miłość boską, Chris, odbierz ten cholerny telefon.

Podszedł do terminala i kciukiem wcisnął odbiór. Niebieskie tło błysnęło, a jego miejsce zajął obraz.

Przez krótką chwilę nie był pewien, na co patrzy. Dostrzegł ciemne, błyszczące włosy i profil najwyraźniej oparty na dwóch poduszkach, które...

Z głośnika rozległ się jęk. Twarz obróciła się z otwartymi ustami. Pojawiła się dłoń o czerwono pomalowanych paznokciach.

Chris poczuł zastrzyk adrenaliny i obraz nagle nabrał sensu. Patrzył na wycinek holopornosa, wrzucony wprost w łącze telefoniczne. Kobieta o bardzo mocnym makijażu i długich czarnych włosach klęczała nad podobnie umalowaną blondynką, ssąc i ocierając się o parę piersi tak wielkich i idealnie ukształtowanych, że trudno było uwierzyć w ich fizyczne podłączenie do którejś z kobiet. Chris opadł na poręcz fotela. Obraz nieco się odsunął i pojawiło się trochę szczegółów tła. Kobiety rozciągnięte były na czymś w rodzaju ławy gimnastycznej i nie miały na sobie nic oprócz kilku akcesoriów ze skóry, służących do unoszenia i oddzielania krzywizn. Blondynka leżała na plecach z głową w dół i włosami zwisającymi do podłogi. Druga zdołała w jakiś sposób sięść na niej okrakiem, ale zostawiła przy tym w powietrzu uniesione pośladki, przypominające narysowane przez dziecko serce. Podwójne kopuły pośladków tworzyły lustrzany obraz napompowanych silikonem piersi, złudzenie dziwnego rodzaju pionowej symetrii. Niemal można było uwierzyć, że patrzy się na pojedynczą istotę o kształcie klepsydry, z dodanymi dwoma identycznymi zestawami twarzy i kończyn.

Chris poczuł krew burzącą się w trzewiach i naprężenie penisa, gdy kobiety odegrały wspólny orgazm. Ciemnowłosej wyraźnie przydzielono rolę dominującą, bo zajmowała się ciałem drugiej kobiety przy akompaniamencie głośnych warknięć i błyskania białkami umalowanych na fioletowo oczu, podczas gdy blondynka pod nią jęczała i niezbyt przekonująco pocierała swoje nieprawdopodobne piersi.

Dominującą...

Myśl napłynęła niemal przypadkowo do jego umysłu, zastępując coś, co zamierzał pomyśleć.

...była Liz Linshaw.

Nachylił się niepewnie nad własną erekcją. Potwierdzona identyfikacja wywołała dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Od kiedy zrobiono te zdjęcia, Liz Linshaw postarzała się o kilka lat, ale pomimo ufarbowanych na czarno włosów i pomalowanych na fioletowo oczu, twarzy nie dało się z nikim pomylić. Ta sama linia kości policzkowych i nosa, te same szerokie, elastyczne usta. Te same lekko skrzywione zęby.

Spojrzenie Chrisa przeskoczyło z twarzy na osłonięte ciało. Sześć tygodni temu, w studio Centrum Tebbita widział zarys ostrej krzywizny jej piersi upchniętych w bieliznę pod bluzką z dekoltem. Tej nocy zasnął, myśląc o niej i - przyznał się sobie do tego dopiero teraz - od tamtej pory szukał jej w biuletynach Awansów i Stanowisk.

Teraz mógł się jej przyglądać do woli i zauważył, że były to te same strome krzywizny Piersi Liz Linshaw nie miały epickich proporcji jak u jej blond partnerki, ale i tak potrafiły się opierać grawitacji bez zewnętrznego wsparcia. Sutki, sadystycznie wpychane teraz w usta blondynki, były duże, ciemne i sterczące. Jeśli znaczyły je blizny po implantach, ginęły w opaleniznie.

Chris był twardy jak kamień.

Patrzył, jak usta blondynki przesuwają się przez całą długość ciała Liz Linshaw aż do miejsca złączenia ud.

Jęki i dyszenie nabrały mocy, dobiegając z dwóch gardeł w nieuniknionym duecie, wypełniając dłonie o jaskrawych paznokciach opalonym ciałem. Dłoń Chrisa samodzielnie przesunęła się do klamry paska. Samodzielnie czy nie...

Ostre światła błysnęły w okna i oświetliły zasłony. Od strony żwirowanego podjazdu dobiegł chrzęst kół landrovera.

Chris zerwał się na równe nogi i przerwał połączenie. Płynne odgłosy orgazmu wyparowały w pustkę. Przez chwilę stał nad telefonem, wpatrując się w niego bezmyślnie. Na ekranie pulsowały opcje wiadomości, ściągnij wiadomość, skasuj wiadomość, odtwórz wiadomość, ściągnij, skasuj, odtwórz, ściągnij, skasuj, odtwórz, ściągnij...

Dźgnął ekran i od lewej do prawej przesunął się przez niego pasek kopiowania, jak maleńki rozwijający się dywan.

Silnik landrovera umilkł. Trzasnęły drzwi, otwierane i zamykane.

Nacisnął klawisz otwarcia i porwał wysunięty minidysk, który zaraz oparzył go w palce, upadł na podłogę i potoczył się po podłodze.

Kroki na żwirze.

Rozejrzył się gorączkowo, czując pulsowanie w skroniach. Dysk błysnął srebrem spod fotela.

Znaczek identyfikacyjny Carli otarł się o zamek.

Schylił się i złapał dysk, wciskając go do kieszeni po drodze z salonu. Usłyszał otwarcie drzwi w chwili, gdy dotarł do gabinetu. Opadł na swoje krzesło.

- Chris? Wróciłam.

- Chwileczkę.

Z ulgą stwierdził, że erekcja ustąpiła w ataku paniki. Jeansy wydawały się prawie za luźne. Obrócił się na krześle, gdy Carla podeszła i pocałowała go w policzek.

- Praca? - W jej głosie, kiedy zerknęła na ekran, wychwycił ślad rezygnacji.

- Zgadza się. - Oddał pocałunek, mając wrażenie, że kiepsko pasuje do jego skóry.

Słowa nie chciały mu się układać na języku. - Coś, co obiecałem wygrzebać dla Michaela.

- Jadłeś?

- Tak, reszkę curry. A ty?

- Po drodze. - Skrzywiła się. - Kebab.

- Tak, czuć go.

- Przepraszam. - Znieruchomiała nagle i nachyliła się trochę, ujmując jego głowę w dłoń. - Dobrze się czujesz? Wyglądasz trochę blade.

- Ja... - Westchnął, pozbywając się części napięcia. Przekręcił głowę w stronę ekranu, i musiała go puścić. - To przez niektóre z tych danych. Przyglądamy się Monitorowanej Gospodarce Północnoandyjskiej. Zapomniałem już, jakie łąno robią tam w celach policyjnych.

Odsunęła się.

- Z tego co słyszałam, nie gorsze niż to, co się dzieje w Kambodży.

- Próbujemy ich zmusić, żeby z tym skończyli - powiedział.

- Tak? - Gdy wychodziła z pokoju, w jej głosie zabrzmiał pusty brak zainteresowania, ściana izolacji, jaką oboje zaczęli budować jako alternatywę wobec kłótni, na które nie mieli już energii.

Poszedł za nią. Z powrotem do salonu, gdzie w rogu stał terminal telefonu. Czując skurcz żołądka, przypomniał sobie, że nie skasował wiadomości.

- Carla.

- Co?

Podszedł do niej i położył dłoń z boku jej karku. Gest wydawał się niezgrabny, nienaturalny. Minęły tygodnie, od kiedy ostatni raz się pieprzyli. Spojrzała na niego podejrziwie.

- Co, Chris?

Przesunął palcami po włosach za jej uchem i rozprostował dłoń, aż cała przywarła do tyłu jej głowy. Taka pieszczota nieodmiennie ją pobudzała, ale i tak czuł się niezręcznie. Przysunął się do niej, z ulgą odkrywając, że erekcja wróciła z całą mocą. Poczula ją ściśniętą między ich ciałami i na jej ustach pojawił się uśmiezek.

- Co w ciebie wstąpiło?

Pocałował ją. Po chwili oddała pocałunek.

- Brakowało mi ciebie - powiedział, gdy ich usta się rozeszły.

- Mnie ciebie też.

- Chodź ze mną na górę.

Zaczęła pocierać jedną dłonią jego jeansy w kroku. Drugą zajęła się sprzączką pasa.

- Tu ci nie odpowiada?

Zawahał się. Emocje nieco przygasły. Podniosła wzrok od tego, co robiły jej dłonie, wyczulona na zmieszanie w jego głosie. - Chris?

- Nie chcę, żebyś miała odciski od dywanu - powiedział i poderwał ją z ziemi. Klasyczna pozycja przenoszenia przez próg. Jedna dłoń powędrowała do jej piersi, obejmując je i *blondynka wciąga w usta sutek Liz Linshaw, rozsmarowując szkarłatną szminkę* Roześmiała się.

- Proszę, proszę. Romantyk.

Chwiejąc się trochę, zaniósł ją na górę. Padli na łóżko i zdarli z siebie ubrania. Carla odwróciła się do niego naga, a on poczuł, że gdzieś głęboko rośnie w nim drobny kryształek ciepła. Zapomniał, jak piękne jest jej ciało, z szerokimi ramionami, długimi kończynami, płaskim brzuchem i pełnymi piersiami, piersiami, które u drobniejszej kobiety byłyby duże, ale tu

nabrzmiate półkule, ciało napięte do granicy pęknięcia, ściskane przez palce o czerwonych szponach

Zamrugnął i odepchnął od siebie ten obraz. Skupił się na kobiecie, z którą był, wpadając w starą znajomą sekwencję pozycji i pieszczot, miejsc, w których lubiła, by ją dotykać, późniejsze połączenie.

Usta Liz Linshaw zanurzające się...

Nie potrafił tego odrzucić. Nawet gdy Carla oparła się przed nim na kolanach i dłoniach, jak oboje lubili kończyć, fantazjował o obecności tamtych dwóch kobiet w łóżku razem z nimi. Wyobrażał je sobie niczym wampiry, przysysające się do ciała Carli i jego, i doszedł z tym obrazem wypalonym głęboko pod powiekami.

Wtedy zniknęły, zabierając ze sobą ciepło po zbliżeniu jak futro świeżo zarżniętego zwierzęcia. A później, gdy Carla przesunęła się i mrużąc coś, objęła go mocniej ramionami, czuł tylko uwiecznione w nim, obce doznania.

* * *

- To rewelacyjny materiał.

Mike Bryant krążył po biurze, nachylając się nad kartkami wydruku. Chris siedział na fotelu w rogu i przyglądał mu się. Nie spał dobrze i za lewym okiem czuł pulsowanie, które groziło, że przerodzi się w ból głowy. Trudno mu było zdobyć się na podobny poziom entuzjazmu co u Bryanta.

- No wiesz. Jezu, ci faceci mają o co mieć pretensje. Popatrz na to. Ponad tuzin przywódców powstańczych, a każdy z nich ma rodzinę, którą torturowano albo porwano. Fantastyczne. Pierwszej klasy motywacja emocjonalna, M cholerne E, prosto z Reeda i Masona. Podręcznikowi zatwardziali rewolucjoniści. Nigdy się nie poddadzą. Słuchaj, musimy tylko pokazać Echevarrii jedną trzecią tego, nawet mniej, a zacnie nam jeść z ręki.

- A jeśli nie?

- Oczywiście, że tak. Co ci jest? Musimy tylko namówić trzy z tych grup, by się połączyły, dać im trochę kałasy z drugiej ręki - Bóg wie, że mamy ich dość - a rozwalą armię Echevarrii w puch.

Chrisowi zaczęło łupać w głowie.

- Tak, ale co będzie, jeśli się nie przestraszy.

- Chris, daj spokój. - Mike spojrzał na niego z wyrzutem. - Psujesz mi nastrój.

- Ale co wtedy, Mike. Pomyśl o tym, do cholery.

- Jezu, wstałeś dziś z łóżka lewą nogą. No dobra. - Bryant opadł na drugi fotel i oparł nogi na stoliku między nimi. - Potraktujmy to jak dorośli. Co jeśli. Planowanie na okoliczność. Jak powiedziałem, pokażemy mu jedną trzecią ze zdjęć tych facetów. I powiemy mu, że mamy ich jeszcze dwa razy tyle, tak?

- Tak.

- Więc jeśli nie nabierze rozumu, wykorzystamy kogoś z pozostałych dwóch trzecich.

W ten sposób niezależnie od tego, jakie podejmie akcje odwetowe, trafi na niewłaściwych ludzi. Jednocześnie zaczniemy rozmawiać z kimś z pierwszego szeregu i w razie potrzeby dostarczymy mu to, czego potrzebuje. To byłby, zobaczymy. - Bryant znów przejrzał wydruk. - Może ten Arbenz, z Ludowego Frontu Wyzwolenia, cokolwiek to jest. Albo Rewolucyjna Brygada Barranco. Albo Diaz. Wszyscy są dobrymi kandydatami. Byłeś tam. Kto twoim zdaniem byłby najlepszy?

- Cóż, nie Arbenz. Postrzelili go kilka dni temu. Nie widziałeś biuletynu?

- Za diabła nie pamiętam. - Bryant strzelił palcami. - Czekaj no, ta akcja w wioskach na południu? Echevarria znów je ostrzelał z powietrza, cholerna gnida. Wiesz, osobiście mi obiecał, że te helikoptery nie zostaną w tym roku użyte przeciw cywilom. Na szczęście nie przekazaliśmy tego prasie.

- No cóż, twoje śmigłowce strzaskały Arbenzowi nogi od bioder w dół. Poza tym najwyraźniej żołnierze Echevarrii użyli tej amunicji biologicznej, którą widzieliśmy w styczniu w Farnborough. Pociski pokryte inhibitorami układu immunologicznego. Wyjątkowo wredne. Trzymają go w szpitalu polowym w górach, ale z tego co słyszałem od Lopeza, będzie miał szczęście, jeśli przeżyje. - Chris potarł oko i pomyślał o tabletkach przeciwbólowej. - A nawet jeśli, dużo czasu upłynie, zanim zdoła zorganizować jakąś kampanię.

- Dobra, to Arbenz wykluczony. A co z Barranco?

- Barranco też bym zostawił w spokoju, o ile nie byłoby to absolutnie konieczne. Spotkałem go kiedyś. Jest głęboko przekonany o swoich racjach i brakuje mu elastyczności, więc trudno byłoby go kupić.

Bryant się skrzywił.

- Diaza też spotkałeś, tak?

- Taa, parę razy. On byłby lepszy. Bardzo pragmatyczny, ma silne poczucie własnego miejsca w historii. Chce, żeby przed śmiercią jego nazwisko znalazło się na jakimś pomniku. Och, i szaleje na punkcie Szekspira.

- Nabijasz się.

- Nie, poważnie. Potrafi cytować to dziadostwo. Jako student dostał stypendium w Stanach w ramach jakiegoś liberalnego programu wymiany. Zasypał mnie *Hamletem*, *Makbetem*, jakmutam, *Królem Learem*, co tylko chcesz. Wszystko idealnie co do słowa. - Chris wzruszył ramionami. - A przynajmniej tak to brzmiało. Skąd mam wiedzieć? I wiesz, co mi powiedział? Że zawsze chciał odwiedzić Brytanię i *zobaczyć matkę parlamentów*.

- Co? - Bryant parsknął śmiechem. - Teraz już się ze mnie nabijasz.

- Przysięgam. Matkę parlamentów. Tak właśnie powiedział.

- Matkę parlamentów. Stary, boskie. Prawie mam nadzieję, że Echevarria się nie podda, żeby tylko zobaczyć tego gościa.

* * *

Jak można się było spodziewać, Makin nie był tym zachwycony. Bez słowa przeczytał wręczone mu kartki, odkładając je po jednej, a potem odrzucił cały plik na gładkie biurko. Spojrzał nad nim na Chrisa i Mike'a siedzących na krzesłach o stalowych ramach. Skupił się na Bryancie.

- Wątpię, żeby był to właściwy sposób, Mike.

Bryant nie był na to gotowy. Nic nie powiedział, kiwnął tylko głową w stronę Chrisa.

- Słuchaj, Nick. - Chris nachylił się do przodu. - Pracowałem już z MGP i mówię ci...
- Niczego mi nie mówisz. Płacuję nad IK Amelyki Łacińskiej dłużej, niż tu jesteś. W zeszłym roku dostałem najwyższą ocenę na łynku amelyk...

Bryant odchrząknął.

- Dwa lata temu.

- I w tym roku też się do niej szykuję, Mike. - Głos Makina pozostał cichy, ale twarz za stalowymi okularami zdradzała zdenerwowanie. - Kiedy przyhdą niełozwiązahne.

- Ach, daj spokój, Nick. - Chris poczuł jadowitą satysfakcję, szykując ripostę. - To było w zeszłym sezonie. Pierwsze, co mi powiedziałeś, stary. *Nie można tym żyć w nieskończoność. To nowy kwartał. Czas na świeże mięsko. Kolejne podejście.* Pamiętasz to?

Makin odwrócił wzrok.

- Nie, nie pamiętam, żebym mówił kiedyś coś takiego.

- Cóż, zrobiłeś to, Nick. - Bryant wstał i strącił z ramienia jakiś pyłek. - Byłem przy tym. No dobrze, nie będziemy o tym dyskutować. Zrobimy to tak, jak sugeruje Chris, ponieważ szczerze mówiąc, mam już dość twojego planu gry z Echevarrią.

- Mike, *ja wiem, jak działają te cholelne hiszpy.* To zły ruch.

Bryant spojrział na niego z góry. Wydawał się rozczarowany.

- To nie jest Gwatemala, Nick. Chris jest lokalnym ekspertem od MGP, podoba ci się to, czy nie. A teraz porozmawiaj z nim i do poniedziałku zrób z tego coś, co trzyma się kupy. Mówię poważnie. Mam już dość kłótni z tym starym pierdołą. W przyszłym tygodniu spotykamy się sieciowo z Echevarrią i jego gabinetem i do tego czasu chcę mieć miecz nad jego głową. Idziesz na kawę, Chris?

- Och, jasne. - Chris wstał. - Nick, zadzwonisz do mnie, co?

Makin wydał z siebie nieokreślony dźwięk.

W drzwiach Bryant odwrócił się i spojrział na niego przez biuro.

- Hej, Nick. Bez urazy, co? Po prostu pozwoliliśmy, żeby to wszystko za daleko się posunęło. Sytuacja wymyka się spod kontroli. Wiesz, czas ściągnąć posiłki. Nie chcę, żeby Notley patrzył na nas, jakbyśmy byli bandą dzieciaków podpalających kuchnię. To się nikomu nie przysłuży.

Zostawili Makina.

- Grozisz mu? - zapytał Chris w windzie.

Bryant wyszczerzył zęby.

- Odrobinę.

Drzwi otworzyły się na poziomie ziemi. Wyszli w przestronny i wypełniony światłem hol wieży. Fontanny pluskały wodą, powietrze przenikały przyjemne dźwięki na progu słyszalności. Chris poczuł, jak usta wykrzywają mu się w uśmiechu.

- A więc wkurzyłeś się na niego?

- Na Nicka? Nie. Po prostu ma zbyt wysokie mniemanie o sobie od czasu tej sprawy z Gwatemalą. Musi wiedzieć, kto wydaje rozkazy, wtedy słucha. Jezu, patrz na to.

Wiszące w powietrzu nad jedną z fontann olbrzymie logo Shorn Associates wyświetlało sceny sfilmowane w konflikcie kambodżańskim. Na obrazach pojawiały się krzyżujące się linie śledzone wybrany sprzęt migający na ekranie - helikoptery, karabiny szturmowe, sprzęt medyczny, na którym kamera skupiła się na dłużej, z danymi logistycznymi przewijającymi

się obok każdego z wyłowionych przedmiotów. Producent, charakterystyka, koszt. Udział i zaangażowanie Shorn.

- To zdjęcia z BBC? - zapytał Bryant. Kilka tygodni wcześniej oddał media Chrisowi.

- W zasadzie tak. Wykupiliśmy to prosto ze źródła w Phnom Penh na wypadek, gdyby znalazło się tam coś, co nie powinno. Z tym facetem, Syalem, nigdy nie wiadomo. To prawdziwy krzyżowiec. W zeszłym roku wygrał Nagrodę Pilgera. W każdym razie kobieta w Imagicians powiedziała, że niektóre zbliżenia generują sami, jak ten sprzęt medyczny. Mogą sfilmować wysokiej klasy towar w studio, a potem zmiksować go tak, żeby wyglądał, jakby naprawdę tam był. - Chris kiwnął głową w stronę hologramu. - Dobrze wygląda, co?

- Tak, nie jest zbyt sfatygowany. Syal się nie wkurzył, kiedy mu zabrali te ujęcia?

Chris wzruszył ramionami.

- Nie wydaje mi się, żeby miał coś do powiedzenia. Upewniliśmy się, że przekazanie idzie przez producenta programu. Standardowe warunki sponsoringu. A on oddał im materiał z dostateczną ilością scen bitewnych, żeby uszło za ostry realizm. Wiesz, płonące ciała, takie rzeczy.

- Ale bez kobiet i dzieci, co?

- Tak. Sam to przejrzałem. Jest czyste.

W kostce hologramu pojawił się kambodżański dowódca partyzantów o zmęczonej twarzy. Wyrzucił z siebie coś w khmerskim. Poniżej pojawiły się czerwone litery tłumaczenia. *Walki są ciężkie, ale z pomocą naszych korporacyjnych partnerów zwyciężymy. To pewne jak...*

- Naprawdę to mówi? - z zaciekawieniem zapytał Bryant.

- Tak myślę. - Chris przyglądał się idącej przez hol hojnie obdarzonej przez naturę blondynce. - Chyba dali mu karty z tekstem czy coś takiego. Wiesz, czasem myślę, że gdybym tu przyszedł i postać w infradźwiękach przez pół godziny, mógłbym oszczędzić na kawie.

Bryant zauważył, na co patrzy Chris.

- To nie infradźwięki.

- Och, no wiesz, Mike.

- Tak, co mi przypomina... Nie wybrałbyś się jutro na imprezę?

- Imprezę w strefie? - Od czasu incydentu w *Falklandzie* Chris i Mike byli kilka razy po drugiej stronie, choć nigdy w tym konkretnym pubie i nigdy tak nawaleni, jak tamtej nocy. Z początku Chris denerwował się na te wizyty, ale emanujące z Mike'a Bryanta spokój i znajomość wydzielonych stref oraz ich nocnego życia w końcu go przekonały. Zrozumiał, że załatwianie spraw po tamtej stronie wymagało sztuczki opanowanej przez Bryanta. Nie należało obnosić się ze statusem elity ani też go odrzucać. Trzeba było się zachowywać normalnie, nie próbować się do nikogo łąsić, a w większości przypadków zyskiwało się pełen rezerwy szacunek. Z czasem szacunek mógł przekształcić się w coś innego, ale nie należało tego oczekiwać. I nie było to konieczne do dobrej zabawy.

- Czemu zaraz w strefie? - zapytał niewinnie Bryant.

- Och, no nie wiem. - Przeszli przez drzwi z pancernego szkła, wychodząc na ulicę. Słońce rozgrzało ich twarze. - Bo tam była ostatnia?

- Bzdura. A co z imprezą u Julie Pinion?

- Dobra, no to przedostatnia. A swoją drogą, od Julie nie było daleko.
- Z pewnością cholernie się ucieszy, słysząc to. Biorąc pod uwagę, ile zapłaciła za to mieszkanie... To rozwijające się tereny odzyskane, Mike.

- Faktycznie. Zapomniałem.

Weszli do *U Louie Louie* i pokiwali znajomym twarzom w kolejce. Sława Chrisa przygasła dostatecznie, by koledzy z Shorn witali go tylko pomrukami i okazjonalnym uśmiechem.

- No to opowiedz mi o tej imprezie.

Mike oparł się o ścianę.

- Pamiętasz Troya?

- Jasne, z *Falklanda*. - Spotkali Jamajczyka jeszcze parę razy w klubach po drugiej stronie muru, ale w oczach Chrisa był on nierozzerwalnie związany z wydarzeniami tamtej nocy.

- Cóż. Okazuje się, że jego najstarszy syn dostał właśnie stypendium w Instytucie Thatcher. Przyspieszony program finansów i ekonomii, po ukończeniu gwarantowane miejsce w jednej z dużych firm konsultingowych. Więc urządza u siebie przyjęcie. Zostałeś serdecznie zaproszony.

- Czyli to jednak w cholernej strefie.

- Co? Nie, Troy nie mieszka w strefie. Wyprowadził się wiele lat temu, mieszka na obrzeżu Dulwich.

- Którym?

- Słuchaj, to znacznie lepsza okolica niż ta, w której mieszka Julie Pinion. Nie chcesz przyjść, to powiem mu, że pracujesz do późna. W piątek.

- Zaprosił mnie?

- Tak, jak już powiedziałem. Serdecznie. Weź Faulknera, powiedział.

- Miło z jego strony.

- Jasne, musisz przyjść. Imprezy Troya są cholernie odlotowe. Mnóstwo prochów, płynów i potężne nagłośnienie. I naprawdę świetna mieszanka ludzi. Garnitury, media, didżeje, dilerzy. - Bryant nagle zmienił wyraz twarzy. - Cholera, wiesz. Założę się, że będzie tam nawet cholerna Liz.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

- Słuchaj, naprawdę uważam, że to nie dla ciebie.
- Czemu nie? - Carla skrzyżowała ręce na piersiach i oparła się o lodówkę. - Za wysokie progi? Popsuję ci prezencję?
- To nie fair. Zapraszałem cię na każdą imprezę Shorn, jaką mieliśmy w tym roku.
- Tak. Byłeś bardzo sumienny.
- A to już jest *cholernie* nie fair. Za każdym razem chciałem, żebyś tam była. I zawsze, kiedy mówiłaś nie, żałowałem, że cię ze mną nie ma. - Chris spuścił z tonu. - Byłem z ciebie dumny. Chciałem im to pokazać.
- To znaczy, chciałeś się mną pochwalić.
- Ach. - Chris machnął ręką. - Pieprz się, Carla. Nadstawiam się dla ciebie za każdym razem...
- Jeśli zamierzasz mówić do mnie w ten sposób... - Zerwała się już z miejsca i ruszyła przez kuchnię z dala od niego. - Idę spać. Dobranoc.
- Świetnie. Spadaj.
Stał, zaciskając pięści, otoczony pozostałościami kolejnych jedzonych osobno kolacji, a ona wyszła, obrażona. Znowu. Od schodów dobiegł go jej głos.
- I tak mam jutro wieczorem ciekawsze zajęcia.
- Świetnie, *to się odpiardol* - wyrzeczył w jej stronę, przerażony nagłą erupcją własnej wściekłości.
Nie odpowiedziała.
Przez chwilę trząsał talerzami i sztućcami, ładując zmywarkę z beztróską, która czasem potrafiła ściągnąć Carlę z powrotem do kuchni, żeby przejąć to zajęcie. Oszukiwał się i wiedział o tym. Osiągnęli zupełnie nowy poziom wrogości.
Wyciągnął sobie czystą szklaneczkę i poszedł szukać whisky, po czym napełnił szkło do połowy, wpatrując się w świecący na niebiesko ekran telewizora. Zniknęły już z niego napisy końcowe jakiegoś filmu sensacyjnego o terrorystach zagrażających światu, starte z ekranu równie skutecznie, jak szczegóły dopiero co obejrzanego filmu z jego umysłu. Wściekłość wyparowała, zostawiając po sobie wyrzuty sumienia i poczucie pustki.
Gdy już trzymał szklaneczkę w powietrzu, nagle ogarnęło go brutalne zrozumienie.
Pojął, że cieszy się z kłótni. Cieszy się ze swobody, jaka z niej wynikała.
Czuł ulgę, że Carla z nim nie pójdzie.
Ulgę, ponieważ...
Chwycił zrozumienie za gardło i utopił je w whisky.

* * *

Dom Troya Morrisa może i nie mieścił się w wydzielonych strefach, ale Chris widział posterunek wejściowy dalej na tej samej ulicy, a po drodze do niego jakoś domów spadała bardzo gwałtownie. Z jednej strony ulicy ciągnęły się odrestaurowane budynki w wiktoriańskim stylu ze starannie odmalowanymi fasadami i czystymi oknami. Dalej zaczynało być gorzej - od strony bramki farba na murach pojawiała się tylko miejscami, a szyby w oknach zdarzały się coraz rzadziej. W kilku miejscach zamiast nich wydymały się

płachty z plastiku.

Ostatnie trzy domy po obu stronach ulicy zostały zniszczone, by zapewnić pustą przestrzeń wokół punktu kontrolnego. Gruz uprzątnięto, a wzrost zielska blokowały chemikalia. Najbliższe budynki po drugiej stronie znajdowały się jakieś sto metrów za barierą i nosiły wyraźne ślady pożarów i zamieszek. Jeszcze dalej wznosił się sfatygowany dziesięciopiętrowy blok z betonu, o ciemnej fasadzie poplamionej wyciekami z nieszczelnych rynien. Chris zauważył kogoś, kto przyglądał mu się z okna na samej górze.

Był idealny letni wieczór, wciąż pełen światła pomimo ósmej, a upał powoli ustępował bez deszczu, którym groziło całe popołudnie. Z otwieranych w pionie okien Troya dobiegały dźwięki salsy, a kiedy Bryant zadzwonił, wydawało się, że drzwi eksplodują razem z dźwiękami basu.

- Mike! Dobrze cię widzieć, stary. - Troy miał na sobie koszulkę Jamaica Test '47, ze zwycięskim uśmiechem na twarzy Mosesa McKenzie wystającym zza hologramu piłki krykietowej, która sprawiała wrażenie, jakby wylatywała wprost z tkaniny. Dla kontrastu twarz Troya wydawała się niezwykle ponura. - Hej, Faulkner. Przyszedłeś. To dobrze.

Chris coś wymamrotał, ale Troy zdążył już skupić się z powrotem na Bryancie.

- Mike, słuchaj, stary. Będę musiał później z tobą pogadać.

- Jasne. W czym problem?

Troy potrząsnął głową.

- Lepiej później.

- Jak sobie życzysz. - Bryant wykręcił szyję, patrząc w głąb domu. - Jakaś szansa na skręta?

- Jasne, pewnie gdzieś będą. Ta twoja blondynka z TV jest tu i gdzieś zawija.

- Dobra.

Poszli korytarzem w samo serce imprezy.

Chris nigdy nie był typem imprezowym. Dorastał jako inteligentne dziecko z nietypowym akcentem, co w strefowej szkole gwarantowało mu codzienną dawkę terroru, a kiedy nauczył się walczyć, nie zapraszano go zbyt często na imprezy. Później wyrósł w sposób, który podobał się sporej części dziewczyn. Życie stało się prostsze, ale zniszczenia już się dokonały. Pozostał zamknięty w sobie i w towarzystwie innych wolał raczej obserwować, więc trudno mu było się odprężyć, a jeszcze trudniej dobrze się bawić w tłumie. Reputacja klimatycznego oderwania, zaakceptowana zarówno przez kolegów jak i fanki, na dobre zamknęła za nim drzwi. Zanim udało mu się wywalczyć wejście do świata korporacji, nabrał odruchów i zachowań niezbędnych do przeżycia. Dobrze sobie radził na imprezach urządzanych przez kolegów i przyjęciach korporacyjnych, iskrzących rywalizacją i walkami politycznymi. Przychodził, bo musiał, zgrabnie prześlizgiwał się przez wszystkie niezbędne rytuały, nigdy nie opuszczał osłon i nienawidził każdej chwili. Dokładnie jak na imprezach w młodości.

W związku z tym kilka godzin później przeżył szok, odkrywając, jak doskonale się bawi na przyjęciu u Troya.

Jak często na domowych imprezach wylądował w kuchni, umiarkowanie nawalony kilkoma porcjami tequili i pojedynczą kreską bardzo dobrej kokainy, dyskutując o polityce południowoamerykańskiej z synem Troya, Jamesem i olśniewającą hiszpańską modelką o

imieniu Patricia, która jak odkryli - *hej, nie nabierasz mnie?* - pojawiła się w tym samym wydaniu GQ co Chris, choć w znacznie skromniejszym stroju. Nie, jak zauważył Chris, żeby teraz też miała na sobie za wiele. Po imprezie kręciło się około tuzina tych egzotycznych stworzeń, zachowujących się niczym hostessy na pokazach samochodowych. Dryfowały elegancko z pokoju do pokoju, okazjonalnie przyciągane na orbity mężczyzn w kosztownych strojach, z którymi chyba przyszły, mówiły po angielsku z różnorodnymi kuszącymi akcentami i bez wyjątku świetnie tańczyły w rytm salsy grzmiącej z głośników w salonie. Sądząc po Patricii i jej opiniach dotyczących Ameryki Południowej, wszystkie też musiały na wejściu zdać mózgi. A może przehandlowały je po prostu za mikroskopijne ciuszki od sławnych projektantów, w które się poubierały.

- Uważam, że te wszystkie złe rzeczy, które mówią o Hernanie Echevarrii, są mocno przesadzone. Wicie, spotkałam w Miami jego syna, jest naprawdę miłym facetem. I bardzo kocha swojego ojca.

James, być może biorąc pod uwagę swoje bliskie przyjęcie do Instytutu Thatcher i możliwych podsłuchiaczy rozmowy, nie odpowiedział. Ale był jeszcze młody i niewyszkolony, więc wszystko zdradzał wyraz jego twarzy.

- Tu tak naprawdę wcale nie chodzi o jego syna - spróbował z wysiłkiem Chris. - Rzecz w tym, że nadmierne stosowanie przemocy przez reżim, *dowolny* reżim, może sprawić, że inwestorzy się splotą. Jeśli uznają że rząd robi się zbyt represyjny, zaczną się zastanawiać nad bezpieczeństwem reżimu i tym, co się stanie z ich pieniędzmi, gdyby ten upadł. To jak rusztowanie wokół budynku - raczej nie zachęca do kupienia go, prawda?

Patricia zamrugła.

- Och, nigdy nie kupiłabym mieszkania w bloku - zapewniła go. - Brak ogrodu, i trzeba by się dzielić basenem. Nie zniosłabym tego.

Chris też zamrugł. Przez chwilę panowała cisza.

- Właściwie, odpowiednie zastosowanie represji zazwyczaj dobrze pobudza zaufanie inwestorów. No wiesz, pomyśl o Gwatemali. - Tym razem odezwał się diler wysokiej jakości prochów. Przysłuchiwał się rozmowie z przerwami mniej więcej od godziny, za każdym razem rzucając zdumiewająco celne uwagi na temat sytuacji politycznej w Ameryce Łacińskiej. Chris nie potrafił zdecydować, czy był to efekt bliskiego związku diler z korporacyjnymi klientami, czy wzorowy przykład znajomości łańcucha zaopatrzeniowego. Uznał, że nie byłoby mądrze pytać.

- Gwatemala to zupełnie inna sprawa - powiedział.

- A to czemu? - zapytał diler. - Z tego co słyszałem, ich indeksy są dość zbliżone do Echevarrii. Mniej więcej taka sama równowaga spłat. Identyczny budżet wojskowy. Takie same zmiany strukturalne.

- Ale nie taka sama trwałość rządu. Przez ostatnie dwadzieścia pięć lat mieli tam ponad tuzin różnych rządów i tuzin zmian reżimów, większość z udziałem przemocy. Armia Stanów wchodziła tam w tę i z powrotem, jak do kibla. Zamachy stanu to norma. Inwestorzy się ich tam spodziewają. Dlatego zarabiają tak olbrzymie pieniądze. I jasne, represje są elementem obrazu, ale to *skuteczne* represje. Masz rację. To zachęca do inwestycji.

James odchrząknął.

- Ale nie w Monitorowanej Północnoandyjskiej?

- Nie, Echevarria rządzi tam już bardzo długo. Ścisła kontrola nad wojskiem, sam jest jednym z nich. Inwestorzy spodziewają się tam stabilności, bo to właśnie dawał im od dziesięcioleci. Dlatego właśnie strzelanie do protestujących na schodach uniwersytetu nie jest dobrym posunięciem.

- Och, ale to byli *marquistas* - wtrąciła się Patricia. - Musiał to zrobić, żeby chronić ludzi.

- Trzydziestu ośmiu zabitych, ponad setka rannych - odpowiedział Chris. - Prawie wszyscy to studenci, z tego ponad połowa z rodzin klasy średniej. Nawet kilku stypendystów z Japonii. To bardzo szkodzi interesom.

- A więc teraz ty zajmujesz się dla Shorn kontem MGP? - Liz Linshaw oparła się o blat naprzeciw, trzymając skręta w palcach na wysokości twarzy i zakładając drugą rękę, by podtrzymać łokieć pierwszej. Spojrzał na nią i poczuł, jak jej obecność wykręca coś w jego wnętrznościach.

Widział ją już kilka razy, raz przechodząc schodami do ubikacji, raz przez pokój w salonie, gdzie na chwilowo opustoszałym parkiecie kiwała się w rytm salsy. Ubrana była w firmowo poplamione olejem jeansy, krwistoczerwony T-shirt i czarny żakiet z jedwabiu. Buntownicze blond włosy zebrane były w górę i upięte z boku w artystycznym nieładzie, opadając na ramię i częściowo zasłaniając twarz. Biła z niej tygrysia witalność, ożywienie, przy którym starannie wyeksponowane wdzięki panienek w rodzaju Patricii wydawały się plastikowe i tandetne.

Teraz odsunęła włosy z oczu i uśmiechnęła się do niego.

Odpowiedział tym samym.

- Wiesz, Liz, że nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

- Po prostu sprawiałeś wrażenie świetnie zorientowanego.

- Jestem zorientowany w wielu sprawach. Porozmawiajmy o Marsie.

Był to supermodny w tym sezonie cytat z Dexa i Seta, unieśmiertelniony w serii skeczy, w których Seth grał przymilnego dziennikarza telewizyjnego, a Dex amerykańskiego rekina korporacyjnego. Za każdym razem, gdy wywiad schodził na niepewne politycznie tematy, Dex zaczynał wydawać z siebie gniewne, amerykańskie odgłosy niezawierające żadnych konkretnych słów, a Seth reagował na to kuleniem się i *sugestią porozmawiajmy o Marsie*.

Słyszając ten tekst, miało się pewność, że w całej Europie setki tysięcy widzów odchyliło się od nielegalnie nastrojonych telewizorów, chwytając się za boki i płacząc ze śmiechu. Wiadomości z Marsa, poza faktem, że były absolutnie oderwane od wszelkiego kontekstu politycznego na Ziemi, były także niezmiennie nudne. Po prawie dwóch dekadach załogowych misji i eksploracji Marsa, wymieniające się załogi naukowców nie robiły niczego, co wzbudzałoby najmniejsze choćby zainteresowanie szerszej publiczności. Jasne, możliwe, że ludzie będą mogli tam mieszkać już za stulecie. Cholernie wielka rzecz. A na razie więcej czerwonych kamieni. *Więcej czerwonych kamieni* to kolejny numer Dexa i Seta, w którym komici ubrani w kombinezony próżniowe i hełmy podskakiwali w udawanym niskim ciężeniu i śpiewali teksty do melodii przebojów gigantów popularnej salsy, takich jak Javi Reyes czy Inez Zequina.

- *Nie* rozmawiajmy o Marsie - stanowczo powiedziała Liz, a wszyscy w kuchni

wybuchnęli śmiechem. Ona tymczasem nachyliła się przez oddzielającą ich przestrzeń i podała Chrisowi skręta.

Nagle zauważył, że ma szarozielone oczy.

Diler pociągnął nosem z profesjonalnym zainteresowaniem.

- To ten nowy towar z Maroka? - zapytał. - Hammersmith Hammer?

Liz rzuciła mu spojrzenie.

- Nie, prosto z Tajlandii.

- Znam człowieka?

- Bardzo wątpię.

Chris zaciągnął się, kaszląc lekko, i wypuścił dym prawie od razu. Nie był fanem takiego towaru. Poza kilkoma imprezami z Carłą u Mela nie palił od lat.

Liz Linshaw przyglądała mu się uważnie.

- Bardzo gładkie - wydyszał i spróbował oddać skręta. Odepchnęła go i wykorzystała ruch, żeby się zbliżyć. Dostatecznie blisko, by końcówki jej włosów przesunęły się po jego twarzy.

- Naprawdę chciałabym z tobą porozmawiać - powiedziała.

- Może być. - Zorientował się, że na usta wypływa mu głupi uśmiech, i stłumił go. - Ogród?

- Spotkam się tam z tobą. - Wycofała się, kiwnęła luźno głową w stronę Jamesa i handlarza, po czym wyszła z kuchni, zostawiając Chrisa ze skrętem. Patricia przyglądała się odchodzącej kobiecie z jadem, którego starczyłoby na całą miejską kanalizację.

- Kim jest ta kobieta? - zapytała.

- Koleżanką - rzucił Chris i niespiesznie poszedł w ślady Liz.

Albo ogród Troya był większy, niż się spodziewał, albo tajlandzka trawa już zaczęła działać. O tej porze było już całkiem ciemno, ale Troy zainstalował pół tuzina pochodni ogrodowych, wetkniętych w równych odstępach w długi jeżor dobrze utrzymanego trawnika. Ogród otoczony był mieszaniną drzew i krzaków, między którymi wyróżniały się karłowate palmy, a na końcu pokręcone gałęzie wznosił ku niebu sękaty dąb. Na jednej z dolnych gałęzi ktoś zawiesił prostą drewnianą huśtawkę na niebieskich sznurach z plastiku, błyszczących w chwiejnym świetle najbliższej pochodni. Liz Linshaw siedziała właśnie tam, z jedną nogą podciągniętą do ciała i opartą o linę, a drugą na ziemi, poruszając się leniwie w małych łukach. W jej dłoni dymił nowy skręt.

Chris znieruchomiał na chwilę i poczuł, że coś się z nim dzieje. Nie chodziło tylko o wiedzę, że ona na niego czeka. Coś wisiało w powietrzu, coś, co łapało lśnienie niebieskich splotów lin huśtawki, niedbałą elegancję ułożenia jej ciała, jak szkic origami seksapilu. Trawnik był dywanem pod jego stopami, a inni ludzie w ogrodzie - dopiero teraz ich zauważył - unisono, jak mu się zdawało, pochwalali jego marsz w stronę drzewa.

Skrzywił się i wyrzucił skręta. Podszedł do niej nieufnie.

- Proszę - powiedziała.

- Chciałaś ze mną porozmawiać. - Wyszło mu to ostrzej, niż planował.

- Tak. - Uśmiechnęła się do niego. - Chciałam z tobą porozmawiać od czasu Centrum Tebbita. A właściwie od kiedy pierwszy raz się spotkaliśmy.

Nagle poczuł się tak, jakby ziemia pod stopami przemokła i zmieniła się w grząskie

błoto.

- A to czemu?

Podniosła rękę.

- Jak myślisz?

- Och, Liz, szczerze mówiąc, myślałem, że ty i Mike...

- Och. - Wrócił krzywy uśmiezek. Pociągnęła skręta, a on znów spróbował zwalczyć uległe narkotykowi zmysły. - Powiedział ci o tym. Cóż, Chris, jak to ująć? Mike Bryant i ja nie mamy na siebie wyłączności.

Ziemia pod stopami najwyraźniej całkiem zniknęła.

- Prawdę mówiąc - powiedziała bardzo cicho - nie ma powodu, żebym nie mogła poprosić ciebie o to, co dawał mi Mike. Prawda?

Zagapił się na nią.

- Przepraszam?

- Wywiady - wyjaśniła i roześmiała się. - Twoje dotychczasowe życie, Chris. Moi wydawcy obiecują mi pół miliona zaliczki, jeśli napiszę kolejną książkę taką jak *Nowi wojownicy asfaltu*. To gwarantowany bestseller. A po Nakamurze i Kambodży jesteś człowiekiem dnia. Idealny punkt centralny książki.

Ziemia wróciła i walnęła go w pięty tak mocno, że prawie się zatoczył.

- Och. - Odwrócił wzrok od spojrzenia szarozielonych oczu. - Racja.

Wciąż się uśmiechała. Słyszał to w jej głosie.

- A co, myślałeś, że mówię o czymś innym?

- Nie, ja... Tak. Dobrze, tak, dobrze, może być.

Odepchnęła się stopą do tyłu, a potem podniosła nogę. Krawędź drewnianej huśtawki uderzyła go w przód uda. Jej ciało przesunęło się razem z huśtawką, przyciskając do niego.

- Chciałeś czegoś innego, Chris?

Rozciągnięte, natłuszczone ciała na ławce treningowej, głębokie jęki

Carla, dom, zastały gniew wypełniający puste pokoje

Jesteś dobrym facetem, Chris. Bryant, mamroczący półprzytomnie na hotelowym łóżku.

To ty. Jesteś. Cholernie dobrym facetem.

Przeleciało mu to przez głowę jak lawina, obrazy zwałające się jeden na drugi.

Biust Liz Linshaw wepchnięty w bluzkę z dekoltem

Carla, namydająca go pod prysznicem, z dłońmi wciąż brudnymi od pracy przy saabie

Mitsue Jones uwięziona we wraku swojego mitsubishi, próbująca się wyrwać

tu, w Shorn, cenimy stanowczość

jesteś cholernie dobrym facetem

chciałeś czegoś innego

- Chris!

Wołał Bryant. Chris zrobił nagle krok w tył, odrywając się od Liz Linshaw i huśtawki. Zobaczył jej twarz i to, jak się zmieniła. Potem odwrócił się do Mike'a sunącego przez ogród w ich stronę.

- Wszędzie cię szukałem, stary. Cześć, Liz. - Bryant nagle zmrużył oczy, jakby dodał do siebie ich obecność. - Co tu robicie?

- Rozmawiamy - odpowiedziała spokojnie Liz.

Chris pomyślał z wysiłkiem.

- Umowa na książkę. - Machnął w stronę Liz, jakby się od niej oganiał. - Ona mówi.

- Tak? - Bryant rzucił Liz nieprzyjazne spojrzenie. - Cóż, radziłbym, żebyś nie opowiadał jej nic zbyt realistycznego. Nie chciałbyś, żeby uznała cię za zwierzę.

Liz uśmiechnęła się do siebie, odwróciła się i wstała z huśtawki. Chris stłumił uczucia i skupił się na Bryancie.

- No to co się dzieje?

- Ach, nic wielkiego. Troy poprosił o przysługę. Liz, mogłabyś nas zostawić na chwilę?

- Już odchodzę, chłopcy. Już odchodzę.

Obaj przyglądali się, jak idzie przez ogród do domu. Mike odwrócił się i palcami wykonał gest strzelenia w twarz Chrisa. Nie uśmiechał się.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, Chris.

- Och, do cholery, Mike. Jestem żonaty. Ona po prostu chce kolejne pół miliona zaliczki od wydawcy.

- Nie liczyłem na to, że to wszystko.

- Mike, jestem żonaty.

- Tak, ja też. - Bryant potarł twarz. - Ale nie tak jak ty, co?

- To ty powiedziałeś, nie ja.

- Jasne. - Bryant uśmiechnął się smutno i zarzucił rękę na ramię kolegi. - Jesteś dobrym kumplem, Chris. Jesteś cholernie dobrym kumplem.

Chris stłumił gryzący go niepokój.

- Dobra. Co to za sprawa z Troyem?

* * *

Wszystko miało się rozegrać w strefie.

Mike zaoferował, że poprowadzi, choć Chris nie był przekonany, czy jest choć trochę trzeźwiejszy i mniej naćpany niż on. Wyszli na zewnątrz do samochodu razem z Troyem, który po raz pierwszy od kiedy Chris go znał, wydawał się zły i niepewny siebie.

- Pojechałbym z tobą Mike...

- Wiem, że byś to zrobił, stary. Ale nie możesz. - Mike wyciągnął korporacyjny plastik.

- Musisz zdać się na nas. Wiesz o tym.

Jamajczyk potrząsnął głową.

- Będę twoim dłużnikiem.

- Nic mi nie jesteś winien, Troy. Pamiętasz Camberwell?

- Tak.

- Właśnie. Jeśli o mnie chodzi, wciąż spłacam kredyt, dobra? A teraz daj Chrisowi kamerę.

Troy Morris przełknął ślinę i podał naramienną kamerę. Twarz miał ściągniętą frustracją i wściekłością. Chris przypomniał go sobie z *Falklanda*, z obrzynem opartym o ramię i szerokim śmiechem, emanujące z niego poczucie kompetencji. Była to bardzo drastyczna zmiana w stosunku do człowieka stojącego teraz przed nim. Chris poczuł ostre dźgnięcie współczucia. Znał to poczucie nagłej bezradności z czasów własnej młodości, wiedział, jak potrafi człowiekowi zlasować mózg i przeżyć na wylot tak, że nie dało się spać.

Wsiadł do samochodu i rzucił kamerę na tylne siedzenie.

- Wrócimy, zanim zauważysz, że nas nie ma - powiedział Mike, siadając za kierownicą. Silnik obudził się do życia z przytłumionym rykiem. Zaskoczył bieg i BMW wychynęło na ulicę.

- O co chodzi z tym Camberwell? - zapytał Chris, gdy zbliżyli się do świateł bramki.

- A, wtedy pierwszy raz spotkałem Troya. Jakieś dziesięć lat temu, jeszcze zanim dorobił się tego miejsca. Byłem w strefie, dość ostro się zaprawiłem i poszedłem do domu z niewłaściwą kobietą.

- Dla odmiany - rzucił cierpko Chris.

Mike zachichotał.

- Tak, ty pewnie nigdy nie ominiesz żadnej cętki na tygrysie, co?

- Lamparcie.

- Co? - Zatrzymali się przy punkcie kontrolnym. Wyglądający na zdenerwowanego dzieciak w mundurze strażnika wyszedł z posterunku i zajrzał do samochodu. Wydawał się spłoszony. Mike wychylił się i podał mu swój plastik.

- Lampart - powtórzył Chris, gdy czekali. - Tygrysy miały paski, nie plamki. To lamparty były cętkowane.

- Jesteś pewien?

- Tak, widziałem kiedyś w jakimś programie przyrodniczym. Potrafiły wspinać się na drzewa, jak koty.

- Co, tygrysy?

- Lamparty.

Młodemu strażnikowi udało się w końcu uruchomić zawieszony na biodrze czytnik i przesunął przez niego kartę Mike'a. Barierka się podniosła i pozwolono im wjechać.

- Przysięgam, że ci faceci robią się coraz młodszy za każdym razem, gdy wjeżdżam do strefy - stwierdził Chris. - No wiesz, czy to *naprawdę* dobry pomysł dawać automatyczną broń takim nastolatkom?

- Czemu nie? Robią to w wojsku.

Dojechali do pierwszych dziur. Mike objechał je od lewej. Domy wokół nich wyglądały na coraz bardziej zniszczone.

- A tak, Camberwell. To było, zanim poznałem Suki. Byłem wtedy dość napalony. I głupi. W miesiąc bez problemu zużywałem półtora puszki durexu. I prochy, ach, wiesz, jak to jest, kiedy ma się pieniądze. W każdym razie ta panienka nie okazała się wcale chętna, a może była, tylko po drodze zmieniła zdanie, nie wiem. Efekt był taki, że przed drzwiami jej mieszkania czekali trzej faceci. Zrzucili mnie ze schodów i zaczęli mi tańczyć po głowie. Troy mieszkał na dole, usłyszał hałas, wyszedł i ich pogonił.

- Wszystkich trzech?

- Tak, zgadza się. Troy jest cholernie twardy, o tak. A może tylko z nimi pogadał. Nie wiem, wtedy już odleciałem, straciłem przytomność. Ale tak, może po prostu przekonał ich, żeby tego nie robili. Widzisz, oni byli czarni, ja biały, Troy czarny. Może to miało jakieś znaczenie. A może nie. W każdym razie facet na pewno uratował mnie przed szpitalem, a może i wózkim. Jestem jego dłużnikiem na wieki i jeszcze trochę.

Resztę drogi przejechali w milczeniu. Zaparkowali przed rzędem trzypiętrowych domów i przez chwilę siedzieli w bezruchu. Mike wyciągnął kamerę z tylnego siedzenia i

położył ją na kolana Chrisa.

- Dobra. Teraz tylko chodź ze mną. Będiesz mnie ubezpieczał.

Wysiedli z samochodu, przeszli przez niezamkniętą bramę do ogródka i krótką dróżkę z rozpadającego się betonu. Drzwi zrobione były z taniego beżowego plastiku odpornego na uderzenia, pobrużdżonego i brzydkiego. Z panelu na wysokości piersi wpatrywała się w nich soczewka kamery Sony, umieszczona tuż obok mikrofonu i głośniczka. Instalacja wyglądała profesjonalnie. Mike dotknął palcem brzegu panelu.

- Widzisz? Jak mówił, gość idzie w górę.

Chris potrząsnął głową.

- Nie mogę uwierzyć... - wyszeptał.

- Uwierz. - Mike wcisnął dzwonek. - A teraz to włącz.

Chris znalazł wyłącznik na uchwycie kamery. Z jej przodu rozbłysł stożek jaskrawego światła, odbijając się od pobrużdżonego plastiku drzwi. Zastanawiał się, czy im się uda. Większość współczesnych, wysokiej klasy zestawów naramiennych potrafiła filmować cały zakres od podczerwieni do ultrafioletu bez żadnego dodatkowego oświetlenia.

Ruch za drzwiami. Chris umieścił kamerę na ramieniu i spróbował przybrać wygląd kamerzysty.

- Wiecie, do diabła, która jest godzina? - rozległ się kobiecy głos z głośnika. - Lepiej, żeby było to coś cholernie ważnego.

Mike nadał głosowi reporterskie brzmienie pełne entuzjazmu.

- Ach, pani Dixon? Tu Gavin Wallace z *Potężnych ludzi*. Czy zastaliśmy pani męża?

Cisza. Chris wyobraził sobie, jak kobieta przygląda się na ekranie domofonu stojącym na jej progu dwóm mężczyznom w drogich ubraniach. Głos miała pełen niedowierzania.

- Jesteście z telewizji?

- Tak, pani Dixon, jak już powiedziałem. Pani mąż został wybrany z...

Drugi głos, męski, dalej od mikrofonu. Głos kobiety przycichł, gdy odwróciła się od drzwi.

- Griff, to telewizja. *Potężni ludzie*.

Kolejna pauza, przerywana stłumionymi głosami. Ktoś osłonił mikrofon dłonią. Mike spojrzał na Chrisa, wzruszył ramionami i znów odezwał się medialnym głosem.

- Panie Dixon, jeśli pan tam jest. Nie mamy za dużo czasu. Helikopter wystartował już z Blackfriars, a musimy wszystko przygotować, zanim przyleci. Mamy bardzo napięty harmonogram.

To był właściwy sznurek. Połowa popularności *Potężnych ludzi* brała się z karkołomnego tempa, w jakim toczył się program od chwili, gdy nazwisko zostało wyłonione przez studyjny komputer. W programie pokazywano sporo zdjęć powietrznych z helikopterów pędzących nad wieżowcami, z ekipami wyszukiwawczymi gnającymi przez strefy w poszukiwaniu zawodników...

Drzwi otworzyły się na szerokość solidnego łańcucha zabezpieczającego; W szczelinie pojawiła się szcuple błada twarz, mrugając w świetle reflektora kamery. Rozcięcie na skroni pokrywał cienki pasek sztuczności.

- Pan Dixon. Dobrze. - Mike pochylił się w ukłonie. - Gavin Wallace. *Potężni ludzie*. Miło mi. Och. To cięcie wygląda paskudnie. Będzie to musiała zobaczyć wizażystka. Prawdę

mówiąc, przykro mi to mówić, ale nie bardzo mogę...

To był przebłysk geniuszu. Wiadomo było, że ekipy selekcyjne *Potężnych ludzi* potrafiły odrzucić ludzi z powodów tak trywialnych, jak niedawna operacja dentystryczna. Drzwi się przymknęły i łańcuch odskoczył. Griff Dixon stanął przed nimi w całej swojej nocnej okazałości.

- To tylko draśnięcie - powiedział. - Naprawdę. Nic mi nie będzie. Jestem w formie do walki.

Chris pomyślał, że nie było to właściwe określenie. Dixon był nagi do pasa, eksponując silnie umięśniony tors nad jeansami z rzeczywistymi plamami. Włosy miał ogolone na centymetr wokół całej głowy, na nogach nosił ciężkie czarne buty, a w dłoniach ścisnął zmięty biały T-shirt, który wyglądał, jakby właśnie go ściągnął.

- Cóż - życzliwie powiedział Mike. - Jeśli jest pan pewien...

- Nic mi nie jest. Proszę, niech panowie wejdą dobrze?

- No cóż, dobrze. - Mike odstawił popis z wycieraniem butów na wycieraczce i wszedł do nagiego korytarza, uśmiechając się niczym prezenter telewizyjny. - Witam, pani Dixon.

Za umięśnionym Dixonem stała szczupła kobieta o wyglądzie zmęczonej, opierając mu dłoń na ramieniu. Zmrużyła oczy w świetle kamery i poprawiła odruchowo sięgające ramię kasztanowe włosy.

- To mój kolega, Christopher Mitchell. Przepraszam, czy moglibyśmy to sfilmować w salonie?

- Tak, tak, oczywiście. - Gotowość Dixona była prawie żałosna. - Jazz, zrób herbaty. Czy może woła panowie kawę?

Bryant się obejrzał.

- Christopher?

- Och, tak. - Chris przetrwał pytanie. - Kawę. Białą bez cukru.

- A dla mnie czarną - dorzucił Mike. - Z jedną kostką. Dziękuję.

Kobieta zniknęła dalej w korytarzu, podczas gdy Dixon przepuścił ich przodem i zamknął za nimi drzwi. W podnieceniu zapomniał o łańcuchu. Przeszli w lewo do małego salonu zdominowanego przez ustawiony pod ścianą olbrzymi zestaw rozrywkowy Audi. System nie wyglądał na starszy od zabezpieczeń przy drzwiach.

- Ach, w tym rogu, jak sądzę - powiedział Mike, kiwając na Chrisa. - Usiądę tutaj, a ty, Griff, mogę tak do ciebie mówić, prawda, ty usiądź tutaj.

Dixon opuścił się na skraj fotela. Na twarzy wpatrzony w Bryanta pojawiło się coś boleśnie wrażliwego.

- Musi się pan ubrać - łagodnie przypomniał Mike.

- Co?

- T-shirt?

- Och. Och, nie, on... jest brudny. - Jeszcze mocniej ścisnął trzymany w dłoniach kawałek materiału. - Pracowałem przy motorze. Pójdę i wezmę inny.

- No dobrze. - Bryant uniósł dłoń w geście powstrzymania. - Może za chwilę. Ale naprawdę musimy przejść przez te pytania. Hmmm. Ma pan dziecko, prawda?

- Tak. - Dixon uśmiechnął się, uszczęśliwiony. - Joe. Ma trzy lata. - I jest... - Mike machnął w stronę sufitu. - Na górze. Śpi, jak przypuszczam.

- No, tak.
- Dobrze, dobrze. W porządku, teraz oficjalne pytania. - Bryant sięgnął do kieszeni marynarki. - Gdzie to mamy, ach, tak.

Nemex.

Nawet dla Chrisa przejście było niemal jak wstrząs elektryczny. Mike w jednym ruchu przekształcił się z promieniującego uśmiechem i ociekającego słodyczą dziennikarza w człowieka z wycelowaną bronią.

Dla Dixona wyraźnie przekraczało to granice pojmowania.

- Co... - potrząsnął głową z uśmiechem wciąż przyklepionym do warg. - Co pan robi?

- Chris. - Mike się nie obejrzał. - Zamknij drzwi.

Dixon wciąż jeszcze nie rozumiał.

- Czy to część...

- Pokaż nam koszulkę.

- Co...

- *Pokaż mi cholernego T-shirta, gnoju!*

- Mike?

- Odpręż się, Chris. Wszystko jest pod kontrolą. Kiedy Jazz wróci, po prostu jej tu nie wpuszczaj. Nie przyszliśmy tu po nią.

Dixon się poruszył.

- Słuchajcie...

- Nie, to ty posłuchaj. - Bryant zrobił krok do przodu i wycelował z góry w twarz Dixona. - Rzuć koszulkę na podłogę. Już.

- Nie.

- Nie zamierzam cię prosić po raz kolejny. Pokaż mi ten cholerny T-shirt.

- Nie. - Przypominało to rozmowę z upartym dzieckiem.

Bryant poruszał się szybciej niż inni ludzie. Nagle znalazł się przy fotelu Dixona. Nemex błysnął w zamachu i Dixon rzucił się do tyłu, trzymając dłońmi głowę. Koszulka spadła na wytarty dywan, a Bryant podniósł ją lewą ręką. Przez palce Dixona przeciekła krew.

- Nie jesteś w telewizji, Griff. - Mike wrócił do tonu konwersacyjnego. Przykucnął do poziomu Dixona. - Nie musisz się wstydzić. Strzepnął koszulkę i rozłożył ją na podłodze przodem do góry. Była czysta i świeżo wyprasowana, z czarnymi literami na białej bawełnie.

WALKA OBRONNA JEDYNEGO NARODU ARYJSKIEGO

Słowa wydrukowano poziomo, jedno pod drugim z pierwszymi literami obrysowanymi na czerwono, na wypadek gdyby ktoś nie zrozumiał przekazu.

Otworzyły się drzwi i do pokoju weszła Jazz, wciąż przygięta od wysiłku, jakiego wymagało naciśnięcie klamki bez odstawiania trzymanej w dłoniach tacy.

- Przyniosłam trochę...

Odwracając się, zobaczyła Griffa skurczonego i krwawiącego w fotelu oraz pistolet w dłoni Mike'a Bryanta. Puściła tacę i wrzasnęła. Kawa rozprysnęła się na boki, zalewając podłogę. Tania zastawa rozpadła się i rozsypała wraz z jeszcze czymś. Ciastkami, jak zauważył Chris. Jazz przyniosła ciastka.

- Cicho bądź - wrzasnął Bryant. - Obudzisz Joego.

Na dźwięk imienia dziecka Dixon się obudził. Oderwał ręce od twarzy. Przez krótkie

włosy wyraźnie widać było szramę, jaką wyrwała w skórze jego głowy muszka nemeksa, a ściekająca krew zalewała mu jedno oko.

- Słuchaj mnie, skurwysynu. Kimkolwiek jesteś, znam odpowiednich ludzi. Dotkniesz kogoś z nas, a ja...

- Ty *nic* nie zrobisz, Griff. Będziesz siedział na dupie, krwawił i słuchał mnie. Jazz, *stul pysk*. Chris, na miłość boską, posadź ją czy coś.

Chris chwycił kobietę i zmusił ją, by usiadła na sofie. Trzęsła się i wydawała z siebie wysoki dźwięk, który mógł zawierać w sobie słowa *moje dziecko*.

- Znam ludzi, którzy...

- Znasz ludzi *od polityki*, Griff. - Chris uświadomił sobie, że w głosie Mike'a przerażała jego energia. Brzmiał jak pełen entuzjazmu trener nakręcający boksera, który za słabo się stara. - Polityczne śmieci. Spójrz na ten pistolet, Griff. Poznajesz go?

Dopiero wtedy Chris zobaczył pojawiający się na twarzy Dixona strach. Po raz pierwszy od kiedy weszli do domu, Griff Dixon się bał.

- Tak jest. - Bryant też to zobaczył. Uśmiechnął się. - Nemezis dziesięć. Wiesz, jacy ludzie jako jedyni mają dostęp do tych zabawek, prawda, Griff? Na to masz dość powiązań. To pistolet korporacyjny. A tam skąd pochodzi, politycy znaczą mniej niż wiadro płynnego gówna.

Lament Jazz zmienił tonację.

- Pierwsze pytanie do ciebie, Griff. - Przez twarz Mike'a Bryanta przebiegł dreszcz. Był to jedyny objaw trawiącej go furii. - Co powoduje, że przedstawiciel białej rasy rządzącej wsadza fiuta w czarną kobietę?

Dixon drgnął jak uderzony. Lament jego żony zmienił się nagle w coś między szlochem a wyciem.

- Nie zrozumiałeś pytania? Może chcesz zadzwonić do przyjaciela? Zapytam jeszcze raz: *Co powoduje, że przedstawiciel białej rasy rządzącej wsadza fiuta w czarną kobietę?* Zwłaszcza, Griff, kiedy ta czarna kobieta wrzeszczy, broni się i błaga, żebyś tego nie robił?

Pokój wypełniła cisza przerywana jedynie łkaniem żony Dixona. Bryant znów przykucnął. Mocno zacisnął wargi. Wypuścił powietrze.

- Dobra, Griff. Zrobimy tak. Nie skrzywdzę twojej żony ani dziecka, bo w końcu to nie ich wina, że jesteś kupą gówna. Ale przestrzele ci kolana i jaja.

Jazz wybuchła wrzaskiem. Próbowwała podnieść się z sofy i sięgnąć do męża. Chris pchnął ją z powrotem. Bryant wstał.

- A potem oślepię cię na jedno oko. Nic z tego nie odpuszczę. Chcę, żebyś to zrozumiał. Razem ze swoimi kolesiami wybraliście niewłaściwą czarną dziewczynę.

Dixon z wrzaskiem zerwał się z fotela. Na ułamek sekundy sięgnął Mike'a pięściami. Potem pokojem wstrząsnął huk nemeksa i Dixon zwinął się na podłogę, z krwią zalewającą krocze jeansów. Wydany przez niego dźwięk nie brzmiał jak z ludzkiego gardła.

Mike Bryant podniósł się, krwawiąc z ust. Opanował oddech, a potem bardzo starannie wycelował w lewe kolano Dixona i pociągnął za spust. Biały supremata musiał zemdleć, bo skowyt ustał. Bryant wytarł usta i wycelował w drugą nogę. Do tego czasu Jazz zrezygnowała z walki z Chrisem i trzymała się go, jakby mógł uratować ją przed utonięciem. Jej łyzy paliły mu kark. Zasłonił dłońmi jej uszy, zanim Mike pociągnął za spust po raz trzeci.

W śmierzdzącej kordytem ciszy przyglądał się, jak Bryant chowa nemeksa, wyciąga pióro w stalowej oprawce, nachyla się nad głową Dixona, odciąga powiekę i ostro dźga odsłonięte oko. Wydawało się, że wszystko to dzieje się bardzo powoli i bez żadnych dźwięków. Na koniec jego wzrok w jakiś sposób oddryfował i skupił się na zgrabnych liniach zestawu rozrywkowego.

- Chris. - Bryant się nad nim nachylał.

- Co? Tak, tak.

Wspólnym wysiłkiem oderwali Jazz od Chrisa. Bryant przed nią przykucnął i chwycił jej szczękę jedną dłonią. W drugiej wysunął plik złożonych banknotów.

- Dobrze, teraz mnie posłuchaj. Te pieniądze są dla ciebie. Proszę. Proszę, weź je. No weź je, na miłość boską. - W końcu musiał siłą otworzyć jej dłoń i samemu zacisnąć palce na banknotach. - Jeśli chcesz, żeby żył, lepiej szybko wezwij dla niego pomoc. Nie obchodzi mnie, czy przeżyje, czy zginie, ale jeśli przeżyje, powiedz mu. Jeśli on albo ktokolwiek inny dotknie kogoś o nazwisku Morris lub Kidd, wrócę tu po drugie oko i zabiję twojego syna.

Jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Bryant wziął jej dłoń i znów wcisnął w nią pieniądze.

- Powiedz mu to i upewnij się, że rozumie, jak poważnie to traktuję. Nie chcę tu wracać, Jazz. Nie chcę tego robić. Ale zrobię to, jeśli twój głupi rasistowski mąż i jego koledzy mnie do tego zmuszą.

* * *

W samochodzie Bryant położył dłonie na środku kierownicy przed sobą i przycisnął plecy do wyściełanego fotela. Opróżnił płuca w jednym długim wydechu. A potem tylko patrzył w szybę. Wydawało się, że na coś czeka. W niektórych oknach widać było zapalone światła, ale albo nikt nie usłyszał strzałów, albo nikt nie był zainteresowany odkryciem, co oznaczały.

- Mówiłeś poważnie? - zapytał Chris.

- O oku? - Bryant pokiwał głową. Ledwie było go słyszeć. - Och tak. Tacy ludzie muszą mieć coś do stracenia. W innym wypadku nic na nich nie masz.

- Nie, jego syn. Mówiłeś poważnie o jego synu?

Mike spojrzał na niego wkurzony.

- Jezu Chryste, oczywiście, że nie. Cholera, Chris, za kogo ty mnie bierzesz?

Przez chwilę milczał. Przez nocną ciszę przebił się bardzo cichy dźwięk syren. Bryant spojrzał na zegarek i mruknął.

- Szybko. Musiała zadzwonić po drogich.

Włączył silnik. Światła BMW przecięły mrok kiepsko oświetlonej ulicy.

- Zbierajmy się stąd, co? Mamy jeszcze sporo roboty.

* * *

Znalezienie pozostałych dwóch mężczyzn zajęło im resztę nocy. Obaj byli młodzi, żaden nie miał rodziny, a była piątkowa noc w strefie. Informacje Troya Morrisa dały im punkt zaczepienia, ale dalej musieli ciężko pracować. Chris sprawdzał ulice, numery domów i nazwiska na małych tabliczkach. Przebili się przez pomyłony adres, słabo oświetlone palarnie, podziemne kluby z obiecującymi nazwami w rodzaju *Żelazny krzyż* czy *Zagrożony gatunek*, burdele, budki z fast-foodem, a nawet lokalny garnizon policji przy rzece. Wszędzie, gdzie poszli, Mike Bryant wymachiwał nemeksiem albo grubymi plikami gotówki, z niemal

wymiennym skutkiem. Pieniądze sprawdzały się znacznie częściej od broni. Otwierały właściwe usta i odpowiednie drzwi.

Pierwszego mężczyznę znaleźli przy budce z hot-dogami, chwiejącego się od nadmiaru alkoholu. Nie wiedział, że go szukają. Nikt nie zwracał sobie głowy, żeby go ostrzec. Zwolennicy supremacji białych nie trzymali się blisko, a zresztą działające telefony nie były w strefie czymś szczególnie powszechnym. Linie naziemne zniszczyły gangi wandali, a zasięg komórek przypominał kiepski żart na skutek przetaczających się nieustannie fal rządowych zagłuszaczy, skierowanych przeciw programom satelitarnym w rodzaju Dexa i Setha. Transport kołowy też praktycznie nie istniał. Ludzie nie wędrowali wiele, a wiadomości jeszcze mniej.

Bryant oparł się o budkę, kupił chłopakowi hamburgera i przyglądał się, jak je. Potem powiedział mu, czemu tu jest. Tamten się zerwał i próbował uciekać. Pobiegli za nim. W połowie bocznej ulicy znaleźli go wymiotującego bułką Mike'a i resztą wieczornych posiłków. Mike strzelił do niego z nemeksa cztery razy w żołądek i krocze, a potem pochylił się, by obejrzyć rany w słabym świetle. Kiedy upewnił się, że chłopak wykrwawi się na śmierć, zostawili go w spokoju.

Drugiego faszystę musieli wyciągnąć z cudzego łóżka w mieszkaniu na piętnastym piętrze, śmierdzącym wilgocią i trutką na szczury. Leżąca obok kobieta nawet się nie obudziła. Kiedy dociągnęli go do salonu, mamrotał coś niespójnie pod wpływem wciągniętych prochów i snu. Wzięli go pod ramiona i przebili nim okno balkonu. Na zewnątrz, na usłanym odłamkami szkła tarasie, świt znaczył z wolna noc szarością a w drzewach poniżej budziły się już ptaki. Żaden z nich nie był pewien, czy mężczyzna nie żyje. Stanęli nad ciałem, uważając, by nie pokaleczyć się szkłem, podnieśli go i przerzucili przez barierkę. W chwili uderzenia ciała o beton w dole gwałtownie ustał śpiew ptaków. W kuchni Mike zostawił pieniądze za rozbite okno.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Słońce złapało ich, gdy opuszczali strefę gdzieś na południe od London Bridge. Ulice pełne były już pieszych w drodze do pracy i gdy podjeżdżali do bramki, Mike musiał wielokrotnie trąbić, żeby przegonić ich z drogi. W kolejkach do przejść stało po kilkaset osób, chwiejne węże ludzkie prowadzące do kołowrotowych bramek. Nawet do przejścia ulicznego ustawiła się kolejka składająca się z trzech rdzewiejących autobusów wyglądających, jakby pochodziły z poprzedniego stulecia. Jeden z nich wypuszczał z rury wydechowej kłęby oleistego dymu. Za bramką, błyskając nad niskimi budynkami uprzywilejowanych domów na South Bank, złote światło słońca uderzało i rozlewało się po szklanych drapaczach chmur po drugiej stronie rzeki.

- Jezu, spójrz na to - rzucił zde gustowany Bryant. - Kontrola emisji. Tu mi wyrośnie. Zobacz na ten syf wylatujący z autobusu.

- Tak, i jest nabity. Chwilę tu postojmy.

Co okazało się prawdą. Uzbrojeni strażnicy kazali wysiąść pasażerom z autobusu, ustawiając ich w rzędach. Pierwszy szereg przyjął już właściwą pozycję - prawa dłoń na karku, przepustka wyciągnięta w lewej. Jeden ze strażników szedł wzdłuż szeregu, sprawdzając karty po jednej i przesuwał je przez skaner. Co druga karta wymagała powtórnej kontroli.

- Nie wiem, czemu sobie tym zawracają głowę. - Chris ziewnął tak potężnie, że coś przeskoczyło mu w żuchwie. - Już od ładnych paru lat nie zdarzył się w Londynie akt terroru.

- Tak, i właśnie masz przed sobą powód tego braku. Nie psuj tego, stary. - Bryant postukał palcami w kierownicę. - Z drugiej strony, to faktycznie potrwa wieczność. Chcesz jakieś śniadanie?

Wskazał palcem za siebie. Chris obrócił się na fotelu. Kilka frontów dalej na ulicy, którą przyjechali, wisiał ponury szyld z napisem *Cafe*. Do środka wchodziłi ludzie, a po chwili pojawiali się w drzwiach z papierowymi paczkami i kolorowymi puszkami.

- Tam?

- Jasne. Tanie i paskudne, mnóstwo tłuszczu. Dokładnie tego nam trzeba.

- Mów za siebie. - Chrisowi wciąż robiło się trochę niedobrze, gdy pomyślał o tym, co Mike zrobił z okiem Griffa Dixona. - Chyba ograniczę się do kawy.

- Jak chcesz. - Bryant wrzucił wsteczny bieg i ruszył tyłem do kawiarni. Silnik jęczał niepotrzebnymi obrotami, a piesi pospiesznie odskakiwali z drogi. Dojechawszy pod lokal, Bryant skręcił na chodnik i zaparkował wóz pod zawadiackim kątem. Uśmiechnął się szeroko.

- Człowieku, lubię parkować w tej części miasta.

Wyszli z samochodu, witani wrogimi spojrzeniami. Bryant uśmiechnął się ponuro i włączył alarm auta za pomocą trzymanego na widoku pilota. Ktoś za Chrisem wychrypiął coś niewyraźnie i splunął. Wciąż niespokojny po wydarzeniach nocy Chris odwrócił się w jego stronę. Flegma błyszczała żółcią obok jego stopy. Nie tego potrzebował.

Przeskanował twarze stojących wokół osób. W większości odwracali wzrok, ale jeden czarnoskóry młodzieniec nie ruszył się i odpowiedział spojrzeniem.

- Masz mi coś do powiedzenia? - zapytał Chris.

Mężczyzna się nie odezwał, ale też nie spuścił wzroku. Jego biały kolega położył mu rękę na ramieniu. Bryant obszedł samochód, ziewając i przeciągając się.

- Problem?

- Nie ma problemu - powiedział biały, odciągając kolegę.

- To dobrze, i lepiej już idźcie. - Bryant wskazał kciukiem w górę ulicy. - Czeka was piekielna kolejka. Idziesz, Chris?

Pchnął drzwi do kawiarni. Przepisnęli się do stolików na tyłach obok ludzi stojących przy ladzie, gdzie serwowano jedzenie na wynos. Nie było tam nikogo oprócz jednego ubranego na czarno staruszka siedzącego samotnie i wpatrującego się w kubek herbaty.

- Może być. - Mike opadł na krzesło i zaczął dłońmi wybijać rytm na blacie stolika. - Umieram z głodu.

Na gładkiej powierzchni stołu świecącym fioletowym markerem wypisano menu. Chris spojrzął na nie i obejrzał się nerwowo, czując na karku spojrzenia ludzi z kolejki. Znał to jedzenie. Jadał w takich miejscach, gdy był nastolatkiem, i wciąż zdarzało mu się to okazjonalnie po nocy u mechaników z Carla i innymi z Autonapraw Mela. Podobnie jak programy satelitarne w najlepszym czasie antenowym składało się z mocno doprawionej mieszaniny niskiej jakości wypełniaczy posypanej agresywnie reklamowanymi witaminami i minerałami. Kiełbaski zawierały około trzydziestu procent mięsa, a bekon nabrzmiewał wstrzykniętą wodą. Cieszył się, że nie ma apetytu. Przy stoliku pojawiła się kelnerka.

- Słucham?

- Kawa - powiedział Chris. - Biała. I szklanka wody.

- A dla mnie duży zestaw śniadaniowy - powiedział wylewnie Mike. - Dajcie do niego jaja?

- To k-jajka - ponuro wyjaśniła kelnerka.

- Racja. W takim razie poproszę, och, sześć. I mnóstwo tostów. I dla mnie też kawa. Czarna.

Kelnerka odwróciła się i odmaszerowała. Mike przyglądał się, jak odchodzi.

- Przyjaźnie tu.

- Wiedzą kim jesteśmy - wzruszył ramionami Chris.

- Tak. Co oznacza potężny napiwek, jeśli zdołają wydusić z siebie odrobinę zwykłej uprzejmości. Cholernie krótkowzroczne nastawienie, gdyby mnie ktoś pytał.

- Mike. - Chris nachylił się nad stołem. - Czego się spodziewasz? Ubranie, które masz na sobie, jest warte więcej, niż ta dziewczyna zarabia w ciągu roku. Jej mieszkanie jest pewnie mniejsze od mojego biura: wilgotne ściany, cieknąca kanalizacja i brak zabezpieczeń, a dwie trzecie jej pensji idzie na opłacenie czynszu.

- Och, i to *moja* wina?

- Tu nie chodzi o...

- Słuchaj, nie jestem jej cholerną mamuszką. Nie urodziłem jej w strefie tylko po to, żeby dostać zasiłek. A jeśli jej się tu nie podoba, może się stąd wydostać, dokładnie jak wszyscy inni.

Chris popatrzył na przyjaciela z nagłą antypatią.

- Jasne.

- Zgadza się. Słuchaj, Troy został poczęty i urodził się w strefie, i z niej wyszedł. James za sześć tygodni ląduje w college'u i może jeszcze zarabiać więcej forsy niż my obaj. Więc nie mów mi, że tego się nie da zrobić.

- A co z kuzynką Troya? Tą która została zgwałcona dwie noce temu przez Dixona i jego kumpli. Czemu jej się nie udało?

- A skąd mam, do kuźwy nędzy, wiedzieć? - Gniew Bryanta wygasł równie szybko, jak się pojawił. - Słuchaj, mówię tylko, Chris, że niektórzy z nas mają to, czego potrzeba. Inni nie. No wiesz, to nie jest jakiś niskobudżetowy afrykański horror zamiast narodu. Nie musisz żyć w strefie z powodu *plemienia*, do którego należysz. Nikogo tu nie obchodzi, jakiego jesteś koloru, wyznania czy rasy. Wszystko czego potrzeba, to zarobić forszę.

- W okolicy Dixona zwracają chyba uwagę na kolor skóry.

- Tak, ale to pieprzona *polityka*, Chris. Jakieś drobne gnidy z rządowej bandy, szukające sposobu na zdobycie bazy politycznej. To nie ma nic wspólnego z tym, jak działa prawdziwy świat.

- Nie takie wrażenie odniosłem, obserwując Nicka Makina.

- Makina?

- Tak, słyszałeś go na tamtym spotkaniu. To pieprzony rasista, i dlatego nie potrafi się porozumieć z Echevarrią.

- Tak, cóż. - Mike sposepniał. - Może u Makina to ma jakieś znaczenie.

Przyniesiono kawę. Nie była wcale tak zła, jak Chris się spodziewał. Bryant wypił swoją i poprosił o następną filiżankę.

- Będzie jakieś dochodzenie? - zainteresował się Chris.

- Nie, nie spodziewałbym się.

- Dorwali cię za tych zbirów przy *Falklandzie*?

- Tak, ale to zupełnie inna historia. Aktywiści praw obywatelskich na plecach pogrążonych w żałobie członków rodzin, mój mały Jason był dobrym chłopcem, kradł samochody tylko z powodu złego wpływu otoczenia, bla bla bla. Tego rodzaju bzdety. Z Dixonom to zupełnie inna sprawa. Tu jest program. Polityczni przyjaciele Dixona stoją na skrzydle antyglobalistycznym. Brytania dla Brytyjczyków, wyrzucić imigrantów, pieprzyć wielokulturowość i zniszczyć konspirę międzynarodowych korporacji. W tej chwili ostatnie, czego im trzeba, to ujawnienie ich machlojek. Uciszą sprawę.

- Ale policja strefy...

- Wykupią ich. Zapłacą jakiemuś gliniarzowi, żeby wyciągnął pociski z podłogi Dixona i ulicy tego gnoja, którego zniszczyliśmy, i dowiedzą się, że pochodziły z nemeksa. - Bryant wyszczerzył zęby w uśmiechu. - To powinno im dać do myślenia.

Chris zmarszczył brwi.

- Czy to nie będzie dla nich dodatkowym kapitałem politycznym? Duże złe korporacje zrywają się z uwięzi. Będą to dość aż do krwi.

- Och tak, na poziomie lokalnym, oczywiście. Bez wątpienia ogłoszą Dixona cholernym męczennikiem. Jeśli przeżyje, mogą mu wręczyć wózek na zebraniu lokalnych nazistów, a jeśli zginie, tak samo wykorzystają wdowę po nim. Ale nie odważą się zaatakować publicznie Shorn. Wiedzą, co byśmy z nimi zrobili.

- A Dixon?

Mike znów się uśmiechnął.

- Cóż, powiedziałbym, że Dixon przez najbliższe pół roku będzie zajęty nauką chodzenia. A jeśli mu się to uda, ma jeszcze rodzinę i drugie oko do stracenia, zanim zrobi coś głupiego. I wiesz co? Jakoś nie sądzę, żeby ci od praw obywatelskich stanęli po jego stronie. Nie ten typ człowieka.

Kelnerka przyniosła na tacy śniadanie Mike'a i zajęła się ustawianiem go. Kiedy pracowała, Mike porwał k-jajo z tacy i wrzucił sobie do ust. Zaczął je żuć energicznie.

- Idziesz dzisiaj to pracy? - zapytał z pełnymi ustami.

Chris pomyślał o domu, zimnym pod nieobecność Carli lub jeszcze gorzej, z jej milczącą obecnością. Kiwnął głową.

- Dobrze. - Mike przełknął k-jajko, kiwnął w podzięcie odchodzącej kelnerce i wziął w dłonie nóż i widelec. - Słuchaj, zadzwoń do Joaquina Lopeza. Powiedz mu, żeby złapał samolot do MGP i zaczął sprawdzać nazwiska na tej liście. Jeśli to możliwe, jeszcze dziś. Pokryjemy koszty.

Chris poczuł coś we wnętrzościach, coś, co niezbyt się różniło od uczucia, którego doświadczył dzień wcześniej podczas rozmowy z Liz Linshaw. Przez chwilę trzymał kubek w dłoniach i wpatrywał się w jedzącego Mike'a.

- Myślisz, że będziemy musieli to zrobić? - zapytał w końcu.

- Co zrobić?

- Usunąć Echevarrię z równania.

- Cóż. - Bryant polował na jajko na talerzu i po chwili udało mu się je nadziać na widelec. - Wierz mi, bardzo bym chciał. Ale w tym przypadku, wiesz, jak jest. Zmiana reżimu to najgorszy możliwy przypadek. Pójdziemy na to tylko, jeśli będzie absolutnie nieuniknione.

Machnął widelcem w stronę Chrisa.

- Po prostu niech Lopez zajmie się tą sprawą. Daj nazwiska Makinowi i upewnij się, że na spotkanie w przyszłym tygodniu będzie gotowa jasna strategia.

- Chcesz, żebym ja to zrobił?

Bryant potrząsnął głową, żując. Przełknął.

- Nie, ty się trzymaj od tego z daleka. Chcę mieć wyraźny rozdział między aktualnymi negocjacjami i tym, co ty będziesz musiał zrobić. Echevarria nie wie o tobie i nie zna twoich kontaktów. W tej chwili nie ma śladu. Lepiej niech tak zostanie.

- Jasne.

- Stary, nie bądź taki rozczarowany - uśmiechnął się Bryant. - Robię ci przysługę. Mówię ci, za każdym razem gdy podaję rękę tej gnidzie, mam wrażenie, że muszę się zdezynfekować. Zbrodniczy stary pierdziel.

Odczekali jeszcze pół godziny, aż kolejki wygasną, a potem zapłacili i wyszli. Pomimo narzekania Bryant zostawił napiwek prawie równy cenie posiłku. Na zewnątrz ziewnęła, przeciągnęła się i wykręciła się twarzą do słońca. Sprawiał wrażenie, że nie spieszy się do samochodu.

- Jedziemy do pracy? - zapytał Chris.

- Tak, za chwilę. - Mike znów ziewnęła. - Prawdę mówiąc, nie mam na to wielkiej ochoty. W taki dzień powinienem się bawić z Arianą. I z Suki, skoro już o tym mowa. Chryste, wiesz, nie pieprzyliśmy się prawie od dwóch tygodni.

- Mów mi jeszcze.
Bryant przekrzywił głowę.
- Carla robi ci problemy?
- Tylko przez cały czas. - Chris zastanowił się nad odruchowym kłamstwem. - No, ostatnio mniej. Wiesz, oboje się staramy. Nie widzimy się często.
- Jasne. Trzeba na to uważać. Jak przyjdzie koniec kwartału, powinieneś wziąć trochę wolnego i wylecieć z wyspy na tydzień.
- Wyobrażasz sobie, że Hewitt by się pod tym podpisała?
- Będzie musiała, Chris. Twój profil Kambodży przekształca się w najlepszy kontrakt roku. Przed końcem grudnia Shorn wisi nam długi urlop. Hej, kto wie, może my z Suki urwiemy się razem z wami. Byłoby fajnie, co?
- Jasne, fajnie.
- No, nie bądź taki cholernie rozentuzjasmowany.
Chris się roześmiał.
- Przepraszam, jestem wykończony.
- Tak, pora wrzucić bieg. - Bryant wyłączył alarm BMW i otworzył drzwi kierowcy. - Im szybciej się stąd zabierzemy, tym szybciej będziemy mogli odżyć i udawać, że mamy życie.

Bez problemu przejechali przez bramkę, skręcili na podjazd do mostu i przyspieszyli, pokonując rzekę. Po obu stronach drogi światło słońca zmieniło wodę w żywy brąz. Chris zwalczył falę zmęczenia i obiecał sobie, że zamówi coś na wynos z *U Louie Louie*, jak tylko dotrą do wieży Shorn.

- Dobrze będzie dostać trochę prawdziwej kawy - wymamrotał.
- Ta kawa nie była zła.
- Ach, daj spokój. Była mniej więcej tak samo prawdziwa jak jajka. Mówię o czymś z *rodowodem*. Nie o pieprzonych ziarnach Cudowne Malsanto. Coś, co możesz poczuć.
- Pieprzony narkoman.

Obaj roześmiali się równocześnie. BMW wypełniło się ich śmiechem, zjeżdżając z mostu i sunąc w złoto-lustrzanych kanionach po drugiej stronie rzeki. Chrisowi, przymulonemu brakiem snu, wydarzeniami i prochami z poprzedniego wieczora, dało to poczucie bezpieczeństwa, którego nie potrafił określić słowami.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Mike wysadził go przed *U Louie Louie*, a sam z machnięciem ręki skierował się do podziemnego garażu. Chris wypił przy barze pełne espresso, a potem zamówił jeszcze jedną kawę na wynos, do biura. W soboty w Shorn zazwyczaj było spokojnie i po drodze praktycznie nikogo nie spotkał. Nawet ochrona składała się z ludzi znanych mu zbyt słabo, żeby choć kiwnąć im głową.

Tak wyglądał cały dzień. Poza terminalem nie miał z kim rozmawiać. Makin się nie pokazał, co oznaczało napięty harmonogram, gdy będą próbowali w poniedziałek zebrać do kupy pakiet MGR Zirytowy Chris i tak zadzwonił do Joaquina Lopeza i powiedział mu, czego chce. Lopez przynajmniej był chętny do współpracy, ale w Ameryce panował wczesny ranek i Chris wyciągnął go z łóżka, więc rozmowa się nie kleiła. Agent potwierdził burkliwie przyjęcie poleceń, możliwe czasy wylotu i rozłączył się.

Chris zadzwonił do Carli u Mela i odkrył, że wzięła dzień wolny. Sprawdził telefon komórkowy, ale nie było na nim żadnych wiadomości. Zadzwonił do domu i usłyszał jej głos z automatycznej sekretarki informujący, że poleciała do Tromso spotkać się z matką. Prawdopodobnie zostanie u niej na tydzień. Dla wyczulonego ucha Chrisa brzmiało to, jakby płakała. W ataku wspomaganej kofeiną furii rzucił telefonem przez biuro. Zadzwonił do Mike'a, który rozmawiał na drugiej linii. Podniósł telefon, opanował się i wrócił do pracy z terminalem.

O piątej po południu miał dość. Praca była niczym bezkresna płaszczyzna, rozciągająca się we wszystkie strony aż po horyzont. Kambodża, Assam, Tarim Pendi, ziemie Kurdów, Gruzja, MGP, Parana, Nigeria, Stany Jezior Wiktorii, Sri Lanka, Timor - w każdym z tych miejsc ludzie byli gotowi zabijać się z takiego czy innego powodu, albo już się za to zabrali. Roboty papierkowej miał na wiele tygodni. Trzeba biec, żeby tylko nie zostać z tyłu.

Zadzwonił telefon na biurku. Trzasnął w klawisz odbioru.

- Faulkner.

- Wciąż tu jesteś?

Chris parsknął.

- A ty co? Dzwonisz z wyspy?

- Daj mi trochę czasu. Słuchaj, wieża na B9. Zobacz sobie. Myślę, że cię dorwałem, draniu.

Chris zerknął na stolik szachowy.

- Chwileczkę.

- Jasne. - Słyszał radość w głosie Bryanta.

To był dobry ruch. Chris przez chwilę studiował szachownicę, przesunął figurę i poczuł, jak drobny fragment odrywa się od jego serca i spada we wnętrzości. Wrócił do biurka.

- Całkiem nieźle - przyznał. - Ale nie sądzę, żeby to był koniec. Oddzwonię.

- Zrób to. Hej, słuchaj, może wpadlibyście do nas z Carlą dziś wieczór? Dzwoniłem do Suki i mówi, że właśnie kupiła ten nowy film Isabeli Tribu. Ten, który wygrał wszystkie nagrody, o dziewczynie marines w Gwatemali.

- Carla wyjechała. - Spróbował to powiedzieć swobodnie, ale i tak go to zabolalo. -

Poleciała do rodziny w Norwegii.

- Och. Nie wspominałeś...

- Nie, zdecydowała się dość szybko. To znaczy, rozmawialiśmy o tym... - Chris urwał nagle, niepewny, czemu poczuł potrzebę usprawiedliwiania się przed Bryantem. - W każdym razie, nie ma jej.

- Tak. - Krótka pauza. - Cóż, słuchaj Chris, może w takim razie sam do nas wpadniesz? Wiesz, jeśli mam oglądać jakiś pieprzony wyciskacz łez, to wolałbym tego nie robić sam.

Myśl o ucieczce przed ciszą czekającą na niego w domu w ciepło i zgiełk rodziny Mike'a była jak obraz świateł wioski w śnieżnej burzy. Odebrał to jak oszukiwanie Carli. Odebrał to jak ratunek. Z drugiej strony, biorąc pod uwagę furię ostatniego starcia na pięści z własną żoną, nie był pewien, czy potrafiłby znieść sacharynową perfekcję Suki Bryant, miss hostess 2049.

- Och, dzięki. Pomyślę o tym.

- To chyba lepsze, niż wracać do pustego domu, stary.

- Tak, ja... - Telefon zabrzączał. - Chwileczkę, mam coś na drugiej linii. Może to Lopez z lotniska.

- Oddzwon. - Mike się rozłączył.

- Tu Chris Faulkner.

- Proszę, *tu* Liz Linshaw. - W sposobie, w jaki to powiedziała, usłyszał wyraźną kpinę, lekkie rozbawienie, które przypominało mu coś, czego nie potrafił do końca zdefiniować. Zabrakło mu słów.

- Liz. Co, och, co mogę dla ciebie zrobić?

- Dobrze pytanie. Co *możesz* dla mnie zrobić?

Spadły na niego ostatnie dwadzieścia cztery godziny. Nagle znalazł się na granicy furii.

- Liz, właśnie zamierzam się stąd wynieść i nie jestem w nastroju na zabawy. Więc jeśli chcesz ze mną porozmawiać...

- Doskonale. Może postawię ci dzisiaj kolację?

W jego umyśle pojawiło się pół tuzina powodów, dla których nie powinna tego robić. Zepchnął je na skraj percepcji.

- Chcesz mi postawić kolację?

- Sądzę, że przynajmniej tyle mogę zrobić, jeśli będziesz współpracował przy mojej książce. Słuchaj, może spotkamy się na mieście za jakąś godzinę? Znasz lokal *Zmiana reżimu*?

- Tak. - Nigdy nie był w środku. Nie pomyślałby o tym nikt pracujący w Inwestycjach Konfliktowych. Za bardzo w złym guście.

- Będę tam około szóstej trzydzieści. Bar boliwijski, na górze. Zbieraj apetyt.

Rozłączyła się.

Zadzwoił do Mike'a i wymówił się z zaproszenia. Było to trudniejsze, niż się spodziewał - słyszał rozczerwanie w głosie przyjaciela, a oferta wieczoru z Bryantami niosła w sobie teraz dodatkowe nuty wygodnego bezpieczeństwa w porównaniu z...

- Słuchaj, Mike, będę z tobą szczerzy. Potrzebuję trochę czasu dla siebie.

Krótką cisza w słuchawce.

- Masz jakieś problemy, Chris?

- To... - Zamknął oczy i palcami mocno docisnął powieki. - Niezbyt dobrze nam się w tej chwili układa z Carla.

- Oooo, cholera.

- Nie, to... Nie sędzę, żeby to było aż tak poważne, Mike. Po prostu, nie spodziewałem się, że tak się urwie. Muszę pomyśleć.

- Cóż, gdybyś potrzebował porozmawiać...

- Jasne. Dzięki. Będę pamiętał.

- Tylko nie przejmuj się za bardzo, co?

- Dobra. Będę pamiętał. Pogadamy w poniedziałek.

Przez chwilę krążył bez celu po biurze, podnosząc różne przedmioty i odkładając je. Przystudiował ruch Mike'a i spróbował bez przekonania kilku różnych odpowiedzi. Podeszedł do okna i zapatrzył się na światła *U Louie Louie* pięćdziesiąt pięter niżej. Próbował nie myśleć o Carli. Próbował, z jeszcze gorszym skutkiem, nie myśleć o Liz Linshaw.

W końcu wyłączył światło w biurze i poszedł na dół usiąść w samochodzie. Ograniczona przestrzeń, oświetlone instrumenty, surowa prostota kierownicy i dźwigni skrzyni biegów były znacznie bardziej do zniesienia niż życie na zewnątrz. Gdy zabezpieczenia Saaby z brzękiem przesunęły się i zaskoczyły, poczuł, że zaczyna się odprężać. Zatopił się w fotelu, opuścił dłonie na dźwignię zmiany biegów i obrócił głowę na zagłówek.

- No dobrze - powiedział do siebie.

Garaż był prawie całkowicie opuszczony. BMW Mike'a zniknęło, było teraz bez wątplenia w drodze do Suki i Ariany. Pośród wymalowanych jaskrawożółtą farbą miejsc parkingowych stało kilka innych BMW, a w kącie partnerów Audi Hewitt. Chris pomyślał nagle, jak rzadko widywał partnerkę wykonawczą od czasu przejścia Kambodży. Oczywiście, spotykali się zwyczajowo na kwartalnych przyjęciach, na odprawach zespołu i dostał od niej parę maili z gratulacjami, takich samych, jakie wysłała do Bryanta i Makina. Poza tym jednak Hewitt ignorowała go, o ile to możliwe w jednej pracy.

Przez chwilę zabawiał się myślą odczekania za kierownicą aż Hewitt zejdzie do garażu. Pomyślał, że staranuje ją samochodem i wydusi z niej życie zderzakiem. Rozsmaruje ją po powierzchni parkingu, tak jak Edwarda Quaina...

Strząsnął to z siebie.

Czas jechać. Włączył silnik, wtoczył Saabę w górę rampy i wyjechał na ulicę. Podążył niespiesznie na zachód. Nie było praktycznie żadnego ruchu, *Zmiana reżimu* leżała o pięć minut drogi, a korporacyjny identyfikator wyświetlany holograficznie na przedniej szybie pozwalał mu parkować w dowolnym miejscu.

Zostawił Saabę w bocznej uliczce wypełnionej biurami konsultantów wizerunku i agencjami pośrednictwa danych. Gdy uaktywnił alarm samochodu i zaczął się od niego oddalać, poczuł rosnący we krwi poziom adrenaliny. W ciepłym powietrzu dryfował ku niemu szum londyńskiego sobotniego wieczoru, z ulicami wypełnionymi się z wolna ludźmi, rozmowami i śmiechem przecinanym okazjonalnym klaksonem taksówki próbującej przebić się przez tłumy pieszych. Wsunął się między nich i przyspieszył kroku.

Zmiana reżimu była ostatnim budynkiem na ulicy zakręcającej pod ostrym kątem, jak częściowo otwarty scyzoryk. Po obu stronach na chodnik wydostawała się muzyka i gwar z

rozsuniętych, sięgających sufitu szklanych paneli na poziomie ziemi i szeroko otwartych okien na piętrze. Przed drzwiami stała niewielka kolejka, ale doświadczony bramkarz rzucił okiem na ubranie Chrisa i od razu zaprosił go do wnętrza. Wywołało to chór protestów, które szybko ucichły, gdy Chris się obejrzał. Rzucił bramkarzowi dychę i wszedł do środka.

Bar na parterze był pełen stojących i siedzących ludzi, a wszyscy krzyczeli do siebie przez pulsacje remiksu Zequiny. Przez tłum przemykała kelnerka ubrana w coś, co zapewne miało być pornograficzną wersją garnituru dyrektora IK. Chris położył jej rękę na ramieniu i postarał się, by go usłyszała.

- Bar boliwijski?

- Drugie piętro - odkrzyknęła. - Przez pokój iracki i na lewo.

- Dzięki.

Skrzywiona twarz.

- Co?

- *Dzięki.*

To wywołało dziwne spojrzenie. W kilku susach pokonał schody, znalazł pokój iracki - jęklive wschodnie rytmy, duży ekran przedstawiający widok z powietrza na płonące szyby naftowe, jak czarno-purpurowe pustynne kwiaty, fajki wodne na stołach - i minął go. Po lewej zobaczył potężny holograficzny portret Che Guevary. Prychnął i przeszedł pod nim. Znalazł się we względnej ciszy, wypełnionej melancholijnymi dźwiękami andyjskich fletów i hiszpańskiej gitary. Ludzie siedzieli na wielkich skórzanych poduchach i sofach z wyłażącym wypełnieniem. Na stołach stały świece, a faktura ścian imitowała płótno namiotowe.

Liz Linshaw siedziała przy niskim stoliku w jednym z rogów, najwyraźniej czytając złączony niebieską zszywką cienki plik kartek. Miała na sobie wariant kostiumu telewizyjnego - czarne spodnie i czarną jedwabną koszulę w szare pasy, zapiętą na jeden guzik na wysokości piersi. Kołnierzyk koszuli był podniesiony, ale dolny rąbek bluzki unosił się dobre pięć centymetrów nad paskiem spodni. Szczelinę wypełniało opalone, sprężyste ciało, tworząc długie trójkąty nad i pod pojedynczym zapiętym guzikiem.

Albo nie zauważyła, że podchodzi, albo świadomie pozwoliła mu się zbliżyć. Zatrzymał się przy stoliku, z wysiłkiem odchrząknął i opadł na poduchę naprzeciw niej.

- Cześć, Liz.

- Chris. - Podniosła wzrok, najwyraźniej zaskoczona. - Jesteś wcześniej, niż się spodziewałam. Dzięki, że przyszedłeś.

Odłożyła czytane dokumenty i wyciągnęła szczupłe ramię nad stołem. Jej uścisk był suchy i pewny.

- To... - Chris rozejrzał się wokół. - Miłe miejsce. Często tu przychodzisz?

Roześmiała się. Śmiech był niepokojąco pociągający, ciepły i z głębi gardła, a Chris po raz kolejny doznał niepokojącego wrażenia, jakie zjawiało się podczas ich rozmowy telefonicznej.

- Przychodzę tu, gdy nie chcę się natknąć na nikogo z sektora Inwestycji Konfliktowych, Chris. Tu jest bezpiecznie. Żaden z was za nic by tu nie przyszedł.

- To prawda - skrzywił się Chris.

- Nie bądź taki nadęty. To wcale nie jest zły lokal. Widziałeś kelnerki?

- Tak, natknąłem się na jedną na dole.

- Dekoracyjne, nieprawdaz?

- Bardzo. - Chris odruchowo rozejrzał się wokół. W rogu pokoju wyginał się długi bar. Stała za nim miesząca drinki kobieta.

- Czego się napijesz? - zapytała go Liz Linshaw.

- Zamówię.

- Nie, nalegam. W końcu pozwalasz mi się do siebie zbliżyć, Chris. Przynajmniej tyle mogę zrobić, a na dodatek odliczę to sobie od podatku. - Uśmiechnęła się. - Wiesz, koszty badawcze. Fundusz reprezentacyjny.

- Wygląda to na niezły sposób na życie.

- Whisky, prawda? Laphroaig?

Kiwnął głową, ujęty tym, że pamiętała.

- Jeśli ją mają. - Liz Linshaw przycisnęła dłoń do blatu stołu. Pod jej dłonią pojawiło się menu. Przesunęła je w dół, a potem z żalem potrząsnęła głową. - Nie ma Laphroaig. Różne burbony i ach, co powiesz na Port Ellen. To Islay Malt, prawda?

- Tak, jedna z nowych. - Wrażenie, że mu pochlebia, nieco przygasło. Zaczął się zastanawiać, czy przeprowadziła wywiad na jego temat. - Gorzelnię otwarto na nowo w latach trzydziestych. To dobry towar.

- OK, spróbuję.

Wystukała zamówienie i przesunęła nad nim dłonią. Kobieta za barem spojrzała w dół z twarzą oświetloną na czerwono przez błyskającą lampkę na konsoli. Zerknęła w ich stronę i kiwnęła głową.

- A więc, Chris. - Liz Linshaw rozsiadła się wygodniej i uśmiechnęła się do niego. - Gdzie nauczyłeś się cenić drogą whisky?

- Czy to część wywiadu?

- Nie, tylko rozgrzewka. Ale ciekawi mnie to. Dorastałeś w strefie, prawda? East End, nad rzeką. Trudno tam znaleźć słodowe Whiski z Islay.

- Tak, tego tam nie ma.

- Nie boli cię rozmowa na ten temat, Chris?

- Ty też jesteś dziewczyną ze strefy, Liz. Jak myślisz?

Pojawiły się ich drinki, jej z lodem. Liz Linshaw odczekała, aż kelnerka odejdzie, potem podniosła swoją szklaneczkę i popatrzyła w nią w zamyśleniu. Zamieszała drinkiem, stukając kostkami lodu.

- Moje pochodzenie ze stref jest, jak by to powiedzieć, bajeczką. Przesadzoną dla zwiększenia wrażenia egzotyki. Prawda jest taka, że dorastałam na obrzeżach Islington, w czasach gdy granice nie były tak sztywne, jak teraz. Moi rodzice byli - nadal są - odnoszącymi umiarkowane sukcesy nauczycielami, a ja poszłam na uniwersytet. W mojej przeszłości nie ma bolesnych doświadczeń.

Chris uniósł szklaneczkę.

- Masz szczęście.

- Tak, to niezłe podsumowanie. Tobie się tak nie powiodło.

- Nie.

- A jednak mając dziewiętnaście lat, zostałeś kierowcą Ross Mobile Arbitrage. Byłeś ich najlepiej opłacanym pracownikiem transportowym, do czasu aż przeniosłeś się do LS

Euro Ventures. Dwa lata później Hammett McColl, ściągnięty przez łowcę głów. Żadnych kwalifikacji, nawet kursu dla kierowców. Jak na kogoś pochodzącego ze strefy to nie tylko niezwykle, to prawie niemożliwe.

Chris machnął ręką.

- Jeśli dostatecznie mocno się czegoś pragnie...

- Nie, Chris. W strefach pełno jest ludzi, którzy dostatecznie mocno chcą się wydostać. Szanse są ustawione tak, żeby nie dopuścić do tego rodzaju ruchów, i wiesz o tym.

- Znam innych, którym udało się coś takiego. - Poczul się dziwnie, że znalazł się nagle po drugiej stronie sporu z Mikiem Bryantem z tego ranka. - Taki na przykład Troy Morris.

- Dobrze znasz Troya?

- Och, właściwie nie. To bardziej kumpel Mike'a niż mój.

- Rozumiem. - Liz Linshaw uniosła drinka w jego stronę. - Cóż, w każdym razie twoje zdrowie. Za inwestycje konfliktowe i wojny lokalne.

- Za wojny lokalne. - Ale w jej ustach brzmiało to odrobinę niepokojąco. Nie podobał mu się sposób, w jaki to zabrzmiało.

Odstawiła szklaneczkę. Obok niej mikrorejestrator.

- No dobrze. Jakie to uczucie być wschodzącą gwiazdą IK Shorn?

* * *

Wywiad spłynął gładko jak Port Ellen. Liz Linshaw zadawała pytania w sposób swobodny i życzliwy, który zupełnie nie pasował do jej osobowości ekranowej, i Chris stwierdził, że mówi do niej jak do starego przyjaciela niewidzianego od lat. Kiedy trafiali na temat, którego nie chciał podejmować, wycofywała się albo formułowała pytanie inaczej, żeby odpowiedź nie budziła w nim oporu. Dużo się śmiali i raz czy dwa złapał się na tym, że ma chęć powiedzieć coś, czego nie powinien omawiać z nikim spoza Shorn.

O dziewiątej wieczorem dotarli do Edwarda Quaina, a on wypił zdecydowanie za dużo, by bezpiecznie prowadzić saaba.

- Nie lubię go. - W jej głosie nie było pytania.

- Quaina? Czemu tak myślisz?

- Twoja forma.

Roześmiał się, obruszając się nieco.

- A co ja jestem, pieprzony koń wyścigowy?

Odpowiedziała uśmiechem.

- Jeśli chcesz. Słuchaj, masz na kacie w sumie jedenaście trupów, łącznie z Mitsue Jones i jej skrzydłowym, plus kierowca Acropolitic w tym samym biegu. Wcześniej osiem. Trzy w LS Euro, dwa przetargi i jeden pojedynek awansów i stanowisk. Potem przejście do HM i ni stąd ni zowąd załatwiasz Quaina.

- To był najprostszy sposób, żeby wspiąć się w górę.

- To był skok pod sufit, Chris. Quain był na absolutnym szczycie dozwolonego dla ciebie zakresu wyzwania. Najstarszy pracownik bez statusu partnera. Na tym poziomie w niektórych firmach byłby zwolniony z pojedyneków.

- Tak, albo wykopany na bruk. - Chris osuszył porcję whisky. - Chcesz poznać prawdę, Liz? Quain był wypalonym starym pierdołą. Nic nie zarabiał, za dużo pił, brał za dużo drogiej koki, pieprzył wszystkie kosztowne kurwy w Camden Town i płacił za to pieniędzmi

zabranymi z premii generowanych przez młodszych analityków, zarabiających jedną dziesiątą tego, co on. Stanowił kłopot dla wszystkich w Hammett McColl, i trzeba go było sprzątnąć.

- Bardzo szlachetne z twojej strony. Ale pewnie w hierarchii HM były cele łatwiejsze od niego.

Chris wzruszył ramionami.

- Jeśli masz zabić człowieka, równie dobrze może to być patriarcha.

- Natomiast ciekawią mnie pojedynki po Quainie. Jeszcze cztery zabójstwa, z których żadne nie było nawet w części tak brutalne jak Quaina i...

- Murcheson spalił się na śmierć - zauważył Chris. Nie dodał, że krzyki do tej pory prześladowały go w koszmarach.

- Tak. Murcheson ugrzązł we wraku. To nie miało żadnego związku z tobą.

- To nie do końca prawda. Sam zamieniłem jego samochód w ten wrak.

- Przez Quaina przejechałeś pięć razy, Chris. Widziałam zdjęcia...

- A ty co, Liz? Fanka X?

Znów krzywy uśmieszek.

- Gdyby tak było, nie byłabym zadowolona z twojego zachowania przez następne osiem lat. Jak powiedziałam, cztery zabójstwa, wszystkie czyste, jeśli nie liczyć Murchesona, który spalił się przypadkiem. A poza tym jeszcze siedem rozstrzygniętych niejednoznacznie, w tym jeden taki, w którym wręcz uratowałeś konkurentkę z wraku i zawiozłeś do szpitala. To raczej nie mogło ci przynieść honorowej wzmianki na żadnej z eXtremalnych stron.

- Przykro mi, że cię rozczarowałem.

- Spokojnie, Chris. Nie powiedziałam, że jestem iksiarą. Ale takie rzeczy mają znaczenie, kiedy próbujesz stworzyć profil. Chciałam wiedzieć, z czego jesteś zrobiony.

Spojrzał jej w oczy. Patrzył. Trwało to znacznie dłużej, niż powinno. Odchrząknął.

- Muszę już wracać.

Uniosła brwi.

- Zamierzasz prowadzić?

- Ja? - Wstał za szybko. - Nie, może nie. Wezmę taksówkę.

- To będzie cię kosztować majątek, Chris.

- Trudno. Zarabiam majątek. Nie jak w pieprzonym wojsku. Dobrze mi płacą za mordowanie ludzi.

Wstała i położyła dłoń na jego ramieniu.

- Mam lepszy pomysł.

- Tak? - Nagle uświadomił sobie szybkość swojego pulsu. - Jaki mianowicie?

- Mieszkam w Highgate. To *tani* kurs taksówką, i leży tam wolny futon z twoim nazwiskiem.

- Słuchaj, Liz...

Nagle się uśmiechnęła.

- Nie pochlebiaj sobie, Faulkner. Nie zamierzam zedrzeć z ciebie ubrania i wepchnąć sobie twojego fiuta do gardła, jeśli tym właśnie się martwisz. Wolę, żeby mężczyźni, z którymi się pieprzę, byli trzeźwi.

Roześmiał się wbrew sobie.

- Hej, Liz, powiedz mi to wprost. Nie owijaj w bawełnę.

- To jak? - Ona też się śmiała. - Bierzemy tę taksówkę?

Zamówili taksówkę z menu na stole, tak samo jak drinki. Tak wczesnym wieczorem znaleźli ją bez trudu. Liz uregulowała rachunek i wyszli. W pokoju irackim trwały gorączkowe tańce w bezmyślnych rytmach śmieciowych kapel z początku wieku, w rodzaju *Szczytna sprawa* i *Bushin*. Przecisnęli się przez gąszcz ciał, dotarli do schodów i wyszli na zewnątrz, wciąż się śmiejąc.

Taksówka już czekała, błyszcząc czernią w późnowieczornym świetle jak należąca do nich zabawka. Chris uciął, a śmiech zamarł mu w gardle. Zerknął z ukosa na Liz Linshaw i zauważył, że jej wesołość znikła w taki sam sposób. Nie potrafił odczytać wyrazu twarzy, który ją zastąpił. Przez chwilę oboje stali w miejscu, wpatrując się w taksówkę jak idioci, i nagle w Chrisa uderzyło zrozumienie, jak pocisk z nemeksa w tył głowy. Sardoniczne rozbawienie przez telefon, irytująco znajome tony głębokiego śmiechu. Spadło na niego wrażenie, że zna tę kobietę.

Przypominała mu Carłę.

Carłę, kiedy się poznali. Carłę trzy lub cztery lata temu. Carłę z czasów, zanim zaczęli się od siebie oddalać.

Nagle zaczął się pocić.

Co, do kur...

To był pot strachu, wzbudzający dreszcz przetaczający się przez całe ciało. Uczucie, które zostawił za sobą dekadę temu, we wczesnych pojedynkach. Czyste, egzystencjalne przerażenie, wydestylowane do takiego poziomu, że nie dało się go przypisać do żadnej konkretnej rzeczy. Strach przed śmiercią, przed życiem, przed wszystkim, co pomiędzy, i tym, co mogło zrobić z człowiekiem. Przerażenie nieuniknioną utratą kontroli.

- Ej, wsiadacie czy nie?

Kierowca wychylał się z okna, wskazując palcem w stronę otwartych drzwi za plecami. Mała lampka w środku oświetlała kanapę w zielonym pluszu.

Liz Linshaw stała, przyglądając mu się z nieprzeniknioną twarzą.

Pot wystygł.

Wsiadł.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Na zachodzie, pod granatowymi chmurami, ponuro sterczały szczyty gór. Słabe promienie późnopołudniowego słońca przebijały się w nieregularnych odstępach ku ziemi, rozsiewając plamy ciepła. Carla zadygotała. Nie było jeszcze ciemno - tak daleko na północ dzień będzie trwał jeszcze przez miesiąc, ale zarys gór Lofoten i tak przypominał wieże miasta trolli.

- Zimno? - Kirsti Nyquist zerknęła na nią z miejsca za kierownicą jeepa. Jej zdolność wychwytywania nastrojów i uczuć córki czasem ocierała się o magię. - Jeśli chcesz, możemy zamknąćabinę.

Carla potrząsnęła głową.

- Nic mi nie jest. Po prostu myślę.

- W takim razie nie są to szczęśliwe myśli.

Droga rozwijała się przed nimi, świeżo wyrzeźbiona w ponurej ziemi i pokryta asfaltem tak nowym, że wyglądał jak lukrecja. Nie było jeszcze na nim żółtych odblaskowych znaczników i co chwila mijały surowe białe ściany z wgłębieniami po ładunkach wybuchowych. Pojawił się znak *Placówka oceanograficzna Gjerlow - 15 kilometrów*. Carla westchnęła i poprawiła się na fotelu. Kirsti prowadziła duże terenowe volvo z ostrożnością która dla przywykłych do Londynu instynktów Carli wydawała się wręcz niedorzeczna. W ciągu ostatniej godziny widziały pięć innych samochodów, z czego trzy zaparkowane przy stacji benzynowej.

- Tunel - ostrzegła życzliwie jej matka. - Rękawice.

Carla posłusznie sięgnęła po rękawiczki. To był drugi tunel po drodze. Za pierwszym razem zignorowała ostrzeżenie matki. Były niecałe dwieście kilometrów za kołem polarnym i od kiedy dwa dni temu wysiadła z samolotu w Tromso, pogoda jej dopisywała, jednak tunele nie były przyjemne. Głęboko w korzeniach gór arktyczny mróz atakował płuca i palce, zanim przejechało się sto metrów.

Kirsti włączyła reflektory i wjechały w żółte światło sodowych lamp. Ich oddechy zamarzały i umykały nad ramionami.

- Teraz ci zimno, co?

- Troszkę. Mamo, naprawdę musiałyśmy jechać taki szmat drogi?

- Tak. Powiedziałam ci, to jedyna możliwość, żeby się z nim spotkać.

- Nie mogłaś go zaprosić do Tromso?

Kirsti przybrała cierpki wyraz twarzy.

- Już nie.

Carla spróbowała się nie roześmiać. Kirsti Nyquist była już dobrze po pięćdziesiątce, ale zachowała uderzającą urodę i zmieniała kochanków z brutalną regularnością. *Oni po prostu nie rosną wraz ze mną*, powiedziała kiedyś córce. *Może dlatego, że mogliby być twoimi synami*, odpowiedziała Carla trochę niesprawiedliwie. Matka często wybierała młodych mężczyzn, ale zazwyczaj nie byli od niej młodszy więcej niż o dziesięciolecie, a sama Carla musiała przyznać, że większość kandydatów w zakresie powyżej pięćdziesiątki nie prezentowała się zbyt zachęcająco.

Tunel miał sześć kilometrów długości. Wyjechały, szczękając zębami, i Kirsti krzyknęła z ulgą gdy wyłoniły się na światło słońca po drugiej stronie. Carla odebrała wzrost temperatury jak przeskok do tropików. Miała wrażenie, że mróz dociera aż do kości. Spróbowała go z siebie strząsnąć.

Weź się, cholera, w garść, Carla.

Już tęskniła za Chrisem, do czego przyznała się sobie tylko dlatego, że tak żałośnie czuła się przy radosnej samowystarczalności matki. Gniew na niego, który wypędził ją z domu, wyparował już w chwili startu samolotu, i do czasu gdy dotarła do Tromsø, został jej tylko kłiwoty potok słów nad alkoholem o dystansie i stracie.

Z powodu żalów, jakie wylała przed matką w noc przylotu, Kirsti wyłowiła możliwość znaczącego działania. Carla zastanawiała się luźno, czego wymaga zachowanie tego rodzaju zdolności operacyjnych - urodzenia dziecka, napisania książki, zerwania związku? Co jest niezbędnym warunkiem?

- Tam jest. - Kirsti wskazała do przodu i Carla zauważyła, że droga opada do niewielkiego, płytkiego fiordu. Po drugiej stronie stały porozrzucane na niewielkim obszarze budynki instytutu, błyszcząc w przypadkowych promieniach słońca. Wyglądało na to, że droga dochodzi do samego końca wąskiej zatoki, a potem dociera do stacji monitorującej.

- To też jest nowe?

- Przeniesione. Do zeszłego roku mieli bazę w Faroese.

- Czemu? - Carla zaraz sobie przypomniała. - Ach, ta sprawa z BNR?

- Tak, twoi kochani Brytyjczycy i ich odpady atomowe. Gjerlow uważa, że skażyło to lokalne wody na przynajmniej sześćdziesiąt lat. Nie ma sensu zbierać odczytów. Żaden z testów, jakie robią, nie wytrzyma promieniowania.

Nie po raz pierwszy Carla poczuła wzbierającą w sobie chęć obrony na wspomnienie przybranej ojczyzny.

- Słyszałam, że to tylko płyn chłodniczy. Nie dość, żeby spowodować poważne szkody.

- Moja droga, za długo żyłaś w Londynie, jeśli wierzysz w to, co mówią brytyjskie media. Tam gdzie sprawa dotyczy zanieczyszczeń radioaktywnych, nie istnieje coś takiego jak *tylko*. To była olbrzymia katastrofa i wie o tym każdy, kto ma dostęp do niezależnych informacji.

Carla się zaczerwieniła.

- Mamy dostęp do niezależnych kanałów.

- Chris potrafi obejść zagłuszanie? - Matka wyglądała na zainteresowaną. - Nie wiedziałam, że da się to zrobić.

- Nie, jest zwolniony. Ma licencję. Z powodu pracy.

- Och, rozumiem. - W głosie Kirsti zabrzmiała wystudiowana uprzejmość, która nie do końca ukrywała niesmak. Carla znów się zaczerwieniła, tym razem mocniej. Nie powiedziała nic więcej do chwili, gdy koła volvo zachrzęściły na żwirze parkingu przy stacji monitorującej. Potem, siedząc na krześle w samochodzie, wymamrotała:

- Nie jestem pewna, czy to taki dobry pomysł.

- Był dobry, gdy wpadliśmy na to w piątek wieczorem - powiedziała matka ze współczuciem. - I nadal tak jest. Jeden z moich najlepszych. No, chodź.

Dzięki uniwersyteckiemu identyfikatorowi Kirsti bez trudu pokonały frontowe drzwi, a

szybkie przeszukanie lokacyjnej bazy danych budynku w recepcji powiedziało im, że Truls Vasvik znajduje się na najwyższym piętrze. Weszły schodami, Kirsti prowadziła o kilka stopni. *Dobrze robi na pośladki*, rzuciła przez ramię w odpowiedzi na wydyszane żądanie, by zwolniła. *Tylko pięć pięter. No chodź!*

Znalazły Vasvika w kafejce dla pracowników. Carla pomyślała, że jest w typie Kirsti - chudy i z długimi kończynami, emanujący samowystarczalnością jakby po świeżo wstrzykniętym lekarstwie. Miał na sobie sweter z wycięciem pod szyją, płócienne spodnie robocze, buty trekkingowe i ciężki czarny płaszcz, którego nie zdjął nawet w budynku. Ubranie zwiślało niechlujnie ze szczupłej sylwetki, siwiejące czarne włosy były długie i w nieładzie. Vasvik wyglądał, jakby niedawno przekroczył czterdziestkę. Gdy się zbliżyły, wstał i wyciągnął kościstą dłoń.

- Cześć, Kirsti.

- Cześć, Truls. To moja córka, Carla. Carla, Truls Vasvik. Dobrze znów cię widzieć.

Vasvik burknął.

- Widziałeś już Gjerlowa?

- Godzinę temu.

- Och, przepraszam. Nie zdawałam sobie sprawy...

- Może usiądźmy. Jeśli chcecie, to jest tu automat z kawą.

- Tobie też przynieść?

Vasvik wskazał na stojący przed nim kubek i potrząsnął głową. Kirsti ruszyła w stronę rzędu samoobsługowych automatów po drugiej stronie kafeterii, zostawiając Carlę przy stoliku. Dziewczyna uśmiechnęła się nieśmiało do Vasvika i usiadła.

- A więc znasz moją matkę od dawna.

Wbił w nią spojrzenie.

- Dostatecznie długo.

- Ja, och, doceniam, że znalazłeś czas, żeby się z nami spotkać.

- I tak musiałem tu zajrzeć. To nie był problem.

- Tak, hm. Jak to wygląda? To znaczy, możesz o tym mówić?

Wzruszenie ramion.

- Właściwie nie jest to tajne, przynajmniej tutaj. Potrzebuję trochę informacji na wypadek, gdybyśmy to rzeczywiście szykowali. Gjerlow twierdzi, że je ma.

- To coś związanego z Brytyjczykami?

- Nie tym razem. Teraz to Francuzi. - Na jego twarzy pojawił się ślad zainteresowania. - Czyli ty tam mieszkasz?

- Gdzie, w Anglii? Tak. Mieszkam tam.

- Nie przeszkadza ci to?

Zagryzła wargę. Kirsti wróciła z kubkami kawy i wyratowała oboje z gwałtownie psującej się rozmowy.

- A więc - odezwała się pogodnie. - Co takiego knujecie?

- Jeszcze nie zaczęliśmy - powiedział Vasvik.

- Wszystko w porządku, Truls? - Kirsti zmarszczyła czoło.

- Niezbyt. - Spojrzał jej w oczy. - Jannicke zginęła.

- Jannicke Onarheim? O cholera. Przykro mi, Truls. - Kirsti nachyliła się i położyła dłoń

na jego ramieniu. - Co się stało?

Uśmiechnął się ponuro.

- Jak giną inspektorzy, Kirsti? Została zamordowana. Dowiedziałem się o tym dziś rano.

- Pracowała?

Vasvik kiwnął głową, wpatrując się w stół o plastikowym blacie.

- Jakaś amerykańska fabryka butów koło Hanoi. Zwykła sprawa, zgłoszenie łamania praw człowieka, brak współpracy lokalnej policji. - Odetchnął głęboko. - Znaleźli jej samochód przy drodze o godzinę drogi od miasta, z daleka od okolic, których mogła się trzymać. Wygląda na to, że ktoś zabrał ją na przejażdżkę. Zgwałcił. Zastrzelił. Jeden strzał, w tył głowy.

Spojrzał na Carlę, która wzdrygnęła się, słysząc słowo *gwałt*.

- Tak. Pewnie dobrze, że to słyszysz. Jannicke jest trzecia w tym roku. Kanadyjczycy stracili dwa razy tyle ludzi. Inspektorzy ONZ zarabiają sporo pieniędzy, często tyle, że nie mają ich jak wydawać. Z tego, co mówi Kirsti, może się okazać, że twój mąż nie nadaje się do tej pracy.

Zniewaga pod adresem Chrisa jak zwykle ją rozwścieczyła.

- Cóż, wątpię, żebyś długo wytrzymał w Inwestycjach Konfliktowych.

Oboje spojrzeli na nią z chłodną, norweską dezaprobatą.

- Może nie - odpowiedział w końcu Vasvik. - Nie zamierzałem obrazić ciebie ani twojego męża. Ale powinnaś wiedzieć, w co próbujesz go wciągnąć. Niecałe pięćdziesiąt lat temu była to wygodna, lokalna praca biurowa. To się zmieniło. Teraz, na tym poziomie, może doprowadzić do śmierci. Praca, którą wykonujemy, nie znajduje uznania - w najlepszym razie odbiera się nas jako marudzących biurokratów, w najgorszym jako wrogów kapitalizmu romansujących z terrorystami. Nasz mandat ONZ do ponury żart. Tylko nieliczne rządy podejmują działania na podstawie naszych śledztw. Reszta ulega presji korporacji. Niektóre, jak Stany Zjednoczone i, oczywiście, Wielka Brytania, wprost odmawiają pomocy. Nie sygnują nawet porozumień. Blokują nas na każdym kroku. Wypytyują o budżet, domagają się przejrzystości, która eksponuje agentów polowych, oferują prawne i finansowe azyle tym przestępcom, którym udaje się nam postawić zarzuty. Dwie na trzy sprawy odkładamy na półkę z powodu braku możliwości egzekucji i - machnął głową być może w stronę, gdzie spoczywało ciało Jannicke Onarheim - grzebiemy naszych kolegów przy aplauzie popularnych mediów.

Znów cisza. Po drugiej stronie kafeтерии ktoś uruchomił automat z kawą.

- Czy ty nienawidzisz swojej pracy? - zapytała cicho Carla.

Lekki uśmiech.

- Nie tak bardzo jak ludzi, których ścigam.

- Chris, mój mąż, nienawidzi swojej pracy. Tak mocno, że go to zabija.

- W takim razie, czemu po prostu się nie zwolni? - W głosie inspektora brzmiał cień sympatii.

- Cholernie łatwo ci to powiedzieć.

Kirsti rzuciła jej ostrzegawcze spojrzenie.

- Truls, Chris urodził się i wychował w wydzielonych strefach Londynu. Widziałeś je,

wiesz, co to oznacza. I wiesz, co się dzieje z tymi, którym uda się wyrwać na zewnątrz. Syndrom pierwszego pokolenia. Jeśli zerwanie oznacza powrót do strefy, pewnie wolałyby raczej zginąć. Z pewnością wolałyby zabić. A przecież wiesz, jak blisko są ze sobą związane te dwie rzeczy.

Kolejny uśmiech, odrobinę szerszy.

- Tak, syndrom pierwszego pokolenia. Z jakiegoś powodu całkiem dobrze pamiętam ten wykład.

Kirsti również się uśmiechnęła. Wygięła ciało w sposób, od którego jej córka się zaczerwieniła.

- Dzięki - powiedziała. - Nie zdawałam sobie sprawy, że to zapada w pamięć.

Efekt był taki, jakby z ramion Vasvika spadł jakiś ciężar. Wyprostował się trochę na plastikowym krześle i odwrócił z powrotem do Carli.

- Dobrze - powiedział. - Nie będę zaprzeczał. Ktoś taki jak twój mąż mógłby być dla nas przydatny. Informacje, jakie posiada, prawdopodobnie umożliwiłyby nam otwarcie kilku tuzinów spraw. I tak, doświadczenie w Inwestycjach Konfliktowych zdecydowanie pomogłoby mu w zawodzie inspektora. Ale nie mogę ci - jemu - obiecać pracy. Potrzebowalibyśmy ekipy, żeby wyciągnąć go z Shorn. Ale tak, jeśli naprawdę tego chce, mogę poprosić i puścić maszynę w ruch.

To właśnie chciała usłyszeć, ale jakoś nie napełniło jej to uczuciami, których oczekiwała. Coś w Vasviku wciąż wzbudzało gniew. Może to efekt wieści o śmierci, może krajobraz na zewnątrz, ale coś było nie w porządku.

Później, kiedy wstały, by odejść, i Kirsti objęła Trulsa ze szczerym uczuciem, Carla odwróciła się, żeby nie musieć na to patrzeć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Poniedziałek przywitał go ciepłym letnim deszczem i dokuczliwym bólem głowy. Przez całą drogę czuł się odsłonięty, a kiedy zaparkował i uzbroił alarm samochodu, drobne iskiereki niepokoju kazały mu przeskanować rogi garażu w poszukiwaniu widzów.

Tak wcześnie nikogo tam nie było.

W terminalu czekały na niego wiadomości telefoniczne - przeciągająca samogłoski, ironiczna Liz Linshaw z zaproszeniem Joaquin Lopez z MGP. Odłożył Liz na później i kazał terminalowi zadzwonić na komórkę Lopeza. Amerykański agent dzwonił cztery razy w ciągu ostatnich dwóch godzin i sprawiał wrażenie bliskiego paniki. Odebrał połączenie przy trzecim dzwonku, głosem spiętym i drżącym.

- *Si, digame.*

- Tu Faulkner. Jezu, Joaquin, co się, do cholery, z tobą dzieje?

- *Escuchame.* - Dobięły go odgłosy ruchu. Chris odniósł wrażenie, że Lopez jest w pokoju hotelowym, wstaje z łóżka i gdzieś idzie. Głos agenta uspokoił się nieco, przechodząc na angielski. - Słuchaj, Chris, chyba mam kłopoty. Dotarłem tu wczoraj wieczorem, rozpytywałem trochę o Diaza i teraz grupa politycznej policji Echevarrii obsiadła mnie jak *putas* w dzień wypłaty. Siedzą w barze po drugiej stronie ulicy i na dole w holu. Wydaje mi się, że paru z nich wzięło pokój na tym piętrze, nie...

- Uspokój się, Joaquin. Rozumiem sytuację.

- Nie, nie rozumiesz mojej cholernej sytuacji, człowieku. To jest MGP. Ci faceci oderzną mi cholerne *cojones*, jeśli tylko będą mieli szansę. Wepchną mnie do samochodu i to koniec, będę już historią...

- *Joaquin, zamknij się, do cholery, i słuchaj!* - Chris przeszedł z krzyku do pojednawczego tonu, nie dając mężczyźnie czasu na reakcję. Podręcznikowe działanie. - Wiem, że jesteś przestraszony. Rozumiem czemu. Zaraz z tym coś zrobimy. Jak ci faceci wyglądają?

- Jak wyglądają? - Parsknięcie. - Wyglądają jak cholerna policja polityczna, a czego się spodziewasz? Ray bany, kałduny i pieprzone wasy. Kumasz?

Chris kumał. Widział tego rodzaju zbirów w akcji podczas podróży do Gospodarki Monitorowanej z Hammett McColl. Znał wykręcające wnętrzności uczucie zagrożenia, jakie tworzyli, kręcą się po okolicy.

- Nie, Joaquin, nie o to chodzi. Zrobiłeś im zdjęcia? Masz ze sobą swój zestaw okularowy?

- Tak, mam go. - Pauza. - Jeszcze tego nie używałem.

- Dobrze.

- Przestraszyłem się. Przepraszam, Chris, spieprzyłem. Nie pomyślałem.

- Trudno, więc pomyśl *teraz*, Joaquin. Opanuj się. Spieprzyć możesz na własne konto, a teraz działasz dla Shorn. Nie płacę ci po to, żeby cię zabili. - Chris zerknął na zegarek. - Która tam teraz jest godzina? Pierwsza w nocy?

- Trochę przed.

- Dobra. Ilu jest tych wąsatych?

- Nie wiem, dwóch w holu. - W głosie Lopeza znów zabrzmiała panika. - Może kolejnych dwóch lub trzech po drugiej stronie ulicy.

- Dasz radę zrobić im zdjęcia?

- Za nic nie wyjdę na zewnątrz, człowieku.

- Dobra, dobra. - Chris zaczął krążyć po gabinecie, pogrążony w myślach. Wyobraził sobie pokój Lopeza. Okulary słoneczne z aparatem Nikona i sprzęt transmisyjny były prezentem od Shorn na koniec kwartału i miały bardzo wyśrubowane parametry. - Słuchaj, widzisz z okna tych w knajpie? Idź i sprawdź.

Znów ruch. Lopez wrócił spokojniejszy.

- Tak. Widzę ich stolik. Myślę, że zrobiłbym stąd przyzwoite zdjęcie.

- No, tak już lepiej. Zrób to. - Chris złagodził ton, starając się mówić uspokajająco. - Potem chcę, żebyś poszedł do holu i zrobił portrety pozostałych dwóch. Tam nie powinni niczego próbować. Jesteś uzbrojony?

- Żartujesz? Przeszedłem na lotnisku przez amerykańską kontrolę, jak wszyscy inni.

- Dobrze, to nie ma znaczenia. Po prostu zrób zdjęcia i przyślij mi je możliwie jak najszybciej. Będę czekał. I, Joaquin, pamiętaj, co powiedziałem. Nie zginiesz, pracując dla Shorn. Wyciągniemy cię z tego. Zrozumiałeś?

- Zrozumiałem. - Krótka pauza, w trakcie której słyszał oddech Lopeza w słuchawce. - Chris. Dzięki, stary.

- *De nada*. Wyluzuj.

Chris odczekał, aż tamten się rozłączy. Potem kopnął z całej siły nogę biurka i zacisnął pięść.

- Kurwa. - Kolejne kopnięcie. - *Kurwa*.

Z powrotem do terminala. Oszacował czas potrzebny Lopezowi, przygotował połączenia oczekujące. Potem podszedł do okna i wpatrywał się w horyzont Londynu do chwili, gdy zadzwonił telefon.

Nadeszły zdjęcia, dwa wyraźne ujęcia twarzy i torsu, zrobione z odległości mniejszej niż pięć metrów. Lopez podszedł blisko. Dwóch politycznych paskudnie uśmiechało się w stronę ukrytej soczewki Nikona, ukazując popsute miejscami zęby. Zdjęcie kawiarniane nie było już tak dobre, ale w jego środku widniał stolik uliczny, a przy nim trzy postacie o twarzach obróconych w stronę kamery.

Zrealizował pierwsze z przygotowanych połączeń. Chociaż uprzedził, że zadzwoni, długo trwało, nim ktoś podniósł słuchawkę, a potem usłyszał w niej wyraźne ziewnięcie. Chris uśmiechnął się po raz pierwszy tego dnia.

- Burgess Imaging. - Włączył się ekran, ukazując ciemną, nieogoloną twarz koło dwudziestki. - O, cześć Chris. Co mogę? Och, te powiększenia satelitarne, tak?

- Nie, to nie to. Słuchaj, czy możesz mi zrobić portretówki ze zdjęcia ulicznego? Twarze dość wyraźne do maszynowej identyfikacji?

Jamie Burgess znów ziewnął i potarł dłonią kącik oka.

- Będzie cię to kosztować.

- Domyśliłem się. Słuchaj, przerzucam je na transfer. Zerknij na nie.

Burgess poczekał, kilka razy mrugnął i kiwnął głową.

- Zrobione Nikonem, co?

- Tak.
- Daj mi dwie minuty. Zostaw otwartą linię.
- Dzięki, Jamie.
- Proszę. - Kolejne ziewnięcie.

Burgess był dobry w swoim fachu. Dziewięćdziesiąt sekund później terminal wypłuł idealne ujęcia głów i ramion. Chris dopiął je do dwóch wcześniejszych z holu i kiwnął głową.

- Dobra, sukinsyny. Miejmy nadzieję, że byliście ostatnio w kościele.

Drugi zamówiony telefon został odebrany przy pierwszym dzwonku. Siwa wirtualna głowa nad odprasowanym mundurem polowym. Amerykański akcent, oryginalna wersja parodii Simeona Sandsa w wykonaniu Mike'a Bryanta.

- Langley Contracting.
- Tu Chris Faulkner, Shorn Associates, Londyn. Macie jednostki operacyjne w rejonie Medellin?

Nastąpiła przerwa, prawdopodobnie potrzebna na sprawdzenie kodów i upoważnień Chrisa. Potem wirtualny agent obsługi klientów kiwnął głową.

- Tak, pracujemy w tym rejonie.
- Dobrze, potrzebuję pięciu kasacji ze skutkiem natychmiastowym. W załączeniu dane o dokładnym położeniu i identyfikacja wizualna.
- Bardzo dobrze. Proszę podać wymagany poziom precyzji.
- Och. - To było coś nowego. - Przepraszam?
- Proszę wybrać wymagany poziom precyzji spośród następujących opcji: chirurgiczny, dokładny, z rozrzutem, dywanowy, ludobójstwo.
- Jezu. Och. - Chris bezradnie machnął rękami. - Chirurgiczny.
- Proszę wziąć pod uwagę, że opcja chirurgiczna może się wiązać ze znaczącymi opóźnieniami...
- Nie, źle. To musi mieć efekt natychmiastowy.
- Chce pan zastąpić poziom precyzji oznaczeniem pilności?
- Tak, chcę, żeby to zrobiono natychmiast.
- Obciążyć kartę czy konto?
- Konto.
- Pański kontrakt został uaktywniony. Dziękujemy, że wybrał pan Langley Contracting.

Życzę miłego dnia.

Chris jeszcze raz spojrział na pięć twarzy wyświetlonych na ekranie. Kiwnął głową i dotknął każdej kciukiem, wymazując je.

- *Adios, muchachos.*

Kiedy zniknęła ostatnia twarz, podłączył terminal do swojej komórki i wyszedł po kawę do *U Louie Louie*.

* * *

Lopez zadzwonił do niego godzinę później. Szalejący głos w słuchawce, prawie ćwierkający z zachwytu. W tle wycie syren.

- Chris, jesteś cudowny, stary!!! Zrobiłeś to. *Hijos de puta* są na całej ulicy, stary! Rozsmarowani po całej *pieprzonej* ulicy!
- Co? - zapytał zdumiony Chris.

- Przejazd, człowieku. Wzorowy. Musieli użyć jednej z tych wyrzutni naramiennych. Płonie cała cholerna kawiarnia. Mówię ci, nie zostało nic prócz kawałków.

Chris opadł ciężko za biurko. Zobaczył to: nocna scena oświetlona płomieniami. Pastisz zdjęć z wiadomości, wspomnienia setek takich obrazów. Ciała i ich strzępy, czerwone i przypalona czerń. Krzyki i niezręczna panika wśród tłumów.

- Hotel. - Prawie to wyszeptał, jakby nie potrafił się zmusić, by te słowa przeszły mu przez usta. - Ludzie w hotelu.

- Tak, ich też dorwali. Słyszałem strzały. Pistolety maszynowe. - Lopez wydał z siebie odgłos naśladujący stukot automatu. Upił się szczęściem własnego ocalenia. - Przed chwilą byłem na dole sprawdzić. Wiesz, wyglądałem przez okno na ogień, kiedy...

- Nie, Joaquin. Stop. *Inni* ludzie w hotelu. Wiesz, obsługa, klienci. Zabili kogoś jeszcze?

- Och. - Lopez umilkł. - Nie wydaje mi się, nie widziałem innych ciał. Stary, do kogoś ty zadzwonił?

- Nieważne. - Miał wrażenie, jakby skosztował popielniczki. Czuł zapach eksplozji, smród palonych ciał w aromatycznym nocnym powietrzu. Przebijające się przez telefon syreny przycichły i usłyszał krzyk. - Lepiej się stamtąd zabieraj. Najlepiej wracaj do Panamy. Tam na razie jesteś spalony. Będziesz musiał pracować przez kogoś innego.

- Tak, tak właśnie myślałem. - Głos Lopeza się zmienił. - Słuchaj, Chris. Przez chwilę straciłem nad sobą kontrolę, ale znam się na rzeczy. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny nie zrobiłem ani jednego niewłaściwego kroku. Te *hijos de puta* wiedziały, że tu będę.

Chris ponuro kiwnął głową, choć połączenie było tylko głosowe.

- Tak, Joaquin.

- Daj mi jeszcze dwa dni. Wciąż możemy to puścić w ruch. Znam właściwych ludzi, nie musisz się martwić.

Chris mocno zacisnął powieki.

- Dobra.

- Możesz na mnie liczyć, stary. Podepnę cię, przysięgam.

Gdzieś za Lopezem ktoś zaczął używać wzmacniacza do przebiccia się przez dźwięki tłumu. Chris wyciągnął rękę i przerwał połączenie.

* * *

Bryant i Makin dotarli prawie równocześnie. Chris wyszedł im na spotkanie na parking. Mike uśmiechnął się szeroko na jego widok.

- Hej, Chris! Jezu, o której przyjechałeś?

Chris zignorował powitanie i ruszył wprost na Makina. Uderzył go pod żebra prawą pięścią z pełnym impetem ostatniego kroku. Makin złożył się wpół i wymiotował śniadanie. Chris cofnął się i walnął go sierpowym w twarz. Poleciały okulary. Makin padł na beton i przetoczył się, wymiotując. Chris wymierzył mu jeszcze kopniaka, zanim Mike unieruchomił go od tyłu i zaczął odciągać.

- Dość, Chris. Koniec rundy.

- Cholerny *gnój*. Sprzedałeś moich agentów, ty *cipo*.

- Nie... - Makin podniósł się na jedno kolano, trzymając się za twarz. - Nie wiem... o czym ty, kuhwa, mówisz.

Chris szarpnął się w jego stronę. Makin wyprostował się, wytarł usta i podniósł wzrok. Uniósł wolną rękę.

- Spotkamy się za to na cholernej łódce, Faulkneh.

- *Hej!* - Mike poluzował uchwyt na ramionach Chrisa. - Dość tych bzdur, Nick. Nikt w tym zespole nie będzie nikogo wyzywał na drogę. *Nikt*. Zostawcie to na przetargi. Chris, zamierzam cię puścić, dobra? Zachowuj się. Żadnych bijatyk w garażu, to nie przystoi. Takie rzeczy uchodzą tylko w strefach.

Puścił Chrisa i cofnął się, stając między dwoma mężczyznami z lekko rozsuniętymi rękami, w gotowości. Makin przesunął się w bok i splunął. Chris poczuł dreszcz przechodzący przez ciało. Mike Bryant głęboko wciągnął powietrze.

- Dobra, panowie. Co się tu, do kurwy nędzy, dzieje?

- Ta gnida - Chris wciąż był nabuzowany adrenaliną i dyszał potrzebą przemocy - wysłała nasze informacje o Diazie do Echevarrii.

- *Ta, i co?*

Bryant zamrugął.

- Zrobiłeś to, Nick?

- Jezu, *tak*. Powiedziałeś, żebym podpalił Echevarrii ogień pod tyłkiem.

Chris poczuł, jak furia go opuszcza, ustępując miejsca niedowierzaniu. Zobaczył to samo w spojrzeniu Bryanta. Potężny mężczyzna potrząsnął głową.

- Ale...

- Chłyste, Mike. *Chcę do poniedziałku mieć miecz nad jego głową*, tak powiedziałeś. Co miałem złościć?

Chris prychnął.

- To pieprzona bzdura. Nie było cię tu w weekend.

- Skąd, do kuhwy nędzy, wiesz, gdzie byłem? Co ty jesteś, moja matka?

- Nie widziałem cię w sobotę - cicho powiedział Bryant.

- Zabhałem to do domu, Mike. Słuchaj, Echevarria przez cały weekend hordawał wieńce wyznawcom. Uznałem, że czas nim potchąchnąć. Teleconfo jest jutho. Co miałem zhoić? Czekać, a potem zebrać to wszyhstko łazem dzisiaj? Muszę jeszcze myśleć o logistyce Kambodży i przewłocie pałacowym w Jemenie. I tym w Kaszmiłę. Znow zaczyna się łozpadać Gwatemala. Nie mam *czasu* na te bzdury.

Chris podskoczył o krok do przodu. Mike Bryant powstrzymał go ramieniem.

- Wysłałem Joaquina Lopeza do ME, *kretynie*, żeby wypytał o Diaza. Mało brakowało, a by dzisiaj *zginął*.

- I to niby ma być *moja* wina?

Bryant westchnął.

- Nick, Diaza trzymaliśmy z boku. Miał być naszym asem w rękawie, gdyby stary piernik nie ustąpił.

- *Wiedziateś o tym!*

- Och, a co ja jestem? Piętdolony telepata? Nikt mi nie powiedział, żeby nie mieszać w to Diaza, a on jest najsilniejszym atutem, jaki mamy.

- Dobra. - Mike potarł twarz. - Może nie powiedzieliśmy tego dość wyraźnie. Ale powinieneś być się najpierw skontaktować z Chrisem. To samo dotyczy ciebie, Chris.

Powinieneś był zapytać Nicka, zanim wysłałeś tam Lopeza.

- Ale... - Chris nie potrafił zidentyfikować nagłego ucisku w piersiach. - *Ty powiedziałeś mi, żebym go tam posłał.*

- Cóż, prawda, ale nie bez konsultacji. - Bryant patrzył to na jednego, to na drugiego. - No, dajcie spokój, ludzie. Trochę komunikacji. Trochę *współpracy*, na miłość boską. Czy proszę o tak wiele?

Żaden z pozostałych mężczyzn nawet na niego nie spojrział. Chris i Nick patrzyli sobie w oczy jak skamieniały.

- Mike, z powodu tego pieprzonego kłowna *zginęli* ludzie.

Makin prychnął.

Bryant zmarszczył brwi.

- Myślałem, że powiedziałeś *prawie*.

- Nie Lopez. Inni ludzie. Musiałem zadzwonić do Langley, żeby ściągnąć zbiry z jego karku, a oni wysadzili całą cholerną kawiarnię.

Makin zamienił prychnięcie w szydery uśmiezek. Bryant wydał odgłos tylko trochę mniej lekceważący.

- No cóż, a czego się spodziewałeś? Daj spokój, Chris. *Langley*? Ci faceci to była CIA, do kuźwy nędzy. Nawet *przed* zniesieniem kontroli byli bandą gruboskórnych, niekompetentnych błaznów. - Popatrzył na Makina, uśmiechnął się i wykonał błagalny gestjednąręką. - No wiesz, *Langley*, na miłość boską.

Chris poczuł, że traci panowanie nad sobą.

- Nie było innej opcji, Mike - wrzasnął. - Nikt inny w MG nie ma takiego czasu reakcji. Wiesz o tym.

- Tak, cóż, to już problem Urzędu Antymonopolowego. - Mike przycisnął kciuk i palec wskazujący do podstawy nosa. - Słuchaj, szkoda tej kawiarni, ale mogło być gorzej. No wiesz, jeśli chodzi o Langley, masz szczęście, że nie zabili przy okazji i Lopeza. - Makin roześmiał się w głos, a Bryant do niego dołączył. - Cholera, biorąc pod uwagę, jak durnych *sicarios* tam teraz kontraktują, masz szczęście, że nie rozwalili całego kwartału.

- To nie jest śmieszne, Mike.

- Och, daj spokój, trochę jest. - Uśmiech Bryanta przygasł. Spowaźniał. - Dobra. Spieprzyliśmy. Ale możemy pokryć straty. Jutro pojedziemy na falach, jakie będzie robił Echevarria, zatrzymamy to w zespole i ukryjemy kontakt z Langley Splacimy ich, nie wiem, z funduszu awaryjnego Kambodży albo czegoś takiego. Nikt nie musi wiedzieć. Jak przyjdzie kwartał, wszyscy będziemy mieć czyste ręce. Dobra? - Rozejrzał się po swoim zespole. - Zgoda?

Makin kiwnął głową. Chris po chwili też. Bryant znów wyszczerzył zęby.

- Dobrze. Ale pamiętajcie, panowie. Następnym razem uważajcie na *szczególności*, *proszę*.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Jak można się było spodziewać, Heman Echevarria nie przyjął tego zbyt dobrze.

- Ty to przetrzymaj - powiedział Mike ponuro, gdy stali w sali telekonferencyjnej, czekając na połączenie. - My będziemy kłamać.

Jak zwykle, kiedy rozmawiał z politykami, oparł sobie na barkach kij bejsbolowy, zawieszając na nim ręce, i chodził teraz w koło, pocierając kark o wypolerowane drewno. Przy drugim skraju ściany z weneckiego lustra Nick Makin zajęty był butelką wody i myszką kontrolującą ekran, leżącą przy jednym z brzegów stołu konferencyjnego. Reszta gładkiej szarej powierzchni blatu była pusta, z wyjątkiem płytkiego zagłębienia w środku, kryjącego wyświetlacze.

- Myślisz, że to przełomowa chwila? - zapytał Chris.

Mike wykrzywił twarz.

- Jeśli sądzić po wczorajszym cyrku, to ta chwila jest już cholernie blisko. Tylko fakt, że on na nas wrzeszczy, pozwala mi myśleć, że mamy jeszcze szansę. Gdyby zamierzał się wycofać, pewnie w ogóle byśmy nie rozmawiali. No, krzyczeli.

Połączenie nadeszło kilka godzin przed lunchem, tuż po świcie w MGP. Echevarria musiał spędzić całą noc na rozmowach z ekspertami śledczymi w Medellin. Telefon odebrał Mike. Chris nie słyszał szczegółów, ale rozumiał, że przebiegało to mniej więcej po linii *co, do kurwy, wy gringo sukinsyny robicie na moim podwórku, za kogo się, do cholery, uważacie, że rozmawialiście z tym marquista zdrajcą Diazem za moimi plecami, gdybyście byli ludźmi honoru, a nie śmieciami w garniturach to, i tak dalej, i tak dalej. Aj, waj, apopleksja.*

- No dobrze, niezupełnie - przyznał Mike. - Figura retoryczna. Na szczęście nie padł trupem. Wtedy naprawdę znaleźlibyśmy się w kłopotach, bo pewnie nie mielibyśmy szans na negocjacje z Echevarria juniorem. Tak więc na spotkaniu spróbujemy nie dopuścić, żeby temperatura wzrosła. Staramy się wszystko załagodzić.

Dowiedzieli się później tego dnia. Helikoptery wyleciały, góry na zachód od Medellin płonęły, a prasa rządowa Monitorowanej Gospodarki ogłaszała, że Diaz jest albo martwy, albo ucieka w stronę granicy Panamy, gdzie zostanie schwytyany i wsadzony do klatki jak tchórzliwy pies *marquista*, którym jest. Liczba aresztowań w miastach wzrosła do wartości trzycyfrowych.

- Będzie nabuzowany, wyżyje się na nas - oznajmił Mike, próbując podsumować sytuację podczas trzyminutowego odliczania przed połączeniem. - Czuje smak krwi, przy odrobinie szczęścia będzie się uważał za niezwykłego. Jeśli zaserwujemy mu odpowiednią dawkę przeprosin, chyba uda się go przekonać.

Chris poprawił swoje krzesło i rozparł się na nim wygodniej.

- Jesteś pewien, że wolisz tam Makina, nie mnie?

Bryant tylko na niego popatrzył.

- No co?

- Dasz temu wreszcie spokój?

- Mike, to nawet nie było moje cholerne konto. Tak po prawdzie, *gównu* mnie to obchodzi. Ale nie wmówisz mi, że nie zrobił tego świadomie.

- Och, daj mi, do cholery, spokój z tymi teoriami spiskowymi, Chris. Czemu po prostu nie przyjmiesz do wiadomości, że to efekt spieprzonej komunikacji? Tak trudno ci uwierzyć w elementarną niekompetencję?

W pokoju konferencyjnym Makin stanął przed nimi i zastukał w szybę.

- Dwie minuty, Mike.

Bryant nachylił się nad jednym z mikrofonów i wcisnął napis *emisja*.

- Zaraz tam będę, Nick. Panie i panowie, proszę zapiąć pasy.

Zsunął z karku kij bejsbolowy i odstawił go w rogu. Chris położył mu rękę na ramieniu.

- *Widziałeś* jego twarz, Mike, kiedy daliśmy mu to w czwartek. Byłeś tam. Obrzął się, że zmieniliśmy taktykę, i postanowił się upewnić, że wybuchnie nam to prosto w nos. Sprzedał Diaza, żebyśmy nie mieli z kim pracować, i dobrze o tym wiesz.

- I prawie spalił własne konto? Tracąc na tym tysiące w premiach kwartalnych? Chris, daj *spokój*. Stawia go to w złym świetle. Czemu miałby to zrobić? Co na tym zyskuje?

Chris potrząsnął głową.

- Nie wiem, ale...

- Dokładnie. - Mike chwycił go za ramiona. - Nie wiesz. Ja też nie wiem. Bo nie ma się czego uczyć. I daj już spokój.

- Nie zamierzam wchodzić na ścieżkę wojenną, Mike. Przyszedłem...

Kolejne ostre stuknięcie w szybę.

- Michael, zaraz się spóźnisz.

- Przyszedłem tu tylko po to, żeby ci pomóc i...

Mocniejszy chwyt na ramionach. Mike spojrzał mu w oczy.

- Wiem o tym, Chris. I jestem ci wdzięczny. Nie obwiniam cię o to, co się stało. Ale musisz już o tym zapomnieć. Wracaj do Kambodży. Zaczynaj się martwić własnym raportem kwartalnym.

- Mike...

- Nie mamy czasu, Chris. - Ścisnął go jeszcze raz, a potem wypadł przez drzwi. Chris patrzył przez szybę, jak opada na krzesło obok Makina i poprawia się na sekundy przez aktywacją połączenia.

Wspólną cechą wszystkich klientów Inwestycji Konfliktowych, z którymi Chris miał do czynienia, było uwielbienie dla technozabawek z krajów rozwiniętych. Na tym opierało się motto IK, przekazywane od partnerów do najmłodszych analityków w zawodzie. *Nie skap gadżetów*. Na samym początku każdej listy podarunków sprzętowych umieszczało się najwyższej klasy sprzęt komunikacyjny oraz prywatne samoloty. Potem sprzęt wojskowy. Zawsze w tej kolejności, działało na sto procent. Transmisja holograficzna Echevarrii była ostra jak żyłeta, wspomóżona tuzinem dodatkowych wyświetlaczy.

Chris oczywiście znał tę twarz z teczek HM i wiadomości telewizyjnych z ME. Mimo wszystko upłynęło trochę czasu, od kiedy widział ją z bliska. Nachylił się ku szybce i skupił na obwisłej, pokrytej grubą skórą twarzy. Worki pod oczami, zaciśnięte usta, wychudły kark utrzymywany w idealnym pionie i niknący w kołnierzu munduru galowego obwieszonych medalami. Echevarrię, niczym czarne halo, otaczały od tyłu nieaktywne teraz peryferyjne wyświetlacze. Jego dłonie spoczywające na stole holotransmisji wyglądały na przesadnie

rozrośnięte.

- Ach, generale - powiedział Bryant z plastikowym wdziękiem. - Jest pan. Witamy.

Echevarria dźwignął dłoń do ust i spojrzał w lewo. Znów rozległ się sygnał połączenia i około metra dalej w powietrzu pojawił się drugi obraz holograficzny.

- Mój syn weźmie udział w tym spotkaniu. - Dyktator się uśmiechnął, ukazując lśniące białe zęby, wyraźnie nie własne. - Jeśli, *panowie*, nie macie nic przeciwko temu.

Była to zamierzona zniewaga, ale za nią kryła się jeszcze gorsza. Chris wiedział, że Francisco Echevarria przebywa aktualnie w Miami. A szybkość, z jaką holotransmisja przeszła bez zaproszenia przez zabezpieczenia Shorn, sugerowała, że zastosowano sprzęt penetracyjny nieoferowany zazwyczaj nawet gościom Miami Hiltona.

Jest z pieprzonymi Amerykanami. Rimshaw albo Meldreck. Chris opanował się z wysiłkiem. *Bardziej prawdopodobne, że w Rimshaw. Pieprzony Lloyd Paul. Calders zazwyczaj nie jest tak ekstrawagancki.*

Nowy hologram ustabilizował się, ukazując przystojne rysy Francisco Echevarrii w zwyczajowym garniturze Susany Ingram. Jego twarz przepełniał gniew szukający ujścia.

Mike Bryant przyjął to i zagrał po linii.

- Oczywiście. Jesteśmy zachwyceni, goszcząc u siebie również senora Echevarrię. Prawdę mówiąc, im więcej dostaniemy w tej chwili sugestii...

- *Hijo de puta* - wypluł z siebie Echevarria junior bez wstępów. - Mam tylko jedną pieprzoną sugestię. Gdyby mój ojciec nie traktował tak sentymentalnie starych związków, jutro jechalibyście do przetargu. Niedobrze mi się robi od waszej europejskiej...

- Paco! Proszę. - W głosie ojca dało się słyszeć lekkie rozbawienie. Chris zauważył, że jego angielszczyzna miała w sobie wystudiowane, południowe przeciąganie akcentów, w przeciwieństwie do hiszpańskiego rytmu słów syna. - Ci panowie chcieliby wygłosić przeprosiny. Nieuprzejmie byłoby ich nie wysłuchać.

A więc.

Chris zauważył, jak Makin się spał. Nie był pewien, czy zarejestrowali to ojciec albo syn.

- Oczywiście - gładko powiedział Mike Bryant. - Doszło do bardzo poważnego nieporozumienia i czuję, że wina leży po naszej stronie. Kiedy mój kolega zwrócił pańską uwagę na posiadane przez nas materiały na temat buntowników, być może nie podkreślił dostatecznie, że byliśmy zaniepokojeni...

Echevarria junior rzucił coś po hiszpańsku. Ojciec spojrzał w jego stronę i młodzieniec się zamknął. Bryant skłonił się w podzięcie i ponownie podjął wątek.

- Byliśmy zaniepokojeni destabilizacją, która mogłaby przyciągnąć inwestorów mających mniej od nas skrupułów.

Hernan Echevarria uśmiechnął się ponuro z drugiej półkuli.

- Destabilizacja, o której pan mówi, została wyeliminowana. I ma pan rację, senor Bryant. Nie tak nam przedstawił tę kwestię pański kolega. - Obudził się jeden z peryferyjnych ekranów. - Chciałby pan zobaczyć wiadomość? Bryant uniósł dłoń.

- Wszyscy ją widzieliśmy, pułkowniku. Wolałbym nie zajmować pańskiego cennego czasu więcej niż to absolutnie niezbędne. Jak powiedziałem, był to efekt nieodpowiedniej komunikacji, za którą przyjmujemy pełną odpowiedzialność.

Spojrzał wyczekująco na Makina.

- Generale Echevarria. - Brzmiało to, jakby słowa wrywano z Makina obcęgami. - Przepłaszam. Bezwarunkowo. Za wszelkie spowodowane przeze mnie niepołożumienia. Nie zamierzałem sugelować, że jesteśmy zainteresowani kontaktami z pańskimi włogami politycznymi...

- Wrogami mojego *kraju*, senior. Wrogami narodowego honoru, wszystkich kolumbijskich patriotów. Potępionymi, jak pan pamięta, przez kościół katolicki i każdy symbol przyzwoitości w Amerykach.

- Tak - sztywno powiedział Makin. - Oczywiście.

- Mam tu coś - przyszedł mu z pomocą Bryant - co może pana zainteresować.

Ożył jeden z ekranów pośrodku stołu; Chris wiedział, że po drugiej stronie planety Echevarriowie widzą obraz pojawiający się nad ramieniem Mike'a Bryanta.

- To część zasadniczej dokumentacji, jaką dostał pan od nas w oryginalnym formacie - wyjaśnił Bryant, swobodnie operując myszką. - Jak panowie widzą na powiększeniu, nie jest to dokument stworzony przez Shorn. Prawdę mówiąc, jak bez wątpienia panowie zauważą ze względu na logo, powstał on w Hammett McColl.

Mogło to być wygenerowane komputerowo oszustwo i wiedzieli o tym wszyscy zebrani. Ale Echevarria osobiście zaprosił HM do MGP rok wcześniej i wiedział, że informacje się zgadzają.

- Skąd pan to ma? - zapytał.

- Od źródła.

Echevarria junior znów wybuchł hiszpańskimi obelgami pod adresem matek Brytyjczyków. Bryant go przeczekał. Ojciec znów uciszył syna, tym razem pełnym irytacji gestem.

- Jakiego źródła?

- Na tym etapie - ostrożnie powiedział Bryant - wolałbym tego nie ujawniać. Źródło jest użyteczne tylko tak długo, jak długo jest bezpieczne, a to połączenie tego nie gwarantuje. Jednakże - zauważył narastającą agresję Echevarrii juniora i podchwycił ją - z przyjemnością przedyskutowałbym wszelkie związane z tą sytuacją detale twarzą w twarz. Uważam, że jesteśmy panu winni nieco szczerości po zamieszaniu z tego weekendu.

- Sugeruje pan, że bym przyleciał do Londynu?

Bryant rozłożył ręce.

- Oczywiście, kiedy będzie pan miał wolny czasu. Świadom jestem, że zajmują pana ważne sprawy.

- Tak. - Echevarria znów się uśmiechnął, mniej więcej równie ciepło jak wcześniej. - Zwłaszcza sprzątanie bałaganu po jednym z pańskich agentów.

Mike westchnął.

- Generale, zrobiłem, co mogłem, by zademonstrować panu naszą szczerłość. Daję panu słowo...

Słumione parsknięcie ze strony Echevarrii juniora.

- ...że cokolwiek ten człowiek robił w Medellin, my mu tego nie zleciliśmy. Możliwe, że działał na polecenie Hammett McColl, może kogoś innego. Nie zaprzeczam, że nasze źródło w HM mogło też sprzedać te same informacje każdemu, kto gotów był zapłacić

korporacyjne stawki. Z tego co wiem, osoba ta ma dobre kontakty z, powiedzmy, Nowym Jorkiem, Tokio i...

- Dobrze, senior Bryant. Wydaje mi się, że słyszałem już tę wymówkę. Proponuje pan osobiste spotkanie. W jakim celu?

- Cóż. - Mike znów zajął się myszką. Dokument HM zniknął, zastąpiony przez jedną z list sprzętu, którą Chris widział w zeszłym tygodniu. - Chodzi o istotną kwestię sprzętu wojskowego. W świetle ostatnich wydarzeń i niepokojów, które muszą wywołać, chciałbym dokonać przeglądu budżetu.

Chris wyłapał reakcję. Zastanawiał się, jak Mike'owi udało się nie roześmiać.

Reszta była już tylko szumem. Bryant rzucał kolejnymi przeprosinaми, do kilku dołączył Makin. Echevarria junior marudził i wtrącał czasem ostre słowo, zawsze przywoływany do porządku przez ojca, który po prostu siedział z zamyślnym wyrazem twarzy. Pożegnania były już dostatecznie serdeczne. Mike wypadł z sali konferencyjnej, trzaskając drzwiami.

- Połącz się z Lopezem. Przed końcem tygodnia chcę mieć kontakt z buntownikami. Ten sukinsyn się na nas wypnie.

Chris zamrugał.

- Wydawało mi się, że właśnie go udobruchałeś.

- Tak, chwilowo. Obiecany sprzęt wojskowy powinien go na chwilę usadzić, a przeciek o zaangażowaniu USA ograniczy amerykańskie kontakty juniora. Ale koniec końców ta wielka kupa łajna czeka tylko, żeby się na nas zwalić. Stary Hernan nie wierzy tak naprawdę w nic z tego, co powiedzieliśmy, kupuje sobie czas, żeby zobaczyć, co jeszcze z nas wydusi. I nie da się przekupić paroma skrzynkami bomb kasetowych, a mniej więcej na tyle tylko nas teraz stać, biorąc pod uwagę sytuację. Nie, Amerykanie prędzej czy później go dostaną i zanim do tego dojdzie, chcę mieć gracza z naszej drużyny.

- Tak, ale kogo? - Chris machnął w stronę szkła, za którym przy stole wciąż siedział Makin wpatrujący się w przestrzeń. - Tamten pojeb zdołał spalić Diaza. Kto nam został?

- Będziemy się musieli zadowolić Barranco.

- *Barranco?*

- Chris, tyle mamy. Sam powiedziałeś, że Arbenz nie zdoła w tym roku poprowadzić armii powstańczej.

- Tak, ale Barranco? Mike, on jest na serio oddany sprawie.

- Ach, daj spokój. Oni wszyscy tak zaczynają.

- Nie, to prawdziwy pieprzony Guevara, Mike. Nie sądzę, żeby udało nam się nad nim zapanować.

Bryant się uśmiechnął.

- Uda nam się. Tobie się uda. - Zerknął przez szybę na Makina. Siedzący przy stole dyrektor nawet się nie poruszył. - Zamierzam pójść z tym łajnem do Hewitt i wykluczyć ze sprawy Nicka. Najwyższy czas. A ty tymczasem ściągnij Barranco do stołu. Nie obchodzi mnie, co będziesz musiał zrobić. Poleć tam osobiście, jeśli trzeba, ale go dorwij.

Chrisa opadły wspomnienia: strumienie słów, podróż dla Hammett, nocne niebo Karaibów usiane gwiazdami, ciepły mrok w dole i odgłosy nocnego życia ulicy.

- Chcesz, żebym poleciał do Panamy?

- Jeśli będzie to konieczne.

- Hewitt się to nie spodoba. Na początku dała to konto Makinowi. Nie będzie dobrze wyglądać, jeśli przyzna, że to zły wybór. A do tego dochodzą jej uczucia do mnie. Trudno ją nazwać moją przyjaciółką.

- Jesteś cholernym paranoikiem, Chris. Już ci mówiłem. Hewitt uwielbia pieniądze, a w tej chwili ty zarabiasz ich dla niej mnóstwo. Tylko to naprawdę się liczy. - Mike znów się uśmiechnął. - Zresztą, jeśli będzie się stawiać, pójde pogadać z Notleyem. Wchodzisz w to, przyjacielu, chcesz tego, czy nie. Witaj w koncie MGR

Siedzący w sali konferencyjnej Makin poruszył się na krześle i obrócił w ich stronę. Wyglądało to tak, jakby słyszał rozmowę. Sprawiał wrażenie przybitego i zdradzonego. Chris popatrzył na niego, próbując pozbyć się lekkiego niepokoju, który nie chciał go opuścić.

- Dzięki.

- Hej, zapracowałeś na to. Korzystaj. - Bryant objął go ramieniem. - Zresztą, jesteśmy cholernym zespołem. A teraz skopmy Hernana Echevarrię i zaróbmy trochę pieprzonej kasy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Do pomostu ktoś przycumował uszkodzoną motorówkę i pozwolił jej zatonać. Dziób łodzi, przywiązany do żelaznego pierścienia, wystawał nad powierzchnię, ale za popękaną szybą woda dochodziła prawie do deski rozdzielczej. Chris zauważył rybę, która wisiała pod wodą jak maleńki sterowiec, skubiąc coś na dolnej połowie zanurzonej kierownicy. Wokół zatopionej rufy unosiły się gałązki i rozkładająca się materia organiczna, kołysząc się leniwie w rytm fali wzbudzonej przez podpływającą do pomostu łódź. Fale uderzały o drewniane słupy. W dali, nad laguną zbierały się niskie chmury jak szara wata cukrowa nad drzewami wyspy i dryfowały w stronę morza, ciągnąc za sobą deszcz. Słońce wyglądało jak niewyraźna, jaśniejsza plamka w szarości. Powietrze było ciepłe i lepkie.

Chris odwrócił głowę. Nie takie Karaiby zapamiętał. Przeszedł dalej, tam gdzie Joaquin Lopez siedział plecami do drewnianej chałupy, tłumaczącej istnienie pomostu.

- Jesteś pewien, że się zjawi?

Lopez wzruszył ramionami. Był wysokim, muskularnym mężczyzną o przewodze krwi afrokaraibskiej i emanował spokojem kontrastującym z paniką, jaką wykazał w trakcie rozmowy telefonicznej z Medellin.

- Ma ku temu mnóstwo powodów. Nie sprowadziłbym cię tu na próżno, stary. Zapalisz?

Chris potrząsnął głową. Lopez zapalił papierosa i wydmuchnął dym nad wodę. Podrapał się w bliznę na czole.

- To nie będzie dla niego łatwe. W tej części wybrzeża jest mnóstwo kontroli. Patrole żółtawe mają prawo zatrzymać i przeszukać każdego podejrzanego o kłusownictwo. I czasem przyplývają amerykańskie łodzie antynarkotykowe z Darien. Nie mają prawa tu operować, ale...

Znów wzruszył ramionami. Chris kiwnął głową.

- Ale kiedy ich to powstrzymało, co?

- Zgadza się. - Lopez obejrzał się i wyszczerzył zęby.

- Co?

- Nic. Nie mówisz jak gringo.

Chris ziewnął. Nie spał wiele przez ostatnie kilka dni.

- Uznam to za komplement.

- Tak trzymaj. To może pomóc z Barranco.

Wspomnienia przesuwaly się przed oczami Chrisa: Madryt, San Jose, Kostaryka. Obrazy lotnisk, salony dyrektorskie o pastelowych odcieniach szarości i cichy szum lotów z klimatyzacją. Przeganianie słońca. Helikopter o świcie z San Jose, przez granicę do Panamy. Lądowanie na wysuszonym słońcem lądowisku w pobliżu David, gdzie Lopez wymknął się z Panama City na spotkanie. Kolejny krótki skok na północ do Bocas del Toro, rząd chałup i znani Lopezowi ludzie, goryl do wynajęcia i taksówka wodna *tutaj*, gdziekolwiek to było, a teraz oczekiwanie na Barranco.

- Spotkałeś go już?

Lopez potrząsnął głową.

- Rozmawiałem z nim przez wideofon kilka dni temu. Wyglądał na zmęczonego, nie jak

na tych zdjęciach, które zrobili mu w '41. Potrzebuję tego, Chris. To może być jego ostatnia szansa.

Rok odbił się echem w głowie Chrisa. W '41 Edward Quain zginął w rozmazanych strzępach na zimnym asfalcie M20. Wtedy wydawało mu się to jakiegoś rodzaju końcem. Ale następnego dnia obudził się i odkrył, że świat się nie zmienił i nic z tego, co zaczął w Hammett McColl, nie zbliżyło się nawet do początku, nie mówiąc o zakończeniu. Dopiero wtedy do niego dotarło, że będzie musiał żyć dalej, i znaleźć ku temu jakiś powód.

Znad wody dobiegł ich cichy warkot.

- Łódź - stwierdził Lopez.

Łódź wypłynęła zza porośniętego lasem półwyspu, unosząc przed sobą falę spienionej wody stosowną do ryku silników. Była to duża jednostka pomalowana w wojskowe szarości, zbudowana z myślą o szybkości i, sądząc po sprzężonych karabinach maszynowych zamontowanych w kabinie z pancerną szybą, do walki. Na rufie łopotała flaga z białym wzorem na zielonym tle. Lopez westchnął z ulgą na jej widok.

- Patrol żółwiowy - powiedział.

Łódź motorowa zwolniła i osiadła na wodzie, przełączywszy silniki na jałowy bieg. Podpłynęła dziobem do molo i ktoś ubrany w strój khaki wyszedł na pokład dziobowy. Krzyknął coś po hiszpańsku. Lopez odpowiedział. Tamten podniósł linę i przeskoczył z nią zgrabnie na pomost. Wylądował ze zgiętymi kolanami, co świadczyło o rutynie. Tuż za nim pojawiła się podobnie ubrana kobieta, podeszła do kopułki z karabinami maszynowymi i popatrzyła na nich uważnie. Chris poczuł ogarniającą go niepewność.

- Ty też jesteś uzbrojony, prawda? - wymamrotał do Lopeza.

- Jasne. Ale to ludzie od żółwi, oni nie...

Kolejny człowiek na łodzi ubrany był w takie samo wojskowe moro, a przez ramię przewieszony miał karabin szturmowy Kałasznikowa. Minął Chrisa bez jednego spojrzenia, podszedł do Lopeza i wyrzucił z siebie coś po hiszpańsku. Usłyszawszy odpowiedź, zniknął w budynku na brzegu. Chris przyjrzał się wodzie po drugiej stronie pomostu i zaczął się zastanawiać, jak jest głęboka. Wolałby mieć nad głową przynajmniej pół metra, by nie zostać postrzelonym. Pożyczony mu przez Lopeza smith and wesson miał gwarancję na strzał na mokro, ale przeciw karabinkom szturmowym...

Bądźmy szczerzy, Chris. Nie przeżyłbyś nawet pięciu minut. To nie jest film Tony 'ego Carpentera.

- Senor Faulkner?

Chris ostro wykręcił głowę w stronę łodzi. Do kobiety na pokładzie dziobowym dołączyła kolejna postać w mundurze khaki. Kiedy przeskoczyła na pomost, Chris skojarzył głos. Barranco.

Rozpoznał smagłe rysy, które zapamiętał ze spotkania HM nieco ponad rok temu - twarz pociemniała od słońca i dużych wysokości, szeroka w kościach policzkowych, ozdobiona błękitnymi oczami dorzuconymi do puli genetycznej przez jakiegoś europejskiego kolonistę dekady lub wieki temu. Te same krótko przycięte włosy, wzrost i długie kończyny idącego mu na powitanie Barranco. Ten sam mocny uścisk i badawcze spojrzenie. Wzrok pasował do kapitana jakiegoś okrętu bojowego z zeszłego stulecia, a może ostatnich łodzi pirackich, skanującego szary horyzont w poszukiwaniu ofiar.

- Señor Faulkner. Przypominam sobie pana z misji Hammett McColl. Człowiek z laptopem. Był pan wtedy bardzo milczący.

- Przyjechałem słuchać. - Chris sięgnął do kieszeni marynarki. - Tym razem...

- Bardzo powoli, proszę. - Barranco uniósł ręce. - Tak daleko od domu moi towarzysze zrobili się trochę nerwowi, i nie byłoby dobrze, gdyby uznali, że chce pan użyć tego pistoletu za paskiem.

Wskazał na kobietę przy karabinach maszynowych i człowieka na łądzie, stojącego teraz z zaciśniętym w wyprostowanej ręce pistoletem. Chris usłyszał trzask odbezpieczanej broni, obejrzał się w stronę domku i zobaczył wyłaniającego się z niego człowieka z karabinkiem szturmowym przy biodrze.

- A więc - powiedział Barranco - witam ponownie w Ameryce Łacińskiej.

* * *

Wnętrze chaty wyposażono w podstawowe wygody - ubikacja za plastikową ścianką działową, małe piecyk w rogu i wiekowy drewniany stół długi na dwa metry, poznaczony dekadami używania i porznięty całymi pokoleniami graffiti. Wokół stołu zebrano pół tuzina sfatygowanych plastikowych krzeseł wybranych przez Chrisa ze stosu, który zastali w chałupie, kiedy przyплыли na wyspę. Niezbyt pasowało to do standardów konferencyjnych Shorn. Okna były małe i zabrudzone, ale spod sufitu w równych odległościach zwisały żarówki oświetlenia wodnego, a długi wąż wciąż był nienaruszony, zwisając przez dziurę w podłodze do wody w dole. Chris sprawdził wcześniej system i wąż okazał się dobrze nasiąknięty. Teraz pstryknął przełącznikiem i trzy z pięciu żarówek rozbłyły łagodnym światłem. Barranco rozejrzał się po chacie i kiwnął głową.

- Cóż, nie jest to Panama Hilton - powiedział. - Ale z drugiej strony, pewnie nie jestem Luisem Montoya.

To wymagało reakcji. Chris spróbował zachichotać i gestem zaprosił Barranco do stołu.

- Proszę usiąść, señor Barranco. Obawiam się, że jak dotąd troszczyliśmy się głównie o bezpieczeństwo, nie komfort. Poza jednym czy dwoma zatwardziałymi wrogami narkotyków, Luis Montoya nie ma w Amerykach żadnych wrogów. Niestety, o panu nie da się tego powiedzieć.

- Problem, który oferuje pan za mnie rozwiązać, prawda? - Barranco nie usiadł. Zamiast tego kiwnął głową swoim ochroniarzom, którzy weszli za nim do środka. Bez słowa zajęli pozycje przy oknach, udając rozluźnienie, co jednak nikogo nie mogło oszukać. Żaden z nich nie rzucił Chrisowi więcej niż jednego spojrzenia, a i to przepelnionego oczywistą pogardą.

Chris podszedł do stołu i odsunął krzesło dla Barranco.

- Jestem pewien, że przy odrobinie szczęścia człowiek pańskiego pokroju zdołałby rozwiązać takie problemy samodzielnie, o ile tylko sprzyjałyby panu czas i szczęście. Proszę. Niech pan usiądzie.

Barranco się nie poruszył.

- Nie jestem podatny na pochlebstwa.

Chris wzruszył ramionami i usiadł.

- Wcale tak nie uważam. Stwierdziłem fakt. Wierzę, a raczej wierzę w to moi koledzy w Shorn, że potrafi pan rozwiązać wiele problemów, przed którymi stoi w tej chwili Kolumbia. Dlatego tu jestem. Ta wizyta stanowi demonstrację naszej wiary w pana.

To ściągnęło w końcu Barranco do stołu.

- Mówi pan „Kolumbia” - powiedział. - Czy tak pańscy koledzy w Londynie nazywają mój kraj?

- Nie, oczywiście, że nie. - Chris poruszył się przy stole i uniósł ręce, patrząc na ochroniarzy Barranco, zanim sięgnął wolno do marynarki i wyciągnął złożonego laptopa. Uznał, że w tych okolicznościach musiało to niezłe wyglądać. - Nazywamy go Monitorowaną Gospodarką Północnoandyjską, jak z pewnością pan wie. I zapewne zdaje pan sobie sprawę, że nie jesteśmy w tym odosobnieni.

- Tak. - Z jego głosu przebijała gorycz. Dłonie Barranco opadły na oparcie krzesła naprzeciw Chrisa. - Nie jesteście. Cały świat tak nas nazywa. Tylko ten syn kurwy w Bogocie używa nazwy Kolumbia, jakbyśmy nadal byli narodem.

- Hernan Echevarria - powiedział cicho Chris - do patriotyzm swoich rodaków, by nakarmić reżim, który wynagradza górne pięć procent populacji bogactwami i nurza twarze pozostałych w błocie. Nie potrzebuje pan mnie, żeby o tym wiedzieć. Ale myślę, że potrzebuje mnie pan, żeby coś z tym zrobić.

- Jak szybko to panu idzie. - Na twarzy Barranco pojawił się wyraz niesmaku, jakby wyczuł nieprzyjemny zapach dochodzący z umieszczonej za plastikową przegrodą toalety. - Jak szybko, od pochlebstw do przekupstwa. Czy nie powiedział pan, że ludzie tacy jak ja mogą...

- O ile dopisze im czas. - Chris spojrział mężczyźnie w oczy, upewnił się, że go uciszył, a potem wrócił do rozkładania laptopa. - Powiedziałem, że jeśli dopisze panu czas. I szczęście. I użyłem słowa „o ile”.

- Rozumiem. - Chris nie patrzył na niego, ale głos Barranco brzmiał, jakby mężczyzna się uśmiechał. *Jak szybko to idzie. Od szyderstwa do uśmiechu.* Ale nie podniósł jeszcze wzroku. Laptop był mocno pozaginany w kilku miejscach i Chris potrzebował chwili, by wyrównać jego krawędzie. Zajął się rozprostowywaniem ekranu. Usłyszał, jak przesuwa się krzesło naprzeciw niego i jak siada na nim Barranco.

Ekran rozjarzył się mapą Monitorowanej Ekonomii.

Chris podniósł wzrok i uśmiechnął się.

* * *

Później, kiedy przemaglowali już liczby i wywiesili je, by wyschły, wyszli na molo i stanęli na jego końcu, patrząc przed siebie. Na wschodzie niebo stopniowo się oczyszczało.

- Papierosa? - zapytał Barranco.

- Tak, dziękuję. - Chris przyjął podaną paczkę i wytrząsnął z niej pognieciony cylinder. Barranco podał mu ogień z poobijanej srebrnej zapalniczki benzynowej, ozdobionej wygrawerowanym tekstem w cyrylicy wokół czaszki i skrzyżowanych kości z datą 2007. Chris zaciągnął się i rozkaszał ze łzami od dymu.

- Och. - Wyciągnął z ust papieros i przyjrzał mu się, mrugając. - Skąd pan je ma?

- Ze sklepu, którego pan nie zna. - Barranco wskazał mniej więcej na południowy zachód. - Siedemset kilometrów stąd, w górach. Prowadzi go stara kobieta, która pamięta jeszcze dzień przejścia władzy przez Echevarrię. Nie sprzedaje amerykańskich marek. To czarny tytoń.

- Tak, zauważyłem. - Chris zaciągnął się jeszcze raz, już ostrożnie, i poczuł dym w

płucach. Machnął ręką. - A zapalniczka? Wojskowa, prawda?

- Nie. - Barranco znów wyciągnął zapalniczkę, pocierając kciukiem litery cyrylicy. - Reklamowa. Napisano tu *Papierosy śmierci - szkoda, że umrzesz*. Ale to, jak wy to nazywacie po angielsku? Przeróbka? Nielegalna kopia?

- Podróbka.

- Tak, podróbka. Jakiś szalony Anglik, jeszcze w zeszłym stuleciu, robił papierosy o takiej nazwie.

- Nie wygląda to na dobry pomysł.

Barranco odwrócił się i wydmuchał dym w twarz Chrisa.

- Przynajmniej był szczery.

Chris chwilowo zostawił to bez komentarza. Barranco spacerował po molo. Wyglądało, jakby na coś czekał.

- Myślę, że powinien pan przylecieć do Londynu, señor Barranco. Potrzebuje pan...

- Czy pańscy rodzice żyją señor Faulkner?

Przebiło go to na wylot, dziurawiąc z wolna wypełniający się balon poczucia, że właśnie dobili targu. - Nie.

- Pamięta ich pan?

Chris rzucił spojrzenie na twarz mężczyzny i zrozumiał, że nie ma czego negocjować. To warunek.

- Mój ojciec zginął, gdy byłem mały - zaczął, zaskoczony tym, jak łatwo słowa płyną z jego ust. - Nie pamiętam go dobrze. Matka umarła później, gdy byłem nastolatkiem. Na kolczastą gorączkę.

Barranco zmrużył oczy.

- Co to takiego?

Chris palił przez chwilę, sprawdzając przed odpowiedzią, czy dobrze ukrył te wspomnienia.

- Odmiana gruźlicy. Jeden ze szczepów opornych na antybiotyki. Mieszkaliśmy w strefie, odpowiedniku *waszych favelas*, a tam zawsze było pełno zarazy. Nie stać jej było na inteligentne leki, nikogo tam na to nie stać, więc brała tylko zwykłe antybiotyki, aż w końcu się poddała. Nikt nie był pewien, co ją zabiło: kolczasta gorączka czy coś innego, czego nie potrafił zwalczyć jej system odpornościowy. To trwało...

Nie zablokował tego obrazu. Odwrócił wzrok.

- Przykro mi - powiedział Barranco.

- To... - Chris przełknął ślinę. - Dziękuję, nic nie szkodzi. To było dawno temu.

Znów zaciągnął się papierosem, skrzywił wargi i wyrzucił go do wody. Przycisnął dłońmi gałki oczne, a potem spojrział na ślady wilgoci na palcach.

- Moja matka została zabrana - mruknął Barranco zza jego pleców. - W nocy, przez żołnierzy. W tamtych czasach zdarzało się to bardzo często. Ja również byłem wtedy nastolatkiem. Ojciec opuścił nas dawno temu, a ja wyszedłem na zebranie polityczne. Może to po mnie przyszli. Ale zamiast mnie wzięli ją.

Chris wiedział o tym. Czytał kartotekę.

- Zgwałcili ją. Ludzie Echevarrii. Torturowali ją przez wiele dni, prądem, a potem potłuczoną butelką. A później strzelili jej w twarz i zostawili umierającą na wysypisku śmieci,

na skraju miasta. Lekarz z La Amnestia powiedział mi, że jego zdaniem agonia trwała około dwóch godzin.

Chris powiedziałby, że mu przykro, ale świat stał się nagle zepsuty, i zabrakło mu odpowiednich słów.

- Rozumie pan, czemu walczę, señor Faulkner? Czemu walczyłem przez ostatnie dwadzieścia lat?

Chris potrząsnął głową nie znajdując odpowiedzi. Odwrócił się do Barranco i zobaczył, że na twarzy mężczyzny nie malowało się więcej emocji niż podczas niezobowiązującej rozmowy o papierosach.

- Nie rozumie pan, señor Faulkner? - Barranco wzruszył ramionami. - Cóż, nie mogę pana za to winić. Czasem nawet ja nie rozumiem. Są takie dni, kiedy więcej sensu miałyby wziąć kałasznikowa, wejść do dowolnego posterunku policji czy baru koszarowego i zabić wszystkich, którzy noszą mundur. Ale wiem, że za tymi ludźmi stoją inni bez munduru, więc zmieniam ten plan i zaczynam myśleć, że powinienem zaatakować budynek rządowy. Ale potem przypominam sobie, że ci ludzie z kolei są tylko przedstawicielami całej klasy posiadaczy ziemskich i finansistów, którzy nazywają siebie moimi rodakami. I znów zwracam głowę ku nowym celom. - Barranco machnął ręką. - Bankom. Ranczom. Osłoniętym murami dzielnicom. Liczba ludzi, których powinienem przy tym zamordować, rośnie jak wygrana na loterii. A potem przypominam sobie, że Hernan Echevarria nie utrzymałby się u władzy nawet jeden rok, gdyby nie miał wsparcia Waszyngtonu i Nowego Jorku. - Uniósł palec i wskazał na Chrisa. - Oraz Londynu. Jest pan pewien, señor Faulkner, że chce mnie pan wpuścić do waszej stolicy?

Chris, zajęty zbieraniem do kupy emocjonalnych wątków, wzruszył ramionami. Głos zacharczał mu w gardle.

- Zaryzykuję.

- Odważny z pana człowiek. - Barranco dopalił papierosa i wystrzelił go pstryknięciem do wody. - Tak sądzę. Bohater albo hazardzista. Jak mam pana nazywać?

- Sędzią charakterów. Myślę, że jest pan dostatecznie inteligentny, by panu zaufać.

- Pochlebia mi pan. A pańscy koledzy?

- Będą mnie słuchać. Za to właśnie mi płacą.

- Tak. Pewnie tak.

Chris zauważył, że głos Barranco opadł. To samo dostrzegł w oczach pozostałych.

kurwa

Przeszarżował, za dużo gabinetowego rozpędu macho na emocjonalnym zakręcie. Spiał się, żeby ograniczyć straty, ale to co chciał powiedzieć, wyrwało się spod kontroli po drodze na zewnątrz. Zamiast tego usłyszał, jak mówi prawdę.

- Co masz do stracenia? Jesteś w fatalnym stanie, Vicente. Obaj o tym wiemy. Wycofałeś się w góry, brakuje ci broni, żyjesz na retoryce. Jeśli Echevarria przyjdzie teraz po ciebie tak jak po Diaza, staniesz się historią. Jak Marcos, jak Guevara. Piękna legenda na cholernym T-shircie. Tego chcesz? I powiedz, na co się wtedy przydasz ludziom z MGP, którzy przechodzą teraz przez takie same męki jak kiedyś twoja matka?

Przez chwilę zawisła w powietrzu po tym, jak ostatnie słowo opuściło jego usta, Chris wyobraził sobie, że świat wykręca się wokół niego. Spojrzenie Barranco stwardniało,

usztynił postawę. Emocje były z niego tak wyraźnie, że nawet strażniczka na łodzi zerwała się na równe nogi. Chris przestał oddychać.

- To znaczy...

- Wiem, co to znaczy. - Barranco najpierw rozluźnił mięśnie. Odwrócił się do kobiety na łodzi i posłał jej znak. Opadła z powrotem na siedzenie. Kiedy się obrócił, na jego twarzy coś się zmieniło. - Wiem, co chciałeś powiedzieć, bo pierwszy raz zdobyłeś się na szczerość i to powiedziałeś. Nie potrafisz sobie wyobrazić, jaka to dla mnie ulga, Chrisie Faulknerze. Nie potrafisz zrozumieć, jak małe znaczenie miały dla mnie wszystkie twoje cyfry bez jakiegos znaku, że posiadasz duszę.

Chris znów nabrał powietrza w płuca.

- Należało zapytać.

- Zapytać, czy masz duszę? - W śmiechu Barranco nie było rozbawienia. - Czy w Londynie można zadawać takie pytania? Kiedy usiądę przy stole z twoimi kolegami, żeby ustalić, jaki kawałek PKB muszę im oddać w zamian za poparcie, jakie plony moi ludzie będą musieli zebrać, gdy ich dzieci będą głodować, bez jakich elementarnych usług medycznych będą musieli się obyć? Czy mogę ich wtedy zapytać, gdzie podzieli dusze, senor Faulkner?

- Nie, nie zalecałbym tego.

- Nie. A więc co by pan radził?

Chris rozważał to przez chwilę...

cholera, dotąd działało

...i znów powiedział szczerą prawdę.

- Radziłbym wyciągnąć od nich jak najwięcej przy minimalnym poświęceniu z pańskiej strony. Ponieważ to właśnie będą robić z panem. Zostawić sobie klauzule, dzięki którym w razie czego będzie się pan mógł wycofać, i pamiętać, że nic nigdy nie zapisuje się w kamieniu. Wszystkie umowy da się renegocjować, jeśli tylko uznają, że warto poświęcić czas.

Pauza. Barranco znów się roześmiał, tym razem jego głos zabrzmiał cieplej. Ponownie zaoferował Chrisowi papierosa, sam wziął następnego i zapalił oba rosyjską podróbką.

- Dobra rada, przyjacielu - powiedział przez dym. - Dobra rada. Myślę, że wynająłbym pana jako doradcę, gdyby było mnie na to stać.

- Może pan. Stanowię element pakietu.

- Nie. - Spoczęło na nim spojrzenie mężczyzny. - Wiem już o panu co nieco. Nie jest pan elementem pakietu, bo jakiś rys pańskiego charakteru na to nie pozwala. Może to... - Barranco wzruszył ramionami - honor.

Obraz pojawił się przed oczyma Chrisa, zanim zdołał go powstrzymać. Ciało Liz Linshaw w białym jedwabnym szlafroku rozwiązywanym i otwieranym jak prezent. Krzywizny i zacienione miejsca w środku. Dźwięk jej śmiechu.

- Myślę, że myli się pan co do mnie - powiedział cicho.

Barranco potrząsnął głową.

- Zobacz pan. Tam, gdzie się to liczy, też nieźle potrafię oceniać ludzi. Może i ci ludzie panu płacą, ale pan do nich nie należy.

* * *

Lopez dowiózł go do Bocas o zmierzchu. Usiedli w kawiarni nad brzegiem morza, czekając na odlot do David. Cekiny świateł restauracji na sąsiedniej wyspie wyglądały jak

wplecione wprost w mrok. Lokalne łódki kursowały po kanale, pełniąc funkcję taksówek. Głosy dryfowały nad wodą jak dym, hiszpańskie, od czasu do czasu angielskie słowo. Z tyłu kawiarni dobiegały kuchenne hałasy.

Spotkanie z Barranco już wydawało się snem.

- Czyli udało się - zagadnął Lopez.

Chris zamieszał koktajl.

- Na to wygląda. W każdym razie przyleci do Londynu. - Zablokował odtwarzany w kółko obraz Liz Linshaw i niechętnie wrócił do pracy. - Chcę, żebyś przygotował to jak najszybciej, ale w bezpieczny sposób. Najważniejsze jest jego bezpieczeństwo. Nie wolno ci narazić przy tym jego życia i pozycji strategicznej. Ja zajmę się nim w Londynie.

- Rachunki?

- Przez tajne konto. Nie chcę, żeby to wypłynęło wcześniej niż... Nie, lepiej sam za to zapłać. Gotówką. Prześlę ci pieniądze do Zurychu, jak tylko wrócę. Wyślij mi kosztorys do hotelu jutro rano. Aha, masz coś, co pomoże mi zasnąć?

- Nie przy sobie. - Lopez wyciągnął telefon. - Mieszkasz w Sheratonie, tak?

- Tak. 1101. Jenkins.

Ekran telefonu rozjarzył się zielenią. Lopez przejrzał listę i ustawił telefon przed twarzą. Po kilku dzwonekach odezwał się głos po hiszpańsku.

- *En ingles, guei* - powiedział niecierpliwie Lopez.

Osoba, z którą rozmawiał, wymamrotała coś paskudnego, a potem zmieniła język.

- Jesteś w mieście, stary?

- Nie, ale niedługo będzie tam mój przyjaciel. I potrzebuje czegoś, co pomoże mu zasnąć.

- *lofizil*

Lopez podniósł wzrok znad telefonu i spojrzał na Chrisa.

- Dużo łykasz takich rzeczy?

- Chryste, nie.

Agent znów opuścił wzrok na telefon.

- Zdecydowanie nie. Coś łagodnego.

- Dobra. Adres.

- Sheraton, pokój 1101. Pan Jenkins.

- Obciążyć konto czy kartę?

- Cholernie śmieszne. *Hasta luego*.

- *Hasta la suenta, amigo*.

Lopez zamknął telefon.

- Towar będzie czekać na ciebie w recepcji. Jak będziesz wchodził, zapytaj, czy są do ciebie jakieś wiadomości. Będzie koperta.

- Ręczysz za tego gościa, co?

- Tak, to chirurg plastyczny.

Chris nie potrafił zrozumieć, czemu powinno go to uspokoić, ale to nie miało już znaczenia. Myśl, że za chwilę zrzuci z siebie ciężar niewyspania związanego z różnicą czasu dzięki siedmiu czy ośmiu godzinom chemicznie gwarantowanego snu była jak wstęga finiszu przed oczyma. Liz Linshaw, Mike Bryant, Shorn, Carla, Barranco i jego filozofia... Niech

wszyscy znikną jak odrzucony balast. Nadchodził sen. Jutro będzie się martwił o resztę.
Ale za czekającą ulgą unosiły się słowa Barranco, jak głosy nad wodą.
Nie należy pan do nich.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Obudził się w standardowym luksusie Sheratona. Gdzieś obok uparcie pulsował sygnał połączenia z laptopa. Obrócił się w łóżku i rozejrzał nieprzytomnie po pokoju. Zlokalizował komputer na dywanie między porozrzucanymi ubraniami. *Biiiiip, biiip, pieprzone biiiiip.* Jęknął i wyczołgał się z łóżka, jedną rękę opierając na podłodze. Chwycił urządzenie, przyciągnął je do siebie i usiadł, rozkładając je na podółku. Uśmiechnęła się do niego nagrana twarz Mike'a Bryanta.

- Chris o poranku. Jeśli dobrze wszystko wyliczyłem, masz około trzech godzin do wylotu, więc do tego czasu zajmę czymś twoje myśli. Padłeś ofiarą ataku. I tym razem idziesz w dół!

Chris, przymulony towarem dostarczonym przez chirurga plastycznego, poczuł przechodzącą przez ciało ocieężałą falę alarmu. Potem twarz przyjaciela znikła, zastąpiona przez szachownicę. Kiedy on spał, Mike wyprowadził nieoczekiwany atak wieżą i skoczkiem. Źle to wyglądało.

- Sukinsyn.

Wstał i zaczął się kręcić po pokoju, pakując rzeczy. Wciąż nie do końca uwolniony od środków nasennych, przy śniadaniu głupio zareagował na gambit Mike'a i stracił królową. Wyglądało na to, że Bryant gra w czasie rzeczywistym. Pojechał na lotnisko, szukając sposobu, by uratować sytuację na planszy, i w poczekalni pozbierał pionki. Była sobota i Mike, jeśli wiedział, co dla niego dobre, powinien był zostawić grę na weekend. Mógł to przemyśleć przez następne parę dni i swobodnie pokonać Chrisa, ale Chris zbyt dobrze go znał. Bryanta przepełniało poczucie zwycięstwa, teraz więc uczepi się szachów i będzie grał w czasie rzeczywistym. Oglądać, wchłaniać, reagować - całą noc, jeśli trzeba. Kilka miesięcy temu Chris pożyczył mu *Szybkie szachy i impet ataku* Rakhimowa i Mike niemal pochłonął tę książkę. I chciał wygranej.

Gdzieś nad Karaibami Chris odparł atak. Kosztowało go to jedyne pozostałego gońca, a starannie przygotowana linia obrony legła w ruinach, ale impet ataku Mike'a wyhamował. Tempo ruchów spadło. Chris walczył wytrwale przez cały Atlantyk i do chwili lądowania w Madrycie udało mu się doprowadzić Mike'a do pata. Mike wysłał mu w odpowiedzi załącznik z fragmentem filmu Tony'ego Carpentera - impas po walce z *Oszusta*. Typowy dla Carpentera brak talentu aktorskiego, tekst ociekający truizmami. *Jesteśmy siebie wari. Powinniśmy walczyć po tej samej stronie. Czysty kicz.*

Chris uśmiechnął się szeroko i złożył laptopa.

Wysiadł z samolotu, skacząc po schodach, skorzystał z sauny i prysznic w poczekalni dyrektorskiej, czekając na połączenie, i przespał się w samolocie do Londynu. Śnił o Liz Linshaw.

Na Heathrow, opierając się o barierkę przy wyjściu, w starannym makijażu i ubraniu przylegającym do ciała czekała na niego Carla.

* * *

- Nie. Nie musiałaś. Wiesz, to podróż służbowa. Shorn zapłaciłoby rachunek za taksówkę do domu.

- Chciałam cię zobaczyć.

To czemu, do cholery, poleciałaś do Tromso? Nie powiedział tego. Przyglądał się krzywiźnie drogi przed sobą. W sobotę rano ruch na obwodnicy był niewielki i Carla prowadziła saaba przy stu pięćdziesięciu na środkowym pasie ze swobodą profesjonalnego mechanika.

- Jak tam twoja mama?

- Dobrze. Zajęta. Chcą wydać interaktywną wersję jej nowej książki, więc ją przepisuje, wstawiając sekcje odnośników z jakimś infoszczurem z uniwerku.

- Pieprzy się z nim? - Nie zabrzmiało to dobrze. Zbyt szorstko, za dużo ciszy w otoczeniu. Były czasy, kiedy Chrisowi uchodziły przytyki do życia seksualnego Kirsti, a Carla zwykle się z nich śmiała w udawanej złości. Teraz tylko spoglądała na niego i wróciła do obserwacji drogi, zaciskając wargi. Niemal namacalny chłód wypełnił samochód.

- Przepraszam, ja...

- To było wredne.

- Nie chciałem, żeby tak zabrzmiało. - Bezradnie.

Co się, do cholery, z nami dzieje, Carla. Co my tu, do cholery, robimy? Czy to tylko ja? Naprawdę?

Znow zobaczył Liz Linshaw, chętny uśmiech w wolnym pokoju, twarz i włosy w świetle ulicznych latarni zza okna, szklanka z wodą w dłoni. Kierowała chwilą z taką samą swobodą, z jaką Carla prowadziła saaba. Podeszła bliżej niż konieczne, by podać wodę, cierpki aromat whisky w jej oddechu. Ciche, pełne zaskoczenia *och* w kobiecych tonach nigdy niesłyszanych w jej audycjach telewizyjnych, gdy pociągnął za pasek z surowego jedwabiu, odsuwając poły szlafroka. Światła uliczne na krzywiznach pod nim. Dotyk jej piersi, gdy położył na niej dłoń, wypalił się w jego skórze. Miękki śmiech w jej gardle.

Highgate.

Wspominając to, odruchowo otworzył dłoń. Spojrzał na nią jakby szukając jakiegoś znaku.

Ja, och, Liz, nie mogę tego zrobić, skłamał. *Przepraszam,* i odwrócił się, wyglądając przez okno, pewny, że to jedyny sposób, by ją powstrzymać. Dygotał od siły emocji.

W porządku, powiedziała. Obserwował w oknie, jak się schyla, by postawić szklankę na stoliku przy futonie. Zanim wyszła, stała przez chwilę w drzwiach, patrząc na jego plecy, ale nic nie powiedziała. Nie zawiązała szlafroka. Szczelina między brzegami w odbitym obrazie była czarna, pozbawiona szczegółów, które umysł z ochotą podsunął.

Rano obudził się i znalazł szlafrok ułożony na kocu, pod którym spał. W którymś momencie nocy przyszła tu, zdjęła go z siebie i stała naga, przyglądając się, jak śpi. Myśl ta była przesycona erotyzmem, i poczuł, jak twardnieje pomimo łagodnego kaca.

Dom wokół niego był cichy. Śpiew ptaka z drzewa za oknem i pojedynczy samochodowy silnik gdzieś w oddali. Leżał w łóżku, oparty na łokciu, przymulony wypitym wieczorem alkoholem. Nie zastanawiając się nad tym, sięgnął po szlafrok, chwycił go i przycisnął do twarzy. Pachniał zmysłowo kobietą, jedynym zapachem kobiety poza Carla, jaki wahał od prawie dziesięciolecia. Szok był wręcz namacalny, przegonił kaca i niczym pocisk wstrzelił go w rzeczywistość. Odrzucił szlafrok i koc jednym ruchem, ubrał się. Portfel i zegarek zgarnął ze stolika, kiedy wkładał buty. Wysunął się z pokoju gościnnego i

znieruchomił.

Był w domu sam. Dobrze znał uczucie, które przepełniało to mieszkanie. Na stole kuchennym leżała ręcznie napisana notatka z informacją, gdzie znaleźć coś na śniadanie, numerem telefonu dobrej firmy taksówkowej i instrukcją włączenia alarmu. Podpisano ją *zostańmy w kontakcie*.

Wyszedł.

Nie miał ochoty na śniadanie i nie ufał sobie, że nie zrobiłby czegoś naprawdę głupiego. Może przejrzałby jej rzeczy, albo co gorsza, poczekał na jej powrót. Uaktywnił alarm i drzwi zamknęły się za nim przy akompaniamencie narastającego pisku ładowanych kondensatorów.

Znalazł się na obsadzonej drzewami pochyłej ulicy wznoszącej się za nim, opadającej tuż przy domu Liz, a potem znów unoszącej się ku linii horyzontu. Przy krawężnikach zaparkowanych było kilka drogich samochodów i czterokołowców, a u podstawy wykreślonej przez ulicę paraboli ktoś spacerował z owczarkiem niemieckim. Nie było widać nikogo. Wyglądało to na miłą okolicę.

Nie znał Highgate, był w tej okolicy tylko kilka razy w życiu, na pełnych alkoholu i prochów imprezach w mieszkaniach dyrektorów HM. Ale powietrze było rześkie, a na niebie ni śladu deszczowych chmur.

Wybrał przypadkowy kierunek w dół i ruszył przed siebie.

Saab podskoczył na źle załatanej dziurze. Przerzucił go z powrotem do rzeczywistości. Wspomnienia o Highgate przepadły, znikając we wstecznym lusterku.

- Carla. - Sięgnął przez oddzielającą ich przestrzeń. Dotknął palcami jej policzka. - Słuchaj, przepraszam. Nie chciałem powiedzieć nic złego o twojej matce, to był żart.

- Cha, cha.

Stłumił wybuch gniewu.

- Musimy z tym skończyć, Carla. Jesteśmy ze sobą dopiero pół godziny i już się kłócimy. To nas zabija.

- To ty... - Urwała, a on zastanawiał się, co takiego stłumiła. Czyżby podobnie jak on własny gniew.

Czy tak właśnie wygląda, zaczął się zastanawiać, jedyny sposób, by wytrzymać w długotrwałym związku? Ukryć swoje myśli, tłumić uczucia, tworzyć neutralną ciszę, która nie będzie ranić? Czy o to tu chodzi? Neutralność na rzecz ciepłego łóżka?

Czy dla czegoś takiego odrzuciłem Liz?

Liz, czekającą, owiniętą w biały jedwab, który przechował jej zapach.

- Zjedź na bok, Carla.

- Co?

- Zjedź. Zatrzymaj się. Tam, w tej zatoczce. Proszę.

Rzuciła mu niepewne spojrzenie. Musiała zobaczyć coś w jego twarzy, bo saab wytracił prędkość i zjechał ku poboczu. Carla zredukowała bieg i zwolniła poniżej setki. Do zatoczki i hamowanie. Odwróciła się na fotelu w jego stronę.

- Dobra.

- Carla, posłuchaj. - Położył dłonie na jej ramionach, wyczuwając drogę do tego, co musiał powiedzieć. - Proszę, nie uciekaj więcej w ten sposób. Brakowało mi ciebie. Naprawdę. Potrzebuję cię, i kiedy cię tu nie mają... Tak bardzo mi cię brakuje. Robię głupoty.

Szerzej otworzyła oczy.

- Jakie głupoty?

Przecież nie mógł jej tego powiedzieć. Nie mógł.

Myślał, że opowie jej o imprezie u Troya Morrisa, Liz i jej propozycji dotyczącej książki, ale nie mógł tego zrobić. Kiedy wyczuła, że coś ukrywa, i zaczęła naciskać, przyznał się do wypadu z Mikiem do strefy i tego, co zrobili Griffowi Dixonowi i jego kumplom.

Zbielała, gdy o tym opowiadał.

- To nie możesz być... - wyszeptała. - Ty... Oni nie mogli... - Jej głos wzniósł się do krzyku. - Ludzie nie mogą *robić* takich rzeczy. To *nielegalne*.

- Powiedz to Mike'owi. Och, Chryste, powiedz to całej pieprzonej korporacji Shorn, skoro już przy tym jesteśmy. - A potem wysypało się z niego wszystko, następny poranek, kontrakt MGP, burdel z Lopezem i Langley, trupy w Medellin. Panama, Barranco i jego ciche naleganie. *Nie należy pan*. Kiedy dotarł do końca, cały się trząsał, a w jego gardle narastało coś, co wziął za śmiech, ale kiedy w końcu się wyrwało, oczy miał mokre. Odpiął swój pas i wychylił się przed oddzielającą ich przestrzeń. Przyciągnął do siebie Carlę, zaciskając zęby, żeby zachować choć resztki samokontroli.

Przytulili się do siebie.

- Chris. - W jej głosie było coś, co też przypominało śmiech, ale to i tak nie miało dla niego znaczenia. - Chris, posłuchaj mnie. Wszystko w porządku. Jest sposób, żeby się z tego wyrwać.

* * *

Zacząła mu wszystko relacjonować. Nie upłynęła nawet minuta, gdy na nią wrzasnął.

- Nie mówisz, kurwa, poważnie, Carla. To nie jest sposób, żeby...

- Chris, *proszę*, posłuchaj mnie.

- Pieprzony *inspektor*. Za kogo ty mnie masz, za *socjalistę*? Pieprzonego nieudacznika? Ci ludzie są...

Gestem spróbował wyrazić potworność jej sugestii, bo nie potrafił znaleźć właściwych słów. Carla złożyła ręce i spojrzała na niego.

- Są jacy? Niebezpieczni? Chcesz mi jeszcze raz powiedzieć, jak w zeszły weekend zamordowałeś w strefie trzech nieuzbrojonych ludzi?

- To były śmieci, Carla.

- A ci bandyci, w styczniu? To też były śmieci?

- To...

- A ludzie w kawiarni w Medellin? - Znow podniosła głos. - Ludzie, których zabiłeś w walce o Kambodżę. Isaac Murcheson, o którym śniłeś co noc przez rok po tym, jak go zabiłeś. A teraz masz kurewską czelność mi mówić, że inspektorzy są *niebezpieczni*!?

Uniósł dłoń.

- Nie powiedziałem tego.

- Zamierzałeś.

- Nie wiesz, co miałem na myśli - skłamał. - Zamierzałem powiedzieć, że ci ludzie, Carla, to nieudacznicy, sprzeciwiają się fali globalizacji, *postępu*, do jasnej cholery.

- To jest postęp? - zapytała. Wyglądała, jakby nagle uszło z niej powietrze. - Bałkanizacja i rzeź za granicą oraz wolny rynek żywiący się kośćmi, ekonomia skraj

ubóstwa i gladiatorские pojedynki na drogach. I to ma być postęp?

- To słowa twojego ojca.

- *Nie, pieprz się, Chris*, to moje słowa. Myślisz, że nie mam własnego zdania? Myślisz, że nie mogę się rozejrzeć i zobaczyć, w co się tu gra? Myślisz, że skutki tego, co się wokół dzieje, w żaden sposób na mnie nie wpływają?

- Ty nie...

- Wiesz, kiedy mówię ludziom w Norwegii, gdzie mieszkam, gdzie *postanowiłam* zamieszkać, patrzą na mnie jak na jakiegoś przygłupa. A kiedy dodaję, czym zajmuje się mój mąż, oni...

- Och, no proszę. - Odwrócił się od niej w ciasnej kabinie samochodu. Za szybą wiatr smagał wysoką trawę porastającą wały. - Znów, cholera, to samo.

- Posłuchaj mnie, Chris. - Położyła dłoń na jego ramieniu. Strząsnął ją gniewnie. - Musisz popatrzeć na wszystko z dystansu. To właśnie robiłam w Tromso. Dopiero wtedy zrozumiesz. Jesteś płatnym mordercą, Chris. Płatnym mordercą, dyktatorem we wszystkim oprócz nazwy.

- Och, na...

- Echevarria, tak? Opowiadałeś mi o Echevarrii.

- Co z nim?

- Mówiłeś o nim tak, jakbyś go nienawidził. Jakby był potworem.

- Szczerze mówiąc Carla, jest nim.

- A na czym polega różnica między wami? Podpisujesz się pod każdą popełnioną przez niego zbrodnią. Opowiadałeś mi o torturach, o ludziach zamkniętych w celach policyjnych i ciałach na wysypiskach śmieci. Ty wysłałeś tam tych wszystkich ludzi, Chris. Równie dobrze mógłbyś sam potraktować ich elektrodami.

- To nie fair. Echevarria nie jest mój.

- Nie jest *twój*?

- To nie moje konto, Carla. Nie podejmuję decyzji w jego sprawie. Właściwie...

- Och, a Kambodża czymś się różni? Tam podejmujesz decyzje, sam mi to *powiedziasteś*, a kiedy byłam w Norwegii, czytałam raporty, Chris. Dla odmiany niezależną prasę. Mówią że Khieu Sary będzie równie okropny jak oryginalni Czerwoni Khmerzy.

- To bzdury. Khieu jest pragmatykiem. To dobry koń, nawet jeśli wymknie się spod kontroli, możemy...

- Spod *kontroli*? Co to oznacza, że wyrwie się spod kontroli? Jeśli liczba trupów przekroczy dziesiątki tysięcy? Jeśli zabraknie miejsca na potajemne ich grzebanie? Chris, do kuźwy nędzy, posłuchaj, co mówisz.

Odwrócił się z powrotem.

- Nie stworzyłem zasad rządzących światem, Carla. Po prostu próbuję w nim żyć.

- Nie musimy żyć w taki sposób.

- Nie? A chcesz mieszkać w cholernych strefach? - Sięgnął i chwycił jej skórzaną kurtkę. - Myślisz, że noszą tam takie rzeczy? Myślisz, że mieszkając w strefie, polecisz sobie do Skandynawii, kiedy tylko najdzie cię ochota?

- Ja nie...

- Chcesz być staruszką kiedy dobijesz *czterdziestki*? - Skurczyła się od jadu w jego

głosie. Tracił nad sobą panowanie, w oczy szczypały go łzy. - Tego właśnie chcesz, Carla? Nadwagi od świństw, którymi szprycują tam jedzenie, cukrzycy od nadmiernej zawartości cukru, alergii od dodatków, braku pieniędzy na opiekę lekarską. Tego właśnie chcesz? Chcesz umrzeć biedna, umrzeć, *bo* jesteś biedna? *Czy tego właśnie, do kuźwy nędzy, chcesz, Carla, bo...*

Uderzenie w policzek wykręciło mu głowę. Wyrwało łzy spod kontroli. Zamrugnął i posmakował krwi.

- Teraz ty mnie posłuchaj - powiedziała bezbarwnie. - Zamknij się i słuchaj, co mam do powiedzenia, albo z nami koniec. Mówię poważnie, Chris.

- Nie masz pojęcia... - wymamrotał.

- Nie próbuj się wywyższać, Chris. Mój ojciec żyje w strefie...

- *Twój ojciec!* - Szyderczo. Znów głośniej. - Twój ojciec nie...

- Ostrzegam cię, Chris.

Odwrócił wzrok. Opanował gniew.

- Twój ojciec - powiedział cicho - to turysta. Nie ma dzieci. Nikogo na utrzymaniu. Nic nie wiąże go z tamtym miejscem, nic go nie *zmusza*, by tam siedział. Nie jest taki jak ludzie, którymi się otacza, i nigdy nie będzie. Gdyby zechciał, jutro mógłby stamtąd uciec, i na tym polega różnica.

- On uważa, że może coś zmienić.

- A może?

Cisza. W końcu na nią spojrział.

- Może, Carla? - Sięgnął i ujął jej dłoń. - Wczoraj byłem po drugiej stronie planety i rozmawiałem z człowiekiem, który może wykopać Echevarrię z MGR. I będzie tak, jeśli to przeforsuję. Czy to nie jest czegoś warte? Czy to nie lepsze od artykułów, jakie wykuwa twój ojciec dla czytelników, którzy zszokowani pokiwiają głowami i nigdy nie ruszą palcem, żeby cokolwiek zmienić?

- Jeśli nagle tak ważne stało się dla ciebie naprawianie świata, czemu nie...

Głośny warkot rotora nad głowami. Samochód zachwiał się na resorach. Zatrzeszczało radio.

- Kontrola ruchu. Tu kontrola ruchu.

Hałas rotora jeszcze się zwiększył pomimo wyciszenia kabiny saaba. W polu widzenia pojawił się brzuch helikoptera, czarny z jaskrawą zielenią z płozami i zawieszonymi po bokach kamerami i gatlingami. Odsunął się o kilka metrów, jakby obawiając się nieruchomego samochodu. Z radia znów dobiegł głos.

- Właściciel saaba numer rejestracyjny S810576, proszę dokonać identyfikacji.

Po kiego grzmota, kretynie? Myśl wybuchła na fali złości. *Porównaj z bazą zdjęć, które zrobiłeś mi przez szybę, zamiast, do cholery, marnować mój czas.*

- Takie są przepisy bezpieczeństwa - upomniał głos.

- Tu Chris Faulkner - powiedział ciężko. - Prawo jazdy 260B354R. Pracuję w Shorn Associates. A teraz wypierdalaj. Moja żona nie czuje się dobrze, a ty nie pomagasz.

Przez chwilę panowała cisza weryfikacji numerów. Gdy głos znów się odezwał, brzmiał inaczej.

- Przepraszam, sir. Jeśli pańska żona wymaga opieki medycznej, możemy...

- Powiedziałem, żebyś spadał.

Helikopter wisiał jeszcze przez chwilę, potem okręcił się w powietrzu i wzniósł się, nikiąc z pola widzenia. Przez chwilę siedzieli, wsłuchując się w coraz cichszy warkot.

- Miło wiedzieć, że pilnują - odezwała się gorzko Carla.

- Tak. - Zamknął oczy.

Dotknęła jego ramienia.

- Chris.

- Dobrze. - Kiwnął głową i otworzył oczy. - Dobrze. Porozmawiam z nimi.

TECZKA #3

POMOC ZAGRANICZNA

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Dwa tygodnie.

Dla Chrisa, pogrążonego w wirze przygotowań, czas mijał jak we śnie. Przeżywał zniekształconą kopię prawdziwego życia, zabarwioną w równych proporcjach napięciem rodem z koszmaru i dziwną, niespodziewanie romantyczną nostalgią.

Praca przebiegała tak, jak się spodziewał. Zachowywał się normalnie i uważał na plecy. Ruchy wojsk w Assamie, porwanie zakładników w Paranie, a w Kambodży seria nieprzewidzianych przez nikogo egzekucji. Wszystko traktował z upiornym spokojem.

W domu nie odważył się rozmawiać z Carlą otwarcie, więc podjęli dziwaczne podwójne życie, zachowując się, jakby nic się nie zmieniło i rozmawiając przyciszonymi głosami w bezpiecznym zamknięciu saaba. Carla zdołała nakłonić Erika i Kirsti do współpracy w charakterze łączników z inspektorami i regularnie jeździła do Brundtlandu po szczegółowe informacje od ojca. Zastosowano jakiś rodzaj kodu poprzez łącze sieciowe Erika, a przykrywką dla przepływu informacji było rzekome pojednanie między jej rodzicami. Zebrane wiadomości Carla przekazywała Chrisowi w samochodowych rozmowach.

Do tego dochodziła nostalgia, gorzko-słodki smak czegoś prawie zużytego. Chwile w saabie miały charakter zakazanych kontaktów seksualnych i raz czy dwa nawet tak się zakończyły. Przez resztę czasu, zachowując się normalnie dla ewentualnych słuchaczy, traktowali się z niezwykłą czułością i obdarzali względami. W obu aspektach życia szło im lepiej, niż zdarzało się od miesięcy.

Było to dziwne.

Po dwóch tygodniach przyjechał inspektor.

* * *

Truls Vasvik wzbudził w nim niechęć od pierwszego wejrzenia.

Po części wiązało się to z jego norweskim pochodzeniem - tą samą irytującą aurą pełnej swobody kompetencji w terenie, którą zauważył u większości przyjaciół Carli przy tych paru okazjach, kiedy byli w Tromso we dwoje. Ale przede wszystkim chodziło o ubranie. Siedział przed nim wyszkolony profesjonalista, zarabiający według Carli przynajmniej tyle samo co on, a Chris mógłby kupić cały jego strój za mniej, niż zazwyczaj wydawał na fryzjera. Szara wełna swetra była ponaciągana i sfilcowana, byle jakie spodnie wygniecione w kolanach, a buty od ciągłego noszenia nabrały kształtu stóp Vasvika. Płaszcz wyglądał, jakby mężczyzna w nim spał. Beztrąsko związane czarne, siwiejące włosy dopełniały obrazu nastoletniego antyglobalisty, który nigdy nie dorósł.

I dokładnie tym jest.

- Dzięki, że wpadłeś - powiedział ostrożnie.

Vasvik wzruszył ramionami.

- To ja powinienem podziękować. Podejmujesz znacznie większe ryzyko niż ja.

- Naprawdę? - Chris spróbował zignorować skurcz, który komentarz Vasvika wywołał w jego żołądku. Spisek sprawił, że czuł się nieswojo, choć jakaś część jego umysłu dumiała, czy inspektor nie próbuje go czasem nastraszyć. - Myślałem, że obaj zostalibyśmy cholernie szybko aresztowani.

- Tak, zostalibyśmy. Ale twój rząd byłby zmuszony mnie wypuścić, i to bez obrażeń. Na to wystarczyłoby nam władzy. Policja może trochę nade mną popracować po aresztowaniu, ale mało prawdopodobne, żeby było to gorsze od niektórych z moich wcześniejszych przygód.

- Twardy gość, co?

Kolejne wzruszenie ramion. Vasvik rozejrzał się po warsztacie i dostrzegł ustawiony pod ścianą stary stołek ze stalowych prętów. Poszedł go przynieść. Chris opanował irytację i odczekał na powrót Norwega. Znow nie potrafił zdecydować, czy Vasvik robi to specjalnie. Inspektora otaczała aura nieprzeniknionego spokoju.

Za ścianą, w warsztacie Mela, zajęczały i zazgrzytały narzędzia. Dźwięk szarpał nerwy. Znalezienie bezpiecznego miejsca na spotkanie nie było łatwe i nawet teraz zastanawiał się, jak dalece powinien ufać szefowi Carli.

- Cóż. - Vasvik przyciągnął stołek pod rozbebeszone audi dźwignięte na podnośniku i usiadł. - Porozmawiamy o ekstrakcji?

- Za chwilę. - Chris kręcił się pod audi. *Ekstrakcja*. Sposób, w jaki słowo zawisło w powietrzu, wywołał kolejny skurcz wnętrzości. Trochę jak podejść do Louise Hewitt w środku zebrania kwartalnego i zapytać, czy chce się pieprzyć. - Dopiero przyzwyczajam się do tej myśli. Może jeszcze trzeba mnie przekonać.

- W takim razie marnujemy sobie nawzajem czas. Nie przyszedłem tu, żeby cię do czegoś przekonywać, Faulkner. Przeżyjemy w KHENZ i bez ciebie.

Chris wbił w niego wzrok.

- Carla powiedziała...

- Carli Nyquist na tobie zależy. Mnie nie. Osobiście, Faulkner, kompletnie mnie nie obchodzi, co się z tobą stanie. Myślę, że jesteś śmieciem. Ludzie od etyki handlu chcieliby usłyszeć, co masz do powiedzenia, i dlatego tu jestem, ale nie myl mnie ze sprzedawcą. Nie muszę cię ściągnąć, żeby moje nazwisko znalazło się wyżej na jakiejś liście, i szczerze mówiąc, mam lepsze rzeczy do roboty. Wchodzisz albo nie. Masz wybór. Ale nie marnuj mojego czasu.

Chris się zaczerwienił.

- Powiedziano mi - mruknął bezbarwnie - że KHENZ rekrutuje ludzi, *śmieci* jak ja, na inspektorów. To ważne, bo potrzebuję pracy. Już. Zostałem źle poinformowany?

- Nie. To prawda.

- Czyli zostaniemy kolegami.

Vasvik spojrzał na niego lodowato.

- Różni się trafiają.

- To musi być trudne - zadrwił Chris. - Pracować z ludźmi, którzy cię brzydzą. Stykać się z tak niskiej jakości człowieczeństwem.

- Życie ze smrodem to dobre przygotowanie do pracy tajnego agenta.

Udostępniony im przez Mela warsztat został godzinę temu sprawdzony pod kątem podsłuchu, a w pozostałych pomieszczeniach zbyt intensywnie pracowano z metalem, by możliwe było szpiegowanie z zewnątrz. Mimo wszystko, gdy przebrzmiały ostatnie słowa Vasvika, Chris miał wrażenie, że otacza go pełna napięcia widownia. Zacisnął pięści.

- Czy masz pojęcie - powiedział - do kogo ty, kurwa, mówisz?

Drugi mężczyzna uśmiechnął się szeroko, błyskając zębami.

- Może mnie oświecisz.

- Traktowałem cię z szacunkiem...

- Nie masz wyboru, Faulkner. Jestem twoim wyjściem awaryjnym. Tak bardzo chcesz się z tego wydostać, że aż śmierdzisz tym pragnieniem. Twoja nędzna uschnięta duszyczka zmęczyła się w końcu tym, co robisz w pracy, i szukasz teraz sposobu, żeby ją odkupić i nie stracić przy tym pensji. Jestem twoją jedyną nadzieją.

- Wątpię, żebyś zarabiał tyle ile ja.

- A wątp sobie.

- Och tak? I wszystko wydajesz na ciuchy, co? - Chris dźgnął palcem w stronę Norwega. - Znam takich jak ty, Vasvik. Dorastałeś w przytulnym, małym skandynawskim państwie opiekuńczym, a kiedy przekonałeś się, że reszta świata nie stać na te same, sztucznie wyśrubowane standardy ekonomiczne rodem z przedszkola, nigdy się z tym nie pogodziłeś. Teraz kręcisz się, strojąc fochy i obnosząc się z wyższością moralną, bo świat nie zachowuje się tak, jakbyś tego chciał...

Vasvik obejrzał kant własnej dłoni.

- Tak, ale z drugiej strony nie musiałem się przyglądać, jak moja matka umiera na uleczalną chorobę, a potem...

- Hej...

- A potem nie poszedłem do pracy dla ludzi, którzy do tego doprowadzili.

To było jak uderzenie błyskawicy. Wolno tłący się gniew eksplodował w furję i Chris ruszył przed siebie. Atak przemknął przez skraj jego kontroli. Cios szotokan w skroń, który gdyby trafił, zabiłby Vasvika. Jednak inspektora już tam nie było. Stołek zachwiało się w powietrzu i wyrzucił na bok. Vasvik zmienił się w wir czarnego płaszcza i wyciągniętych w bok rąk. Chris poczuł uchwyt na wykręconym w subtelny sposób nadgarstku, i nagle poleciał przez warsztat na skrzydłach własnego impetu.

Uderzył w półkę, próbując osłonić się rękami. Jakiś dźwięk zza pleców i coś podcięło mu nogi na wysokości kostek. Jego twarz walnęła w deskę między rozsypanymi śrubami i nakrętkami. Coś ostrego rozharatało mu policzek. Poczucił na sobie ciężar Vasvika i spróbował kopnąć. Norweg zablokował jego ramię u podstawy karku, chwycił głowę za włosy i przydusił ją bokiem do półki.

- *Błąd* - powiedział przez zaciśnięte zęby wprost do ucha Chrisa. - Dobra, będziesz się już zachowywał, czy mam ci złamać tę pieprzoną rękę?

Chris spał się pod ciężarem napastnika, ale zdawał sobie sprawę, że nic już nie działo. Zwiotczał. Vasvik puścił go nagle i odskoczył. Chris usłyszał, jak gdzieś za nim inspektor podnosi stołek. Kiedy wstał i odwrócił się, Vasvik znów siedział. Na jego bladym czole widać było ślad potu, ale poza tym nic nie wskazywało, że przed chwilą stoczył walkę.

- Mój błąd - przyznał cicho, nie patrząc na Chrisa. - Nie powinienem był pozwolić ci się tak zbliżyć. W strefie walk w Kambodży tego rodzaju nieostrożność kosztowałaby mnie kulę w tył głowy.

Chris stał, mruganiem tłumiąc łzy. Vasvik westchnął ciężko. W jego głosie dało się słyszeć zmęczenie.

- Jako inspektor operacyjny zarobisz około sto osiemdziesiąt tysięcy euro rocznie, netto.

W tym dodatek za pracę w warunkach zagrożenia życia, jaką podejmujesz przez mniej więcej sześćdziesiąt pięć procent czasu. Praca tajnego agenta, naloty, ochrona świadków. Przez resztę godzin siedzisz za biurkiem. Administracja i planowanie. Żebyś się za szybko nie wypalił. - Kolejne westchnienie. - Mieszkanie i szkoła dla dzieci za darmo, pokrycie kosztów i wydatków w trakcie misji. Przepraszam za ten tekst o twojej matce. Nie zasługiwałaś na to.

Chris prawie się roześmiał.

- *Mówiłem*, że zarabiam więcej od ciebie.

- Jasne, w takim razie pieprz się. - Ton głosu Vasvika nie zmienił się nawet przez chwilę, a spojrzenie nie opuściło rogu warsztatu.

- Lubisz to? - zapytał go w końcu Chris.

Inspektor na niego popatrzył.

- To jest ważne - powiedział, przerywając przy każdym słowie, jakby język zaczął mu nagle sprawiać trudności. - Robię coś, co ma znaczenie. Nie spodziewam się, że to zrozumiesz. Kiedy mówi się to głośno, brzmi jak kiepski żart. Ale to coś znaczy.

Przez chwilę na siebie patrzyli. Potem Chris sięgnął do kieszeni i wyciągnął dysk w plastikowej kopercie.

- To spis kont, do których mam dostęp w Shorn. Nie ma tam nic, co moglibyście wykorzystać, ale każdy, kto orientuje się w temacie, oceni, ile wiem. Weź to i zapytaj ich, czy warto mnie wyciągać. Chcę pakietu, o którym mówisz, plus milion dolarów lub ekwiwalent w euro, kiedy już mnie wydostaniecie.

Zobaczył wyraz twarzy Vasvika. Usłyszał, jak twardnieje jego własny głos.

- To nie podlega negocjacjom. Jeśli teraz się wycofam, bardzo dużo stracę. Jestem tu urządzony. Wygodnie. Opcje na akcje, przywileje dyrektorskie. Dom. Reputacja w branży, koneksje wśród klientów. Wszystko to jest coś dla mnie warte. Chcesz mnie, to spraw, żeby mi się to opłaciło.

Rzucił dysk. Vasvik go złapał i obejrzał z ciekawością. Przeniósł wzrok z powrotem na Chrisa.

- A jeśli aż tak nam na tobie nie zależy?

Chris wzruszył ramionami.

- Wtedy tu zostanę.

- Tak? Jesteś pewien, że wciąż masz na to dość nerwów?

- Nie jestem taki jak ty, Vasvik. - Chris przesunął palcami po rysie na policzku i spojrzał na plamiącą je krew. - Wystarczy mi jaj.

* * *

Vasvik odjechał w osłoniętej skrzyni ciężarówce dostarczonej przez Mela, kierującej się do Paryża po części Renault. Prowadził Jess, bez strzelca. Agenci KHENZ pomogą inspektorowi wyparować na drugim końcu trasy. Carla sprzedała Melowi całą sprawę jako spory dotyczące preferencyjnych kontraktów na zaopatrzenie, z nową tajną ofertą Volvo, która miała zmienić status BMW w Shorn. Zarówno Mel jak i Jess serdecznie nienawidzili BMW i jeśli o nich chodziło, cokolwiek, co mogło zmniejszyć ich liczbę na ulicach Londynu, musiało być dobre kochanie, po prostu *musiało*.

Carla przyszła kilka minut później z odsuniętą do góry maską spawalniczą na głowie. Chris próbował właśnie ocenić uszkodzenia twarzy w stłuczonym kawałku lusterka, które

znalazł na podłodze.

- Co mu powiedziałeś? - zapytała ze złością.

Chris przycisnął policzek, zerkając na rozcięcie w odłamku lustra.

- Podałem mu nasze warunki. I dałem mu dysk. Poszło jak z płatka.

- Pobiliście się, prawda?

- Doszło do drobnej sprzeczki. - Dał spokój z lustrem i odwrócił się do niej. - Powiedziałem parę rzeczy, których nie powinienem. Potem on powiedział coś, czego *naprawdę* nie powinien był mówić. Potrzebowaliśmy chwili, żeby to sobie wyjaśnić.

- Chris, on próbuje ci *pomóc*.

- Nie. - Nie potrafił powstrzymać złości. - Szuka korzyści, Carla. Dokładnie jak każdy inny sukinsyn na tym świecie. Qui pro cholerne quo.

Przez chwilę przyglądała mu się w milczeniu, a potem odwróciła się i wyszła z warsztatu. Pozwolił jej odejść.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Przez większość następnego tygodnia padało i drogi zrobiły się zdradliwe. Pobieżne naprawy jak zwykle nie wytrzymały letniej aury, a różne firmy wciąż kłóciły się o to, kto powinien to naprawić. Chris prowadził saabę z umiarkowaną prędkością, dojeżdżając do Shorn później niż zwykle i załatwiając wiele spraw przez telefon z samochodu. Terminal zajmował się zdalnym kodowaniem i automatycznie przekazywał upierdliwych klientów.

Z powrotem do pracy. Z powrotem do udawania.

Teraz, skoro już zrobił pierwszy krok, było łatwiej. Dwa tygodnie zjadającej go niepewności, niewiedzy, czy uda im się to przeprowadzić, bo nie potrafił powiedzieć, jak naprawdę zakończy się jego spotkanie z Vasvikiem - teraz ustąpiły konkretnym informacjom. Wiedział już, że go chcą, wiedział na poziomie, któremu mógł zaufać bardziej niż życzeniowym zapewnieniom Carli i własnym mieszanym uczuciom. Teraz była to tylko kwestia doczekania, żeby przekonać się, czy ich na niego stać. Nie mógł stracić. Jeśli ich stać, odchodzi. Jeśli ich nie stać, zostaje. Tak czy tak, będzie miał pracę, będzie miał gwarancję dalszego życia. *Dochód.*

Jakaś drobna część jego umysłu wiedziała, że zostając, straci Carłę, ale jakoś nie potrafił stwierdzić, żeby miało to aż takie znaczenie, jak powinno.

Z powrotem do pracy.

W środę rano, gdy skręcał na podjazd Elsenham, zadzwonił do niego Lopez. Z potwierdzeniem daty przybycia Vicente Barranco.

- Wszystko gotowe - zabrzmiał głos agenta przez trzaski dekodera i kiepskie łącze satelitarne. - Przyleci akurat w trakcie targów North Memorial. Możesz go oprowadzić, kupić parę karabinów.

- Tak, to... *Cholera.* - Zdjął nogę z pedału gazu i prawie zahamował, uświadamiając sobie, co to oznacza.

- Chris? - Lopez brzmiał na zaniepokojonego. - Jesteś tam?

Westchnął. Samochód znów przyspieszył, zjeżdżając po rampie.

- Tak, jestem. Pewnie nie da się już opóźnić jego przyjazdu o jakiś tydzień?

- *Tydzień?* Jezu, Chris, powiedziałaś: najszybciej jak to możliwe. Powiedziałaś, że ustawisz wszystko...

- Tak, wiem. - Deszcz przybrał na sile. Chris włączył wycieraczki. - Słuchaj, zapomnij o tym. Wysyłaj go tutaj. Reszta to mój problem.

- To coś, o czym powinienem wiedzieć?

- Nie. Postąpiłeś słusznie, wszystko w porządku. Będę w kontakcie. - Rozłączył się i wystukał numer.

- Tak, tu Bryant.

- Mike, tu Chris. Mamy...

- Właśnie cię potrzebowałem. Dojechałeś już?

- Nie, jadę. Słuchaj, Mike...

- Co byś powiedział, gdybym poprosił, żebyś mi pożyczył trochę tych materiałów o rynkach rozwijających się, tych, o których nie chcesz już rozmawiać, co? *Cholera*, nie

uwierzysz, co się stało dziś rano w Harbin.

- Mike...

- Pamiętasz, co szykowaliśmy razem z gośćmi z RR? Sprzedaż sieci transportowej?

Chris poddał się i przeszukał pamięć. Północno-wschodni skraj byłej Chińskiej Republiki Ludowej nie należał do strefy jego zainteresowań. Poza tendencjami etnicznych Chin, w które angażował się Tarim Pendi, nie zwracał zbyt wiele uwagi na ten region. A jego kontakty z Rynkami Rozwijającymi się Shorn były jak dotąd minimalne. Wszyscy tam byli dostatecznie twardzi, ale i tak dość cywilizowani jak na standardy IK.

Mimo wszystko, jeśli wysłucha żalów Mike'a, pomoże mu to załagodzić problem, którym musiał go obarczyć.

Więc myśl.

Przypomniał sobie nocną sesję narzekania w barze, tydzień temu. Mike i jakaś elegancka Chinka z RR Shorn. Przejście z jakiegoś starego konta IK, postacie partyzantów sprzed dekady urządzonych teraz jako przywódcy polityczni. Schematy prywatyzacji i profile poważniejszych graczy. Komu można było zaufać dostatecznie, by choć na chwilę spuścić go z oczu. Męskie pogaduszki. Wino było beznadziejne.

- Chris?

- Tak, tak. - Spróbował sobie przypomnieć nazwisko. - Ta sprawa z Tseng, tak?

- Zgadza się. - Trudno było stwierdzić, czy Bryant jest zły, czy rozbawiony. - Miała wszystko ustawione i gotowe. A teraz jakiś urzędnik państwowy, wyobraź sobie, zdobył cholerny *sądowy zakaz* sprzedaży. Twierdzą, że to nielegalne wedle konstytucji z '37. - A nie jest?

- Skąd, do cholery, mam wiedzieć? Nie siedzę w RR. Sprawy prawne obsługuje zespół Irene Lan.

- Cóż, nie możesz, no nie wiem, przepchnąć ustawy, czy coś? Zmienić prawa? W końcu nie jest to konflikt jako taki. Ty tam jesteś rządem.

Mike westchnął głośno.

- Tak, wiem. Pieprzona polityka. Daj mi kałacha i palanta za cel. Dobra. Co jest?

- Co?

- Wyglądałeś na zmartwionego.

- Ach, tak. Drobny problem. Barranco ma przylecieć do Londynu osiemnastego...

- *Osiemnastego*. O cholera, Chris. To dwa dni po Echevarrii.

- Wiem.

- Nie mogłeś...

- Tak, wiem, moja wina. Dałem Lopezowi *carte blanche*, żeby ściągnął go tu jak najszybciej, i żadnych innych parametrów.

- *Carte Blanche*? - Słyszał uśmiech Mike'a. - Znam ją? No dobra, nie sądzę, żeby to było aż tak istotne. Po prostu dopilnujmy, żeby nie wpadli na siebie na korytarzu.

- Albo na North Memorial. Myślałem...

Uderzenie!

Mięsiste walnięcie metalu o metal. Saab skoczył ostro w lewo i zaczął zarzucać tyłem. Stopa Chrisa zsunęła się z pedału gazu i poczuł zdradliwe ślizganie się kół po wodzie.

- *Mać!*

- Co jeszcze? - zapytał Bryant, ziewając.

Chris opanował poślizg, zwiększając prędkość. Jego wzrok skakał po lusterkach w poszukiwaniu drugiego wozu. Zaciśnął zęby.

- Gdzie jesteś, sukinsynu?

- Chris? Co się dzieje?

Kolejny zgrzyt z tyłu. Chris nie wyszedł jeszcze z poślizgu, więc samochodem znów zarzuciło. Wykręcił kierownicę.

- *Sukinsyn!*

- Chris? - Do Mike'a wreszcie dotarło. Głos był pełen niepokoju. - Co się tam dzieje?

- Ja...

Kolejne uderzenie. Chris pomyślał, że saab może się tym razem wywrócić. Walcząc z kierownicą, kątem oka zauważył zbliżający się wóz. Pomalowane na szaro stare mitsubishi, choć przy takiej ilości indywidualnie dodanego opancerzenia trudno było to stwierdzić z całą pewnością.

Bezfirmowiec?

Wracał, a poślizg...

Podjął decyzję tak szybko, że zarejestrował to dopiero później. Gdy samochód przeciwnika skoczył do przodu, wykręcił kierownicę i wszedł w poślizg. Wywróciło mu wnętrzności. Bezfirmowiec uderzył, ale Chris właściwie przewidział manewr. Kiedy Chris obrócił saaba, impet wroga stał się ledwie odczuwalnym szturchnięciem, i to w kierunku, w którym i tak się posuwał.

Saab wykręcił się wokół osi.

Przez jedno uderzenie serca znaleźli się równolegle do siebie. Zza szyby drugiego wozu Chris zobaczył bladą twarz. Potem zniknęła, przemykając obok, a on wyhamował saaba skierowanego na północ.

W dach walił deszcz. Miał wrażenie, że jego puls stara się dotrzymać mu tempa.

- *Chris?*

- Żyję. - Wrzucił bieg i ostro wykręcił o sto osiemdziesiąt stopni, wyglądając przez spływającą po szybie wodę. Daleko z przodu zauważył światła hamowania. - Jakiś sukinsyn zaraz zostanie zmiażdżony.

- Walczysz w pojedynku?

- Na to wygląda. - Przyspieszył, przeskakując przez biegi. Światła z przodu zgasły i musiał się postarać, żeby zauważyć zarys samochodu. - Facet właśnie na mnie wylądował, Mike. Bezfirmowiec i żadnego ostrzeżenia.

Zmarszczył się. *Brak alarmu zbliżeniowego.*

- Wywołaj kontrolę ruchu, Chris. - W głosie Bryanta dało się słyszeć troskę. - Nie musisz tego robić, jeśli się nie zgłosił. Złamał...

- Tak, tak. Zaraz oddzwonię. - Samochód przed nim powiększał się, jadąc wolniej. Czekał na niego. - No chodź, *sukinsynu*. Zobaczmy, co tam masz.

Szary wóz zahamował nagle, próbując dostać się za niego. Zrobił to samo i grzmotnął w bok pojazdu. Metal zazgrzytał i pękł. Samochód Chrisa stracił boczne lustro, które oderwało się i potoczyło po drodze jak granat. Spojrzał w bok i przez szyby zalane deszczem udało mu się nawiązać kontakt wzrokowy. Zauważył, że drugi kierowca się wzdryga.

Ich boczny klincz się rozpadł. Bezfirrowiec zwiększył prędkość i zaczął uciekać.

Wstrząśnięty, Chris ruszył za nim.

Jego własny szok już wygaszał, puls zwalniał, a mózg zaczynał pracować. *Czas załatwić tego gnojka.* Bryant chyba się rozłączył i jedynymi dźwiękami, jakie do niego docierały, był ryk silnika i stukot deszczu. Żaden kierowca nie mógł sobie pozwolić, żeby wdepnąć gaz do dechy w trakcie pojedynku w deszczu, a bezfirrowiec był dostatecznie dobry, by o tym wiedzieć. Chris zrezygnował z prób dogonienia go i zaczął myśleć o drodze przed nimi.

- Tu kontrola ruchu.

Zaskoczony, spojrzął na radio.

- Tak?

- Prawo jazdy 260B354R, Faulkner C, bierzesz udział w nieautoryzowanym pojedynku...

- Nie ja go zacząłem.

- Nakazuję panu natychmiast przerwać.

- Nie ma mowy. Ten gnojek idzie w piach.

Pauza. Chris przysiągłby, że słyszy chrząknięcie.

- Powtarzam, nakazuję panu przerwać i...

- Próbowaliście powiedzieć to naszemu pomalowanemu na szaro przyjacielowi?

Kolejna pauza. Odległość między samochodami zmalała do dziesięciu metrów. Chris zwiększył prędkość bardziej, niż powinien na śliskiej od deszczu drodze. Poczł, jak wraz z tą świadomością rośnie w jego piersiach mały pęcherzyk strachu.

- Pański przeciwnik nie reaguje na wywołanie radiowe.

- No tak, to po prostu pójdę z nim porozmawiać.

- Ma pan *natychmiast*...

Chris wdepnął gaz na maksimum i walnął bezfirrowca w tylne nadkole od strony kierowcy. Kontrola ruchu umilkła w głośnikach, gdy saabem zarzuciło, a Chris zwolnił, tłumiąc odruch hamowania. Bezfirrowiec próbował zwolnić. Przesunął się i zablokował ruch. Kolejny zgrzyt zwarecia, zderzak w zderzak. Drugi wóz poderwał z drogi fontannę wody, usiłując odskoczyć, i stracił przyczepność. Chris poczuł, jak jego górna warga wędruje do góry, odsłaniając zęby. Przesunął się odrobinę w lewo, drząc z braku pełnej kontroli nad saabem, i znów przyspieszył.

- Dobranoc, sukinsynu.

Utrata kontroli, wrażenie nieważkości, coś niczym spokój podczas obrotu saaba. Przez pozbawioną czasu chwilę było prawie cicho. Wygasło nawet wycie rozwścieczonego silnika. Potem Chris poczuł potężny wstrząs, gdy dwa samochody otarły się o siebie w pijanym balecie wywołanym przez saaba. Czas znów zaczął płynąć. Wdepnął hamulce. Jego dłonie kręciły kierownicą beznadziejnie spóźnione wobec ruchów pojazdu. Wydawało się, że deszcz na chwilę ustał, odsłaniając w przedniej szybie zbliżający się szybko nasyp.

Głęboki wdech.

Saab uderzył.

Siła wstrząsu uniosła samochód na dwóch bocznych kołach. Wisiał tak przez moment - Chris zdążył dostrzec, jak trawę na nasypie rozgniata szyba drzwi pasażera - a potem ciężko spadł na asfalt. Ładowanie zatrasnęło mu zęby i odgryzł sobie kawałek języka.

Przez chwilę, która zdawała się wiecznością, siedział w znieruchomiałym samochodzie z rękami na kierownicy i spuszczoną głową, smakując krew w ustach.

Równomierny stukot deszczu w dach.

Uniósł głowę i wyjrzał na drogę. Pięćdziesiąt metrów dalej w mokrej szarości zauważył wbity w barierkę drugi samochód. Spod powyginanej maski płynęła para.

Stęknął i possał uszkodzony kawałek języka. Niemał automatycznie przesunął rękę, włączając światła awaryjne, wygaszając silnik saaba, który, *cholernie cię kocham, Carla*, nie zgasił. Otworzył skrytkę i wyciągnął nemeksa. Sprawdził magazynek i przeładował.

Dobra.

Otworzył drzwi i wyszedł na deszcz.

Deszcz przemoczył go, zanim pokonał połowę dystansu do drugiego wozu, przyklejając koszulę do ciała, nasiąkając wodą spodnie i wypełniając buty z argentyńskiej skóry. Musiał mruganiem pozbyć się kropli z oczu i odgarnąć włosy, by zajrzeć do wraka. Wyglądało na to, że kierowca został uwięziony w fotelu i próbował się wydostać. Co dziwne, nie nadeszła euforia zwycięstwa. Może to deszcz stłumił brutalność, a może gwałtownie wypływający obraz rzeczy, które nie pasowały.

Brak alarmu zbliżeniowego.

Brak zgłoszonego wyzwania.

Przyjrzał się bokowi pomalowanego szarym lakierem pojazdu. Nigdzie na karoserii nie było numeru kierowcy.

Bo i po co.

Ostrożnie otoczył wrak, trzymając nemeksa nisko w obu dłoniach, jak pokazał mu Mike. Wymrugał deszcz z oczu.

Drugiemu kierowcy udało się otworzyć drzwi, ale wyglądało na to, że cały przedział silnikowy przesunął się od uderzenia w tył i kolumna kierownicy przygniotła go do siedzenia. Był młody. Sądząc po wyglądzie, jeszcze nastolatek. Niezdrowa barwa skóry sugerowała strefy. Chris patrzył na niego znad nemeksa.

- Coś ty, do kuźwy nędzy, tam robił?

Dzieciak wykrzywił twarz.

- Hej, *pieprz się.*

- Tak? - Gniew napłynął falą, przywołując nagle wspomnienie ataku. Chris wciągnął nosem powietrze i wyłapał w deszczu zapach benzyny. - Masz pęknięty zbiornik, synu. Chcesz, żebym cię *zapalił, mały gnojku?*

Brawura przepadła. Strach szeroko otworzył oczy dzieciaka. Chris poczuł nagłą falę wstydu. To był jakiś złodziej samochodów, który ledwie wyrósł z pieluch, kierowca, który...

...przypadkiem porwał nieoznakowany wóz bojowy? Kierowca, który przypadkiem jechał sobie po autostradzie godzinę od miasta? Który zdecydował się zaatakować korporacyjny wóz, którego alarm zbliżeniowy przypadkiem nawalił? Jasssne.

Chris starł wodę z twarzy i spróbował myśleć pomimo dołka adrenalinowego i ulewy.

- Kto cię wysłał?

Dzieciak zacisnął wargi w upartą krechę. Chris znów stracił panowanie nad sobą. Podszedł krok bliżej i przycisnął lufę do skroni chłopaka.

- Nie będę się *pieprzył* - wrzasnął. - Powiedz mi, kto cię wysłał, a *ściągnę* dla ciebie

ekipę. Jak nie, rozwalę twoją pieprzoną głowę po całej tapicerce. - Dźgnął mocno pistoletem, a dzieciak jęknął. - No, *kto cię wystął?*

- Powiedzieli mi...

- Nieważne, co ci powiedzieli. - Kolejne dźgnięcie lufą. Popłynęła krew. - Podasz mi nazwisko, synu, albo zginiesz. Tu i teraz.

Dzieciak się załamał. Długi dygot i nagłe łyzy. Chris złagodził nacisk pistoletu.

- Nazwisko. Słucham.

- Nazywają go Fuctional, ale...

- Fuctional? Strefowiec? Gangster? - Znów szturchnął pistoletem, tym razem łagodniej. - No, dalej.

Dzieciak zaczął płakać w głos.

- On kieruje całym osiedlem, on...

- Którym osiedlem?

- Mandela. Granie.

Southside. To był początek.

- Dobra, a teraz powiesz mi...

- **PROSZĘ ODEJŚĆ OD POJAZDU.** - Z nieba dobiegł metaliczny głos. - **BRAK POZWOLENIA NA PRZEBYWANIE W TYM MIEJSCU. ODSUNĄĆ SIĘ.**

Helikopter kontroli ruchu wyleciał znad nasypu, w który uderzył saab, i przesunął się bokiem nad barierkę między pasami, dziesięć metrów w górze. Chris westchnął i podniósł rękę z nemeksem, trzymając go ostentacyjnie za lufę.

- **ODSUNĄĆ SIĘ I POŁOŻYĆ BRONŃ NA ZIEMI.**

Dzieciak wyglądał na zmieszanego, niepewny, czy już zdjęto go z haka. Nie mógł się poruszyć, żeby wytrzeć łyzy z twarzy, ale w jego oczach pojawiła się paskudna pewność siebie.

Cóż, ktokolwiek to powiedział, dobry kierowca musi być bystry.

- Jeszcze sobie porozmawiamy - warknął Chris, zastanawiając się, jak, u diabła, do tego doprowadzić. Osiedlowi gangsterzy mieli brzydki zwyczaj eliminacji żołnierzy, jeśli stawali się zagrożeniem, a nie pokładał zbyt wielkiej wiary w to, że policja zdoła utrzymać przy życiu niedocenianego strefowego kryminalistę. Będzie musiał wezwać kontrahenta, wprowadzić prywatnego detektywa do ekipy, która będzie wyciągać chłopaka, i wyśledzić go do miejsca, w którym go zamkną. A potem porozmawiać z Troyem Morrisem o gangach z Southside.

Odsunął się o pół tuzina kroków, schylił się i położył nemeksa na ziemi, a potem wyprostował się i rozłożył puste ręce.

- **WRÓCIĆ DO POJAZDU I CZEKAĆ NA DALSZE INSTRUKCJE.**

Poszedł, na wszelki wypadek dalej trzymając podniesione ręce.

Był mniej więcej w połowie drogi, gdy obudził się gatling.

Dźwięk jękliwie wirującej stali i ryk wylatujących pocisków. Chris padł na asfalt twarzą w dół może sekundę przed tym, jak uświadomił sobie, że nie strzelają do niego, nie mogą, bo żyje. Ostrożnie podniósł głowę i wykręcił ją do tyłu.

Helikopter opadł prawie do poziomu asfaltu i przesunął się przed rozwalony samochód. Później Chris domyślił się, że manewr ten miał go ochronić przed strefą rażenia. Dzieciak musiał dostać wprost w twarz, pełną furię gradu pocisków z gatlinga niszczących przednią

szybę i wszystko za nią.

Z tęym hukiem wybuchł zbiornik. Chris osłonił dłońmi głowę i przycisnął twarz do drogi. Jakaś szaleńczo spokojna część jego umysłu wiedziała, że z tak opancerzonego pojazdu nie będzie dużo odłamków, ale zawsze pozostawało jeszcze szkło. Usłyszał, jak obok przelatują jego kawałki.

Gatlingi umilkły. Zamiast nich słycać było ostre trzaski ognia pochłaniającego wrak. Dudnienie odlatującego helikoptera. Znów podniósł głowę, akurat na czas, by zobaczyć, jak znika nad nasypem tak, jak się pojawił. Z rozbitego samochodu pomimo deszczu jaskrawo i radośnie strzelały płomienie. Podnosząc się, Chris usłyszał nagłą serię wybuchów i znów przycisnął się do asfaltu. Domyślił się, że to naboje z porzuconego nemeksa, rozgrzane do temperatury zapłonu przez żar płonącej benzyny. Został przy ziemi. Pieprzony nemex. Stwierdził, że się uśmiecha.

Louise się ucieszy.

W końcu uznał, że jest już bezpiecznie, i podniósł się. Szeroko rozłożył ramiona i spojrzał w dół na siebie. Koszulę miał przemoczoną i brudną do kontaktu z nawierzchnią, ale nie zauważył krwi. Żadnego bólu oprócz lekkiego pieczenia otarć na nadgarstkach i kilku siniaków na biodrze i kolanie. Nie potrafił stwierdzić, czy uszkodził spodnie garnituru, ale domyślił się, że są równie przemoczone jak koszula. Deszcz zaczął już tłumić płomienie we wraku.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Spotkanie prowadzono w surowym korporacyjnym stylu, wokół olbrzymiego owalnego stołu w sali konferencyjnej rezydencji Notleya mieszczącej się na dachu budynku. Shorn dało sektorowi publicznemu trzy dni - *moim zdaniem to nadmiar hojności*, skomentowała Hewitt - a teraz nadszedł czas na podsumowanie.

Sala konferencyjna była odpowiednim miejscem. Na ścianach wisiały dzieła sztuki z nowej szkoły brutalistów, lite bloki barw rzucone między niewyraźne kreski, które mogły być napisami albo tłumami maleńkich ludzi. Spod sufitu błyszczała rzucająca się w oczy jednostka skanu, ale w systemie rejestrującym wprowadzono standardowe, czterdziestosekundowe opóźnienie i dwóch prawników Shorn pilnowało, żeby wszelkie potencjalnie niezręczne uwagi zostały ucięte, zanim przebrzmia. W trakcie przygotowań Chris i Mike kilkakrotnie brali udział w odprawach z zespołem prawników, aż przygotowano ich niemal co do słowa. Louise Hewitt i Philip Hamilton razem z Notleyem tworzyli kworum operacyjne, choć wszyscy po korporacyjnej stronie stołu wiedzieli, że na tym spotkaniu nie zostanie podjęta żadna poważna decyzja. Tym razem chcieli tylko narobić szumu. Shorn zwinęło się jak grzechotnik, głośno ogłaszając urazę. Wszelkie prawdziwe ataki nadejdą później, kiedy w pobliżu nie będzie już nikogo z kamerą.

Po drugiej stronie stołu, naprzeciw Chrisa, siedziała załoga helikoptera i oficer dyżurny kontroli ruchu z dnia pojedynku. Wyróżniały ich garnitury - wszystkie trzy można by kupić za cenę butów Jacka Notleya.

Między Notleyem i oficerem dyżurnym siedzieli podkomisarz ruchu drogowego i rejonowy komisarz policji okręgu Londyn Południe Dziewięć. Po drugiej stronie stołu niczym skruszony duch unosił się holograficzny obraz aktualnego ministra transportu.

- Niepokoi nas w tej kwestii - powiedział Notley, gdy zaczęły już wygasać wzajemne oskarżenia - nie *rodzaj* działań podjętych przez kontrolę ruchu, ale szybkość tej reakcji. A raczej, powinienem powiedzieć, *brak* szybkości.

Oficer dyżurny drgnął, ale zachował spokój. Miał już za sobą dość ostrą awanturę i uczył się nie reagować. Każda próba obrony ze strony sektora publicznego przy stole kończyła się napadem furii partnerów Shorn. Prym wiodła Hewitt, ostra jak żyłeta, Hamilton rzucał ciche, bezczelne uwagi, a Notley wspierał ich z tyłu, podliczając punkty i wymachując maczugą korporacyjnej siły Shorn. Gdyby Notley uznał, że nadszedł czas na dostatecznie mocne walnięcie w stół, w pokoju nie byłoby osoby, łącznie z ministrem, która mogłaby się czuć bezpiecznie.

Podkomisarz szlachetnie ruszyła na ratunek. Przez całe spotkanie zajmowała się zbieraniem resztek.

- Wydaje mi się, że już ustaliliśmy, że patrol zostałyby wysłany wcześniej, gdyby telefon alarmowy pana Bryanta poparła odpowiedź pana Faulknera na komunikację radiową. Nagranie wskazuje...

- Nagranie wskazuje, że dyrektor się rozzłościł, więc nie zachowywał się rozsądnie - powiedziała Louise Hewitt z krzywym uśmiechem, który posłała w stronę Chrisa. - Myślę, że wszyscy jesteśmy w stanie zrozumieć, jak czuł się Chris Faulkner, choć nie oznacza to, że

zareagował właściwie. Można powiedzieć, że był trochę podenerwowany. Oficer dyżurny, niezaangażowany bezpośrednio w sytuację, powinien zdać sobie z tego sprawę i odpowiednio zareagować.

Oficer dyżurny odważnie odpowiedział na jej spojrzenie.

- Tak, zgadzam się. Nie powinienem być pozwolić, by dyrektor zablokował moje profesjonalne odruchy. Nie dopuszczę, by to się powtórzyło.

- Dobrze. - Hewitt kiwnęła głową i napisała coś na swoim tablecie. - Zostało to zapisane i docenione. Komisarzu Lahiri, czy możemy *wrócić* do kwestii kryminalisty, który zgodnie ze świadectwem Chrisa Faulknera odpowiedzialny jest za wynajęcie tego *sicario*.

Komisarz kiwnął głową. Był zylastym mężczyzną o twardym wyglądzie, po pięćdziesiątce. Przez większość spotkania siedział cicho i z uwagą przyglądał się zmaganiom.

- Tak, Khalid Iarescu. Został aresztowany.

- Przyznał się?

Lahiri zmarszczył czoło.

- Proszę pani, to zawodowy kryminalista. Podczas aresztowania troje moich ludzi odniosło rany. Mało prawdopodobne, żeby udało nam się wydobyć z niego zeznanie.

Bryant prychnął.

- To pieprzony bandzior, to wszystko.

Notley posłał mu ostre spojrzenie.

- Nazwisko, komisarzu. Węgierskie?

- Rumuńskie. Jego ojciec był imigrantem z Rumunii. Matka jest Marokanką.

- Czy możemy mu zagrozić wydaleniem? - Notley skupił się na kimś innym. Pytanie skierowane było do ministra.

Hologram z żalem potrząsnął głową.

- Nie, sprawdziłem akta. Oboje rodzice zostali naturalizowani. Formalnie rzecz biorąc, jest Anglikiem w równym stopniu co pan czyja.

Notley wznosił oczy ku niebu.

Hamilton wykonał senny gest.

- Niezobowiązująca sugestia. Chłopak, który ukradł samochód. Miał jakąś rodzinę?

- Tak. - Lahiri zajrzał do notatek i odezwał się, nie podnosząc znad nich wzroku. - Matka, ojciec, dwóch braci i siostra. Zostali wyeksmitowani, zgodnie z założeniem.

- Tak, dobrze. - Hamilton sięgnął po szklankę wody i pociągnął z niej niewielki łyk. - Nie przypuszczam, żeby ten Iarescu zechciał się z nimi wiązać. Żeby, jakby to powiedzieć, przyszedł im z pomocą. Solidarność osiedlowego patriarchy. Etos, och, *gangstera*.

Lahiri potrząsnął głową.

- Nie sir, to działa tylko w filmach. Iarescu jest kryminalistą, któremu się udało. Wie, za jakie sznurki pociągać w strefach i poza nimi. Jeśli już, to zdystansuje się od całej sprawy. Prawdę mówiąc - niepewne spojrzenie na Chrisa - obawiam się, że nie mamy tak naprawdę niczego konkretnego.

Chris opanował wybuch. Już przez to przechodzili.

- Powiedziałem panu, co usłyszałem, komisarzu. Nie wyobraziłem sobie tego. Chłopak wymienił nazwę osiedla i Iarescu.

- Tak, rozumiem. Ale chyba pan widzi, że samo w sobie nie jest to dowodem. Nie,

proszę. - Podniósł rękę. - Proszę mnie wysłuchać. W kulturze gangu status uzależniony jest od powiązań. Chłopak mógł wierzyć, że gdy poda nazwisko grubej ryby, jakoś mu się upiecze.

- Fascynujące - wymamrotał Hamilton. - Prawie jak talizman, nieprawdaż?

Lahiri wydał wargi.

- Co więcej, pseudonim *Funktional* to określenie ogólne. W samych strefach południowych mamy szefów gangów nazywających się *Funktion Red*, *Sataz Funktion*, *Fuktyal* i *Fuktyal Bass*. Lista jest jeszcze dłuższa. Kultura gangów jest mimetyczna, a wyobrażenia przejawia się tylko w ramach bardzo ograniczonych, zadanych parametrów. Jak dla mnie to, co pan usłyszał, niesie w sobie nutę odpowiedzi wieloznacznej.

Chris potrząsnął głową.

- Chcesz coś dodać, Chris? - zapytała słodko Louise Hewitt.

Cisza. Jakieś szuranie od strony oficera dyżurnego. Minister na hologramie ukradkiem zerknął na zegarek. Jack Notley z głośnym trzaskiem otworzył pióro.

- No dobrze - powiedział dziarsko. - Może przejdźmy do podsumowania.

- Sukinsyńskie wybielone *bzdury*. - Chris nie był pewien, czy mieszkanie Mike'a było bezpieczne, czy nie. Przed Vasvikiem nigdy się nad tym nie zastanawiał. Teraz go to po prostu nie obchodziło. Za mocno odbił się na nim długi stres związany z koniecznością wypełniania dyrektyw Shorn. - Pieprzone kłamstwa i gówniane interesy.

- Tak myślisz?

Mike nachylił się nad stołem kuchennym i napełnił mu kieliszek. Równocześnie uniósł brwi w stronę Suki, która wzruszyła ramionami i wróciła do wycinania na desce róż z marchewek.

Chris tego nie zauważył.

- Oczywiście, że tak. Ceny akcji, niech mnie pocałują. Ten dzieciak został wynajęty przez Iarescu, żeby mnie wymazać, a to oznacza, że ktoś, kogo na to stać, zapłacił Iarescu.

Mike milczał. Chris wykonał gest kieliszkiem.

- Słyszałeś, co powiedział Lahiri. Iarescu ma powiązania w strefach i poza nimi. Myślę, Mike, że maczała w tym palce jakaś korporacja.

- Zdajesz sobie sprawę, Chris, jak to brzmi?

- Byłem tam, Mike. Rozwalili tego dzieciaka, żeby nic nie wygadał.

Bryant zmarszczył brwi i opadł na oparcie krzesła.

- Według raportu sięgnął po broń.

- Och, Mike. *On był unieruchomiony w pieprzonym wraku*. - Chris zauważył spojrzenie Suki w stronę sufitu. Położyła Arianę godzinę temu. Ściszył głos. - Przepraszam, Suki. Po prostu jestem... zdenerwowany.

- Wszyscy jesteśmy, Chris. - Mike wstał i zaczął krążyć po kuchni. - Oczywiście. No wiesz, nie możemy przecież dopuścić, by ktokolwiek rozbijał się po drogach bez autoryzacji. Rozpadnie się cały pieprzony system.

- To właśnie mówię, Mike. To *nie był* każdy. To zostało zaaranżowane. Nie wysłali helikoptera, dopóki nie stwierdzili, że zepchnąłem gnojka z drogi. Zrobili, co im kazano, i *dopuszcili do tego*, co się stało. Czemu nikt nie został za to ukarany? Załoga helikoptera, oficer dyżurny...

- Daj spokój. Wszyscy dostali nagany. To będzie...

- *Nagany?*

- ...do kartotek. Chryste, oficer dyżurny został zawieszony na trzy miesiące bez pensji.

- Jasne, a widziałeś, jak się tym przejął? Ktoś się nim zaopiekował, Mike.

- Myślę - stwierdził pośpiesznie Mike - że cieszył się, że zachował pracę. Notley bez problemu mógł dać mu wilczy bilet.

- Dokładnie. Więc czemu tego nie zrobił? Ktoś tu się wtrąca, Mike, i wiesz o tym. Ktoś ciągnie za sznurek Notleya.

Tym razem Mike Bryant roześmiał się w głos. Suki zmarszczyła się na niego.

- Michael, to nieładnie. Chris jest zdenerwowany.

- Dobra, przepraszam. Po prostu myśl o kimś ciągnącym za sznurki Jacka Notleya... No wiesz, daj spokój, Chris. Znasz człowieka. Suki, spotkałaś go. Nie jest podatny na wpływy.

Oboje spojrzeli na Chrisa. Ten westchnął.

- No dobrze, może nie Notley. Może nie tak wysoko. Na przykład Hewitt, ona nigdy mnie nie lubiła. Albo, słuchaj, może to proste. Nick Makin chce mi odpłacić za te ciosy, którymi go poczęstowałem. - Tym razem zauważył wymianę spojrzeń między małżeństwem.

- Dobrze, dobrze, wiem. Ale nie mam paranoi, Mike. Ktoś grzebał w moim alarmie zbliżeniowym.

- Według raportu to wynik deszczu, Chris. Widziałeś to pęknięcie. - Bryant obrócił się, by wyjaśnić Suki. - Mechanicy kontroli ruchu znaleźli przeciek w panelu osłonowym płyty głównej zabezpieczeń Chrisa. Zrobiło się zwarcie w całym systemie alarmowym.

- Och, *bzdura*, Mike. Carla sprawdza te panele co... - Machnął ręką, wytrącony z równowagi własnym brakiem pewności. - Nie wiem, przynajmniej co tydzień. Zauważyłaby to.

Nie powiedział im, że potwornie pokłócił się z Carłą kiedy pojawiły się wstępne wyniki śledztwa Shorn. Że automatycznie uwierzył i zaczął obwiniać Carłę o to, co Mike najwyraźniej nadal brał za dobrą monetę, że Carla przeoczyła przeciek.

Na przekonanie go potrzebowała ponad godziny.

Wiem, co robię, do cholery, powiedziała ponuro, kiedy kłótnia już się wypaliła. *Jeśli na panelu było pęknięcie, to ktoś musiał je zrobić, i to niedawno.*

- Carla wie, co robi - oznajmił, wpatrując się w kieliszek z winem.

Nikt mu nie odpowiedział. Cisza zaczęła się załamywać pod własnym ciężarem. Chris przeniósł wzrok na stół, próbując wydusić z siebie coś, co nie brzmiałoby jak obłąkańcze brednie.

- Ty naprawdę w to wierzysz, Chris, prawda? - spytała Suki. Nie zabrzmiało to tak dobrze, jak zamierzała.

Chris potrząsnął głową.

- Nie wiem już, w co wierzę. Słuchaj, Mike, czy to możliwe, żeby miało to jakiś związek z kontraktami MGP i z kimś spoza Shorn? Może wzięto mnie na cel po wycieczce do Panamy?

Bryant machnął dłonią.

- Powiedziałeś, że byłeś ostrożny.

- Byłem. Ale coś się wali, Mike. Czuję to.

Jasne, że coś się wali. Właśnie zamierzasz sprzedać swoich kolegów za synekurę w sektorze publicznym z pijawkami NZ. To właśnie się wali, Chris. I może ktoś o tym wie.

Paranoja wysłała iskierki wzdłuż jego kręgosłupa.

- Dobra. - Mike znów usiadł. Splótł palce na stole. - Zrobimy tak. Przyjrzymy się temu. Nieoficjalnie. Porozmawiam z Troyem, poproszę, żeby popytał. Ma przyjaciół w południowych strefach. Zobaczymy, do czego dojdzie. A na razie mamy inne zmartwienia. Echevarria...

Chris jąknął.

- Nie przypominaj mi.

- ...przylatuje we wtorek, Chris. A zaraz po nim Barranco. Ich przybycia nie dzielą nawet dwa pełne dni.

- Tydzień z piekła rodem.

Mike się uśmiechnął.

- Zgadza się. Tak więc dzisiaj po prostu zapomnijmy o całej tej cholernej sprawie i się uwalmy. Kiedy, twoim zdaniem, przyjedzie tu Carla?

- Powiedziała, że przed ósmą. - Chris zerknął na zegarek. - Może zatrzymali ją na bramce.

- Chcesz do niej zadzwonić?

- Nie, to... - Uświadomił sobie, jak to wyglądało. - Tak, może powinienem.

* * *

Carla postanowiła się spóźnić o godzinę z powodu, którego nie miała ochoty wyjaśniać. Chris stłumił irytację.

- Cóż, w takim razie... - zaczął słabo.

- Och, Chris, po prostu zacznijcie beze mnie. Jestem pewna, że już się dobrze bawicie.

Chris obejrzał się na Mike'a i Suki, zadowolony, że użył komórki, a nie videofonu. Bryant pochylał się nad żoną i przez kunsztownie ułożoną kasztanową grzywę szeptał jej coś do ucha. Roześmiała się, odsunęła, a potem chwyciła za luźne końce krawata i przyciągnęła go bliżej. Cała scena emanowała starannie wypielegnowanym ciepłem rodzinnym, syntetyczną mieszanką seksu, bogactwa i poprawności wprost z ekranowych reklam. Pomyślał nagle o kuchni w Highgate i wypełniło go niewybaczalne pragnienie.

- Cóż, przyjedź najszybciej, jak to możliwe - powiedział i rozłączył się.

Mike podniósł wzrok.

- W porządku?

- Tak, będzie tu za jakąś godzinę. Jakiś kryzys z układem olejowym. - Uśmiechnął się słabo. - Pewnie powinienem się cieszyć, że ma taką obsesję.

- Cholera, tak. Gdyby Suki była moim mechanikiem, nigdy nie wypuściłbym jej z garażu. Au!

- Drań.

Próbował przyłączyć się do śmiechu, ale mu nie szło.

- Chris, znasz kawał o żabie u lekarza? - Bryant nalał więcej wina. - Przychodzi żaba w masce do lekarza. Ten się pyta: co pani dolega? A ona na to: zamknij się, to napad!

Znów śmiech, wypełniający piękną kuchnię jak zapach jedzenia, do którego nie został zaproszony. Pomyślał, że Liz mogłaby się pospieszyć i...

Carla!

Pomyślał, że *Carla* mogłaby się pospieszyć i...

I co? No dalej, Chris. Dokończ tę myśl.

Rozważania musiały się odbić na jego twarzy, bo Mike podszedł i poklepał go po ramieniu.

- Ach, Chris. Daj spokój. Szczerze. Naprawdę myślę, że nie powinieneś się martwić. No wiesz, w końcu zgmiotłeś gnojka. Zostało z niego smażone mięso. I bądźmy szczerzy, dzięki reputacji, jaką ci to zagwarantowało, nikt inteligentniejszy od przedszkolaka nie odważy się pojechać przeciw tobie. - Podniósł kieliszek. - *Niczym* nie musisz się martwić, stary.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

W środku tygodnia w *Zmianie reżimu* było spokojnie. Tanie koktajle i taniec przy rurze ściągały grupki urzędników w garniturach z lokalnych biur i robotników ze stref świeżo po wypłacie, którzy doskonale wiedzieli, że nigdy nie dostaną się tu w piątkowy czy sobotni wieczór. O ósmej trzydzięci czy dziewiątej wieczorem większość wychodziła; ci ze stref wracali do domu bez pieniędzy, a urzędasy szli do mniej szacownych klubów, gdzie można było obmacywać tancerki.

- Zasugerowałbym jakieś inne miejsce. - Chris wskazał na środek pokoju irackiego, gdzie wokół świeżo zamontowanego stalowego słupa w rytm gorących melodii Sceny Cairo tańczyła kobieta w czarczafie, naga od szyi w dół. Widzowie siedzieli przy stolikach fajkowych lub stali w małych grupkach, gapiąc się na występ. - Nie wiedziałem.

Liz Linshaw roześmiała się i pociągnęła ze stojącej między nimi fajki. Wydmuchała w stronę tancerki dym o aromacie whisky.

- Nie podoba ci się to?

- Och. - Bezradnie rozłożył ręce. - Cóż, nie to miałem na myśli, kiedy... wiesz, zadzwoniłem do ciebie.

- Chris. - Z uśmiechem nachyliła się bliżej, żeby usłyszał ją przez muzykę. - Naprawdę nie musisz się tak bardzo starać, żeby na nią nie patrzeć. Wiem już, że jesteś honorowym mężczyzną. Właściwie nawet więcej niż honorowym.

Tancerka przycisnęła brzuch do słupa i zaczęła przesuwając po nim pierśmi. Chris zainteresował się niskim stolikiem z miedzi, na którym stała fajka. Liz Linshaw znów się roześmiała.

- Popatrz. - Nachyliła się, łagodnie chwyciła go za podbródek i obróciła jego głowę z powrotem w stronę przedstawienia. Stłumił nagły impuls, by chwycić tę dłoń i wykręcić ją. - *Popatrz*, tak naprawdę na nią popatrz. Miejmy już z tym spokój. Jest seksowna, prawda? Młoda. Nie, nie odwracaj wzroku. Ma wspaniałe ciało. Wyćwiczone. I ewidentnie poprawiane, o ile ktoś nie wymyślił ostatnio pół antygravitacyjnych. Tak, gdybym była mężczyzną, nadawałaby się. Sprawiałaby... *Chris*, hej *Chris*, ty się *czzerwienisz*?

- Nie, ja...

- Ależ *tak*. Czuję to. Masz gorącą twarz. - Znów się roześmiała. - Chris, naprawdę masz kłopoty. Jesteś dorosłym mężczyzną na koncie tuzin trupów, a nie potrafisz patrzeć na łagodne porno, nie *czzerwieniąc* się jak nastolatek. No wiesz, co *Carla Nyquist* *robi* w sypialni?

Musiała zauważyć zmianę na jego twarzy. Zanim się poruszył, sięgnęła i dotknęła jego ramienia.

- Przepraszam. *Chris*, przepraszam. To było wredne.

Tym razem chwycił jej dłoń. Odepchnął ją z powrotem przez stół i siedział, patrząc na nią w milczeniu.

- *Chris*, przeprosiłam.

Uratowała ich kelnerka. Podeszła do stolika, uniosła przykrywkę i rzuciła fachowym spojrzeniem na żarzący się w kociołku tytoń. Popatrzyła na *Chrisa*.

- Przynieść następną?

Nie palił z pierwszej, po prostu fajka była wliczona w cenę stolika, przy którym czekał na Liz Linshaw. Wzruszył ramionami.

- Nie, myślę, że już skończyliśmy.

Kelnerka odeszła. Chris napotkał spojrzenie Liz Linshaw i odpowiedział na nie. - Chris...

- Powód, dla którego cię tu zaprosiłem, Liz. Masz znajomości w kontroli ruchu, prawda?

Odwrociła wzrok, potem znów na niego spojrzała.

- Tak. Owszem, mam.

- Źródła wewnątrz? Ludzie, którzy mogą dla ciebie zdobyć informacje?

- Naprawdę dlatego do mnie zadzwoniłeś, Chris?

- Tak. Masz tam źródła, prawda?

Wzruszenie ramion.

- Jestem dziennikarką.

- Jest coś, co muszę wiedzieć. Chcę, żebyś się dowiedziała, czy...

- Chwileczkę, Chris. - Posłała mu uśmiezek. - Zwolnij. Może trochę przekroczyłam granicę z tą wredną uwagą o twojej żonie. Ale to nie znaczy, że stałeś się moim właścicielem. Czemu, do cholery, miałabym naciskać na jedno z moich cennych źródeł? Co z tego będę miała?

- Pisziesz kolejną książkę, prawda?

Kiwnęła głową.

- Więc jeśli będziesz miała szczęście, zrobisz z tego cały rozdział. - Zawahał się, szukając czegoś, co wypełniłoby powstałą nagle między nimi szczelinę. - Słyszałaś, że w zeszłym tygodniu walczyłem z bezfirmowcem?

- Tak. Nierozstrzygnięte, o ile wiem. Kontrola ruchu musiała wkroczyć z mediacją. - Uśmiechnęła się, tym razem trochę życzliwej. - Przykro mi, Chris. Lubię cię, ale nie śledzę cię jak cień. Wspominali coś o awarii softu, wyzwanie nie zostało zarejestrowane w systemie czy jakoś tak?

- Tak, taka jest wersja oficjalna.

Uniosła jedną brew. Pomyślał, że w tej minie kryła się drwina.

- A wersja *nieoficjalna*?

- Bezfirmowiec wcale nie został zgłoszony. Jakiś dzieciak ze strefy ukradł wóz bojowy i próbował mnie załatwić. Nie zgłoszono wyzwania. A kontrola ruchu nie mediowała, pojawili się w helikopterze bojowym po tym, jak zepchnąłem dzieciaka z drogi, i nakarmili go kilkoma puszkami pocisków z gatlinga.

Z pewną satysfakcją zauważył, że zareagowała szokiem. Pękło jej starannie skonstruowane opanowanie. Kiedy się odezwała, mówiła prawie szeptem.

- Zabili go?

- Zdecydowanie tak.

- A nie wysłędzili samochodu?

Chris kiwnął głową.

- Dotarli do konsultanta systemów informatycznych, bez pracy. Zgłosił kradzież sprzed

domu w Harlesden mniej więcej godzinę po pojedynku.

- Musiał wiedzieć wcześniej!

- Niekoniecznie. Najwyraźniej od jakiegoś czasu nie jeździł. Nie było go w tym kwartale stać na odnowienie licencji.

- Wierzysz w to? - Budzące się zainteresowanie reporterki.

- Sądząc po jego wyglądzie podczas przesłuchania, trudno byłoby mu zapłacić za pełen zbiornik benzyny, a co dopiero za licencję, więc tak, wierzę. Ale w zasadzie to nie ma znaczenia. Ktokolwiek to ustawił, w hierarchii stoi zdecydowanie wyżej od niego i od dzieciaka, który ukradł wóz. I ktokolwiek to zrobił, ma też wtyczki w kontroli ruchu.

- Dobra, kupuję to. Co jeszcze masz?

- To mniej więcej wszystko. - Nie zamierzał wspominać o zaangażowaniu osiedla Mandela. Troy Morris zajął się już śledzeniem plotek w południowych dzielnicach, pytając cicho o rodzinę Robbiego Goodwina i próbując znaleźć bezpieczne wejście do podziemnej organizacji Khalida Iarescu. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, była powszechnie znana dziennikarka, która wpadłaby do strefy i narobiła zamieszania. Liz Linshaw najprzydatniejsza była tam, gdzie już się kręciła - wysoko w świecie jazd rywalizacyjnych, pełnym powiązań i tajemnic. Uśmiechnęła się, jakby czytała w jego myślach.

- Nie, jest tego więcej. Po prostu nie masz ochoty mi o tym teraz mówić. - Wzruszyła ramionami. - Dobra, przeżyję. Jasne, porozmawiam z paroma znajomymi. Dowiem się, co przed tobą ukryli, choć będzie to wymagało wielu poświęceń. Później pójde tym tropem. - Podniosła ustnik fajki i pociągnęła z niej. W kociołku rozżarzyły się ostatnie węgle. - Ale rozumiesz, że nie ma nic za darmo. Zrobię to, a ty będziesz moim dłużnikiem, Chris. Wielkim dłużnikiem.

- Jak powiedziałem, będziesz miała z tego rozdział...

- Nie. - Potrząsnęła głową, a włosy opadły jej na twarz. Nabrał ochoty, by je odsunąć. - Nie to miałam na myśli.

- Więc co takiego?

Kącik jej ust zadrgał i odwróciła wzrok.

- Wiesz, o czym mówiłam, Chris.

Zawisło to między nimi przez chwilę, wypalając się jak fajka.

- Słuchaj... - zaczął.

- Wiem, Chris. Wiem. Prawdę mówiąc, już to wszystko widziałam. Musisz się zająć pracą. Nie martw się tym i... nie pochlebiaj sobie. Nie brakuje mi męskiego towarzystwa, wierz mi.

- Znów widzisz się z Mikiem? - Wyrwało mu się, zanim zdążył ugryźć się w język.

Wsunęła palce we włosy i uśmiechnęła się w stronę rogu sali.

- To *naprawdę* nie twój interes, Chris.

- Nie jestem taki jak on, Liz.

- Tak, nie jesteś.

- Nie patrzę na kobiety wokół mnie jak na... towar. - W jego głowie rozżarzyły się sceny z pornosu. Rozdzielone paskiem skóry pośladki, niemożliwie pełne piersi. Siedząca naprzeciw niego, w pełni ubrana Liz Linshaw wzruszyła ramionami.

- Mike Bryant wie, czego chce, bierze to, a potem troszczy się o to najlepiej, jak potrafi.

Nie sędzę, żeby jego moralność sięgała choć trochę dalej, ale przynajmniej wie, czego chce.

Przeniosła wzrok się na jego oczy. Wciąż się uśmiechała.

- Słuchaj, Liz. Tamtej nocy ja... - Przełknął ślinę. - Mam pewne problemy w małżeństwie, ale to nie znaczy, że...

- Chris. - Nigdy w życiu nie przerwano mu tak delikatnie. - Nie obchodzi mnie to. Chcę się z tobą pieprzyć, a nie zastąpić twoją żonę. Ale powiem ci coś za firko. Poszedłeś ze mną tamtego wieczora do domu i chwyciłeś towar, kiedy był na wystawie. Bez względu na to, co się dzieje w twoim związku z Carłą, mogłeś mnie wtedy pieprzyć. Masz to samo poczucie winy i taką samą erekcję. Fakt, że tego nie zrobiłeś, to szczegół techniczny.

- Ty...

Machnęła ręką. Wstała, włożyła zakiet.

- Skontaktuję się z tobą w sprawie kontroli ruchu. Ale kiedy następnym razem będziesz się chciał u mnie przespać, zapłacisz za nocleg.

W końcu przyszła kelnerka i powiedziała mu, że jeśli chce siedzieć dłużej, musi coś zamówić.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Lopez ustawił lot Barranco przez Atlantę i Montreal, a następnie przylot o świcie na międzynarodowe lotnisko Reagana w Nowym Jorku, gdzie odrzutowiec Shorn miał ich odebrać z dokumentami, z których wynikało, że są doradcami ekonomicznymi dla Rady Nadzwyczajnej Panamy. Lopez mówił brazylijskim portugalskim prawie równie dobrze jak rodzimym hiszpańskim, a Barranco, jak większość współczesnych polityków Ameryki Łacińskiej, znał ten język wystarczająco, by nie zwracać na siebie uwagi. Lopez zakładał się, że ochrona na lotnisku Reagana nawet nie zauważy różnic ani też się tym nie zainteresuje.

Najwyraźniej miał rację, bo odrzutowiec Shorn wystartował bez incydentów i wylądował w Londynie tuż po lunchu. Chris przyleciał helikopterem, który przybył im na spotkanie.

- Senor Barranco. - Musiał przekrzykiwać hałas wirników i nietypowo zimny wiatr, wiejący nad asfaltem terminala dla prywatnych samolotów. Miał wrażenie, że uśmiech wyróżniło mu w twarzy. Wokół stali uzbrojeni ochroniarze w garniturach, z trzepoczącymi na wietrze marynarkami, spod których widać było kabury. - Witamy w Anglii. Jak minął lot?

Barranco się skrzywił. Dobrze wyglądał w dostarczonej mu przez Lopeza biznesowej garderobie mobilnego konsultanta, ale na jego twarzy wyraźnie malowały się efekty różnic czasowych.

- O który lot pytasz? Czuję się, jakbym był w drodze od tygodnia. A teraz helikopter?

- Proszę mi wierzyć, senor Barranco, nie chciałby pan przejeżdżać przez tę część Londynu. Czy Joaquin Lopez jest z panem?

Barranco wskazał kciukiem w stronę odrzutowca Shorn.

- Już idzie.

Lopez pojawił się we włączu i zszedł na dół, a zaraz za nim zeszło dwóch ludzi z bagażami. Uśmiechnął się szeroko i pomachał do Chrisa. Żadnego śladu zmęczenia, tak ewidentnego u Barranco. Pod eleganckim ubraniem emanowała z niego energia, która musiała zostać podładowana chemicznie. Z braku eskorty był jedynym ochroniarzem Barranco od chwili opuszczenia Panama City.

Chris zaprosił wszystkich na pokład helikoptera i do foteli. Drzwi się zamknęły, odcinając przenikliwy wiatr i większość hałasu. Pilot odwrócił się i spojrzął na Chrisa.

- Tak, to wszystko. Zabierz nas do domu.

Helikopter wzniósł się w niebo i wykręcił nad miasto.

Barranco nachylił się do okna i wyjrzał na aglomerację w dole.

- Nie wygląda tak strasznie - zauważył.

- Nie - zgodził się Chris. - Stąd nie wygląda.

Opalona twarz odwróciła się w jego stronę.

- Chodzenie tymi ulicami nie byłoby bezpieczne?

- Zależy od okolicy. Ale ogólnie rzecz biorąc nie, nie byłoby. Mógłby pan zostać zaatakowany i obrabowany, albo tylko obrzuciliby pana kamieniami. W najlepszym wypadku zauważono by w panu obcego i śledzono. A dalej - Chris wzruszył ramionami - to już zależy od ludzi.

- Nie jestem ubrany jak pan.
- Nie miałyby to znaczenia. W strefach nie interesują się polityką. To plemiona. Lokalne gangi, przemoc terytorialna.

- Rozumiem. - Spojrzenie Barranco wróciło do przesuwającego się w dole miasta. - Zapomnieli, kto im to zrobił.

- Można i tak na to spojrzeć.

Reszta lotu minęła w ciszy. Przelecieli nad zachodnimi murami i złapali radiolatarnię budynków na West Endzie. Stery przejęły automaty, odczytując dane lotu i kierując helikopter po zaprogramowanej trasie. Otworzył się pod nimi Hyde Park. Na jego skraju czekały hotele, jak zakotwiczone liniowce z poprzedniego stulecia.

Mike ulokował Hernana Echevarrię w sercu Mayfair, z daleka od nowoczesnych hoteli. Grali pod pretensje dyktatora do kontynentalnych korzeni. Apartament królewski w Brown, z aurą dwustuletniej tradycji i nazwiskami europejskich rodzin królewskich na liście gości. Opancerzona limuzyna Shorn zabierała Echevarrię codziennie sprzed wejścia na Albermale Street i wiozła go na starannie zrównoważony program spotkań ze starszymi urzędnikami bankowymi, posiadającymi największe uprawnienia handlarzami broni i jednym czy dwoma politykami, jedzącymi korporacji z ręki. Wieczory poświęcano na operę i kolacje z kolejnymi dygnitarzami.

- Zajmę go - obiecał Bryant. - I będę go trzymał z daleka od parku. Ty upchnij Barranco w Hiltonie czy gdzieś w okolicy. W apartamencie na wieży. Będę konsultował twój program i postaramy się, żeby ci faceci nie zbliżyli się do siebie na więcej niż kilka kilometrów.

A więc Hilton. Wylądowali na dachowym lądowisku, gdzie pracownicy w liberjach zajęli się bagażem i poprowadzili Barranco i Lopeza w stronę wind. Chris poszedł z nimi, głównie po to, by zająć się napiwkami.

- Pan nie musi tego robić - powiedział, gdy ostatni boy wymknął się z pokoju, zamykając za sobą drzwi. - Po prostu proszę się podpisać pod każdym napiwkiem, o jaki poprosi obsługa, a my za to zapłacimy. Zalecałbym dziesięć procent. Spodziewają się znacznie mniej, ale hojność nigdy nie zaszkodzi. W każdym razie... och. Mam nadzieję, że będzie tu panu wygodnie.

- Wygodnie?

Barranco stał pośrodku bogatego apartamentu. Wyglądał jak myśliwy, którego wielka i niebezpieczna zwierzyna nagle znikła w trawie. Chris odchrząknął.

- Tak. Joaquin Lopez mieszka piętro niżej. Pokój 4148. W 4146 umieściłem na wszelki wypadek dwóch uzbrojonych strażników. Hotel dysponuje niezłą ochroną, ale nawet tutaj lepiej zachować ostrożność. - Wyciągnął mały, matowo czarny telefon komórkowy i podał go Barranco. - To dedykowany telefon. Kodowana linia wprost do mnie. Gdziekolwiek będę. Proszę do mnie zadzwonić w przypadku jakichkolwiek problemów, w dzień czy w nocy. Wystarczy nacisnąć klawisz.

- Dziękuję. - Ton głosu Barranco świadczył o roztargnieniu, a jeśli nawet była w nim ironia, Chris jej nie usłyszał.

- Pomyślałem, że teraz będzie pan chciał odpocząć.

- Tak, przydałoby się.

- Chciałbym pana później poznać z moim kolegą oraz moją żoną. Pomyślałem, że

moglibyśmy zjeść razem kolację. W antresoli hotelu mają dobrą peruwiańską restaurację. Umówmy się tam, powiedzmy od dwudziestej pierwszej trzydzięci. Ale jeśli woli pan zostać tutaj i wyjść innego wieczora, z przyjemnością się do pana dostosujemy.

- Nie, nie, chętnie. - Głęboko wciągnął powietrze. - Chciałbym poznać pańską żonę, senor Faulkner. I oczywiście kolegę. Dziewiąta trzydzięci może być.

- Świetnie. W takim razie zadzwonię po dziewiątej.

- Tak. A teraz chyba chciałbym odpocząć.

- Oczywiście.

Chris opuścił pokój i poszedł porozmawiać z ochroniarzami. Wyglądali mniej więcej tak, jak się spodziewał - dwóch mężczyzn o twardych rysach, już nie pierwszej młodości, w koszulach z podwiniętymi rękawami i kaburami pod pachami. Otworzyli drzwi i z beznamietnym spokojem odpowiadali na pytania. Sprzęt obserwacyjny, który nakazał zainstalować w apartamencie Barranco, został podłączony do monitorów stojących na niskim stoliku pod ścianą. Pod rzędem ciekłokrystalicznych monitorów świeciły lampki gotowości. Jeden z nich ukazywał Barranco, już na łóżku, w pełnym ubraniu. Chris nachylił się i popatrzył.

- Śpi?

- Padł jak dziecko.

- Jesteście pewni, że nie zauważy kamer?

- Tak. Chyba, że jest specjalistą od nadzoru. Ale dotąd nie próbował ich szukać.

- Dobrze. Dajcie mi znać, gdyby zaczął.

- Tak jest.

- A jeśli będzie wychodził z apartamentu, chcę o tym wiedzieć, zanim go opuści. Macie do mnie bezpośrednią linię?

Wymienili zmęczone spojrzenia. Jeden z nich kiwnął głową.

- Tak jest. Wszystko pod kontrolą.

Zrozumiał sugestię i wyszedł zajrzeć do Lopeza. Agent na niego czekał. Chemiczna niecierpliwość sprawiła, że chaotycznie i irytująco krążył po pokoju. Chris spróbował zarażać go swoim spokojem.

- Rozumiem, że nie mieliście problemów po drodze?

- Nie, stary. Wszystko poszło jak po maśle. - Lopez wyszczerzył zęby. - Wcale ich nie obchodzi, kim jesteś, jeśli tylko nie chcesz zostać.

- A Barranco? Rozmawiał z tobą?

- Jasne, powiedział mi, że jestem sługusem kapitalistycznej tyranii i powinienem się wstydzić.

- A więc wszystko po staremu. - Chris podszedł do okna i zapatrzył się na park.

- Tak, lepiej na niego uważaj, Chris. Korporacyjne sprawy zdecydowanie go przerastają i będzie w defensywie. Najprawdopodobniej będzie się trzymał tego, co zna. Przypuszczam, że usłyszysz w tym tygodniu całe mnóstwo przeterminowanych dogmatów.

- Cóż, ma prawo do własnego zdania.

To złamało Lopeza.

- Jasne, to wolny kraj - zarechotał. - Prawda? Wszyscy mają prawo do własnego zdania, nie? To *wolny* kraj! Tak jest!

- Musisz wziąć coś na uspokojenie, Joaquin.

- Nie. Muszę tylko trzymać się z daleka od tego pieprzonego *marquista* bohatera.

Nagły, gwałtowny wybuch wyrwał Chrisa z kontemplacji. Lopez stał z błyszczącymi oczami na środku pokoju, zaciskając pięści, zaskoczony własną furją.

- Joaquin?

- *Ach, pieprzę to.* - Gniew zniknął równie szybko, jak się pojawił. Lopez zaczął nagle wyglądać na wyczerpanego. - Przepraszam. Po prostu mój gówniany braciszek cały czas obrzuca mnie tym samym. Sługus kapitalistów, sługus kapitalistów. Od kiedy tylko zdobyłem licencję PH&I. Jak cholerny uszkodzony dysk.

- Nie wiedziałem, że masz brata.

- Tak. - Agent machnął ręką. - Nie chwaleb się tym. Gówniarz jest działaczem związkowym w pasie bananowym, wokół Bocas, tam gdzie dorastaliśmy. Nie jest to coś, co umieszcza się w życiorysie dla Handlu i Inwestycji, jeśli tylko można tego uniknąć.

- Pewnie nie.

Lopez spuścił oczy.

- Próbuje osłonić go przed najgorszym syfem. Dorobiłem się kontaktów, które warte są chociaż tyle. A kiedy przychodzą łamistrajkki, płacę rachunki za szpital i karmię jego dzieciaki. Staje na nogi i natychmiast znów obrzuca mnie obelgami.

Chris pomyślał o Eriku Nyquiscie.

- Rodzina, co?

- Tak, rodzina. - Agent otrząsnął się z introspekcji. Rzucił Chrisowi kose spojrzenie. - Tak sobie tylko rozmawiamy, prawda, szefie? Nie będziesz opowiadał o mnie swoim partnerom?

- Gównno mnie obchodzi, Joaquin, czym zajmuje się twój brat, i to samo dotyczy wszystkich partnerów Shorn. Każdy ma w tajnych archiwach jakiegoś Olliego Norma. O ile nie przeszkadza to w interesach, w czym problem?

Lopez potrząsnął głową.

- Może tak to wygląda w Londynie, Chris, ale nie w panamskim H&I. Nie chcę obudzić się któregoś ranka z wezwaniem do Plaza de Toros, jak się trafiło staremu Harrisowi.

- Hej, Harris był pomyłką.

- Tak, i nie walczył najlepiej na noże, nawet jak na *gringo*. - Lopez uśmiechnął się paskudnie, ale w kącikach jego oczu czaiła się desperacja. - Kiedy dożyję jego wieku, wyjdę z tej pieprzonej gry. Dobrze dla ciebie pracuję, Chris, prawda?

- Tak, jasne. - Chris zmarszczył brwi. Szczerłość nie była czymś, czego się tu spodziewał. Słabości też wolałby nie oglądać. Ewidentny niepokój w głosie agenta poruszał w jego umyśle miejsca, o których wolał nie pamiętać.

A przed nim jeszcze gówniana burza szczerości Barranco. Jezu cholerny Chryste.

- No wiesz, zadzwoniłem wszędzie, gdzie chciałeś, prawda? Przygotowywałem wszystko, o co prosisz, gdy tylko potrzebowałeś, nie?

- Wiesz, że tak. - Chris nie miał pojęcia, gdzie skierować dyskusję. Może...

- Wiem, że zgubiłem się wtedy w MGP, wciąż jestem twoim dłużnikiem, ale...

- Daj z tym spokój, Joaquin. - Chris podszedł do barku. Wyłowił butelkę i lód z zamrażarki, mówiąc przy tym: - Słuchaj, to był nasz problem. Powiedziałem ci o tym i

zapewniłem, że sami się tym zajmiemy. Pomyśl o tym. Chryste, jeśli mi nie ufasz, pomyśl o logistyce. Czy wyciągałbym stamtąd twój tyłek tylko po to, żeby uwalić cię sześć tygodni później?

- Nie wiem, Chris. Zrobiłbyś to?

- Mówię poważnie, Joaquin. *Naprawdę* musisz coś tyknąć.

- Znasz Mike'a Bryanta, prawda?

Chris znieruchomiał ze szklaneczkami w rękach.

- Tak. To mój kumpel, więc lepiej uważaj na to, co mówisz.

- Wiesz, że pracuje w tej chwili nad teczką Cono Sur? Puszczą kontrakty przez Carlosa Caffarini w Buenos Aires?

- Tak, słyszałem. Nie wiedziałem, że to Caffarini, ale...

- Już nie - przerwał mu nagle Lopez. - W zeszłym tygodniu Bryant uwalił Caffariniego, ponieważ w Santiago doszło do strajku centrum telefonicznego, a on tego nie przewidział. A może uznał, że to niedostatecznie ważne, żeby ścigać winnych. Teraz leży pod wiatrakiem na intensywnej terapii do czasu, aż skończy się jego polisa, a jakiś pieprzony siedemnastolatek kieruje teczką za ćwierć tego, co poprzednik. To były *tylko strajki*, Chris. Kierownictwo dopuściło się molestowania pracownic, lokalna akcja, *żadnych* żądań politycznych. Sprawdziłem.

Chris odstawił szklaneczkę i westchnął. Lopez mu się przyglądał.

Cholera, Mike, czemu nie możesz po prostu...

- Słuchaj, Joaquin. Strajki mogą się wyrwać spod kontroli, niezależnie od ich pierwotnych założeń. Reed i Manson poświęcili temu cały rozdział. Wiesz o tym.

- Tak. - Agent znów miał w głosie szaloną energię. - Więc powiedz mi jedno, Chris. Co się ze mną stanie, jeśli strajk bananowy wyrwie się spod kontroli na pewnej plantacji w pobliżu Bocas?

Chris na niego spojrzał.

- Nic. - Patrzył Lopezowi w oczy. - Dobra? Dotarło? Nic się z tobą nie stanie.

- Nie możesz dać mi...

- *Nie jestem Mikiem Bryantem.*

Chłód w jego głosie pojawił się znikąd, elektryzując ich obu. Stłumił to w sobie. Zmusił ręce, by zajęły się drinkami. Wrzucił lód do szklanek, nalał rumu i zamieszał. Znów odezwał się cicho.

- Słuchaj. Jestem zadowolony z tego, co dla nas robisz, i nie obchodzi mnie, co się stało w Medellin. Zapomnij o Caffarinim i wszystkim, co się dzieje w Buenos Aires i Santiago. Daję ci słowo, z nami jesteś bezpieczny. A teraz wypijmy za to, Joaquin, bo jeśli niedługo nie padniesz, to pęknie. No chodź, to drogi, wysokoprocentowy rum. Wlej go w siebie.

Wyciągnął rękę ze szkłem. Po kilku sekundach Lopez przyjął szklanekę. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w drinka, a potem podniósł głowę.

- Nie zapomnę tego, Chris - powiedział cicho.

- Ani ja. Dbam o swoich ludzi.

Szklaneczki zadzwoniły w pokoju. Płyn palił w gardle. Za oknami coś się stało ze światłem, gdy popołudnie przeszło gładko w wieczór.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

- Nadal nie rozumiem, czemu chcesz, żebym tam była. - Carla jeszcze raz sprawdziła makijaż w samochodowym lusterku, gdy Chris wjeżdżał saabem do garażu Hiltona. - Przecież nie mam zielonego pojęcia o MGR

- Dokładnie o to chodzi. - Chris przeskanował zatłoczony garaż, nie znalazł odpowiedniego miejsca i skierował się w dół rampy na kolejny poziom. - Możesz go poprosić, żeby ci o nim opowiedział. Nie chcę, żeby facet czuł się otoczony samymi ekspertami w garniturach. Chcę, żeby się odprężył. Przez chwilę miał wrażenie, że kontroluje sytuację. To podręcznikowe kontakty z klientem.

Poczuł na sobie jej spojrzenie.

- Co?

- Nic.

Dolny poziom był praktycznie pusty. Chris zaparkował dobre pół tuzina stanowisk od najbliższego pojazdu. Od kiedy zawiódł go alarm zbliżeniowy, parkował w odsonietych miejscach, gdzie widziały go kamery ochrony. Zdawał sobie sprawę, że to irracjonalne - nikt poza pełną grupą szturmową nie zdołałby przełamać zabezpieczeń Hiltona czy budynku Shorn, ani nie miałby dość czasu i wiedzy, by niepostrzeżenie przedostać się przez zabezpieczenia saaba. Jednak alarm zbliżeniowy *zawiódł*. Jak do tego doszło, nie wiedział, ale nie zamierzał pozwolić, by się to powtórzyło.

- Pójdę po niego - powiedział, wyłączając silnik. - Restauracja jest na antresoli. *El Meson Andino*. Mike powiedział, że będzie tam czekał.

- Nie chcesz, żebym poszła z tobą?

- Nie ma takiej potrzeby.

Nie powiedział jej, że po drodze chciał jeszcze zajrzeć do ochroniarzy, a w jakiś nieokreślony sposób czuł się zawstydzony obecnością dwóch potężnych mężczyzn w średnim wieku i ich kolekcją ekranów i głośników.

- Jak chcesz. - Wyciągnęła papierosa i wsadziła go w usta. Kiedy go zapalała, Chris odniósł wrażenie, jakby chciała go wciągnąć wraz z dymem.

- No to do zobaczenia na miejscu.

- Tak.

Ochroniarze nie zgłosili niczego. Na ekranie Barranco chodził po pokoju jak więzień w celi. Ubrał się w czarny wieczorowy garnitur niemodny od dekady. Chris poszedł do niego.

- Nie wiem za wiele o kuchni peruwiańskiej - powiedział, gdy zjeżdżali razem windą.

- Ja też nie - odparł Barranco. - Jestem z Kolumbii.

Jedzenie okazało się wyśmienite, choć to, do jakiego stopnia było peruwiańskie, stało się tematem dyskusji przy kilku kieliszkach wina. Wyraźnie przełamało to lody. Barranco argumentował, że kilka dań pochodziło z Kolumbii, a Chris, pamiętając kuchnię w MGP, musiał się z nim zgodzić. Mike wykazywał uprzejmie, z wielkim przekonaniem i niemal kompletnym brakiem dowodów, że kuchnie różnych regionów muszą się z czasem wzajemnie penetrować. Carla zasugerowała jadowicie, że może miało to większy związek z marketingiem niż wymianą regionalną. Określenie „peruwiańskie” było tu raczej marką niż

narodowością. Barranco pokiwał głową. Carla wyraźnie mu się podobała, czy to z powodu blond włosów i doskonałego wyglądu, czy też nieortodoksyjnych poglądów politycznych. Chrisowi było wszystko jedno. Stłumił niespodziewane ukłucie zazdrości i oparł się pokusie wymiany miejsc, by usiąść bliżej żony. Wszystko wygładzała ulga, że wieczór toczył się tak gładko.

Interesy przesączały się do rozmowy w małych dawkach, głównie ze strony Barranco, rozkwitając w ciepłe szczerze zainteresowania Carli. Chris i Mike pozwalali temu trwać, nasłuchując uważnie wszelkich raf politycznych, gotowi w każdej chwili zmienić bieg dyskusji.

- Oczywiście, farmy słoneczne to piękna idea, ale tu przypomina się stary argument o niestabilności. Infrastruktura jest zbyt kosztowna i podatna na sabotaż.

- Czy to samo nie dotyczy też energii atomowej? Myślałam, że reżim planuje zbudować dwa nowe reaktory Polloka.

- Tak. - Barranco uśmiechnął się ponuro. - Francisco Echevarria jest bliskim przyjacielem Donalda Cordella, który kieruje Horton Power Group. A elektrownie zostaną zbudowane daleko od Bogoty.

- To niesmaczne. - Carla się zaczerwieniła.

- Prawda.

Mike rzucił Chrisowi ostrzegawcze spojrzenie i podniósł butelkę.

- Senior Barranco. Jeszcze wina?

- Mam pytanie o Bogotę - odezwał się Chris, symulując lukę w pamięci. - Och, tak. Kiedy byłem tam ostatnim razem, widziałem przepiękny kościół w centrum miasta. Zastanawiałem się...

I tak dalej. Jeśli Barranco miał im za złe kierowanie rozmową, nie dał tego po sobie poznać. Pozwolił się unosić prądom dyskusji i przez cały czas zachowywał się uprzejmie. Po wyrazie twarzy Carli Chris zorientował się, że jego żona wie, co się dzieje, ale woli tego nie komentować.

Tylko raz, kiedy Mike Bryant ponownie wyszedł do toalety, pękły pozory. Barranco kiwnął za nim głową.

- Czy takie coś nie stanowi problemu tam, gdzie pracujecie?

- Jakie coś?

Carla delikatnie pociągnęła nosem. Chris spojrzął w stronę toalet. Wcześniej o tym nie pomyślał.

- Cóż - mruknął Barranco. - Nie powiedziałbym, że pański kolega ma problem. Ale nie zachowuje się też szczególnie dyskretnie. W bogockim Hiltonie, w restauracji pełnej ludzi, sytuacja wyglądałaby nieco inaczej. Nawet nasze rodziny rządzące muszą w tych czasach uważać na publiczne zażywanie narkotyków.

- To pewnie dlatego Francisco Echevarria tyle czasu spędza w Miami. - Dopiero po chwili dotarło do Chrisa, że wypił odrobinę za dużo.

Barranco zmrużył oczy.

- Tak, zapewne tak. A tymczasem jego ojciec wykorzystuje helikoptery bojowe, które mu dostarczacie, do niszczenia pól plantatorów koki. Cóż za ironia, nieprawdaż?

Zapadła cisza. Carla wydała z siebie cichy odgłos, mieszankę rozbawienia i niesmaku,

która powiedziała Chrisowi, że z tej strony pomoc nie nadejdzie.

- Ja, och, to nie... - Zgubił się. - Polityka Shorn nie wyklucza produkcji koki. Prawdę mówiąc, przeprowadziliśmy badania dotyczące wprowadzenia zbiorów na legalny rynek towarowy. Wydział Instrumentów Finansowych Shorn zatwierdził prace w tym kierunku.

Barranco wzruszył ramionami.

- Spodziewa się pan, że zrobi na mnie wrażenie? Legalizacja spowoduje, że kokaina stanie się popularna jak kawa. Bogacze w Nowym Jorku i Londynie będą się jeszcze bardziej bogacić, a rolnicy nie przestaną głodować. Czy to element pakietu, który chce mi pan sprzedać, panie Faulkner?

To zabolalo. Tym bardziej, że dostrzegł satysfakcję na twarzy Carli. Mike jeszcze nie wrócił. Czując się nagle bardzo samotnie, spróbował ratować dobry humor, gwałtownie gasnący przy stole.

- Niesprawiedliwie mnie pan ocenia, senor Barranco. Wspomniałem tylko o tym badaniu, żeby udowodnić, że w Shorn nie zaślepią nas uprzedzenia moralne.

- Tak. Łatwo mi w to uwierzyć.

Drobny, bezbarwny uśmiech na twarzy Carli. Chris brnął dalej.

- Właściwie zamierzałem powiedzieć, że wedle tej analizy z legalizacją na rynku towarowym wiązałyby się zbyt wiele problemów, by poważnie brać ją pod uwagę. Po pierwsze, istnieje obawa, że odciągnęłoby to finanse z praktycznie wszystkich pozostałych sektorów inwestycyjnych. A na to oczywiście nie możemy pozwolić.

Miało to być zabawne, ale nikt się nie roześmiał. Barranco nachylił się nad stołem. Jego niebieskie oczy lśniły gniewem.

- Będę szczerzy, Faulkner. Nie współczuję zepsutym, głupim dzieciom zachodniego świata w związku z ich kosztownym problemem z narkotykami. Patrzę przez soczewkę sprzedaną nam przez was, wolnych handlarzy, i widzę okazję zyskowego handlu. Więc... - Krótki, ostry gest kantem dłoni, coś między ciosem karate a wysunięciem ręki na powitanie. - Sprzedajcie nam waszą broń, a my sprzedamy wam naszą kokainę. To się nie zmieni, gdy Powszechne Brygady Rewolucyjne przejmą władzę w Kolumbii, ponieważ *nie* poświęcę bogactwa, które dzięki temu zdobędzie mój lud. Jeśli wasze rządy tak przejmują się przepływem towaru, niech kupują go u producenta na wolnym rynku, jak wszyscy inni. Potem mogą go spalić albo wciągnąć do nosów, wolna wola.

- Słyszałem. Słyszałem! - Wrócił Mike Bryant. Bił brawo, obchodząc stół w drodze do swojego miejsca. Jego oczy błyszczały prawie równie mocno jak bladoniebieskie źrenice Barranco. - *Wszystko słyszałem*. Wybitna analiza. Chris, miałeś rację. To człowiek w sam raz dla nas. Nie ma wątpliwości.

Usiadł z szerokim uśmiechem.

- Oczywiście, nigdy do tego nie dojdzie. Nasze rządy sytuacja nie obchodzi aż tak, żeby podjąć ten dość oczywisty krok. W strefach kierują się polityką powstrzymania ekspansji, więc panujące tam uzależnienie od prochów praktycznie nic ich nie kosztuje. A bogaci, cóż, zawsze można polegać na tym, że ci zatroszczą się o swoje występki bez angażowania do tego społeczeństwa.

Barranco popatrzył na niego z jawną antypatią.

- W takim razie dziwi mnie, señor Bryant, że przez ostatnie siedemdziesiąt lat

nieustannie podejmuje się tak szeroko nagłaśniane akcje wojskowe, mające na celu zniszczenie handlu kokainą.

Mike wzruszył ramionami i nalał sobie wina.

- Cóż, kilka dekad temu sytuacja nie była tak klarowna jak teraz. Wtedy podejmowano sporo działań pod publikę. - Znów się uśmiechnął. - Na szczęście teraz nie musimy się już o to martwić.

- A jednak w zatoce Barranquilla wciąż kotwiczą fregaty pod obcymi banderami. Nasze wody terytorialne, wbrew prawu międzynarodowemu, pełne są inteligentnych min, a ludzi obrzuca się napalmem za próby zarobienia na życie.

Kolejne wzruszenie ramion.

- Kwestia kontroli, señor Barranco. Jestem pewien, że rozumie pan dynamikę zdarzeń. Zgadzam się, że to niesmaczne, ale *taka jest* polityka rządu Echevarrii, a inwestorzy się do tego przyzwyczaili. To, prawdę mówiąc, jeden z bardzo wielu powodów, dla których tu dzisiaj jesteśmy. Jeśli uda nam się z panem porozumieć, señor Barranco, będzie pan mógł zmienić tę politykę.

Barranco zacisnął wargi. Bryant chyba tego nie zauważył. Pociągnął nosem i potarł go kostkami palców.

- A tymczasem daję panu słowo, jako reprezentant Działu Inwestycji Konfliktowych Shorn, że do chwili gdy przyjdzie pora wprowadzenia tych zmian, zyska pan dostęp do tych samych tajnych szlaków eksportowych, na które przymyka teraz oko Hernan Echevarria.

- Chcecie mnie posadzić przy stole z Langley? - Wzrok Barranco przeskakiwał między Chrisem i Bryantem. Jego ton zdradzał niedowierzenie.

- Oczywiście. - Mike wyglądał na zdziwionego. - A o kim pańskim zdaniem mówiłem? To główny dystrybutor nielegalnych narkotyków w obu Amerykach. W Shorn nie uznajemy połowicznych rozwiązań. Oczywiście, skontaktujemy też pana z dystrybutorami z Europy i Azji, ale szczerze mówiąc, żaden z nich nie ma tej klasy co Langley. Zresztą, prawdopodobnie większość towaru i tak puszczałby pan przez podwórko Langley, a oni mogą zagwarantować pośrednictwo na większość wybrzeża Pacyfiku, jeśli będzie pan zainteresowany. Jeszcze wina?

* * *

Carla wiozła ich do domu całkowicie skupiona na drodze. W oświetlonej blaskiem tablicy rozdzielczej przestrzeni samochodu falami emanowała z niej cisza. Chris, wciąż urażony tym, jak stanęła po stronie Barranco, odwrócił się i wyglądał przez boczną szybę na światła miasta.

- Cóż, to było cholernie wspinałe - rzucił w końcu.

Carla skręciła na drogę dojazdową do autostrady. Nic nie powiedziała. Gdyby Chris spojrział na nią, zobaczyłby, jak niewiele dzieli ją od wybuchu.

- Mike w łazience wciąga prochy do nosa, Barranco wyskakuje z rozprawą polityczną, a ty wspierasz go za każdym cholernym...

- Nie zaczynaj ze mną, Chris. - Saab ani na moment nie przestał przyspieszać, wspinając się po rampie, ale w głosie Carli zabrzmiało coś, co w końcu zmusiło go, by spojrzął jej w twarz.

- A nie było tak?

- Powinieneś być tym uszczęśliwiony. Czy nie na tym polegało moje zadanie? Miałam sprawić, by twój klient dobrze się czuł. *Odprężyć* go. Nie tak powiedziałeś?

- Tak, ale nie sądziłem, że powiesz mi przed nim na haku.

- Cóż, może powinieneś być lepiej sprecyzować wymagania. Pamiętaj, że jestem twoją żoną a nie jakąś uśmiechniętą dziwką z ogłoszenia. Nie zarabiam tym na życie.

Miałaś cholerną frajdę, przyglądając się, jak Barranco mi przywala! Zerknęła na niego kątem oka. Przez dwie sekundy patrzyła na niego w milczeniu, a potem znów spojrzała na drogę.

- Zamierzasz tak krzyczeć jutro na Mike'a Bryanta? - zapytała cicho. - Za jego kloaczne maniery?

- Nie unikaj pieprzonego pytania, Carla!

- Nie wiedziałam, że mi jakieś zadałeś.

- Miałeś frajdę, przyglądając się, jak Barranco mi przywala, *prawda?*

- Wyglądałeś na przekonanego.

- *Po prostu...* - Zacisnął pięść i zagryzł usta. Stłumił furję. Zmusił się, żeby powiedzieć to spokojnie. - Po prostu odpowiedz na pytanie, Carla. ,,

- Najpierw ty odpowiedz na moje. Czy kiedykolwiek krzyczysz tak na Mike'a?

- Mike Bryant jest po mojej stronie. I tego jestem pewien. Nie muszę na niego krzyczeć.

- Nie musisz? Czy się nie odważysz?

- Pieprz się, Carla. - Powiedział to pod nosem. Przepelniająca go furia spłynęła w dół. Nie znikła, ale nagle zmieniła się w zimną i beznamietną a to przstraszyło go jeszcze bardziej. Przstraszyło go, bo nagle odniósł wrażenie, że czuje, jak w tym mrozie coś umiera.

- Nie, to *ty się pieprz*, Chris. - Jej głos nie był ani trochę głośniejszy niż wcześniej, ale w jego uszach syczał. - Chcesz odpowiedzi na swoje pytanie? Tak. Świetnie się dzisiaj bawiłam. A wiesz, co mi się tak podobało? Podobał mi się widok człowieka, który choć raz walczy o coś więcej niż pieprzona premia kwartalna. Fajnie było posłuchać kogoś, kto przejmuje się tym, co będzie się działo z innymi ludźmi, i mówi prawdę o sposobie, w jaki działa twój obrzydliwy światek.

- Człowieka, który się *przejmuje* - Chris odbił napiętą lekko krawędź dłoni od okna w imitacji uderzenia. - Och, jasne. Człowiek, który chce sprzedawać kokainę dzieciakom w strefach. Jasne, Barranco jest prawdziwym pieprzonym bohaterem. Słyszałaś, co powiedział.

- Tak, i słyszałam, jak Mike Bryant obiecał skontaktować go z Langley, które dostarcza towar do osiemdziesięciu procent wewnętrznych miast Ameryki Północnej. A w ten weekend bierzecie Echevarrię i Barranco na North Memorial, żeby sprzedać im broń, której potrzebują, żeby ze sobą walczyć. I teraz próbujesz tu oceniać jego moralność? Jezu Chryste, mógłbyś uczyć hipokryzji Simeona pieprzonego Sandsa. Chris, jaki wybór mają ci ludzie? Co dla nich zrobiliśmy? Czemu *nie* powinni nas zalewać prochami?

- Nie powiedziałem, że nie powinni.

- Nie, bo prawda jest taka, że to też cię nie obchodzi. Właściwie nic cię nie obchodzi poza tym, żeby zawrzeć zyskowną umowę i zostać przy stole z innymi dużymi graczami. O to właśnie toczy się gra, nieprawdaż, Chris? - Roześmiała się, choć zabrzmiało to prawie jak łkanie. - Chris Faulkner, kierujący światem. Podziwiającie krój jego garnituru i chłodne opanowanie, z jakim zasiada przy stole. Prezydenci i królowie ściskają mu dłoń, a kiedy

przemawia, słuchają. Ropa płynie tam, gdzie jej każe, ludzie z bronią powstają i walczą na jego rozkaz...

- Może byś się zamknęła w *diabły*, Carla. - Gniew nagle znów rozpalił się ogniem, wypełniając jego wnętrze i szukając sposobu, by ją zranić. - Skoro tak ci się podoba Barranco i jego moralna kruczata, to może powinnaś iść z nim do pokoju, zamiast, do cholery, wracać ze mną. Może facet z sumieniem rozpali cię trochę bardziej niż ja.

Nagły nacisk na klatkę piersiową, prawie ból. Pas wcisnął go w fotel. Usłyszał krótki pisk opon hamującego saaba.

- Ty pieprzony draniu. Ty cholerny *gnoju*.

Siedziała z dłońmi zaciśniętymi na kierownicy i spuszczoną głową. Wóz stał prawie na środku pasa, w sodowym świetle autostradowych latarni. Silnik mruczał do siebie. Kiedy się jej przyglądał, wolno potrząsnęła głową i uniosła twarz. Do jej ust przykleił się niepewny uśmiech adrenalinowego szoku. Znów potrząsnęła głową i wyszeptła, jakby właśnie to odkryła.

- Ty *gnoju*.

To była jej obelga ostateczna, której nie używała wobec niego inaczej jak w żartach. Przez całe siedem lat ich związku słyszał, jak określa tak może z pół tuzina osób. Mężczyzn i, w jednym przypadku, kobietę, których chciała wymazać ze swojego życia, co w większości przypadków się jej udało. Dla Carli oznaczało to całkowite zamknięcie. Kogoś niegodnego nawet pogardy.

Siedział i czuł, jak to po nim sływa.

- Lepiej, żebyś mówiła poważnie - stwierdził.

Nie spojrzała na niego.

- To nowy poziom, Carla. - Zerknął na swoje dłonie w pomarańczowym świetle wpadającym przez szyby wozu. Przeptywała przez niego ognista euforia, której nie odważył się zbyt uważnie analizować. - Nie układało się nam, ale... To coś nowego. To...

Uniół rękę. Zrezygnował w połowie gestu. Musiała to dostrzec kątem oka. Rzuciła ku niemu spojrzeniem. W jej oczach dostrzegł strach, nie przed nim.

- Powinam cię wyrzucić z tego cholernego samochodu. - Głos jej drżał i wiedział, że przechodzi przez takie same fale furii co on. - Powinam ci kazać iść do domu na piechotę.

- To mój samochód - powiedział łagodnie.

- Tak, ale każdy jego centymetr to ja dla ciebie zrobiłam, a potem poprawiałam. Jeśli *kiedykolwiek* jeszcze raz się tak do mnie odezwiesz...

- Przepraszam. - Rozbrzmiało to w jego ustach, jeszcze zanim zdał sobie sprawę, że to powiedział.

A potem obejmowali się w przestrzeni między fotelami, ze łzami spływającymi po policzkach i płaczem stłumionym w gardle, oboje powstrzymywani przez idiotycznie pasy bezpieczeństwa. Nagle pod ich stopy wrócił stały ład związku, zniknął jad, spazmatycznie odepchnięty, walący grzmot furii cichnący w uszach, znajome ciepło żalu i skruchy, *bezpieczeństwo* znów wiążące ich i splatające razem.

Uwolnili się z pasów i objęli bez słów. Dość długo, by zdążyły ostygnąć i wyschnąć gorące ślady łez na policzkach. Dość długo, by rozluźniło się ściśnięte gardło i ustało spazmatyczne drżenie.

- Musimy się z tego wyrwać - powiedziała w końcu przytłumionym głosem w jego kark.

- Wiem.

- To nas zabije, Chris. W taki czy inny sposób, na drodze czy nie, zabije to nas oboje.

- Wiem.

- Musisz z tym skończyć.

- *Wiem.*

- Vasvik po ciebie wróci. Wiem, że wróci. *Proszę*, Chris, nie spieprz, kiedy do tego dojdzie.

- Dobrze. - Nie miał już siły na jakikolwiek opór. Czuł się wycieńczony. Pierwszy raz od paru dni pomyślał, żeby ją zapytać. - Miałaś od nich jakieś wieści?

Potrząsnęła głową.

Poczuł, jak w oku wzbiera mu pojedyncza łza. Zamrugał i pozwolił jej popłynąć po policzku.

- Sukinsyny się nie spieszą.

- To mnóstwo pieniędzy, Chris. I duże ryzyko. Ale nic nie słyszeliśmy, a to oznacza, że to robią. Mój ojciec twierdzi, że gdyby było inaczej, już by o tym wiedział. Zbierają fundusze, uzasadniają je w budżecie, tak uważa.

Chris pogłaskał jej włosy. Zniknęła nawet irytacja nieustanną wiarą Carli w nadludzką mądrość jej ojca, zmieciona chwilowo przez szok tego, jak bardzo zbliżyli się do zerwania.

- Dobrze, Carla. - Na jego twarzy pojawił się wymuszony uśmiech. - Ale bez względu na to, co robią, muszą się pospieszyć. Ktoś tam próbuje mnie zabić. Ktoś z koneksjami. A jeśli nie potrafią pokonać mnie na drodze, znajdą jakiś inny sposób.

Podniosła głowę, by na niego spojrzeć.

- Myślisz, że wiedzą o Vasviku?

- Nie mam pojęcia. Wiem natomiast, że jeśli Vasvik i jego kumple się nie pospieszą, może im przypaść jedynie sprzątanie krwi. Tak jak w Nigerii, Kurdystanie i każdej innej cholernej akcji spieprzonej przez ONZ.

Ze zdziwieniem przekonał się, że jego uśmiech się poszerzył. Nie potrafił tylko rozplatać kryjących się za nim uczuć. Carla odsunęła się od niego, jakby przybrał twarz kogoś obcego. Odwrócił od niej wzrok, patrząc na drogę.

- Nie daje to za dużo nadziei, prawda?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Trafił im się dobry dzień na wizytę na North Memorial. Nietypowe o tej porze roku wiatry wymiotły na resztę tygodnia pokrywając chmur i w niedzielę niebo nad Norfolk było prawie czyste. Już na tuzin kilometrów przed wystawą zauważyli krążący leniwie po niebie odrzutowiec.

- Jednostka macierzysta nadzoru - zasugerował Mike. - Pewnie ten nowy Lockheed. Słyszałem, że w końcu udało im się wyeliminować błędy z odzysku dron. Będą się popisywać. No, to tutaj. Zjazd siedemnasty.

Wykręcił BMW na boczną odnogę. Za nim ktoś gorączkowo wdepnął hamulce. Chris się odwrócił i zobaczył tuż za nimi opływowego czerwonego forda. Zza przyciemnionego szkła przedniej szyby wyzierała gniewna młoda twarz.

- Powinieneś być wrzucić migacz, Mike.

- Tak, tak. - Mike zerknął do lusterka. - Pieprzony dupku. Gdyby ten odcinek nie był potrójnie monitorowany z powodu targów, rozwaliłbym cię, dupku.

- Co to było? - Barranco chyba drzemał na przednim siedzeniu.

- Nic - odpowiedział Bryant. - Po prostu ktoś pchał się pod koła.

Barranco wykręcił się, by spojrzeć. Chris potrząsnął głową, żeby się nie martwił, i uśmiechnął się. Przez całą drogę z Londynu autostrada pełna była samochodów. Od chwili wyjazdu widzieli ich blisko setkę, a w miarę jak zbliżali się do skrętu na Lakenheath, gęstość ruchu równomiernie rosła. Bryant nie był przyzwyczajony do prowadzenia w takich warunkach. Nikt nie był.

Czerwony samochód przemknął obok, gdy wjeżdżali na rampę. Bryant uśmiechnął się i przyspieszył.

- Może powinniśmy byli polecieć - rzucił nerwowo Barranco.

- W taki dzień? - Mike wciąż się uśmiechał. - Nie ma mowy!

Ford zrównał się z nimi od prawej. Chris rzucił okiem na linie wozu i rozpoznał tani pancierz na pokaz. Prawdopodobnie młodszy analityk albo dzieciak tuż po rekrutacji. Żadnego wyzwania. Odruchowo złapał za uchwyt, a sekundę później Bryant szarpnął wozem w bok. Drugi kierowca się wystraszył, zahamował i wpadł w lekki poślizg. Mike wykręcił i wyprostował na środku opuszczonego pasa. Kilkadziesiąt metrów przed szczytem zaczął hamować i zatrzymał się gładko tuż przed wjazdem na rondo. Czekał, wbijając wzrok w lusterko wsteczne. Po kilku chwilach ford podjechał i ustawił się grzecznie za nim.

- *Dziękuję* - powiedział Mike i spokojnie ruszył z miejsca.

Barranco obejrzał się na Chrisa.

- Czy to coś znaczyło?

- Kompletnie nic - radośnie odpowiedział Bryant. - Na tym odcinku nie są dziś dozwolone wyzwania. Po prostu nauczyłem faceta czegoś na temat szacunku.

Chris mrugnął.

* * *

Dziesięć minut później przejechali przez główną bramę bazy lotniczej, a obsługa w mundurach wskazała im miejsce na parking. Cały plac pełen był korporacyjnych wozów

bojowych i wynajętych limuzyn. Tu i tam pozostawiono pomalowane na kolor khaki samochody wojskowe, zdaniem Chrisa głównie po to, by wywrzeć większe wrażenie na odwiedzających. Zdarzało się, że klienci z krajów rozwijających się pozostawali niewzruszeni ubranymi w garnitury ojcami chrzestnymi, od których się uzależnili. Czasem pomagało zaakcentowanie aspektów wojskowych, dawało to dyktatorom i rewolucjonistom coś, do czego mogli się odnosić.

Gdy wysiadali z samochodu, znad lotniska nadleciały trzy groźnie wyglądające myśliwce, a potem z koszmarnym rykiem dopalaczy wystrzeliły w lazurowe niebo. Chris kątem oka zauważył, jak Barranco się wzdryga.

- Cholerne błazny - powiedział. - Nie wiem, po co to robią.

- To Harpie - wyjaśnił cicho Barranco. - Demonstrują lot szturmowy. Robią je w Anglii. W zeszłym roku sprzedaliście piętnaście sztuk reżimowi Echevarrii.

- Właściwie - wtrącił się Mike, uzbrajając alarm BMW - robią je na licencji BA w Turcji. Już od ładnych kilku lat. Chyba tędy.

Ruszył w kierunku hangarów, gdzie kręcił się niezbyt gęsty tłumek. Chris i Barranco ruszyli za nim w niewielkiej odległości.

- Nie musieliście mnie tu sprowadzać - wymamrotał Barranco.

Chris potrząsnął głową.

- Myślę, że będziesz z tego zadowolony. Na North Memorial można zobaczyć najwyższej klasy uzbrojenie wszystkich wiodących producentów z całego świata. Nie tylko duże rzeczy, są tu również karabiny szturmowe, granaty, wyrzutnie ręczne, systemy obrony punktowej. Nowe paliwa, amunicja, środki wybuchowe. Vicente, nawet jeśli nie kupisz tego wiele, musisz wiedzieć, co Echevarria może przeciwko tobie wykorzystać.

Barranco wbił w niego twarde spojrzenie.

- Czemu nie powiesz mi po prostu, czym dysponuje Echevarria i zaoszczędzisz nam obu czasu?

- Och...

- Nie wiesz, tak? Zaopatrujesz go i za wszystko płacisz.

- Nie ja. - Chris zdławił w sobie budzące się poczucie winy i znów potrząsnął głową. - To nie moje konto, Vicente. Naprawdę mi przykro. Nie mam do niego większego dostępu niż ty.

- Nie, ale mógłbyś się o taki dostęp postarać.

Chris zakaszłał. Wyprowadził z tego śmiech.

- To tak nie działa, Vicente. Nie mogę po prostu wejść do cudzego biura i zacząć grzebać w aktach klientów. Pomijając już kwestię systemów zabezpieczających, to kwestia etyki. Nie, poważnie. Naprawdę. Za coś takiego mógłbym stracić pracę.

Barranco odwrócił głowę.

- Dobra, nieważne. Zapomnij, że prosiłem. Rozumiem, że masz dużo do stracenia.

Zdawało się, że nie miało to zabrzmieć ironicznie, a Chris uznał, że zaczyna poznawać Vicente Barranco wystarczająco, by zauważać takie rzeczy. Przez ostatnie dwa dni stwierdził, że zbudował dość trwałe podstawy znajomości z Kolumbijczykiem. Zaprosił go na kolację do domu i poprosił Carłę, żeby powtórzyła demonstrację solidarności z wieczora w Hiltonie. Poszedł też z nim pić w nie do końca bezpiecznych lokalach na obrzeżach strefy. A w sobotni

poranek następnego dnia, ulegając naleganiom Barranco, wziął go nawet saabem na krótką wycieczkę po południowej strefie. Przez cały jej czas Kolumbijczyk siedział w niemal całkowitej ciszy, aż w końcu zadał tylko jedno pytanie. *Czy to tutaj dorastałeś, Chris?*

To był pierwszy raz, gdy z własnej inicjatywy odezwał się do Chrisa po imieniu. Punkt zwrotny. Chris zastanawiał się przez chwilę, a potem wykręcił saaba na pustej ulicy o sto osiemdziesiąt stopni. Skierował się na południe przez labirynt opuszczonych jednokierunkowych dróg i ulic, o których chciał zapomnieć. Odnalazł na wpół opuszczony, wzniesiony tylko częściowo wielopiętrowy garaż górujący nad nadrzecznymi osiedlami i wjechał spiralą aż na dach. Zaparkował przy krawędzi i kiwnął głową przez szybę.

- Tam - powiedział tylko.

Barranco wysiadł z samochodu i podszedł do krawędzi parkingu. Po chwili Chris do niego dołączył.

Riverside.

Nazwa niosła ze sobą smak w ustach. Metaliczny i gorzki. Patrzył na niskie budynki, porzucane plamy zieleni miniaturowych parków rosnących między nimi, poplamioną olejem wodę, do której osiedla dochodziły z trzech stron. Powiedział sobie, że to nie Brundtland, nie labirynt betonowych bloków od etapu projektowania przeznaczonych dla wyrzutek. To nie było to. Tutaj nie zgadzało się coś zupełnie innego.

- W moim kraju - powiedział Barranco, z niesamowitą dokładnością odtwarzając jego myśli - nie uznano by cię za biednego, jeśli dorastałeś tutaj.

- Nie zbudowano tego dla biedaków.

Kolumbijczyk na niego spojrział.

- Ale biedacy się wprowadzili.

- Cóż, nikt inny nie chciał. Po recesjach dominowych doskwierał brak infrastruktury. Żadnych lokalnych sklepów, brak transportu, chyba że stać cię na taksówki albo paliwo i licencję. Na co prawie nikogo nie było stać. Chcesz się gdzieś dostać? - Chris odwrócił się i wskazał na północ. - Najbliższy przystanek autobusowy jest dwa kilometry w tamtą stronę. Kiedyś była tu linia kolejowa, ale inwestorzy wystraszyli się i wycofali. Kiedy dorastałem, ci nieliczni, którzy mieli pracę, jeździli na rowerach, ale dzieciaki z gangów zaczęły ich obrzucać kamieniami. Jedną kobietę strąciły wprost do rzeki, a potem rzucały kamieniami, aż utonęła. - Wzruszył ramionami. - Posiadanie pracy wyróżniało.

Barranco milczał. Patrzył na osiedle, jakby mógł cofnąć czas i zobaczyć kobietę tonącą w oleistej wodzie.

- Zginęło tak też kilkoro dzieciaków, z którymi się bawiłem - powiedział Chris, wspominając pierwszy raz od bardzo dawna. - Utonęli. Widzisz, przy nabrzeżu nie było zabezpieczenia, więc wpadli do wody. Moja mama zawsze mi mówiła, żeby nie...

Umilkł. Barranco znów obrócił się w jego stronę.

- Przepraszam, Chris. Nie powinienem był cię prosić, żebyś mnie tutaj przywiózł.

Chris spróbował się uśmiechnąć.

- Właściwie mnie nie prosiłeś.

- Nie, ale i tak mnie tu przywiozłeś.

Oczywiste pytanie zawisło w powietrzu między nimi, ale Barranco go nie zadał. Chris się z tego cieszył, bo nie potrafiłby odpowiedzieć. Wrócili do samochodu.

- Hej, chcecie to obejrzeć, czy jak?

Dopiero teraz Mike zorientował się, że Chris i Barranco zostali z tyłu, i wrócił po nich.

Barranco zerknął na Chrisa i wzruszył ramionami.

- Jasne. Nawet jeśli dużo nie kupię, muszę wiedzieć, co Echevarria może wykorzystać przeciwko mnie. Prawda?

- Dokładnie! - Mike klasnął w dłonie i wycelował z ułożonego z palców pistoletu. - To mi się podoba.

Bryant ruszył w stronę karabinów szturmowych. Na spotkanie wyszła mu elegancka sprzedawczyni. Sprawiali wrażenie, jakby znali się o wiele lepiej, niż sugerowałyby wczorajsza wizyta Mike'a na wystawie w towarzystwie Echevarrii.

- Chris. Señor Barranco. Chciałbym wam przedstawić Sally Hunting. Pracuje jako przedstawicielka Vickersa, ale w wolnym czasie dorabia jako niezależny konsultant broni ręcznej. Prawda, Sal? Żadnych zobowiązań.

Sally Hunting rzuciła mu spojrzenie pełne wyrzutu. Była bardzo piękną kobietą o subtelnej urodzie, ubraną w kostium Lily Chen i z kasztanową fryzurą w szpic.

- *Wolny czas*, Mike? A co to takiego?

- Sally, zachowuj się. To señor Vicente Barranco, ceniony klient. I mój kolega, Chris Faulkner.

- Oczywiście, Chris Faulkner. Poznaję pana z fotografii zrobionej podczas pojedynku z Nakamurą. Cóż, bardzo mi miło. A więc co mogę dla panów zrobić?

- Señor Barranco prowadzi w górzystej dżungli wojnę przeciw reżimowi i dobrze zaopatrzoną siłą rządową - wyjaśnił Bryant. - Mamy wrażenie, że nie jest dostatecznie dobrze wyposażony.

- Rozumiem. To musi być bardzo trudne. - Sally Hunting zaczęła emanować współczuciem. - Polega pan na kałasznikowach? Mmm? Tak właśnie myślałam. Wspaniała broń, mam klientów, którzy nie chcą nawet spojrzeć na nic innego. Ale może lepiej byłoby wybrać nowe hecklery i kochy. Oczywiście, są odrobinę bardziej skomplikowane w obsłudze niż podstawowy AK, ale...

Barranco potrząsnął głową.

- Część moich żołnierzy ma ledwie czternaście lat, señorita. Pochodzą ze zbombardowanych wiosek, w których zabito lub porwano większość dorosłych. Brakuje nam instruktorów, a jeszcze mniej czasu mamy na szkolenie rekrutów. Prostota obsługi ma kluczowe znaczenie.

Sprzedawczyni wzruszyła ramionami.

- W takim razie kałasznikowy. Nie będę pana zanudzać szczegółami, od prawie stu lat produkują praktycznie ten sam model. Ale może zechce pan przyjrzeć się nowej amunicji, którą tu dysponujemy. Pociski rozrywające, w płaszczach toksycznych, przeciwpancerne. Wszystkie kompatybilne ze standardowymi magazynkami AK.

Wskazała w stronę ekranu terminala.

- Zobacz pan?

* * *

Barranco opuścił North Memorial uzbrojony po zęby - przynajmniej na papierze. Siedemset nowiutkich kałasznikowów, osiem tuzinów odpalanych z ramienia wyrzutni

przeciwlotniczych Aerospatiale z pociskami samonaprowadzającymi, dwa tysiące lekkich granatów przeciwpiechotnych King i dwieście tysięcy najnowocześniejszych naboji do karabinów szturmowych. Pomimo intensywnych wysiłków Sally Hunting nie udało im się sprzedać mu min przeciwpiechotnych ani kompleksowych systemów obrony punktowej.

- Żaden problem - powiedziała im, gdy Barranco rozmawiał z jednym z ekspertów medycznych, wyjaśniających mu działanie toksyn immunosupresyjnych. - Dostanę standardową prowizję za AK. Oczywiście nie tyle, co za hecklera i kocha. Wciąż próbują złamać monopol kałasznikowa na rynku powstańczym i są w tym roku *bardzo* hojni. Ale i tak dzięki temu, co zarobię na sprzęcie Aerospatiale i granatach, nie będę narzekać.

- Miło mi to słyszeć - burknął Mike - bo odniosłem wrażenie, że zaoferowałem ci królika inwalidę na długiej smyczy. Będziesz mi za to wisiąca, Sally.

Mrugnęła do niego.

- W każdej chwili możesz się zgłosić po odbiór, Mike. Jestem dość zapracowana, ale dla ciebie zawsze znajdę chwilkę.

- Zachowuj się.

W drodze powrotnej Barranco siedział cicho. Jeśli cieszył się z nabytków, nie dał tego po sobie poznać. Przez całą drogę trzymał w dłoniach pojedynczy pocisk płaszczowy, obracając go w palcach jak cygaro. Jego twarz nie zachęcała do rozmowy ani komentarzy. Chris pomyślał w szczególności makabrycznej chwili, że jego gość wygląda jak człowiek, któremu właśnie powiedziano, że choroba, na którą zapadł, jest nieuleczalna.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Wysadzili Barranco przed Hiltonem i już mieli odjechać, kiedy rozryczały się alarmy przy wejściu, błyskając ognisćie jaskrawymi diodami. Wcięż pogrążony w zamyśleniu Kolumbijczyk próbował przejść przez skaner z pociskiem do kałasznikowa w ręku. Chris w paru susach pokonał prowadzące do wejścia schody i wszystko załagodził, klepnął Barranco po ramieniu i poradził mu, żeby trochę odpoczął. Spotka się z nim jutro rano o dziewiętej i wtedy omówią sprawy związane z kontraktem. Potem wrócił do BMW i razem z Mikiem odjechali w niewielkim ruchu. Mike wykręcił obok Marble Arch i pojechał na wschód Oxford Street. Niebo nadal było jasne.

- Masz ochotę coś zjeść? - zapytał Mike.

- Jasne, czemu nie.

- Makaron?

- Brzmi niezłe. - Chris wskazał kciukiem w stronę, z której przyjechali. - Myślisz, że nic mu nie będzie?

- Barranco? Tak. Jest po prostu wstrząśnięty. Pewnie nigdy nie widział jednego dnia tyle sprzętu.

- Nie wiem. Nie wyglądał na szczęśliwego.

Mike prychnął.

- *A powinien być.* To największa płatność kartą kredytową, jaką kiedykolwiek zleciłem.

- Nie kupowałeś wczoraj żadnych zabawek dla Echevarrii?

- Na konto. - Mike uśmiechnął się do niego. - Z klauzulą anulowania w ciągu sześćdziesięciu dni.

- Tamten towar też puściłeś przez Sally Hunting?

- *Nie ma mowy.* Pełna separacja kont, pamiętasz? W każdym razie Sally nie dostanie procentu do czasu realizacji płatności. Nie chciałbym...

Telefon BMW rozjarzył się połączeniem priorytetowym. Mike pospiesznym gestem nakazał Chrisowi ciszę i odebrał.

- Tak, Bryant.

- Mike, tu Troy. Pamiętasz, o co mnie poprosiłeś? Właśnie coś wypłynęło.

- Świetnie, Chris jest tu ze mną, Troy. Powiedz nam, co masz.

Zapadła krótka cisza.

- Lepiej się spotkajmy. Nie chcę rozmawiać na tej linii. Możecie do mnie przyjechać?

Mike zerknął pytająco na przyjaciela. Chris kiwnął głową.

- Już jedziemy.

* * *

Dom Troya we wczesnowieczornym świetle wydawał się dziwnie cichy. Chris potrzebował chwili czy dwóch, by zrozumieć, że porównuje go ze wspomnieniami z ostatniej wizyty, kiedy to trwało tu wielkie przyjęcie. Stłumił ogarniającą go paranoję i poszedł za Mikiem do drzwi frontowych.

Zmartwienie musiało być widoczne na jego twarzy. Mike uśmiechnął się do niego krzepiąco.

- Będzie dobrze - powiedział.

Troy Morris odpowiedział na dzwonek, uaktywniając kamerę podglądu, a potem otworzył drzwi i zgarnął ich do środka, jakby zbliżał się deszcz, po czym zamknął wszystkie zamki i zasuwę na drzwiach, zanim znów się odezwał. Jednostka przeciwwłamaniowa zapisała, gromadząc pełny ładunek. Mike spojrzał na Chrisa i uniósł brwi.

- Zrobiliśmy się trochę nerwowi, co?

- Lepiej wejdźcie do środka - powiedział Troy. - Chciałbym wam kogoś przedstawić.

W salonie siedział, wierząc się niecierpliwie na jednym z foteli Troya, chudy czarny młodzieniec po dwudziestce. Na szczęście miał bliznę, a jego strój krzychał gangiem. Bez entuzjazmu przyjrzał się nowo przybyłym.

- To Marauder - przedstawił go Troy. - Marauder, to Mike Bryant. Chris Faulkner. Moi przyjaciele.

- Tak, tak. Niech ci będzie.

- Mike, Chris, usiądziecie? Napijcie się czegoś?

Mike Bryant przytaknął, większość uwagi skupiając na Marauderze.

- Trochę tej polskiej wódki, którą trzymasz w zamrażalniku. Niedużo.

- Chris? Single malt, prawda?

- Tak, jeśli masz. Dzięki.

- Aberlour czy Lagavulin? A może jakąś irlandzką.

- Lagavulin będzie dobra. Bez lodu.

- Marauder?

Bandzior wolno pokręcił głową. Nic nie powiedział. Troy wzruszył ramionami i wyszedł do kuchni. Siedzieli i czekali.

Cisza się przeciągała.

- Z kim trzymasz? - zapytał nagle Mike.

Marauder uniósł brodę.

- A co cię to, kuźwa, obchodzi?

Chris się spiął. Ani on, ani Mike nie mieli broni, a Marauder wyglądał na dostatecznie doświadczonego, by sprawiać problemy w walce. Kątem oka spojrzał na Mike'a, ale nie zauważył oznak nadchodzącej agresji.

- Czysta ciekawość - leniwie odpowiedział Mike. - Zastanawiam się po prostu, który popieprzony gang pozwala swoim żołnierzom oszukiwać na towarze.

Marauder wyprostował się na fotelu.

- Hej, guano, chcesz ze mną zadrzeć?

- Nie rozumiesz. - Głos Mike'a wyrażał cierpliwość. - Jestem garniakiem. Reprezentuję porządek świata. Gdybym chciał z tobą zadzierać, leżałbyś w szpitalu, oddając społeczeństwu nerkę, a twoja matka stałaby na ulicy, wyeksmitowana, dając się dymać, żeby opłacić szpital. *Siadaj.*

Bandzior zerwał się z fotela. Gdzieś w pół drogi wyczarował spomiędzy palców ostrze. Machnął nim.

- Hej, pieprz się, guano.

- Na twoim miejscu też bym to odłożył. Dotknij mnie, a każę zrównać z ziemią twoją rudere. Obiecuję.

Marauder zachwiał się, ogarnięty furją. Gdyby Mike wstał, by wyjść mu naprzeciw, zdaniem Chrisa zostałby pchnięty nożem.

- Ernie, odłóż to, do jasnej cholery, zanim sam ci to zabiorę. - Troy wrócił z kuchni z tacą pełną butelek i szklanek oraz rozdrażnionym wyrazem twarzy. - Gdzie ty się, do cholery, znajdujesz? To mój dom, nie bar w Carlton Arms.

- Ernie? - Na twarzy Bryanta pojawił się szeroki uśmiech. - *Ernie?*

- Ty też się zachowuj, Mike. Powinieneś mieć dość rozumu. - Troy kiwnął głową w stronę gangstera, który cofnął się i schował nóż. Opadł na skraj fotela. Chris poczuł, jak z wolna wycieka z niego napięcie, i znów odetchnął. Mike obejrzał paznokcie prawej ręki. Troy Morris nie postawił nawet tacy z drinkami. - Tak lepiej.

- Nazywasz się czarnym - wymamrotał cicho Marauder. - A za każdym razem wstawiasz się za nimi. Sam już jesteś prawie guano.

- Ach, zamknij się. - Troy nawet na niego nie patrzył. Rozdał drinki i postawił tacę na stoliku do kawy, po czym usiadł na wolnym fotelu z własną szklaneczką whisky i machnął ręką. - Ten przykładowy młodzieniec z miasta opowie wam pewną historię. Powiedziałem mu, że zapłacicie.

- Cóż. - Mike popatrzył w sufit. - Brzmi uczciwie. Posłuchajmy jej. *Ernie.*

Zapadła ponura cisza przepełniona nienawiścią. Wszyscy spojrzeli na Maraudera.

- To cię będzie kosztować - powiedział w końcu, patrząc na Chrisa.

- Dwie stowy - odparł Chris. - Obiecuję. Może więcej, jeśli mi się spodoba.

- *Wcale* ci się nie spodoba - prychnął bandzior. Wydawało się, że odzyskał już panowanie nad sobą. - Ty jesteś Faulkner. Wiem, bo widziałem cię w TV. Znany kierowca, tak. No, okazuje się, że nie jesteś tak bardzo popularny. Wychodzi na to, że ktoś cię sprzedał.

Chris poczuł skurcz żołądka.

- Mów dalej.

Marauder kiwnął głową.

- Tak, zgadza się. Crag's Posse dostał wiadomość. Porwij wóz, posadź chłopaka za kierownicą. Ktoś zapłacił pięćdziesiąt kawałków, żeby rozsmarować Faulknera.

- To nie tak dużo.

- Na osiedlach dużo - zauważył poważnie Troy. - *Sicario* można wynająć od Iarescu za tysiąc czy półtora. Może pięć, jeśli musi wyjść na miasto.

- Cóż, wydatki. - Mike machnął ręką. - Porwanie samochodu...

Marauder znów parsknął.

- To nie było żadne porwanie, guaniarzu. Ten facet wiedział, że tam przyjdą. Iarescu wysłał do Kilburn kablarka z infoszczurem, żeby przygotować wóz dwa dni wcześniej. Pieprzony garniak *wiedział*, stary, *zapłacili* mu za to.

- Skąd to wszystko wiesz? - zapytał go Chris.

- Od zbiega. Chodzę ze Złotymi Jastrzębiami...

Mike Bryant podniósł ręce.

- No dobrze, ale czemu wcześniej była to taka cholerna tajemnica, a teraz mówisz nam to jak gdyby nigdy nic? Pieprzone...

- Mike, *zamknij się*. - Chris przeniósł wzrok z powrotem na bandziora. - Tak, Złote Jastrzębie. I?

Marauder wzruszył ramionami.

- Jak powiedziałem, uciekinier. Ten kablarz od samochodu jest czarny, a Cragowie to gang guaniarzy, tolerowali go tylko z powodu tego, co potrafi z kablami. Teraz ma nową dziewczynę w Action i chce się urwać od Iarescu. Powiedział mi to parę nocy temu. Usłyszałem, że Troy pyta, więc... To proste. Troy nachylił się do przodu.

- A teraz powiedz im, co facet zrobił z tym samochodem.

- Tak. Powiedział, że wsadzili w niego zagłuszacz częstotliwości.

Chris i Mike popatrzyli na siebie.

- *Co takiego?*

- Facet nie wiedział o tym wiele. - Wydawało się, że Marauder dopiero się rozgrzewa. - Większość zrobił infoszczur. To chyba miało wyłączyć jakiś rodzaj alarmu. Powiedział, że to bardzo drogie. Iarescu osobiście dał mu sprzęt do ręki.

Chris pokiwał głową.

- No tak. Mike? Teraz mi wierzysz?

- Cholera. - Mike zerwał się z miejsca. Marauder drgnął, ale Bryan zdążył już podejść do okna. - *Cholera.*

- Powiedziałeś, że ktoś mnie sprzedał. - Chris skupił się na bandziorze. Musiał zapytać. - Co to znaczy? Kto ci powiedział? Ten gość od kabli?

- Jasne. Iarescu ciągle o tym gadał, jak to garniaki sprzedają się nawzajem. Ten gość, mówił, Faulkner, nie gra, w co mu każą, i dlatego trzeba go sprzątnąć.

* * *

- W ten sposób Iarescu mógł tylko wzmacniać ich lojalność, Chris. *Patrzcie, o ile jesteśmy lepsi od cholernych garniaków. Sprzedają się przy pierwszej sposobności. Nie jak my, my trzymamy się razem, a ja jestem najlepszym szefem, jakiego kiedykolwiek mieliście.* Ktoś spoza Shorn mógł zdobyć częstotliwości czujnika zbliżeniowego saaba, jeśli podpiął się na odpowiednim poziomie. Lloyd Paul. Może Nakamura. Każdy z nich kupiłby tę informację.

- Nie wydaje mi się.

Na zewnątrz samochodu robiło się już ciemno. Budynek dzielnicy finansowej przesuwali się za oknami, w miarę jak Mike prowadził BMW opuszczonymi ulicami w stronę wieży Shom. Większość świateł w budynkach zgaszono, a całe miejsce miało w sobie jakąś upiorną atmosferę. Pustka gasnącej niedzieli, jak ostatni dzień jakiegoś etapu wymierającej cywilizacji. Chris znów poczuł ogarniający go chłód.

- Czemu mieliby to zrobić w taki sposób, Mike? To nie ma sensu. Czemu ufać jakiemuś *sicario* bardziej niż własnym kierowcom? Przyjdzie następny przetarg, mogą wystawić przeciw mnie najlepszym, jakich mają.

- Nie, jeśli chcieli użyć sztuczki z zagłuszaniem. Kontrolerzy Standardów Handlowych obleźliby wrak jak robactwo. Zbankrutowaliby od kar.

- Dokładnie. - Chris potrząsnął głową. - Dużej korporacji nie opłaca się łamać zasad z powodu jednego kierowcy. Nie, kiedy w grę wchodzi pieniądze.

- Więc może to było coś osobistego. Rodzina Mitsue Jones albo coś takiego.

- To samo, Mike. Tracą ubezpieczenie, emeryturę, wypłaty za stratę. Cholera, idą do *więzienia*. Nakamura natychmiast by się ich wyparł, a bez osłony korporacji jest więcej niż prawdopodobne, że Shorn rozsmarowałoby ich choćby tylko dla przykładu.

- Gdyby ich złapali. A zemsta to potężny...
- Myślisz, że ja tego, kuźwa, nie wiem? Ja... - Chris opanował się, przerażony tym, co zamierzał powiedzieć koledze. - Ile rodzin ludzi, których zabiłeś, próbowało się na tobie mścić?

- Żadna, ale...

- Właśnie. Żadna. Tak to wygląda, Mike. Walki drogowe są i zostaną. Nikt już nie łamie zasad. Próbuje testując, wyszarpując nowe precedensy drogowe, ale *nikt* nie robi czegoś takiego. Nikt nie szuka kłopotów, o ile mu nie zapłacą i to dobrze. A to oznacza kogoś w Shorn.

- Myślisz o Makinie?

- Albo Hewitt.

Bryant potrząsnął głową. W polu widzenia pojawiła się wieża Shorn, więc zatrzymał się kilka metrów przed bramką do podziemnego garażu. Oparł ramiona na kierownicy i zapatrzył się w budynek.

- Dobra. - Westchnął. - Założmy, że masz rację.

- Tak, założmy.

- Założmy, że zlecenie przyszło z wewnątrz, z Shorn. To znaczy, że miałeś też rację odnośnie kontroli ruchu. Wiesz, że Liz ma kontakty z tymi ludźmi. Może zadzwonię do niej i poproszę, żeby oddała mi przysługę i popytała w paru miejscach.

- Co? - Chris rozejrzał się i spróbował nie zdradzić głosem nagłego przestachu. - Liz Linshaw? E, może to nie jest, no wiesz, najlepszy pomysł? Lepiej jej w to nie angażować.

- Odpęrz się. Mógłbyś jej powierzyć swoje życie.

- Tak, ale.. Myślałem, że ty i ona, wiesz, skończyliście ze sobą.

Mike uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Z tą kobietą? Nie ma mowy. Są przyptywy i odpływy, w zależności od tego, co jeszcze dzieje się w naszych życiach. Im dłużej jesteśmy osobno, tym goręcej się robi, jak się w końcu pieprzyimy. Ostatnim razem zostawiła mi na ramieniu takie ugryzienie, że nie uwierzyłyś.

Chris wbił wzrok w tablicę rozdzielczą.

- Tak? I co powiedziała na to Suki?

- Cóż. - Uśmiech Mike'a zmienił się w konspiracyjny. - W to też nie uwierzysz, ale wiesz, co zrobiłem? Wróciłem do biura i walnąłem się w nos końcem tego mojego kija bejsbolowego.

- Co?

- Tak. Cholerna agonია. Połała się krew. Pochlapałem całe gi. Powiedziałem jej, że trafił mi się psychol na treningu.

Chris przypomniał sobie siniaka sprzed kilku tygodni.

- Mnie też tak powiedziałaś.

- No, tak. Nie chciałem zmuszać cię do kłamstwa, gdyby to wypłynęło przy Suki. - Bryant przybrał zamyślony wyraz twarzy. - Wiesz, gdyby nie to, że mam już Suki i Ariane, myślę, że Liz i ja moglibyśmy stworzyć niezłą parę.

- Naprawdę tak myślisz?

Mike energicznie pokiwał głową.

- Tak, naprawdę. Ona jest naprawdę kimś, Chris.

* * *

W mroku garażu Shorn samotnie stał saab. Jeśli ktokolwiek tu dzisiaj pracował, wrócił już do domu na kolację. Chris przez dłuższą chwilę siedział w samochodzie, zanim włączył silnik. Cisza dzwoniła mu w uszach. Na drugim końcu garażu wadliwa świetlówka błyskała niczym dziwna latarnia. Miał wrażenie, że ktoś go obserwuje.

Kiedy w końcu uruchomił silnik i wyjechał na ulicę, czuł się, jakby jechał we śnie. Miasto przesuwało się po obu stronach jak przewijane na taśmie. Wnętrze saaba stanowiło pęcherzyk neurastenicznego spokoju, oazę bezpieczeństwa. Bał się, że nie uda mu się łatwo go opuścić. Tablica rozdzielcza i kierownica, pedały i dźwignia dawały mu zdalne sterowanie i odległą siłę autopilota. W jego uszach mruczały opcje. Pojedźmy *tam*. Nie. Do diabła z celem, po prostu *wyjedźmy*.

Zostawmy to wszystko za sobą.

Prawie wjechał na Highgate, zanim wyłączył się neurasteniczny autopilot i uświadomił sobie, że to nie droga do domu.

TECZKA #4
ZMIENNOŚĆ KAPITAŁOWA

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Kiedy przyjechał, Carla już spała. Pamiętał niewyraźnie, jak mówiła, że będzie musiała wstać przed świtem do pracy z grupą odzysku Mela gdzieś na zachodnich peryferiach. Wyścigi o partnerstwo w jakiejś firmie konsultingowej. Chris nigdy o nich nie słyszał, ale w tych czasach nie powinno go to dziwić. Od kiedy opuścił Rynki Rozwijające się, miał znacznie mniej do czynienia z programami korygującymi, a na tym polu nowe firmy konsultingowe wyrastały jak grzyby na stosie łąjna. W końcu nie było to nic skomplikowanego. Zmniejszyć wydatki na publiczną służbę zdrowia i edukację, otworzyć się na napływ kapitału zagranicznego, zdynamizować lokalne przeszkody w sektorze prawnym i pracowniczym. Kłamać odnośnie wyników i skłonić lokalną armię do stłumienia protestów. Mogła z tym sobie poradzić byle mała, a uprawnienia dostawało się na kursach internetowych w dziesięć tygodni. Potem wszystko, czego było trzeba, to garnitur i prawo jazdy.

Stał w sypialni, przyglądając się śpiącej Carli, gdy owładnęła nim fala przemożnej czułości. Podciągnął koc trochę wyżej na jej ramiona, a ona wymamrotała coś, nie budząc się. Wyszedł, delikatnie zamknął za sobą drzwi i zszedł na dół, do gabinetu. Za jeszcze jednymi drzwiami puścił segment pornosa z Liz Linshaw i jej chirurgicznie rozbudowaną koleżanką.

Siedział przez godzinę z głową opartą na ręce, próbując zrozumieć to, co czuł.

* * *

Spał źle, wykręcany przez koszmarne sny, które kiedy się obudził, zostawiły po sobie tylko poczucie nadszarpniętego zagrożenia. Carla zniknęła, jej strona łóżka prawie całkowicie wystygła, a przez na wpół odciągnięte zasłony wpadało światło. Zegarek przy łóżku wskazywał dziesięć po ósmej.

Szlag.

Wyskoczył spod koca, sięgnął po koszulę i spodnie i szybko je założył. W łazienkowym lustrze spojrzął na gniewne oczy i zarost, sięgnął po żyletkę, a potem ją odrzucił, zadowolając się wsadzeniem głowy pod strumień zimnej wody. Lodowate strumyczki spływały mu na kark i plecy. Przeczesał palcami włosy, przetaił je ręcznikiem, nie zdejmując go z wieszaka, i zapiął koszulę. Owinął szyję krawatem. Buty i mankiety. Portfel i zegarek. Marynarka i przez d... *klucze, kretynie.*

Wbiegł na górę, ale nie znalazł ich na stoliku przy łóżku. Przypomniał sobie nocne czuwanie w gabinecie, wpadł tam i zgarnął je z biurka. Wyjechał saabem tyłem z podjazdu, wykręcił nieelegancko na drodze i zostawił ślady gumy na szarym asfalcie, ruszając na zachód. Dojechał do rampy Elsenham w rekordowym czasie.

Przejeżdżając obok zjazdu dziesięć, zerknął na zegarek. Jeszcze kilka minut i będzie za kwadrans dziewiąta. *Cudownie. Cholernie wspaniale.* Zadzwoił do pokoju Barranco w Hiltonie. Nikt nie odebrał. Narastająca złość zmieniła się nagle w irracjonalny strach. Rozłączył się i zadzwonił do ochroniarzy. Ktoś odebrał, ziewając.

- Tak?

- Faulkner. Co jest z Barranco?

- W czym problem, jeszcze nie dotarł?

Chris poczuł wbijający się w kręgosłup kolec lodu.

- Gdzie dotarł?

Głos po drugiej stronie nagle zmienił ton.

- Do Shorn, sir. Przecież mieliśmy pozwolić mu jechać. Wziął bezpieczną limuzynę. Zadzwoił do Shorn, żeby po niego przyjechali.

Gaz do dechy. Głowa wciąż przymulona. *Myśl.*

- Kto autoryzował tę pieprzoną limuzynę? - zapytał przez zęby.

- Ja, och, mogę sprawdzić.

- Zrób to. Natychmiast. I nie rozłączaj się. - Przywołał z pamięci rozkład dnia i spróbował umieścić na nim Hernana Echevarrię. Głowa odmawiała współpracy. Śniadanie z partnerami, czy to miało być we wtorek? Wycieczka do nowej fabryki inteligentnych min Mil-Tac w Crawley? Jeśli tak, to już wyjechał z miasta pod czujnym okiem Mike Bryanta. Poczuł, jak napięcie opada.

Znów odezwał się ochroniarz z pokoju w Hiltonie.

- Przejazd został autoryzowany na poziomie partnerskim - powiedział głos pełen ulgi. - Louise Hewitt. Powiedziała, że dziwi się, że nie ma tam pana.

- O *cholera*.

- Ma pan może jeszcze jakieś pytania? Sir?

Chris warknął z głębi gardła i rozłączył się. Saab sunął drogą do pierwszego z tuneli.

Znajdował się na wzniesionej sekcji drogi nad północnymi strefami, kiedy nagle przypomniał sobie, gdzie Mike Bryant i Hernan Echevarria byli dzisiejszego ranka.

Znów wdepnął gaz do dechy.

* * *

Zniszczenia już się dokonały.

Wiedział. Wiedział już, kiedy zatrzymał saaba jak najbliżej windy, ale zastanawiał się, czemu jeszcze się przejmuje. Wiedział, jadąc samotnie gadatliwą windą i prawie krzyczał na głos, czekając, by otworzyły się drzwi. Przepychając się przez grupę zaskoczonych asystentów na pięćdziesiątym drugim piętrze, wiedział bez żadnych wątpliwości. Wiedział, patrząc na beztrąsko otwarte drzwi do pokoju z tajnym podglądem na salę konferencyjną. A mimo wszystko, pomimo całej wiedzy, widok stojącego tam Barranco uderzył go jak pocisk.

Za szybą Nick Makin i Mike Bryant siedzieli z Hernanem Echevarrią i drugim mężczyzną w mundurze, najwyraźniej omawiając szkolenia w zakresie przesłuchiwań. Ich głosy wypełniały pokój. Wybuch śmiechu zabrzmiał tak ostro, że prawie przypominał trzask.

- Vicente...

Barranco odwrócił w jego stronę twarz trupa. Pod ogorzałą skórą był blady, mocno zaciskał usta. Na skroni pulsowała żyłka.

- *Hijos de puta* - wyszeptał. - Ty...

W sali konferencyjnej Echevarria mądrze kiwał głową.

- Vicente, posłuchaj...

Na widok oczu Barranco drgnął i prawie przyjął pozycję bojową karate. Kolumbijczyk dygotał. Przez głowę Chrisa przemknęła myśl, jak korporacyjne szotokan wyglądałoby w zetknięciu z umiejętnościami rozwiniętymi w prawdziwej walce. Barranco popatrzył na niego

z obrzydzeniem i odwrócił się. Stał, wbijając wzrok w blat, na którym ktoś zostawił kopię harmonogramu wizyty Echevarrii.

- Nie wierzyłem - powiedział cicho - kiedy asystent mi powiedział. Zapytał mnie, czy jestem z Hernanem Echevarria. Czy się *zgubiłem*, i przyprowadził mnie tutaj, uśmiechając się, cholera, *uśmiechając się*. Zostawił mnie tu, żebym się przyglądał, jak...

- To nie jest to, na co wygląda, Vicente...

- *To jest dokładnie to, na co wygląda!* - Krzyk zadzwonił w ciasnym pokoju. Zdawało się niemożliwe, żeby ci za szybą go nie usłyszeli. Barranco wymierzył kopniaka nodze biurka. Mebel podskoczył, zrzucając harmonogram, przyczepiony do niego dysk i papiery. Krzesło przewróciło się, zahaczyło o kij bejsbolowy Mike'a i poturlało go po podłodze.

- Vicente. - Chris sam słyszał błaganie w swoim głosie. - Musiałeś wiedzieć, że Echevarria siedzi jeszcze przy stole. Ale teraz wylatuje. Ty wchodzisz. Nie rozumiesz tego?

Kolumbijczyk odwrócił się twarzą do niego.

- Wchodzi - wysyczał. - Wylatuje. Co jest, dla ciebie to jakaś pieprzona gra? Co płynie w twoich żyłach, Faulkner? Co z ciebie za człowiek?

Chris obliznął wargi.

- Jestem po twojej stronie, Vicente...

- Stronie? Po mojej *stronie*? - Barranco splunął na podłogę. Znow zaczął mówić głośniej. - Ty roześmiana, piekielna kurwo, nie mów mi o stronach. Nie ma stron dla ludzi takich jak ty. Przyjaciół morderców. - Z błyszczącymi oczami wskazał na szybę. - Katów, jeśli to się opłaca. Jesteś cholernym *śmiectwem*, bezdusznym gringo *puto*, gównem.

Coś pękło za lewym okiem Chrisa. Pocztał, że wzdraga się jak od uderzenia. W górę jego głowy rozwinęły się czerwone żyłaste skrzydła. Plik HM otworzył się przed nim niczym jaskrawo pomalowane drzwi zapadni. Zobaczył helikoptery zwisające pod poszarpanymi chmurami nad dżunglą, świst i stukot gatlingów, syk i grzmoty rakiet. Wioski w płomieniach, spalone drzewa, rozrzucone po ziemi zwęglone trupy. W uszach rozbrzmiały odległe krzyki z więziennych cel, rozdzierające tropikalną noc. Obok niego pojawiła się zjawa, której nie spotkał od czasu śmierci Edwarda Quaina, krzycząc dziko do wewnętrznego ucha.

Kij.

Trzymał go w dłoni.

Kod do drzwi. Pięć błyskawicznych dotknięć klawiatury. Szklane drzwi cofnęły się, a on wpadł do sali konferencyjnej.

- Faulkner, co ty, *do cholery*, robisz?

Makin, z głosem prawie dziewczęcym od szoku.

Mike, odwracający się od stolika pod ścianą, gdzie szykował drinki.

Echevarria, z oczami utkwionymi za Chrisem, w Barranco. Jego nabrzmiała twarz starca usiana plamami, gdy próbował zerwać się na równe nogi. Głos pełen furii.

- *To...*

Chris uderzył. W bok, z pełnego zamachu obiema rękami, kijem bejsbolowym i wszystkim, co go pchało. W żebra dyktatora. Usłyszał, jak pękają, przez kij poczuł ich kruchość. Echevarria wydał z siebie odgłos, jakby się zadławił, i padł na brzeg stołu. Zamach, znow cios. W to samo miejsce. Starzec zaskrzeczał. Mike Bryant ruszył do ataku. Chris dźgnął go końcem kija w splot słoneczny. Bryant zachwiał się i opadł na ścianę, usiłując

złapać oddech. Drugi mężczyzna w mundurze ryknął i spróbował obejść stół, idąc na pomoc szefowi. Zaplątał się we własne krzesło i runął na plecy. Chris znów się zamachnął. Echevarria uniósł rękę. Kij złamał ją z głośnym trzaskiem. Staruszek wrzasnął. Znów do góry, kolejny cios. Tym razem Chris trafił w twarz. Nos dyktatora złamał się, złościąc rysę pod okiem. Trysnęła krew, opryskując go ciepłą wilgocią po twarzy i dłoniach. Echevarria upadł i legł na podłodze, zwinięty w kłębek. Nadal krzyczał. Chris szerzej rozstawił nogi, pochylił się i zaczął walić, jakby rąbał drewno. Głowa i ciało, burza ciosów bez celowania. Słyszał ochryple wrzask, własny. Wszędzie krew, spływająca po kiju, w jego oczach. Białe błyski odstoniętej kości w masie mięsa. Zdławione, bulgoczące dźwięki z gardła Echevarrii.

Wreszcie nadbiegł drugi mężczyzna w mundurze. Chris, któremu została już tylko napompowana adrenaliną zimna precyzja, zamachnął się kijem i trafił go z całej siły w krtań. Tamten odskoczył w tył, jakby odciągnięty niewidzialną liną. Padł na podłogę i zaczął machać kończynami jak przewrócony żuk, wydając dziwne odgłosy.

Wszystko znieruchomiało. Na podłodze Echevarria westchnął bulgotliwie i umilkł. Półtora metra dalej Nick Makin zdołał wreszcie zerwać się z miejsca.

- Faulkner!

Chris zważył kij w dłoni. Przez twarz przebiegł mu skurcz. Wydawało się, że jego głos dobiega z dna studni, zgrzytliwe tony nieznane również jemu.

- Cofnij się, Nick. Bo z tobą zrobię to samo.

Usłyszał, że Mike podnosi się na nogi. Obejrzał się w stronę drzwi, którymi wszedł, gdzie stał Vicente Barranco, przyglądając się masakrze. Chris starł z twarzy część krwi i wyszczerzył się do niego niepewnie. Zaczynało go ogarniać drzenie. Rzucił kij na podłogę obok skulonej postaci Echevarrii.

- Dobra, Vicente - powiedział chwiejnie. - Powiedz mi. Po czyjej pieprzonej stronie jestem?

* * *

- Wiesz, nie była to najinteligentniejsza rzecz, przy jakiej cię widziałem.

Mike Bryant podał mu szklaneczkę z whisky i wrócił za swoje biurko. Chris siedział skulony na sofie, owinięty w dostarczony mu przez sanitariusza koc, wciąż dygocząc. Na stole przed nim w milczeniu stały naprzeciw siebie figury na szachownicy. Onyks błyszczał.

- Przepraszam, że cię uderzyłem.

Mike pomasaował mostek.

- Tak, moim cholernym kijem. Tego też mogłeś sobie oszczędzić.

Chris napił się whisky, trzymając szklaneczkę obiema rękami, jakby to była gorąca kawa. Alkohol spłynął do gardła, rozgrzewając go. Potrząsnął głową.

- Po prostu straciłem panowanie nad sobą, Mike.

- Nie, poważnie? - Bryant przyspilił go wzrokiem. - Chyba też to zauważyłem. Chris, co, do cholery, Barranco robił bez nadzoru w Shorn? Wiedziałeś, że Echevarria będzie tu dzisiaj na przeglądzie budżetu. Czemu nie wzięłeś Vicente na wycieczkę? A przynajmniej nie zatrzymałeś go w Hiltonie i wcześniej się ze mną nie skontaktowałeś.

Chris znów potrząsnął głową. Słowa nie chciały opuszczać jego ust.

- Spóźniłem się. Wyjechał beze mnie.

- To nie wyjaśnia, jak się tu dostał. Kto pozwolił mu wejść do wieży?

- To właśnie próbowałem powiedzieć ci wcześniej. Hewitt autoryzowała limuzynę, która go tu przywiozła.

Mike zmrugał oczy.

- Hewitt?

- Tak. Louise pieprzona Hewitt. Mówię ci, strzela we mnie, od kiedy przeszedłem przez próg Shorn. Chce...

- Och, *bsdura* - Bryant zerwał się z fotela, dłońmi opierając się na biurku. Krzyczał pierwszy raz od chwili wydarzeń w sali konferencyjnej. - *Na miłość boską!* To nie czas na cholerne bzdury, paranoję i urażone uczucia. To *poważna* sprawa.

Gniew wyparował równie szybko, jak się pojawił. Mike westchnął i znów usiadł. Obrócił fotel i zapatrzył się za okno. Jedną dłoń skierował w stronę Chrisa.

- No, słucham sugestii. Co *twoim zdaniem* powinniśmy powiedzieć Notleyowi?

- Czy to ma znaczenie, co mu powiemy?

- Cholera, tak. - Mike odwrócił się gwałtownie w jego stronę. - Co jest, *chcesz* stracić pracę, czy jak?

Chris zamrugął.

- Co?

- *Powiedziałem*. Czy chcesz stracić pracę?

- Ja... Ale... - Chris machnął bezradnie ręką i omal nie upuścił whisky. - Wszystko jedno, pracę już straciłem. Prawda? No wiesz, nie można przecież po prostu rozbić głowy klientowi, prawda?

- Och, cieszę się, że *wreszcie* to sobie uświadomiłeś.

- Ja... Mike, oczywiście, że nie chcę stracić tej pracy. Lubię to, co robię. - Chris odkrył nagle, że mówi prawdę. - Wreszcie zaczęliśmy osiągać coś ważnego. Mówię ci, Barranco to strzał w dziesiątkę. Może poprowadzić całe MGP w innym kierunku, jeśli tylko go poprzemy. Dzięki niemu wszystko znów zacznie działać. Może nam dać... Co?

Mike Bryant przyglądał mu się z napięciem.

- Mów dalej.

- Jestem w tym dobry, Mike. Znam się na ludziach. Wiesz o tym. A po czymś takim mam Barranco w kieszeni. Jesteśmy teraz blisko. Bardzo blisko. To *się liczy*.

- A Kambodża nie?

- Nie o to mi chodzi. W Kambodży nic nowego się nie zdarzy. Robili to już przynajmniej cztery razy. Ta sama stara śpiewka, po prostu nowa dekada. My musimy tylko płynąć na fali i upewnić się, że rejony przemysłowe nie ucierpią w trakcie walk. MGP to coś innego. Masz przed sobą radykalną restrukturyzację reżimu, który rządził tam od początku wieku. Jak często trafia ci się taka praca?

Mike przez chwilę nie mówił nic. Wyglądało na to, że rozważa, co przed chwilą usłyszał. Potem kiwnął głową i wstał zza biurka.

- W porządku, dobrze. Pójdziemy na to. Radykalna restrukturyzacja. Ale załagodź trochę te teksty o Kambodży. *Wszystkie* nasze konta są ważne i niezależnie od tego, co Sary w końcu osiągnie lub nie, zarobimy tam mnóstwo pieniędzy. Pamiętaj o tym.

Podniesione głosy sprzed biura Mike'a. Charakterystyczny ton Louise Hewitt kłócącej się z ochroną. Mike wykrzywił twarz.

- No to jedziemy - powiedział. - Blokuj i kryj się. Zaczynaj mówić. I wywal ten cholerny koc, wyglądasz jak skazany przestępca.

- Co?

- Powiedz coś o MGP, Chris. Istotne szczegóły. No, *szybko*. Postaraj się, żeby to zabrzmiało inteligentnie.

- Och. - Chris szukał słów. - Och, sytuacja w miastach nie wygląda lepiej. Jasne, mamy zadowoloną klasę średnią ale to tylko...

- *Koc*.

Chris strącił z siebie materiał. Wstał i zaczął chodzić. Głos nabrał siły, w miarę jak znów podjął wątek. Improwizował.

- Sprawa studentów, Mike, odegrała kluczową rolę. Niektóre z tych dzieciaków *pochodziły* z klasy wyższej, było ich wprawdzie niewielu, ale przy tak rozbudowanym systemie powiązań rodzinnych jak w MGP, praktycznie wszyscy znają kogoś, kogo...

Do biura wpadła Louise Hewitt.

- *Coś ty, do kurwy nędzy, zrobił, Faulkner?*

Odwrócił się w jej stronę i jak fizyczny cios poczuł myśl, jak wspaniale wygląda w takiej furii.

Zawsze był świadom, że Hewitt jest atrakcyjna w mroczny, ostry sposób, ale jego taki wygląd nie pociągał. Zbyt surowa, zbyt sztywna, a w ogólnym bilansie, *bądźmy szczerzy, Chris*, tak naprawdę ruszały go tylko blondynki. Louise Hewitt była zdecydowanie ciemnowłosa i całkowicie panowała nad swoim przeznaczeniem. Nie pomagało też, że serdecznie jej nienawidził.

Teraz kiedy jej policzki płonęły czerwienią, włosy były w lekkim nieładzie, a żakiet nie układał się idealnie na ramionach, zobaczył w niej nagle kobietę. Stała na lekko rozstawionych nogach, jakby pięćdziesiąte drugie piętro było pokładem jachtu na falach, z dłońmi na wysokości bioder, jak u rewolwerowca z filmów. Postawa była podświadomie zmysłowa, rozciągała tkaninę wąskiej spódnicy do kolan i podkreślała linię bioder.

Drobna część umysłu Chrisa pozostała dostatecznie racjonalna, by zarejestrować dziwną perwersję jego programowania seksualnego. Reszta była śmiertelnie wystraszona tym, co miało teraz nastąpić.

- Louise - odezwał się radośnie Mike Bryant. - Jesteś. W takim razie pewnie już słyszałaś.

- Słyszałam? *Słyszałam?* - Weszła głębiej do pokoju, wciąż skoncentrowana na Chrisie.

- Właśnie wracam z cholernej izby chorych, Mike. Trzymają Echevarrię pod respiratorem. Co się tu, do cholery, dzieje?

- Przeżyje?

Hewitt dźgnęła palcem powietrze.

- Zadałam ci pytanie, Mike. Oszczędź mi technik zbywania pytań.

- Przepraszam. - Mike wzruszył ramionami. - Siła przyzwyczajenia. Układ z Echevarrią był już ograny. Sprawiał, że nie dało się kontrolować sytuacji.

- *Więc zatłukłeś go na śmierć?*

- To trochę niefortunne, ale...

- *Niefortunne? Czy ty...*

Chris odchrząknął.

- Louise, Barranco jest...

- Ty - wykręciła się ku niemu jak do walki - się, do cholery, zamknij. Dość już dzisiaj zepsułeś.

Mike Bryant wyszedł zza biurka z uniesionymi w łagodzącym geście rękami.

- Nie mieliśmy wyboru, Louise. Mogliśmy stracić Echevarrię albo Barranco. A Barranco jest kluczem do naszego rozwiązania. Może wywrócić całe MGP do góry nogami, jeśli tylko go poprzemy. Może sprawić, że wszystko zagra jak trzeba.

Chris zdołał się powstrzymać, by nie otworzyć szeroko ust ze zdziwienia, słysząc własne słowa w ustach Bryanta. Hewitt patrzyła to na jednego, to na drugiego. Jej złość lekko opadła.

- Makin mówi coś innego.

- Cóż. - Mike machnął ręką. - To mnie nie dziwi. Nick jest przerażony własnymi błędami. Daj spokój, Louise, wiesz, że od początku sobie z tym nie radził. Inaczej byś mnie do tego nie wciągała.

- Na pewno nie angażowałam cię, żeby *to* osiągnąć.

- Słuchaj, usiądźmy na chwilę. - Mike wskazał na sofę przy stoliku szachowym. - No chodź. Nie ma sensu na siebie krzyczeć. Nie jest to idealna sytuacja, ale da się ją opanować.

- Doprawdy? - Hewitt uniosła nieskazitelne brwi. Sprawiała wrażenie, jakby odzyskała przynajmniej część panowania nad sobą. - To chciałabym usłyszeć.

Usiedli. Mike zwinął koc i przerzucił go niedbale przez sofę.

- Rzecz w tym, Louise, że Vicente Barranco to nasza jedyna szansa. Echevarria był już w drzwiach, wybierał się do Amerykanów. Bawił się z nami. A Barranco to jedyna dostępna alternatywa wśród buntowników. Chris ci to wyjaśni. Nie ma innych rozsądnych opcji.

Hewitt przeniosła wzrok na Chrisa.

- Hm?

- Tak. - Chris spróbował wyrwać się z otępienia, w jakie wtrąciła go nagła zmiana kierunku zdarzeń. Spodziewał się, że będzie raczej siedział w więzieniu albo opróżniał biurko. - Tak, to prawda. Arbenz nie żyje albo umiera z powodu niewydolności systemu odpornościowego. Amunicja biologiczna MCH. A Diaz albo ucieka, albo już został złapany, tylko jeszcze o tym nie wiemy, a w takim wypadku do tej pory policja polityczna Echevarrii mogła go już zamęczyć na śmierć.

- No i proszę. - Wtrącił się Mike. - Zostaje nam Barranco, a prawie go straciliśmy godzinę temu. Mieliśmy tylko Echevarrię, który szykował się, żeby zagarnąć sprzęt, jaki już mu daliśmy, i pocałować nas na dowidzenia w drodze do Lloyda Paula lub RapCap Caldersa. A w tym czasie Barranco myślał, że go sprzedaliśmy. W tych okolicznościach Chris zrobił jedyną rzecz, która mogła uratować sytuację. Teraz przynajmniej mamy szansę.

Hewitt potrząsnęła głową.

- To musi pójść do Notleya.

- Zgadzam się. Ale może iść do niego jako gotowy pakiet albo jako totalny burdel.

- *To jest* burdel, Mike. Barranco nigdy nie powinien trafić w pobliże Echevarrii.

- Wszyscy popełniamy błędy, Louise.

Coś w głosie Bryanta przyciągnęło uwagę Hewitt.

- To znaczy?

- Cóż, to ty autoryzowałaś limuzynę dla Barranco. - Mike promieniował niewinnością. - To znaczy, jasne, pewnie założyłaś, że Chris będzie tu na niego czekał. A Chris zamiast tego pojechał do Hiltona, więc...

- Chris się kurewsko spóźnił - delikatnie przypomniała Louise.

- Tak. To był błąd. Limuzyna była błędem. Cholera, moim albo Nicka błędem było to, że zostawiliśmy otwarte drzwi do gabinetu podglądu. Nie wspominając o kretynie, który powiedział Barranco, gdzie nas znaleźć. Masz rację, Louise, zrobiliśmy tu burdel. Ale nic nie zyskamy, jeśli przedstawimy to w ten sposób Notleyowi. Musimy zaakcentować plusy.

Przez kilka sekund Hewitt milczała. Chris prawie słyszał kręcące się w jej głowie trybiki. Potem uśmiechnęła się kwaśno i kiwnęła głową.

- Dobra - powiedziała. - Bierzmy się do roboty.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Echevarria zmarł tuż przed południem na skutek licznych krwotoków wewnętrznych. Nie odzyskał przytomności. Jego agonii przyglądał się Vicente Barranco. Wszyscy inni byli zbyt zajęci.

Szykowali się, od kiedy tylko Hewitt dała zielone światło.

- Weźcie z Brown nagrania jego połączeń telefonicznych - rzuciła do Notleya. - Zobaczcie, czy umówił na popołudnie jakieś spotkania, i dowiedzcie się, czy kontaktował się z kimś regularnie. W ten sposób będziemy mieć jakieś pojęcie o tym, ile zostało nam czasu. I zacznijcie myśleć o jakiejś przykrywce.

Chris spędził następną godzinę, przegryzając się przez akta użytecznych terrorystów.

Biuro Mike'a Bryanta stało się centrum dowodzenia. Chris grzebał w terminalu, podczas gdy Mike chodził po pokoju z komórką, dzwoniąc do ludzi. Wysłali Makina po nagrania. Wszystkie połączenia telefoniczne przekierowano na czterdzieste dziewiąte piętro, gdzie młodszym analitykom polecono, by odłożyli je na później, chyba że miały jakiś związek z MGR. W czasie, jaki im to dało, przygotowali plan awaryjny. W Langley wynajęto jednostkę cieni i wysłano w celu śledzenia Echevarrii juniora. Nagrania z sali konferencyjnej zostały odizolowane od wszystkich zewnętrznych terminali i odtworzone z niepodłączonego do sieci projektora siwowłosej ekspertce obróbki danych wynajętej z Imagicians. Kobieta zacmokała jak zawiedziona nauczycielka, puściła obraz od początku i zaczęła robić notatki. Przybyła ekipa ochroniarzy o kamiennych twarzach i najwyższym poziomie dostępu, załatwiona przez Louise Hewitt, a Mike wysłał ich, by uprzątnęli krew.

Z Brown zadzwonił Makin z danymi telefonów. Na koncie Echevarrii nie było na dzisiaj żadnych zgłoszonych połączeń.

- *Chwaaaaała* Panu - skomentował Mike, ze zdumiewająco dobrym humorem, jak na te okoliczności, parodiując Simeona Sandsa. Wykonał teatralny gest wolną ręką. - Jest *Bóg*, bo mnie *ocalił*. Dobra robota, Nick. Stwarzali ci tam jakieś problemy? Aha, aha. Dobrze. Nie, ale nigdy nie wiadomo. Odgryźć głowę węża, który cię karmi, i tak dalej. A co ze zwykłymi rzeczami? Yhm, yhm. Tak, trudno, pewnie należało się tego spodziewać. Tak, wysłaliśmy już za nim psy w Miami. Tak, Langley, najlepsze, co można było w takim terminie. Są pod ścisłą kontrolą. Co? Ach, daj spokój, Nick, to nie pora na wzajemne oskarż... Tak, jestem pewien, że on też o tym wie. - Zerknął na Chrisa i przewrócił oczami. - Słuchaj, Nick, nie mamy na to czasu. Spłać ich, weź kopie wszystkiego, co mają i wracaj tu. Rozłączył się, odsunął od siebie komórkę i pomasaował ucho.

- Jak pies z cholerną kością. Wina, wina, wina, jakby to miało teraz w czymś pomóc. I co o tym myślisz, Elaine?

Ekspertka od fałszowania danych zatrzymała nagranie i przeczesła dłonią włosy. Na ścianie z plastali czterometrowy Chris znieruchomiał w pół zamachu, z twarzą wykrzywioną furią.

- Czy to ma wytrzymać jako dowód w sądzie?

- Nie. Nic z tych rzeczy.

Wzruszyła ramionami.

- Więc możemy to zrobić. Tylko powiedz mi, czego chcesz.

- Dobra, świetnie. Chris, jak ci idzie?

Chris wskazał głową na terminal.

- Mam kilka możliwości. Ale, Mike, żaden z tych gości od lat nie przeprowadził udanego zamachu bombowego w Londynie.

- No cóż, nie musiał. Potrzeba nam tylko kogoś, kto weźmie na siebie odpowiedzialność. Na to powinno być aż za dużo tych sukinsynków. Żadnego wysiłku, żadnego ryzyka, natychmiastowa sława w mediach. Czego więcej chcesz? - Mike wskazał palcem na ekran. - Co z tymi? Wyglądają dość paskudnie.

- Nie nadają się. - Chris potrząsnął głową. - Bojownicy chrześcijańscy, walczą z homoseksualizmem i aborcją. Nie ich profil. Zresztą, są zbyt niezdarni, i nikt nie uwierzy, że to im się udało.

- Tak, ale... - W dłoni Mike'a znów ożył telefon. - Tak, Bryant. Aha, aha. Dobra, dzięki. A co tym drugim? Aha. Dobra, trzymaj go tak. Nie, nie wiem, jak długo. Dobra. Tak. Do widzenia.

Zważył telefon w dłoni i popatrzył na niego w zadumie.

- Echevarria zszedł. Przed chwilą. Szybko stygnie. A Nick dowiedział się, że obiecał zadzwonić do syna w Miami dziś wieczorem. Mamy mało czasu.

* * *

W końcu zdecydowali się na grupę antycznych socjalistów rewolucyjnych ze skomplikowanym akronimem, którego pewnie i tak nikt nie zdoła zapamiętać.

Grupa w ostatnich latach przeżyła gwałtowne odrodzenie, przyciągając młodzież z wydzielonych stref w różnych miastach Europy, aranżowała zabójstwa z broni maszynowej niskopoziomowych dyrektorów i wywoływała duże wybuchy w pobliżu dość niejasno definiowanych „siedzib globalistów”. W ciągu ostatnich pięciu lat zdołała zabić prawie dwa tuziny ludzi, często łącznie z planowanymi ofiarami. Jej członkowie korzystali z szerokiego zakresu wojskowej broni automatycznej i sprzętu wybuchowego, zdobywanego głównie przez kanały czarnorynkowe z Rosji, które łatwo było opanować. Ich retoryka stanowiła gęstą mieszankę przebrzmiałego trockizmu i antykorporacyjnych ekobajań, i wyglądało na to, że poświęcali równie dużo energii na walki wewnętrzne, co zabijanie ludzi. Skrzydło infiltracyjne Shorn uznało ich za hałaśliwych, ale zasadniczo niegroźnych.

Byli idealni.

Mike poszedł się ubrać w kamizelkę z weblaru.

Chris polował na sprzęt, gdy do biura niezaanonsowany wszedł Jack Notley i stanął, rozglądając się z nonszalancją turysty. Jego marynarka Susany Ingram była zapięta, a dłonie trzymał złożone przed sobą. Ukłonił się uprzejmie konsultantce z Imagicians, która biegła co chwila do studia na końcu korytarza po różne fragmenty nagrań, a teraz, pod nieobecność Mike'a, pakowała swoje rzeczy.

- Elaine. Cieszę się, że mamy dla ciebie zajęcie.

- Inaczej by mnie tu nie było.

- Tak, pewnie tak. - Spojrzenie Notleya przeniosło się na Chrisa, przestał się uśmiechać. Z jego oczu nie dało się nic odczytać. - A ty też jesteś zajęty?

Chris stłumił drżenie.

- Ja, och, praktycznie już tu skończyliśmy. Ale muszę się zobaczyć z Vicente Barranco.
Był...

- Kazałem odwieźć señora Barranco do hotelu. Elaine, mogłabyś nam dać kilka minut?

- Jasne. I tak już tu skończyłam. Później wrócę po sprzęt. Wyszła. Chris z ukłuciem zawiści przyglądał się, jak odchodzi. Notley obszedł biurko i stanął przy jego ramieniu.

- Co robisz? - zapytał bezbarwnie.

- Profil sprzętowy. - Chris wskazał na ekran, próbując zachować spokój. Ze zdziwieniem stwierdził, że czuje raczej zażenowanie niż strach. - Znaleźliśmy grupę, która weźmie na siebie winę za Echevarrię. Dopasowuję najczęściej stosowaną broń do zawartości lokalnej zbrojowni. Oczywiście, będziemy musieli wykorzystać naszych ludzi, nie ma czasu na nic innego.

- Tak. Brakuje nam czasu, nieprawdaż?

- Tak, choć chyba tak jest nawet lepiej. - Zaschło mu w gardle. - To, och, zmniejsza ryzyko ujawnienia naszego udziału i daje nam możliwość kontroli sytuacji.

- Kontrola, tak. - Chris poczuł, jak Notley porusza się za nim, na skraju pola widzenia. Sporo wysiłku wymagało, by opanować odruch obrócenia fotela. Teraz ciepły rumieniec zakłopotania zmieniał się w zimny strach. Głos starszego partnera zza jego pleców był hipnotycznie spokojny. Chris odbierał go jak rękę położoną na ramieniu. - Przypomnij mi, Chris, dlaczego znaleźliśmy się w tej sytuacji?

Chris przełknął ślinę. Głęboko wciągnął powietrze.

- Ponieważ dałem ciała.

- Tak. - Teraz Notley przesunął się za nim na lewo. - Ujmując rzecz łagodnie, faktycznie. Dałeś ciała.

Obszedł biurko z opuszczonym nemeckiem w dłoni. Tym razem Chris nie zdołał opanować drżenia, wzdrygnął się. Notley na niego spojrział. Jego twarz nie wyrażała kompletnie nic.

- Chcesz mi coś powiedzieć?

Chris poczuł, jak zstępuje na niego tętniący spokój drogowego pojedynku. Oceniał szanse i wiedział, że dał się złapać. Jego nowy nemex leżał w biurze, wciąż jeszcze niewyjęty z pudełka. Blokowało go biurko. Nie zdołałby skoczyć na Notleya, a na blacie nie było nic, czym mógłby w niego rzucić. Przywykł przeprowadzać tego rodzaju obliczenia z prędkością bojową oceniając i działając w czasie, jakiego saab potrzebował na pokonanie kilku metrów asfaltu. Unieruchomienie i ślimacza skala czasu uczyniły scenę nierealną jak ze snu.

przed oczyma przepłynął mu supermarket, bolesny grzmot pistoletu w uszach, nagły deszcz ciepłej krwi

Zastanawiał się, czy...

- No?

- Myślę. - Nagle wszystko stało się proste. Musiał tylko odpuścić. - Myślę, że popełnia pan cholernie wielki błąd. Echevarria był jak nabrzmiały ropą wrzód, który czekał, żeby pęknąć. Ja tylko oszczędziłem panu kłopotów.

Notley zmrużył oczy. A potem nagle opuścił nemeksa i wsadził go za pasek spodni. Potrząsnął głową.

- Niezły obraz. Wrzód czekający, by pęknąć. Urocze. Musisz popracować nad finezją

Faulkner.

Rozejrzał się wokół, znalazł krzesło, przyciągnął je do biurka i usiadł. Chris gapił się na niego, pełen chemikaliów układu nerwowego czekającego na strzał. Notley się uśmiechnął.

- Opowiem ci historię - rozsiadł się wygodniej - faceta, który nazywał się Webb Ellis. Chodził do mojej szkoły jakieś dwieście lat przede mną. Co ci to mówi, tak przy okazji?

Chris zamrugał.

- Był bogaty?

- Bardzo dobrze. Nie do końca prawdziwe, ale może być. Webb Ellis był, jak by to dzisiaj powiedzieć, w obiegu. Miał znajomości. Jego ojciec umarł, ale matka wyciągnęła go na tych znajomościach, i w wieku szesnastu lat wciąż się uczył. Między innymi grał dość dobrze w piłkę nożną i krykieta. I *pozornie*, w trakcie jednej z tych gier ostro złamał zasady, łapiąc piłkę i biegnąc z nią przed siebie. Wiesz, co się z nim stało?

- Och. Wyrzucili go?

Notley pokręcił głową.

- Nie. Stał się sławny. Stworzyli całkiem nową grę, w której trzeba było biec z piłką.

- To... - Chris zmarszczył czoło. - Rugby.

- Tak jest. W końcu nazwali ją od imienia szkoły. Rozumiesz czemu. Webb Ellisówkę byłoby trochę trudno wymówić. Ale wedle legendy tak powstało rugby. Na ścianie szkoły wisi nawet tablica pamiątkowa na cześć starego Webba Ellisa i dnia, w którym złamał zasady. Codziennie obok niej przechodziłem.

W pokoju zapadła cisza.

- To prawda? - zapytał w końcu Chris.

Notley się uśmiechnął.

- Nie. Zapewne nie. To przydatny element szkolnej mitologii, wryty w kamieniu, żeby udawał prawdę. Ale odzwierciedla to, co mniej więcej wtedy robiło całe stado elitarnych szkół. Łamały zasady i tworzyły nowe. Później retromarketing przypisał to jednemu człowiekowi, ponieważ ludzie lubią mieć jakiś punkt odniesienia. Ale wiesz, Chris, ta gra wcale nie była nowa. Sięga przynajmniej czasów rzymskich. Przez całe stulecia grano w takie gry na ulicach miast i wiosek całej Anglii. I wiesz co? Mniej więcej wtedy, gdy Webb Ellis i jego kumple tworzyli historię sportu, masywni faceci w mundurach i z pałkami zabronili ludziom grać w tę grę. Ponieważ, i tu prawie cytat, zakłóca ona spokój publiczny i jest niebezpieczna. Widzisz, Chris, jak to działa? Jak zawsze działało?

Chris milczał. Nie minęło jeszcze pięć minut, od kiedy Notley celował do niego z pistoletu. Nie ufał jeszcze lodowi dostatecznie, by po nim chodzić.

- Dobra. - Notley cofnął się na oparcie. - Przeskoczmy o kilka stuleci. To już powinieneś wiedzieć. Kto dokonał pierwszego zabójstwa w rywalizacji drogowej?

- Och, Roberto Sanchez, prawda? Wyzwanie partnerskie w Calders Chicago, w... nie, chwileczkę. - Chris odsiał nieoczekiwaną informację z morza telewizyjnego śmiecia, które przepłynęło przez niego w ciągu ostatnich miesięcy. - Teraz mówią, że to nie był Sanchez, tylko Rice, zbir z biura w Waszyngtonie. Wyprzedził Sancheza o trzy miesiące, czy coś koło tego?

Notley pokiwał głową. Przez chwilę sprawiał wrażenie zatopionego w myślach.

- Tak, tak mówią. Mówią też, że to Begona Salas w IberFondos. To feministyczna

wersja, ale jest w tym trochę racji. Salas była wtedy na topie i zawsze jeździła jak cholerna wariatka. Jest jeszcze jedna szkoła, wedle której Calders ukradł pomysł jednostce planowania strategicznego z Kaliforni. Że ludzie w rodzaju Oco Holdings i Grupy Sacramento już się do tego potajemnie szykowali. Chcesz wiedzieć, co ja pamiętam?

Znów dystans w spojrzeniu Notleya, wrażenie, że w zasadzie go tu nie ma.

- Jasne. Co?

Notley uśmiechnął się łagodnie.

- Pamiętam, że to byłem ja.

Chris przelotnie przywołał swoje pierwsze wrażenie na widok starszego partnera, w dniu, kiedy rozpoczął pracę w Shorn. Jak troll w elfich pastelach gabinetu. Spojrzał na Notleya teraz, na aurę brutalnej siły, jaką roztaczał, wciśniętą w garnitur Susany Ingram jak nadmiernie rozrośnięte mięśnie, i nagle odechciało mu się uśmiechać. Jego puls wolno podjął pracę.

Notley jakby zatopił się w sobie.

- To były inne czasy, Chris. Teraz wszyscy do tego przywykliśmy, ale wtedy w powietrzu czuło się zmiany. - Odetchnął głęboko. - Świeże, jak rozlane paliwo. Pełne potencjału. Nadeszły i minęły recesje dominowe, wszyscy się na nie wtedy przygotowywaliśmy, a one przychodziły i odchodziły. A my wciąż staliśmy. Nawet więcej, ledwie zwolniliśmy kroku. Trochę zamieszek, parę bankructw banków, te jądrowe hałasy w Pendźabie. *Płynęliśmy* na tym, Chris. *Płynęliśmy* na fali. To było *łatwe*.

Urwał. Wydawało się, że czeka na coś, co wypełniłoby milczenie. Chris pospiesznie ruszył z odsieczą, zaczarowany intensywnością tego, co słyszał.

- Ale i tak musieliście jeździć? Prawda?

- Och, tak. - Niedbały gest. - Domino dało nam rywalizację drogową. Ale wtedy pojedynki były bardziej cywilizowane, zbliżone do pierwowzoru. Wiesz, jak zaczęły się walki drogowe?

Chris zgubił się, zaskoczony.

- Co? Och, tak, jasne. Chodzi o samochody wyścigowe, pokazywane na kanale historycznym, które wyglądały jak małe rakiety, tak? Ich właścicielami zaczęli być ludzie, którzy zarabiali pieniądze. A potem, och, przy opustoszałych drogach...

Urwał. Notley potrząsał głową.

- Nie?

- Niezupełnie. Cóż. Tak, oczywiście, tak wyglądała dynamika. To pewnie część historii. Ale wszystko sięga znacznie dalej. Aż do końca poprzedniego wieku. Do czasów, o których opowiadał mi ojciec. Niektóre ostrzejsze firmy eksperymentowały wtedy z motywacją konfliktową nowych rekrutów. To był amerykański wynalazek. Ośmiu stażystów w sekcji, sekcja ma własne pomieszczenie, a w nim tylko siedem biurka. - Notley wykonał dłonią gest podsumowujący dowód. - I proszę. Przyjeżdżasz do pracy ostatni, musisz pracować na parapecie. Albo wybłągać miejsce u kogoś z lepszym budzikiem. Niech ci się to przydarzy więcej niż kilka razy, a przekonujesz się, jak zmienia się dynamika grupy. Spóźnialski jest najłabszym ogniwem zespołu. Więc reszta zmawia się przeciw niemu. Zachowanie szympansów. Udostępnisz mu kawałek biurka i to *ty* jesteś słaby, przez skojarzenie. Zawierasz niewłaściwe sojusze. Więc tego nie robisz. Nie możesz sobie na to pozwolić.

Chris nie miał pewności, ale odniósł wrażenie, że w oczach Notleya widzi niesmak. A może po prostu przyплыw energii.

- A teraz rozszerzasz ten pomysł, nie tylko na stażystów, ale na wszystkich. Pomyśl o czasach. Do drzwi pukają recessje dominowe, musisz *coś* zrobić. Większość firm inwestycyjnych i wielkich korporacji przepełniona jest personelem górnego szczebla. Ekspolitycy na synekuralnych stanowiskach dyrektorskich, bezużyteczni dyrektorzy wykonawczy przesyłani w sieci odłbojów od uścisku ręki do uścisku, upolowani młodzi geniusze pracujący obowiązkowe dwa lata, a potem przeskakujący do innych firm dzięki reputacji, bo co tak naprawdę można zdziałać przez dwa lata w korporacji? A tak rozpieprzaliśmy to tylko na anglosaskim końcu skali kulturowej. Gdzie indziej miałeś głupawych młodszych synów i córki wprowadzane do tatusiowych firm bez żenady, bo kto w tych kulturach miałby się sprzeciwić Tatusiowi? A wszystko to chwieje się na włosku tuż przed dominami. Coś trzeba było zrobić, a przynajmniej trzeba było *pokazać*, że coś się robi. Coś drastycznego. Więc co robisz? Wracasz do sekcji z ośmioma praktykantami i siedmioma biurkami, a potem ekstrapolujesz. Spóźnisz się do pracy, tracisz biurko. Tracisz pracę. W czasach, gdy miałeś na każde stanowisko tuzin osób z identycznymi kwalifikacjami, czemu nie? Było to równie dobre kryterium, jak każde inne. Z pewnością nie można było polegać na wartościach sprzedaży czy produktywności, nie przy szaleństwie, jakie ogarnęło światową ekonomię. A ponieważ nikt nie mógł sobie pozwolić na utratę pracy, dochodziło do dość ostrych jazd. Czysta rywalizacja drogowa. W tamtych czasach - Notley znów się uśmiechnął, tym razem lodowato - w tamtych czasach wystarczyło *dojechać* jako pierwszy. Masz tu coś do picia?

- Och. - Chris wskazał na wbudowany w ścianę barek Bryanta, ze stalowymi drzwiczkami. - Nie wiem, to biuro Mike'a. Coś tam powinien mieć.

- Tak przypuszczam. - Notley się podniósł i podszedł do barku. - Nalać ci czegoś?

- Ja... Och, muszę... - Kiwnął głową na terminal. - Wie pan, sfinalizować. Te...

Niecierpliwy gest.

- Więc zrób to. A tymczasem przygotuję ci drinka. Co ma być?

- Och, whisky. Laphroaig, jeśli jest. - Wiedział, że Mike trzyma dla niego butelkę. Wyciągał ją za każdym razem, gdy zasiedzieli się w biurze do późna. Zwykle nazywał ją sokiem szachowym. - Odrobinę. Bez lodu.

Notley chrząknął.

- Chyba się przyłączę. Osobiście wolę gin, ale nie widzę tu ani kropelki.

Chris nachylił się nad terminalem. Zaznaczył wybrane już wcześniej materiały wybuchowe oraz tanie rosyjskie pistolety maszynowe i przeskoczył do zatwierdzenia, oznaczając dokument kodem autoryzacyjnym Mike'a. Notley ustawił przy jego łokciu pełną szklaneczkę, napił się trochę ze swojej i zerknął mu przez ramię na ekran.

- Skończyłeś? Dobrze. A więc przybierz tolerancyjny wyraz twarzy i wysłuchaj historii staruszka. - Wrócił na krzesło i nachylił się nad drinkiem. - Policzmy, kiedy pracowałem dla Caldersa UK, miałem ile? Dwadzieścia cztery, dwadzieścia pięć lat? Coś koło tego. W każdym razie byłem młodszy od ciebie. Choć równie głupi.

Bez uśmiechu. Notley upił kolejną porcję whisky.

- Ściągałem się o awans. To nie był pierwszy wyścig, w jakim jechałem, nawet nie jeden

z pierwszych, ale po raz pierwszy oczekiwałem problemów. Barnes, ten drugi analityk, był w moim wieku, miał dobrą reputację, na drodze i w pracy, i jeździł ogólnie czerwonym roadsterem Ferrari. Bardzo szybki, ale lekki. Nie taki, jak robią teraz. Ja miałem wtedy audi, tylko na to było mnie stać. Na swój sposób dobry wóz, ale ciężki, bardzo ciężki.

- A więc nic się nie zmieniło. - Pierwszy raz w trakcie rozmowy Chris poczuł pod nogami znajomy grunt.

Notley beztrząsco wzruszył ramionami.

- Oni ładują mnóstwo pancerza. Tak jak BMW. Może Niemcy tak lubią. Słuchaj, wiedziałem, że jeśli zdołam Barnes'a wyprzedzić, uda mi się blokować go przez całą drogę. Ten roadster nie mógł mi zrobić w tyłek nic, czego nie dałoby się wyklepać w warsztacie. Wtedy takie były zasady, wszyscy o tym wiedzieli. Nikogo nie musiałeś zabijać, ale trzeba było dojechać jako pierwszy. To wszystko. Wyprzedzić, nie pozwolić mu wyskoczyć do przodu. Blokować i kryć. I trzymałem go tak przez całą drogę, aż do ostatniej mili. Wtedy ciul się prześliznął.

Uniósł brwi, może zdumiony własnym językiem.

- Do dzisiaj nie wiem, jak mu się to udało. Może byłem zbyt pewny siebie. Może za luźno zostawiłem bieg, a wiesz, jak to jest przy ciężkim wozie, wtedy nagle tracisz moc.

Chris kiwnął głową.

- Zdarzyło mi się to parę razy, zanim przesiadłem się na Saabę.

- Tak, masz teraz ten warstwowy pancerz, co?

- Zgadza się. - Chris nie był pewien, czy to whisky, czy po prostu zjazd po kilku godzinach napięcia i przestachu przed pistoletem Notleya, ale poczuł, że zaczyna się odprężyć. - Działa jak złoto. Słyszałem, że BMW próbuje obejść patenty i zrobić własną wersję.

- Całkiem możliwe. - Notley zapatrzył się w swoją szklaneczkę. - Ale rozmawialiśmy o Barnesie. Barnes i ten ostatni zakręt na wiadukcie, przy podjeździe do jedenastej rampy. Wtedy było tam znacznie wężiej, ledwie mieściły się dwa pasy. Wjechaliśmy tam z Barnesem z przodu, i wiedziałem, że nie zdołam się obok niego przepchnąć. A żaden Roberto Sanchez ani Harry Rice nie zdobył wtedy nagłówek. Nie pamiętam żadnego precedensu, tylko furję. Furję, że przegram o kilka pieprzonych metrów.

Nabrał pełne usta whisky i zatrzymał ją w nich. Przełknął, skrzywił się.

- Więc... zepchnąłem go. Bieg niżej, gaz do dechy, obroty na czerwonym przy ostatnim skręcie. W tył tego roadstera, jakbym go brał od tyłu. Przebił się przez barierkę, jakby była z papieru, i spadł nosem prosto na parking Caldersa. Trafił w inny wóz i wybuchł jeden ze zbiorników, potem drugi. Zanim dotarłem na dół, było po wszystkim. Ale później pokazali mi nagranie z kamer ochrony.

Notley podniósł wzrok i posłał Chrisowi lekki uśmiech.

- Próbował wysiąść. Prawie mu się to udało, ale wtedy wybuchł zbiornik. Patrzyłem na dwuminutową sekwencję płonącego Rogera Barnes'a, uwięzionego przez pas. Wyrywał się, wrzeszczał, wrzeszczał przez cały czas. I pewnie ból pozwolił mu się wreszcie uwolnić. Przebiegł z tuzin kroków, a potem... jakby się stopił. Padł, zwinął się na asfalcie i przestał krzyżeć. A ja, zanim się obejrzałem, zostałem gwiazdą. Okładki magazynów, reklamy samochodów, przedstawiono mnie szefowi Caldersa w Chicago. Nagle wszystko trafiło do

publiczności. To był precedens, Chris, takie działanie stało się *legalne*, a Calders został nowym liderem. Wskazywał drogę wyjścia z pułapki domina. Przyjeźdź z krwią na kołach albo wcale. To była nowa etyka, a my byliśmy nową rasą. Jack Notley, Roberto Sanchez, transatlantyckie lustrzane odbicia tej samej dynamiki brutalności. Warci swojej wagi w platynie.

Wydawało się, że Notley dojechał do końca. Znów spojrzął na Chrisa.

- Precedens, Chris. To się liczy. Pamiętaj Webba Ellisa. Wśród elit nie zostaniesz ukarany za złamanie zasad. Nie, jeśli osiągniesz sukces. Jeśli ci się uda, zostaniesz wyniesiony, a zasady ulegną zmianie. Dobrze. Powiedz mi, że Barranco się sprawdzi.

Chris odchrząknął.

- Sprawdzi się. MGP to szczególne miejsce. Mówimy o radykalnej restrukturyzacji reżimu, który rządził tam prawie od początku stulecia. Już czas na zmianę. Echevarria był po prostu...

- Tak, tak, pamiętam, wrzodem z ropą, który tylko czekał, by pęknąć. Mów dalej.

- Z Barranco stworzymy zupełnie nową gospodarkę monitorowaną. On wierzy w różne rzeczy, wierzy w zmianę, a my możemy skłonić do tej wiary innych ludzi. To siła, którą możemy okiełznać i wykorzystać do stworzenia czegoś, czego nie widział jeszcze nikt w tym cholernym biznesie. Czegoś, co daje ludziom...

To ta whisky. Zamknął się.

Notley przyglądał mu się z uwagą i przenikliwością. Kiwnął głową, odstawił whisky na brzeg biurka i wstał. Nagle w jego dłoni znów pojawił się nemex, tym razem trzymany płasko w wyciągniętej ręce.

- Ostrożnie - powiedział, wymawiając to słowo tak, jakby chciał zademonstrować jego znaczenie. - Lubię cię, Chris. Gdyby tak nie było, nie miej wątpliwości, że wynieśliby cię stąd w worku. Myślę, że masz coś, czego nie ma nawet jeden na dziesięciu dyrektorów Shorn, czego nigdy tu nie ma dość: zdolność *tworzenia*. Budujesz w głowie nowe modele, nawet nie zdając sobie sprawy z tego, że to robisz. Przynosisz zmiany. I musimy mieć dość jaj, żeby pozwolić ci być tym, kim jesteś, podjąć ryzyko, że spieprzysz, i zaufać, że tego nie zrobisz. Ale musisz mieć jasność, Chris, o co nam tu chodzi. Shorn istnieje, żeby zarabiać pieniądze. Dla naszych udziałowców, inwestorów i dla nas. W tej kolejności. Nie jesteśmy jakąś ubiegłowieczną organizacją pozarządową, wlewającą forsy w dziurę w ziemi. Stanowimy część globalnego systemu zarządzania, *który działa*. Czterdzieści lat temu rozwiązaliśmy OPEC. Teraz Bliski Wschód robi to, co mu każemy. Dwadzieścia lat temu podzieliliśmy Chiny, i Azja Wschodnia też się podporządkowała. Zostało nam teraz mikrozarządzanie i rynek, Chris. Pozwalamy im toczyć ich bezmyślne wojny lokalne, piszemy nowe umowy i rachunki i to *działa*. Inwestycje Konfliktowe służą temu, żeby globalna głupota pracowała na korzyść zachodnich inwestorów. To wszystko, nic więcej. Nie pozwolimy sobie wyrwać lejców jak ostatnim razem.

- Nie myślałem...

- Och, oczywiście, że tak. I to naturalne, że czasem się tak myśli, zwłaszcza gdy ocierasz się o kogoś takiego jak Barranco. Sam to powiedziałeś, on potrafi wykrzesać z innych ludzi wiarę. Myślisz, że jesteś na to odporny tylko dlatego, że nosisz garnitur i prowadzisz samochód? - Notley potrząsnął głową. - Nadzieja to ludzki stan, Chris. Wiara w

lepsze jutro. Dla siebie, i jeśli naprawdę cię dorwie, dla całego pieprzonego świata. Daj Barranco czas, a przekona cię do tego. Świat, w którym zasoby zostają magicznie podzielone jak na jakimś ogólnoplanetarnym przyjęciu urodzinowym dla grzecznych dzieci. Świat, w którym wszyscy są zadowoleni z ciężkiej pracy, skromnych wynagrodzeń i prostych przyjemności. *Pomyśl* o tym, Chris. Czy to prawdopodobne? Czy to *ludzkie*?

Chris oblizwał wargi, patrząc na pistolet.

- Nie, oczywiście, że nie. Chciałem tylko powiedzieć, że Barranco jest...

Ale Notley nie słuchał. Rozpaliła go whisky i coś jeszcze, czego Chris nie potrafił zidentyfikować. Coś, co przypominało desperację, ale przybrane było w atomowy uśmiech.

- *Czy naprawdę myślisz*, że możemy pozwolić, by świat rozwijający się *rozwinął!* Myślisz, że dwadzieścia lat temu przeżylibyśmy powstanie nowoczesnych, zreformowanych Chin? Myślisz, że zdołalibyśmy kierować Afryką pełną państw rządzonych przez inteligentnych, nieprzekupnych demokratów? Albo Amerykę Łacińską kierowaną przez ludzi takich jak Barranco? Wyobraź to sobie na chwilę. Całe narody wykształcone, zdrowe, bezpieczne i z aspiracjami. Na miłość boską, prawa kobiet. *Nie stać* nas na to, Chris. Kto będzie zjadał za nas nadwyżki subsydiowanej żywności? Kto będzie szył nasze buty i koszule? Kto dostarczy nam taniej siły roboczej i surowców? Kto przechowa nasze odpady jądrowe i zbilansuje produkcję dwutlenku węgla? Kto będzie kupował naszą broń?

Machnął gniewnie ręką.

- Przedstawiciele wyedukowanej klasy średniej nie chcą spędzać jedenastu godzin dziennie zgięci nad maszyną do szycia. Nie będą pracować na farmach wodorostów i na polach ryżowych, aż wygniją im stopy. Nie będą chcieli mieszkać tuż obok wysypiska śmieci jądrowych i siedzieć cicho. Będą chcieli dobrobytu, Chris. Takiego, jaki od stu lat widzą w telewizji. Życie miejskie, sprzęt domowy i gry elektroniczne dla dzieci. I samochody. Oraz wakacje i miejsca, gdzie mogliby pojechać na urlop. Chcą samolotów, które ich tam zabrają. To *rozwój*, Chris. Z czymś ci się to kojarzy? Pamiętasz, co się stało, kiedy *powiedzieliśmy* ludziom, że nie mogą już posiadać samochodów? Kiedy zabroniliśmy im latać. Czemu myślisz, że ktokolwiek zareaguje na to inaczej?

- Wcale tak *nie* myślę. - Chris rozłożył ręce. Nie potrafił dojść, jak sprawy zaszły na ten poziom. - Wiem o tym wszystkim. Nie trzeba mnie przekonywać, Jack.

Notley gwałtownie znieruchomiał. Głęboko wciągnął powietrze i ostro je wypuścił. Nagle zdał się sobie sprawę, że zaciska dłoń na nemeksie. Skrzywił się i odłożył go.

- Przepraszam. Nie powinienem tak wcześnie zabierać się za ostre alkohole. - Podniósł szklaneczkę z brzegu biurka i ją osuszył. - Dobrze. Wracając do szczegółów. Zająłeś się usunięciem trupa.

- Tak. Zrzucimy winę na CE... to jest CA... och... - Chris poddał się i wskazał na ekran.

- Na tych facetów. Mike jest na dole. Przygotowuje limuzynę i logistykę, ale zasadniczo wszystko jest już ustalone.

- Louise powiedziała, że jest jeszcze jedno ciało. Echevarria miał adiutanta? Tak?

- Tak, zgadza się.

- I rozumiem, że jego też poturbowałeś w ten dość impulsywny sposób, w jaki potraktowałeś Echevarrię.

- Tak. On... wszedł mi w drogę.

Notley uniósł brwi.

- Postąpił bardzo nierozważnie. A więc nie żyje?

- Nie, jeszcze nie. - Chris pospieszył z wyjaśnieniem. - Ale to nie problem. W izbie chorych trzymają go na sprzęcie medycznym, uśpionego, dopóki nie będziemy gotowi. Właściwie to nawet jedna z zalet aktualnego rozwoju sytuacji. Jeśli mogę ci pokazać...

- Nie, to nie będzie konieczne. Jak powiedziałem wcześniej, chodzi o to, żeby mieć dość jaj i płynąć z prądem. - Lekki uśmiech. - Tak samo jak nasz przyjaciel Webb Ellis. Wchodzisz w znamienite towarzystwo, Chrisie Faulknerze. Może dla ciebie też kiedyś ufundują tablicę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Złapał to w radiu w drodze do domu. Jakiś reporter wiadomości z miejsca zdarzeń, kobieta, ale nie...

Daj temu spokój.

- ...zostali zaskoczeni tym atakiem terrorystycznym w samym sercu londyńskiego West Endu. Stoję przez słynnym hotelem Brown, zaledwie kilka metrów od miejsca, gdzie niecałą godzinę temu przebywający z wizytą szef państwa, generał Heman Echevarria i jego pomocnik, podpułkownik Rafael Carrasco, zostali zaatakowani przez zamaskowanych mężczyzn. Szczegóły nie są jeszcze znane, ale wygląda na to, że do generała Echevarrii otwarto ogień z pistoletów maszynowych, gdy przywiozła go do hotelu limuzyna Shorn Associates. Adiutant generała i niewymieniony z nazwiska pracownik Shorn zostali powaleni przez ogień z broni maszynowej po opuszczeniu samochodu przed generałem. Terrorysty rzucili następnie do wnętrza jakiś rodzaj granatu i uciekli na motocyklu. Wszyscy trzej ranni mężczyźni oraz kierowca trafili na oddział intensywnej opieki medycznej w...

Wyłączył to. Znał resztę. Michael Bryant, cudem odrzucony przez wybuch, dochodzi do siebie z ran postrzałowych w szpitalu, uratowany przez kamizelkę kuloodporną. Zostały mu tylko poparzenia, wstrząs i szok. Generał Echevarria i jego adiutant wracają do domu w trumnach, spaleni i porozrywani wybuchami wystarczająco mocno, by uniemożliwić autopsję. Pogrzeb państwowy, pełne honory wojskowe. Salwy, płaczące kobiety. Zamknięte trumny. Wszyscy na czarno.

Na wyżynach powstańcy Barranco budzą się do życia z nowym sprzętem.

Przynosisz zmiany, Chris.

Poczuł, jak to w nim narasta, poruszając się jak twardoocy mężczyźni i kobiety w dżungli MGP. Zobaczył siebie. Ucieleśniony cel, sunący w mroku po asfalcie, wyrzynający drogę reflektorami saaba niczym wściekły awatar sił, które puszczał w ruch po drugiej stronie globu. Kierujący cichą mocą silnika przez noc, z twarzą rozjarzoną łagodnym blaskiem kontrolki tablicy rozdzielczej. Niewrażliwy na kule, odporny na samochody, niepowstrzymany.

Zadzwoił do Barranco w Hiltonie.

- Słyszałeś?

- Tak, pokazują to w TV. Właśnie oglądam. - Po raz pierwszy, od kiedy Chris go poznał, głos Barranco brzmiał niepewnie. - U ciebie wszystko w porządku?

Chris uśmiechnął się w mroku.

- Tak, w porządku.

- Nie do wiary. Coś takiego. Zrobić coś takiego. W obecności twoich kolegów. W twojej sytuacji. Nie spodziewałem się...

- Daj spokój, Vicente. Pierdzielowi się należało.

Barranco zamilkł.

- Tak, to prawda.

Znów cisza w połączeniu, jak śnieg dryfujący ku ziemi po drugiej stronie świata. Przez uderzenie serca Chris czuł panujący tam mróz, jak coś żywego. Jak coś, co na niego patrzyło.

- Widziałem, jak umierał - odezwał się Barranco.

Chris się otrząsnął.

- Ja, och... To dobrze. Mam nadzieję, że było to coś dla ciebie warte, Vicente. Mam nadzieję, że czujesz się... pomszczony.

- Tak. Dobrze jest wiedzieć, że nie żyje.

Kiedy Kolumbijczyk nic więcej nie powiedział, Chris odchrząknął.

- Słuchaj, Vicente. Odpocznij trochę. Przyda ci się, biorąc pod uwagę to, co będzie się działo przez najbliższe kilka tygodni. Samolot odlatuje dopiero w południe, więc śpij spokojnie. Lopez obudzi cię dostatecznie wcześniej.

Cisza, opadająca.

- Chris?

- Tak, jestem tu.

- Nie ukarzą cię za to?

- Nikt nie będzie mnie za nic karał, Vicente. Wszystko jest pod kontrolą, a ty i ja razem jedziemy na fali. Moim zdaniem góra za sześć miesięcy znajdziesz się na ulicach Bogoty. A teraz się prześpij. Zobaczmy się jutro.

Począł na odpowiedź. Kiedy nie nadeszła, wzruszył ramionami, rozłączył się i zajął się prowadzeniem.

Twórca zmian!

Zjechał rampą Elsenham i skręcił na drogę na wschód, prowadząc saabę szybciej, niż nakazywał rozsądek. Wóz podskakiwał na wybojach, a silnik wył przy wrzucanych przed ostrymi zakrętami niskich biegach. Przy drodze w światłach saaba raptownie wyłaniały się drzewa. Kiedy dotarł do Hawkspur Green, zwolnił, ale i tak jechał za szybko. Samochód warknął gniewnie przy skręcie na podjazd, więc musiał mocno wdepnąć na hamulce.

Wyłączył dachowe reflektory i w nagłym mroku ożyły światła bezpieczeństwa wokół domu. Zmarszczył się i zerknął na jednostkę nadawczą identyfikatora. Popatrzyła na niego mała zielona dioda aktywności, zapewniając go, że wszystko działa. Poczł ogarniające go napięcie na myśl, że Notley mógł jednak nasłać na niego zabójców z wyciszoną bronią. Saab zachrząknął na podjeździe. Chris sięgnął do schowka i otworzył go. Na jego dłoń wypadł nemex, wciąż trochę śliski od fabrycznych olejów. Wyprostował się i przejechał ostatni zakręt.

Carla na niego czekała, ciasno owinięta chustą, z mokrymi włosami lepiącymi się do głowy. Podświetlona przez lampy systemu zabezpieczeń wyglądała jak duch topielicy. Kiedy przysunęła do bocznej szyby twarz ostrą z wilgoci i braku makijażu, prawie podskoczył.

Zatrzymał wóz i otworzył okno.

- Co ty tu robisz? Zamarzniesz na śmierć.

- Vasvik - powiedziała. - Właśnie dzwonił.

* * *

Reszta tygodnia minęła błyskawicznie.

Odesłał Barranco, po drodze na lotnisko składając podpisy na ostatecznych warunkach porozumienia reżimowego. Wciśnięty w helikopterze między Lopeza i Chrisa Barranco podpisywał wszystko jak człowiek na prochach. Chris pomachał mu z asfaltu na do widzenia.

Wpadł do Mike'a do szpitala. Jego kolega miał tylko kilka siniaków na klatce

piersiowej od pocisków z broni maszynowej trafiających w kamizelkę kuloodporną, ale uznano, że ze względów politycznych lepiej będzie zatrzymać go w szpitalu przynajmniej przez kilka dni. W korytarzu na zewnątrz koczowali reporterzy, ale ochrona Shorn potrafiła ich opanować.

- Więc teraz jesteś cholerną gwiazdą?

Mike uśmiechnął się szeroko z krzesła przy łóżku. Na twarzy miał kilka niewielkich rozcięć, a jego lewą rękę pokrywał bandaż. Wstał, krzywiąc się z wysiłku.

- Widziałeś tam Liz? - zapytał.

- Nie. Spodziewasz się jej?

- Nigdy nie wiadomo. - Mike nalał sobie drinka z dzbanka przy łóżku. - Nie, szczerze mówiąc, ona jest ostatnim, czego mi teraz potrzeba. Dostatecznie mnie boli, gdy oddycham. Chcesz trochę?

- Co to?

- A na co wygląda? Sok.

- Może później. Co się stało z twoją twarzą?

- Ach. - Mike machnął niedbale ręką. - Sam to wcześniej zrobiłem rozbitą butelką. Uznałem, że mediom dobrze zrobi zobaczyć prawdziwą ranę czy dwie.

- A ręka?

Skrzywienie.

- Wykręciłem nadgarstek, padając na chodnik. Jak pieprzony kretyn. Próbowałem utrzymać Carrasco prosto pod ogniem z automatów. A potem odskoczyłem, kiedy rzucili granat. Trochę mi nie wyszło.

- Jacyś świadkowie?

Bryant potrząsnął głową.

- Poniedziałek wieczór, a to i tak spokojna ulica. Parę osób może popatrzyło w naszą stronę, kiedy zaczęli strzelać, ale za późno, żeby zauważyć coś dziwnego. Będą zdjęcia z kamer ochrony hotelu i może tego skanera ulicznego na rogu Stafford Street, którego nie udało się nam wyblokować. Ale Elaine już się tym zajęła. Mówi, że to żaden problem. Barranco odleciał bez przeszkód?

Wróciwszy do Shora, Chris usiadł w gabinecie podglądu, podczas gdy Nick Makin i Louise Hewitt rozmawiali via łącze z Francisco Echevarrią. Młodzieniec był blady i miał wodniste oczy, widać było, że płakał. A sposób, w jaki co chwilę zerkał w bok, świadczył dobitnie, że nie siedział sam w sali projekcyjnej po drugiej stronie. Hewitt przekazała gładkie wyrazy współczucia od korporacji i zapewniła go, że nie musi się spieszyć, przeglądając szczegóły kontraktu. Pracownik Shorn zajmujący się sprawą i tak przez jakiś czas nie opuści szpitala. Nie miało sensu z niczym się spieszyć. IK Shorn z przyjemnością podejmą negocjacje, gdy tylko rodzina poczuje się do nich gotowa.

A do tego czasu Barranco będzie miał twoje jaja na talerzu, podobnie jak cały cholerny klan z hacjendy...

Chrisa zaskoczyła nagła brutalność własnych myśli.

Obraz Francisco Echevarrii zniknął. Przenieśli się do biura Hewitt, żeby przedyskutować wstępne kalendarium rewolucji Barranco.

Potem Chris zszedł na czterdzieste dziewiąte piętro podziękować młodszym

pracownikom zajmującym się ich kontami w trakcie kryzysu. Zabrał prezenty - olbrzymią butlę single malta z Islay, ziarnistą kawę z plantacji na Galapagos oraz oliwę z oliwek z plantacji w Andaluzji, i wdał się w kilka udawanych sesji sparringowych z paroma twardzielami z sekcji. Żadnych ciosów o pełnej sile, został po właściwej stronie przyjaznych uderzeń, ale naciskał ostro i szybko, za każdym razem przechodząc do kontaktu. Lepiej nie okazywać wdzięczności nieokraszonej pokazem siły. Mogłoby to zostać niewłaściwie odebrane.

Dostał z powrotem swoich klientów. Zaczął mechanicznie przegryzać się przez szczegóły, w razie potrzeby przechodząc do gotowości operacyjnej.

Zaniósł do szpitala koszyk indonezyjskich owoców i skrzynkę eksportowego piwa z Turcji i zastał tam siedzącą na brzegu łóżka Mike'a Liz Linshaw. Mike uśmiechał się jak idiota po lodzie, a Liz emanowała surową pozaekranową elegancją. Okazała Chrisowi dokładnie taką mieszankę koleżeństwa i swobodnego flirtu, jaką zapamiętał z ich pierwszych spotkań. Jej chłód dopiekił mu do żywego.

- Słuchaj, Chris - powiedział w końcu Mike, machając dłonią w stronę Liz. - Rozmawialiśmy o twoim problemie z bezfirmowcem. Liz mówi, że może popytać, żaden problem.

- To świetnie. - Popatrzył na nią. - Dzięki.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Było to więcej, niż potrafił znieść. Złapał się na tym, że na usta ciśnie mu się jadowny komentarz o Suki, ale się opanował. Wytłumaczył się nawałem pracy i ruszył do drzwi.

Kiedy je otwierał, Liz Linshaw do niego zawołała.

- Będziemy w kontakcie - powiedziała.

W Shorn zszedł do sali gimnastycznej i przez pełną godzinę ćwiczył na ostro z autotrenerem.

Pracował do późna.

Zabrał nemeksa na strzelnicę i wystrzelał dwa tuziny magazynków w upiorny taniec holograficznych celów. Maszyna dała mu dużo punktów za celność i szybkość, odrobinę mniej za dobór. Zabił zbyt wielu przechodniów.

A potem przyszła sobota.

Nadszedł czas.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Przy wjeździe do Brundtlandu stały wozy policyjne. Słabo oświetlone chodniki i klatki schodowe z monotonną regularnością smagały niebieskie światła, dotykając ich promieniami i znikając, ustępując przed mrokiem. Na zewnętrznych chodnikach kręciły się masywne postacie w pancerzach, oświetlając sobie drogę ostrymi latarkami. Głośniki dudniły w noc.

- O *cholera*. - Chris zatrzymał landrovera.

Carla z szeroko otwartymi oczami zapatrzyła się na światła.

- Myślisz...

- Nie wiem. Zostań tu.

Zostawił włączony silnik i wysiadł, grzebiąc w kieszeni za identyfikatorem korporacyjnym z nadzieją, że nemex nie będzie zbyt widoczny spod marynarki. Sierżant policji w pancerzu zauważył nowo przybyłych i oderwał się od grupki przy pojazdach. Ruszył przez popękany beton, trzymając wysoko latarkę i broń.

- Nie może pan tam wjechać.

Chris wyciągnął identyfikator.

- Odwiedzam kogoś. Co się tu dzieje?

- Och. - Ton sierżanta zmienił się nagle na pojednawczy. Schował pistolet. - Przepraszam pana. Wie pan, nie zdawałem sobie sprawy, widząc, czym pan przyjechał.

- Proszę się tym nie martwić. - Chris uśmiechnął się wyrozumiale. - Łatwo się pomylić. Wóz żony. Ma wartość sentymentalną. A więc co się tu dzieje?

- To prochy, sir. Łazienkowe laboratorium. Kilku lokalnych bandziorów było niegrzecznych. Eksportowali swój produkt przez granicę, handlując w okolicy Kensington. Kręcili się koło szkół. - Sierżant skrzywił się w świetle latarki i potrząsnął głową. - Nie był to też pierwszy raz, a przywódcy społeczności zostali ostrzeżeni, więc przeszliśmy do następnego etapu. Powiedziano nam, żeby ostro brać się za takie przypadki. Wie pan, jak się to robi. Rozbić parę drzwi i głów. To jedyne, co dociera do tych bydlaków.

- Jasne. Wie pan co, muszę się dostać na piąte piętro, odwiedzić teścia. To dość pilne. Może pan coś zrobić w tej sprawie?

Wahanie. Chris znów włączył uśmiech. Ostrożnie sięgnął do kieszeni marynarki, wysoko nad nemeksem.

- Rozumiem, że to kłopot, którego pan teraz nie potrzebuje, ale to ważne. Będę bardzo wdzięczny.

Światło latarki rozbłysło na wsadzonej w portfel plastikowej karcie z holograficznym logo Shorn. Głębiej portfel pełen był banknotów. Sierżant patrzył na nie jak ktoś, kto boi się upaść.

- Piąte piętro? - zapytał.

- Zgadza się.

- Chwileczkę. - Wyciągnął telefon i włączył go. - Gary? Jesteś tam? Słuchaj, pracujemy na piątym? Nie? Które jest najbliżej? Dobra, dzięki.

Schował telefon. Chris podał mu plik gotówki.

- Powinno być dość bezpiecznie, żeby tam wejść. Na wszelki wypadek wyślę z panem

paru ludzi. - Złożył banknoty z niezgrabnością świadczącą o braku wprawy i obejrzał się na landrovera. - Pańska żona też?

- Tak. Prawdę mówiąc, ona chce tego znacznie bardziej niż ja.

Eskortą okazało się dwóch mundurowych w hełmach i pancerzach, ze strzelbami w dłoniach i pistoletami w kaburach. Wskoczyli z ciężarówek jak zawołane po imieniu niecierpliwe psy. Jeden był biały, drugi czarny, a żaden z nich nie wyglądał na dość dorosłego, by się już golić. Osłaniali wejście na schody z intensywnością, która u starszych mogłaby wyglądać na profesjonalizm, a raz czy dwa uśmiechnęli się do siebie. Biały dzieciak przez cały czas żuł gumę, a czarny mruczał coś pod nosem. Obaj świetnie się bawili. Kiedy dotarli na piąte piętro, Chris dał im po pięćdziesiątce. Zbiegli po schodach w sposób, który zdecydowanie nie przypominał ostrożności prezentowanej w drodze na górę.

Carla zapukała do drzwi z numerem pięćdziesiąt siedem. Erik otworzył, wyglądał na wymizerowanego.

- Próbowałem dzwonić. Policja...

- Rozmawiałem z nimi - odezwał się Chris, rozkoszując się swoją przewagą. - To najzwyklejszy narkotykowy. Nie ma się czym martwić.

Erik Nyquist mocno zacisnął usta.

- Tak, zapomniałem - powiedział cicho. - To zupełnie inna sytuacja, gdy jest się członkiem elity, prawda. Kiedy...

- Tato!

- Może moglibyśmy wejść - dodał Chris.

- Jak się dogadujesz z sąsiadami? - zapytał, wskazując głową w stronę hałasów zza ściany. - Brzmi to na trochę poniżej twojego poziomu debaty intelektualnej.

Cholerna wścibska kurwa, dobiegło przez ścianę.

Erik popatrzył na niego lodowato.

- To diler. Pewnie spodziewa się, że za chwilę łeb rozwalą mu twoi szturmowcy.

- Nie ma powodu do obaw. Ich szef powiedział, że nie pracują na tym piętrze. Chcesz, żebym tam poszedł i mu powiedział?

- W tym ubraniu? - prychnął Erik. - Pewnie dźgnąłby cię zaraz po otwarciu drzwi.

- Mógłby spróbować.

- Och tak, zapomniałem. Moim zięciem jest profesjonalny morderca. Chris przewrócił oczami i szykował się już, by wstać, kiedy zauważył spojrzenie Carli, które go powstrzymało.

- Tato, dość tego.

Nyquist spojrział na córkę i westchnął.

- Dobrze - powiedział. - Załatwmy to.

Chris klasnął z siłą wystrzału. Głosy z mieszkania obok nagle umilkły.

- Mnie pasuje. Więc gdzie jest Vasvik? Chowa się w kiblku?

Carla posłała mu gniewne spojrzenie. Erik przesunął stół zastawiony butelkami i kieliszkami. Jego głos brzmiał bezbarwnie od hamowanego gniewu. Podniósł butelkę i z uwagą obejrzał etykietkę.

- Może dla odmiany zechciałbyś się zachowywać jak cywilizowany człowiek, Chris? Jestem świadom, że wysiłek jest zbyt wielki, ale powinieneś spróbować. Ten człowiek jest gościem w moim domu i on, jak i wszyscy w tym pokoju, podejmuje dla ciebie ryzyko.

- *Glem det*, Erik. - W drzwiach pojawił się Truls Vasvik, niechlujnie ubrany i nieogolony. Wyglądał na zmęczonego. - Faulkner przyszedł tu negocjować, tak jak ja. Wdzięczny powinien być przede wszystkim tobie za pomoc.

Chris potrząsnął głową.

- Tu się mylisz, Vasvik. Nie jestem tu, by negocjować. Powiedziałem wam, czego chcę, i nie ma dyskusji. Wystarczy proste tak lub nie.

- No cóż. - Vasvik opadł na drugi fotel, przyglądając się badawczo twarzy Chrisa. - Odpowiedź brzmi tak. KHENZ cię weźmie. Ale obawiam się, że jest haczyk. Subklauzula, jak pewnie byś to nazwał.

Chris spojrział na Carlę, której twarz przez kilka sekund przeszła od napięcia, przez ulgę, do zdziwienia. Poczuł rosnącą w gardle małostkową falę szyderczego usprawiedliwienia.

- Jaka subklauzula? - zapytał.

- Będziesz musiał poczekać. - Vasvik wciąż mu się uważnie przyglądał. - Na ekstrakcję. Wyciągniemy cię i dostaniesz tyle, ile chcesz. Ale potrzebujemy cię na miejscu jeszcze przez sześć miesięcy. Do czasu, aż dojrzeje kontrakt w Kambodży.

- Co, do... - Chris powstrzymał się z wysiłkiem i przybrał z powrotem postawę pełną dumy, z którą tu przybył. - Co, do cholery, wiesz o kambodżańskim kontrakcie, Vasvik?

- Pewnie więcej niż przypuszczasz. - Inspektor machnął ręką. - Ale to się w tej chwili nie liczy...

- Nie - ostro powiedział Chris. - Ważne jest to, że sobie ze mną lećcie w kulki.

Vasvik uśmiechnął się lekko.

- Nie wydaje mi się, żebyśmy w trakcie rozmów wspominali o jakimś terminie. Co sobie myślałeś? Że przyjdę tu i wyciągnę cię stąd moją magiczną różdżką ONZ? Takie rzeczy wymagają czasu, Chris. Musisz poczekać na swoją kolej. Dla odmiany.

Prowokuje mnie. Świadomość tego wsiąkła w umysł Chrisa, tłumiąc odruchowy gniew i przekształcając go w pełną irytacji ciekawość. Czemu mnie prowokuje?

Poprzednie spotkanie w warsztacie Mela. Twarz Vasvika, pełna obrzydzenia.

Osobiście, Faulkner, kompletnie mnie nie obchodzi, co się z tobą stanie. Myślę, że jesteś śmieciem. Ludzie od etyki handlu chcieliby usłyszeć, co masz do powiedzenia, i dlatego tu jestem, ale nie myl mnie ze sprzedawcą. Nie muszę cię ściągnąć, żeby moje nazwisko znalazło się wyżej na jakiejś liście, i szczerze mówiąc, mam lepsze rzeczy do...

Ale goście od etyki handlu wysiali cię tu z powrotem, prawda, Vasvik? Chris poczuł, jak odpowiedzi podświetlają się w jego głowie jak w grze komputerowej. *Ostrzegaliście ich, żeby nie gryźć, ale nie posłuchali, i wysłali cię tu po mnie, a teraz musisz to przełknąć w całości.*

O ile nie zdołasz mnie sprowokować, żebym odrzucił ofertę z własnej inicjatywy.

Poczuł, jak na jego twarz wypełza uśmiech. Miał olbrzymie pole do manewru. A w tle ojcowską pobłażliwość Notleya, niczym ciemne, ochronne skrzydła. Mógł rozwalić nierówny, kościsty nos Vasvika o rozkazy jego szefów, by sprowadzić Chrisa Faulknera za podaną cenę, a nawet jeśli przycisnie za mocno i spali plan na panewce, będzie mógł odejść z podniesioną głową. *Pieprzyć ich, jeśli nie zniosą drwin. Zostanie w Shorn.*

- Dobra. - Wyszczrzył się. - W takim razie porozmawiajmy o Kambodży.

Napięcie w pokoju zelżało. Wydawało się, że Carla zapadła głębiej w fotel, a Chris

zobaczył, jak jej ręka opadła na ramię ojca. Erik sięgnął w górę i objął ją, nie odwracając wzroku od przygotowywanego drinka. Żadne z nich nie spojrzało na Chrisa.

- Dobrze - odpowiedział Vasvik. - A więc, o ile wiemy, trzymacie Khieu Sary'ego na zwyczajowej długiej smyczy. Formalnie działa w ramach podpisanych porozumień, ale faktycznie robi, co tylko ma ochotę. Rekrutuje żołnierzy ze sprzyjających mu wiossek, palące, które go nie chcą. Standardowa taktyka terroru. Moje pytanie brzmi, co zamierzacie zrobić w sprawie stref przemysłowych?

Chris wzruszył ramionami.

- Mamy z nim porozumienie dotyczące całego obszaru. Dżentelmeńska umowa, nic na papierze.

- Rozumiem. Jakiś powód, dla którego miałby się tego trzymać bardziej niż jak dotąd Konwencji Genewskich?

- Tak. Jeśli tego nie zrobi, zablokujemy jego łączność komórkową. Próbowaleś kiedyś koordynować walkę partyzancką za pomocą linii naziemnych?

Erik Nyquist wyciągnął się i podał Vasvikowi wysoką szklanę. Kiedy odwrócił się do Chrisa, jego druga ręka była podejrzenie pusta, za to na twarz wypływał znajomy gniew.

- Bardzo sprytne - mruknął w zamyśleniu Vasvik.

- Tak, bo takie rzeczy się liczą, prawda, Chris? Nie możemy pozwolić, żeby jakiś producent z cywilizowanego świata stracił część produkcji.

Chris westchnął.

- Erik, masz może jeszcze trochę filtrowanego ardbega, którego kupiłem ci na urodziny?

- Nie.

- Och. A czy mogę w takim razie dostać trochę tej taniej mieszanki, którą tak lubisz?

Prawa ręka Erika drgnęła przy jego boku. Chris zauważył zaciśniętą pięść. Potem Vasvik powiedział coś cicho po norwesku i starszy mężczyzna się opanował.

- Sam sobie nalej cholernego drinka - rzucił i podszedł do okna. Kiedy patrzył w dół, w jego oczach odbiły się na niebiesko światła policyjne. Chris wzruszył ramionami, wykrzywił twarz w stronę Vasvika i podniósł się, by pójść za radą teścia. Kiedy podszedł do barku, Carla odwróciła się od niego. Zniknęła w kuchni, ciasno obejmując się rękami. Chris znów wzruszył ramionami. Był to widok, do którego zaczynał się przyzwyczajać. Znalazł czystą szklanę i wybrał ze stolika butelkę, po czym nalał sobie czegoś o nazwie Clan Scott.

- Nie rozumiem, do czego zmierzasz, Vasvik - powiedział przez ramię. - To standardowa procedura operacyjna IK. Za wszelką cenę chronić bazę produkcyjną kapitału zagranicznego. Sary to rozumie, i cała reszta rewolucjonistów też.

- I zapewne informowaliście firmy zaangażowane w strefie działań, że tak wygląda sytuacja.

- Oczywiście. Większość z nich i tak kupuje ochronę przez nasz dział ubezpieczeniowy.

- Chris powąchał nieufnie szkocką i wrócił z nią na fotel. - Czemu?

- Wiesz, że Nakamura modeluje przewrót wojskowy przeciw rządowi Kambodży?

- Nie. - Chris przełknął trochę drinka i skrzywił się. Za ścianą znów zaczęły się wrzaski.

- Ale mnie to nie dziwi. Acropolitic wciąż trzyma się oficjalnego doradztwa, więc to ich jedyna szansa na zdobycie dla siebie kawałka tortu. Nasi ludzie z wywiadu powinni na to wpaść, zanim podejmą jakieś znaczące kroki.

- Szpiegostwo przemysłowe może pokazać wam szczegóły modeli, ale nie pomoże w terenie. Co zrobicie, jeśli zaczną wyglądać na to, że Nakamura zapanuje nad kambodżańską armią?

Chris wzruszył ramionami.

- Pewnie zadzwonimy do Langley. Żeby odpowiedni generałowie zostali w domu.

Stojący przy oknie Erik Nyquist wydał jakiś gardłowy dźwięk. Chris na niego zerknął.

- Hej, przykro mi, jeśli to dotyka twoją wrażliwość. Ale tak działa ten świat.

- Tak. Wiem o tym.

Pieprzony draniu, wrzasnęła kobieta za ścianą. Dziecko znów płakało. Chris zmarszczył się nad drinkiem.

- Cóż, Erik, może wolałbyś, żebyśmy zostawili tych generałów przy życiu, żeby wytoczyli swoje czołgi i pobawili się nimi na ulicach Phnom Penh, masakrując parę tysięcy ludzi.

- Jak planuje Khieu Sary?

- Nie tak to wymodelowaliśmy.

- Och, to *dobrze*.

Vasvik znów powiedział coś po norwesku i Erik odwrócił się z powrotem do okna. Wydawało się, że widzi tam coś niezwykle fascynującego.

- Twoi przyjaciele odjeżdżają - powiedział bezbarwnie. - Najwyraźniej dość wymuszania prawa na ten miesiąc. Musieliśmy wyczerpać nasz kredyt.

- Hej, to nie *moi* przyjaciele, Erik. - Chris uśmiechnął się do teścia. - Ja tylko ich spłaciłem, to wszystko. To, że daję im pieniądze, wcale nie znaczy, że ich lubię. Powinieneś to wiedzieć.

- *Chodzi oto* - ostro przerwał mu Vasvik - że chcielibyśmy, żebyś został na miejscu do czasu, aż Nakamura będzie gotowa do działania, w taki czy inny sposób. Strefy przemysłowe Kambodży obejmuje śledztwo...

Chris syknął przez zęby.

- Tak, jeszcze jakieś nowości? Nie mów mi, że zamierzacie pozwać kogoś przed te wasze żałosne sądy.

Coś walnęło o ścianę w sąsiednim mieszkaniu. Głos mężczyzny wrócił, przekrzykując kobietę. Płacz dziecka przybrał trochę na sile, może próbowało przyzwać matkę. Chris uniósł brwi i napił się trochę Elan Scotta.

- Potrzebujemy informacji od środka już *po* ewentualnym ruchu kambodżańskiego wojska. - Sądząc po głosie Vasvika, kłótnia za ścianą mogłaby równie dobrze toczyć się w telewizji. - Nie chcę zdradzać szczegółów, ale jeśli nie będziemy mieć jasnych danych, to pewni ludzie, na których mamy oko, wykorzystają zamieszanie związane z przewrotem, żeby ukryć własne działania. Pozostaną wątpliwości i uda im się wykpić. Przegramy sprawę.

- To nie jest tak zawsze?

Kurwa, kurwa, kurwa, wrzasnął facet za ścianą. *Pieprzona KURWA*.

Uderzenie, padające ciało. Urwany wrzask.

Zawodzące dziecko.

Carla wyszła z kuchni, jakby wystrzelona z pistoletu.

- Tato, co się tam, do cholery, dzie...

- Wiem. - Erik podszedł do niej i ujął jej dłonie. Nagle wydawał się bardzo stary. - To... on jest... Tak się często zdarza. Nic nie możesz... Vasvik wpatrywał się w przestrzeń, zdradzając tyle emocji, co kot. Kolejny wrzask. Mięiste walnięcie. Chris rozejrzał się wokół i wykaszłał śmiech.

- Jesteście cholernymi histerykami, wiecie? Erik literat i pieprzony inspektor. Obaj chcą zmienić na lepsze cały cholerny świat. - Nagle sam zaczął wrzeszczeć. *Spójrzcie na siebie. Sparaliżowało was, obu.*

Coś uderzyło w ścianę, mogło to być ciało. W ślad za nim ciosy. Regularne. Skandowanie:

- *Podoba ci się? Tak, kurwo? Tak ci się podoba, pieprzona kurwo?*

Już był w ruchu. Miał wrażenie, że znów jedzie saabem do domu. Ucieleśniony cel, niepowstrzymany. Wyszedł, przez maleńki przedpokój, drzwi wejściowe, na korytarz, na lewo, do sąsiednich drzwi. Kopnął je. Framuga z taniego drewna pękła, drzwi poleciały do środka. Uderzyły w ścianę, odbiły się. Kopnął je ponownie i wpadł do środka, przez przedpokój do salonu.

Usłyszeli jego wejście. Kobieta leżała rozciągnięta na dywanie, ubrana w krótki, pogryziony przez mole szary szlafrok, poruszając się słabo jak ranny żołnierz próbujący doczołgać się do osłony. Krwawiła z ust. Pod brzegiem szlafroka na udach widać było stare siniaki. Dziecko siedziało w plastikowym nosidełku, ustawionym na górze taniego zestawu rozrywkowego przy drzwiach do kuchni, z ustami otwartymi jakby w zdziwieniu. Ojciec właśnie się odwracał, w jaskrawofioletowych szortach i czerwonej koszulce bez rękawów ciasno opiętej na umięśnionej klatce, na której rozciągał się biały napis POSIEKAĆ BOGACZY. Oczy miał rozbiegane, a pięści zaciśnięte. Na kostkach prawej widać było krew.

- Za bardzo hałasujesz - powiedział Chris.

- Co? - Mężczyzna zamrugał. Dotarł do niego brak munduru. Może też krój ubrania Chrisa. - Co, do cholery, robisz w moim domu, kurwo? Chcesz się bić?

- Tak.

Znów mruganie.

- Tak, kurwa, *co?*

- Tak. Chcę się bić.

Wydawało się, że z jakiegoś powodu ta odpowiedź powstrzymała mężczyznę. Chris, który bał się o dziecko, wykorzystał tę chwilę, by zrobić dwa kroki w bok i dać sobie czyste pole strzału. Tamten gapił się, jakby dyrektor przed nim wykonał właśnie piruet. Chris wyciągnął nemeksa i wycelował broń jednym płynnym ruchem, z którego mogłaby być dumna Louise Hewitt. Mężczyźnie opadła szczęka.

- Nieważne.

Bum.

Chris strzelił mężczyźnie w udo. Jego ofiara wrzasnęła i zgięła się w pół, zaciskając dłoń na nodze. Chris chwycił pistolet za lufę, podszedł i mocno walnął dilerą w głowę rękojęścią. Tamten upadł. Kobieta na podłodze zaskrzeczała i wycofała się do rogu pokoju.

- Wszystko w porządku - powiedział nieobecnym głosem Chris. - Nie skrzywdzę cię.

- *Chris!*

W drzwiach stała Carla z popielatą twarzą. Patrzyła na niego.

- Wszystko w porządku, on żyje. - Chris zastanawiał się przez chwilę, a potem przystawił nemeksa do kolana mężczyzny i pociągnął za spust. Tamten podskoczył przy uderzeniu, ale nie odwrócił się. Krzyk Carli i drugiej kobiety zlały się w jedno. Dziecko znów zaczęło płakać. Chris spojrział na kobietę w kącie, której gwałtownie puchło lewe oko. Pomyślał jeszcze chwilę. Przystawił wylot lufy nemeksa do drugiego kolana mężczyzny...

- Chris, *nie*.

...i znów pociągnął za spust. Carla szarpnęła się do tyłu, jakby to w nią strzelił. Schował nemeksa i podszedł do miejsca, gdzie w rogu kuliła się kobieta. Wyciągnął portfel i dał jej około połowy posiadanej gotówki.

- Słuchaj - powiedział, wciskając jej pieniądze w dłoń. - Słuchaj mnie. To dla ciebie. Jeśli chcesz, zadzwoń po karetkę, ale nie pozwól im go zabrać. Będą próbować. Za to im płacą, na tym zarabiają duże pieniądze. Nie pozwól im. Jeśli ich poprosisz, opatrzą rany na miejscu. Tak jest taniej, a jemu to wystarczy. Nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Nie umrze. Rozumiesz mnie?

Tylko na niego patrzyła.

Westchnął i zacisnął jej palce na banknotach. Wzdrygnęła się, gdy jej dotknął. Wstał. Spojrział na dziecko. Bałagan wokół. Potrząsnął głową i odwrócił się do wyjścia.

Byli tam już wszyscy. Erik Nyquist, z twarzą wykrzywioną obrzydzeniem. Carla, tuląc się do ojca, z głową na jego piersi. Vasvik, milczący i wyzuty z emocji.

- Co? - zapytał ich. - *Co?*

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Landrover podskoczył na kolejnej dziurze, twardo i za mocno. Na podłogę spadły monety i inne śmieci z przedniej półeczki. Chris zakotył się, powstrzymany przez pas. Zerknął na Carłę.

- Może byś trochę zwolniła?

Popatrzyła na niego, potem odwróciła wzrok. Nic nie powiedziała. Wóz znów podskoczył. Światło z dachowych reflektorów rozprysło się po krzywiznie nieoświetlonej ulicy i poszarpanej betonowej strukturze, która wyglądała, jakby kiedyś stanowiła tylną ścianę stadionu. W równych odstępach stały nieczynne latarnie uliczne, większość zdumiewająco nienaruszona.

- Na miłość boską Carla, to strefa. Naprawdę chcesz się tu zatrzymać i zmieniać koła?

Wzruszyła ramionami.

- Masz pistolet. Na pewno rozwalisz każdego, kto będzie nam sprawiał jakieś problemy.

- Och, do kuźwy nędzy.

Opuścili podziurawioną ulicę i skręcili w lewo obok rozpadających się niskich budynków o frontach zasłoniętych stalowymi sztabami. Ze ścian łupały zwyczajowe graffiti, pełne fioletowo-białych czaszek. Carla z zaciśniętymi ustami patrzyła przed siebie. Chris poczuł, jak typowa u niego łagodność po walce zaczyna się kruszyć.

- Hej, może wolałabyś, żeby zatłukł ją na śmierć, a my siedzielibyśmy tam i słuchali. Doskonałe przygotowanie do pracy inspektora międzynarodowego. Obserwować, robić notatki i nigdy, *nigdy* nie interweniować.

Brak odpowiedzi.

- Twój ojciec mieszka obok. I nie robi *nic*. Gorzej niż *nic*. Po prostu potrząsa cholerną głową i pisze ogniste komentarze społeczne, karmiąc nimi ludzi, którzy nigdy nie poznają realiów opisywanych przez niego sytuacji, i *oni też* zaczną potrząsać głowami, *nic* nie robiąc. A za ścianą bandyta dalej bije swoją żonę na miazgę.

- Nie po to tam przyszedł, Chris.

- Ja też nie, Carla. *Ale ja* coś z tym zrobiłem. Podobnie jak zrobię coś z MGR. Jezu, myślisz, że możesz przejść przez życie ze swoimi nieskazitelnymi ideałami, robiąc notatki i ufając, że jakiś głównogłowy sędzia ONZ zmusi wszystkich, żeby grali uczciwie. Myślisz...

Landrover wychylił się ostro na zawieszaniu. Oświetlona reflektorami droga uskokczyła, ustępując miejsca startym pasom pustego parkingu. Przednimi wznosił się porzucony supermarket, z fasadą w mniej więcej równym stopniu porozbijaną, co pokrytą malowidłami. Do dachu przymocowany był biały rurowy renifer, z łbem zwróconym w stronę nadjeżdżających samochodami klientów. Z tyłu zwierzęcia ciągnęły się niewyraźne resztki czegoś, co zapewne kiedyś było saniami. Przez krótką chwilę obraz w umyśle Chrisa odwrócił się, i zobaczył bezkształtną istotę z mackami, usiłującą pożreć renifera.

Carla zahamowała ostro na środku parkingu.

Przez chwilę oboje wpatrywali się we front sklepu. Potem odwróciła się w jego stronę.

- Co się z tobą stało, Chris? - wyszeptała.

- O *Jezu*, Carla...

- Ja... - Gwałtownie machnęła ręką. - Już cię nie poznaję. Nie wiem, kim jesteś. Kim ty, do cholery, jesteś, Chris?

- Nie bądź głupia.

- Nie, pytam poważnie. Przez cały czas jesteś zły, *wściekły*, a teraz nosisz przy sobie broń. Kiedy zaczynałeś w Shorn, powiedziałeś mi o pistoletach i śmiałeś się z tego. Pamiętasz? Teraz prawie z niczego się nie śmiejesz. Już nie wiem, jak z tobą rozmawiać. Boję się, że zaczniesz na mnie wrzeszczeć.

- Nawijaj tak dalej - powiedział ponuro - a wiesz co? Pewnie zacznę na ciebie wrzeszczeć. I bez wątpienia będzie to *moja cholerna wina*.

Drgnęła.

- Chcesz wiedzieć, kim jestem, Carla? - Nachylał się między fotelami, mówiąc jej prosto w twarz. - *Naprawdę* chcesz wiedzieć? Jestem twoim cholernym bonem obiadowym. I zawsze nim byłem. Potrzebujesz nowych ciuchów? Biletu do Norwegii? Zasiłku dla tatusia? Chcesz wyprowadzić się z miasta w jakąś miłszą okolicę? Hej, nie ma problemu. Chris ma dobrą pracę, zapłaci. Nie prosi o wiele, masz tylko trzymać samochód na chodzie i czasem dymanko. *Kobieto, to złoty interes!*

Wydawało się, że słowa zmieniają wokół nich wszystko. Czuł jakieś nieokreślone darcie. Zakręciło mu się w głowie i osłabł w ciszy, która połknęła to, co powiedział. Odsunął się od niej i czekał, nie wiedząc na co.

Cisza dudniła.

- Wsiadaj - powiedziała.

Nie podniosła głosu. Nie spojrzała na niego. Wcisnęła guzik na konsoli i drzwi z jego strony odskoczyły.

- Lepiej, żebyś była tego pewna...

- Ostrzegałam cię, Chris. Raz już nazwałeś mnie kurwą. Drugi raz nie ujdzie ci to na sucho. Wsiadaj.

Wyjrzał na opuszczony parking i mrok poza światłami landrovera. Uśmiechnął się krzywo.

- Jasne - rzucił. - Czemu nie. Od dawna się na to zbierało.

Ramieniem otworzył drzwi do końca i wyskoczył. Nocne powietrze było ciepłe, poruszane lekkim wiatrem. Łatwo można było zapomnieć, gdzie się jest. Sprawdził, czy nadal ma nemeksa w kaburze i portfel pełen gotówki w kieszeni marynarki.

- Do zobaczenia, Carla.

Przez chwilę stał, usiłując się odszukać emocjonalnie i geograficznie, ale nic wokół nie budziło jego skojarzeń. Nie rozpoznawał żadnych szczegółów. Supermarket świecił na niego pustą ścianą i nagle poczuł ochotę, by użyć nemeksa, przebić się przez blokujące wstęp rolety i wejść do środka, szukając...

Zadygotał. Sen przemaszerował przez jego ciało w neonowych pulsach.

nagły deszcz ciepłej krwi

spadanie

Mocno potrząsnął głową. Odwrócił się plecami do fasady. Potem wybrał przypadkowy kierunek i ruszył przez parking.

Z dachu przyglądał mu się metalowy renifer oczami kompletnie pustymi, jeśli nie liczyć więcej przez nie wiatru.

* * *

Sobotnia noc, niedzielny poranek. Wydzielone strefy.

Spodziewał się kłopotów, a nawet ich wyczekiwał z jakąś perwersyjną przyjemnością, kierując jego działaniami w Brundtlandzie. Nemex spoczywał w gotowości w kaburze. Ręce miał stwardniałe od szotokan i drżące z chęci niszczenia. W najgorszym przypadku mógł telefonicznie sprowadzić pomoc policji, gdyby naprawdę jej potrzebował.

Choć zdawał sobie sprawę, że musiałby dosłownie walczyć o życie, zanim zdecydowałby się na ten krok.

Niczego innego nie potrafiłby sobie wybaczyć.

Spodziewał się kłopotów, ale nie spotkało go nic wartego wzmianki.

Przez jakiś czas maszerował między anonimowymi, słabo oświetlonymi domami, raz czy dwa wychodząc na główne aleje, by odczytać kierunki ze zniszczonych tablic z nazwami ulic, a potem zapuszczał się z powrotem w wąskie uliczki, kierując się w stronę, którą uznał za wschód. W oknach błyskały światła telewizorów, przez tanie ramy wydostawały się dźwięki programów rozrywkowych. Na zewnątrz natykał się na dzieciaki siedzące w mroku na murach, dzielące się papierosami, dwulitrowymi plastikowymi butelkami i ręcznej roboty fajkami. Pierwsza grupa, na jaką trafił, zauważyła jego ubranie i ruszyła ku niemu, szydząc. Wyciągnął nemeksa i popatrzył im w oczy, a oni wycofali się, klnąc na czym świat stoi. Później trzymał broń na widoku, a inne grupy po prostu przyglądały się, jak przechodzi, z ponurym wyrachowaniem. Jego śladem sunęły szeptane inwektywy.

W końcu dotarł do głównej ulicy, która jego zdaniem prowadziła na wschód. Między budynkami po lewej zauważył sklepione słupy zjazdu M40, co sugerowało, że znalazł się gdzieś w pobliżu Ealing. Albo Greenford, jeśli źle oszacował miejsce, gdzie wyrzuciła go Carla. Lub Alperton. Albo...

Albo się zgubiłeś, Chris.

Cholera, tak naprawdę wcale nie znasz tej części miasta, więc przestań udawać, że wiesz, gdzie jesteś. Po prostu idź dalej. Niedługo wszędzie słońce, a wtedy będziesz już wiedział, czy idziesz na wschód, czy nie.

Idź dalej. To musiało być lepsze od myślenia.

Zaczął dostrzegać oznaki nocnego życia. Kluby i pasażer przy ulicy, z różną frekwencją. Punkty sprzedające śmieciowe żarcie na wynos, w większości po prostu oświetlone neonami wnęki w murze. Unoszący się w powietrzu smród taniego mięsa i alkoholu, raz czy dwa doprawiony ostrym zapachem wymiocin. Niewielkie grupki ludzi na ulicy, jedzących i pijących, krzyczących do siebie. Odprowadzających go spojrzeniem.

Nie można było na to nic poradzić. Wydłużył krok i trzymał nemeksa opuszczonego, ale wyraźnie na widoku. Trzymał się środka ulicy.

W teorii mógł spróbować wezwać taksówkę. Zidentyfikował już kilka nazw klubów i gdyby był gotów dostatecznie głęboko zajrzeć w mrok, tabliczki z nazwami ulic. W praktyce prawdopodobnie byłaby to strata czasu. Firmy, których numery miał zapisane w komórce, przeważnie nie chciały wjeżdżać głębiej niż na kilkaset metrów za niewłaściwą stronę muru, zwłaszcza o tej porze. A te kilka, które mogłyby tu wjechać, trzymały się ezoterycznej biblii

kierowców głoszącej, na których ulicach można się bezpiecznie zatrzymać. Przy niewłaściwej konfiguracji tarota kodów stref można było czekać na próżno całą noc. Słyszając niewłaściwą lokalizację - *jeszcze lepiej, słysząc jakiegoś kretyna bredzącego o rogu ulicy Old Coştam Zamazane, nieokreślonym klubie i różowym neonie królika z cyckami i w szpiczastym kapeluszu* - poszczególni kierowcy zarechotaliby pewnie, zignorowali kontrolera i zrezygnowali z jazdy. W strefach po prostu nie było dość bezpiecznie. Podstawowa zasada: wchodzisz do stref, sam prowadzisz. Albo wracasz do domu pieszo.

Podchwycił czyjś wzrok, nie odwrócił spojrzenia. Pamiętał zachowanie Mike'a z ich poprzednich wycieczek do stref i naśladował je.

Bądź, kim jesteś, i pieprz ich, jeśli im się to nie podoba.

Pistolet pomagał.

Nikt nie próbował niczego więcej niż wydęcie warg. Nikt nie podszedł. Nikt nic nie powiedział.

Przed jednym z klubów szczęście wyczerpało mu się na dwóch naćpanych prostytutkach. Zauważyły ubranie i ruszyły na niego jak dzieci wskakujące do wody. Ich gołe nogi i stopy wepchnięte w nedorzeczne buty na wysokich obcasach pracowały, jakby miały niewłaściwie połączone stawy. Ubrane były w wypychające biust staniki i koszmarnie obcisłe mikrosukienki z czarnej tkaniny. Makijaże miały jaskrawe i rozmazane od potu. Jedna była chudsza, ale poza tym w mroku przedświtów wyglądały niemal identycznie.

Obie miały może po czternaście lat.

- Chcesz ssanko? - zapytała ta chudsza.

- Wiesz, gdzie moglibyśmy pójść? - Druga wyraźnie była mózgiem pary, planowała.

Chris potrząsnął głową.

- Idźcie do domu.

- Nie bądź taki ostry, kochanie. Chcemy ci zrobić dobrze. - Ta chuda spróbowała uatrakcyjnić ofertę, liżąc palec, a potem wsadzając go w ledwie widoczny stanik i pocierając nim z uśmiechem po piersi. Chris drgnął.

- Powiedziałem, żebyście szły do domu. - Podniósł nemeksa tak, by musiały go zobaczyć. - Nie chcecie mieć ze mną do czynienia.

- Kochanie, ależ masz *duży* pistolet - powiedziała chuda.

- Chcesz go wsadzić w jakieś ciepłe miejsce?

Chris uciekł.

Wydostał się przez zachodnią bramę w Holland Park godzinę przed świtem. Strażnicy na bramce dziwnie mu się przyglądali, ale nic nie powiedzieli, i gdy tylko czytnik przełknął kartę Shorn, wezwali mu taksówkę. Stał przed budką, czekając na jej przyjazd, i patrzył przez barierkę w stronę, z której przyszedł.

Zabręczała jego komórka. Spojrzał na nią, zobaczył numer Carli i wyłączył ją.

Przyjechała taksówka.

Kazał się zawieźć do pracy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Tak wcześnie w niedzielę blok Shorn powyżej poziomu antresoli pogrążony był jeszcze w mroku, a blokady działały. Zadzwoił do ochrony, która wpuściła go bez komentarza albo widocznego zaskoczenia. Pomyślał gorzko, że widać przychodzenie do pracy przed świtem w weekendy nie było niczym szczególnie wyjątkowym.

Przez chwilę myślał, żeby przespać się parę godzin w jednym z pokoiów gościnnych, ale odrzucił ten pomysł. Na zewnątrz zaczynało już dzień i teraz nie zasnęłyby bez prochów. Zamiast tego wjechał windą na pięćdziesiąte drugie piętro, przeszedł przez przytulne, mroczne korytarze oświetlone tylko słabym blaskiem znaków i wszedł do swojego biura.

Telefon na jego biurku błyskał już pozostawioną wiadomością.

Sprawdził, przekonał się, że to od Carli, i skasował. Stał potem przez chwilę z palcem na klawiszu, wyciągnął rękę w stronę słuchawki, ale urwał w pół gestu. Zamiast tego sięgnął do kontroli oświetlenia na terminalu, ale też zmienił zdanie. Szara cisza przedświt miała w sobie coś dziwnie uspokajającego, jak kryjówka z lat dziecińczych. Jak poduszka pod policzkiem i zegar przed twarzą pokazujący dobrą godzinę snu do pobudki. Bez świateł wisiał w niebycie, wygodnym stanie, w którym nie trzeba było podejmować decyzji ani pędzić do przodu. Rodzaj stanu, który nie mógł trwać, ale gdy już się w nim znalazł...

Wyciszył dzwonek telefonu, podszedł do zabudowanej szafy przy drzwiach i wyciągnął koc. W drodze do stojącej w rogu pokoju sofy ściągnął marynarkę, kaburę i buty, po czym padł na kanapę. Przykrył się kocem i leżał, wpatrując się w biały sufit, przyglądając się, jak z wolna obejmuje go w posiadanie światło poranka.

* * *

W dole, w recepcji, młodszy z dwóch ochroniarzy wymówił się pęcherzem i zostawił kolegę, a sam poszedł na górę, do antresoli. Przepisnął się przez drzwi do toalety, zamknął się w kabinie i wyciągnął telefon.

Zawahał się na chwilę, potem wykrzywił twarz i wystukał numer.

* * *

Telefon zamruczał obok szerokiego łóżka z szarą pościelą, w pomieszczeniu rozświetlonym przez osłonięte niebieskie lampki. W jednej ze ścian potężne okno spolaryzowano na ciemno. Na stole pod parapetem szachy z wyszukаныmi figurami stały obok ekranu wyświetlającego stan gry w czerni, srebrze i błękicie. W rogach pokoju, w plamach cienia, majaczyły rzeźby w greckim stylu. Gdy dźwięk telefonu przebił warstwy snu, pod prześcieradłem poruszyły się dwa ciała. Louise Hewitt podniosła głowę, sięgnęła po słuchawkę i przystawiła ją do ucha. Spojrzała ponuro na zegar przy telefonie.

- Lepiej, żeby to było coś ważnego.

Wysłuchała się w pospieszne słowa w przeproszającym tonie z drugiej strony linii i szeroko otworzyła oczy. Wykręciła się, uwolniła spod przykrycia i uniosła się na łokciu.

- Nie, dobrze zrobiłeś. Tak, właśnie tak powiedziałam. Tak, to nietypowe. Zgadzam się. Oczywiście. Tak, nie zapomnę o tym. Dziękuję.

Odłożyła słuchawkę i położyła się na plecach. Spojrzeniem przesuwiała po niebieskim suficie, ton głosu miała zamyślony.

- Chris właśnie dotarł sam do pracy. Taksówką. O czwartej trzydzieści w niedzielę rano. Wygląda na to, że był na nogach całą noc.

Szczupła postać obok niej rozbudziła się do końca.

* * *

Chris znów śnił o supermarkecie, ale tym razem przyglądał się całej scenie z zewnątrz, a parking był pełen samochodów. Były *wszędzie*, nawet pod słońcem, jak rozsypane cukierki, wszystkie w ruchu, krążyły, parkowały i cofały niczym w jakimś olbrzymim automatycznym balecie, a *on nie mógł się przez nie przedostać*. Za każdym razem, gdy zrobił krok w stronę supermarketu i ludzi w jego jaskrawo oświetlonym wnętrzu, na jego drodze pojawiał się samochód i zatrzymywał się z piskiem hamulców. Musiał go obejść, a czas uciekał. Ludzie w środku nie wiedzieli. Kupowali w sennym cieple i zadowoleniu, nie mając pojęcia, co się zbliża.

W gorze na dachu metal zaskrzypiał w proteście, gdy stalowy renifer potrząsnął głową.

I nagle zauważył, że wszystkie samochody są puste. Nie było w nich ludzi, nikt nie kierował, nie ładował zakupów, nikogo na całym parkingu. Wszyscy byli w środku. Robili zakupy. *Cholerne* zakupy.

Dotarł do drzwi i spróbował je otworzyć, ale zamknięto je, blokując plastikowymi prętami i metrami stalowego łańcucha. Próbował walić w szyby i krzyczeć, ale nikt go nie słyszał.

Kiedy rozległy się strzały, odbiły się falą w szkło pod jego dłońmi. I jak zawsze zaświdrowały mu w uszach jak coś fizycznego.

Jęknął i obudził się z pięściami zaciśniętymi przy policzkach.

Przez chwilę leżał tak, zwinięty w kłębek na skraju sofy. We śnie wykręcił się, zsuwając z siebie koc, który ledwie przykrywał teraz pół jego ciała. Kilka razy mocno zamrugał, odetchnął i usiadł. Kiedy spał, nadszedł i minął świt, a biuro pełne było jasnego światła słońca.

Wstał z sofy i znalazł buty. Schylając się, by je założyć, poczuł walenie w głowie. Doprowadził się do migreny. Podeszedł do biurka i zaczął niezdarnie przeglądać szuflady w poszukiwaniu środków przeciwbólowych. W kącie pola widzenia mrugał telefon. Warknął i sprawdził numery przy zapisanych wiadomościach. Carla, Carla, Carla, cholerna Carla...

I Liz Linshaw.

Znieruchomiał. Połączenie przyszło godzinę temu. Wyciągnął z szuflady arkusik szybko działającej kodeiny i wcisnął odtwarzanie.

- Chris, próbowałam zadzwonić do ciebie do domu, ale twoja żona nie wiedziała, gdzie jesteś. - Cierpki ton głosu, prawie widział towarzyszące mu skrzywienie ust. - Ona, hm, nie była zbyt pomocna, ale odniosłam wrażenie, że możesz dzisiaj przyjść do pracy. Więc słuchaj, na India Street jest taki bar śniadaniowy, nazywa się *Break Point*. Spotykam się tam z kimś o ósmej trzydzieści. Myślę, że ty też chciałbyś przy tym być.

Sprawdził godzinę. Ósma dwadzieścia.

Kurtka, nemex. W drodze windą na dół przeżuł tabletkę kodeiny, przełknął proszek i wyszedł pośpiesznie na słońce.

* * *

Znalezienie India Street zajęło mu trochę więcej czasu, niż się spodziewał. Pamiętał ten

bar z jakiegoś spotkania dotyczącego ograniczania strat, kiedy jeszcze pracował w Hammett McColl. Ale ponieważ wiązał to spotkanie z obecnymi na nim brokerami reasekuracyjnymi, źle zapamiętał adres i trafił na aleję obok Fenchurch Street. Przez kilka minut kręcił się po okolicy, przymulony wstępną fazą działania kodeiny, zanim dotarło do niego, że się pomylił. Opierając się na aktualniejszych wspomnieniach, wykreślił kurs na wschód i znów ruszył przez płataninę opuszczonych ulic.

Szedł na północ w górę szklanego kanionu Crutched Friars, kiedy ktoś zawołał go po nazwisku.

- *Faulkner!*

Krzyk odbił się echem od ścian ze szkła i stali i odpłynął w dal krzywizny kanionu. Chris odwrócił się do tyłu, uświadamiając sobie, że ma kłopoty. Jakieś dwadzieścia metrów dalej, blokując mu wyjście na India Street, stało pięciu mężczyzn. Wszyscy mieli na twarzach czarne maski narciarskie, wszyscy trzymali broń, która dla jego niewyszkolonego oka wyglądała na strzelby. Ustawili się naprzeciw niego w groteskowym obrazie z westernów i wbrew wszystkiemu, pomimo pewności zbliżającej się śmierci, Chris poczuł, jak na jego twarz wypełza uśmiech.

- Czego?

Może to kodeina. Roześmiał się w głos. Na całe gardło.

- Kurwa, *czegol*

Ludzie naprzeciw niego poruszyli się, wyraźnie zakłopotani. Zaczęli spoglądać na stojącego w środku. Tamten zrobił krok do przodu. Przeładował śrutówkę. Metaliczny trzask mechanizmu odbił się echem wzdłuż ulicy.

- No dalej, Faulkneh.

Zrozumienie spadło na Chrisa jak zimny prysznic. Otworzył usta, by wykrzyknąć nazwisko, wiedząc, że wcześniej zostanie zastrzelony.

- *Jedną* chwilkę.

Wszyscy obejrżeli się w stronę nowego głosu. U wyjścia bocznej ulicy około dziesięciu metrów za Chrisem stał Mike Bryant, dysząc lekko. Uniósł lewą rękę, prawą trzymając blisko pasa. W zaciśniętej dłoni trzymał gruby plik banknotów.

Makin zawahał się za swoją maską. Opuścił strzelbę o kilka stopni.

- To nie ma nic wspólnego z tobą - krzyknął.

- Och, ależ ma. - Mike wyszedł z alejki i ruszył ulicą. Dotarł do Chrisa. Na jego czole widać było kropelki potu, a Chris przypomniał sobie, że tamten ledwie wczoraj wyszedł ze szpitala. Przed sobą wciąż niczym broń trzymał plik gotówki. - Załatwicie na ulicy jednego dyrektora Shorn, i gdzie to się skończy? Co, *Nick*? Człowieku, łamiesz cholerne zasady.

Kątem ust zwrócił się do Chrisa.

- Masz broń?

- Tak, mam.

- Tym razem naładowaną?

Chris kiwnął głową. Przez kodeinowe otępienie przebiła się fala adrenaliny, barbarzyńska radość braterstwa z mężczyzną przy jego boku i pragnienie wspólnego siania zniszczenia.

- Dobrze wiedzieć. Rób to co ja, a szybko się potoczy.

- Chcemy tylko Faulkneha - krzyknął Makin.

Mike wyszczerzył zęby i znów podniósł głos.

- Fatalnie, Nick, bo mnie też dostałeś. - Był to radosny, energiczny ton, który Chris słyszał ostatnio, gdy Bryant okaleczył Griffa Dixona w jego własnym mieszkaniu. - Ale zanim zaczniemy, panowie, spójrzcie tylko na dzisiejsze nagrody.

Znów uniósł rękę z pieniędzmi. Jego głos rezonował w akustyce stalowego kanionu, głośny i soczysty jak w telewizyjnych programach rozrywkowych.

- Dla zwycięzców! Dwadzieścia tysięcy euro w gotówce! Odłóżcie broń i odejdźcie z nimi! Dzisiaj! Albo zaryzykujcie, przegrajcie i zgińcie! Panie i panowie, sami wybieracie!

Rzucił pieniądze w górę. Owinięte były grubą metaliczną taśmą która błysnęła, wirując w jasnym świetle poranka.

- Teraz - warknął.

Chris miał wrażenie, że potem wszystko rozegrało się w zwolnionym tempie.

Wyszarpnął nemeksa. Wydawał się okropnie ciężki i koszmarnie długo trwało wycelowanie go.

Obok niego Bryant już strzelał.

Pomocnicy Makina wciąż patrzyli na pieniądze. Pierwszy pocisk Mike'a trafił mężczyznę po prawej pod uniesionym podbródkiem, przebił się przez kark i rzucił go na ziemię w fontannie tętniczej krwi.

Pozostali czterej rozpryśli się po ulicy.

Chris naprowadził pistolet na cel, czując praktykę setek godzin na strzelnicy, która prowadziła jego rękę jak stalowe liny. Nacisnął spust, poczuł kopnięcie. Nacisnął ponownie. Jeden z mężczyzn przez nim się zachwiał. Na czarnym materiale trudno było dostrzec krew. Pociągnął jeszcze raz. Mężczyzna zgiął się w przód i padł twarzą na ulicę.

Zagrzmiała strzelba.

Chris wycelował i strzelił w Makina. Spudłował. Kątem oka zobaczył, jak Mike Bryant zaczyna biec do przodu, z twarzą wykrzywioną uśmiechem i nemeksem w wyciągniętej dłoni, strzelając po łuku. Padł kolejny z ludzi Makina, trzymając się za udo.

Kolejny grzmot strzelby. Chris poczuł na żebrach ostre ułknięcie śrutu. Namierzył Makina, wypuścił kolejny pocisk. Wrzasnął i zaczął biec ku niemu, strzelając na oślep. Makin dostrzegł jego szarżę i wycelował.

Na linię strzału Makina wbiegła kolejna postać, strzelając przez ulicę do Mike'a. Wpadli na siebie. Chris strzelił do obu.

Makin się wyplątał, znów podniósł strzelbę. Zdawało się, że coś jest nie tak z jego ramieniem.

Chris opróżnił w niego nemeksa. Pistolet zablokował się, po ostatnim strzale odsłaniając zamek.

I było po wszystkim.

Echa przetoczyły się w dal jak odjeżdżające ulicą ciężarówki. Chris stał nad Nickiem Makinem i patrzył, jak ten przestaje oddychać. Po jego lewej Mike Bryant podszedł do bandyty postrzelonego w udo. Ranny mężczyzna wił się niezdarnie. Z wykrzywionej nogi lały się zdumiewające ilości krwi. Osłonięta maską głowa obracała się to w stronę Mike'a, to w stronę Chrisa, jak u osaczonego zwierzęcia. Wydawał z siebie paniczne jęki.

- I tak wykrwawisz się na śmierć - powiedział do niego Mike.

Pocisk rzucił mężczyznę na asfalt. Osłonięta narciarską maską głowa podskoczyła od uderzenia, a z otworu wylotowego na asfalt pociekł nowy strumyk krwi. Mike przyklęknął i sprawdził skuteczność dzieła, po czym spojrzął w górę i uśmiechnął się do Chrisa.

- Dwóch na pięciu. He, nieźle jak na dwa garniaki.

Chris ociężale potrząsnął głową. Nemex wisiał w jego ręce niczym jakiś ciężar. Odblokował otwarty zamek i schował broń, mocując się niezdarnie z kaburą. Ogarniały go pobitewne dreszcze.

- Nieźle. - Mike podniósł śrutówkę trupa i z uznaniem zważył ją w dłoniach. - Taktyczna strzelba gładkolufowa Remingtona. Chcesz na pamiątkę?

Chris nie odpowiedział. Bryant wstał i wsadził sobie broń niedbale pod pachę.

- Nie będzie problemu, porozmawiam z policją i weźmiemy sobie po jednej, kiedy już z nimi skończą. Będziesz miał co pokazywać wnukom. - Potrząsnął głową mówiąc trochę za szybko pod wpływem adrenaliny. - Niewiarygodne, co? Jak z jakiejś pieprzonej gry. Ach. Widzę, że na dobre dorwałeś Makina?

- Tak. - Chris spojrzął obojętnie na trupa dyrektora, wciąż w masce. Z bliska widać było rany na klatce piersiowej i brzuchu. Całe ciało zalane było krwią. - Trup.

Mike rozsądnie rozejrzał się wokół.

- Myślę, że tak jak pozostali. O, chwilunia. - Podeszedł do mężczyzny, którego trafił Chris, gdy tamten wpadł na Makina. Przyłożył dwa palce do jego szyi, wzruszył ramionami. - Chyba już odchodzi. Ale...

Wstał i wycelował nemeksa w zamaskowaną twarz. Odwrócił głowę i pociągnął za spust.

- Skąd wiedziałeś, że tu będę? - zapytał Chris.

Znów wzruszenie ramion.

- Carla zadzwoniła dziś rano do mnie do domu. Płakała. Powiedziała mi, że się pokłóciliście, wysiadłeś w środku strefy i teraz nie może się z tobą skontaktować. Poszedłem cię szukać. Musiałem się włamać do twojego biura. Przepraszam, dość mocno się martwiłem. W każdym razie, zauważyłem tę wiadomość od Liz. Pomyślałem, że cię dogonię. Trochę to trwało, nadal mam problemy z żebrami.

Chris spojrzął na niego podejrzliwie.

- I akurat przypadkiem miałeś przy sobie dwadzieścia kawałków w gotówce?

- Och, to. - Mike znów się uśmiechnął i podeszedł do miejsca, gdzie na ulicę upadł zwitek gotówki. - Improwizacja. Patrz.

Rzucił pieniądze w stronę Chrisa, który złapał je niezdarnie lewą ręką. W zwitku były dwudziestki, w sumie maksimum tysiąc euro.

- Najlepsze, co mogłem wymyślić na poczekaniu. Naprawdę przyszedłeś w nocy ze stref?

- Tak.

- Musiała być niezła awantura.

Stali pośrodku jatki, porozrzucanej broni i kałuż krwi, i bardzo powoli Chris uświadomił sobie, że w małej grupce ludzi zebranych przy końcu India Street stoi Liz Linshaw.

Ruszył w jej stronę.

* * *

- Macie pojęcie, jak fatalnie to wygląda?

Louise Hewitt stała na wyprostowanych nogach u szczytu stołu konferencyjnego i wskazywała na projekcję. Za jej plecami wyświetlano ziarnisty i pozbawiony głosu obraz kamery podglądu, na którym Mike Bryant dobijał dwóch wciąż żyjących bandytów w maskach.

- Wiecie, jak tego rodzaju *awantury* wpłyną na nasz obraz jako poważnej instytucji finansowej?

Chris wzruszył ramionami. Część ciała miał zdrętwiałą ze strony, gdzie medyk Shorn zaaplikował mu miejscowe znieczulenie, zanim wydułubał śrut ze strzelby. Reszta dawno już przekroczyła punkt, w którym cokolwiek go obchodziło.

- Powinnaś to powiedzieć Makinowi. To on zaczął.

- *To nie jest cholerne przedszkole, Faulkner!*

- Tracisz rozsądek, Louise. - Mike Bryant spojrzał w oczy siedzącego z drugiej strony Philipa Hamiltona, a tamten skierował wzrok na Hewitt. Siedzący obok Jack Notley patrzył gdzieś w przestrzeń, pozornie obojętny na szalejącą wokół burzę. - To Makin to wywołał i zorganizował. Gdyby mnie tam nie było, Chris byłby trupem, a winą obciążono by gangsterów ze stref. Nie wiedzielibyśmy nawet, że mamy wśród siebie zdrajcę.

Na ekranie Chris oddalił się od ciała i zniknął z pola widzenia. Dziwnie mu było patrzeć, jak odchodzi, wracać do chwil sprzed trzech godzin i konfrontacji z Liz Linshaw.

Wystawiłaś mnie.

Przyjęła to jak policzek. Po raz pierwszy, od kiedy ją poznał, zobaczył w jej twarzy prawdziwy ból. Widok wywołał ssanie w żołądku.

Kurewsko mnie wystawiłaś, suko.

Nie. Kręciła głową. Chris, ja nie...

A wtedy zjawił się tam Mike i oboje przybrali maski. Ukryli namiętność. Było opanowanie, słowa, które miały coś znaczyć i długie milczenie. Wyjaśnienia, rozmowy i szklaneczki ostrej, mieszanej whisky w *Break Point*, by splukać drżenie. Normalność wpełzająca w koszmarne pokłósie jak krew spływająca asfaltem.

Ktoś do mnie zadzwonił. Facet powiedział, że pracuje w kontroli ruchu, wie, co naprawdę się stało z Chrisem na Mil, i spytał, czy ja też chcę wiedzieć. Miałam spotkać się z nim tutaj i przynieść pięć kawalców w gotówce.

Wyciągnęła pieniądze z portfela. Jak dowód niewinności.

Kiedy Mike poszedł do ubikacji, sięgnęła przez tani stolik z plastikowym blatem i chwyciła dłoń Chrisa. Żadnych słów, tylko spojrzenie, oko w oko. Nagły zawrót głowy, a potem odgłos splukiwania toalety dobiegający przez cienkie jak karton ściany, i ich dłonie odskoczyły jak magnesy o takim samym biegunie.

Louise Hewitt mówiła do niego, ale nie potrafił się zmusić, by słuchać. Podniósł się z miejsca i odwrócił do niej w pełnej niedowierzania furii.

- Dość tych bzdur, Louise. Jest cholernie jasne, co się tu stało.

- Siadaj, Faulkner, nie...

- Makin nie potrafił złamać konta MGP. Przejąłem je od niego i to bolało. Nie mógł

mnie pokonać na drodze, więc wynajął dzieciaka z gangu do czegoś, na co sam się nie odważył. Kiedy to się nie udało...

- Kazałam ci *usiąć*...

Przekrzyczał ją.

- Kiedy to się, *kurwa*, nie udało, Louise, wynajął jeszcze więcej *sicarios* i spróbował mnie zastrzelić. Nie potrafił mnie pokonać, grając wedle reguł Shorn, więc je złamał. A teraz nie żyje. Jak wszyscy w cholernej czerni.

- Chris. - Notley nie odezwał się głośno, ale było w jego głosie coś, co zabrzmiało jak pisk opon. - Tak się nie mówi do partnerów. Jesteś przemęczony, ale to cię nie usprawiedliwia. Wynoś się.

Chris spojrzał w oczy starszego partnera i zobaczył człowieka, który omal nie zastrzelił go w biurze tydzień temu. Kiwnął głową.

- Dobrze.

W ciszy patrzyli, jak wychodzi. Mike Bryant znów rozejrzał się wokół stołu. Potrząsnął głową.

- To nie jest w porządku, Jack. Owszem, wpadliśmy w bagno, ale to Makin nas tak urządził. Pieprzył wszystko, od kiedy przejął MGP, od pierwszego dnia był zbyt przejęty sobą. Sam bym go wyzwał, ale nie miało to sensu. Każdy widział, że to on mrugnąłby pierwszy.

Hamilton zamrugał.

- Przepraszam?

- Nie musisz jechać przeciw komuś, kogo znasz, żeby wiedzieć, że jesteś od niego lepszy, Phil. To prymitywne. Czasem po prostu wiesz, jaki byłby wynik, i to wystarczy. Te bzdury z zabij albo zgiń tylko ci przeszkadzają.

Partnerzy wymienili spojrzenie niczym potężny prąd. Na projektorze film z kamery zaczął się od początku. Znów rozgorzała strzelanina. Jack Notley odchrząknął.

- Mike, może dałbyś nam chwilę czasu, żebyśmy to przedyskutowali z perspektywy partnerów. Skontaktujemy się z wami w poniedziałek rano.

Bryant kiwnął głową.

- Oczywiście.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Louise Hewitt wykręciła się do Notleya.

- Słyszałeś to? Wiesz, skąd to przyszło, prawda? To szachy i bzdurna filozofia neojap, prosto od pieprzonego Chrisa Faulknera. To chodząca trucizna, Jack. To on stanowi prawdziwe zagrożenie.

- Cyfry sugerują coś innego, Louise.

- Tu *nie chodzi* o cyfry.

- Nie? - Notley uniósł brwi. - Czyżbym coś przegapił? Zechciałabyś mi powiedzieć, o co zatem chodzi w IK Shorn, jeśli nie o cyfry?

- Nie udawaj głupiego. Tu chodzi o etykę. Kulturę korporacyjną. Sposób *załatwiania* spraw. Jeśli ją sobie odpuścimy, *takie*... - Wskazała palcem na film z kamery podglądu. Postacie w maskach padały jak porzucone marionetki. Kałuże i strumienie krwi. - ...rzeczy będą się zdarzały. Załamanie struktur, anarchia na ulicach. To aksjomat. Czy ktoś z siedzących przy tym stole wie, czemu Nick Makin postąpił właśnie w taki sposób? Czemu

uznał za konieczne, może nawet wierzył, że takie złamanie etykiety Shorn zostanie zaakceptowane? Pomyśl, Jack. Pomyśl o pewnym znaczącym kliencie, tydzień temu pobitym na śmierć w sali konferencyjnej. Pomyśl o tym, jak nagrodziłeś za to Faulknera. Czy ktoś widzi tu związek?

Jack Notley na ułamek sekundy zamknął oczy. Kiedy się odezwał, w jego głosie zabrzmiało ciche ostrzeżenie.

- Nie sądzę, żebyśmy musieli o tym ponownie dyskutować, Louise.

- A ja sądzę, że powinniśmy, Jack. Dałeś Chrisowi zielone światło za zachowanie przekraczające wszelkie granice. A Makin zrozumiał lekcję, czego efektem jest ten bajzel. Po drodze mamy też Bryanta, naszego najlepszego kierowcę, który nagle zaczyna mówić jak pieprzony inspektor pokojowy. Jak byś na to nie spojrział, Jack, zdestabilizowałeś wszystko, nad czym pracujemy. A na to nie możemy sobie pozwolić.

- Zastanawiam się, czy tak by to widział Martin Page?

Hamilton i Hewitt wymienili spojrzenia. Hewitt podeszła do stołu i ostrożnie usiadła.

- Czy to rodzaj oskarżenia?

Notley wzruszył ramionami.

- Powiedzmy po prostu, że twoje pojęcie zdrajców jest bardzo selektywne, Louise. Page był młodszym partnerem. To, co z nim zrobiłaś, łamało milczące porozumienie na temat tego, jak działa tu partnerstwo.

- Nie sądzę, Jack. Pojedynek został zgłoszony.

- Tak, ale nie było stanowiska, które by go usprawiedliwiało. Przepychanki dyrektorskie na poziomie partnerskim. Akt czystej pazerności przy podziale udziałów.

- Który poparłeś, o ile pamiętam.

- Po fakcie tak. Ponieważ wtedy, Louise, to ty byłaś niebezpieczna, i podziwiałem cię za to.

Hewitt uśmiechnęła się lekko.

- Cóż, dziękuję. Ale myślę, że jest granica...

- Och, zamknij się. Nie mów mi o... - Notley machnął niecierpliwie ręką - o *destabilizacji*, jakbyśmy mieli tu jakiś wybór. Jakby było to coś, czego możemy uniknąć. Wszystko w tej firmie opiera się na niestabilności. To cholerny warunek naszej egzystencji.

Philip Hamilton odchrząknął.

- Myślę, że Louise chodzi o...

- Tak, wiedziałem, że już pora, żebyś się wtrącił, ty nędzny pochlebco. *Chryste*, zaczyna mi się od was robić niedobrze.

Notley wstał i podszedł do szczytu stołu. Dźgnął dwoma palcami kontrolkę projektora i ściana za nim nagle opustoszała. Jego głos pełen był kontrolowanej złości.

- Pomogłem ci wspiąć się na szczyt tej sterty, Louise, a teraz siedzisz na górze i w związku z tym postanowiłaś otoczyć się ludźmi, którzy nie stanowią dla ciebie zagrożenia, jak ten worek flaków, i wyrzucić drabinę, na wypadek gdyby ktoś ostrzejszy wspiął się w górę i *zdestabilizował* twoją sytuację. *Niczego* się nie nauczyłaś? Nie można pogodzić stabilizacji i dynamicznego wzrostu kapitału. To podręcznikowa prawda. *No wiecie*. Co zmieniło rynek kapitałowy w ostatnim stuleciu? Niestabilność. Konkurencja. Zniesienie kontroli. Zniesienie ograniczeń, *likwidacja systemów opieki społecznej*. Co zmieniło inwestycje zagraniczne w

ciągu ostatnich trzydziestu lat? Niestabilność. Konkurencja. Wojny lokalne. To *ten sam* wzór. A co zapewnia nam szczyt? Niestabilność. Innowacje. Łamanie zasad. Niebezpieczni ludzie. Chryste, jak myślicie, czemu w ogóle zatrudniłem Faulknera? *Potrzebujemy* tego czynnika. *Musimy* być na czele. Inaczej wszyscy zmienimy się z powrotem w tych samych tłustych, zadowolonych z siebie kretynów, którzy prawie nas zatopili ostatnim razem. Jasne, ludzie jak Faulkner są nieprzewidywalni. Jasne, ciągle zmuszają nas, byśmy spoglądali w lusterko. *Ale to właśnie sprawia, że stajemy się mocniejsi.*

Przez kilka uderzeń serca w sali konferencyjnej panowała cisza. Nikt się nie poruszył. Notley patrzył to na Hewitt, to na Hamiltona, wyzywając ich do protestu. W końcu Hewitt potrząsnęła głową.

- Może i sprawia to, że stajesz się mocniejszy, Jack - powiedziała z wyważoną beczelnością. - Ale moim zdaniem to po prostu szkodzi naszym interesom. Mamy struktury, które wymuszają niestabilność i konkurencję. Nie sądzę, żebyśmy musieli wprowadzać do równania chaos. W raporcie kwartalnym zgłoszę rekomendację zwolnienia Faulknera.

Notley kiwnął głową, prawie życzliwie.

- Dobrze, Louise. Jeśli tego chcesz. Ale zrozumiem jedno. Kokietowaliśmy chaos, od kiedy zgodziliśmy się na utworzenie Inwestycji Konfliktowych. Wszyscy. To właśnie nas napędza, to daje wyniki. I nie zamierzam się przyglądać, jak to sprzedajesz tylko dlatego, że tak ci wygodniej. Jeśli zgłosisz taką pisemną rekomendację, znajdę powód, żeby cię wyzwać. Rozumiesz? Zepchnę cię z drogi.

Tym razem nikt nie przerwał ciszy. Notley mocno przechylił głowę w bok i w ciszy wyraźnie usłyszeli trzask kości.

- To wszystko.

Kiedy wyszedł, Hewitt wstała i podeszła do okna. Hamilton wypuścił długie westchnięcie.

- Myślisz, że mówi poważnie?

- Oczywiście, że tak - odpowiedziała z irytacją Hewitt.

- Więc co zamierzasz zrobić?

- Nie wiem. - Wróciła i usiadła na skraju stołu. Spojrzała w dół na twarz Hamiltona. - Ale będę potrzebowała twojej pomocy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Po wyjściu na korytarz Mike Bryant odpytał ochronę. Powiedzieli mu, że Chris wsiadł do windy i zjechał na poziom ziemi. *Wyglądał na nieźle wkurzonego*, przyznał jeden ze strażników. Mike wezwał windę i ruszył za nim w pościg.

Zauważył Chrisa już w pół drogi przez katedralną przestrzeń holu. Hologramy i subsonika wyłączono, nie było tam też nikogo. W powstałej w ten sposób niedzielno-popołudniowej pustce przestrzeń zdawała się stalowa i nieludzka.

Mike odchrząknął i zawołał.

- Chris. Hej, Chris. Zaczekaj chwilę.
- Teraz nie jest najlepszy czas, Mike - rzucił przez ramię Chris, nie zatrzymując się.
- Dobra. - Mike pobiegł, by go dogonić. Sińce na klatce piersiowej sprawiły, że to bolało. - Masz rację, to nie jest dobry czas. Może więc pójdziemy gdzieś się napić.
- Muszę ściągnąć samochód z Hawkspur Green. A potem wprowadzić się do hotelu.
- Nie wracasz do domu?
- A jak myślisz?

Mike wyciągnął rękę, dysząc ciężko.

- Myślę, że musisz się napić tego twojego jodowanego paskudztwa z wodorostów i pogadać o tym. A tak się składa, że jestem pod ręką gotów wysłuchać twoich zwierzeń. Dobra? No chodź, uratowałem ci życie, Chris. Możesz przynajmniej postawić mi drinka. Dobra?

Chris na niego popatrzył. Na jego usta wypełził niechętny uśmiech. Mike dostrzegł go i uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Dobra. Wezmę samochód.

Znaleźli maleńki, wiekowy pub o nazwie *The Grapes*, upchnięty na Leadenhall Market od strony Lime Street, żyjący głównie z pracowników ubezpieczeń, z obsługą w niedzielę zredukowaną do jednej barmanki. Podobnie jak większość lokali w City pracował przez siedem dni w tygodniu z powodu prostego faktu, że tygodniowa praca była wartością samą w sobie. Brokerzy wiedzieli, że mogą tam zjeść i napić się niezależnie od dnia tygodnia, a to było coś warte. Nie było tu miejsca dla pięciodniowych amatorów.

Trzy - *albo cztery?* - whisky później Chris utopił swoją wściekłość i siedział przygaszony na stołku barowym, przyglądając się, jak pyłki kurzu tańczą w świetle słońca wpadającym przez okna naprzeciw baru. Z wypolerowanego drewna kontuaru emanował delikatny, wszechobecny zapach alkoholu. Laphroaig opierała się na podstawie z trzech palców taniej mieszanki, którą wypił w *Break Point*, tabletkach kodeiny i praktycznie braku jedzenia. Czuł się jak zapaćkana błotem przednia szyba.

- Słuchaj - mówił Mike. - Nie ma znaczenia, co myśli Hewitt. Załatwiłeś Makina. To się liczy. Jasne, to było nieortodoksyjne, ale w tym rzecz, prawda? To winduje twoje akcje pod sufit. Teraz nikt ci nie podskoczy. Buduje reputację kiltera.

- Reputacja kiltera. - Chris zapatrzył się na swoją szklaneczkę. Roześmiał się ponuro i potrząsnął głową. - Chcesz coś o mnie wiedzieć, Mike?

- Jasne.

- Moja *reputacja kiltera* to pieprzony przypadek.

Zobaczył, jak drugi mężczyzna mruży oczy. Pokiwał głową i wypił resztę Laphroaig. Stęknął.

- Tak jest. Jestem pieprzoną podróbą, Mike. Hewitt ma mnie na środku celownika. Zawsze miała. Wcale się nie myli. Nie pasuję do was.

Mike zmarszczył brwi, dopił wódkę i skinął na barmankę.

- Jeszcze raz to samo. O czym ty mówisz, Chris? Przynajmniej od czasu Quaina jesteś maszyną do zabijania na benzynę.

- Ach! Quain. - Chris przyglądał się, jak przybywa whisky w jego szklaneczce. - Quain, Quain, Quain. Chcesz posłuchać o Quainie?

- Już o nim słyszałem. Rozsmarowałaś go na trzydziestu metrach asfaltu. To dość definitywne zamknięcie. Przejechałaś po nim pięć cholernych razy, stary.

- Tak.

Chris siedział, przypominając sobie tamte chwile. Jaskrawe wiosenne słońce i chrzęszczące uderzenie jego ledwie legalnego, dziesięcioletniego volvo injection o gładki zielony bok audi Quaina. Światło tak mocno odbijało się od blachy, że musiał mrużyć oczy.

I Quain, który wirował, wpadł na barierkę, wbity w pękniętą sekcję wsporników. Co Chris próbował osiągnąć przez ostatnie etapy pojedynku, dobrze po czasie, kiedy już praktycznie wygrał. Quain gapił się z szeroko otwartymi ustami, jak volvo się cofa, szykując się do taranowania. Gapił się, gdy Chris wyłączył silnik i wysiadł.

Poczuł, jak twarz wykrzywia mu się na tamto wspomnienie.

Zdawało mu się, że odległość między samochodami pokonał ktoś inny. W uszach dudnił mu szalejący puls. Wtedy nie miał nemeksa. Podszedł aż do bocznego okna i pokazał Quainowi trzymany w ręce przedmiot. Napelniona butelka, nasączona szmata. Smród benzyny, gdy pomachał mu nią przed oczami. Trzask zapalniczki i błądy płomień w słonecznym powietrzu. Quain zaczął bełkotać.

Wysiadaj, rozkazał Chris, zaskakując samego siebie. Planował spalić Quaina żywcem. Chciał powiedzieć mu, dlaczego to robi, a potem rzucić butelkę z dostateczną siłą, by rozbić ją na podłodze u jego stóp. Planował patrzeć, jak Quain zmienia się we wrzeszczącą, wijącą się w płomieniach rzecz, słuchać skomlenia i...

Wysiadaj i uciekaj, gnido.

I Quain to zrobił.

Może przerażony tym, co zobaczył w oczach Chrisa, zahipnotyzowany niewyraźnym zarysem bladego, błękitnego ognia. Chris stał tam i przyglądał się jego ucieczce, usiłując przywołać rozsądek. Coś się tam działo, ale nie mógł dojść, co takiego.

I tak wrzucił butelkę do audi, kierowany chyba frustracją. Rozbiła się na desce rozdzielczej i wybuchnęła płomieniami. Widok ognia coś w nim z powrotem przełączył. Pobiegł do volvo, włączył silnik i wdepnął gaz do dechy. Zatańczył tyłem, wykręcając kierownicę, i skupił wzrok na tęgiej sylwetce biegnącej drogą. Quain musiał usłyszeć silnik i wiedzieć, co to oznacza. Kiedy volvo go doganiało, skierował się na środkowy pas. Chris uświadomił sobie później, że nie miało to żadnego znaczenia. Żeby go dorwać, przejechałby wprost przez barierkę.

Zredukował bieg i silnik zawył w proteście. Quain obejrzał się przez ramię tuż przed

tym, jak volvo uderzyło. Chris zobaczył jego oczy. A potem zniknął, aerodynamiczne ciało walące w zderzak, toczące się po masce, szybie, dachu. Błysk czerni spadający przez tylne lustro, gdy Chris zatrzymał wóz z piskiem hamulców.

To nie wystarczyło.

Nigdy nie wiedział, czy Quain był martwy, gdy cofnął na niego po raz pierwszy. Ale zobaczył, co wyłoniło się spod przednich kół, gdy odjechał o pięć metrów od ciała.

Wciąż nie miał dość.

Zrobił to jeszcze raz. I jeszcze.

Pięć razy, zanim uświadomił sobie, że nigdy nie będzie miał dość.

- On zabił mojego ojca - powiedział.

Mike Bryant zapatrzył się w niego przez zawieszony w powietrzu kurz. Na jego twarzy pojawił się wyraz, jakiego Chris nigdy jeszcze tam nie widział. Zagubienie, konsternacja.

- Twojego ojca?

Chris westchnął, szykując się do długich i zmuśnych wyjaśnień.

- Nie bezpośrednio. Quain nigdy osobiście nie spotkał mojego ojca. Ojciec pracował dla agencji konsultingu rekonstrukcyjnego, IES, International Economic Solutions, ale jeśli powie się to razem, brzmi jak *Yes*. Fajne, nie? Matka mówiła, że często...

Zamknął usta. Potrząsnął głową. Odchrząknął.

- Och, modelowali systemy administracyjne, infrastrukturę, takie rzeczy. Na rynku środkowoafrykańskim i Bliskim Wschodzie. Dość mali, ale głodni i ostrzy na drogach, przynajmniej jak na tamte czasy.

- Wystarczyło, że dojechali jako pierwsi, co? - zapytał Mike.

- Tak mówią. - Chris zapatrzył się na promień przykurzonego światła nad barem. Na błyszczącym drewnie widać było delikatne ślady zachodzących na siebie okrągłych śladów po szklankach. - W dwa tysiące osiemnastym Edward Quain był gorącym młodym pistoletem w Rynkach Rozwijających się Hammett McColl. Nie mógł mieć więcej niż trochę ponad dwadzieścia lat. I przygotował najwyższej klasy wtargnięcie Hammett McColl do Etiopii. Dostał poparcie dla drastycznej zmiany polityki. Nic dramatycznego w standardach IK, pamiętaj, że to było ponad trzydzieści lat temu. Ale wystarczyło, żeby obalić rząd. Pracę straciło mnóstwo wysokiej rangi urzędników. I nowa ekipa Quaina publicznie ogłosiła zerwanie sporej liczby zewnętrznych kontraktów. Wszystko dosłownie z dnia na dzień. IES nie potrafił tego wytrzymać. Przegrali, bankrutując wraz z tuzinem innych i około czterdziestu procent dolnego sektora komercyjnego w Etiopii. Mówią, że to wywołało wojnę domową.

- Ach tak, pamiętam. - Mike strzelił palcami. - Protokół Ayele, tak? Czytałem o tym w Reedzie i Masonie.

- Zgadza się. Quain dostał za to olbrzymią premię, Hammett McColl zapewnił sobie dominację w regionie Morza Czerwonego, a mój ojciec obudził się z portfelem pełnym bezwartościowego plastiku, o czym nie wiedział. Tego samego dnia został zastrzelony, kiedy kłócił się z ochroniarzem w supermarkecie. Jego karta nie została przyjęta w kasie, nie potraktowali go poważnie i sytuacja... - Chris z dziwną fascynacją przyglądał się, jak bieleją kostki jego palców obejmujących szklaneczkę whisky, jakby należały do kogoś innego - ...Wymknęła się spod kontroli. Mama mówi... mówiła... że gdyby był wtedy lepiej ubrany,

nigdy by do tego nie doszło. Staruszek najwyraźniej nie znosił garniaków. Poza biurem ubierał się niechlujnie. Może uznali, że ukradł kartę. Próbowali go wyrzucić, zrobiło się ostro. Bum. Jakiś podstarzały palant z protezą fiuta odstrzelił mu cholerną głowę.

Spojrzał na szklaneczkę whisky. Puścił ją i przyjrzał się nagle uwolnionej dłoni.

- Straciliśmy wszystko. Dom, oba samochody. Polisy zdrowotne, oszczędności. Opcje na akcje. Moja matka przeprowadziła się do wschodniej strefy. Przyjaciele ojca pomogli, ale większość z nich też szła w dół. Wszyscy pracowali w IES albo podobnych firmach. - Chris znów wziął w dłoń drinka, odstawił go. - A wtedy już czuło się nadchodzące domino, jeśli tylko zwracało się na to uwagę. Wciąż była do niego jeszcze dekada, ale ludzie już się bali, i kurczowo trzymali się tego, co mieli. A Quain dopilnował, żeby nie mieli nic.

- Pamiętasz to wszystko?

- Nie, właściwie nie. Kiedy zastrzelili ojca, miałem dwa lata. Byłem tam, ale... - Chris zadygotał, unikając wspomnień snu. - Nie pamiętam tego. Pamiętam dorastanie w strefach, swój akcent, którego wszyscy nienawidzili. Luźne poczucie, że kiedyś było lepiej. *Zanim*. Ale sporo zrozumiałem, słuchając matki.

- Ale... - Mike bezradnie machnął dłonią. - Jak ty, do cholery... No wiesz, Quain nie widział, że idziesz po niego w dniu, kiedy przyjeśli cię do HM? Zresztą jak w ogóle do nich trafiłeś?

- Zmieniłem nazwisko. Ojciec nie nazywał się Faulkner, to nazwisko panięskie matki. Zmarła na kolczastą gorączkę, gdy miałem siedemnaście lat. Przyjąłem jej nazwisko, sprzedałem wszystko, co mieliśmy, i wymyśliłem sobie nową tożsamość. Zapłaciłem infoszczurowi z gangu w Plaistow, żeby poprawił moje akta. Pewnie zrobił to marnie, biorąc pod uwagę, ile mu dałem, ale na tyle było mnie stać. Wątpię, żeby wytrzymało to uważną kontrolę, ale w strefach nikogo to nie obchodzi. Jesteś po prostu tanią bezimienną siłą roboczą. A kiedy trafiłem do Hammett McColl, miałem już za sobą pięć lat nowej tożsamości. Zarobiłem sporo forsy dla Mobile i LS Euro, potrafiłem jeździć. A tylko tym interesowali się łowcy głów z HM.

- Nieostrożne. To byli ich ludzie?

- Nie, kontraktowani. Jakaś tania, dwupokojowa firma z Ludgate Circus. Przetarg rozstrzygnięto na podstawie kosztów, bez pojedynku. Wygrała najtańsza oferta.

Mike potrząsnął głową.

- Pieprzeni amatorzy.

- Tak, ale wiesz co? To i tak nie miałyby znaczenia. Quain nie rozpoznałby nazwiska mojego ojca. Jakiś gość, którego zrujnował dwadzieścia lat temu, jeden z setek, o których pewnie nie wiedział nawet wtedy, kiedy do tego doszło, a co dopiero dwie dekady później. Jakie były szanse?

- Tak, racja. - Mike wydał policzki. - Jezu, co za historia. Carla wie o tym wszystkim?

- Nie. Wie, że dorastałem w strefach, że moi rodzice nie żyją, ale nie rozmawiamy o tym. Poznałem ją już po Quainie. Wszystko zdążyłem już pogrzebać. Kiedyś pytała, kiedy jeszcze zaczynaliśmy się spotykać. Myślę, że to moje pochodzenie ją kręciło. Powiedziałem jej, że nie chcę się oglądać za siebie. - Zapatrzył się w odległe korytarze wspomnień. - Wściekałem się na nią za każdym razem, kiedy pytała. Po jakimś czasie przestała.

- Tak, prawda. Nigdy o tym nie mówisz, co?

Chris wzruszył ramionami.

- Ani ty. Żaden z nas. Jesteśmy zbyt zajęci urządzaniem wspaniałego *teraz*, żeby mówić o przeszłości. Patrząc, jak żyjemy, można by pomyśleć, że nikt z nas nie ma rodziców.

- Hej, ja ich mam. Odwiedzam ich dość często.

- Miło z twojej strony.

Mike znów potrząsnął głową, tym razem z roztargnieniem.

- Ale i tak trudno mi w to uwierzyć, stary. Jak w pieprzonym filmie.

Chris dokończył drinka.

- No cóż. Niektórzy z nas mają to, czego trzeba, inni nie. Pamiętaj.

- Cholera, Chris. Nie mówiłem o tobie. Nie twierdzę, że wszyscy w strefach zasługują na to, żeby w nich siedzieć. Gdybym wiedział o twoich rodzicach i tym wszystkim, nigdy nie powiedziałbym...

- Nie? Musiałeś wiedzieć, skąd pochodzę, Mike. Sam powiedziałaś, tego pierwszego dnia, gdy spotkaliśmy się w kiblu, że Hewitt przeżuwała informacje, zanim przybyłem. A nie jest tajemnicą, gdzie dorastałem. Mam to w życiorysie.

- Co? - Mike zmrużył oczy. - Cóż, tak, ale zakładałem... Nie wiem, myślałem, że jesteś przypadkowym owocem związku jakiegoś puszczalskiego dyrektora i barmanki, tancerki czy kogoś takiego.

- Dzięki.

- Cholera, nie chciałem być niegrzeczny, ale naprawdę tak myślałem. Wiesz, zdarza się. Widziałem takie rzeczy. Sam parę razy byłem tego blisko. Po prostu pomyślałem o czymś takim, skoro udało ci się dostać do Ross Mobile i przejść do IS.

- Nie. - Chris uśmiechnął się drapieźnie. - Do Rossa dostałem się dzięki staremu przyjacielowi ojca. Całą resztę wywalczyłem sobie sam. Nie przejmuj się tym, Mike. Miałeś rację. Niektórzy z nas mają to, czego trzeba, a tym czymś jest nienawiść. Miałem jej dość, by pomalować wieżowiec. Dorastałem z nienawiścią. Była jak paliwo. Jak jedzenie. Nie trzeba więcej.

- Słuchaj...

- A potem któregoś ranka obudziłem się po zabiciu Edwarda Quaina, a świat wokół mnie trwał. Miałem pracę, życie, a przynajmniej styl życia. Hammett McColl dał mi awans. Miałem pieniądze, mnóstwo pieniędzy, pierwszy raz w życiu. - Wywrócił pustą szklaneczkę. Spojrzał na nią i roześmiał się. - Uznałem, że niewdzięcznością byłoby przestać żyć.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. W końcu Mike poruszył się niepewnie i odchrząknął.

- Chris. - Zawahał się. - Och, chciałbyś dzisiaj u mnie przenocować?

- Nie, dzięki. Muszę trochę pobyć sam, Mike. Muszę sobie przemyśleć parę rzeczy. Wezmę hotel. Ale dzięki. I... - Machnął ręką. - Dzięki za, no wiesz, uratowanie mi życia.

Bryant uśmiechnął się szeroko.

- Cholera, byłem ci dłużny za Mitsue Jones. Teraz jesteśmy kwita.

* * *

Nie potrafił wysiedzieć w hotelu.

Nalał sobie whisky - *kolejną pieprzoną whisky* - i patrzył na telefon, jakby był jadowity. Komórkę wciąż miał wyłączoną. Nikt oprócz Mike'a nie wiedział, gdzie jest. Musiałby

podnieść słuchawkę i wystukać numer.

Zamiast tego wziął pilota do telewizora i poskakał przez kanały. Niekończąca się bezmózga papka w jaskrawych kolorach i gorący raport wprost z Kambodży. Rozpoznał montaż.

Wyłączył barwne okienko telewizora i wyszedł na balkon. W twarz dmuchnęło mu ciepłe nocne powietrze. Siedem pięter niżej rozciągała się dobrze oświetlona ulica Kensington. Szła nią jakaś para, ramię w ramię. Dotarł do niego śmiech. W przeciwną stronę przejechała wolno taksówka, szukając klientów.

Wrócił do pokoju. Położył się na łóżku i zapatrzył na idealnie gładki sufit. Jego ciało wręcz drżało z napięcia.

Zaczął chodzić po pokoju i obgryzać paznokcie.

Włączył laptopa i spróbował uporządkować bazę danych.

Rzucił szklaneczkę z whisky przez pokój.

Zebrał portfel, nemeksa, marynarkę i wyszedł.

* * *

Czekała na niego.

Musiła usłyszeć taksówkę na ulicy. Drzwi otworzyły się, gdy nacisnął dzwonek. Stała w ubraniu, które miała na sobie w *Break Point*, czarnych legginsach i luźnym szarym topie, z twarzą bez makijażu i włosami ściągniętymi do tyłu. Stali, patrząc na siebie, o wyciągnięcie ręki.

- Muszę z tobą porozmawiać - zaczął, ale potrząsnęła głową.

Sięgnęła ku niemu przez dzielącą ich przestrzeń. Poczul się, jakby spadał. Był dość blisko, by poczuć w jej oddechu świeżo pitą kawę i mieszankę kobiecych zapachów z dodatkiem kwiatu pomarańczy. Pocałunek był zderzeniem otwartych ust, które wycisnęło mu z oczu łzy, wspólnym szturmem języków, zębów zaciskających się na wargach i dłoni na ubraniach. Śmiała się w podnieceniu wprost w jego otwarte usta, gdy przylgnęli do siebie, a jego dłonie zdawały się pełne jej ciała, niezdolne objąć ją z dostateczną siłą. Kopniakiem zamknął drzwi i odnalazł pierś pod ubraniem, bez stanika i chirurgicznie doskonałą - *przed oczami przesunął mu się segment pornososa* - elastyczna i sprężysta, pas brzucha pełen napiętych mięśni, twarde uda i pośladki nad nimi. Nie potrafił się ograniczyć do żadnego z nich.

Wcisnęła nogę między jego nogi i pchnęła ją w górę, przyciskając do jego członka. Już miał erekcję. Ugryzła go w szyję. Dłonie pociągnęły go korytarzem, za kuchnię i łazienkę, puszczając w niechlujnej sypialni. Zagracona szafka nocna, sterta książek i szklanka z wodą. Bładoniebieski koc na niepościelonym łóżku. Wchłonął to i ta nowa intymność coś w nim poruszyła, otworzyła wewnętrzne sanktuarium, zbudowane na wcześniejszej znajomości reszty domu. Liz odepchnęła go nagłym ruchem, jakby parzył, opadła na łóżko i dwoma ruchami ściągnęła spodnie. Palce dotknęły wzgórka pod białymi figami z bawełny, pocierając rowek. Uśmiechnęła się do niego. Wolną ręką sięgnęła do szafki przy łóżku, otworzyła szufladę i sięgnęła do środka.

- Nie, czekaj.

Zerwał marynarkę i koszulę, opadł przy łóżku na kolana i zanurzył twarz w białej bawełnie, wciągając jej skoncentrowany zapach. Jęknęła i położyła się na rozrzuconym kocu.

Rozgrzane ciało między jej udami było wilgotne. Wsunął dłonie we wnętrze jej ud, ściągnął figi i zanurzył w niej język. Ostry spazm, a jej dłonie chwyciły jego głowę. Uniosła nogi i złożyła je za jego plecami jak skrzydła. Dyszała.

Kiedy doszła, przycisnęła się mocno do niego z głębokim jękiem, a potem po chwili dygotu znieruchomiła. Ramionami uwolnił się z jej nóg i wyprostował. W otwartej przez nią szufladzie znalazł puszkę Durexu. Przetoczył ją po jej brzuchu, wyzwalając dreszcz zimnym dotykiem, a potem wcisnął między jej piersi i zaczął przesuwając w niewiarygodnym dołku powstałym dzięki chirurgicznej interwencji. Uniosła się na łokciach.

- A teraz czego chcesz? - zapytała drwiąco.

- Chcę cię pieprzyć, Liz.

Wydawało się, że przez chwilę rozważa jego słowa z lekko przechyloną głową. Potem usiadła, rozpuściła włosy i zajęła się rozpinaniem klamry jego paska. Uwolniła z tkaniny wezbraną sztywność jego członka, traktując go z lubieżną troską i przesuwając po nim ustami. Potem objęła go u podstawy kciukiem i palcem wskazującym, podniosła puszkę Durexu i opryskała go równomiernie od końca do końca.

Dużo czasu upłynęło, od kiedy musiał tego używać, i nagłe, zimne zaciśnięcie tworzącej się błony wywołało szok. Jęknął, a Liz Linshaw, słysząc to, uśmiechnęła się.

- To tylko na początek - powiedziała gardłowo i pokazała mu puszkę. - Mieszanka z dodatkami, drogi towar. Poczekaj, aż zaskoczą wzmacniacze kontaktowe. Nie wytrwasz długo.

Sięgnął po nią, a ona opadła z powrotem na łóżko, otwierając się dla niego. Zatopił się w nią do końca z jękiem, objął jedną z piersi rękami i zaczął pieścić. Przysałał się do sutka, aż ten dotknął jego podniebienia.

Miała rację. Nie wytrzymał długo.

* * *

- Czujesz moje serce? - zapytała go później.

Kiwnął sennie głową przy jej piersi.

- Wciąż wali jak cholerny bęben, Chris. To od myślenia o tym, co ze mną zrobiłeś. Chcę, żebyś zrobił to jeszcze raz.

- Co, teraz?

Roześmiała się.

- Cóż, najlepiej tak. Ale mogę poczekać. - Wygięła szyję, by spojrzeć mu w twarz. - Zostaniesz na noc?

- Jeśli mnie poprosisz.

- Zostań na noc.

- Nie, muszę iść.

- Ty draniu. - Szturchnęła go w bok. - To nie jest śmieszne. Chcę, żebyś został, Chris. Chcę być blisko ciebie.

- Jesteś blisko. Spójrz na mnie. - Ale pod warstwą humoru poczuł jakieś poruszenie. Nie z powodu tego, czego chciała. Na to, czego on chciał od niej.

- A więc zrobimy to jeszcze raz?

Pomyślał o Carli. Znów odepchnął tę myśl.

- Tak, zrobimy. Mieszkam teraz w hotelu, Liz. Żadnych komplikacji.

A w głębi jego głowy coś usłyszało te słowa, uniosło głowę do nieba i roześmiało się jak hiena.

TECZKA #5
AUDYT KOŃCOWY

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

W ciągu następnych kilku tygodni zdarzały się chwile, gdy Chris musiał sobie przypominać, że kieruje własnym życiem.

Po części wiązało się to z hotelem. Było coś nierealnego w życiu w szklanym pudełku wysokiej klasy usług wynajętego na dłużej pokoju, coś, co przypominało noszenie cienkich rękawiczek. Prace domowe, do których przywykł, wykonywały się same, praktycznie w niewidoczny dla niego sposób. Odkładał brudne rzeczy, które wracały nieskazitelne, jakby oczyszczone przez elfy. Dzięki podobnej magii w łazience codziennie pojawiały się świeże ręczniki, małe buteleczki mydła i szamponu. Zamawiał jedzenie, a ono docierało pod jego drzwi z kuchni, której nigdy nie widział, albo żywił się w jednej z trzech restauracji hotelowych. W obu przypadkach nie musiał podejmować nawet tego drobnego wysiłku, by ubrać się i wyjść na zewnątrz.

W Shorn pracował z nieco otepiałą, mechaniczną kompetencją. Pracy miał olbrzymie stopy, bo nagle odejście Nicka Makina obciążało wszystkich. Przedzierał się przez nią jak ktoś wycinający sobie maczetą drogę przez dżunglę. Skupić się, *zamacz*, chwycić, oczyścić i krok do przodu, skupić się, *zamacz*. Czasami słabł, ale przyzwyczajenie trzymało go na nogach.

Rany na boku po śrucie zagoiły się, przechodząc od bólu, przez niewygodę, do luźnego wspomnienia. Sny o Carli uparcie odmawiały podążenia tą samą drogą.

Tajne raporty z MGP via Lopez. Barranco dostał pierwszą dawkę dowodu wspaniałomyślności Shorn - trzysta kałasznikowów z amunicją, trzydzieści wyrzutni przeciwlotniczych i tysiąc granatów King, wszystko wyładowane na plażę Pacyfiku pewnej tropikalnej nocy, dzięki uprzejmości sprywatyzowanej rosyjskiej niegdyś łodzi podwodnej klasy Epsilon i jej zdemobilizowanej załodze. Najlepsi międzynarodowi kurierzy do tajnej masówki, jakich można było kupić.

Po drugiej stronie planety Nakamura rozgrywała Kambodżę tak, jak powiedział mu Vasvik. Planowanie przewrotu wojskowego weszło w fazę przygotowań. Chris miał do dyspozycji odpowiednich lokalnych agentów - zebrał ich prawie w roztargnieniu - na wiele dni przed tym, jak dotarły raporty wywiadu przemysłowego. Udał, że studiuje doniesienia, telefonicznie przebił się przez przygotowane wcześniej kody autoryzacyjne do Langley i godzinę później siedział, czekając na wyniki.

W Phnom Penh doszło do serii eksplozji. Pułkownik z rodziną zginął w wybuchu bomby w samochodzie. Generał w restauracji. Dowódca sił lotniczych w burdelu, trafiony trzema pociskami z nietypową precyzją, która wzbudziła u Chrisa podejrzenia, że lokal miał z Langley jakieś porozumienie o ochronie. Jeszcze dwóch, jeden seria z przejeżdżającego samochodu, drugi w wybuchu. Pozostali zrozumieli wiadomość. Przewrót padł, zanim nabrał rozpędu, a Nakamura się wycofała. Z góry dotarła do Chrisa wiadomość, że Notley jest pod wrażeniem.

W tym samym czasie przeprowadzono śledztwo w sprawie tajemniczego zniknięcia Nicholasa Makina. Nikt poza obecnymi na niedzielnym zebraniu Shorn nie znał jego losu. Ciało zostało wywiezione helikopterem z Crutched Friars wraz z pozostałymi, wciąż w

masce, jeszcze ciepłe. Żadnych zdjęć twarzy ani śladów DNA - przed odlotem wezwana przez Mike'a grupa szybkiego reagowania splukala zakrwawiony asfalt środkami chemicznymi, które uniemożliwiały jakąkolwiek analizę tkanek. Strzelanina została uznana za próbę wtargnięcia nazbyt ambitnego gangu, która została sprawiedliwie ukarana. Odpowiednio stymulowane media zaczęły snuć przypuszczenia, że Makin padł wcześniej ofiarą tego samego gangu, zanim skończyło im się szczęście. Chris i Mike wygłosili przygotowane oświadczenia i przyglądali się wszystkim z boku.

Media odwaliły swoją robotę i to lepiej, niż ktokolwiek się spodziewał. Szczegóły rozplynęły się błyskawicznie w drastycznych zbliżeniach w pełnym kolorze, odtwarzanych z kamer podglądu na Crutched Friars. Westernowa poetyka pojedynków rewolwerowych trafiła do wszystkich. *Korporacyjni kierowcy i masakra w stylu Eastwooda! W samo południe z gangiem ze stref! Policja chwali bohaterów Shorn!* Zdjęcia obiegały cały glob, a telewizja i magazyny dla mężczyzn oszalały. Chris i Mike dostali pamiątkowe remingtony, wręczone im przez szefa korporacyjnej policji w białym świetle reflektorów i lamp błyskowych. Wszyscy uśmiechali się, błyskając nieskazitelnymi zębami. Zwycięstwo nad Mitsue Jones i jej ekipą wydawało się przy tym drobiazgiem. Któregoś ranka po przyjściu do pracy Mike zastał na sekretarce wiadomość od agenta z Hollywood. Jak powiedział, studia ustawiają się w kolejce. Opcje, oferty, pieniądze, od których zamrugała nawet Louise Hewitt. Mówiło się o książce. Grze. Figurkach.

Niczego nie podpisujcie, powiedział Notley z charakterystyczną dobroduszną tolerancją. *Jeszcze nie.*

Korporacyjna policja ruszyła do stref, szukając znajomych i krewnych czterech mężczyzn, którzy zginęli z Makinem. Wywalali drzwi i rozbijali głowy, straszili i przekupywali, upewniając się, że nikt nie wie nic, co mogłoby zaszkodzić oficjalnej wersji. Dokonano aresztowań. Media stanęły na tylnych łapkach i przyklasnęły. *Shorn przewodzi rozbijaniu gangów! Prawo i porządek priorytetem dla społeczności korporacyjnej! Narkotykowe śmieci zostaną powstrzymane, mówi partner Shorn! Dyrektorzy obiecują bezpieczniejsze ulice dla naszych dzieci!*

Po dziesięciu dniach odeszły w niebyt pierwotne szczegóły wydarzenia, w którym zginął Nick Makin. Nikt nie pamiętał nic poza strzeleckimi popisami Chrisa Faulknera i Mike'a Bryanta, wychodzących zwycięsko z pojedynku z pięcioma zamaskowanymi, tchórzliwymi handlarzami prochów. Rzeczywistość zagrzebano pod reklamą.

Chris udzielał wywiadów, patrzył w kamery. Oganiał się od nawały telefonów ze świata fanów kierowców i Londyńskiej Izby Handlowej. Prośby o przemówienia na zebraniach, zużyte części saaba i oferty dziwacznych usług seksualnych - wszystko to zlewało się w jedną bezkształtną masę. W terminalu znów zbierały się stosy wiadomości, od tych samych kobiet o drapieżnym wyglądzie i wschodnioeuropejskich imionach, oraz ze stron fanowskich w rodzaju *Road Rash* i *Asphalt eXtreme*. Czytał opisy filmów i raporty IK z oszołomieniem i obawą że niedługo nie da rady ich od siebie odróżnić. Trzymał się oficjalnej linii Shorn i przez telefon wyjaśniał politykę. Zajmował się Kambodżą i MGP. Paraną. Assamem. Kontami Makina w Gwatemali, Kaszmirze i Jemenie. I resztą.

Zabierał remingtona na dół, do strzelnicy, i wyładowywał część stresu na holocelach. Zniszczenia siane przez chmury śrutu sprawiały mu satysfakcję, której nie dorównywał nawet

nemex. Polubił broń tak, jak nigdy nie pozwolił sobie z pistoletem. Używał jej jak narkotyku.

Wieczorami, w anonimowym odosobnieniu hotelu, spotykał się z Liz Linshaw, która działała na niego jak ostre przeładowanie zmysłów. Rozciągnięta elegancko na łóżku, śliska od mydła pod prysznicem, przyparta do ściany pokoju, z nogami owiniętymi wokół niego i zeszywniała od orgazmu, mokra od potu i ze szczęśliwym uśmiechem zza włosów.

Z niej też korzystał jak z narkotyku. Jak ze zmaterializowanej wersji rozrywkowego kanału porno, do którego dostęp oferował hotel. Kiedy jej tam nie było - mniej więcej co trzeciej nocy, *po prostu żeby nie przesadzić*, Chris - masturbował się, myśląc o niej. Pomagała mu zasnąć, pomagała mu unikać nazbyt świadomych introspekcji, gdy zmęczony wracał każdego wieczora do pokoju i zastanawiał się, czy naprawdę uda się tak przeżyć całe życie.

* * *

W końcu Carla przyjechała do hotelu.

Najpierw zadzwoniła. Kilka razy. Zablokował jej dostęp do komórki i telefonu w pracy, ale jakoś wydobyła od Mike'a numer do hotelu. Kiedy zadzwoniła pierwszy raz, wskoczył w to na głowę. Wisiał przy słuchawce, nieważki, udzielając jednosylabowych odpowiedzi. Po chwili się rozplakała.

Rozłączył się.

Zadzwonił na centralę i kazał im zablokować połączenia z tego numeru oraz zapowiadać wszystkie połączenia przychodzące. Potem, wściekły, zadzwonił do Mike'a. Uzyskał przeprosiny, mniej więcej, ale wyraźnie dotarło do niego, co naprawdę myślał drugi mężczyzna.

- Tak, wiem, Chris. Naprawdę przepraszam. Wydzwaniła do mnie od wielu dni, po prostu nie mogłem jej już zbywać. Wiesz, wkurzyła się. Naprawdę się wkurzyła.

- Ja też jestem cholernie wkurzony, Mike. I mógłbyś się tu wykazać solidarnością. Przecież ja nie opowiadam Suki historii za *twoimi* plecami, prawda?

- Musisz z nią pogadać, stary.

- To twoje zdanie, Mike, i masz do niego prawo. Ale nie podejmuj za mnie cholernych decyzji małżeńskich. Zrozumiałeś?

Na drugim końcu zapadła długa cisza.

- Zrozumiałem - powiedział w końcu Mike.

- Dobrze. - Chris odchrząknął i trochę złagodził głos. - W takim razie do zobaczenia jutro o ósmej. Raport w sprawie Kambodży.

- Tak.

- Dobranoc.

- Tak, dobranoc, Chris. - W głosie Mike'a brzmiało coś, co nie spodobało się Chrisowi, ale wciąż był zbyt wściekły, żeby się tym przejąć.

Z łazienki wyłoniła się naga Liz, energicznie wycierając włosy.

- Kto to był?

Machnął ręką.

- Ach, Mike. Praca.

- Tak? Wyglądasz na nieźle wkurzonego.

- Kambodża.

- Coś, o czym powinnam wiedzieć?

Zmusił się do uśmiechu.

- Pewnie sporo rzeczy, które *chciałabyś* wiedzieć. Ale porozmawiajmy o Marsie.

Rzuciła w niego ręcznikiem.

- Wyciągnę to z ciebie - obiecała, podchodząc.

Następnego ranka w drodze do pracy przypomniał sobie ton Mike'a i zaczął się zastanawiać, czy przyjaciel będzie próbował wrócić do tematu po zebraniu w sprawie Kambodży. Powtórzył sobie w głowie gniewne repliki, gdy taksówka wykręciła na rogu Hyde Parku.

Nie miał szansy z nich skorzystać. Tego dnia postanowiono zadzwonić z Hollywood, więc Mike chciał rozmawiać tylko o związanych z tym niesamowitych cyfrach i możliwości, że zostaną unieśmiertelnieni na ekranie przez Tony'ego Carpentera czy Eduardo Rojasa.

Carla zadzwoniła jeszcze kilka razy, a potem nagle stanęła przy recepcji, pytając o niego. Na szczęście tego wieczora Liz się nie pojawiła. Pomyślał przez chwilę okrutnie, że mógłby kazać recepcjoniście odesłać Carłę, a potem zauważył kątem oka swoje odbicie w lustrze i skrzywił się. Przebrał się w świeże ubranie, założył buty i zszedł do niej na dół.

Siedziała na jednej z sof w holu, nieskazitelnie elegancka w wytartych jeansach, które kupili razem, ciężkich butach i zgrabnej skórzanej kurtce. Kiedy go zobaczyła, wstała i wyszła mu na spotkanie, próbując się uśmiechać.

- Proszę. A więc dostałam audiencję u gwiazdy dnia. Dobrze się czujesz, znów będąc sławny?

- Czego chcesz?

- Czy możemy pójść do twojego pokoju?

- Nie.

Rozejrzała się uważnie po cichym, dobrze utrzymanym holu. W jej głosie prawie nie słychać było bólu.

- Masz tam kogoś?

- Nie bądź wredna. Nie, nie mam tam nikogo. Jezu, Carla, tu nie chodzi o kogoś innego.

To ty, do cholery, mnie zostawiłaś.

- A więc mam stać tutaj, kiedy będziesz na mnie krzyczał?

Przełknął i ściszył głos.

- Tu zaraz jest bar. Możemy tam usiąść.

Wzruszyła ramionami, ale była to sztuczna obojętność. Usiadła w rogu baru i popatrzyła na niego oczami błyszczącymi od wezbranych łez. Wiedział, że niedawno płakała. Potrafił to rozpoznać. Na skraju gniewu poczuł delikatne, bolesne ciepło. Zmiażdżył je. Pojawiła się kelnerka w mundurku, z wyczekującym uśmiechem. Zamówił dla siebie Laphroaig, zapytał Carłę, czy sobie czegoś życzy, i przyglądał się, jak wbija się w nią formalność jego tonu. Potrząsnęła głową.

- Nie przysłałam tu pić, Chris.

- Dobrze. - Kiwnął głową kelnerce, która odeszła do baru. - A więc po co przysłałaś?

- Żeby przeprosić.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę.

- Więc słucham.

Zdołała się uśmiechnąć. Potrząsnęła głową.

- Ty draniu. Zmieniłeś się w prawdziwego drania, Chris. Wiesz o tym?
- Zostawiłaś mnie na środku pieprzonej strefy, Carla. O drugiej w nocy. Należą mi się przeprosiny.

- Nazwałaś mnie dziwką.

- A ty nazwałaś mnie... - Machnął bezradnie ręką nie pamiętając, jak to się stało, że stawka zaszła tak wysoko. - Powiedziałaś...

- Powiedziałam, że już cię nie poznaję, Chris. To nie była obelga, to prawda. Już cię nie poznaję.

Wzruszył ramionami. Zignorował maleńką kroplę kwasu w piersiach.

- Więc czemu tu przyszedłeś? Jestem spisany na straty, nie do odzyskania. Śmieci poprzetargowe. Czemu marnujesz czas?

- Powiedziałam ci, po co przyszedłam.

- Tak, żeby przeprosić. Świetnie ci to idzie.

Przyniesiono Laphroaig. Złożył podpis na rachunku, napił się i odstawił szklaneczkę na stole między nimi. Z powrotem spojrzał na Carlę.

- No?

- Nie przyszedłam cię przeprosić za to, że zostawiłam cię w strefie. - Otworzył usta, ale machnęła ostro ręką, żeby go uciszyć. - Nie, posłuchaj mnie, Chris. Zrobiłabym to znowu, gdybyś jeszcze raz się tak do mnie odezwał. Zaslugiwałeś na to.

Wbiła wzrok gdzieś nad barem, zbierając się na odwagę, żeby powiedzieć to, co zamierzała. Odruchowo sięgnęła przez stół do szklaneczki, zauważyła intymność tego gestu i zatrzymała się sztywno w pół drogi. Zamrugowała kilka razy.

- Nie za to chciałam przeprosić. Muszę cię przeprosić, bo powinnam była odejść od ciebie już dawno temu. Spędziłam ostatni rok, dwa lata, nie wiem, może nawet dłużej, próbując zmienić cię z powrotem w mężczyznę, jakim byłeś, kiedy się poznaliśmy. - Uśmiechnęła się bez przekonania. - Ale ty nie chcesz już nim być, Chris. Już nim nie jesteś. Znalazłeś coś mocniejszego i szybszego, i to ci się bardziej podoba.

- To bzdury, Carla.

- Doprawdy?

Cisza. Spod jej lewej powieki wyrwała się łza. Udał, że jej nie widzi, i zamiast tego sięgnął po whisky. Znalazła w kurtce chusteczkę.

- Zostawiam cię, Chris. Pomyślałam, że może... Ale od początku miałam rację. To nie ma sensu. - Wskazała na hotel wokół nich. - Teraz jesteś szczęśliwszy. Żyjesz dzięki obsłudze hotelowej, odcinając się od reszty świata. To już nie jest tylko praca, ta pieprzona wieża, z której zdalnie kierujesz wojnami. Dla ciebie to teraz cały świat. Siedem dni w tygodniu, dwadzieścia cztery godziny na dobę, odcięty od rzeczywistości. Gdybym dzisiaj nie przyszedła, jak długo jeszcze byś tu siedział? Jak długo blokowałbyś mnie jak wszystkich innych?

Wstała gwałtownie. Siedział, patrząc wprost przed siebie, przez okno baru na ulicę na zewnątrz.

- To ty mnie, do cholery, zostawiłaś, Carla. Nie próbuj przekreślać faktów.

Posłała mu uśmiech.

- Nie słuchasz mnie, Chris. Odchodzę od ciebie. Potrzebuję paru tygodni, żeby zabrać z domu swoje rzeczy...

- I gdzie się podziejesz? - Zabrzmiało to bardzo nieprzyjemnie.

- Zamieszkać u... - roześmiała się słabo. - To cię nie powinno już obchodzić, ale na jakiś czas zamieszkać w Tromsø. Do czasu, aż załatwię sprawę z rozwodem. Zakładam, że nie będziesz robił problemów, dzięki temu będziesz szczęśliwszy niż ja. Dzięki temu będziesz miał więcej czasu dla nowej zabaweczki, kimkolwiek ona jest.

- O czym ty, do cholery, mówisz?

- Och, proszę. Nie jestem głupia, Chris. Widziałam, jak spojrzeli na mnie ludzie w recepcji, kiedy o ciebie zapytałam. Słyszałam, jak reagują, gdy próbuję do ciebie zadzwonić. Nie jestem jedyną kobietą, jaka cię tu odwiedza. Po prostu mam nadzieję, że kimkolwiek jest, warta jest swojej ceny. Wzruszył ramionami.

- Myśl sobie, co chcesz. Albo jeszcze lepiej, sprawdź bilans karty kredytowej. Zauważysz opłaty dla agencji. Nigdy nie miałaś o mnie dobrego zdania, prawda?

Potrząsnęła głową i głośno wciągnęła powietrze, maskując łkanie.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo się mylisz, Chris. Nigdy się, kurwa, nie dowiesz.

- Dobra. Jak chcesz.

Odwróciła się do wyjścia. Zatrzymała się i obejrzała.

- Ach, tak. Lepiej przyjedź po saabę. I to niedługo. Nie ruszyłam go, ale nie jestem pewna, jak długo uda mi się znieść, że stoi tam, podczas gdy ty pieprzysz jakieś jęczące na zawołanie sztuczne cycki. Moja cierpliwość szybko się wyczerpuje.

Odeszła, zostawiając go.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Liz Linshaw przyszła następnego wieczora i zebrała pokłósie. Chris był ponury i opryskliwy, a kiedy poszli do łóżka, potrzebował ręcznego pobudzenia. Pieprzyli się, ale nie było to szczególnie przyjemne. Wykonywał odpowiednie ruchy, ze złością zmagając się z poszczególnymi pozycjami, a odprężył się dopiero w pornosowej perfekcji jej ciała podczas orgazmu. Ledwie parę sekund później świat zwałił się na niego z siłą jak przy skoku na beton z pięćdziesiątego piętra. Żadnego ciepła, śmiechu czy gładzenia spoconej skóry. Nad oczami i w piersiach czuł ostrą pustkę.

Odsunęli się od siebie i leżeli osobno.

- Dzięki - powiedziała, patrząc w sufit.

- Przepraszam. - Przeturlał się do jej ud. - Chodź tu.

Odepchnęła jego głowę.

- Zapomnij, Chris. Po prostu powiedz mi, co się dzieje.

- Nie chcesz tego słuchać.

- Przeciwnie, chcę.

Przetoczył się z powrotem na plecy i wypuścił w stronę sufitu wyobrażony dym z papierosa.

- Carla przyszła się ze mną zobaczyć - powiedział w końcu.

- Świetnie. - Usiadła, opierając się o ścianę, z rękami złożonymi pod piersiami. - Świetnie jak cholera. Znów się spotykacie?

- Powiedziałem ci, że nie chcesz tego słyszeć.

Spojrzała na niego gniewnie.

- Mylisz się. Chcę to usłyszeć, chcę wiedzieć wszystko. Poznać każdy pieprzony szczegół. Teraz z tobą spędzam wieczory, Chris. Jeśli coś ma mi to tak psuć, to lepiej uwierz, że chcę wszystko o tym wiedzieć. Znów się z nią spotykasz?

- Wątpię.

Powtórzył jej rozmowę z baru, prawie słowo w słowo. Kiedy doszedł do pożegnalnej kwestii Carli, skrzywiła się.

- Miło.

- Tak. - Chris wbił wzrok w kąt pokoju. - Kiedyś mnie przerażało, że tak dobrze mnie zna. Czyta ze mnie, jak z ekranu.

Liz Linshaw się do niego obróciła.

- Słucham?

- No wiesz, wiedziała o...

- Tym dla ciebie jestem? Jęczącymi na żądanie sztucznymi cyckami? Bardzo ci, kurwa, dziękuję, Chris. *Bardzo* dziękuję.

- Liz, wcale nie... Nie to miałem na myśli. - Usiłował wyjaśnić, o czym myślał. Dla niego stanowiła integralną część gładkiej hotelowej rzeczywistości, w której żył. - Chryste, jesteś *piękna*, to próbowałem powiedzieć, zbyt piękna, by być prawdziwa, czasem mi się tak wydaje. I musiała to ze mnie wyczytać. Przynajmniej miała rację odnośnie cycków, nie?

Liz ujęła dłońmi piersi. Złość na jej twarzy odarła gest z seksualności.

- Masz z nimi problem? Śmieszne, bo jakoś wcześniej na to nie wyglądało. Wiesz, Chris, to ja. Jestem prawdziwa, w całości. Nie próbuję się sprzedać w charakterze towaru.

- Nie? - Przez pustkę pod żebrami zaczęło przeciekać trochę jego własnej złości. - Więc czemu wysłałaś mi wycięte kawałki ze swojego filmu porno? Stara dobra umalowana dziewczynka na dziewczynce, pełna akcja? Nie nazwałabyś tego reklamowaniem towaru?

Wbiła w niego wzrok.

- O czym ty, do cholery, mówisz?

- Och, daj spokój, Liz. Chcesz mi powiedzieć, że nie robiłaś w pornosach?

- Owszem, robiłam. - Coś zmieniło się w jej twarzy. - W czasach, gdy był to najlepszy znany mi sposób zarabiania pieniędzy. Chcę tylko wiedzieć, czemu nigdy mi nie powiedziałeś, że waliłeś do tego konia.

- Liz, sama mi to, do cholery, wysłałaś.

- Nie, Chris. Nie zrobiłam tego.

- Chcesz mi powiedzieć, że nie wysłałaś mi wideoklipu z tobą i jakąś blondyną na dziwacznym przyrządzie gimnastycznym? I na oczy tego nie widziałaś?

Westchnęła i przytuliła się do ściany. Jej spojrzenie przeniosło się gdzieś w przestrzeń. Sprawiała wrażenie, jakby się skuliła.

- *Dominium Donny* - wyszeptwała.

- Słucham?

- *Dominium Donny*. Tak się to nazywało, ten konkretny kawałek sztuki erotycznej. Byłam Donną Dread, światową dominatrix sali gimnastycznej. - Uśmiechnęła się bez rozbawienia. - Dość infantylne, co?

Chris wykonał niezgrabny gest. Był pewien, że się czerwieni. Liz Linshaw kiwnęła głową.

- Ale cię usztywniło. Prawda?

- Och. - Odwrócił wzrok.

Znów westchnęła.

- Słuchaj, nie przejmuj się tym. To robi się tak, żeby brało facetów. Musiałbyś być praktycznie inwalidą, żeby cię nie podnieciło. Młode cycki powinny cię podniecać, a na ekranie były cztery, ocierające się o siebie i powiększone do nierealistycznych proporcji. Równie dobrze mógłbyś się wstydzić czterech kresek proszku z MGP, dzięki którym siedzisz całą noc. To po prostu kolejny narkotyk, Chris. Oczyszczony, podkreślony i wyszykowany proch pobudzający seks. - Kolejny słaby uśmiech. - Czyli podobałam ci się, co?

Odchrząknął.

- Ty, och, naprawdę wolisz... no wiesz?

- Dziewczyny? - Wzruszyła ramionami. - Tak naprawdę nie. No wiesz, jak ci ktoś liże łechtaczkę, jest to przyjemne, niezależnie od płci liżącego. O ile już przyzwyczaisz się do obecności sześciu czy siedmiu ludzi przyglądających ci się zza kamery. A zdziwiłbyś się, jak szybko ci ludzie się do tego przyzwyczajają. Ale nie, nigdy nie byłam lesbijką, nawet nie bi. To tylko film, Chris. Po prostu praca. Och tak, a jeśli trzymasz się układów dziewczynadziewczyna, mniej płacisz za ubezpieczenie zdrowotne. Mniejsze ryzyko, mniejsze zużycie.

- Jak to się stało, że zajęłaś się właśnie tym?

Tym razem jej uśmiech wydawał się szczerzy. Przestała się kurczyć w sobie. Potrząsnęła

głową, sięgnęła przez krawędź łóżka do torby i zaczęła czegoś w niej szukać.

- Cóż, nie zostałam porwana przez łowców niewolników, jeśli o to pytasz.

Znalazła pogiętego skręta z trawą i zapalniczkę. Znów oparła się o ścianę i zapaliła. Zakaszła i rozwinęła dłonią chmurę.

- Chcesz trochę? Nie? Na pewno? - Wciągnęła pełne płuca dymu, zatrzymała na chwilę, wypuściła. Spojrzała krytycznie na żarzący się koniec skręta. - Kiedy słuchasz jakiegoś pokręconego ewangelisty jak Simeon Sands, zaczynasz wierzyć, że *naprawdę* jesteśmy niewolnikami seksu, porwanymi, więzionymi przez prochy, ofiarami nieczystego, kazirodczego pożądania. Wydaje mi się, że typy w rodzaju Sandsa to podnieca najbardziej, sądząc po tym, jak grzmią, z jedną ręką na mównicy, a drugą w spodniach. - Uśmiechnęła się złośliwie. - Ale wcale nie jest tak, jak próbuje ci sprzedać przemysł. Myślisz, że wszystkie jesteśmy mokrymi źdźzłami i nie możemy się doczekać, żebyście nam wsadzili? Zapomnij. Chcesz klinicznie i bez emocji, obejrzyj pornosy. To praca, Chris. Czysto i prosto. Mniej lub bardziej profesjonalnie, w zależności od tego, dla kogo pracujesz, płatna lepiej lub gorzej. Ale nikt nigdy nie zmuszał mnie do robienia rzeczy, na które nie miałam ochoty, i nikt nie próbował mnie zatrzymać, gdy odchodziłam.

- Myślisz, że byłaś typowa?

Liz zatrzymała dym w ustach. Zmarszczyła brwi, potem go wypuściła. Potrząsnęła głową.

- Globalnie? Nie. Słyszałam sporo paskudnych historii z Kostaryki i Tajlandii. Nadal się trafia. Ale nie potrzebujesz mnie, żeby o tym wiedzieć, Chris. Tym zarabiasz na życie. Strefy przemysłowe, niestabilność polityczna. Siły rynku, słabe struktury rządowe, pieprzyć biednych. W tym przypadku dosłownie.

- Och, tak. - Zabolał go niedbały sposób, w jaki to powiedziała. - Czyli wszyscy, z którymi pracowałaś, byli szczęśliwi i uśmiechnięci?

Wydumuchała dym i spojrzała na niego ze zdziwieniem

- Nie. Nawet w Kopenhadze zdarzają się w interesie jakieś popieprzone dziewczyny. Ta blondynka, z którą grałam w *Dominium Donny*, na przykład. Renata Jakaśtam, chyba była Polką. Miała dziwne pomysły, a te cycki były wręcz niewiarygodne. Musiała odwiedzić trzech gości od chirurgii, zanim znalazła takiego, który wsadził jej implanty, a potem miała mnóstwo problemów zdrowotnych związanych z operacją. Więc kto wie? Może w jej przypadku stary Simeon miał rację. Zabrała się za pornograficzne śmieci, bo ojciec wykorzystywał ją w dzieciństwie. Ale szczerze mówiąc, myślę, że po prostu nie była zbyt bystra. Tak, Chris, zawsze znajdują się w przemyśle porno kobiety, które zostały zgwałcone jako dzieci. Ale większość tych, z którymi pracowałam, była taka jak ja - bez zahamowań, może trochę przesadnie ekshibicjonistyczne dziewczyny, które chciały trafić do mediów i czekały na wielką okazję. Pojechałam do Kopenhagi, szukając pracy dla pirackich stacji z Christiany. Zamiast tego trafiłam do duńskiego porno. To było prostsze, oferowali więcej pracy i więcej kasy. Trwało to parę lat i może nauczyło mnie paru rzeczy o sobie, których inaczej bym się nie dowiedziała. I zaoszczędziłam sporo pieniędzy. Koniec historii. Szczęśliwe zakończenie.

- Ale musisz zapalić ten syf, żeby o tym mówić.

Znów pytające spojrzenie.

- Chris, opanuj się, dobra? Chcesz mi powiedzieć, że masz jakieś moralne problemy z moją karierą w charakterze laleczki porno dziesięć lat temu? To dość niezwykle jak na faceta pracującego w finansach międzynarodowych.

- Nie mam z tym problemu. I nie sądzę, żebyś ty miała problem z moją pracą. - Z głębin jego umysłu wypłynęła złośliwość. - Właściwie myślałem, że to cię podnieca.

Zmrużyła oczy.

- Co?

- Pieprzyłaś się z Mikiem Bryantem, teraz robisz to ze mną. Znajdź związek. Hej, Liz, nie narzekam, ale zastanów się nad własnymi motywami. To podręcznikowy przypadek pasji pasażera. Bądźmy szczerzy.

Usiadła gwałtownie, strząsnęła popiół ze skręta.

- Tak, *światny* pomysł, Chris. Bądźmy szczerzy. Jeśli miałeś ze mną problem, mogłeś mnie zostawić w spokoju.

- Zostawić *ciebie* w spokoju? - Zabolęła go niesprawiedliwość tego stwierdzenia. Poczul, jakby znów klócił się z Carla. Studnia bezdennego bólu. - O ile pamiętam, to ty zawzięłaś się na *mnie*. Na imprezie u Troya. Po imprezie, w *Zmianie reżimu*. *Zaprosiłaś* mnie do siebie.

- Och, tak, cóż, może nie powinieneś był w takim razie wysyłać mi kopii rozkładu lotu swojej żony do Norwegii. Bo wiesz, Chris, jak na zaproszenie to było cholernie bezczelne.

Szok na chwilę pozbawił go głosu. Zauważyła to i cofnęła się na łóżko, z twarzą wciąż skrzywioną gniewem. - Co?

- Niczego ci nie wysyłałem, Liz.

- Jasne.

- Nie, do cholery, *posłuchaj* mnie. - Sięgnął do niej. Odrzuciła go gestem. Zapatrzyła się za okno. - Nic takiego ci nie wysyłałem. Nie wiedziałem nawet, że Carla leci do Tromso wcześniej niż jakąś godzinę przed twoim telefonem. Ja... Ktoś się nami bawi, Liz.

Jej spojrzenie z wolna wróciło do niego. Nie odwróciła głowy. Całe jej ciało zamknęło się przed nim, odsunęła nogi.

- Nie jestem jakąś fanką ze stron wyścigów, Chris.

- Dobra. - Podniósł ręce dłońmi na zewnątrz. - Dobra, nie jesteś fanką. Niech ci będzie. Ale mówię ci, nigdy nie wysłałem tych informacji o locie. A ty twierdzisz, że nie wysłałaś mi *Dominium Donny*. Czyli ktoś nas wystawia, prawda? To musi być to.

I odzyskał ją. Kończyna po kończynie, kreska za kreską, zmiękła. Miejsce w Carli, którego nie potrafił już sięgnąć, punkt pojednania starty przez lata kłótni wzdłuż tych samych emocjonalnych frontów. Otworzyła się trochę, obróciła do niego. Kiwnęła głową.

Przemknął przez niego drobny, niespodziewany odprysk nadziei. Ukłucie od wewnętrznej strony oczu i nagłe wypełnienie pustki w piersiach.

Tym razem. Obiecał sobie cicho. *Ta, tym razem ta kobieta. Tego nie spieprzą.*

Ale hiena wciąż w nim siedziała, krążąc widmową sylwetką na zachodzącym horyzoncie jego myśli.

I nie chciała się zamknąć.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Przyjechał do pracy wcześniej, napędzany śladową złością, która nie miała się na czym skupić. Terminal wypuł z siebie listę zgromadzonych wiadomości. Na samej górze *Irena Renko*, temat: *szybkie ładowanie*. Nie pierwszy raz widział to nazwisko w ostatnim tygodniu. Coś zaskoczyło.

- Do kuźwy nędzy. - Wcisnął klawisz odpowiedzi i słuchał tonów wybierania.

- *Da?*

- Posłuchaj mnie, ty głupia ździro. Nie potrzebuję twoich kurewskich usług, ani teraz, ani nigdy. Zostaw mnie, do cholery, w spokoju.

Zapadła cisza, w trakcie której prawie się rozłączył. A potem usłyszał ciężko akcentowany głos, lodowaty od kontrolowanej furii.

- Za kogo ty się, *kurwa mać*, uważasz? Pieprzony kowboj w garniaku nie będzie mówił do mnie w taki sposób. Jestem kapitan *Irena Renko*, dowódca wolnej łodzi podwodnej *Kurt Cobain*.

- Ja... Przepraszam.

- Powinieneś, do cholery. Matkojebca! Już cztery dni siedzę w *Faslane* i czekam na drugi ładunek. Cztery dni! Moja załoga upija się w barach *Glasgow*. Po co marnujesz mój czas?

- Ja... Czekaj. *Cobain?* - Chris sięgnął przez biurko do terminala. W nowym oknie pojawiły się szczegóły. - Ładujecie dla *MGP* sprzęt wojskowy?

- Nie - warknęła kobieta na drugim końcu linii. - Nie ładuję, bo od czterech dni czekam na pieprzony towar. Władze portowe o niczym nie wiedzą. Dzwonię do *Lopez*a, nic nie wie. Normalnie w takiej sytuacji *Cobain* podnosi żagle i odpływa. Ale *Lopez* mówił, żeby zadzwonić do ciebie. Jesteś podobno wyrozumiały. Może rozmawiam z niewłaściwym człowiekiem.

- Nie, nie. Kapitan *Renko*, rozmawia pani z właściwym człowiekiem. Przepraszam za mój wcześniejszy ton. Trochę dużo się tu dzieje.

- Cóż, tu nie. Żadnego towaru, żadnych informacji o przesyłce. A opłaty portowe wynoszą mnie...

- Proszę zapomnieć o opłatach. Pokryję to, plus dziesięć procent za utrudnienia. Proszę zebrać załogę, oddzwonię do pani.

Rozłączył się i zapatrzył przed siebie. Odpowiedziało mu światło odbite od polerowanego marmuru szachownicy z pionkami znieruchomiałymi w układzie niezmiennym od tygodni. Zadzwonił do *Mike'a*.

- Tak, *Bryant*.

- *Mike*, słuchaj, mamy problem.

- Nie mów. Zadzwoniłbym wcześniej, ale nie widziałem *saaba*. Nie wiedziałem, że już jesteś.

- Wóz wciąż stoi w domu. Jeszcze go nie odebrałem. - Chłodna cisza po drugiej stronie słuchawki. - *Mike*, właśnie dostałem wiadomość od naszego kuriera do *Barranco*.

- Nie mamy teraz czasu, żeby się martwić *MGP*, *Chris*. Nie oglądałeś dziś wiadomości?

Wczoraj wieczorem też nie?

- Nie, wczoraj ja... - *Pieprzyłem się z twoją byłą kochanką.* - Wcześniej poszedłem do łóżka. Głowa mnie bolała. A na razie jeżdżę z hotelu taksówkami i nie słucham radia. Co się dzieje?

- Jakiś pieprzony młodszy pomocnik z Langley doznał przykrego ataku wyrzutów sumienia. Obiecał ScandiNet i FreeVid Montreal tajne raporty z ostatnich dwóch lat.

- *O cholera.*

- Tak. To samo powiedziałem.

- Kambodża?

- Jeszcze nie wiemy. Ten pieprzony mięczak pracował w archiwach Langley, więc może akta Phnom Penh są zbyt świeże, żeby wypłynąć. Ale nie możemy na tym polegać. Nie wiadomo, co zamierza ujawnić.

- Nie można go po prostu skasować?

- A jak myślisz, czym się teraz zajmuje Langley? Pracował dla nich, Chris. Siedział w środku. Dobrze się zabezpieczył. Zwinął dyski i zapadł się pod ziemię.

- Dobra, to wynajmij kogoś innego, lepszego od Langley. Tajne powietrzne albo kogoś z Izraela.

- Ta sama sytuacja, Chris. Najpierw muszą znaleźć gnojka. A w tym czasie ScandiNet i FreeVid puszcza kawałki tego, co im dał, jak przy sracze po ostrym curry. Najpóźniej pod koniec tygodnia obleżą nas ludzie od Karty Praw NZ.

- Dobra, słuchaj. - Chris zmarszczył brwi. Coś tu nie pasowało. - Uspokój się. Nic nie wiedzą i nigdzie się nie dostaną. Mogą tylko trochę poszumieć. Walczymy z nimi w sądach. Wszystko sprowadzi się do lat papierkowej roboty i sporów prawnych. Czym się tak przejmujesz?

- To źle wpłynie na interesy, wiesz? Jak każdy przeciek. Nie potrzeba nam rozgłosu.

- Tak, ale trudno. A skoro mowa o psuciu interesów, lepiej skontaktuj się ze swoją koleżanką Sally Hunting. Właśnie nawrzeszczała na mnie kapitan rosyjskiej łodzi podwodnej, bo od czterech dni czeka w Faslane na towar do MGP, który dotąd się nie pojawił.

Na chwilę zapadła cisza.

- Co?

- Słyszałaś. Patyczki dla Barranco poszły na spacer. Nikt w Faslane nie potrafi ich znaleźć.

- To niemożliwe. - W głosie mężczyzny zabrzmiało dziwne napięcie.

- Możliwe. Słuchaj, zadzwonię do Panamy, do Lopeza. Sprawdzę, czy on coś wie. Ty skontaktuj się z Sally i oddzwoń do mnie.

Lopez nie odpowiadał. Chris odłożył słuchawkę i właśnie miał spróbować jeszcze raz, kiedy terminal rozjarzył się połączeniem głosowym od Philipa Hamiltona. Zmarszczył czoło i odebrał.

- Tak?

Na ekranie pojawiły się miękkie rysy Hamiltona.

- Ach, Chris. Tu jesteś.

- Tak. - Wciąż niejasne wrażenie, że coś nie pasuje. Od kiedy podjął pracę w Shorn, praktycznie wcale nie kontaktował się z młodszym partnerem. Niektóre z kont

środkowoamerykańskich odziedziczonych po Makinie ocierały się o konta Hamiltona, ale...

- Co mogę dla ciebie zrobić, Philip?

- Cóż, Chris. - Młodszy partner mówił przesłodzonym głosem. - W tym przypadku to raczej ja mogę zrobić coś dla ciebie. Na pewno słyszałeś już o kryzysie Langley.

- Tak. Mike p... - urwał. - Rozmawiałem o tym z Mikiem. Uważają, że to materiały archiwalne. Podobno akta z Kambodży się nie załapały.

- Zgadza się. - Hamilton kiwnął głową uwypuklając podbródek. - Prawdę mówiąc, właśnie dostałem potwierdzenie. Dobre wieści dla wszystkich. Louise pewnie niedługo wam to przekaże. Ale wygląda na to, że wypłynie jedna tajna operacja i tak się składa, że wiąże się z twoim nazwiskiem. Mówię o tej akcji, którą podjąłeś przeciw siłom operacyjnym Hernana Echevarrii w Medellin. Teraz wrażenie, że coś jest nie tak, nabrało pełni mocy. Jak rozpadająca się pod nogami podłoga. Ukrył to pod niedbałym tonem. - Tak. I co?

- Cóż, uważam, że w tej sytuacji, biorąc pod uwagę rozwój wydarzeń z reżimem Echevarrii, najlepiej byłoby zdjąć cię z konta MGP, przynajmniej na jakiś czas.

Chris usiadł.

- Do diabła, nie możesz tego zrobić.

- *Słucham?*

- O jakich wydarzeniach mówisz, Philip? Z tego co słyszałem, reżim Echevarrii był chodzącym trupem.

- Ach, tak. - Hamilton pogładził palcami policzki. - To też nowość. Lepiej przyjdź dziś po południu na odprawę. Zaprosiłem Mike'a i przyjąłem, że przekaże ci później szczegóły. Ale chyba lepiej będzie, jeśli też się tam zjawisz. Główna sala konferencyjna, o drugiej.

Chris popatrzył na niego bezmyślnie.

- Dobrze. Będę tam.

- Cudownie. - Hamilton skłonił się i rozłączył. Jego twarz zbladła, wciąż uśmiechnięta.

Chris znów spróbował połączyć się z Lopezem. Bez skutku. Wywołał niezależną stronę, do której miał dostęp, i sprawdził dane o Langley. Nic konkretnego. Twarz informatora uśmiechała się ze zdjęcia archiwalnego sprzed pięciu lat. Wyglądał młodo i radośnie, szczęśliwie nieświadomy tego, co właśnie zdobyta praca zrobi z nim po pięciu latach.

Bo oni cię ukrzyżują, synu, powiedział cicho Chris do zdjęcia. *Rozerwą cię za to na strzępy.*

Zadzwoił terminal. Połączenie głosowe od Mike'a. Odebrał.

- Mów do mnie, Mike. Powiedz mi, co się dzieje.

- Nie wiem, Chris. Sam chciałbym wiedzieć. Sally mówi, że zamówienie przeszło, ale zostało przekierowane do jakiejś powierzchniowej firmy przewozowej z Southampton. Standardowe stawki transatlantyckie, dostaje w gotówce bonus za różnicę w kosztach.

- *Powierzchniowy?*

- Wiem, wiem. Ja też tego nie rozumiem. Przecież Barranco nie może sobie pójść do doków Barranquilli i po prostu pokwitować odbioru.

- To... - Urwał. Nagle wirujący chaos ostatnich dziesięciu minut znieruchomiał w jego głowie. Dostrzegł w nim sens. - Oddzwonię do ciebie, Mike.

- Czeka, ty...

Rozłączył się i przez pełne trzydzieści sekund siedział, wpatrując się w ekran,

przygnieciony nagłym ciężarem we wnętrznościach. *To musi być to*, pomyślał. *Cholera*, to musi być to. Zrozumiał. Poczul się fizycznie słaby.

Spróbował jeszcze raz złapać Lopeza, odpowiedział sygnał zajęty, więc puścił łączem kod przerwania. Na linii rozległ się krótki elektroniczny szum, gdy oprogramowanie Shorn przejmowało kontrolę nad linią w sieci Panama City, a potem usłyszał Lopeza, mówiącego do kogoś po hiszpańsku.

...deputa, me tienen media hora esperando...

- Joaquin, posłuchaj mnie.

- Chris? *Como haspodido...* - Agent urwał, zmieniając język, gdy zarejestrował wreszcie zmianę połączenia. - Słuchaj, Chris, w co ty się tam, do kuźwy nędzy, bawisz?

- Nie wiem, Joaquin, *nie wiem*. Łajno właśnie na mnie spadło, i jeszcze nie wiem skąd. Mów do mnie, człowieku. Tutaj o niczym nie mam pojęcia. Powiedz mi, co się tam dzieje.

- Dzieje się - wyszczał Lopez z jadem bijącym z każdej sylaby. - Sprzedałeś mnie tak samo jak twój amigo Bryant. Wyzwanie na arenę, Chris. To coś dla ciebie znaczy? Właśnie dostałem wiadomość. Zatwierdzony przez Shorn przetarg, jakiś urodzony w faveli *sicario* wyzywa mnie za pół procent redukcji prowizji. On ma dwadzieścia lat, Chris. Priorytetowe wyzwanie, za dwa tygodnie. Zatwierdzone przez pieprzone Shorn.

- Dobra, słuchaj. - Chris poczuł nagłą jasność drogowego pojedynku wypełniającą go wraz z zastrzykiem adrenaliny. - Posłuchaj mnie uważnie, Joaquin. To nie ja. Przetarg nie został przeze mnie autoryzowany. Zamierzam to dla ciebie naprawić, skasować z sieci. Obiecuję ci. Nie będziesz musiał walczyć. A na razie...

- Tak, i ty to mówisz. Powiedziałeś...

- Joaquin, *do cholery*, posłuchaj mnie. Wyciągnąłem cię z Bogoty w jednym kawałku, prawda? Powiedziałem ci, że dbam o swoich ludzi. A teraz nie mam dużo czasu. Musisz się skontaktować z Barranco.

- Chcesz, żebym dla ciebie *pracował*, podczas gdy...

- *Słuchaj, do cholery, co do ciebie mówię*. - Bez względu na to, co zabrzmiało w jego głosie, wreszcie dotarło do agenta. Lopez zamilkł. - To sprawa życia i śmierci, Joaquin. Skontaktuj się z Barranco i powiedz mu, żeby trzymał się z daleka od tej plaży, gdzie w przyszłym tygodniu miał dostać towar. Więcej broni nie będzie i najprawdopodobniej czeka tam na niego pułapka. Powiedz mu, że jestem pod ostrzałem tak samo jak on i będę potrzebował czasu, żeby zrobić z tym porządek. Musi się wycofać na bezpieczny teren i zostać tam, póki się z nim nie skontaktuję. Zrozumiałeś?

- Tak. - Lopez nagle się uspokoił, jakby ten sam dreszcz adrenalinowy przepelzł kablami i dotknął go swoim chłodem. - Zrozumiałem. Ty też idziesz na arenę, co?

- Tak, na to wygląda. - Było coś ostatecznego w sposobie, w jaki własne słowa zabrzmiały w jego uszach. - Zadzwoń do ciebie możliwie jak najszybciej.

- Chris?

Wstrzymał rozłączanie.

- Tak, jestem tu jeszcze.

- Posłuchaj mnie, Chris. Jak idziesz na arenę, uderzaj nisko. Wal nisko, stary, żeby nie widzieli, jak uderzasz. A jak będziesz wyciągał, przekreśl sukinsyna. To zwiększa ranę. Rozumiesz?

Chris pokiwał głową.

- Rozumiem, Joaquin. Dzięki.

- Hej, będę się za ciebie modlił, stary.

* * *

Philip Hamilton przeprowadził zdumiewająco dobrą prezentację. Zniknęła gdzieś jego miękkość, stając się masą pewności i podstawą rezonansową dla bogatego barytonu, nadającego jego słowom żywotność dalece przekraczającą chwilę ich wypowiedzenia. Dowodów nie dało się podważyć, tak zostały przygotowane, ale potężniejsze było echo jego wypowiedzi w umysłach słuchaczy. Chris rozejrzał się wokół stołu i zobaczył kiwające głowy, także Mike'a Bryanta.

- W ten sposób jednym ruchem - zadeklarował dźwięcznie Hamilton - zastępujemy niepewność zmian, *pewność* niepokoju związanych z reformą rolną i prawdopodobny deficyt budżetowy klasycznego reżimu rewolucyjnego zyskowym status quo, którym cieszyliśmy się w MGP przez ostatnie dwadzieścia lat. Wydaje mi się, panie i panowie, że tak naprawdę nie ma tu wątpliwości czy wyboru, tylko kurs dyktowany przez zdrowy rozsądek i rynek. Dziękuję.

Fala uprzejmych braw wokół stołu. Szeptane komentarze. Hamilton przechylił głowę i stanął w odległości paru kroków. Louise Hewitt wstała.

- Dziękuję, Philip. Myślę, że to dość oczywiste, ale czy są jakieś pytania?

- Tak. - Jack Notley uniósł rękę z całkowicie zbytecznym szacunkiem. Każdy dyrektor w pokoju natychmiast umilkł, wbijając wzrok w siwowłosego starszego partnera. Louise Hewitt usiadła, a Philip Hamilton poszedł zająć zostawione mu miejsce. Chris pomyślał gorzko, że wyreżyserowano to dość precyzyjnie, by załapać się na taniec do *Sobotniego wydania specjalnego*.

- Tak, Jack.

- Amerykanie - powiedział Notley z naciskiem, który wywołał odrobinę uśmiechów. W dziale powszechnie wiadomo o ekscentrycznym nacjonalizmie staruszka. - Z drobiazgowych badań obecnego tu Mike'a wiemy, że Echevarria junior ma, jak by to powiedzieć, upodobanie do naszych transatlantyckich kuzynów i są oni, niestety, znacznie mu bliżsi, zarówno geograficznie, jak i kulturowo. Doceniam, Phil, że bierzesz pod uwagę współpracę z RapCap Caldersa i najwyraźniej Martina Meldrecka. Cóż, on wierzy w wolny rynek mniej więcej tak samo, jak Ronald Reagan. - Więcej śmiechu, tym razem głośniejszego. - A więc dodatkowi wykonawcy, których sprowadzi, będą wyłącznie Amerykanami. To oczywiste. Moje pytanie brzmi, czy to wystarczy? Czy na przykład zatrzyma to Conrada Rimshawa i Lloyda Paula? Albo Grupę Saundersa, Gray Capital Solutions czy Moriarty Mills & Silver? Francesco Echevarria miał bliskie kontakty z tymi panami, a przynajmniej ich biurami z Miami. Czy możemy mieć pewność, że nie wprowadzi ich do gry, gdy tylko przestanie mu się podobać budżet?

Sluchajcie, kurwa, sluchajcie, pomyślał Chris. *Dobrze, że ktoś w tej bandzie pieprzonych dupowłazów to zauważył*. Hamilton odchrząknął.

- Słuszna uwaga, Jack. Myślę, że wszystkie wymienione przez ciebie firmy, z wyjątkiem Grupy Saundersa, to ostrzy, szybcy gracze z Nowego Jorku. Oczywiście, będą się przyglądać. Ale Calders szepcze do ucha amerykańskiemu departamentowi stanu. To

długoterminowy związek - w przypadku senatora Barlowa mówimy o piętnastu latach, a mają i inne powiązania, prawie równie stare. I oczywiście, jak mówisz, podwykonawcy wprowadzeni przez Caldersa będą mieli własną sieć lobbystów. Jeśli połączymy tę siłę nacisków z naszymi wpływami w Foreign Office tu, w Londynie, jestem pewien, że bez trudu odeprzemy wszelkie próby ataku.

To też wzbudziło śmiech. Hamilton wyszczerzył zęby w uśmiechu i rozejrzał się wokół stołu.

- Jeszcze jakieś pytania?

- Tak, ja mam do ciebie pytanie. - Chris wstał, drżąc lekko. Wbił wzrok w Hamiltona. - Ciekaw jestem, czemu, *do cholery*, wyrzucasz do kosza zmianę reżimu z przywódcą, który gwarantuje sto procent odporności na jakiegokolwiek wpływy Amerykanów, na rzecz takiej pieprzonej niszy.

Nagła cisza pełna szoku. Ostro wciągnane powietrze, potrząsanie głowami. Siedzący obok Chrisa Mike Bryant spojrział na niego z niedowierzaniem.

- Ach, Chris. - Hamilton uśmiechnął się lekko, jak komik tuż przed tym, zanim prostaczkę dostanie za swoje. - Zanim pójdziesz po kij bejsbolowy Mike'a, czy mógłbym przypomnieć, że próbujemy tu osiągnąć model bez przemocy?

Kilka chichotów, ale przytłumionych. Oficjalnie nikt poniżej poziomu partnera nie powinien wiedzieć, co naprawdę się stało z Hernanem Echevarrią. Chris wiedział, że Nick Makin się wygadał, dopilnował, by wieść się rozeszła, ale nie było jasne, jak daleko sięgała wyrozumiałość Hamiltona. Znowu skierowano spojrzenia na Jacka Notleya, by sprawdzić jego reakcję, ale twarz starszego partnera była jak wyrzeźbiona w granicie.

- Ty głupi pierdzielu - powiedział wyraźnie Chris, a cisza, która zapadła po tych słowach, była absolutna. - Naprawdę myślisz, że Vicente Barranco powstrzyma jakiś durny playboy w mundurze po tatusiu? Naprawdę myślisz, że po prostu *odejdzie!*

Zauważył, że Louise Hewitt szykuje się, by wstać. Zobaczył, jak Jack Notley kładzie rękę na jej ramieniu i prawie niezauważalnie potrząsa głową. Philip Hamilton też to dostrzegł i jego usta skurczyły się prawie odbytniczo.

- Czy mógłbym przypomnieć, panie Faulkner, że mówi pan do partnera? Jeśli nie potrafi pan okazać właściwego szacunku, zostanie pan stąd wyrzucony. Rozumie mnie pan?

Chris trochę szerzej otworzył oczy, a na jego twarz wypłynął nieprzyjemny uśmiešek.

- Spróbuj - powiedział cicho.

- Chris. - W pokoju zagrzmiął głos Notleya. - Jeśli masz coś do powiedzenia, zrób to teraz, a potem usiądź. To zebranie w sprawie polityki, nie Królewskie Towarzystwo Szekspirowskie.

Chris kiwnął głową.

- Dobrze. - Rozejrzał się po pokoju. - Proszę to zaprotokołować. Znam Vicente Barranco i zapewniam was, że jeśli spróbujecie go tak wyruchać, schowa się w górach, jak wcześniej, i poprowadzi za sobą tysiące pozbawionych praw obywatelskich mieszkańców MGR. A potem, któregoś dnia, może za pięć lat, może za rok, wróci. Wróci i zrobi to, o co chcieliśmy go poprosić od początku. A kiedy zasiądzie już w budynku parlamentu w Bogocie, a Echevarria junior stanie przed plutonem egzekucyjnym za zbrodnie przeciw ludzkości, znajdziemy się po niewłaściwej stronie. Pójdzie do kogoś innego, może do Nakamury, może

do Niemców, i *odetnie nas*. Żadnego procentu PKB, licencji na strefy przemysłowe, handlu bronią kontraktów zaopatrzeniowych, żadnych towarów, *nic*. Będziemy mieć tylko pełną salę wściekłych Amerykanów i puste ręce.

Znów cisza, pytające spojrzenia rzucane wzdłuż stołu w poszukiwaniu ciągu dalszego. Chris wysunął szczękę i usiadł.

Hamilton spojrział na Notleya. Starszy partner wzruszył ramionami. Hamilton odchrząknął.

- Cóż, Chris, dziękuję za tę *akademicką* przenikliwość. Oczywiście, doceniam, że zechciałeś poświęcić swój czas i podzielić się z nami uwagami dotyczącymi konta, nad którym już nie pracujesz, ale pozwól mi powiedzieć, że moim zdaniem potrafimy sobie poradzić z jednym niezadowolonym marksistą i prawdę mówiąc, podjąłem już pewne kroki...

Chris wyszczerzył się jak czaszka.

- Nie będzie go tam, Hamilton. Zadzwońłem już do Lopeza i kazałem mu odesłać Barranco daleko od plaży. Kiedy *Cobain* się nie pokaże, za to przyjdą zbiry, albo nie znajdą nic, albo jeszcze lepiej, Barranco złapie ich w pułapkę i zmasakruje. Po czymś takim zniknie jak pieprzony duch.

Sala wybuchła, zanim skończył. Oburzenie w szeregach zebranych dyrektorów, połowa zerwała się na równe nogi, krzycząc i wymachując rękami, choć zdawało się, że nie wszyscy byli przeciw Chrisowi. Hamilton próbował przekrzyczeć burzę głosów, mówiąc coś o *pieprzonym* naruszeniu zasad zawodowych, Notley usiłował zaprowadzić porządek. Otworzyły się drzwi i do środka wpadła ochrona z bronią. Louise Hewitt ruszyła, by ich powstrzymać, podnosząc głos i ręce, by zrozumiano ją w hałasie.

Pośrodku tego wszystkiego Mike odwrócił się do Chrisa z twarzą wykrzywioną w szoku i złości.

- Powaliło cię? - wysyczał.

* * *

Potrzeba było dziesięciu minut, żeby opróżnić salę konferencyjną, a nawet wtedy ochrona nie czuła się dobrze, zostawiając partnerów z Chrisem. Słyszeli własną wersję plotek o incydencie z Echevarrią.

- Wszystko w porządku - zapewnił ich Notley. - Naprawdę, Hermiono. Doceniam twoją gorliwość, ale wszyscy jesteśmy tu kolegami. Po prostu puściły nerwy, to wszystko. Trochę źle ulokowanej wściekłości. Zostaw paru ludzi przed drzwiami, to wystarczy.

Wyprowadził kapitan ochrony na zewnątrz i zamknął drzwi, po czym wrócił do stołu. Chris, Mike, Louise Hewitt i Philip Hamilton siedzieli na miejscach, które zajmowali, gdy sala była jeszcze pełna, i wpatrywali się każdy w swój kawałek wypolerowanego drewna. Notley wrócił do szczytu stołu i stanął, patrząc na nich.

- Dobrze - powiedział ponuro. - Wyjaśnijmy to sobie.

Louise niecierpliwie machnęła ręką.

- Nie rozumiem, co mielibyśmy sobie wyjaśniać, Jack. Faulkner przyznał się właśnie do poważnego naruszenia zasad zawodowych...

- Tak, to...

- Chris, *zamknij się* - ryknął Notley. - Nie jesteś partnerem i nigdy nim nie zostaniesz, jeśli nie potrafisz się zachowywać w cywilizowany sposób. Rób, co ci się każe, i zamknij się.

- Louise ma rację, Jack. - Głos Hamiltona był spokojny i cichy, stanowiąc przeciwieństwo okazanej wcześniej wściekłości. Wrócił na znany sobie teren. - Ostrzeżenie Barranco zagroziło delikatnej restrukturyzacji polityki. W najlepszym razie będzie nas to kosztować obiekt przetargowy dla Echevarrii. W najgorszym to pomoc terroryście, który może przez następną dekadę stwarzać nam problemy powstańcze.

- W zeszłym tygodniu był wojownikiem o wolność - wymamrotał Chris.

Louise Hewitt spojrzała na niego z wyszukaną pogardą.

- Pozwól, że cię o coś zapytam, Chris - powiedziała swobodnie. - Czy nie byłoby uczciwym stwierdzenie, że w sprawie MGP zaangażowałeś się politycznie? Że dałeś się skazić lokalnym nastrojom?

Chris spojrzał na Notleya.

- Wolno mi na to odpowiedzieć?

- Tak. Ale w cywilizowany sposób, i okazał trochę szacunku. Zrozumiano? To nie jakiś podziemny klub w strefach.

- Tak. Rozumiem. - Chris dźgnął palcem w stronę Hamiltona. - To, czego nie rozumiem, to system komunikacji naszych młodszych partnerów. Do dzisiejszego ranka nie miałem pojęcia ani o tym, że odebrano mi odpowiedzialność za konto MGP, ani że całkowicie zmieniamy naszą zatwierdzoną strategię.

- Zatwierdzoną strategią jest Echevarria...

- Philip. - Notley poruszył wyprostowanym palcem w stronę partnera. - Daj mu skończyć.

- Prawdę mówiąc... - Chris zauważył lukę i przyspieszył. - Zmiana klienta była dla mnie nowością aż do tego spotkania, co nie pomogło. Ostrzegłem Barranco, bo uznałem, że ktoś zdołał zinfiltrować konto...

- Och proszę. - Louise Hewitt wykrzywiła się z pogardą. - Tu chodzi o twoją pracę, Chris. Chyba możesz się bardziej postarać.

- Dziś rano, Louise, otrzymałem bezpośredni telefon od kapitan łodzi podwodnej, którą mieliśmy przesłać Barranco broń. Ugrzęzła w Faslane, czekając na ładunek, który nie dotarł, ponieważ ten - Chris wskazał na Hamiltona - *geniusz* kazał przekierować go do armii MGP. Tylko nie pomyślał o tym, żeby mnie o tym fakcie poinformować, więc założyłem zewnętrzną interferencję. I podjąłem odpowiednie kroki, chroniąc klienta. Teraz za to obrywam, podczas gdy prawdziwym problemem jest brak komunikacji pionowej.

- Kłamiesz - odezwał się Hamilton gniewnie. On też zauważył furtkę.

- Doprawdy, Philip? - Chris odwrócił się, wskazując na Bryanta. - Zapytaj Mike'a. Błądził w równym stopniu co ja, i wie o telefonie z łodzi podwodnej, bo obaj dziś rano próbowaliśmy dojść, co się tu, *do cholery*, dzieje. Prawda, Mike?

Bryant poruszył się na krześle. Pierwszy raz od kiedy Chris go znał, wyglądał na zakłopotanego.

Spojrzenie Notleya się wyostrzyło.

- Mike?

- Tak, zgadza się. - Bryant westchnął. - Przykro mi, Phil, Louise. Chris ma rację. Powinniście byli nam wcześniej powiedzieć.

Hamilton nachylił się nad stołem, czerwieniąc się.

- Bryant, *wiedziałeś*...

- Wiedziałem, że będzie spotkanie w sprawie polityki, i tak, z twoich sugestii domyśliłem się, co się będzie działo. Ale nie miałem nic konkretnego, Phil. I nic o przesyłkach. Nie wiedziałem - rzut oka na kolegę - co chce zrobić Chris, ale nie mogłem go też zapewnić, że wszystko jest w porządku. Rozumiem, czemu tak postąpił.

W sali zapadła cisza. Wymiana spojrzeń między Hamiltonem i Hewitt. Nikt się nie odezwał. Jack Notley splótł palce.

- Jest coś jeszcze? - zapytał cicho.

Louise Hewitt wzruszyła ramionami.

- Tylko tyle, że usłyszeliśmy stek kłamstw, żeby ukryć fakt, że Chris zaangażował się politycznie.

- Coś *konstruktywnego*? - zapytał jeszcze ciszej Notley.

- Tak - odezwał się Chris, myśląc o Lopezie rzuconym na arenę przeciw dwudziestolatkowi z nożem, zdziczałym z biedy favela i z widokiem na awans. Myśląc o Barranco, rozstrzelanym z automatów na okrytej nocą plaży, z krwią wsiąkającą w piach pod jasno świejącymi gwiazdami. - *Nie* chodzi mi o politykę. Powody, dla których popieram Vicente Barranco, nie mają nic wspólnego z polityką. A każdy, kto chce podać to w wątpliwość, może spotkać się ze mną na drodze.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

- Jesteś kłamliwym sukinsynem, Chris. - Wściekły Mike Bryant chodził w tę i z powrotem przed swoim BMW. Jego stopy chrzęściły na twardym żwirze. Z boku wiatr pochylał trawę przy wjeździe na autostradę. Bryant zatrzymał się i wskazał palcem na Chrisa.
- Ty *naprawdę* zaangażowałeś się politycznie, prawda? Pieprzony Barranco cię dorwał, co?

Chris ze złożonymi rękami oparł się o wciąż ciepłą maskę samochodu. Pod nimi rozciągała się obwodnica, jak daleko sięgał wzrokiem w obie strony. Po zamknięciu w więzy Shorn, niebo nad nimi zdawało się wszechpotężne. Jechali niecałą godzinę, ale miał wrażenie, jakby stał na krawędzi świata.

- Och, daj mi spokój. *Mnie* oskarżasz o politykierstwo? Tydzień temu Barranco był naszym czarnym koniem. Teraz nagle stał się *niedochodowy*? Co to jest, Mike? Nie polityka?

- Liczby miały sens - zauważył Bryant.

- Liczby? - Chris oderwał się od maski BMW, zeszywniał z wściekłości. - Pieprzone *liczby*? To było *ustawione*, Mike. Ich obliczenia mogą udowodnić wszystko, czego zapragną. A co z liczbami, które miały sens dla Barranco? Co to, nagle staliśmy się ekonomistami? Chcesz, żebym wyrysował pieprzony trend? *To nie ma nic wspólnego z rzeczywistością, Mike. Wiesz o tym.*

Mike odwrócił wzrok.

- Fakt pozostaje faktem, Chris. Za bardzo się zbliżyłeś do Barranco. Musisz oddać jego konto. Niech kieruje nim Hamilton, zobaczymy, co się stanie.

- Świetnie. A co w tym czasie z Joaquinem Lopezem?

- *To nie ma znaczenia!* - Bryant zacisnął pięści i uderzył nimi powietrze. - Cholera, Chris, słuchaj tego, co do ciebie mówię, dobrze? Nie wolno ci traktować tego osobiście. To tylko interes. Dostaliśmy lepszą ofertę, to wszystko. Jeśli ten nowy gość będzie robił to samo za punkt procentowy mniej, to po co, do cholery, zatrudniać Lopeza?

- To pół procent, Mike, i dwudziestoletni *sicario*, prosto z favelas. Skąd wiemy, co zrobi?

- Jeśli jest głodny, poradzi sobie. Zawsze tak było.

- Och, o czym my tu, do cholery, rozmawiamy, Mike? Byłeś na odprawie. Ten gość jest tani i agresywny, to wszystko co wiemy. Hamilton przekazał nam tyle informacji, że równie dobrze ten młodzian może być analfabetą. To złe wyzwanie, Mike. Tu nie chodzi o interesy, decyduje pieprzona chciwość. Nie widzisz tego?

- Ja widzę tylko, Chris, szykujący się upadek. - Głos Mike'a złagodniał, ale było to jak delikatne rozluźnienie stalowej liny holowniczej tuż przed szarpnięciem. Podszedł, stanął blisko. - Rozumiem, czemu się tak zachowujesz, ale to nie jest dobry pomysł. Nie panujesz nad sobą. Nie da się tobą kierować. A na to nie możemy sobie pozwolić. Przykro mi z powodu tego, co się stało z twoim tatą, *naprawdę*.

Chris gwałtownie się odwrócił. Mike złapał go za ramię.

- Nie, *naprawdę*. Przykro mi z powodu stref i twojej mamy, i wszystkiego, co ci się przydarzyło. Ale to przeszłość, Chris. Skończyło się. To nie daje ci prawa pieprzenia życia wszystkim wokół. A teraz mówię ci, *posłuchaj mnie*, Chris, mówię ci, że schodzisz z konta

MGR. Kropka. To ja cię do niego ściągnąłem i teraz cię zwalniam. Cholera, Chris, czemu nie wrócisz do domu? Pogadaj z Carla, uporządkuj swoje życie.

Chris go odepchnął, uderzając otwartymi dłońmi w klatkę piersiową. Na ułamek sekundy przybrali pozycje bojowe.

- Już ci mówiłem, Mike. Nie trzeba mi twoich porad małżeńskich.

- Chris, odrzucasz najlepszą...

- *Zamknij się, do cholery!* - Z krzyku przebijała furia. - Co ty o tym wiesz, Mike, co ty, kurwa, o tym wiesz?

- Wiem...

Chris gwałtownie mu przerwał.

- Spróbuj chociaż przez dziesięć minut dochowywać wierności Suki, dobra? Spróbuj dla odmiany zachowywać się jak odpowiedzialny ojciec i mąż. Wyciągnij fiuta z Sally Hunting, Liz Linshaw i kogo tam jeszcze obrabiasz. Proszę. Podoba ci się, Mike? Nie jest to przyjemne, prawda?

- Nie spotykam się teraz z Liz - powiedział spokojnie Mike. - Ma dużo pracy. A Sally Hunting nie pieprzyłem już przynajmniej sześć lat. Może lepiej upewnij się co do faktów, zanim zaczniesz wrzeszczeć.

- Sam bym tego lepiej nie ujął.

Stali naprzeciw siebie nad maską BMW. Z daleka dobiegł ich bardzo cichy odgłos silnika. W końcu Mike Bryant wzruszył ramionami.

- Dobra - powiedział. - Jeśli tego chcesz. Ale będzie tak, jak powiedziałem. Schodzisz z konta MGP i...

Odezwał się jego telefon. Skrzywił się i wyciągnął go, po czym niecierpliwym gestem przystawił do ucha.

- Tak, Bryant. Na obwodnicy, czemu? Tak, jest tu ze mną.

Podał telefon Chrisowi.

- Hewitt-wyjaśnił.

* * *

Louise Hewitt siedziała za swoim biurkiem z rękami rozłożonymi na jego blacie, jakby mogła tam znaleźć wbudowaną broń, która rozsmarowałaby Chrisa po dywanie. Mówiła lodowatym głosem.

- Cóż, cieszę się, że wróciłeś z pikniku. Jest kilka rzeczy, którymi trzeba się zająć.

Chris czekał.

- Przede wszystkim chcę, żebyś przesłał swoje pliki o MGP na biurko Philipa Hamiltona najszybciej, jak to możliwe. Będzie potrzebował twoich kontaktów w Panama City, informacji o Barranco i wszystkich pozostałych partyzantach, nad którymi pracowałeś w Hammett McColl. - Posłała mu sztuczny uśmiech. - Ponieważ wróciliśmy do wspierania reżimu, wszystko, co masz, może mieć jakąś wartość.

- W takim razie powinnaś odwołać ten przetarg agencyjny na Lopeza. On zna teren. Trudno tego nie doceniać.

Obejrzała go od stóp do głów, niczym egzemplarz jakiegoś gatunku, który uważała za wymarły.

- Zdumiewające, Chris. Zadziwia mnie twoja zdolność do źle ulokowanej lojalności.

Jednakże myślę, iż na odprawie zgodziliśmy się, że kluczowe znaczenie ma kompletna izolacja od przeszłości. Nie wiadomo, jakich niewygodnych powiązań dorobił się Lopez. Może, och, *związał* się z Vicente Barranco równie mocno, jak ty. Z tego co czytałam, ten człowiek ma ogromną charyzmę.

Nic. Nie da jej satysfakcji.

- Ale odbiegam od tematu - gładko powiedziała Hewitt. - Poza tym chcę, żebyś przygotował formalne oświadczenie z przeprosinami za twoje dzisiejsze zachowanie. Umieścimy je w sieci wewnętrznej. Po pierwsze i najważniejsze, oznacza to przeprosiny za twój godny strefy wybuch w trakcie prezentacji Philipa, ale nie tylko. Są inne sprawy. Czuję, i zgadza się z tym nasz starszy partner, że przeprosiny powinny objąć również brak konsultacji ze współpracownikami przed podjęciem decyzji związanej z klientem.

- Notley tak powiedział?

Znów sztuczny uśmiech.

- On cię nie popiera, nie miej złudzeń. Notley interesuje się wyłącznie sukcesem Inwestycji Konfliktowych Shorn, i może okazjami, żeby pomachać brytyjską flagą. Powiedzmy, że takie ma hobby. To wszystko, nie ma nic więcej. W tej chwili uważa cię za niezbędny element dobrze pracującego działu. Jak dotąd, nie udało mi się go przekonać, że jest przeciwnie, ale myślę, że sporo mi dzisiaj pomogłeś. Kiedyś już ci powiedziałam, że go zawiedziesz, i myślę, że się do tego zbliżasz.

- To by cię uszczęśliwiło, nieprawdaż?

- Uszczęśliwiłoby mnie, gdybym mogła zdjąć nasz plastik z twojego lekko przypalonego i pokiereszowanego trupa. - Wzruszyła ramionami. - Oczywiście, nie mam na to szans. Polityka firmy nie pozwala na pojedynki partnerów z pracownikami. Ale myślę, że dożyję dnia, gdy wykopią cię z Shorn z powrotem do egzystencji nadrzecznych slumsów, która ci najlepiej odpowiada. Codziennie staje się to bardziej oczywiste. Nie pasujesz tu.

Co dziwne, wywołało to u niego uśmiech.

- Cóż, Louise, nie jesteś jedyną osobą, która tak uważa.

Zarobił ostre spojrzenie, ale Hewitt nie chwyciła przynęty.

- Zgodziliśmy się z Notleyem, że powinieneś przygotować wersję wstępną przeprosin i pokazać ją Philipowi. Pierwsza wersja dziś wieczorem. To minimalne wymaganie, jeśli chcesz dalej pracować w tej firmie. Philip bierze w tej chwili udział w telekonferencji z Echevarrią, ale skończy przed szóstą. Zanieś mu to do akceptacji. Możesz przy okazji przeprosić go bezpośrednio. - Popatrzyła na niego z ponurym rozbawieniem w kącikach ust. - Taki osobisty akcent. Ręka na zgodę.

Wyszedł bez słowa. Louise Hewitt przyglądała się, jak opuszcza gabinet, i gdy zamknęły się za nim drzwi, uśmiech na jej ustach się poszerzył.

* * *

Podjęcie decyzji zajęło mu tyle czasu, co dojście do własnego gabinetu. Jedno piętro schodami i korytarz. Nikogo nie zobaczył. Wyciągnął rękę do drzwi ze swoim nazwiskiem, przez dziesięć sekund stał przed metaliczną płaszczyzną, a potem się odwrócił.

Przeszedł już tuzin kroków i przyspieszał, zanim do końca dotarło do niego, co zamierza zrobić.

Dbam o swoich ludzi.

Drogę znalazł prawie odruchowo, przez większość czasu myśląc o Carli i o tym, jak cholernie szczęśliwa byłaby, widząc, jak jego życie rozpada się w proch. Główne wejście do sali telekonferencyjnej było zablokowane, ale znał kod do pokoju podglądu. Wszedł do środka. Zajrzał przez mrok i szklaną ścianę.

W sali konferencyjnej Philip Hamilton siedział naprzeciw hologramu Francisco Echevarrii. Syn dyktatora ubrany był ze zwykłym splendorem Susany Ingram. Wobec miękkości i lekkiej niechlujności Hamiltona wyglądał twardo i nieprzejednanie.

- ...świadomi, że ma pan przyjaciół w Miami, i nie chcemy wykluczać ich z tych obrad. Powinien pan porozmawiać z Martinem Meldreckiem w Calders, który bez wątpienia...

Dość. Wstukał kod otwierający drzwi między pomieszczeniami i stanął nagle za Hamiltonem. Oczy Echevarrii rozszerzyły się, gdy wszedł w pole transmisji holoskanera, i wiedział, że w sali po drugiej stronie świata pojawił się jak duch na uczcie.

Hamilton wykręcił się na fotelu.

- Faulkner. - Jeszcze się nie martwił, po prostu był zaskoczony. Do jego głosu przebiła się złość. - Co ty sobie myślisz, przeszkadzasz mi w rozmowie z klientem.

Chris wyszczerzył się do niego.

- Chciałeś mojego oświadczenia.

- Tak. W stosownej chwili. Teraz jestem zajęty. Możesz...

Chris go uderzył. Otwartą dłonią. Trafił Hamiltona w bok głowy, zrzucając go z fotela.

- Pierwsza wersja. - Chris chwycił go za włosy, podciągnął i uderzył jeszcze raz, tym razem pięścią. Poczul, jak pęka nos młodszego partnera. Walnął go jeszcze raz dla pewności i puścił. Hamilton padł na podłogę jak worek. Chris odwrócił się i spojrzał w oczy Francisco Echevarrii.

- Cześć, Paco. - Opanował oddech, poprawił włosy. - Nie znasz mnie, co? Pozwól, że się przedstawię. Jestem facetem, który zatłukł twojego ojca na śmierć.

Twarz Echevarrii się ściągnęła.

- Oszalałeś, człowieku? Nie ty go zabiłeś.

Chris usiadł na fotelu.

- Ależ tak, zrobiłem to. Ta historia z terrorystami to coś, co zaaranżowaliśmy później, żeby ukryć, co się naprawdę stało. Ci z CE... ci faceci przyznali się do zabójstwa, bo daje im to prestiż. Twój ojciec był starym pierdzielem i każdy, kto by go zabił, mógłby być z tego dumny.

- Zapiardolę cię za to. - Syn dyktatora wpatrywał się w niego jak zahipnotyzowany. - *Zajebię.*

- Och, proszę. *Jak* mówiłem, nie ma mowy, żeby ta banda zdobyła się na to, żeby zrobić coś takiego na ulicach Londynu i uciec. Tak więc, *to ja* zabiłem twojego staruszka. Zatłukłem go na śmierć, w tej sali, kijem bejsbolowym. Wszystko w ramach codziennej pracy dla korporacji Shorn. Jeśli mi nie wierzysz, zapytaj Mike'a Bryanta, jestem jego kolegą.

- Ty... - Młody Echevarria miał zdławiony głos.

- To właśnie tu robimy, Paco. Neoliberalne zarządzanie komercyjne. Globalny chaos, zdalnie sterowana śmierć i zniszczenie. Siły rynku w działaniu. Jeśli ci się to nie podoba...

Z boku zaszarżował Hamilton.

Chris miał czas poczuć podziw - *pierdziel nie wyglądał, jakby było go na to stać* - a

potem fotel się wywrócił i młodszy partner zwałił się na niego, brocząc krwią ze złamanego nosa, i ze zdumiewającą siłą sięgnął miękkimi dłońmi do jego szyi.

Chris nie tracił czasu na przepychanki. Chwycił mały palec prawej ręki Hamiltona, wywinął go i złamał. Hamilton stęknął i puścił. Chris zerwał się z podłogi jak sprężyna i walnął partnera w gardło. Hamilton szarpnął się w tył na jednej nodze, chwytając się za uderzone miejsce. Gdzieś na drugim końcu świata Echevarria wrzeszczał coś po hiszpańsku. Chris złapał równowagę i ruszył za Hamiltonem. Oczy partnera otworzyły się szerzej. Chris wyprowadził cios, przed którym tamten uskoczył i spróbował niezdarnie zablokować, drugą ręką wciąż trzymając się za gardło. W bloku nie było za dużo siły, a i tak dyszał. Chris niecierpliwie powtórzył uderzenie, złapał Hamiltona za nadgarstek znanym sobie chwytem aikido i szarpiąc ku sobie, wytrącił partnera z równowagi. Uderzył nisko w szeroki brzuch, a gdy partner stęknął, chwycił za kark i szarpnął w górę i w bok.

Włożył w to furję całego dnia.

Złamał Hamiltonowi kark.

Chris usłyszał przytłumiony trzask i gdy partner zwisał bezwładnie w jego chwycie, wypłynęła z niego cała złość. Puścił Hamiltona, który padł na podłogę. Odwrócił się z powrotem do Echevarrii i kotłujących się wokół niego pomocników w garniturach. Patrzyli na niego jak wystraszone dzieci.

Odchrząknął.

- Gdzie...

Uderzyło w niego coś zimnego i ostrego. Zamrugał i unióś rękę, widząc kłęby srebrnego drutu wychodzącego z jego ciała i niknącego w pustce. Zaczynał się odwracać w stronę drzwi, kiedy pistolet ogłuszający zadziałał, wzbudzając fontanny iskier. Zapachniało palonym plastikiem. Wstrząs rzucił go na stół, gdzie został przez chwilę z otwartymi oczami.

W otwartych drzwiach stała Louise Hewitt z pistoletem w dłoniach, przyglądając się, jak pada.

Ostatnią rzeczą jaką zobaczył, był jej uśmiech.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Cela miała mniej więcej trzy na trzy metry i bardzo delikatnie pachniała świeżą farbą, która pokrywała ściany grubymi, pastelowymi warstwami. Pod jedną ze ścian stało wygodne łóżko o stalowej ramie, biurko z trzema szufladami pod oknem i kabina łazienkowa w rogu. Obok niej na podgrzewanym wieszaku wisiał prosty biały ręcznik, a przy nim haczyki i półki na ubrania. Wyposażenie zrobione było z dobrej jakości drewna i metalu. Okno z pancernego szkła z dyskretnym logo producenta w jednym z rogów wychodziło na rzekę. Ogólnie rzecz biorąc, miejsce nie było gorsze niż niektóre hotele, w których Chrisowi zdarzało się mieszkać, a oferowało zdecydowanie lepsze warunki niż dowolny pokój mieszkania Erika Nyquista w Brundtlandzie.

Na ile mógł stwierdzić, był jedyną osobą w więzieniu.

Gość honorowy, pomyślał, usypiając poprzedniego wieczora. Pełna obsługa.

Prawdę mówiąc, wydawało się, że korporacyjna policja nie wie, co z nim zrobić. Na początku zabrali mu telefon i portfel, ale poza tym podstawowym środkiem prewencyjnym odnosił wrażenie, że wszystko wymyślają na bieżąco. Nie byli przyzwyczajeni do przetrzymywania dyrektora za cokolwiek więcej niż bójkę po pijanemu czy okazjonalne naruszenie zasad zawodowych. Większość ich obowiązków polegała na czymś innym - śledztwach w sprawach, w których ofiarami byli pracownicy korporacji, ale sprawcy nie mieli związku z firmą. Ktokolwiek z tej kategorii, kto dostałby się do tego więzienia żywcem, zostałby niezwłocznie przekazany konwencjonalnej policji, co uruchamiało haniebne procesy państwowego wymiaru sprawiedliwości.

Tym razem ofiarą był pracownik korporacji, ale przestępca też należał do grona uprzywilejowanych.

Co takiego?

Morderstwo, powiedzieli, ale do diabła, przecież ci faceci robią to sobie na drodze praktycznie co miesiąc.

To coś innego.

Wszystkich to dezorientowało. W powstałej w ten sposób pustce Chrisowi przyznano status gdzieś między czczoną gwiazdą, a niebezpiecznym szaleńcem. Przynajmniej pierwszą z tych ról już uczył się grać.

Dni wlokły się jak powolne ściąganie olbrzymich plików.

Trzy razy dziennie dostawał do celi posiłek dostarczany na tacy przez dwóch umundurowanych funkcjonariuszy, z których jeden pilnował drzwi, a drugi stawiał tacę na biurku. Godzinę później tacę zabierała ta sama dwójka, ale dopiero po sprawdzeniu, czy nie brakuje sztućców. Obaj mężczyźni byli dość przyjaźni, choć cały czas patrzyli na niego z uwagą.

Bezradność była jak dwie zaciśnięte pięści i drut pod prądem biegnący przez jego głowę. Lopez, Barranco, konto MGR. Nic nie mógł zrobić.

Inna ekipa, również męska, eskortowała go z celi po śniadaniu i lunchu na godzinną gimnastykę. Maszerowali dobrze utrzymanymi korytarzami i po schodach wychodzących na wewnętrzny dziedziniec. W wysypanych żwirnym otworach rosło sporo roślin i drzew,

mieściła się tam też duża fontanna, a mniej więcej jedna trzecia dziedzińca osłonięta była szklanym dachem. Eskortą zostawiała go samego na dziedzińcu, zamykała drzwi i pilnowała go z oszklonej galeryjki powyżej. Przez pierwsze kilka razy spacerował po placu bez celu, nie mając więcej niż bardzo ogólne pojęcie na temat tego, czego od niego oczekiwano. Kiedy wreszcie to sobie uświadomił, przestał spacerować i większość czasu spędzał, siedząc na brzegu fontanny. Zatracał się w jej szumie, snuł beznadziejne plany uratowania Joaquina Lopeza z areny i marzył o kierowaniu saabem.

Kiedy stało się jasne, że szybko stąd nie odejdzie, dostał nowe ubrania. Trzy zmiany dobrej jakości odzieży sportowej w ciemnym kolorze i tuzin zestawów bawełnianej bielizny. Zapytał kobietę, która z tym przyszła, jak ma zapłacić, gotówką czy kartą a ona przybrała zakłopotany wyraz twarzy.

- Rachunek wystawiamy na pana firmę - przyznała w końcu.

Nie miał żadnych gości, za co w sumie był wdzięczny. Nie wiedziałby, co powiedzieć żadnemu ze swoich znajomych.

Godziny między posiłkami ciągnęły się niemiłosiernie. Nie pamiętał czasów, kiedy mniej od niego wymagano. Jeden ze strażników zaoferował mu dostarczenie jakichś książek, ale kiedy pakiet dotarł, okazało się, że składa się nań pół tuzina wysłużonych tytułów w miękkich okładkach i to autorów, o których Chris nigdy nie słyszał. Wybrał jedną na ślepo, drastycznie brutalny kryminał z przyszłości o detektywie, który mógł dowolnie zmieniać ciała, ale temat był mu kompletnie obcy i nie potrafił się na tym skupić. Wszystko zdawało się strasznie naciągane.

Zapytano go, czy chce papier i coś do pisania, a on odruchowo potwierdził, po czym nie wiedział, co z nimi zrobić. Próbował spisać relację z wydarzeń, które doprowadziły do śmierci Philipa Hamiltona, głównie, żeby samemu to sobie poukładać, ale wciąż musiał skreślać to, co napisał, i cofać się dalej w przeszłość. Kiedy pierwsza linijka przybrała postać *mój ojciec został zamordowany przez dyrektora o nazwisku Edward Quain*, zrezygnował. Może zainspirowany wcześniejszą lekturą, stworzył wyobrażony raport z konta MGP za pięć lat, po przejęciu władzy przez Barranco i wprowadzeniu przez niego powszechnej reformy rolnej. To też zdawało się bardzo wydumane.

Zaczął pisać list do Carli i podarł go, nie kończąc nawet dziesiątej linijki. Nie potrafił wymyślić niczego, co warte byłoby powiedzenia.

Skończył się tydzień. Zaczął się następny.

Przyszło po niego Shorn.

* * *

Był na porannym spacerze, przegnany ze zwykłego miejsca przy fontannie przez upartą, gęstą mżawkę, która przemoczyła odsłoniętą część dziedzińca i ograniczyła go do części przykrytej dachem. Jego eskorta posłusznie przyciągnęła mu skądś ławkę, siedział więc na jej końcu i wpatrywał się w ścianę wody, spadającą ledwie o pół metra od niego.

Miał wrażenie, że chociaż rośliny cieszą się z deszczu.

Drzwi na dziedzińcu otworzyły się nagle, a on, zaskoczony, spojrzął na zegarek. Był tu dopiero dwadzieścia minut. Podniósł wzrok i zobaczył stojącą w nich Louise Hewitt. Widział ją pierwszy raz, od kiedy strzeliła do niego z pistoletu obezwładniającego. Odwrócił się z powrotem do deszczu.

- Dzień dobry, Faulkner. Mogę się przysiąść?
Spojrzał na swoje dłonie.

- Pewnie powstrzymają mnie, jeśli spróbuję ci skrócić kark.

- Spróbuj mnie tknąć pieprzonym palcem, a sama cię powstrzymam - powiedziała spokojnie. - Wiesz, nie tylko ty tu ćwiczyłeś karate.

Wzruszył ramionami.

- Uznam to za zgodę.

Poczuł, jak ławka ugina się lekko, gdy usiadła na drugim jej końcu. Siedzieli o metr od siebie. Deszcz padał w ciszy, sycząc cicho.

- Liz Linshaw przesyła pozdrowienia - odezwała się w końcu Hewitt.

Obrócił głowę.

- Cóż - przyznała. - Parafrazując. Właściwie powiedziała, *ty pieprzona suko, nie możesz go tak długo trzymać bez zarzutów, chcę się z nim widzieć*. Oczywiście, nie ma racji. Możemy cię tu trzymać praktycznie w nieskończoność.

Chris znów odwrócił się do deszczu, zaciskając szczęki.

- Choć nie planujemy. Prawdę mówiąc, dokumenty zwolnienia powinny nadejść jutro rano. Możesz wrócić do domu albo do tego drogiego hotelowego gniazdka miłości. Chcesz wiedzieć, jak to możliwe?

Słumił pragnienie, by spytać. Nie zamierzał dawać jej tej satysfakcji. Nie było to łatwe. Był spragniony szczegółów ze świata na zewnątrz, czegokolwiek, co dałoby zajęcie szaleńczo kręcącym się trybikom w jego głowie.

- I tak ci powiem. Jutro jest czwartek, powinienes stąd wyjść najpóźniej w porze lunchu. Będziesz miał prawie dzień przed jazdą. Wyzwanie zgłosiliśmy na piątek, to tradycja w Shorn. Daje wszystkim weekend na oswojenie się z wynikiem.

- O czym ty, do cholery, mówisz, Hewitt? - Bezczelność dostatecznie ukryła pytanie, by usprawiedliwić złamanie milczenia. - Jakie wyzwanie?

- Partnerskie. O miejsce Philipa Hamiltona.

Parsknął śmiechem.

- Nie chcę pracy pieprzonego Hamiltona.

- Och tak, chcesz. Prawdę mówiąc, tuż przed zabiciem go zgłosiłeś formalne wyzwanie. Jak na ironię, z powodu nieprofesjonalnego postępowania w związku z kontem MGP - Sięgnęła do kieszeni marynarki i wyciągnęła pada. - Mogę ci pokazać, jeśli chcesz.

- Nie, dzięki. Nie wiem, co za łajno gotujesz, Hewitt, ale to nie wypali. Znasz zasady, sama mi o nich powiedziałaś w zeszłym tygodniu. Żadnych pojedynków przez granicę partnerów/pracowników.

- Cóż, zgadzam się, postąpiłeś nieortodoksyjnie. Ale, jak wiesz, nasz starszy partner jest dużym fanem ustalania zasad przez precedensy. Zgodził się, żeby tym razem przymknąć trochę oko. Najwyraźniej już od jakiegoś czasu widział cię w roli partnera. Oczywiście ciebie *lub* Mike'a Bryanta.

I wtedy to wszystko na niego spadło, jak burzenie domu, któremu przyglądał się w dzieciństwie. Wybuchy rozerwały coś, co uważał za niewzruszoną strukturę, linie pęknięć i proste przechylającej się budowli, spadającej i niknącej w chaosie kotłującego się gruzu i pyłu przy asyście gapiów. Nie widział jeszcze wyraźnie gruzów, ale wyczuwał ich zarys.

- Mike nie będzie jechał przeciwko mnie - powiedział bez przekonania.

Hewitt się uśmiechnęła.

- Ależ tak, będzie. Rozmawiałam z nim. A dokładniej, rozmawiałam z nim o udziałach, bogactwie kapitałowym, bezpieczeństwie statusu partnera, zachowaniu profesjonalnym i nieprofesjonalnym oraz niebezpieczeństwach nieposłuszeństwa. Och, oraz o tożsamości twojego tajemniczego gościa hotelowego przez ostatnie kilka tygodni.

- O czym ty, do cholery, mówisz? - Ale mówiąc to, zaczął czuć rozpacz, bo już wiedział.

- Nie bądź tępy, Chris. Mam szczegółowe nagrania z mikrokamer w domu Liz i z twojego hotelu. Powinieneś zobaczyć twarz Mike'a, kiedy *to* zobaczył.

- Bzdura.

- Nie - zaprzeczyła prawie uprzejmie. - Przygotowywałam to od miesięcy, Chris. Jak myślisz, kto wysłał ci to przedstawienie Donny? - Poczekała na odpowiedź, ale żadnej nie dostała. Westchnęła. - Prawda, Linshaw i tak dość ostro się już na ciebie napaliła, biorąc ją wyścigi. Ale mimo wszystko uważam, że należy mi się uznanie. Gdyby nie ja, pewnie uprawiałbyś wciąż te same stare numerki ze swoją norweską mechaniczką.

Chris pokiwał głową. Wciąż falami ogarniał go szok.

- Wystawiłaś mnie z Hamiltonem, nie? Wiedziałaś, co zrobię.

- Zdawało się to prawdopodobne. - Hewitt obejrzała swoje paznokcie. - Prawdę mówiąc, nie byłam pewna, że osiągnę aż tak dobre wyniki. Zamierzałam umieścić was z Hamiltonem na kursie kolizyjnym, to oczywista strategia czystych zysków, sprawy Lopeza i Barranco mogły cię nakreślić, dowiodłeś tego z Echevarrią seniorem. Wystarczyło zażądać spłaty drobnej przysługi w Langley, ściągnąć cię z konta i proszę. Ale mimo wszystko, Chris, jestem pod wrażeniem. Naprawdę zdołałeś napaskudzić bardziej, niż śmiałam marzyć. Nie wiem, co sobie myślałeś. Jeśli w *ogóle* myślałeś.

- Nie zrozumiałabyś - powiedział cicho Chris.

- Tak, nie rozumiem. Porwała cię nowa, piękna wizja Barranco... choć właściwie to dość haniebna, stara wizja, ale zostaniemy przy tym... i jakaś lojalność macho z Joaquinem Lopezem. Zastanawiam się tylko, co chciałeś osiągnąć, rozwalając Hamiltona.

Był to promyczek światła, prawie wart uśmiechu.

- Mylisz się, Louise. Zniszczenie Hamiltona było przypadkiem. Po prostu wszedł mi w drogę. Rzecz w tym, że twoja umowa z Echevarrią jest spieprzona. Nigdy więcej nie tknie Shorn.

- Cóż, przekonamy się. Ten młodzieniec jest inteligentniejszy, niż myślisz, i jeśli pokażemy mu twoje spalone zwłoki przydeptane butem Mike'a Bryanta, to cóż, kto wie?

Złożył ręce.

- Nie zrobię tego, Louise.

- Ależ zrobisz. - Jej głos przybrał paskudne tony. - Ponieważ jeśli odmówisz, śmierć Philipa Hamiltona będzie tylko morderstwem, i błyskawicznie powędrujesz do banku narządów. Takie masz opcje, Chris. Zginąć na drodze albo na wózku w St Bart. Oba sposoby mi odpowiadają.

Nachyliła się bliżej. Dostatecznie blisko, by wyczuł zapach jej perfum pomimo deszczu, czysty, ostry i lekko pikantny. Jej głos zabrzmiał ostrym warknięciem.

- I niezależnie od tego, co wybierzesz, Chris, kiedy już to się stanie, gdy będziesz odchodził, pamiętaj tylko o Nicku Makinie.

Chris spojrział na nią, tak naprawdę niezaskoczony.

- Makin, co?

- Tak jest. - Wyprostowała się z powrotem. - Makin.

- Tak jak mówiłem od początku. Twój kochaś został odsunięty, więc wysłaś go, żeby mnie zabił. - Potrząsnął głową. - Wraz z jego kolesiami z gangu. Bardzo dzielnie postąpiłaś.

- Wcale nie musiałam go wysłać, Chris. Nienawidził cię za friko. Jeśli już... - Zamknęła usta, odwróciła wzrok. Zamrugła. - Jeśli już, to próbowałam go od tego odciągnąć, bo wiedziałam, że to nie jest potrzebne. Wiedziałam, że prędzej czy później coś spieprzysz. I nie mów mi o odwadze, Chris. Nie kiedy zastrzełiłeś Mitsue Jones z małej odległości, gdy była ranna i uwięziona we wraku. Nie z krwią osiemdziesięciolatka na rękach. W końcu niczym się ode mnie nie różnisz.

- Nie? - Zauważył słaby punkt i zaatakował. Przedrzeźniał jej sposób mówienia. - Próbowalaś go odciągnąć? Daj spokój, Louise, gdybyś chciała powstrzymać Makina, zrobiłabyś to. Nie był taki silny. Pozwoliłaś na to, bo pasowało ci to do rozgrywki. W środku nocy możesz sobie mówić, co chcesz, ale nie próbuj mi tego sprzedawać. W końcu był tylko jeszcze jednym pionkiem w twojej grze.

- Pionkiem. Ach, tak, szachista. - Znów była czerwona, ale głos miała spokojny. - Wiesz, sama też trochę grywam w szachy, Chris. Nigdy nie robiłam wokół tego szumu, jak niektórzy, ale gram. I to bardzo ograniczona gra. W końcu sprowadza się do ciebie i przeciwnika. To nie jest dobry model tego, co my robimy, Chris. W ogóle nie jest to dobry model życia. Oczywiście, to bardzo męskie, walka jeden na jednego, proste i miłe. Ale nierzeczywiste. Musisz się rozwinąć, zagrać w coś jak AlphaMesh czy Linkage. Coś co wymaga wielu umiejętności i sojuszy.

- Tak, to zdecydowanie do ciebie pasuje.

- To świat, Chris. Rozejrzyj się. Widzisz szachistów? Oczywiście, ale to właśnie głupie pierdziele z trzeciego świata, wysyłające pionki, żeby pozabijały się w walce o czterdziestomilowy pas pustyni czy o to, jakiego koloru piżamę lubi nosić Bóg. My, Chris, jesteśmy graczami w AlphaMesh. Domy inwestycyjne, konsultanci, korporacje. Przesuwamy, zmieniamy, renegejujemy, a gra wciąż podąża za nami. Sterujemy tymi zacofanymi palantami naładowanymi testosteronem, rozgrywamy ich przeciw sobie nawzajem, a oni płacą nam za ten przywilej.

- Dzięki za oświecenie.

- No cóż. - Wstała. - Zdradzę ci jeszcze coś. Kiedy Mike Bryant zepchnie cię w piątek z drogi, panie Szachisto - a zrobi to, bo jest twardszy i szybszy od ciebie - kiedy to się stanie, pamiętaj. Nie przegrałeś z nim, przegrałeś ze mną.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Padło niemal ciągle przez całą noc i sporą część następnego ranka. Ostatnie krople spadały, gdy Chris jadł śniadanie, a gdy skończył, niebo zaczęło się przejaśniać. Rozkaz zwolnienia go przyszedł mniej więcej godzinę później. Ekipa po odbiór tacy przysłała wyjątkowo rozpromieniona. Powiedzieli mu, że może wyjść, kiedy tylko zechce. Przynieśli jego telefon i portfel oraz małą torbę na ubrania, a ten, który pożyczył mu książki, zaproponował, że może je zatrzymać, jeśli zaczął coś czytać. Chris stwierdził, że raczej nie będzie to możliwe.

Na zewnątrz miasto wciąż było mokre od deszczu, a powietrze pachniało czystością. Woda przegoniła z ulic ludzi, rozsiewając złudne wrażenie niedzieli. Przy krawężniku czekała na niego pokryta kroplami wody limuzyna Shorn z włączonym silnikiem.

- Musimy się pospieszyć, sir - powiedział do niego szofer. - Informacja prasowa mówi o czwartej dziś po południu, ale nigdy nie wiadomo. Nawet korporacyjne gliny czasem puszczają przecieki. Za wiadomości o kierowcach zawsze ktoś gotów zapłacić, nie?

Okazało się jednak, że jego cynizm pozbawiony był podstaw. Droga do hotelu minęła bez przygód, a szofer dał mu spokój. Dopiero, gdy jego pasażer wysiadał, pękł profesjonalny chłód. Odczekał, aż Chris ruszy w stronę schodów hotelu, po czym wychylił się przez okno i wystawił głowę nad dach limuzyny.

- Powodzenia, sir - zawołał.

Chris odwrócił się i spojrzał na niego.

- Czyli nie jesteś fanem Bryanta? - zapytał nie do końca spokojnie.

- Nie, sir. Nie chciałem nic mówić wcześniej, w samochodzie, na wypadek gdyby pan uznał, że coś próbuję od pana wyciągnąć. Ale jutro będę kibicował panu. I stawiam też na pana.

- To... bardzo miłe z twojej strony. - Próba ironii przepadła niezauważona. - Masz jakiś powód, dla którego nie lubisz Bryanta? - *Bo jasne jak diabli, że jest lepszym kierowcą niż ja.*

Szofer wzruszył ramionami.

- Nie mogę się zmusić, żeby go polubić. Oczywiście, niczego pan nie słyszał, sir.

- Czego?

Szofer się uśmiechnął.

- Jak powiedziałem, będę panu kibicował.

Chris przyglądał się, jak limuzyna odjeżdża, unieruchomiony przemożnym pragnieniem zamiany miejsc z szoferem. *Bezpieczna praca techniczna, pewnie preferencyjne mieszkanie. Skromne środki, skromne życie i zapewniona przyszłość mierzona w dekadach, nie dniach. Spójrz na niego, nie ma się czym martwić.*

Nagle zrobiło mu się niedobrze.

Kiedy dotarł do pokoju, w pełni opadło go poczucie nierealności. Jediną widoczną zmianą od kiedy wyszedł do pracy w dniu zamordowania Philipa Hamiltona, był brak Liz Linshaw zwiniętej we śnie na łóżku.

Oraz teczka z dokumentami na biurku.

Zerwał pieczęcie i przejrzał papiery - standardowa dokumentacja wyzwania, zgoda na

zawieszenie zwykłej ochrony prawnej, wypisane zasady i odnośnik do drogowego statutu korporacyjnego z dwa tysiące czterdziestego pierwszego (skorygowanego). Szczegóły okna pojedynkowego, zdjęcia satelitarne i aktualne komentarze odnośnie nawierzchni od odpowiednich służb. Droga wiodła na M11, praktycznie wprost spod jego domu, przez tunel i nad sekcją na słupach, Gullet, nad północnowschodnimi strefami i w dół. Stary faworyt. Żadnych zmian autostrad czy ramp, wdepnąć i jechać. Proste i brutalne.

W kieszeni marynarki zadzwoniła komórka. Po dziesięciu dniach bez telefonu minęła chwila, nim rozpoznał ten dźwięk. Wyciągnął telefon, zidentyfikował połączenie video od Liz i odebrał.

- Chris. - Patrzyła na niego z maleńkiego ekranu z trochę podkrążonymi oczami, i nie potrafił stłumić poczucia satysfakcji. - Dzięki Bogu, wypuścili cię.

- Musiałś sporo zapłacić za informacje.

Jej uśmiech był trochę wymuszony.

- Taki zawód, Chris. Na tym polega dziennikarstwo. Zakładam, że wiesz, co się dzieje.

- Tak, wczoraj podano mi szczegóły. Mike się z tobą kontaktował?

- Tak. - Skrzywiła się. - Nie była to rozmowa, którą chciałabym powtórzyć.

Chris spróbował wymyślić jakąś inteligentną uwagę.

- Przypuszczam, że traktował cię znacznie poważniej, niż chciał przyznać.

- Tak, i ciebie też, Chris. Najwyraźniej to właśnie najmocniej go zabolowało. Przynajmniej na ile mogłam zrozumieć między wykrzyknikami.

- Tak, cóż...

Długa przerwa.

- Chris, czy ty naprawdę zamierzasz...

- Naprawdę nie chcę o tym rozmawiać, Liz.

- Tak. Dobrze. - Zawahała się. - Chcesz, żebym przyjechała?

Znów skurcz w żołądku. Czysta cholerna niewiara w to, co miało się stać. Rosnąca, dławiąca kula strachu. - Ja, och...

- Dobrze. W porządku, rozumiem.

- Dobrze.

Rozmowa skwierczała jeszcze parę sekund, po czym zgasła. Prawie formalnie powiedzieli sobie do widzenia i rozłączyli się.

Siedział na brzegu łóżka i przez chwilę wpatrywał się w telefon. W końcu zadzwonił do Mike'a.

- Cześć, Chris. - W głosie i oczach Mike'a była pustka, która powiedziała mu wszystko, co chciał wiedzieć. Mógł się od razu rozłączyć.

Mimo wszystko spróbował.

- Mike, nie możesz tego traktować poważnie.

- Czego mianowicie, Chris? Szlaku trupów w sali konferencyjnej Shorn? Politycznego poparcia terrorystów? Czy może miałeś na myśli pieprzenie kobiety najlepszego przyjaciela?

- Hej. Ożeniłeś się z Suki, nie z Liz.

- Czy kojarzą ci się z czymś słowa *nie trzeba mi twoich porad małżeńskich*?

- Słuchaj, Mike, jadę do biura. Porozmawiamy o...

- Nie, nie porozmawiamy. Biorę dzisiaj pół dnia wolnego. Pewnie się ucieszysz,

słyszając, że spędzę go z Suki.

- W takim razie przyjadę do ciebie do domu.

- Zrób to, a wbiję ci zęby do gardła na schodach. - Mike uśmiechnął się drapieżnie. - Po prostu zostań, gdzie jesteś, i wypieprz jeszcze kilka razy Liz, póki masz szansę. Jeśli ci teraz stanie.

Chris nie wytrzymał.

- Ach, pieprz się, *dupku!* Do zobaczenia na drodze!

Rzucił telefonem przez pokój; uderzył o ścianę i odbił się, spadając bez uszkodzeń na podłogę.

* * *

Wykonał jeszcze jeden telefon. Właściwie dwa, ale kiedy zadzwonił do domu na Hawkspur Green, nikt nie odpowiedział. Filozoficznie wzruszył ramionami i odkopał z pamięci telefonu numer Erika Nyquista. Wyciekający olej w zderzeniu czołowym. Nie mogło boleć bardziej niż to, co już przełknął.

Norweg obszedł się z nim zdumiewająco łagodnie.

- Nie ma jej tu, Chris - powiedział. - I szczerze mówiąc, nawet gdyby była, nie wiem, czy chciałyby z tobą rozmawiać.

- W porządku... och, rozumiem. Nie wiesz, czy nie ma jej w domu? Próbowałem tam zadzwonić, nie żeby porozmawiać, tylko żeby ostrzec, że tam przyjadę. - Usłyszał niezdarne wahanie własnego głosu i urwał. Potarł twarz, zadowolony, że Erik nie ma videofonu. - Zamierzam dziś po południu odebrać saaba. Nie chcę jej zaskakiwać, wiesz, gdyby nie chciała... och, mnie widzieć.

- Nie pojechała do domu - rzucił Nyquist i Chris zrozumiał, że ona tam jest, może stoi tuż obok ojca w ciasnym, zagraconym saloniku, może w kuchni, plecami do niego, próbując nie słuchać.

- Dobrze. - Odchrząknął, oczyszczając gardło z nieoczekiwanej blokady. - Słuchaj, Erik. Powiedz jej... To znaczy, kiedy się z nią spotkasz, powiedz jej, że musi mieszkać w Anglii jeszcze przez sześć miesięcy. W innym wypadku mój testament zostanie unieważniony. Straci opcje na udziały i ubezpieczenie hipoteczne na dom. Jeśli wróci do Norwegii, Shorn wszystko zgarnie. Więc, och... Miałoby sens, gdyby jeszcze tu została.

Zanim Erik odpowiedział, przez dłuższą chwilę trwała cisza.

- Przekażę jej - zapewnił.

- Świetnie.

Znów cisza. Żaden z mężczyzn nie był gotów się rozłączyć.

- To znaczy, że zamierzasz jechać? - zapytał w końcu Nyquist.

Chris poczuł ulgę, stwierdzając, że nadal stać go na śmiech.

- Cóż, po prostu powiedzmy, że pozostałe opcje nie są zbyt ciekawe.

- Nie możesz uciec?

- Wstydz się, Erik. Uciekać przed brudnymi korporacyjnymi potworami z Inwestycji Konfliktowych? - Nagle spowaźniał, walcząc z rosnącym strachem. - Nie ma mowy, Erik. Mają mnie pod kontrolą i monitorują. Pamiętasz ten cholerny system, na który zawsze się wściekałeś? To on uniemożliwia mi wykonanie jakiegokolwiek ruchu. Plastik selektywnie unieważniony, korporacyjna policja pilnuje lotnisk i portów. Jeśli jutro rano nie wyjadę na

drogę, będę zwykłym przestępcą w drodze do więziennego szpitala. Nyquist się zawahał.

- Możesz go pokonać? Carla mówi...

- Nie wiem, Erik. Zapytaj mnie jutro po południu, będę miał dla ciebie odpowiedź.

Norweg posłusznie zachichotał. Chris poczuł, jak jego twarz wykrzywia się w odpowiedzi. Nagle ogarnęła go niemal dozgonna wdzięczność, że teść nie potraktował go wrogo. Instynktowna męska solidarność, wsparcie dla jego desperackiej brawury. Nagle zrozumiał, jak mocno zawiódł, nie oferując tego Erikowi w chwilach, gdy tego potrzebował. Jak przyjmował za dobrą monetę uśmiech zapędzonego w róg Norwega, nie dostrzegając tego, czym naprawdę był, gromił go i zostawiał, by cierpieć w samotności. Kiedy to sobie uświadomił, coś wezbrało mu w gardle.

- Jeśli dobrze rozumiem - powiedział Nyquist - wtedy już wszyscy będziemy wiedzieć. Właściwie będziemy oglądać, jak otwierasz szampana. Sieci reklamują pełny przekaz już od wczoraj. Mówią, że sponsoruje go Pirelli i BMW.

Uśmiech Chrisa stopił się w grymas.

- A więc nietrudno zgadnąć, na kogo *oni* stawiają.

- Prawie warto go pokonać, żeby zagrać im na nosie, co?

- Tak, zgadza się. - Chris poczuł, jak wzbiera kolejna bańka strachu. Znów odchrząknął.

- Słuchaj, Erik, muszę kończyć. Mam parę spraw do załatwienia. Muszę się przygotować na te jutrzejsze wywiady, sławę i całą resztę. Och, niełatwo jest być gwiazdą.

- Nie - powiedział bardzo łagodnie Nyquist. - Wiem.

* * *

Podpisał dokumentację wyzwania, wysłał ją gońcem hotelowym do Shorn i usiadł, czekając na potwierdzenie odbioru. Bez entuzjazmu przestudiował zdjęcia trasy i opisy nawierzchni i spróbował luźno wyobrazić sobie drogę z jakimś rodzajem strategii.

Na niczym nie potrafił się skupić. Wciąż nachodziły go wyobrażenia. Jego myśli zwolniły, rozpadając się na bezużyteczne strzępki.

Usłyszał głos Carli.

Nawet pijany, w takim stanie, jest najlepszym kierowcą, jakiego widziałam.

Głos Hewitt.

Kiedy Mike Bryant zepchnie cię w piątek z drogi, panie Szachisto - a zrobi to, bo jest twardszy i szybszy od ciebie - kiedy to się stanie...

Przypomniał sobie sposób jazdy Bryanta. Jego grę w szachy. Głową naprzód, na pełny gaz, radosny w barbarzyńskiej brutalności.

Bryant i bandyci przy samochodzie. Huk nemeksa, padające trupy.

Bryant i Griff Dixon. Nieprzejednany, precyzyjny.

Bryant i Marauder, drażnił bandziora, śmiejąc się w oczekiwaniu na starcie.

Bryant na Crutched Friars, wchodzący bez broni w pojedynek przeciw pięciu ludziom ze strzelbami.

Patrzył na to wszystko zza zasłony zamkniętych oczu.

Znów usłyszał Hewitt.

...Mitsue Jones zastrzelona z bliska w głowę, podczas gdy siedziała ranna i unieruchomiona we wraku...

...krew osiemdziesięciolatka na twoich dłoniach...

W końcu niczym się ode mnie nie różnisz.

Zastanawiał się, czy miała rację.

Cofnął się natychmiast.

Godzinę później stwierdził, że leży na łóżku, luźno rozważając tę myśl, jakby obmacywał złamaną kość czy otwartą ranę, na którą nie odważył się spojrzeć wprost.

W końcu złapał się na nadziei, że może to prawda.

Ponieważ przy braku wszechobecnej nienawiści, która napędzała go po Edwardzie Quainie, nie wiedział, co jeszcze mogłoby utrzymać go jutro przy życiu.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Kiedy włączył telewizor, mówili o nim.

- ...jak na kierowcę tej klasy. Nie tego się chyba spodziewałaś, prawda, Liz?

- Myślę, że to zależy, Ron. - Wyglądała olśniewająco w podkreślającym kształty czarnym golfie z dżerseju, z lekkim makijażem i niedbale upiętymi włosami. Patrzenie na nią sprawiało mu ból. - To prawda, że forma Faulknera od czasu Quaina była zmienna, ale nie musi to znaczyć, że jest zła. Wiem z wywiadów, jakie z nim przeprowadziłam, że po prostu nie uważa brutalności za zaletę.

- W przeciwieństwie do Mike'a Bryanta.

- No cóż, myślę, że znowu upraszczasz. Mike jest bardziej konsekwentny, można by nawet powiedzieć, że bardziej konserwatywny, i tak, z pewnością nie boi się docisnąć gazu do dechy tam, gdzie ma to znaczenie. Ale nie jest ulepiony z tej samej gliny co, powiedzmy ktoś taki jak Yeo z Marinera czy niektórzy importowani kierowcy z Europy Wschodniej. Tam dzikość jest standardem. To zupełnie nie pasuje do Bryanta.

- Znasz ich obu całkiem dobrze.

Skromnie machnęła dłonią.

- Mike Bryant był dla mnie jednym z głównych źródeł informacji podczas pisania książki, *Nowi wojownicy asfaltu*. A między innymi z Chrisem Faulknerem pracowałam nad kontynuacją. Nie chciałabym się tak beczelnie reklamować, ale...

- Nie, nie, proszę.

Uprzejmy śmiech.

- No cóż. Nosi tytuł *Odbicia w asfalcie - za maską kierowcy* i powinna, jeśli czas pozwoli, być gotowa gdzieś koło Nowego Roku. - Uśmiechnęła się profesjonalnie do kamery.

- Obiecuję, że będzie doskonałą lekturą.

- Z pewnością. - Twarz do kamery. Pauza. Podpowiedz. - No dobrze, połączmy się z naszą ekipą na lądowisku helikopterów w Harlow. Sanjeev, słyszysz mnie?

- Czysto i wyraźnie, Ron. - Na ekranie pojawiło się mniejsze okienko. Urosło. Huragan z wirnika rozwiewał włosy reportera.

- A więc jaką macie tam pogodę?

- Och, wygląda na to, że deszczu na razie nie będzie, Ron. Meteorolodzy utrzymują, że później pojawi się szansa na słońce.

- Czyli dobre warunki dojazdy?

- Tak, na to wygląda. Oczywiście, nie będzie nam wolno wlecieć w okno pojedynkowe wcześniej niż jakieś dwadzieścia minut po zakończeniu starcia, ale powiedziano mi, że drogi już wyschły. A że letnie naprawy na tym odcinku ukończono na długo przed terminem...

Kazał telewizorowi iść spać, dopił kawę i zostawił filiżankę po espresso na telefonie. Krótki egzystencjalny dreszcz, gdy uświadomił sobie, że wciąż będzie tam stała wieczorem, nietknięta, niezależnie od tego, co stanie się dziś na drodze. Kimkolwiek będzie jej właściciel.

Strząsnął to z siebie i włożył marynarkę. Przyglądając się sobie w lustrze w salonie, założył krawat z ospałym, gładkim spokojem stanowiącym właściwą stronę paniki. Zauważył, że ręce drżą mu lekko, ale nie potrafił zdecydować, czy ze strachu, czy nadmiaru kofeiny.

Napakował się nią dość intensywnie.

Zakończył wiązanie krawata, przez dłuższą chwilę przyglądał się sobie w lustrze, sprawdził klucze i portfel, po czym wyszedł do samochodu. Zamknął za sobą drzwi domu i głęboko odetchnął. Poranne powietrze wciąż było wilgotne.

Po lewej zachrząścił żwir.

- Chris.

Zawirował, sięgając do kabury. Wyszarpnął nemeksa.

Przy rogu domu stał Truls Vasvik, z rękami rozsuniętymi na wysokości bioder.

- Nie strzelaj. Przyszedłem pomóc.

Chris opuścił nemeksa.

- Trochę się z tym spóźniłeś.

- Wcale nie. Wydaje mi się, że to właśnie nazywa się w ostatniej chwili.

- Jasne. - Chris schował pistolet do kabury pod pachą, psując trochę wrażenie, bo broń nie chciała się zaczepić. Spróbował ją wcisnąć jeszcze kilka razy, w końcu się poddał. Drugą ręką dotknął przycisku na pilocie saaba, rozbrajając alarmy. Zrobił krok w jego stronę.

- Czekaj. Chris, poczekaj chwilę. - Vasvik ruszył, blokując mu drogę. - Zastanów się. Bryant cię zabije.

- Możliwe.

- I co? To wszystko? Nadaśany wielki macho? Zabij mnie i miejmy z tym spokój? I tak mnie to nie obchodzi. Co w ten sposób osiągniesz, Chris?

- Nie spodziewam się, żebyś to zrozumiał.

- Mogę cię stąd wyciągnąć, Chris. - Inspektor wskazał za siebie. - Tamtędy, przez las. Mam tam ekipę z furgonetką. Zamknięty pojazd, z dokumentami przewozu odpadów medycznych. Dzięki temu przejedziemy przez tunel bez kontroli. Dostaniesz swój milion dolarów, dostaniesz pracę. Musisz tylko pójść ze mną.

Chris nagle stwierdził, że potrafi się uśmiechać. Odkrycie sprawiło, że zapiekły go oczy, i wzbudziło w nim nagłą, dziką radość.

- Nie jesteś na bieżąco z wydarzeniami, Truls - powiedział. - Zostałem sławny. Moja twarz jest równie znana, co twarz Tony'ego Carpentera czy Inez Zequiny. Wszyscy wiedzą, kim jestem. Jak myślisz, nadaję się jeszcze na inspektora?

- To nie jest ważne, Chris. Możemy...

- Co w takim razie zamierzasz zrobić, dać mi nową twarz?

- Jeśli będzie trzeba. Ale...

- A milion dolarów, cóż... - Chris cmoknął z żalem. - To już po prostu nie jest tak dużo pieniędzy, Truls. Mogę zostać młodszym partnerem. To oznacza udziały. *Prawdziwe bogactwo*. Kilka milionów plus świadczenia.

- Albo kremacja po południu.

Chris kiwnął głową.

- Istnieje takie ryzyko. Ale wiesz co, Truls. Widzisz, tacy jak ty nigdy tego nie rozumieją: najbardziej podniecające jest ryzyko. To ono sprawia, że warto wygrywać.

- Nie wygrasz tego pojedynku, Chris.

- Dzięki za zaufanie. Zobaczymy, czy zdołam mu sprostać. A teraz, jeśli wybaczysz...

Zrobił krok w przód. Vasvik został w miejscu. Ich twarze dzieliło parę centymetrów.

Patrzyli sobie w oczy.

- Nie myśl, że nie wiem, co robisz, Chris. - Głos inspektora był cichy i pełen napięcia. - Myślisz, że w ten sposób odpokutujesz za to, co zrobiłeś Carli i wszystkim innym? Nie bądź cholernym dzieckiem. Twoja śmierć niczego nie załatwi. Musisz żyć.

Chris znów się uśmiechnął.

- Cóż, to chyba najlepsza obrona tchórzostwa, jaką kiedykolwiek słyszałem. Pewnie tego potrzebujesz, biorąc pod uwagę rodzaj pracy, jaką wykonujesz.

Dostrzegł błysk w oczach Vasvika.

- Tak, zgadza się, Truls. Zabieraj się. Idź napisać raport. Przyszedłeś i poprosiłeś, a ja ci odmówiłem.

- Jesteś głupi, Chris. Zrujnowałeś swoje małżeństwo, zmarnowałeś życie żony...

Nemex znów wyskoczył, tym razem gładziej, wbijając się w szyję Vasvika.

- Hej. To moja sprawa.

Inspektor uśmiechnął się kąciakiem ust. Mówił dalej, jakby nemeksa w ogóle nie było.

- ...a teraz zniszczysz też swoje życie. Tylko po to, żeby Carla Nyquist zapłakała nad twoim trupem.

Chris wycedził przez zaciśnięte zęby:

- Powiedziałem ci...

- A będzie płakać. - Vasvik zobaczył zmianę na jego twarzy i sięgnął do pistoletu. Palcami odsunął go od siebie. Oczy miał zimne ze wstrętu. - Tak. Będzie za tobą płakać przez następne dziesięć lat pieprzonego życia, Chris. Ale cóż, i tak by to robiła. Cokolwiek się stanie. Czy zginiesz, co cię czeka, czy po prostu zostaniesz martwy w środku, jak teraz.

Chris posłał mu lekki uśmieшек i schował nemeksa.

- Zejdź mi z drogi.

- Z przyjemnością.

Vasvik odsunął się i patrzył, jak Chris wsiada do saaba. Silnik obudził się z dudnieniem odległego grzmotu. Chris zamknął drzwi i wrzucił bieg. Kiedy puścił sprzęgło i samochód zaczął się wolno toczyć po żwirze, coś w twarzy inspektora sprawiło, że opuścił szybę.

- Ach, tak, Vasvik. Skoro mowa o milionach, zapomniałem. Słyszałeś, że zrobią o mnie film?

- Tak. - Norweg ponuro pokiwał głową. - Będzie świetne zakończenie, jeśli uda wam się z Bryantem nawzajem pozabijać.

Żwir zachrząścił pod kołami.

- Pieprz się.

- Mówię poważnie. Pójdę go obejrzeć.

* * *

Wjechał na zjazd za szybko, zignorował podskok i przyspieszył na autostradzie. Oferta Vasvika przepadła, jak sam Vasvik, jak świadoma myśl, zwinięta i odrzucona, łopocząc na drodze w lusterku wstecznym.

Kompletnie niedostępna. Była tylko droga przed nim i kontrola nad wozem wokół niego. Saab warczał do siebie gardłowo, gdy przejechał na środkowy pas i włączył radio.

- Kontrola ruchu.

- Tu Chris Faulkner, prawo jazdy 260B354R. - Głos w jego uszach brzmiał spokojnie.

Poczuł we wnętrzościach falę radości. Czuł się opancerzony. - Na M11 w stronę Londynu, na wyzwanie partnerskie. Jadę w stronę okna pojedynkowego.

Zapadła krótka cisza. Nagle zaczął się zastanawiać, czy w kontroli ruchu nie dyżurował ktoś, kto był tam w dniu jego pojedynku z wynajętym przez gangsterów *sicario*.

- Mamy cię, Faulkner. Jesteś około dwudziestu kilometrów od północnej granicy. Poinformujemy, kiedy ją przekroczysz. Zostaw otwarty kanał.

- Ruch?

- Ruch dyrektorski został wstrzymany do dziewiętej trzydzieści. Aktualnie masz w oknie dwa automatyczne transportowce w stronę Londynu, średnie ładunki, i pojazdy techniczne na skrzyżowaniu jedenastym. Proszę pamiętać, że ich uszkodzenie w ramach pojedynku jest zabronione przepisami.

- Przyjąłem. A więc gdzie jest Bryant?

Kolejna pauza. Dało się słyszeć oburzenie.

- W ramach przepisów pojedynkowych ta informacja jest tajna. Proszę więcej o to nie pytać.

- Przyjąłem. Czyli brak wam poczucia humoru.

- Proszę również pamiętać, że w ramach okna pojedynkowego wprowadzono selektywne zagłuszanie. Nie zdoła pan odebrać żadnych zewnętrznych transmisji poza naszymi.

- Dziękuję, kontrola ruchu. Robiłem to już kilka razy.

Osiągnął prędkość marszową. Po obu stronach migały porośnięte roślinnością brzegi autostrady, zlewając się w zielone pasma. Asfalt huczał pod kołami i uciekał w dal. Rosło w nim poczucie mocy, karmiąc się kofeiną i adrenaliną. Śmierć nagle zdała się bardzo odległą niedorzeczną plotką, w którą nie wierzył, czymś, na co się nie zgodzi.

Rzeczywista była droga.

Dotarł do okna pojedynkowego i przemknął przez jego granicę, mając sto sześćdziesiąt na liczniku. Kontrola ruchu potwierdziła fakt kilka sekund za późno. Na skraju pola widzenia mignęły mu samochody blokujące rampy dojazdowe. Policyjne koguty, furgonetki ekip telewizyjnych i fala aktywności, gdy saab śmignął obok nich. Pomyślał, że czuje skierowane na siebie soczewki kamer.

Nie, po prostu wypiliśmy zdecydowanie za dużo kawy.

W ślad za tą myślą pojawił się lekko histeryczny śmiech. Stłumił go i wpatrzył się w perspektywę drogi, wypatrując niebieskiego błysku BMW Mike'a. Jego prędkość spadła do ostrożniejszych stu trzydziestu. Przed oczyma pojawił się zarys strategii. Zapamiętana ze zdjęć trasa, wycucie stylu jazdy Bryanta.

Bryant! Uśmiechnął się drapieźnie. Złe przeczucia odpłynęły, ustępując ogniowi już-kurwa-za-późno.

No chodź, sukinsynu. Zabrałem ci Liz, zobaczmy teraz, jak będzie z tym ślicznym niebieskim autkiem. Zobaczmy, co z twoim plastikiem.

Lopez. Barranco. Mężczyźni i kobiety z niszczonej przez helikoptery górskich wiosek MGP. Ale przede wszystkim Bryant, Bryant i jego tchórzliwa postawa ukryta za Hewitt, Notleyem i całą resztą.

Przejrzał twarze - od Bryanta do Quaina. Jeszcze jeden morderczy sukinsyn w garniaku.

Kolejny...

Saab potoczył się w dół przed skrzyżowaniem dziesiątym. W polu widzenia pojawił się pierwszy z automatycznych transportowców, sunąc środkowym pasem. Dźwięk alarmu zbliżeniowego, gdy przeskoczył saabem w bok i wyprzedził. Głęboka satysfakcja przy posłusznych jego rękoma przeciążeniach. Wysoka ściana metalu przesuwająca się po lewej i odpływająca w tył.

Droga z przodu...

Uderzenie!

Wciąż napawał się kontrolą nad wozem. Niebieski błysk w bocznym lusterku, metaliczny zgrzyt uderzenia w tył. Wstrząs pchnięcia, pas usztywniający chwyt na jego piersi. Instynktownie przyhamował, przypomniał sobie o transporterze i ostro ściągnął saaba na prawo. W powietrzu rozległ się ryk syren automatycznego systemu antyzderzeniowego ciężarówki, wylewając na niego wściekłość godną banshee. Nie miał czasu sprawdzić, czy zahamował. BMW Bryanta przemknęło po lewej, wytracając prędkość i przejeżdżając na drugą stronę, by zostać z saabem. Wymuszając pojedynek tu i teraz, tuż przy boku transportera.

Krył się w jego cieniu, zrozumiał za późno Chris. Jechał tuż przed automatycznym transporterem, do chwili aż zobaczył Chrisa w bocznym lusterku, i schował się po lewej, gdy Chris wyprzedzał z prawej, instynktownie wybierając chwilę na uderzenie w ślepym polu saaba wyłaniającego się zza transportera, zbliżając się do taranowania...

Nawet pijany, nawet w takim stanie, jest najlepszym kierowcą, jakiego widziałam.

Jest twardszy i szybszy od ciebie

Chris zobaczył BMW sunące na boczne zderzenie i dziko uskoczył w bok. Dwa wozy zderzyły się ze zgrzytem. Wąską szparę wypełniła zdarta farba i iskry. Odbicie próbowało ich rozdzielić. Chris utrzymał zwarcie, pchając drugi wóz z dźwiękiem przypominającym przesuwanie paznokciem po tablicy. Bryant nie ustępował, zmuszając go, by podjechał bliżej pasa rozdzielającego. Dawała o sobie znać większa masa BMW, a plan był oczywisty. Boczne uderzenie przy tej prędkości rozwaliło by barierę. Jej resztki wyrzuciłyby saaba w powietrze jak zabawkę.

Opcje.

Gdzieś z tyłu znów pojawił się automatyczny transporter, nieznana zmienna, której Chris nie miał czasu uwzględnić.

Wraz z nim nadeszła desperacja, dmuchając chłodem na wnętrzności.

Wdepnął gaz do dechy, ale nos BMW już go zablokował. Bryant uderzył, celując starannie, zostawiając sobie pół metra wolnego przodu, co wystarczyło, by zablokować wszelkie próby ucieczki naprzód. Teraz spojrzął na Chrisa przez boczne okno i przesunął kciukiem przez gardło. Uśmiechał się. Bariarka...

Chris z całej siły nacisnął hamulec.

Saab się zachwiał. Wyrwał się drącej i sypiącej iskrami furii przy lewym boku. Miał czas na błysk nadciągającego transportera i wykręcił ostro w lewo, za tyłem Mike'a, przez środkowy pas, uskakując z drogi automatycznego mamuta. Kolejny ryk maszynowej wściekłości i transporter wyjechał po prawej, odcinając widok na BMW. Chris zdusił przekleństwo i pozwolił im jechać. Skrzyżowanie ósme. Jego prędkość spadła do nierównej

dziewięćdziesiątki. Przez wnętrzości przewaliła się adrenalina.

Dostrzegł odległy błysk BMW znikającego w dole zjazdu do tunelu.

Nie trzeba było wielkiej wyobraźni, by dojść, co planował.

Wyliczył, że ma około minuty. Później...

Później gdzieś w mroku tunelu Mike Bryant wykona swój manewr: zatrzyma się błyskawicznie, zawróci o sto osiemdziesiąt stopni i ruszy z powrotem na niego w próbie nerwów zderzenia czołowego.

Stary numer. Profil Mike'a Bryanta - nieustraszony, prostolinijny, dziki. Konserwatywny aż do końca.

Chris zwiększył prędkość. Podkreślił nerwy z powrotem do walki. Znow wyprzedził transporter. W głowie szumiały mu obliczenia.

Dwie możliwości. Albo zderzenie czołowe zakończy pojedynek, saab albo BMW wypadnie z gry, skręcając za ostro, za późno i dachując, może prosto pod koła wymęczonego transportowca, a może los ten spotka oba wozy, rozrzucone bez wysiłku energią kinetyczną zderzenia, szukającą ujścia w huk i dymie. Albo...

Albo obaj przeżyjemy i będę jechał na południe, na Gullet, bez możliwości walki. Uda mi się tylko zwolnić i dać się staranować w przestrzeń, jak Hewitt zrobiła z Page'em, albo spróbuję wykręcić, sto osiemdziesiąt piszczących stopni na drodze szerokiej na dwa pasy.

Pomyślał o tym. Przemyślał to. Sztuka w trzech aktach, barierka, zderzenie czołowe, zamknięcie na Gullet.

A on wie, że nie dasz rady tam wykręcić.

BMW pojawiło się na drodze.

Przemknęło rampą tunelu. *Bardzo szybko.*

Miał czas zerknąć na szybkościomierz, zobaczył sto i coś szalonego, podwoił tę prędkość, dostrzegł pędzący pancerny pysk BMW, niewzruszony jak skała...

Jest twardszy i szybszy od ciebie...

...i wrzasnął, wykręcając ostro w prawo.

BMW drgnęło ułamki sekund później. Przemknęło obok.

Znikło.

Chris wdepnął gaz do dechy i saab zanurkował w tunelu. Znow miał najwyżej minutę. Za mało, będzie musiał wypracować więcej. Tunel przemknął w pustym ryku echa silnika saaba. W górę, wyrывая się z mroku na nagłe, wodniste światło słońca. Gullet spływał ku niemu jak olbrzymia asfaltowa rampa załadowcza. Wzniósł się na jego spotkanie, wziął pierwszy zakręt na granicy umiejętności prowadzenia...

Poczuł, jak zamiera mu serce, gdy saab wykorzystał moment odśrodkowy na poślizg. Nie odważył się hamować, nie było czasu. Potrzebował każdego ułamka sekundy. Poszerzył kąt skretu o marne kilka stopni i przejechał na drugi pas z lekkim poślizgiem, mamrocząc przekleństwa pod adresem wozu. Odzyskał nad nim kontrolę. Przejechał wzniesienie i spadek wiaduktu i wypadł na następny zakręt.

Prawie na sam koniec wgniatającego w fotel zjazdu, prawie na zakręcie, zdjął nogę z gazu i rzucił saaba w niemiłosiernie głośne hamowanie na ręcznym.

Przez bardzo długą chwilę myślał już, że spieprzył. Pomyślał, że straci oponę, a potem wóz przeleci przez barierkę, spadając na strefy w dole. Samochód wpadł w poślizg,

podskoczył dziko na kiepsko załatanej dziurze, pisnął w proteście śmierdzących palonych gum...

I stanął.

Nie sto osiemdziesiąt. Zaledwie dziewięćdziesięciostopniowy obrót przez oba pasy, żeby zablokować Gullet jak kość w gardle.

Z tyłu na prostej, znad grzbietu wyłoniło się BMW.

Chris chwycił leżącą przed fotelem pasażera strzelbę, otworzył drzwi i wy dostał się z samochodu. Stanął, odnalazł BMW i przeładował strzelbę taktyczną.

Co dziwne, kiedy sytuacja już się wyklarowała, wokół zapadła cisza. Saab zgasł przy wykręcaniu, a hałas silnika BMW zagłuszał ryk oceanu, jakim walił mu w uszach własny puls. Zerwał się wiatr, łagodnie przeczesując mu włosy. Odnosił wrażenie, że skupisko strefowych domów w dole wstrzymało oddech.

Pozwolił Bryantowi zbliżyć się o kolejną sekundę, a potem oddał pierwszy strzał w przednią szybę po stronie kierowcy.

Znajome *dum* - spędził pełną godzinę na strzelnicy w zbrojowni, wieńcząc tym wcześniejszą nieoczekiwaną miłość do długiej broni.

Przednia szyba BMW pokryła się siatką pęknięć.

Żadnych strzałów broni pociskowej z jadącego pojazdu. Formalny raport komisji śledczej po zagrywce Nakamury. Żadnych znaczących uszkodzeń z broni pociskowej. Przy założeniu, że stosuje się do tych zaleceń...

Przednia szyba wozu Bryanta zrobiona była z pancernego szkła. Nawet najwyższej klasy pocisk przeciwpancerny, jaki pokazał mu zbrojmistrz, dzieło Hecklera i Kocha - najlepsza amunicja przeciwpancerna dla policji miejskiej - nawet on przy takiej odległości nie zdołałby spowodować *znaczących* uszkodzeń.

Przeładował, wystrzelił jeszcze raz. Pajęczyna pęknięć zgęstniała, prawie przesłaniając widok.

Naginał przepisy, jak zrobili to Jones i Nakamura, tak jak lubił Notley.

BMW się zbliżało. Przez zniszczoną szybę Bryant niewiele widział, to pewne. Chris przeładował kolejny nabój i odbiegł w bok, by strzelić pod kątem. Wycelował w przednią oponę.

Strzelba kopnęła. Opona rozpadła się na strzępy.

Żadnych znaczących...

BMW zarzuciło gwałtownie w poprzek drogi z piskiem protestujących hamulców i palonych opon.

Precedens, Chris. To się liczy.

Wśród elity nie karzą za łamanie zasad. Nie, jeśli to się sprawdzi.

BMW przemknęło obok niego, uderzyło w barierkę i przeleciało nad nią. Wszystko to trwało mniej niż parę sekund. Chris miał czas zerknąć przez boczną szybę, na Mike'a wciąż walczącego o odzyskanie panowania nad kierownicą, a potem wielki samochód zniknął, zostawiając po sobie poszarpaną dziurę w barierce.

Wstrzymany oddech.

Płaski, dziwnie pozbawiony dramatyzmu łomot z dołu. A potem nic.

Koniec. Wygrał. Skończył.

Pustka.

Nic.

Ta pustka krążyła przez niego jak prąd. Nicość, wzbierająca do ekstazy. Odchylił głowę i zawył ku niebu. Nie wystarczyło. Nie potrafił wyrzucić z siebie wszystkich uczuć. Wrzeszczał, aż zdarł sobie gardło i opróżnił płuca. Aż w końcu brakło mu tchu.

Nie wystarczyło.

Przez miasto w dole przetoczyły się echa, goniąc w stronę grupy wież ze stali i szkła na horyzoncie.

Wydawało się, że nawet chmury uciekają przed dźwiękiem.

Niebo za nimi było bezbarwne, pusty błękit. Mimo wszystko zapowiadał się piękny dzień.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Przynosisz ich plastik.

Stojąc na szczycie słupów Gullet i słuchając własnego pulsu oraz echa wrzasku, Chris usłyszał słowa Hewitt z oniryczną czystością. Zabrzmiały tak, jakby kobieta stała obok niego na wietrze.

Idziesz i kończysz sprawę. Jeśli możesz, przynosisz ich plastik.

Wyrzał na rozciągającą się w dole strefę. BMW spadło przez dach rozpadającego się budynku. Chris rozejrzał się i zauważył właz. Pięćdziesiąt metrów dalej wzdłuż Gullet wokół słupa podtrzymującego drogę biegły osłonięte kratą stalowe schody, prowadzące do jednej z niechlujnych ulic. Wyglądało to tak, jakby niegdyś wiodło tamtędy przejście do nieistniejących już sklepów. Przy odrobinie szczęścia zejdzie i wróci w dziesięć minut.

Podszedł wolno drogą do szczytu schodów. Na rdzewiejącej żelaznej kracie umieszczono antyczną kłódkę. Wycelował strzelbę, przypomniał sobie o pociskach do niszczenia samochodów i zrezygnował. Sięgnął po nemeksa i znalazł pustą kaburę.

Cholera.

Przypomniał sobie sposób, w jaki pistolet nie chciał zaskoczyć w kaburze, gdy rozmawiał z Vasvikiem, i to, jak grzebał w saabie za strzelbą. Obejrzał się do miejsca, gdzie stał samochód. Żadnego śladu broni na asfalcie, ale mogła się wsunąć pod wóz. Albo wypaść, gdy jeszcze był w środku.

No cóż. Nie możesz zejść na dół. Musisz poczekać na ekipę sprząającą. To nie potrwa długo.

Wypełniła go fala ulgi. Pojedynkowa etykieta zabraniała zewnętrznej ingerencji przez regulaminowe piętnaście minut z wyjątkiem konieczności udzielenia pomocy lekarskiej. Ale na pewno oglądali ich via przekazy satelitarne, widzieli sposób, w jaki to rozegrał, i będą tu dość szybko. Musi tylko usiąść na brzegu drogi i poczekać.

Ale wiedział, co powiedziałyby Hewitt. Wiedział, jak jej szept roznosiłby się pośród młodszych analityków piętro niżej. *Tak, jasne, że Faulkner to niezły kierowca. Ale z tego co słyszałem, brak mu jaj, kiedy przyjdzie co do czego. Za miękki, żeby zabrać trupowi portfel.*

Pieprzyć to.

Zablokował bezpiecznik remingtona, odwrócił broń i zaczął walić w przerdzewiały zamek, aż ustąpił. Głośny stuk metalu o metal. Pomarańczowe płyty rdzy rozrzucone wokół jego stóp. Pręt pękł i zwiśł ułamany. Chris z wysiłkiem otworzył drzwi klatki i zaczął schodzić w dół.

Na dole czekało go to samo. Kolejne drzwi z żelaznych krat, kolejna przerdzewiała kłódka, tym razem od środka, jakby uciekająca armia podjęła akcję zabezpieczenia tyłów, wycofując się ze strefy na autostradę. Po drugiej stronie kraty wyrosło zielsko sięgające ramion, praktycznie kryjąc dół schodów przed widokiem z zewnątrz. Ze środka ledwie było widać podwójny rząd wykładanych cegłą domów przy ulicy. Chris wykręcił kark i wyrzał przez kiwające się szczyty chwastów, słuchając i próbując stwierdzić, czy w pobliżu ktoś jest.

Nic się nie ruszało.

Zaczął walić w zamek. Kilka razy nie trafił, skaleczył sobie dłoń na przerdzewiałym

żelazie. Trudno było manewrować strzelbą w ciasnej klatce, trudno uzyskać odpowiedni kąt. Kiedy w końcu udało mu się przedrzeć przez zielsko, był spocony i lepił się w swoim garniturze.

Ulica na zewnątrz była pusta.

Uważnie zlustrował fronty budynków - jedynym ruchem, jaki zarejestrował, było łopotanie plastiku osłaniającego okno z wybitą szybą. Jakieś dwadzieścia metrów dalej na ulicy stał zniszczony i rdzewiejący wrak landrovera, jednego z późniejszych modeli, zmodyfikowanych do jazdy po alkoholu. Właściwie był to wrak, odarty ze wszystkiego, co dało się zerwać, z ramą przypaloną na czarno koktajlem Mołotowa w miejscach, gdzie nie rozpanoszyła się jeszcze rdza. Kilka domów dalej w lewo zauważył przejście i ruszył ostrożnie na ulicę. W popękany asfalcie straszły nienaprawiane dziury, niektóre dostatecznie szerokie, by pomieścić cały przód saaba.

Przechodził po kilka kroków na raz, boleśnie świadom wyglądających z obu stron okien, co dwa metry zatrzymując się i nasłuchując. Wprowadził do komory ostatni nabój. Metaliczny odgłos przeładowywania strzaskał ciszę.

Garnitur i strzelba, przekonywał się nerwowo. To powinno na długo odstraszyć muchy.

Szeroko ominął wypalonego landrovera, czując się przy tym trochę śmiesznie. Dotarł do rogu przejścia. Poszedł nim, mijając wysokie ceglane ściany z porozbijanymi oknami. Pod stopami zgrzytały mu śmieci. Przejście prowadziło do płytkich kupek gruzu zarośniętych zielskiem i grupki drzew z palczastymi liśćmi. Z trudem wspiął się na pierwszy pagórek, po kostki zakopując buty z argentyńskiej skóry w małych lawinach zsypanych ziemi. Z góry dostrzegł pofalowaną boczną ścianę magazynu i otwartą bramę towarową rdzewiejącą na pustym skwerku nieco dalej. W mroku dostrzegł pół BMW leżącego na dachu. Ulga wzbudzona własnymi zdolnościami nawigacyjnymi zaczęła...

Ruch.

Określił się, mocniej naciskając palcem na spust remingtona.

I czym prędzej go oderwał, jakby metal parzył. U dołu krzywizny następnej górkę dwoje dzieci w wieku około pięć lat bawiło się zmasakrowanymi korpusami plastikowych lalek. Na jego widok znieruchomiały, a potem podniosły się z miejsc i zaczęły krzyczeć.

- Dy-rek gó-wno! Dy-rek gó-wno! Dy-rek gó-wno! Dy-rek gównno!

Potrząsnął głową opuścił strzelbę i przetaił usta wierzchem dłoni. Z takiej odległości pociski przeciwsamochodowe...

- Dy-rek gó-wno! Dy-rek GÓWNO! - Twarzyczki aniołków zniekształcone siłą krzyku.

Kobięcy głos z jednego z domów, podniesiony i szorstki ze strachu. Dzieci obróciły się ku niemu, popatrzyły na siebie przez chwilę w prawie komiczny sposób, a potem wystartowały jak spłoszone zwierzątka. Przebiegły przez sterty śmieci i niezauważoną przez niego dziurę w ścianie. Został sam na sam z trupami lalek.

Cholera. Pieprzyć to. Pieprzyć Louise Hewitt i jej cholerny plastik.

Ale ruszył dalej, przez sterty śmieci do drzwi towarowych i za nie.

Wewnątrz było zimno. Z opartego na wspornikach dachu beztrząsco kapła woda, rozlewając się wzdłuż linii nierównej betonowej podłogi. BMW leżało pod zrobioną przez siebie dziurą z maską przyciśniętą do ziemi masą silnika i pancerza, z tyłem wzniesionym w powietrze. Z przodu dochodził cichy syk, a ze szczeliny przy kłapie silnika wzbijała się

smużka pary. Poza tym samochód wyglądał na zdumiewająco nienaruszony. Opancerzenie wytrzymało.

Chris podszedł bokiem do drzwi od strony kierowcy, zawahał się chwilę, a potem je otworzył. Bryant wypadł jak kupka brudnych ubrań. Zakrwawiony garnitur, zamknięte oczy, otwarte usta. Jedna ręka na podłodze pod dziwnym kątem w stosunku do reszty ciała.

Mdłości. Wzbierająca fala opóźnionej reakcji na pojedynek. Chris mocno przycisnął język do podniebienia i przykląkł przy ciele. Wsadził strzelbę pod ramię i sięgnął do marynarki Bryanta. Z wewnętrznej kieszeni błysnął złotem okuć portfel. Chwycił go kciukiem i palcem wskazującym i wyciągnął. Otworzył. Z kieszonki obok plastiku Mike'a uśmiechnęła się do niego fotografia Suki i Ariany.

Wokół jego nogi zacisnęła się dłoń.

Chris prawie zwymiotował. Strzelba zagrzecotała o podłogę. Odskoczył niezgrabnie od wraka, wyrwał się z uchwytu i popatrzył. Bryant wciąż żył i patrzył na niego szeroko otwartymi oczami. Poruszał słabo nieuszkodzoną ręką. Bezgłośnie otwierał i zamykał usta, jak wyrzucona z wody ryba. Nie dało się stwierdzić, czy rozpoznał Chrisa.

Idziesz i kończysz sprawę. Nie zabierasz ich potem do szpitala.

Przypomniał sobie gest Bryanta, gdy dwa samochody zwały się na autostradzie - odgięty kciuk przesunięty po gardle. Drapieżny uśmiech. Zacisnął wargi i znów podniósł remingtona.

Nie zawozisz ich do szpitala, Chris.

Kończysz sprawę.

Cofnął się o krok i uniósł broń. Bryant dostrzegł to i zaczął się więc desperacko na betonie. Wyglądało to tak, jakby próbował sięgnąć sprawną ręką do kabury pod pachą i nemeksa, ale nie miał dość siły. Chris zacisnął szczęki, cofnął się jeszcze o krok i wycelował. Oстрым ruchem, szybko, zanim się nad tym zastanowi. Wstrzymał oddech.

Skończ tę cholerną robotę, Chris.

Nacisnął na spust.

Nic.

Żadnego kliknięcia, huku, odrzutu. Żadnej fontanny krwi i tkanki. Spust przesunął się opornie o połowę i utknął. Chris nacisnął mocniej. Wciąż nic. Przeladował, wyrzucając w powietrze nienaruszony, dobry nabój, który upadł na beton i odtoczył się radośnie, wiśniowoczerwony.

Twarz Mike'a patrząca błagalnie.

Znów nacisnął. Nic.

- Kurwa - wydusił przez zaciśnięte zęby, jakby bał się, że ktoś go usłyszy w pustym magazynie. I tak miał wrażenie, że przekleństwo odbija się echem od ścian. - Kurwa, kurwa!

Kłódki - walił w kłódki, aż pękły i rozleciały się. Przypomniał sobie brutalność, z jaką to robił, ryzykowne kąty, pod jakimi musiał uderzać w klatce na dole schodów.

Zablokował mechanizm, przekrzywił albo złamał coś w środku.

Stał, patrząc na Mike'a Bryanta. Przetarł usta i przełknął ślinę.

Skończ z tym. Cholera, dokończ to.

Podszedł bliżej, patrząc zafascynowany w oczy kolegi. Bryant gapił się na niego, drgając. Wydawał z siebie dźwięki, które zabrzmiały trochę jak imię *Chris* i słowo *proszę*.

Z jakiegoś powodu to wystarczyło.

- Pieprz się, Mike - powiedział ostro. - Miałeś swoją szansę.

Butem wykręcił głowę Mike'a, chwycił remingtona za lufę i wbił kolbę broni w odsłonięte gardło Bryanta. Całym ciężarem oparł się na strzelbie.

- Pieprzę cię, Mike! - Wykręcał ją teraz, nachylając się i patrząc w twarz Bryanta. - *Pieprzę cię!* Pieprzę cię i was wszystkich, gnidy w garniturach.

Wydawało się, że trwa to w nieskończoność.

Z początku Bryant wydawał tylko więcej charczących dźwięków. Potem zdołał jakoś zebrać siły, by unieść sprawną rękę i chwycić remingtona przy osłonie spustu.

Chris kopnął jego dłoń i stanął na niej. Dyszał.

Charczenie Mike'a przybrało na sile. Wykręcał głowę na betonie. Zwinął uwięzione palce wokół brzegów buta Chrisa, drapiąc paznokciami argentyńską skórę.

Chris oparł się mocniej. Z oczu pociekły mu łzy, spływając po twarzy. Uniósł nogę i spuścił ją ciężko na dłoń Mike'a. Usłyszał suchy trzask łamanego palca. Nacisnął jeszcze mocniej. Cały ciężar skupił na strzelbie, prawie unosząc ciało z podłogi.

Coś chrupnęło. Mike przestał się ruszać.

Chris ledwie zdołał się wyprostować. Nagle poczuł, jakby strzelba stała mu się niezbędna, jakby poraziła go jakaś ostra choroba mięśni. Odkuśtykał od ciała, dygocząc tak mocno, że dzwoniły mu zęby. Nie zrobił nawet tuzina kroków. Nagle zgiął się wpół i wreszcie zwymiotował. Cienka strużka zawartości żołądka i soków - prawie nie jadł tego ranka, ale i tak oddał wszystko. Opadł na kolana w kałużę.

Dźwięk butów w wodzie.

Podniósł głowę tylko luźno zainteresowany i zobaczył kilku mężczyzn. Duże, masywne postacie w słabym świetle wpadającym z zewnątrz, jak rycerze w zbrojach z jakiejś średniowiecznej historii.

Zamrugnął, by oczyścić oczy.

- Skończyliście? Już nie żyje?

Chris zamrugnął i odkaszlnął.

- Kim jesteście? - zapytał chrapliwie.

- Kim jesteśmy? - Krótki wybuch śmiechu, najpierw gardłowego, potem narastającego, aż odbijał się echem od metalowego dachu. Przywódca bandytów zaczął wymachiwać emaliowanym na czarno łomem, uderzając nim w otwartą dłoń. Wydawało się, że jego spojrzenie przewierca Chrisa, oceniając ubranie, włosy, strzelbę. Uśmiechnął się, wykrzywiając pobliźnioną tkanę na twarzy. - Kim jesteśmy? Jesteśmy wydziedziczeni, stary. Oto, kim jesteśmy.

Tym razem nie było śmiechu. Mężczyźni spięli się, czekając na komendę do ataku. Chris stłumił kaszel i uniósł remingtona. Starał się wyglądać przekonująco.

- Nie podchodzić bliżej. Policja jest już w drodze. Niczego tu nie znajdziecie.

- Tak? - Szef grupy wskazał na BMW i ciało Mike'a Bryanta. - O ile dobrze widziałem, pozwolę sobie na odmienną opinię. To nasza chwila, *panie Faulkner*.

Chris przeładował remingtona.

- Dobrze. Powiedziałem, że to wystarczy.

Błąd.

Niewystrzelony nabój wyleciał w powietrze, spadł na beton i potoczył się w stronę bandyty. Przez chwilę obaj mu się przyglądali. Potem tamten podniósł wzrok na Chrisa i potrząsnął głową.

- Widzisz, to całkiem dobry pocisk, stary. A sądząc po sposobie, w jaki przeprowadziłeś przed chwilą egzekucję, powiedziałbym...

Chris rzucił strzelbą w jego twarz i zaczął biec.

Z powrotem do przewróconego BMW i trupa Mike'a Bryanta. Usłyszał za sobą tupot stóp, więcej niż jednej pary. Rozdrażniony głos bandziora:

- No, nie stójcie jak krety. Bierzcie go!

Skoczył i wylądował prawie w objęciach Mike'a. Sięgnął pod marynarkę, poczuł w dłoni kolbę nemeksa. Zmysł powiedział mu, że pierwszy ze ścigających jest tuż za nim. Cień przysłonił światło, dobiegł go zapach starej skóry i taniej wody po goleniu. Jakaś ręka chwyciła go za marynarkę.

Przetoczył się na plecy i przystawił pistolet Mike'a do piersi bandziora. Zobaczył, jak tamten szerzej otwiera oczy. Na jego ramieniu wylądował kij bilardowy. Pociągnął za spust.

Nemex huknął. Strzał poderwał mężczyznę w powietrze i rzucił nim na beton, gdzie gangster zwinął się i legł nieruchomo.

- *Toby!* - Ryk bólu. Rzecznik bandziorów. - Pieprzony garniak, cholerne *gówno!*

Drugi bandzior był dwa kroki za martwym kolegą, ale pistolet zatrzymał go w miejscu. Inni też się zbliżali, ale teraz zatrzymali się i zaczęli cofać, rozchodząc się na boki. Chris wyprostował się i wyszczerzył zęby w drapieżnym uśmiechu.

- Tak jest, gnojki, cofnąć się.

Coś czarnego przemknęło w powietrzu i uderzyło go w łokieć. Nemex wystrzelił, posyłając pocisk w betonową podłogę. Chris chwycił się za ramię i spróbował wycelować pistolet w szefa zbirów pędzącego w ślad za rzuconym łomem, który trafił go od prawej. Mięśnie poniżej łokcia zmieniły się w wodę. Wystrzelił, pudłując. Przywódca bandytów wyszczerzył zęby i chwycił go za rękę, wykręcając ją. Chris poczuł, jak otwierają się skurczone mięśnie. Nemex wyślizgnął mu się z palców, padając w kałużę. Lewą ręką wyprowadził cios i zobaczył, jak przeciwnik blokuje go z doświadczeniem nabytym podczas walk ulicznych. Zdesperowany, sięgnął i spróbował przydusić napastnika. Minister Redystrybucji Zdrowia z olbrzymią siłą uderzył go w pierś. Chris padł na plecy, osłaniając się słabo i potykając się na trupie Mike'a. Bandzior go puścił, pozwalając mu paść na kadłub wywróconego BMW, i odwrócił się, by podnieść swój łom. Ruszył naprzód, nadal się uśmiechał. Chris zobaczył wyprowadzany atak i słabo przetoczył się w lewo, wzdłuż boku BMW. Łom spadł po łuku i wyłobiał głęboką bruzdę w panczeru samochodu w miejscu, gdzie przed chwilą leżał Chris. Zazgrzytał metal. Chris z wrzaskiem oderwał się od wozu i wyprowadził lewy sierpowy w skroń Ministra. Bandzior zablokował, ale nie do końca i zachwiał się słabo od uderzenia. Stęknął, potrząsnął głową i zamachnął się łomem, zahaczając o brzeg głowy Chrisa.

W czasie młodego dyrektora rozbłysły kolorowe światła. Sufit zatańczył mu nad głową. Zatoczył się i upadł. Coś chwyciło go za rękę. Spojrzał i zobaczył, że podtrzymał go Minister. Wygodnie.

- Pieprzony, gówniany *kierowca* - wrzeszczał mu w twarz. - Będziesz sobie przychodził

do pieprzonych stref w garniturze, co?

Łom walnął Chrisa w żebra. Wrzasnął jak dziecko i wykręcił się. Wokół niego byli już inni, trzymali go dla szefa, uderzając go w głowę.

- Będziesz sobie przychodził do cholernych stref, co? *Trzymaj go.*

Kolejny cios, kolejna fala drętwoty. Tym razem Chris poczuł, jak pęka mu żebro. Krzyknął, ale słabo. Ktoś puścił jego ramię, i zawisł na pozostałych rękach. Zobaczył zbliżającą się pięść, ciężką od metalowych sygnetów. Rozbiła jego łuki brwiowe, wysyłając strzępy w ryczącą ciemność. Poczuł, jak odrywa się część jego twarzy, krew spłynęła mu za kołnierz.

- Pokażemy ci, co myślimy o... - mówił do niego między ciosami Minister, ale resztę zagłuszył ryk otwierającego się tunelu mroku.

Co dziwne, pod tym wszystkim usłyszał Carlę. *A więc po prostu chcesz mnie wypieprzyć i porzucić, tak?* Jej dłonie na jego ciele. Uśmiechała się. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu chciał równocześnie płakać i śmiać się.

Ja. Zapadając już głową w ciemność. Nigdzie się nie wybieram.

Ale odchodził.

I odgłos jak odległy grzmot.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Helikoptery kontroli ruchu zwiślały na niebie nad wzniesionym fragmentem autostrady, na którym Chris Faulkner wykręcił saaba w zgrzytliwym hamowaniu, zostawiając go w poprzek drogi. Jasne światło słońca odbijało się od soczewek kamer i długich luf gatlingów. W rozsądnej odległości za nimi krążyły helikoptery stacji telewizyjnych, jak rekiny czekające na ofiarę. Na autostradzie stały grupki wozów policyjnych, rozstawiano sprzęt, wokół kręciły się uzbrojone postacie. Louise Hewitt stała, rozmawiając z oficerem dowodzącym grupą taktyczną i równocześnie z kimś przez komórkę. Podniosła głowę i osłoniła twarz, gdy między czarno-zielonymi maszynami kontroli ruchu na asfalt dwadzieścia metrów dalej opadł wolno ciemnoniebieski helikopter. Z kabiny wyłonił się Jack Notley, poprawił garnitur wzburzony huraganem rotorów i ruszył w jej stronę.

- Oddzwonię - powiedziała do telefonu i zamknęła go. - I, kapitanie, gdyby dał mi pan chwilkę...

Oficer zobaczył, kto idzie, i cofnął się. Notley dotarł do Hewitt i wbił w nią wzrok. - No?

- Myślałam, że słyszałeś.

- Dlatego tu jestem. - Notley wyglądał ponuro. - Co masz? Hewitt wruszyła ramionami i wskazała głową w stronę dźwigu stojącego przy brzegu Gullet.

- Posłaliśmy tam policję. Najwyraźniej teraz wyciągają ich obu. Powiedziano mi, że nie wygląda to ładnie.

Notley obejrzał się, patrząc wzdłuż odcinka autostrady.

- Cztery mile - powiedział. - Cztery mile od miejsca, gdzie zleciał Page. Zdajesz sobie z tego sprawę?

- Cztery? - Hewitt zmarszczyła brwi. - Och, *mile*, czyli jakieś sześć kilometrów? Tak, pewnie mniej więcej tyle. I niedaleko miejsca, gdzie Barnes uczył się latać.

- Tak.

- Podniecający kawałek drogi.

Z piskiem ruszył dźwig. Partnerzy obrócili się, by patrzeć, jak wyciąga przykryte płachtą nosze. Grupa taktyczna korporacyjnej policji obskoczyła ładunek, przekręcając go i łagodnie opuszczając na asfalt. Pokrycie było białe z plamami krwi. Lekarz przykucnął przy noszach, odsłonił płachtę i skrzywił się. Dźwig pojechał z powrotem w dół. Obserwowali, jak rozwija się lina.

- Będzie dużo pytań - zauważyła Hewitt, kiedy lina znieruchomiała. - Sporo precedensów.

Notley burknął.

- Dobrze. Takie rzeczy sprawiają, że stajemy się ostrzejsi.

- Chciałeś chyba powiedzieć, że ostrą zęby prawników. Przez wiele miesięcy będą się o to spierać na nasz koszt.

- Podczas gdy my spokojnie dalej będziemy tak postępować.

- Etyka po występie. - Hewitt posłała mu krzywy uśmiech. - Moja ulubiona.

Notley uniósł brwi.

- A jest jakaś inna?

Dźwig znów ruszył. Kolejny wybuch aktywności, następne nosze na asfalcie. Znów plamy krwi na bieli.

- Nie na tym świecie.

- Cieszę się...

Jakiś ruch pośród mundurów policji. Poruszenie. Kłębiący się policjanci. I Chris Faulkner, wstający z noszy jak ożywiony trup. Przepycha się. Niczym chorągiew rozwinął się niepewny aplauz.

Hewitt zamarła.

Notley zamrugał.

A potem starszy partner ruszył szybkim krokiem w stronę nowo przybyłego, z szerokim uśmiechem na twarzy. Zawahał się dopiero, gdy się zbliżył i zobaczył obrażenia. Twarz Chrisa była maską krwi i sińców. Jedno oko spuchnięte i prawie niewidzące, strzępy rozerwanego ciała wokół ust i rozharatane oba policzki, krew ciekąca ze złamanego nosa. Sposób, w jaki się poruszał w poszarpanym i zakrwawionym garniturze zdradzał połamane żebra.

- Chris! Jezu Chryste, ty żyjesz. Myślałem... Przez chwilę już się martwiłem. Gratuluję!

Chris na niego popatrzył. Popatrzył za niego, jak zombie, którego tak bardzo przypominał. Notley chwycił go za ramiona.

Chris skupił na nim wzrok.

- Co to znaczy? - wyszeptał.

- Co to znaczy? - Notley był prawie oburzony. - Chris, to znaczy, że jesteś na szczycie. Od tej pory możesz wszystko. Wszystko. Witaj na pokładzie.

Wyciągnął rękę. Chris popatrzył w dół, jakby ten gest nie miał sensu. Wydał z siebie bulgotliwy dźwięk, w którym Notley dopiero po chwili rozpoznał śmiech. Potem spojrzął na twarz starszego partnera, a później za niego. Saab. Hewitt.

- Och, Chris...

- Przepraszam.

Przepchnął się za Notleya, idąc wprost na Hewitt. Zobaczyła, że nadchodzi, i spięła się. Skinęła głową w stronę kapitana policji i ten znalazł się przy jej boku. Chris zatrzymał się metr przed nią, chwiejąc się lekko.

- Louise - wychrypiał.

Wyprodukowała krzywy uśmieszek.

- Cześć, Chris. Dobra robota.

- To dla ciebie, Louise.

Wyciągnął to. Karta Shorn Associates z wytłoczonym nazwiskiem Mike'a Bryanta poplamionym krwią.

- Nie wydaje mi się, żeby teraz...

- Nie, to dla ciebie. - Chris zrobił jeszcze jeden krok i wepchnął kartę w kieszeń na piersi Hewitt. Kiwnął do siebie głową i zaczął się odwracać. - Dla ciebie. Bo tak się tu załatwia sprawy, tak?

Uśmiech Hewitt wymarzał.

- Tak.

- Zobaczymy się na drodze, Louise.

Odszedł, grzebiąc w kieszeni za kluczykami. Drzwi saaba wciąż były otwarte. Wokół niego kręcili się pracownicy kontroli ruchu, mierząc i fotografując. Kiedy spróbował usiąść za kierownicą, jeden z nich zagroził mu drogę.

- Przepraszam pana, ale jeszcze tu nie skończy...

Urwał, gdy zobaczył wzrok Chrisa.

- Zejdź mi z drogi.

Mężczyzna się wycofał. Chris opadł na fotel, zaciskając zęby, gdy pospiesznie oblepione gipsem żebra poruszyły się przy ruchu. Lekarze wstrzyknęli mu pełną dawkę czegoś ciepłego, ale ból i tak przedzierał się do niego w krótkich rozbłyskach. Przez chwilę siedział, opanowując go oddechem. Pomyślał, że chyba sobie z nim poradzi.

Zamknął drzwiczki. Sięgnął do startera.

Saab odpalił z warkotem. Na ten dźwięk na odcinku Gullet wokół niego ustała cała aktywność. Głowy odwróciły się w jego stronę. Zobaczył, jak ludzie gestykulują.

Nikt nie wydawał się zainteresowany tym, żeby go zatrzymać.

Trochę niezręcznie wykręcił głowę. Zakaszła, czując krew. Sprawdził lusterko wsteczne i wykręcił zgrabne półkole, skierowując saaba na południe, w stronę Shorn. Zmienił bieg i pozwolił pojazdowi toczyć się do przodu.

- Proszę pana, chwileczkę. - Głos przytłumiony przez zamknięte okna i drzwi. W boczną szybę zapukał jeden z policjantów. Chris opuścił ją i czekał ze stopą lekko na pedale, prawie nie zatrzymując saaba. Policjant się zawahał. - Och, sir, chodzi o... te strzały na dole. Cóż, dotarliśmy tam w ostatniej chwili, więc wszystko działa się dość szybko. Po prostu próbowaliśmy ich z pana zdjąć, wie pan.

- Tak. - Jego głos wciąż nie działał właściwie. Potrzebował wielu minut na betonie, by zrozumieć, skąd się wzięły grzmoty, krzyki umierających ludzi i nagłe głosy otaczających go policjantów. Pierścień przejętych twarzy patrzących w dół. - Tak. Dziękuję.

- Tak, cóż... Chodzi o to, że w takiej strzelaninie nie zawsze da się trafić wszystkich idealnie, i wygląda na to, że paru z nich przeżyje. Ja... cóż... zakładam, że będzie pan składał oskarżenie.

- Tak, dobrze.

- No, więc potrzebny mi pański numer. Oczywiście, możemy skontaktować się z panem w Shorn, ale w tego rodzaju przypadkach wolimy oferować pełną spersonalizowaną obsługę. Wsparcie dla ofiar, przesłuchania... I właśnie ja mam się tym zająć. Ma pan, och, numer domowy?

Chris na chwilę zamknął oczy.

- Nie, właściwie nie.

- Och. - Policjant patrzył na niego przez chwilę, zaskoczony. - No cóż. W takim razie złapię pana w Shorn.

- Dobrze. - Chris spróbował stłumić wzbierającą falę zniecierpliwienia. Chciał stąd odjechać. - To wszystko?

- Och. Tak, sir. Ale, och, wie pan, gratulacje. Cała moja rodzina oglądała ten pojedynek. Dobra robota. Fantastyczna jazda. I och... mój syn jest pańskim fanem, sir.

Chris zwalczył rechot. Ukrył go w kaszlu.

- To miłe.

- Pewnie teraz często będzie pana widać w telewizji. Może nawet zrobi z panem wywiad ta Liz Linshaw, co? - Policjant dostrzegł wyraz jego twarzy i cofnął się. - W każdym razie... Może pan jechać. Dziękuję.

- Nie ma problemu.

Chris ruszył. Ludzie schodzili mu z drogi. Przejechał obok Louise Hewitt, a potem Jacka Notleya, nabierając prędkości. W chwili gdy mijał ostatni z zaparkowanych samochodów, zbliżał się już do dziewięćdziesiątki. Saab pokonał zakręt z narastającym rykiem. Trafił na dziurę, ale zawieszenie i przeciwbólówki stłumiły szarpnięcie. Chris sięgnął po telefon, włączył go. Tym razem skrzywił się tylko trochę, gdy otarły się o siebie złamane żebra. Zamówił połączenie do Joaquina Lopeza w Panamie za dziesięć minut, a potem zadzwonił do operatora priorytetowych klientów Shorn i kazał mu połączyć się natychmiast z Francisco Echevarrią.

- Nie podoba im się to. Nie wiedzą czy...

- Powiedz im, że to sprawa wagi państwowej - zasugerował Chris.

Zajął to kilka minut, ale Echevarrią odebrał telefon. Nie był szczęśliwy. Chris odniósł wrażenie, że kilka ostatnich tygodni nie było dla niego łatwe.

- Bryant? To ty? Co teraz, do cholery? Co to za sprawa wagi państwowej?

- Taka, która postawi cię przed plutonem egzekucyjnym, gnojku. Tu Chris Faulkner.

Zduszona cisza, potem wściekłość.

- Ty sukinyński...

- Zamknij się i słuchaj, Paco. Nie wiem, jakie łajno pakowali w ciebie pod moją nieobecność, ale sytuacja właśnie zmieniła się na lepsze. Mike Bryant nie żyje.

- Kłamiesz.

- Nie, nie kłamię. Sam go zabiłem. Gołymi rękami. I teraz jestem młodszym partnerem w Inwestycjach Konfliktowych Shorn, co oznacza partnera *wykonawczego* dla konta MGP. To znaczy dla *ciebie*, Paco. I mówię ci, zamierzam wprowadzić Vicente Barranco na ulice Bogoty przed końcem pięprzonego miesiąca. Więc na twoim miejscu zebrałbym, ile się da ze skradzionych przez tatusia sprzętów, wsiadłbym w odrzutowiec i natychmiast odleciał w cholerę, póki jeszcze możesz dojść do samolotu.

W furii Echevarrią zapomniał angielski. Linię zalały hiszpańskie przekleństwa w tempie, które uniemożliwiało Chrisowi zrozumienie czegokolwiek. Przerwał ten potok słów.

- Masz czterdzieści osiem godzin, Paco. To wszystko. Później wysyłam grupę specjalną, żeby strzelili ci prosto między oczy.

- *Nie możesz tego zrobić!*

Tym razem Chris naprawdę się roześmiał. Pomimo bólu złamanych żeber.

- Nadal nie łapiesz, co, Paco? Z tego miejsca mogę zrobić, co zechcę. Dla ludzi takich jak ja, nie ma nic niemożliwego. Rozumiesz? *Już po tobie.*

Rozłączył się.

Mocniej wdepnął gaz i przyglądał się wędrującej wskazówce prędkościomierza.

Zatracił się w warkocie silnika, ogarniającej go drętwoce leków i sunącej z przeciwka pustce drogi.

INSPIRUJĄCE KSIĄŻKI

Noam Chomsky - Rogue States: The Rule of Force in World Affairs

- Profit Over People: Neoliberalism and Global Order

William Easterly - The Elusive Quest for Growth: Economists' Adventures and Misadventures in the Tropics

Susan George - The Lugano Report: On Preserving Capitalism in the Twenty-First Century

Michael Moore - Stupid White Men... and Other Sorry Excuses for the State of the Nation

- Downsize This: Random Threats from an Unarmed American

Robin Morgan - The Demon Lover: The Roots of Terrorism **John Pilger** - Hidden Agendas

- The New Rulers of the World **Joseph Stiglitz** - Globalisation and its Discontents

Uwaga: poglądy przedstawione w Siłach Rynku nie stanowią prezentacji opinii autorów wspomnianych tytułów.